

Fantasy

# PANI ŚMIERCI



TERRY GOODKIND

TERRY GOODKIND

PANI ŚMIERCI

SIOSTRA MROKU

Przełożyła  
Lucyna Targosz



Dom Wydawniczy REBIS

## ROZDZIAŁ 1

Pod butem Nicci zachręściła kolejna czaszka, ale czarodziejka się nie zatrzymała. W tym gęstym lesie nie mogła ominąć wszystkich leżących pod stopami kości ani wiszących tuż nad głową szponiastych gałęzi. Szlak byłby niebezpieczny nawet w blasku dnia, ciemną nocą Mrocznych Ziem zaś był niemal nie do przebycia.

Lecz Nicci, mając misję do wykonania, nigdy się nie przejmowała tym, czy coś jest możliwe czy nie.

W lesie pełno było ludzkich szczątków pokrytych mchem. Żółtawe kości kontrastowały z ciemnością, oświetlane księżycową poświatą przesączałą się przez oplecione lianami konary. Kiedy Nicci przedostała się za zmurszały pień zwalonego dębu zagrządzający ścieżkę, zgmiotła obcasem kolejną czaszkę, wykruszając zęby z rozdziawionych szczęk – jakby ci od dawna umarli chcieli ją ukąsić, podobnie jak półludzie-kanibale, którzy niedawno wyroili się z Mrocznych Ziem.

Nicci nie bała się czaszek. To były tylko szczątki, a ona sama przyczyniła się do powstania wielu szkieletów. Przystanęła, żeby się przyjrzeć stercie kości ułożonej przy omszałym dębie. Ostrzeżenie? Znak? Czy tylko ozdoba?

Wiedźma Red miała dziwaczne poczucie humoru. Nicci nie mogła pojąć, czemu Nathan tak się upierał przy spotkaniu z nią, on zaś nie chciał zdradzić swoich zamiarów.

Nathan Rahl, przedzierający się z trzaskiem przez splątane wierzby, zawołał do niej:

– Dalej jest rozległa łąka, czarodziejko! Szybciej nam się będzie szło!

Nicci nie przyspieszyła, żeby się z nim zrównać. Niecierpliwość Nathana

często wiodła go do pochopnych decyzji. Odparła chłodno:

– Stracilibyśmy mniej czasu, gdybyśmy nie podróżowali ciemną nocą przez gęsty las.

Długie, jasne włosy Nicci opadały na ramiona; kark miała spocony, chociaż było zimno. Strzepnęła z czarnej podróżnej sukni sosnowe igły i pajęczyny.

Nathan zatrzymał się na skraju rozległej łąki i uniósł brew. Jego długie siwe włosy zdawały się w mroku zbyt jasne.

– Sądząc po tych wszystkich szkieletach, musimy być blisko celu. Nie mogę się doczekać, kiedy tam dotrzemy. A ty?

– To twój cel, nie mój. Towarzyszę ci, bo tak zdecydowałam, dla Richarda.

Obydwoje od wielu dni maszerowali leśnymi bezdrożami.

– Naprawdę? A myślałem, że miałaś mieć na mnie oko.

– O tak, z pewnością tak myślałeś. A może tylko chciałam uchronić cię od kłopotów.

Znowu znacząco uniósł brew.

– Myślę, że jak dotąd ci się to udawało.

– To się okaże. Jeszcze nie znaleźliśmy wiedzy.

Nathan Rahl, czarodziej i prorok, miał smukłą i muskularną sylwetkę, lazururowe oczy i przystojną twarz. Chociaż jego i Richarda dzieliło wiele pokoleń, to wyraziste rysy Nathana i jego jastrzębi wzrok ciągle przypominały Nicci Richarda Rahla – lorda Rahla, przywódcę wielkiego imperium D’Hary, a teraz całego znanego świata.

Widoczna pod kamizelą czarodzieja biała koszula była zbyt elegancka jak na strój podróżny, ale on się tym nie przejmował. Zarzucił na ramiona błękitną pelerynę. Nosił czarne, przylegające, lecz wygodne spodnie oraz

eleganckie skórzane buty z czerwonym sznurowaniem – dla barwnego akcentu.

Kiedy Nicci się z nim zrównała, położył dłoń na rękojeści ozdobnego miecza i patrzył na zalaną blaskiem księżycą łąkę.

– Owszem, podróżowanie nocą jest uciążliwe, ale przynajmniej stale posuwamy się naprzód. Tyle stuleci spędziłem w jednym miejscu, zamknięty w Pałacu Proroków. Wybacz, że jestem trochę niecierpliwy.

– Wybaczę, czarodzieju. – Nicci zgodziła się zaprowadzić go do wiedźmy, ale jeszcze nie postanowiła, jak najlepiej przysłużyć się potem Richardowi i imperium D’Hary. Na razie ona też była niespokojna. Lubiła mieć jasno określony cel.

Uśmiechnął się, słysząc jej szorstki ton.

– Powiadają, że prorocтва zniknęły ze świata! A Richard przepowiedział, że moje towarzystwo może cię irytować.

– Chyba użył słowa „nieprzyjemne”.

– Jestem przekonany, że wcale tak nie powiedział. – Przecięli zroszoną łąkę, idąc ledwie widoczną ścieżką wiodącą ku drzewom po drugiej stronie. – Pomimo to jestem rad, że chroni mnie tak potężna czarodziejka. To licuje z moim statusem podróżującego ambasadora D’Hary. Dodajmy do tego moje talenty czarodzieja i proroka, a będziemy niemal niepokonani.

– Już nie jesteś prorokiem – przypomniała mu Nicci. – Nikt nie jest.

– To, że ktoś traci oścień, nie oznacza, że przestał być rybakiem. Choć straciłem dar prorokowania, to jakoś sobie poradzę. Mogę czerpać z mojego ogromnego doświadczenia.

– Więc może powinnam pozwolić, żebyś sam odszukał wiedźmę.

– Nie, do tego potrzebuję twojej pomocy. Już się spotkałaś z Red. – Wskazał przed siebie. – Sądzę, że cię lubi.

– Tak, spotkałam się z Red i przeżyłam. – Nicci przystanąła i popatrzyła na sięgającą kolan piramidę krągłych czaszek, ostro kontrastującą ze spokojną, oświetloną blaskiem gwiazd łąką. – Lecz jestem wyjątkiem. Wiedźma nikogo nie lubi.

Nathana to nie onieśmieliło – i Nicci wcale tego nie oczekiwała.

– No to roztoczę swój urok. Jeśli pomożesz mi ją odnaleźć.

Nicci zatrzymała się pod otwartym nocnym niebem, spojrzała w jego bezmiar i to, co tam zobaczyła, przeraziło ją bardziej niż kruszejące szkielety. Miriady gwiazd, rozsiane w pustce migotliwe światełka, wyglądały zupełnie inaczej. Wywołane przez Richarda przesunięcie gwiazdy przegrupowało znane Nicci od ponad dwustu lat konstelacje.

Kiedy była małą dziewczynką, ojciec zabierał ją nocą na dwór i palcem rysował na niebie obrazy, snując opowieści o widniejących tam postaciach. Ledwie dwa tygodnie temu te odwieczne wzory się zmieniły; szokująca magiczna rekonfiguracja odmieniła kosmos. A kiedy lord Rahl zmienił układ gwiazd, proroctwa zostały usunięte ze świata żywych i odesłane przez zasłonę do zaświatów. Kataklyzm ten w nieznanym sposobie odmienił kosmos i skutki tego ciągle jeszcze należało poznać i zrozumieć.

Nicci nadal była czarodziejką, a Nathan pozostał czarodziejem, lecz stracił dar prorokowania. Utracił część swojej istoty.

Lecz zamiast boleć nad utratą tego talentu, wydawał się osobliwie podekscytowany nieoczekiwaną nową sytuacją. Zawsze uważał prorokowanie za coś uciążliwego. Na tysiąc lat uwięziony w Pałacu Proroków, uważany za zagrożenie dla świata, nie mógł żyć wedle własnej woli. Teraz, kiedy proroctwa zniknęły i nieumarły imperator Sulachan został odesłany w zaświaty, Nathan czuł się bardziej wolny i swobodny niż kiedykolwiek przedtem.

Był zachwycony, kiedy Richard Rahl wysłał go z misją jako ambasadora powiększonego imperium D'Hary, żeby sprawdził, jak mógłby pomóc mieszkańcom Mrocznych Ziem – był to mało zawoalowany pretekst, żeby Nathan udał się tam, dokąd chciał się wybrać, robiąc przy okazji coś pożytecznego. Czarodziej aż się palił, żeby zobaczyć nieznaną ziemię. Wymawiał te słowa tak, że brzmiało to jak nazwa krainy: „Nieznane Ziemie”.

Nicci, znając jego zamiary, nie mogła puścić go samego. To byłoby niebezpieczne dla niego i najprawdopodobniej groźne dla świata. Poturbowana d'harańska armia wróciła z krwawych bojów, wciąż liczone straty i opłakiwano poległych, Nicci zaś przystała na tę ważną misję. Dla Richarda.

Każdy od Westlandu po Midlandy, od D'Hary po Mroczne Ziemie, a także na dalekim południu w Starym Świecie, powinien wiedzieć, że lord Rahl jest nowym przywódcą wolnego świata. Richard ogłosił, że nie będzie tolerował tyranii, niewolnictwa i niesprawiedliwości. Każda kraina pozostanie niezależna, dopóki jej mieszkańcy będą postępować wedle powszechnie uznanych praw i obyczajów.

Lecz większość świata nawet nie wiedziała, że została wyzwolona, i z całą pewnością istnieli pomniejsi watażkowie i tyrani, którzy nie zaakceptowali nowych reguł. Richard musiał poznać rozmiary swojego imperium, w sporej części wciąż jeszcze niezbadanego – i to było zadanie dla Nicci: zebranie informacji w trakcie podróży z Nathanem.

Całym sercem wierzyła w swoją misję. To był początek złotego wieku. W Starym Świecie na pozostałości po Imperialnym Ładzie oraz imperatorze Jagangu i jego poprzednikach składała się teraz zbieranina lokalnych wodzów – tak pragmatycznych i światłych, jak samolubnych i agresywnych. Gdyby jakiś przywódca sprawiał kłopoty, Nicci miała rozwiązać ten problem.

Chociaż wiedziała, że Richard wsparłby ją swoją militarną potęgą, to nie zamierzała wciągać w takie utarczki całej d'harańskiej armii, no, chyba że okaże się to absolutnie konieczne.

Nicci zadba jednak, żeby tak się nie stało.

A co do osobistych spraw, to chociaż kochała Richarda jak nigdy nikogo innego, to wiedziała, że on należy do Kahlan, i źle by się czuła, będąc blisko nich. To *nie było jej miejsce*.

Wędrując z Nathanem na Nieznane Ziemie, przysłuży się Richardowi oraz zyska nową wolność. Będzie miała własne życie.

– Słyszałem, co potrafi wiedźma. – Nathan z przesadnym entuzjazmem maszerował w rozjaśniającym się poranku. Zamaszystym gestem zarzucił na ramię błękitną pelerynę. – Muszę ją o coś poprosić i nie mam powodu sądzić, że odmówi. W końcu w pewnym sensie jesteśmy kompanami.

Przeciskali się przez gęstwę smukłych brzózek, odpychając białokore drzewka, idąc śladem kopczyków kości. Nathan wciągnął powietrze.

– Jesteś pewna, że to dobra droga?

– Znajdziemy Red, jeśli sama tego zechce. – Nicci spojrzała w oczodoły wypełnione mchem. – Wiele osób żałuje, że ją znalazło.

– A tak: uważaj, czego sobie życzysz – zaśmiał się. – To powinno być kolejnym Prawem Magii.

Granitowe głazy wokół nich stały się większe, ocieniały je bujne klony i królewskie dęby. Nicci poczuła mrowienie karku i podniosła wzrok – zobaczyła stworzenie przypominające kota, przyglądające się im ze sporej zaokrąglonej skalnej wychodni. Dziwne zwierzę miało zielone ślepia i ciemno nakrapianą sierść. Na ich widok wydało ni to pomruk, ni to warczenie.



Nicci, nie czując lęku, oparła się o brzozę.

– Cóż to za zwierzak? Nigdy takiego nie widziałem.

– Większość życia spędziłeś zamknięty w wieży, czarodzieju. Na świecie żyje wiele istot, których nie widziałeś.

– Ale miałem mnóstwo czasu na czytanie ksiąg przyrodniczych.

Nicci od razu rozpoznała zwierza.

– Matka Spowiedniczka nazwała go Łowcą. To towarzysz Red.

Wielki kot nadstawił uszu.

Nathan się rozpromienił.

– To oznacza, że musimy być blisko.

Łowca niespiesznie zeskoczył z wychodni i potruchtał pomiędzy brzozami, wskazując drogę Nathanowi i Nicci.

Szli szybko za nim przez las smukłych brzózek i splątane podszycie. Łowca co jakiś czas przystawał i oglądał się, upewniając się, że wciąż za nim idą.

Wreszcie po południu znaleźli się nad spokojną górską kotliną. Rozłożyste konary gigantycznego, porośniętego mchem dębu rozpościerały się ponad całą ukrytą kotliną niczym olbrzymi dach. Cierpki zapach dymu dolatywał z ogniska płonącego w kamiennym kręgu w pobliżu chatki pod przeciwległym stokiem.

Na kamiennej ławie przed chatką siedziała – jakby na nich czekając – szczupła kobieta, obserwowwała ich przenikliwymi błękitnymi jak niebo oczami. Ubrana była w przylegającą szarą suknię, jej twarz okalały bujne rude loki. Umalowane na czarno usta sprawiały, że jej uśmiech nie był miły, lecz złowieszczy. Siedzący na ramieniu wiedzmy kruk wydawał się bardziej zadowolony niż ona.

Nicci, doskonale wiedząc, jak groźna może być Red, w milczeniu

spojrzała jej w oczy. Nathan – chociaż widział wokół niezliczone czaszki – zignorował niebezpieczeństwo i podszedł, unosząc rękę na powitanie.

– Z pewnością jesteś ową wiedźmą. Ja zaś jestem Nathan Rahl, Nathan prorok.

– *Czarodziej*, nie prorok – poprawiła Red. – Teraz wszystko się zmieniło. – Czarne usta znowu się uśmiechnęły, bez odrobiny serdeczności. – Jesteś Nathan Rahl, krewny Richarda Rahla. Nazywano mnie wyrocznią i jasnowidzącą, ale miałam już tyle wizji, że na jakiś czas mi wystarczy. Przewidziałam, że do mnie przyjdiesz.

Cętkowane zwierzę siedziało obok niej, mrugając zielonymi ślepiami i wpatrując się w gości. Red utkwiała wzrok w Nicci.

– No i Nicci czarodziejka. Miło znowu cię widzieć.

– Spotkanie ze mną nigdy nie było ci miłe – powiedziała Nicci. Jakaś jej część pragnęła przywołać magię, uwolnić strumień tak addytywnej, jak i subtraktywnej magii, który w razie potrzeby spopieliłby wiedźmę. – Prawdę mówiąc, kazałaś Matce Spowiedniczce mnie zabić.

Red się roześmiała.

– Bo zobaczyłam, że zabijesz Richarda. – Z pewnością dostrzegała gniew Nicci, ale nie okazała strachu. – Na pewno pojmujesz, że miałam jak najlepsze intencje. To nie było nic osobistego.

– I zabiłam Richarda, jak przepowiedziałaś – rzekła Nicci, wspominając, jak ciężko to przeżyła. – Zatrzymałam jego serce, żeby mógł pójść w zaświaty i uratować Kahlan.

– No widzisz? Czyli wszystko dobrze się skończyło. – Kruk na ramieniu Red pochylił się w przód, jakby potakiwał. – Czemu tu przyszliście?

Nathan wyprostował się dumnie.

– Szukaliśmy cię wiele dni. Mam prośbę.

Czarny uśmiech stał się szerszy i Red wskazała czaszki zaścielające kotlinę.

– Otrzymuję wiele próśb. Chętnie wysłucham twojej.

## ROZDZIAŁ 2

Nathan odgarnął pelerynę i nie pytając o pozwolenie, usiadł obok wiedźmy na kamiennej ławie. Westchnął teatralnie.

– Mam tysiąc lat i czasem moje stare kości dają mi się we znaki.

Nicci popatrzyła na czarodzieja, nie kryjąc niedowierzania. Podróżowała z nim wiele dni, wiele mil i wydawał się całkiem zwawy. Wątpiła, czy taka próba wzbudzenia współczucia podziała na Red.

Kruk wzbił się z kościstego ramienia wiedźmy i przysiadł na jednej z niższych gałęzi ogromnego dębu. Łypał gniewnie na Nathana.

Red przesunęła nogi i odwróciła się ku czarodziejowi.

– Tysiąc lat? Pewnie masz wiele do opowiedzenia.

– Rzeczywiście, i to po części jest powód, dla którego tu jestem. Gdy Pałac Proroków został zniszczony, zaklęcie przeciwdziałające starzeniu przestało działać i teraz starzeję się jak każdy śmiertelnik. – Spojrzał na Nicci z błyskiem w oku. – Czarodziejka też nie młodnieje, ale oczywiście nie pokazuje tego po sobie.

– „Starzec się” to nic innego jak „żyć” – powiedziała Red z drapieżnym uśmiechem. – Zakładam, że ty chciałbyś jeszcze pożyć.

– Ja dopiero zacząłem żyć. – Czarodziej oparł się wygodnie na ławce, jakby odpoczywał w parku. – A teraz... moja prośba. Słyszałem, co potrafia wiedźmy, i ciekaw jestem, czy byłabyś łaskawa uczynić mi ten honor.

Nicci słuchała uważnie, zaintrygowana, bo czarodziej nie ujawnił jej swoich zamiarów, choć podróż z Pałacu Ludu była długa i uciążliwa.

Red potrząsnęła rudymi splotami, które na moment upodobniły się do wijących się węży.

– Wiedźmy mają rozliczne umiejętności, jedne wspaniałe, inne groźne. Zależy, który talent cię interesuje.

Nathan splótł palce na kolanie.

– Siostry Światła miały książeczki podróżne, powiązane zaklęciem dzienniki, w których opisywały swoje podróże i przesyłały wieści na duże odległości. Ale *księga życia*... to coś zupełnie innego. Słyszałaś o niej?

W przenikliwych jasnych oczach Red pojawiło się zaciekawienie.

– Słyszałam o wielu rzeczach. – Zamilkła na chwilę. – Słyszałam i o tym.

Nathan mówił dalej, jakby musiał wytłumaczyć to wiedźmie, a może było to przeznaczone dla Nicci.

– Księga życia to spisane koleje losu danej osoby, wszystkie dokonania i doświadczenia. – Nachylił się ku Red, poprawiając kamizelę. Siedzący na drzewie kruk zakrakał. – Chciałbym mieć swoją księgę życia, bo zaczynam jego nową fazę, nowe przygody. – Starł nieistniejącą plamkę z rękawa marszczonej koszuli i popatrzył na Red. – Mogłabyś wykorzystać swój dar opowiadacza?

Nicci stała z boku i przyglądała się. Kiedy czarodziej wbił sobie coś do głowy, stawał się natarczywy. Przyprowadziła go przez bezdroża do usłanej czaszkami kryjówki wiedźmy tylko dlatego, że chciał poprosić Red o *księgę*?

– Większość życia spędziłeś w wieży, czarodzieju – odezwała się sucho Nicci. – Uważasz, że twoje doświadczenia zapełnią całą księgę?

Łowca przycupnął na ziemi w suchych dębowych liściach. Węszył, trącając nosem żołędzie, kompletnie obojętny na prośbę Nathana.

Czarodziej parsknął.

– Wystarczy odpowiednio długi okres, a ciekawe zdarzenia nawet nudnego życia wypełnią księgę. – Znowu zwrócił się do Red: – Sam zawsze byłem gawędziarzem i napisałem wiele popularnych opowieści. Może

słyszałaś o *Przygodach Bonnie Day*? Albo o *Balladzie o generale Utrosie*? Wspaniałe eposy, opowiadają o ludzkiej kondycji.

– Urodziłeś się prorokiem, Nathanie Rahlu. A ktoś mógłby rzec, że twoją prawdziwą profesją było wymyślanie opowieści – stwierdziła cierpko Nicci.

Nathan zbył to gestem.

– Tak, niektórzy by tak powiedzieli. A obawiam się, że teraz, po tych ogromnych zmianach w kosmosie, prorokowi pozostaje tylko snucie opowieści.

Red zacisnęła czarne usta, zastanawiała się.

– Historia twojego życia mogłaby się złożyć na księgę, Nathanie Rahlu, i tak, mam dar, żeby ją stworzyć. Znam zaklęcie, które zachowa w jednym tomie wszystko, co do tej pory uczyniłeś, i to będzie koniec tej historii.

– Tom pierwszy – rzekł z zachwytem Nathan. – A jestem gotowy rozpocząć nową podróż z moją pomagierką Nicci.

Czarodziejka się zjeżyła.

– Nie jestem niczyją pomagierką, czarodzieju. Może jestem twoją towarzyszką, a precyzyjniej – strażniczką i protektorką.

– Każdy jest głównym bohaterem własnej opowieści – stwierdziła Red. – Może tak widzi cię Nathan w swojej historii, Nicci.

– To się myli – nie chciała odpuścić. – Czy ta księga życia ma być biografią? Powieścią?

Nawet Nathan się zaśmiał.

Kruk sfrunął z gałęzi, zatoczył krąg nad polaną i usadowił się na innym konarze, jakby chciał mieć lepszy widok.

Wiedźma wstała z ławy.

– Twoja propozycja mnie zainteresowała, Nathanie Rahlu. Czeka cię dużo

roboty, wiesz o tym? – Rzuciła spojrzenie Nicci i jej rude loki się zakołysały. – I o twoim życiu sporo wiem, czarodziejko. Skoro i tak skorzystam z magii opowiadacza, to może chcesz mieć własną księgę życia? To byłaby dla mnie przyjemność. – W błękitnych jak niebo oczach Red czaił się niepokojący głód. – Wiem, że i dla ciebie to ważne.

Nicci pomyślała o katastrofach, które przeżyła, o złych uczynkach, o tym, jak się zmieniała, o krzywdach i triumfach będących jej dziełem. Czy była ważna? Poza garstką świadków i ofiar jedynie ona sama знаła całą historię. Zimno i twardo popatrzyła na wiedźmę.

– Nie, dziękuję.

Po krótkim wahaniu wiedźma tylko zatarła ręce i spojrzała z uśmiechem na czarodzieja.

– A więc jedna księga życia dla Nathana Rahla. – Skierowała się ku chatce. – Najpierw zgromadzę, co trzeba. Potem sporządzę miksturę. – Odsunęła wyblakłą skórę zasłaniającą wejście i zniknęła w środku.

Nicci odwróciła się do Nathana, ściszyła głos:

– Co ty wyprawiasz, czarodzieju?

Tylko się uśmiechnął i wzruszył ramionami.

Red wyszła z chatki z niewielką misą zrobioną ze szczytu ludzkiej czaszki. Postawiła ją na kamiennej ławie obok Nathana i wyciągnęła ku niemu dłoń.

– Daj mi rękę.

Czarodziej, uradowany, że spełni jego prośbę, podał jej dłoń wnętrzem ku górze. Red ujęła jego palce, gładziła jeden po drugim osobliwie intymnym gestem. Powiodła po liniach na jego dłoni.

– To twoje linie życia, linie duchowe i linie opowieści. – Odwróciła dłoń, wpatrywała się w żyły na jej grzbiecie. – Te naczynia krwionośne kreślą

wewnątrz twojego ciała mapę życia.

Kiedy gładziła jego dłoń, Nathan się uśmiechnął, jakby z nim flirtowała.

– Tak, właśnie tego potrzebuję. – Red wyjęła nóż ze sprytnie ukrytej kieszeni w szarej sukni i przeciągnęła ostrzem po grzbiecie dłoni czarodzieja.

Nathan wrzasnął – bardziej z zaskoczenia niż z bólu – kiedy popłynęła krew.

– Co ty wyprawiasz, kobieto?!

– Prosiłeś o księgę życia. – Ścisnęła mu dłoń i odwróciła tak, żeby krew spływała do kościanej misy. – Co twoim zdaniem posłuży za atrament? – Znowu ścisnęła jego palce, żeby zwiększyć upływ krwi.

Nathan był podenerwowany.

– Chyba tak daleko nie wybiegałem myślą.

– Księga życia danej osoby musi być spisana atramentem zrobionym z jej skrzepniętej i sproszkowanej krwi.

– Rozumie się – powiedział Nathan, jakby cały czas to wiedział.

Nicci przewróciła oczami.

Krew miarowo płynęła z głębokiego nacięcia. Łowca węszył, wabiony jej zapachem.

Kiedy czaszkę w jednej trzeciej wypełnił purpurowy płyn, Nathan rzekł:

– Z pewnością już wystarczy.

– Lepiej się zabezpieczmy – odparła Red. – Mówiłeś, że miałeś bardzo długie życie.

Wreszcie usatysfakcjonowana puściła dłoń czarodzieja i zaniósła misę ku dymiącemu ognisku. Poczerniałą kością udową rozsunała żarzące się węgle. Ustawiła misę w zagłębieniu, żeby krew się zagotowała.

Nathan dotknął zranionej dłoni, a potem uwolnił tyle magii, żeby uleczyć



ranę, uważając, by nie poplamić krwią swego eleganckiego podróżnego stroju.

Krew w kościanej misie zaczęła wkrótce bulgotać i dymić. Pociemniała, potem szerniała i wygotowała się, pozostawiając smolisty osad.

Późnym popołudniem światło przebijające się przez gęstwą gałęzi padało bardziej z ukosa. Wysoko w górze ptaki sadowiły się na noc wśród konarów potężnego dębu. Krukowi się to nie podobało, ale ptaki i tak pozostały.

Red znowu weszła do chatki, gdzie chyba czegoś szukała, i wreszcie wróciła z oprawną w skórę księgą, bez tytułu na okładce czy grzbiecie.

– Okazało się, że mam czystą księgę życia. Szczęściarz z ciebie, Nathanie Rahlu.

– Istotnie.

Red przykucnęła przy ogniu i posłużyła się dwiema długimi kośćmi, żeby wyjąć kościaną misę. Inkaust z krwi wewnątrz czaszki był ciemniejszy niż sadza pokrywająca jej zewnętrzną powierzchnię.

Nathan z wielkim zainteresowaniem patrzył, jak Red stawia dymiącą misę na kamiennej ławie. Otworzyła księgę życia na pierwszej, czystej stronie, barwy świeżo wygotowanej kości.

– A teraz spisujemy twoją historię, Nathanie Rahlu.

Przywołała siedzącego na drzewie kruką i wielki czarny ptak sfrunął na jej ramię. Ostрым dziobem gładził jej rude sploty na znak sympatii. Wiedźma w zamyśleniu także gładka kruką, potem złapała go za szyję. Zanim ptak zdążył zakrakać czy zamachać skrzydłami, skręciła mu kark. Umierając, rozpostarł skrzydła, jakby po raz ostatni chciał wzlecieć. Głowa opadła mu na bok.

Red położyła martwego ptaka na ławie w pobliżu kościanej misy. Zwinnymi palcami przeczesła pióra ogona i skrzydeł, wreszcie wybrała

jedno długie i wyrwała. Przyjrzała mu się bacznie.

– Tak, nada się do pisania. Zaczynamy?

Nathan potaknął i wiedźma przycięła końcówkę pióra sztyletem, zanurzyła ostry koniec w czarnym atramencie, a potem przytknęła do pierwszej strony.

## ROZDZIAŁ 3

Księga życia sama się pisała.

Red siedziała na kamiennej ławie, dłonie położyła na kolanach, nie zauważyła, że plami ciemną substancją szarą suknię. Utrzymywała magię poruszającą kruczym piórem spisującym historię Nathana Rahla.

Czarodziej pochylał się, wspierając łokieć na kolanie, i przyglądał się temu z dziecięcym zachwytem. Nicci podeszła i obserwowała, jak słowa, linijka po linijce, zapełniają pierwszą kartę, a potem przenoszą się na drugą. Ilekroć kończył się atrament, pióro nieruchomiało nad księgą – wtedy Red zanurzała je w misie z krwią i na powrót umieszczała nad stronicą. I znowu pisały się słowa.

– Pamiętam, ile razy przepisywałem wciąż na nowo *Przygody Bonnie Day*, aż wreszcie tekst mnie zadowolił – odezwał się Nathan, potrząsając głową i patrząc z podziwem na piszącą się księgę. – To o wiele łatwiejsze.

Opowieść płynęła stronica za stronicą, opisując długie życie Nathana, niebezpiecznego proroka, którego uwięziły Siostry Światła – początkowo po to, żeby go uczyć, potem żeby go kontrolować... jak latami nadzorowały każde jego proroctwo, przerażone chaosem, jaki mógł być skutkiem błędnej interpretacji jego słów. A proroctwa niemal zawsze błędnie rozumiano, ostrzeżenia często opacznie pojmowano. Próby uniknięcia okrutnego losu zwykle przyspieszały dopełnienie się tego, co komu było pisane.

– Ludzie nigdy niczego się nie uczą – mruknął Nathan. – Richard słusznie od dawna lekceważył przepowiednie.

Nicci przyznała mu rację.

– Nie żałuję, że proroctwa zniknęły ze świata.

Słowa płynęły szybciej, niż można je było czytać, stronicie księgi życia same się odwracały. Nicci wodziła po nich wzrokiem, wyławiając fragmenty losu Nathana, historie, które już знаła. Podczas wspólnej podróży sam jej o tym opowiadał, czy tego chciała czy nie.

Prorok pochylił się nad księgą, bo rozpoczął się nowy rozdział.

– O, to jest dobre.

Siostry niekiedy litowały się nad Nathanem, bytującym samotnie w pałacu, i najmowały w najlepszych zamtuzach Tanimury kobiety, żeby go pocieszyły. Zgodnie z zapisem w księdze życia Nathan lubił rozmowy z prostą kobietą, mającą zwyczajne marzenia i pragnienia. Pewnego razu wyszeptał do ucha naiwnej dziwki straszliwe proroctwo – i przerażona młoda kobieta uciekła z krzykiem z Pałacu Proroków. W mieście powtórzyła proroctwo innym – i zataczało ono coraz szersze kręgi, doprowadzając w końcu do krwawej wojny domowej... a wszystko przez nieodpowiedzialną paplaninę Nathana przy kobiecie, której nigdy więcej nie ujrzął.

Siostry ukarały za to Nathana, redukując jego i tak już ograniczoną wolność, chociaż ujawnił, że jego „błąd” wynikał z zamiarów zabicia małego chłopca mającego wyrosnąć na okrutnego tyrana, który by wymordował niezliczone rzesze niewinnych ludzi.

– Stosunkowo pomniejsza wojna domowa była niewielką ceną za uniknięcie tych wydarzeń – skomentował Nathan, czytając pobieżnie słowa spisywane czarną krwią.

Kiedy pióro znowu wyszło, Red zanurzyła je w kościanej misie, zamieszała inkaust, umieściła zaostrzoną końcówkę nad stronicą i pióro podjęło pisanie.

Historia Nathana snuła się i snuła – dość rozwlekłe zdaniem Nicci – a pióro zapisywało słowo po słowie. Ma się rozumieć, większość przygód

proroka wydarzyła się po tym, jak zdołał uciec z pałacu: tragicznie zakończony krótki romans z Clarissą, jego i Richarda Rahla wspólne wysiłki, żeby obalić Imperialny Ład i imperatora Jaganga, walki, żeby powstrzymać niegodziwego Hannisa Arca oraz nieumarłego imperatora Sulachana.

Cała księga zapełniła się szybciej, niż Nicci się spodziewała. Kiedy czarna krew dotarła do ostatniej stronicy, opowieść zakończył opis brnięcia Nathana i Nicci po porośniętych mchem czaszkach, żeby odnaleźć wiedźmę na Mrocznych Ziemiach. W kościanej misie skończył się atrament z krwi, pióro opadło na ziemię.

Nathan najwyraźniej był pod wrażeniem własnej historii.

– Dziękuję, Red. – Zamknął księgę i ucieszył się, widząc, że na skórzanej okładce i grzbiecie pojawiło się jego imię. – Będę nosił przy sobie tę księgę i będę ją wciąż na nowo czytał. Z pewnością i inni zechcą ją przeczytać. Akademickie biblioteki będą chciały mieć kopię.

Wiedźma potrząsnęła głową.

– To nie będzie możliwe, Nathanie Rahlu. – Zabrała mu księgę. – Zgodziłam się stworzyć dla ciebie księgę życia, ale nigdy nie powiedziałam, że będziesz mógł ją zatrzymać. Zostaje u mnie. To moja zapłata.

Nathan się zaperzył.

– Nie sądziłem... nie o to chodziło...

– Nie pytałeś wcześniej o cenę, czarodzieju – odezwała się Nicci. – Powinieneś mieć więcej rozumu, skoro żyjesz tysiąc lat.

Red zniknęła w chatce, zostawiając księgę na ławie, jakby prowokowała Nathana, żeby z nią uciekł. Nie uczynił tego. Wiedźma wróciła z mniejszą, cieńszą, oprawną w skórę książką, także niezapisaną.

– Zatrzymam historię twojego życia, ale dam ci coś o wiele cenniejszego. Nową księgę życia, pełną nie wykorzystanych już słów, lecz możliwości. –

Podala ją Nathanowi. – Mam twoją przeszłość, dawną historię, lecz z tą księgą daję ci resztę twojego życia. Przeżyj je tak, jak wedle ciebie powinno wyglądać zapisane.

Zawiedziony Nathan musnął palcem gładką skórzaną oprawę.

– Dziękuję. Chyba. – Ujął księgę.

– Tak się składa, że wiem, że zarówno ty, jak i czarodziejka, jesteście ogromnie ważni dla przyszłości. – Wiedźma z wahaniem zbliżyła się do Nicci i ściszyła głos: – Jesteś pewna, że nie chcesz własnej księgi życia? Mogą tam być rzeczy, o których powinnaś się dowiedzieć.

– Jestem pewna, wiedźmo. Moja przeszłość jest tylko dla mnie, a swoją przyszłość napiszę sama, po swojemu, nie pod kontrolą lub wpływem twoim czy kogoś innego.

– To tylko propozycja. – Red odwróciła się z błyskiem rozbawienia w oczach, który zaraz zastąpił cień niespodziewanego zatroskania. – Nadal możesz być zmuszona robić różne rzeczy, czarodziejko, czy chcesz o tym słyszeć czy nie.

Nathan otworzył swoją nową księgę życia i ze zdziwieniem stwierdził, że nie jest zupełnie pusta.

– Na pierwszej stronie są słowa „Kol Adair”. – Zdumiony spojrzał na Red. – Nie znam tego terminu. To imię? Jakies miejsce?

– To wszystko, czego będziesz potrzebować. – Red pochyliła się nad ogniem i poczerniałą kością udową poruszyła węgle, żeby podsyć płomień. – Musisz odnaleźć Kol Adair w Starym Świecie, Nathanie Rahlu. – Rzuciła okiem na Nicci. – Obydwoje musicie.

– Mamy własną misję – stwierdziła Nicci. – Tutaj, na Mrocznych Ziemiach.

– O? A jakąż to? Błąkać się bez celu, bo za bardzo kochasz Richarda

Rahla, żeby przy nim pozostać? To bezcelowa wyprawa. Wyprawa tchórza.

Nicci poczuła, że się czerwieni.

– Wcale nie.

Nathan stanął w jej obronie.

– Po naszych ostatnich wielkich bitwach chciałem tu wrócić i sprawdzić, jak mógłbym pomóc ludziom.

Red parsknęła.

– Kolejna bezcelowa praca. Dokądkolwiek byś poszedł, wszędzie będą potrzebujący pomocy. Na Mrocznych Ziemiach? W Starym Świecie? W czym rzecz? Nie lepiej ocalić świat i samych siebie?

Irytacja Nathana zmieniła się w gniew.

– Bredzisz, więdźmo.

– Bredzę? Odwróć stronę, Nathanie Rahlu. Czytaj swoją nową księgę życia.

Zaciekawiony czarodziej zrobił, jak poleciła. Nicci pochyliła się ku niemu, widząc nowe słowa na drugiej stronie.

*Przyszłość i los zależą tak od podróży, jak i od jej celu.*

*Kol Adair leży daleko na południe w Starym Świecie. Tam czarodziej ujrzy to, co mu potrzebne, by na powrót stał się w pełni sobą. A czarodziejka musi ocalić świat.*

– Już wiele razy pomagałam ocalić świat – stwierdziła Nicci.

Za to Nathan był bardziej skonsternowany.

– Dla ciebie to gra, więdźmo. Ukartowałaś dla nas ten żart. Czemu muszę się znowu stać w pełni sobą? Czy czegoś mi brakuje? – Dotknął ramienia – najwyraźniej całego i zdrowego.

– Nie mnie o tym sądzić – powiedziała Red. – Widzisz, co jest napisane.

Droga została wytyczona dawno temu.

– Proroctw już nie ma – odezwała się Nicci. – Dawne przepowiednie nic nie znaczą.

– Naprawdę? – zapytała wiedźma. – Nawet te wygłoszone wtedy, kiedy proroctwa były równie solidne jak wiatr i słońce? – Nathan wyginał palce, jakby szukał brakujących paliczków, a Red odgarnęła płataninę loków. –

Właśnie wy powinniście wiedzieć, jak nieroztropne jest interpretowanie proroctw.

Nicci ściągnęła sznurowanie podróżnych butów, poprawiła czarną suknię. Nie udało się jej pozbyć z głosu nutki sceptycyzmu.

– Jak powiedziałam, nie ma już proroctw, wiedźmo. Skąd możesz wiedzieć, dokąd powinniśmy iść?

Czarne wargi Red wygięły się w tajemniczym uśmiechu.

– Czasami wciąż wiem rozmaite rzeczy. A może to przewidziałam dużo wcześniej, niż zmieniły się gwiazdy na niebie. Jeśli troszczycie się o lorda Rahla i imperium D’Hary, powinniście poważnie potraktować to ostrzeżenie i jego nakazy. *Kol Adair*. Obydwoje powinniście tam pójść, tak dla samej podróży, jak i dla jej celu. Jeżeli tego nie zrobicie, może przepaść wszystko to, dla czego Richard tak się trzymał. – Wzruszyła ramionami, nagle powściągliwa. – Postąpicie wedle woli.

Nathan włożył nową księgę do skórzanej sakwy u boku i związał ją.

– Jestem podróżującym ambasadorem lorda Rahla i powinienem udać się tam, gdzie mogą jeszcze nie wiedzieć o zmianach. – Przez kopułę konarów starego dębu popatrzył na ciemniejące niebo. – Lecz wybór trasy zależy od nas. Równie dobrze możemy się udać do Starego Świata, jak i na Mroczne Ziemie.

Nicci nie była tego taka pewna.



– Masz zamiar poważnie potraktować jej paplaninę, czarodzieju?

Nathan przygładził długie siwe włosy.

– Prawdę mówiąc, mam dość Mrocznych Ziemi i tej ciemnicy. Stary Świat jest bardziej słoneczny.

Nicci namyślała się, uświadomiwszy sobie, że towarzyszyła prorokowi właściwie bez konkretnego celu. Po prostu chciała oddać przysługę Richardowi i umocnić jego nowe imperium, ułatwić nastanie wytęsknionego złotego wieku.

– Mam rozkazy od lorda Rahla, żeby poznać jego nowe terytoria i wysłać mu raporty o tym, co tam znajdziemy. Tak w Kol Adair, jak i gdzie indziej.

– I ocalić świat – dodała Red.

Nicci nie wierzyła w przepowiednię wiedźmy – jak miała ocalić świat, podróżując do miejsca, o którym nigdy nie słyszała? – ale czarodziej miał przekonujący argument.

Starym Światem, niegdyś częścią Imperialnego Ładu, władała teraz D'Hara. Mieszkający tak daleko ludzie chcieliby usłyszeć o swojej wolności, dowiedzieć się, że lord Rahl będzie obstawał przy samostanowieniu oraz prawie do godności i szacunku. Musiała się przekonać, jak tam jest, i rozwiązać ewentualne problemy, żeby Richard nie musiał się tym kłopotać.

– Tak, pójdę z tobą.

Nathan poprawił pelerynę, zarzucił plecak na ramiona. Palił się do wymarszu tak jak przedtem do odszukania wiedźmy – lecz Nicci się wahała.

– Zanim wyruszymy na południe do Starego Świata, powinniśmy powiadomić lorda Rahla, dokąd idziemy. Ale nie mamy jak tego zrobić.

Nie chciała, żeby Richard i Kahlan się o nich martwili, gdyby zniknęli na jakiś czas.

– Znajdziemy sposób, żeby wysłać wiadomość, kiedy dotrzemy do

Tanimury – orzekł Nathan. – Albo jakiegoś innego miasta na trasie.

Red ich zadziwiła.

– Zajmę się tym.

Podniosła wiotkie ciało kruka i ujęła je w dłonie, rozpościerając mu skrzydła. Poprawiła zwisający łeppek, rozprostowała skręcony kark, a potem zamknęła oczy i skoncentrowała się.

Po chwili kruk się poruszył, nastroszył pióra. Red posadziła ożywionego ptaka na kamiennej ławie – chwiał się, otumaniony. Szyję nadal miał wykrzywioną, w oczach nie było iskry życia, a poruszał się jak marionetka. Rozpostarł skrzydła, jakby otrząsał się z pozostałości śmierci, i znowu je złożył.

– Urywaj kawałek stronicy twojej księgi życia, Nathanie Rahlu – poleciła wiedźma, podając mu czarne pióro. – Powinno wystarczyć atramentu na napisanie wiadomości dla lorda Rahla.

Nathan posłuchał i na skrawku papieru naskrobał krótką wiadomość. Kiedy skończył, Red ciasno zwinęła liścik i przymocowała do sztywnej nogi kruka.

– Mojemu ptakowi wystarczy energii, żeby dolecieć do Pałacu Ludu. Lord Rahl dowie się, dokąd zmierzacie.

Rzuciła ptaka w powietrze. Nicci patrzyła, jak runął ku ziemi, ale w ostatniej chwili rozłożył skrzydła, niezgrabnie nimi zamachał, wzbił się ponad olbrzymi dąb i odleciał w zmierzch.

Łowca nastawił uszu, powęszył i pomknął w las pomiędzy cienie wysokich drzew. Poza zaciszną kotliną Red Nicci dostrzegła plamę sierści – zwierzę wielkości konia grasowało w chaszczach. Łowca radośnie tam skoczył, swawoląc w podszyciu, i wraz z dużym drapieżcą zniknął w głębszym mroku.

Red spojrzała w tamtą stronę.

– Matka Łowcy często przychodzi na kolację. – Uśmiechnęła się dziwnie.

– Może zostaniecie?

Nicci wspomniała ogryzione kości i czaszki i postanowiła nie ryzykować.

– Powinniśmy iść.

– Dzięki, wiedźmo – powiedział Nathan, kiedy odchodzili w gęstniejącą noc.

Nicci sądziła, że nawet samotni w dzikim, ciemnym lesie będą bezpieczniejsi, niż gdyby zostali w chatce Red.

Nathan kroczył, nie przejmując się czaszkami.

– To będzie wspaniała przygoda. Gdy już opuścimy Mroczne Ziemie, skierujemy się do Tanimury. W Grafanie na pewno znajdziemy statek płynący na południe. Odnajdziemy Kol Adair i to będzie dopiero początek.

Richard powiedział, że mają dotrzeć do granic imperium D’Hary, i Nicci uznała, że dalekie południe to dobry wybór.

– Sądzę, że reszta świata nada się do naszych celów.

Red patrzyła, jak obydwójce znikają w lesie. Przytruchtał Łowca i usiadł przy ogniu. Po chwili cicho nadeszła jego kudłata mama, wielka jak koń, z nastroszoną sierścią barwy cynamonu. O wiele mniejszy synek trącał ją mordką, chcąc się bawić, ale ona podsunęła wielki łeb Red, która posłusznie – palcami obu rąk – drapała jedwabistą sierść za uszami zwierza. Mama Łowcy wydała ni to ryk, ni to pomruk i ciężko opadła na zaścielającą ziemię liście.

Red podniosła ciężką księgę życia Nathana. Tak, nawet w spokojnym i nudnym życiu przez tysiąc lat może się zbierać sporo ważnych wydarzeń. Wiedziała, że prawdziwa historia Nathana dopiero się zaczyna, a dla nich

obydwojga – prawdziwa misja. Choć Nicci się nie zgodziła, żeby Red i dla niej stworzyła taką księgę, to wiedźma była wyrocznią. Wiedziała, że dawne i nowe życie czarodziejki wypełniłoby wiele tomów.

*A czarodziejka musi ocalić świat.*

Red z księgą Nathana w ręku odsunęła zasłaniającą wejście skórę i zniknęła w chatce. Wnętrze o niskim stropie oświetlał pomarańczowy blask świec osadzonych w czaszkach. Frontowa izba była ciasna, lecz wiedźma odsunęła kolejną zasłonę na tylnej ścianie przylegającej do stoku wzgórze.

Weszła do głównej części swojej siedziby, rozległego kompleksu szerokich korytarzy i grot wydrążonych w zboczu. Stała przed licznymi półkami wypełnionymi księgami, przypominającymi tę, którą trzymała. Przez wieki zebrała tyle ksiąg życia, że straciła rachubę.

Ale o dziwo – i o zgrozo – każda księga kończyła się dziwnymi i do tej pory niezrozumiałymi słowami:

*Przyszłość i los zależą tak od podróży, jak i od jej celu.*

*Kol Adair leży daleko na południe w Starym Świecie. Tam czarodziej ujrzy to, co mu potrzebne, by na powrót stał się w pełni sobą. A czarodziejka musi ocalić świat.*

Te same słowa w każdej księdze. Setki. Tysiące. Zawsze to samo ostrzeżenie.

Red wstawiła dzieje Nathana Rahla w wolne miejsce na półce. Nieprzeliczone księgi życia – jedna dla każdej z czaszek ukrytych pod mchem.

## ROZDZIAŁ 4

Nicci i Nathan – mając na uwadze nowy cel, chociaż sceptyczni co do znaczenia, jakie przypisywała mu Red – tygodniami wędrowali przez Mroczne Ziemie, zanim dotarli na gęściej zaludnione tereny D’Hary. Kierując się na południe, natrafili na uczęszczane szlaki oraz miasteczka i gospody, w których mogli zjeść domowe posiłki zamiast upolowanych zwierząt i zebranych w lasach owoców, a także wyspać się w łóżku, a nie na leśnej ściółce. Richard Rahl, będąc jeszcze leśnym przewodnikiem, uwielbiał wyszukiwać nowe szlaki, ale Nicci zdecydowanie wolała cywilizację, a i Nathan z pewnością nie miał nic przeciwko wygodom.

Po drodze zbierali wiadomości i rozpowiadali o zwycięstwie lorda Rahla nad imperatorem Sulachanem. Większość ludzi na południu D’Hary niewiele wiedziała o politycznych zmianach, lecz wszyscy widzieli, jak gwiazdy zdrząły i przesunęły się na niebie, toteż słuchali podróżników z zadziwieniem i niepokojem.

W nagranych, zatłoczonych izbach kolejnych gospód Nathan rozpościerał ręce i głębokim, stanowczym głosem tłumaczył:

– Prawdę powiedziawszy, koniec proroctw oznacza, że możecie żyć po swojemu i sami decydować. Niegdyś byłem prorokiem i mówię z własnego doświadczenia: takie moce sprawiały więcej kłopotów, niż przynosiły korzyści. Chwała Stwórcy, że już po nich!

Jednakże wielu miejscowym wyroczniom i samozwańczym jasnowidzom zmiany niezbyt się podobały. Ci z prawdziwym darem już zauważyli, że nagle go stracili; ci zaś, którzy nadal sprzedawali swoje przepowiednie, z pewnością oszukiwali łatwowiernych klientów. Tacy „prorocy” wpadali we

wściekłość, gdy im wytykano, że są szarlatanami i oszustami.

Lecz karanie oszustów nie było misją Nicci, nie było nią też „ocalanie świata”. Podróżowała, mając nowy cel. Uda się do Starego Świata, rozejrzy po nowych krainach, którymi władał teraz lord Rahl, i pomoże Nathanowi odnaleźć Kol Adair, cokolwiek to jest. Wyruszą z Tanimury. To wielkie portowe miasto było jednym z najbardziej na północ wysuniętych bastionów Starego Świata; punktem, w którym zbiegały się główne lądowe szlaki handlowe.

Kiedy zbliżali się do wybrzeża, powietrze nabrało rzeńskiego, słonawego posmaku. Na szerokich drogach wśród wzgórz nasilił się ruch. Mijały ich skrzypiące wozy ciągnięte przez muły, a także bogaci kupcy i szlachetni panowie dosiadający wspaniałych koni z drogimi rzędami. Farmerzy jechali na wozach wyładowanych warzywami lub workami ziarna, zdążając na targ w portowym mieście.

Maszerując pod gorącym słońcem, czarodziej nie przestawał perorować – lecz Nicci oszczędzała energię na wędrówkę. Dotarli na szczyt wzgórza i roztoczył się przed nimi rozległy widok.

Stare, wielkie miasto Tanimura zbudowano na długim półwyspie wysuniętym w migotliwy błękitny ocean. Na zachodzie rzeka Kern – przed ujściem do morza – wyłobila szeroką dolinę. Rozsiane w niej były wsie i pola uprawne, wśród których widniały ciemne lasy. Jednak uwagę Nicci przyciągały białe budowle rozległego miasta.

Czarodziej przystanął i osłonił oczy.

– Wspaniały widok. Pomyśl o tych wszystkich możliwościach, jakie oferuje Tanimura. – Skubnął wyświechtane rękawy, wystrzępione mankiety i kamizelę. – W tym nowe ubranie.

Nicci odezwała się cicho:

– Od lat tu nie byłam. – Przymrużyła błękitne oczy, patrząc na miasto, dostrzegając to, co zapamiętała, i odnotowując, co się zmieniło.

Czarodziej tylko mruknął:

– Kiedy uciekłem z pałacu, myślałem, że nigdy tu nie wrócę... a oto jesteśmy.

W porcie Grafan roiło się od wielkich okrętów wojskowych i statków handlowych, pyszniących się kremowymi żaglami, oraz rybackich stateczków z trójkątnym żaglem.

Nicci się uśmiechnęła.

– Widzę, że udało się im odbudować nabrzeże.

W tutejszym porcie wraz z Siostrami Mroku zniszczyła *Lady Sefę*, statek, na którym trzymano je jako zakładniczki. Imperator Jagang pozwolił im się zemścić na kapitanie Blake’u i jego załodze, a nawet je do tego zachęcał. Nicci zaś i jej towarzyszki nie były łagodne dla marynarzy, którzy je gwałcili i znęcali się nad nimi. W odwecie z przyjemnością – kawałek po kawałeczku – oddziaływały im ciało od kości. Potem, wyzwalając pełną moc magii subtraktywnej, zniszczyły *Lady Sefę*, unosząc statek ponad wodę, łamiąc maszty niczym gałązki, ciskając statkiem o nabrzeże Grafanu, a potem siejąc spustoszenie w całym porcie, jakby inne statki były jedynie zabawkami złośliwego dzieciaka.

Chociaż były to jedne z jej najgorszych wspomnień, Nicci wciąż się uśmiechała.

Nathan też spoglądał ku zatłoczonemu miastu, zatopiony we własnych myślach. Zniżył głos do konspiracyjnego szeptu:

– Obydwoje tak się daliśmy we znaki Tanimurze, droga czarodziejko, że mogą nie być zadowoleni z naszego powrotu.

Jego wzrok przyciągał południowy kraniec półwyspu i spora wyspa blisko

brzegu. Halsband łączył niegdyś z lądem okazały kamienny most, którym odwiedzający, kupcy, uczeni i Siostry Światła docierali prosto do Pałacu Proroków. Gigantyczna budowla stała przez tysiąclecia, więziono tam i szkolono mających dar. Pałac był chroniony na najrozmaitsze sposoby, opleciony czarem chroniącym mieszkańców przed starzeniem się... lecz Nathan aktywował sieć światła i zniszczył ogromny budynek, żeby jego archiwa magii nie wpadły w ręce Jaganga.

Pałac został zniszczony i wyspa Halsband była teraz pustkowiem. Z tego, co było widać, nawet po latach nie znalazł się nikt odważny, by rościć sobie prawa do spustoszonego terenu.

Czarodziej miał minę pełną goryczy, ale zmusił się do uśmiechu.

– Spędziłem tutaj tysiąc lat. Cóż byłoby lepszym początkiem nowego życia, jeśli nie wymazanie wszelkich śladów przeszłości? – Odrzucił pelerynę i poklepał skórzaną sakwę z księgą życia i jej złowieszczą zapowiedzią. –

Czas na nową przygodę, zanim zrobimy się za starzy. Nie jesteśmy przyzwyczajeni do starzenia się w takim samym tempie jak inni. Czeka na nas Tanimura.

Nicci ruszyła drogą ku miastu. Kiedy schodzili ze wzgórza, minął ich wóz zaprzężony w wołu, powoził stary rolnik w słomianym kapeluszu. Wpatrywał się w drogę, jakby to była najciekawsza rzecz na świecie. Wóz był wyładowany okrągłymi zielonymi melonami.

Kiedy Nathan poprosił o podwózkę, mężczyzna skinął na nich. Usiedli z tyłu wozu wśród melonów. Nicci podniosła jednego.

– Wygląda jak odcięta głowa.

Wół człapał, nie bacząc na to, czy droga wiedzie w dół czy pod górę.

Nicci, telepiąc się na wozie, patrzyła na zbliżające się miasto. Pamiętała obsadzony drzewami bulwar, wysokie białe budynki pokryte dachówkami.



Na wysokich masztach powiewały szkarłatne proporce Tanimury oraz flagi imperium D'Hary.

Wraz z Richardem zatrzymali się tutaj po drodze do Altur'Rangu, kiedy to zmusiła go, żeby udawał jej męża, łudząc się, że skłoni go do uwierzenia w Ład. Była taka żarliwa, zdeterminowana, bezlitosna – i taka naiwna. To w Tanimurze nauczył się obrabiać kamień.

Zmarszczyła czoło, przygnębiona bolesnymi wspomnieniami.

– Nie zostaniemy tu długo, czarodzieju. Zgromadzimy zapasy na długą podróż i znajdziemy statek płynący do Starego Świata. Jestem przekonana, że bardzo ci zależy na odnalezieniu tego twojego Kol Adair.

– A ty, ma się rozumieć, musisz ocalić świat. – Nathan się skrzywił, bo wóz najechał na duży kamień i okazały melon byłby się sturlał, ale prorok zręcznie go złapał i odłożył na chwiejną stertę. – Ale po co się tak spieszyć? Drogie duchy, potrzebowaliśmy całych tygodni, żeby tu dotrzeć. Skoro to proroctwo spisano setki lat temu, to nie ma pośpiechu.

– Wiedźma może mieć rację lub nie, a lord Rahl prosił, żebyśmy zrobili rekonesans na obrzeżach jego imperium i rozgłosili zasady jego panowania. Tutaj już wszyscy wiedzą, kim on jest. Robota czeka nas gdzie indziej.

– Faktycznie – przyznał z westchnieniem Nathan. – I chcę odnaleźć to Kol Adair, które zdaniem Red powinienem zobaczyć.

Spojrzał na swoją koszulę i spróbował zetrzeć tłuste plamy po króliku, którego zjedli w obozowisku, oraz plamę po sosie pieczeniowym – pamiątkę po o wiele lepszym jadle, jakie karczmarz przygotował im poprzedniego wieczoru.

– Zanim wyruszymy, zamierzam nabyć nowy strój podróżny. Bez wątplenia w Tanimurze jest wielu krawców i sklepów z odzieniem. Sądzę, że znajdę, czego mi trzeba.

Czarna podróżna suknia Nicci nadal była w dobrym stanie, a czarodziejka miała w plecaku zapasową.

– Za bardzo się przejmujesz ubraniem.

Spojrzał na nią z góry.

– Przez tysiąc lat w Pałacu Proroków nosiłem pozbawione gustu szmaty. Skoro wreszcie znalazłem się w prawdziwym świecie, mam prawo o siebie zadbać.

Nicci wiedziała, że go nie przekona.

– Pójdę do portu i porozmawiam z zarządcą. Dowiem się, które statki są gotowe do drogi i dokąd płyną.

Dołączyło do nich więcej wozów. Mijali stajnie na obrzeżach miasta, place, po których chodziły świnie i bydło, nie przejmując się swoim losem. Piece do wypalania węgla drzewnego stały niczym wysokie ule, ulatywały z nich słodko pachnące opary. Po drugiej stronie placu cieśle o nagich torsach budowali drewniany szkielet wysokiej wieży.

Apatyczny woźnica nie powiedział do nich ani słowa, po prostu jechał swym wozem. Miejskie domy stały coraz ciaśniej, tłum gęstniał, gwar narastał. Ludzie się nawoływali, kupcy zachwalali swoje towary, praczki rozwieszały ociekające wodą pranie na sznurach rozpiętych między domami.

W pobliżu zobaczyli duży targ z rozchwierutanymi straganami pełnymi świecidełek, bel wzorzystych tkanin, drewnianych figurek, szkliwionych glinianych naczyń oraz pęków czerwonych i pomarańczowych kwiatów. Stary rolnik smagnął wołu bacikiem, kierując go w tę stronę, Nicci i Nathan zaś zsiadli z wozu, gotowi pójść do centrum miasta. Czarodziej wykrzyknął podziękowanie, ale stary nie zareagował.

Czarodziej przystanął, żeby się zorientować, gdzie są. Poprawił ozdobny miecz w pochwie, sprawdził księgę życia, poprawił plecak i machinalnie

wygładził gors koszuli.

– Trochę mi to zajmie. Jak tylko znajdę odpowiedniego krawca, każę mu uszyć lepsze odzienie. Peleryny, koszule, kamizele, nowe buty. Tak, tak, skoro mam być ambasadorem lorda Rahla, to muszę odpowiednio się prezentować.

## ROZDZIAŁ 5

Prastara Tanimura była pełna wspaniałości, rozrywek – i niebezpieczeństw dla nieostrożnych. Nicci poczuła się u siebie.

Była zdecydowana znaleźć płynący na południe statek, z kapitanem obeznanym z portowymi miastami Starego Świata. Ze słów więdmy wynikało, że Kol Adair mogło się znajdować na odległych, słabo zaludnionych pogranicznych ziemiach, niezaznaczonych na zwykłych mapach. Ale je odnajdą.

W latach służby imperatorowi Jagangowi, kiedy to nazywano ją Panią Śmierci, Nicci poddała władzy Imperialnego Ładu wiele odległych miast. Jagang zamierzał podbić Nowy Świat, za to niewiele go obchodziły słabiej zaludnione obszary na dalekim południu jego własnego imperium. Powiedział jej kiedyś, że za mało tam mieszkańców i dóbr, żeby tracił na nie czas.

Nicci była przekonana, że bez względu na odległość tych ziem także ich mieszkańcy powinni się dowiedzieć o lordzie Rahlu. Z dumą im opowie, że teraz będą żyć po nowemu, bez tyranów i ucisku. Cieszyła się na to.

*Przyszłość i los zależą tak od podróży, jak i od jej celu.*

Szła do portu krętymi, spadzistymi ulicami. Stłoczone budynki były rozmieszczone chaotycznie; dwu- i trzypiętrowe domy zapełniały każdy skrawek ziemi, wznoszono je niemal jedne na drugich. Niektóre domy i sklepiki były pochylone, jakby starały się utrzymać równowagę na zboczach wzgórz. Wzdłuż ulic biegły rynsztoki, którymi spływała brązowawa ciecz – deszczówka wymieszana z zawartością wylewanych nocników.

Szerokobiodre kobiety zebrane wokół studni plotkowały, wyciągając

wiadra świeżej wody, które podawały posępnym nastolatkom, żeby je zanieśli, gdzie trzeba. Ulicami biegały powarkujące parchate psy, goniąc kury.

Nicci przeszła przez sektor farbiarzy tkanin, gdzie unosiła się bogata i złożona mieszanina ostrych i cierpkich woni. Sprzedawcy rozwieszali bele ociekających farbą materiałów – indygo, szafranowa żółć, czysta biel – które schły, kołysane wiatrem. W sektorze wytwórców nici ulicą biegli chłopcy, ciągnąc długie barwne pasma, które nawijali ciasno na szpule.

U garbarzy cuchnęło. Zaradne dzieciaki wykorzystywały ten nieprzyjemny zapaszek, oferując przechodniom liście mięty. Dziewczynka z czarnymi mysimi ogonkami podbiegła do Nicci, machając listkami.

– Tylko miedziaka! I każdy oddech będzie świeżo pachnieć!

Nicci potrząsnęła głową.

– Woń śmierci mi nie przeszkadza.

Chuda dziewczynka nie kryła rozczarowania. Była w łachmanach, buzię miała umazaną kurzem i brudem. Wyglądało na to, że od dawna porządnie się nie wykąpała, a i do syta nie najadła. Nicci, widząc jej starania, i tak dała jej miedziaka i dziewczuszka odbiegła ze śmiechem.

Targi były tłumne i gwarne. Handlarze zachwalali skorupiaki i żywe ośmiornice trzymane w wiadrach z mętą słoną wodą. Rzeźnicy sprzedawali tusze importowanych, egzotycznych mięs – strusia, wołu pizmowego, zebry, a nawet szarawe tłuste steki, przypuszczalnie z chimery długoogonowej – ułożone na deskach; chociaż wiele z tych mięs przyciągało nie tyle klientów, ile muchy. Wędzone ryby wisiały za ogony na drewnianych wieszadłach niczym wojenne łupy.

Sprzedawcy strawy oferowali nadziane na szpadki kawałki pikantnie przyprawionego mięsa, skwierczące nad ogniem. Piekarze sprzedawali

plecione bochenki ciemnego chleba. Dwie kobiety mieszały w parującym kotle i napełniały miski czymś, co nazywały „potrawką z krakena” – białawym gulaszem z nitkowatymi wodorostami, cebulami i krążkami kruchych przyssawek odciętych z macek.

Nicci szła szybko, nie zwracając uwagi na żadne atrakcje. Na ulicach popisywali się kuglarze, gracze obstawiali w grze w trzy kubki. Muzyk, siedzący na odwróconym dnem do góry garnku, wydobywał zawodzące tony z giętkiego strunowego instrumentu.

W sektorze kupców korzennych mężczyźni w długich zielonych szatach targowali się o cenę kminku, kurkumy, kardamonu. Bezzębna staruszka przysiadła na krawężniku, układając gruzłowate korzenie imbiru i mandragory. Kiedy powiał lekki wiaterek, wszyscy rzucili się przykrywać kosze sproszkowanych przypraw. Jeden nachylił się nad glinianą misą z czerwoną papryką, a wiatr dmuchnął mu nią w twarz – mężczyzna cofnął się, wymachując rękami i kaszląc.

Tanimura była ludnym, tętniącym życiem miastem. Wszyscy zabiegali o sprawy codzienne, a tylko niektórzy interesowali się ogólniejszymi kwestiami, jak budowanie i utrzymanie jedności imperium D’Hary. Ci ludzie nie byli żołnierzami. Przez lata żyli pod władzą Imperialnego Ładu. Przetrwali zawieruchę długiej krwawej wojny, a teraz mogli nawet nie zdawać sobie sprawy, jak dogłębnie zmieniło się ich życie. I jeżeli lord Rahl utrzyma władzę, to nie będą musieli się tym przejmować.

Kiedy Nicci weszła do starszej, bardziej zatłoczonej dzielnicy tuż nad portem, ulice zrobiły się węższe i tworzyły większą plataninę. Budynki były wysokie i obskurne. Parę razy Nicci znalazła się w ślepym zaułku – ceglane mury i śmieci – i musiała zawracać.

Skreśliła pomiędzy pochyłe budynki o popękanych i brudnych ścianach. Zalegał tam mrok zalatujący stojącą wodą, szczurami i odpadkami. Szła

dalej, zakładając, że zaułek doprowadzi ją do szerszej ulicy, lecz okrążył dziwacznie ukształtowane narożniki i jeszcze się zwęził.

Z przodu usłyszała krzyk i odgłosy szarpaniny – przekleństwa, chrapliwy rechot, odgłos uderzenia pięścią, potem głucho kopnięcia. Już tam biegła, kiedy do głosu brzmiącego jak kpiący śmiech małego chłopca dołączył okrzyk bólu.

– Nie mam więcej pieniędzy! – Głos należał do młodego mężczyzny.

Nicci wybiegła z za rogu i zobaczyła trzech muskularnych typów oraz chudego chłopca otaczających innego chłopaka, może dwudziestolatka. Błyskawicznie oceniła sytuację, ustaliła, kto jest napastnikiem, kto ofiarą. Młodzian otoczony przez zbirów nie wyglądał na tanimurczyka. Miał długie rude włosy i jasną, piegowatą skórę, jego orzechowe oczy rozszerzał strach.

Zamachnął się na napastników, lecz tamci przyłożyli mu pięściami. Dla nich to była zabawa, najwyraźniej im się nie spieszyło. Chłopiec, mający nie więcej niż dziesięć lat, przeskakiwał z nogi na nogę, trzymając w ręku sakiewkę z monetami, zapewne ukradzioną ofierze.

Jeden ze zbirów, krępy, z krótkimi, ale niezwykle umięśnionymi ramionami, z całej siły kopnął młodziana w udo. Rudzielec osunął się po oślizgłej ścianie. Nawet upadając, nie opuścił rąk, usiłował powstrzymać napastników.

Nicci powiedziała:

– Natychmiast przestańcie.

To nie był okrzyk, lecz słowa na tyle dobitnie wypowiedziane, żeby przyciągnąć uwagę tamtych niczym niespodziewane uderzenie.

Trzej mężczyźni gwałtownie się odwrócili i spojrzeli na nią zaskoczeni. Oczy chłopca o kręconych włosach zrobiły się wielkie i błyszczące jak monety. Odbiegł krętą uliczką i zniknął niczym karaluch, na którego padła

smuga światła. Nicci go zignorowała i stawiała czoło typom – prawdziwemu zagrożeniu.

Zwrócili się w jej stronę, gotowi do bitki, lecz ich miny się zmieniły, kiedy zobaczyli jedynie atrakcyjną blondynkę w czarnej sukni. Jeden zarechotał. Ustawili się tak, żeby ruszyć na nią z trzech stron.

– Nie ma co uciekać, szczeniaku! To tylko kobita! – zawołał ten krępy za chłopcem.

– Niech se ucieka, Jerr, potem go znajdziemy – stwierdził drugi, śniady, o okrągłej twarzy i nabiegłych krwią oczach, co było skutkiem raczej nadużywania alkoholu niż braku snu.

– I tak nie chcemy, żeby dzieciuch zobaczył, co z nią zrobimy – dodał trzeci, z tłustymi brązowymi włosami związanymi w kucyk. – Jest na to za młody.

Rudzielec usiłował wstać. Krwawił z nosa, miał podartą koszulę.

– Ukradli mi pieniądze!

Ten z nabiegłymi krwią oczami mocno uderzył go w twarz. Głowa młodego mężczyzny walnęła o ścianę.

Nicci czuła, jak narasta w niej chłód, lecz nie zbliżyła się do nich.

– Chyba mnie nie usłyszałeś. Mówiłam, żebyście przestali.

– Dopiero zaczynamy – odezwał się Jerr, najwyraźniej herszt.

Wszyscy trzej jednocześnie wyciągnęli noże. Pobicie młodziana im nie wystarczyło i mieli wobec Nicci swoje zamiary. Jak zazwyczaj takie typki.

Ruszyli ku niej, pożądliwie na nią łypiąc. Ten z kucykiem zaszedł ją od tyłu, żeby odciąć jej ucieczkę – ale nie miała zamiaru się wycofywać. Najwyraźniej oczekiwali, że ucieknie w panice, lecz Nicci tego nie zrobiła.

– Ładniutka kiecka – stwierdził Jerr, unosząc nóż. – Ale byśmy cię woleli bez niej. To by ułatwiło sprawę.



Rudzielec usiłował wstać, przyciskając dłoń do obolałego uda.

– Dajcie jej spokój!

– Ile zębów chcesz stracić dzisiaj? – warknął do niego ten z przekrwionymi oczami.

Nicci patrzyła na nich lodowato.

– Od kilku tygodni nie miałam okazji zabić człowieka. – Powiodła po nich wzrokiem. – A teraz jednego dnia dostało mi się aż trzech!

Zaskoczyła ich jej zuchwałość. Krępy Jerr się roześmiał.

– Jak chcesz to zrobić? Nawet nie masz broni.

Nicci stała z rękami luźno zwieszonymi po bokach, z lekko zgiętymi palcami.

– Sama jestem bronią. – Przywołała swój dar. Znała niezliczone sposoby zabijania.

Rudzielec wreszcie wstał i – nierozsądnie – ruszył ku nim chwiejnie, wołając do Nicci:

– Nie pozwolę im cię skrzywdzić!

Podciął tego z kucykiem i przewrócił go na ziemię.

Przekrwione Oczy rzucił się ku Nicci, wymachując przed nią nożem, jakby miała się wystraszyć. Jerr wrzasnął:

– Ciachnij ją, Henty, ale nie potnij za bardzo, jeszcze nie teraz! Nie chcę się upaść krwią, jak się dostanę między jej nogi!

Nicci mogła uwolnić ogień czarodzieja i spopielić ich w jednej chwili – lecz mogła przy tym uśmiercić i rudzielca, a także wywołać pożar, który rozszalałby się w starym mieście. To nie było konieczne. Miała inne sposoby.

Utworzyła ścianę powietrza, która uderzyła w Henty'ego – miał minę, jakby nagle łupnął w niewidoczne drzewo. Kiedy tak stał, chwilowo

ogłuszony, Nicci posłużyła się magią: uniosła go na piętnaście stóp i cisnęła na ścianę. Nie była łagodna – nie miała powodu.

Przekrwione Oczy walnął o wysoką ścianę – uderzenie zmiażdżyło mu głowę jak melon. Na brudnej ścianie pojawiła się kolejna spora czerwona plama i ciało ześlizgnęło się z wysokości dwóch pięter na ziemię, znacząc długi nierówny ślad.

Jerr, nie mogąc uwierzyć w to, co właśnie zobaczył, też ruszył na Nicci z nożem. Posłużyła się magią i zmiażdżyła mu krtań, żeby nie mógł krzyczeć; potem na dokładkę starła na miazgę kręgi szyjne. Oczy wyszły mu na wierzch, pokryła je czerwona siateczka wylewów, głowa opadła na bok. Kolana się pod nim ugięły i padł na twarz.

Kucyk uwolnił się od zadziornego rudzielca, który go podciął, i machnął nożem, starając się dosięgnąć młodziana, ale ten się uchylił. Potem zbir wyszczerzył się do Nicci.

Zatrzymała mu serce i padł na ziemię niczym powalony byk.

Rudzielec powiódł wzrokiem po poboju.

– Jesteśmy ocaleni! – Pobladł, przez co piegi stały się jeszcze bardziej widoczne. Gapił się na trzech martwych mężczyzn w zaśmieconej uliczce. – Zabiłaś ich! Słodka Matko Morza, ty... ty ich *zabiłaś*. Nie musiałaś.

– Może i nie – powiedziała Nicci – ale to było najlepsze rozwiązanie. Podjęli decyzję za mnie. Napadaliby na innych, kradli i w końcu by ich złapano. Oszczędziłam czasu i wysiłku sędziemu i katu.

Rozkojarzony rudzielec nie wiedział, co robić. Wargę mu krwawiła, twarz miał opuchniętą i posiniaczoną.

– To tylko... zabrali mi pieniądze, ale wątpię, żeby chcieli mnie zabić.

Nicci omiotła wzrokiem jego wymizerowaną postać. Młodzian miał luźną koszulę z ręcznie tkanej, barwionej na brązowo tkaniny i spodnie z mocnego

płótna, jakie noszą marynarze. Nie dostrzegła żadnej broni, nawet noża u pasa.

– *Wątpisz*, że chcieli cię zabić? Nie założyłabym się o to.

Przełknął z trudem ślinę, a ona pomyślała, jaki jest naiwny i nierozsądny. Ale skoro nawet siniaki i utrata sakiewki niczego go nie nauczyły, nie będzie na niego marnować czasu.

– Jeśli nadal będziesz chodzić takimi uliczkami bezbronny i nieuważny, to wkrótce będziesz miał kolejną okazję się przekonać, czy tutejsi złodzieje mają zamiar cię zabić czy nie. – Odwróciła się, żeby odejść. – Nie licz na to, że znowu będę w pobliżu i ci pomogę.

Chłopak pospieszył za nią.

– Dziękuję! Wybacz, że wcześniej tego nie powiedziałem. *Dziękuję*. Nauczono mnie okazywać wdzięczność tym, którzy wyświadczają mi dobro. Nazywam się Bannon. Bannon... – Zamilkł zakłopotany. – Bannon Farmer. Jestem z wyspy Chiriya. Pierwszy raz w Tanimurze.

Nicci się nie zatrzymała.

– Tak myślałam. I będzie to twoja ostatnia wizyta tutaj, jeśli nie przestaniesz być takim głupcem.

Bannon szedł za nią, nie przestając mówić.

– Uprawiałem kapustę, ale chciałem zobaczyć świat i zamustrowałem się na statek. Pierwszy raz jestem w porcie i miałem sobie kupić miecz. – Zmarszczył brwi i poklepał się po biodrze, jakby naraz pomyślał, że tylko sobie wyobraził rabunek. – Zabrali mi pieniądze. Ten chłopiec...

Nicci nie okazała zdziwienia ani współczucia.

– Uciekł. Nigdy go nie znajdziesz. Ten mały miał szczęście. Niechętnie zabiłabym dziecko, nawet złodziejaska.

Bannon się przygarbił.

– Szukałem miecznika. Ci ludzie wydawali się mili i powiedzieli, żebym z nimi poszedł, że mnie zaprowadzą. – Potrząsnął głową. – Pewnie powinienem być bardziej podejrzliwy. – Rozpromienił się. – Ale się zjawiałaś. Ocaliłaś mnie. Jesteś czarodziejką? Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Dziękuję, że mnie uratowałaś.

Odwróciła się ku niemu.

– Wstydz się, że trzeba było cię ratować. Powinieneś mieć tyle rozsądku, żeby nie paść ofiarą rzezimieszków. Nie mam litości dla zbirów i złodziei, ale nie byłoby ich, gdyby zabrakło głupców, na których mogą żerować.

Bannon poczerwieniał.

– Wybacz. Następnym razem będę mądrzejszy. – Otarł krew z wargi i nosa, po czym rozsmarował ją na spodniach. – Ale gdybym miał miecz, tobym się bronił. – Oparł się o ścianę i zaczął ściągać lewy but. – Może jednak zostało mi dość pieniędzy. – Z buta wysypało się kilka monet: dwie srebrne i pięć miedziaków. Trzymał je w dłoni. – Nauczyłem się tego od ojca. Wbił mi do głowy, żebym nigdy nie trzymał wszystkich pieniędzy w jednym miejscu, na wypadek gdyby mnie okradziono. – Popatrzył ze smutkiem na monety. – Nie wystarczy na piękny miecz. Liczyłem na wspaniałą klingę, złotą rękojeść i głowicę, misternej roboty. To ledwo wystarczy. Ledwo...

– Miecz nie musi być piękny, żeby zabijać – stwierdziła Nicci.

– Pewnie tak – odparł Bannon, chowając znowu pieniądze w bucie i wzuwając go. Obejrzał się na leżące w uliczce ciała zbirów. – Wcale nie potrzebowałaś miecza.

– Nie potrzebowałam – przyznała Nicci. – Ale trzeba mi statku płynącego na południe. – Ruszyła ku wylotowi uliczki. – Szłam do portu.

– Statek? – Bannon pospieszył za nią. – Jestem ze statku, *Tnący Fale*, trzymasztowa karaka z Serrimundi. Kapitan Eli ma pożeglować z powrotem,

jak tylko skończą załadunek. Może już z wieczornym odpływem. Bierze pasażerów. Mógłbym się za tobą wstawić.

– Sama go znajdę – powiedziała Nicci, a potem złagodziła ton, uświadamiając sobie, że młodzian próbuje jej pomóc. – Dzięki za rekomendację.

Bannon się rozpromienił.

– Przynajmniej tyle mogłem zrobić. Uratowałeś mnie. *Tnący Fale* to dobry statek. Będzie w sam raz.

– Zapytam – zgodziła się Nicci.

Chłopak odpuścił.

– A ja kupię sobie miecz, żebym nie był bezbronny, kiedy następnym razem wpadnę w tarapaty. – Z poczuciem winy godnym lepszej sprawy wpatrywał się w zwłoki w cieniach uliczki. – Ale co zrobimy z nimi?

Nicci nawet się nie obejrzała.

– Szczury szybko się nimi zajmą.

## ROZDZIAŁ 6

Czarodziejka odeszła, a Bannon znowu otarł krew z wargi i pomacał siniaka. Spróbował się uśmiechnąć, co tylko wzmogło ból, ale i tak się uśmiechał. Musiał, bo inaczej jego kruchy świat by się rozpadł.

Płótno jego spodni było wytarte i poplamione, lecz wytrzymałe, jak to odzienie farmera, mające długo służyć – i dobrze mu służyło na pokładzie statku. Koszula z ręcznie tkanego materiału była rozdarta w dwóch miejscach, ale znajdzie czas, żeby ją zszyć, jak tylko *Tnący Fale* wypłynie. Na pewno zdarzą się bezwietrzne dni w trakcie żeglugi na południe, a Bannon nieźle sobie radził z igłą i nitką. I koszula znowu będzie cała.

Kiedyś będzie mieć ładniutką żonę, szyjącą nowe odzienie, latającą i cerującą, jak to robiła jego matka na Chiriyi. Będą mieć jasnookie, ruchliwe dzieciaki – całą piątkę, postanowił. On i żona będą się razem śmiać... nie tak jak jego matka, która rzadko się śmiała. Z nim będzie inaczej, bo *on* będzie inny niż ojciec, będzie się bardzo od niego różnić.

Młody człowiek wzdrygnął się, odetchnął i nakazał sobie wrócić myślami do jasnego, barwnego obrazu, który tak lubił oglądać w wyobraźni. Tak. Przytulna chata, kochająca się rodzina, spokojne życie...

Jak zwykle zrobił dobrą minę do złej gry i uśmiech stał się autentyczny. Udawał, że nie zauważa siniaków na twarzy i nodze. Będzie dobrze. Musi być dobrze.

Wyszedł na jasne i otwarte ulice miasta. Niebo było błękitne, napływające z portu słone powietrze pachniało świeżością. Tanimura była pełna wspaniałości, dokładnie tak, jak to sobie wymarzył.

Podczas podróży z wyspy prosił marynarzy, żeby mu opowiadali

o Tanimurze. To, o czym mówili, wydawało się nieprawdopodobne, ale marzenia Bannona nie były nierealne, więc im wierzył – na słowo, mimo wątpliwości.

Jak tylko *Tnący Fale* wpłynął do portu i zacumował przy pirsie, Bannon zbiegł po trapie, aż się paląc, żeby się przekonać, że miasto – wreszcie coś w jego życiu – jest takie, jakim chciał je widzieć. Reszta załogi wzięła zapłatę i ruszyła ku pobliskim tawernom, gdzie będzie można zjeść coś, co nie jest rybą, kiszoną kapustą czy solonym mięsem; spiją się do nieprzytomności. Albo zapłacą cenę żadaną przez... piękne panie, gotowe rozłożyć nogi przed każdym mężczyzną. Takich kobiet nie było w sielskiej wiosce na Chiriyi – a jeśli były, to Bannon nigdy ich nie widział (nie żeby wypatrywał).

Kiedy jego ojciec mocno się upił, często nazywał żonę dziwką – zwykle zanim ją zbił – lecz marynarze z *Tnącego Fale* wydawali się zachwyceni okazją spotkania z dziwkami i najwyraźniej nie mieli zamiaru ich bić, toteż Bannon nie rozumiał w czym rzecz.

Zacisnął zęby i skupił się na słonecznym blasku i świeżym powietrzu.

W zamyśleniu odgarnął długie rude włosy. Tamci marynarze mogą sobie mieć piwiarnie i lubieżne kobiety. Ponieważ Bannon był tu pierwszy raz, pragnął się nacieszyć widokami Tanimury, cudownością tego wszystkiego. Zawsze sobie wyobrażał, że świat właśnie taki będzie.

Świat taki właśnie *powinien być*.

Budynki z białymi dachówkami były wysokie, na parapetach otwartych okien stały skrzynki z kwiatami. Kolorowe pranie wisiało na sznurach rozciągniętych pomiędzy domami. Roześmiane dzieci biegały ulicami za piłką, którą kopały i rzucały – zdawało się, że ta gra nie ma żadnych reguł. Wpadł na niego kudłaty chłopiec – odskoczył i uciekł. Bannon dotknął spodni – chłopiec otarł się o niego, może chciał mu opróżnić kieszenie – ale

Bannon nie miał monet dla ewentualnego złodziejaska, bo już go okradziono. Pozostałe pieniądze bezpiecznie tkwiły w bucie i miał nadzieję, że wystarczy ich na kupno niezgorszego miecza.

Odetchnął dwa razy, zamknął oczy i otworzył je. Znowu się uśmiechnął i postanowił wierzyć, że ulicznik, który na niego wpadł, nie był zuchwałym kieszonkowcem próbującym okraść nieuważnego obcego.

Szukając miecznika, znalazł się na głównym placu górującym nad migotliwą błękitną wodą i słoczonymi statkami. Gruba kobieta pchała wózek wypełniony małżami, sercówkami i wypatroszonymi rybami. Nie była zachwycona swoim towarem. Starzy rybacy o spuchniętych zreumatyzowanych palcach naprawiali porwane sieci; ich dłonie jakimś sposobem poruszały się zwinnie pomimo bólu. Mewy krążyły nad głowami lub nurkowały, skrzecząc, i walczyły o nadające się do jedzenia resztki.

Bannon natrafił na garbarnię, gdzie okrągłolicy mężczyzna z czarną grzywką pracował nad skórzanym fartuchem. Skrobał i przycinał wyprawione skóry, jego korpulentna żona zaś klęczała przy dużej kadzi, zanurzając skórzane kawałki w jasnozielonej farbie.

– Czy moglibyście mi polecić dobrego miecznika? – zapytał Bannon. – Mającego przystępne ceny?

Kobieta spojrzała na niego.

– Chcesz się zaciągnąć do armii lorda Rahla, co? Wojny się skończyły. Teraz nastał nowy czas, czas pokoju. – Zmierzyła wzrokiem jego chudą postać. – Nie wiem, czy jeszcze potrzebują żołnierzy.

– Nie, nie chcę wstąpić do wojska – odpowiedział Bannon. – Jestem marynarzem na *Tnącym Fale*, ale słyszałem, że każdy porządny człowiek powinien mieć porządną klingę, a ja jestem porządnym człowiekiem.

– Naprawdę? – odezwał się garbarz, dobrodusznie parskając. – To może



powinieneś spróbować u Mandona Smitha. Ma ostrza wszelkiego rodzaju i nigdy nie słyszałem, żeby ktoś narzekał.

– Gdzie go znajdę? Nie znam miasta.

Żona garbarza wyjęła ręce z kadzi. Były jasnozielone prawie do łokci, lecz dłonie i przeguby miały ciemniejszą barwę, stale zanurzone w różnych farbach.

– Przejdź dwie ulice, a kiedy wywąchasz sklep z marynatami, znajdziesz wytwórcę świec.

Garbarz jej przerwał:

– Nie kupuj tam świec. To oszust. Wykorzystuje głównie tłuszcz zamiast pszczelego wosku i świece topią się w mgnieniu oka.

– Zapamiętam – obiecał Bannon. – Ale nie zamierzam kupować świec.

Kobieta podjęła:

– Miń nieczynną fontannę, a znajdziesz warsztat swojego miecznika. Mandon Smith. Znakomite ostrza. Ciężko pracuje, daje dobre ceny, ale nie obrażaj go, prosząc o zniżkę.

– Nie zrobię tego. – Bannon zadarł brodę. – Skoro on jest godziwy, to i ja będę.

Zostawił garbarzy i odszedł. Bez trudu znalazł wytwórcę marynat. Ostra woń octu drażniła nos i oczy, a kiedy zobaczył szerokie gliniane naczynia z soloną fermentującą kapustą, to nagle go zemdliło i w ustach poczuł smak żółci. Za bardzo mu to przypominało zapach jego dawnego domu, kapuściane pola na Chiriyi – więzienie, w jakim tam tkwił. Kapusty, kapusty i tylko kapusty...

Młodzieniec poszedł dalej, potrząsając głową, żeby się pozbyć przykrewj woni. Minał mającego złą opinię wytwórcę świec, nawet tam nie spojrzawszy. Potem podziwiał wymyślny fresk na długiej ścianie

publicznego budynku. Przedstawiał jakieś dramatyczne historyczne wydarzenie, ale Bannon nie znał historii.

Znalazł wyschniętą fontannę przyozdobioną posągami pięknej nimfy morskiej. W Tanimurze było tyle pięknych rzeczy; chętnie by tu został, chociaż go okradziono i chyba omal nie zabito. Byłoby to gorsze od tego, co za sobą zostawił?

Uciekł z domu z desperacji, ale też chciał zobaczyć świat, żeglować po oceanach, płynąć od jednego portowego miasta do drugiego. Po co zostawać w pierwszym, jakie zobaczy. Na pewno zrobiła na nim wrażenie ta piękna i przerażająco potężna czarodziejka, nieprzypominająca nikogo z Chiriyi...

Zobaczył warsztat miecznika na końcu ulicy i usiadł na obrzeżu suchej fontanny. Zdjął lewy but i odwrócił, monety spadły mu na dłoń – dwie srebrne i pięć miedzianych. Tylko tyle. Przez te pieniążki miał pęcherze na stopie, ale cieszył się, że się tak zabezpieczył. Nauczył się tego od ojca.

Nigdy nie trzymaj wszystkich pieniędzy w tym samym miejscu.

Bannon z trudem przełknął ślinę i poszedł do miecznika. *Znakomite ostrza*. Machinalnie znowu przeszukał puste kieszenie.

– Chciałbym kupić miecz, panie.

Mandon Smith był ciemnoskórym mężczyzną o lśniącej łysej głowie i gęstej czarnej brodzie.

– Tak też sądzę, młody człowieku, skoro przyszedłeś do warsztatu miecznika. Mam ostrza wszelkiego rodzaju. Długie miecze, krótkie miecze, zakrzywione klingi, proste klingi, gardy zamknięte i otwarte, wszystkie z najlepszej stali. – Wskazał na wyłożone miecze. Było ich tyle, że Bannon nie mógł się w nich rozeznąć. – Jakiego typu miecza szukasz?

Bannon odwrócił wzrok i potarł siniec na twarzy.

– Obawiam się, że nie będziesz mógł zaoferować mi miecza, jakiego

potrzebuję.

Mandon pogładził gęstą brodę, ale ta natychmiast zrobiła się na powrót krzaczasta.

– Mogę zrobić miecz każdego rodzaju, młodzieńcze.

Bannon się rozpromienił.

– W takim razie potrzebuję miecza... *przystępnego*.

Odpowiedź zaskoczyła miecznika. Zachmurzył się, a potem roześmiał.

– Istotnie, trudne zadanie! A jaką konkretnie *przystępność* masz na myśli?

Bannon wyciągnął dłoń z monetami. Zawiedziony Mandon przeciągle westchnął.

– To ci dopiero praca! – Uśmiechnął się. – No ale nie można odprawiać nikogo bez miecza. W Tanimurze ulice są niebezpieczne.

Bannon znowu przełknął ślinę.

– Już się o tym przekonałem.

Mandon wprowadził go do warsztatu.

– Zobaczmy... – Zaczął przebierać w płaskich kawałkach metalu, jeszcze nieukształtowanych i nieobrobionych.

Szperał też w częściowo wykonanych długich mieczach, ozdobnych sztyletach, ząbkowanych nożach myśliwskich, a nawet krótkich płaskich nożach, które nadawały się chyba tylko do krojenia sera lub rozsmarowywania masła.

Wpatrzył się w jakiś marnie wyglądający miecz, długi jak ręka Bannona. Miał prostą, pozbawioną ozdób gardę i niewielką krągłą głowicę. Rękojeść była owinięta skórzanymi paskami, bez wymyślnych grawerunków, oplotki czy drogich kamieni. Klinga wyglądała na odbarwioną, jakby nie była wykuta perfekcyjnie. Nie miała zbrocza ani grawerunków. To był zwyczajny,

solidny miecz.

Mandon go podniósł, chwycił rękojeść prawą dłonią, przerzucił do lewej. Poruszył nadgarstkiem, wyczuł ciężar miecza, sprawdził, jak tnie powietrze.

– Wypróbuj ten.

Bannon chwycił miecz, bojąc się, że go upuści ze szczękiem na podłogę. Ale rękojeść była jak stworzona dla jego dłoni. Palce ją objęły, a rzemyki wzmacniały chwyt.

– Wydaje się solidny. Mocny.

– Bo taki jest. Klinga jest ostra. Dużo wytrzyma.

– Myślałem o czymś trochę bardziej... – Bannon zmarszczył brwi, szukając słów, które by nie uraziły miecznika. – Trochę bardziej paradnym.

– Policzyłeś monety?

– Tak – odrzekł Bannon i przygarbił się. – Rozumiem.

Mandon klepnął go w plecy, mocniej niż chłopak się spodziewał.

– To się zastanów, młody człowieku. Kiedy ktoś będzie patrzył na ostrze, które właśnie przeszło mu pierś, z pewnością nie zauważy braku ozdób na rękojeści.

– Pewnie tak.

Mandon popatrzył na gładką klingę i zamyślił się.

– Ten miecz zrobił jeden z moich najzdolniejszych uczniów, młodzieniec imieniem Harold. Poleciałem mu wykuć dobry, poręczny miecz. Udało się po czterech próbach, ale znałem jego możliwości i byłem gotów odżalować te cztery odkuwki.

Miecznik postukał palcami w mocne ostrze, wydobywając czysty metaliczny dźwięk.

– Harold wykuł ten miecz, żeby mi udowodnić, że już czas, by został

czeladnikiem. – Uśmiechnął się smutno, gładząc dłonią niesforną czarną brodę. – I został. Trzy lata później był tak znakomitym rzemieślnikiem, że wykonał wspaniały miecz, arcydzieło. Toteż uznałem go za mistrza. – Wyprostował ramiona i odchylił się z cierpkim uśmiechem. – A teraz jest jednym z moich największych konkurentów w Tanimurze.

Bannon patrzył na miecz z większym uznaniem.

Mandon podjął:

– I powiadam: może i nie wygląda pięknie, ale to świetnie wykonany miecz i będzie dobrze służył odpowiedniej osobie. Chyba że chcesz zrobić wrażenie na jakiejś ładnej dziewczuszcze?

Chłopak poczuł, że się rumieni.

– O to musiałbym się inaczej postarać, panie. Miecz będzie dla mojej ochrony. – Uniósł go, chwycił oburącz, zatoczył płynnie łuk. Przypasował mu, może dlatego, że nigdy nie miał innego.

– I na pewno dobrze się spisze – powiedział miecznik.

Bannon się wyprostował, kiwnął głową, dodając sobie pewności.

– Człowiek nigdy nie wie, kiedy będzie musiał się bronić.

Ciemna strona świata zmieniła jego marzenia. Wspaniała Tanimura wydawała się mroczniejsza niż przedtem, ze złem czającym się w zakamarkach; nie była już tylko słoneczna i barwna. Z wahaniem podał pieniądze, których nie zabrali mu złodzieje.

– Jesteś pewien, że to wystarczy?

Miecznik zabrał monety, jedną po drugiej – dwie srebrne i cztery miedziane, po czym zamknął dłoń Bannona na ostatniej.

– Nigdy nikomu nie zabrałbym ostatniego grosza. – Skinął łysą głową. – Wyjdźmy. Mam na tyłach klocek ćwiczebny.

Zaprowadził Bannona za kuźnię, na niewielkie podwórko z beczułkami

pokrytej osadem wody do schładzania mieczy, tarczą szlifierską i osetkami do ostrzenia kling. Pośrodku oczyszczonego miejsca zamocowano pionowo pokieroszowany sosnowy kłoc wysokości człowieka. Wokół niego leżały pachnące jasne drzazgi.

Mandon wskazał pokaleczone drewno.

– Oto twój przeciwnik, broń się. Wyobraź sobie, że to jeden z żołnierzy Imperialnego Ładu. A czemuż by nie sam imperator Jagang?

– W wyobraźni miałem już wystarczająco wielu nieprzyjaciół – mruknął Bannon. – Nie musimy ich pomnażać.

Podszedł do ćwiczebnego kłoca i zamachnął się mieczem, szykując się na wibracje po zetknięciu klingi w sosnowe drewno. Poczuł je aż w łokciu.

Nie zrobił wrażenia na mieczniku.

– Usiłujesz ściąć słonecznik, chłopcze? *Zamachnij się!*

Bannon znowu uderzył, tym razem mocniej – łupnięcie było głośniejsze. Z ćwiczebnego kłocka odpadł kawałek suchej kory.

– Broń się!!! – wrzasnął Mandon.

Zamachnął się jeszcze mocniej, stęknąwszy z wysiłku, i tym razem drgania zaczęły się w nadgarstku, przez przedramię dotarły do łokcia i aż do barku.

– Obronię się – szepnął. – *Nie będę bezbronny.*

Lecz nie zawsze był w stanie się obronić. Albo obronić mamę.

Ciął ponownie, wyobrażając sobie, że klinga trafia nie w drewno, ale w mięśnie i kość. Znowu uderzył.

Przypomniawszy sobie, jak kiedyś na wyspie wrócił do domu może godzinę po zachodzie słońca. Pracował jako parobek na kapuścianych polach, jak inni chłopcy w jego wieku. Musiał się najmować dla zarobku, bo jego ojciec już dawno stracił ziemię. Nie była to jeszcze pora kolacji, ale ojca nie było

w domu. Pewnie już się zdrowo upił w tawernie. Tylko w tym był dobry.

To znaczyło, że przynajmniej w chatce będzie cicho, że Bannon z matką będą mieli spokój. Za tygodniową robotę w polu Bannon trochę zarobił i dziś mu zapłacono – to był szczyt zbiorów kapusty i płacono lepiej niż zwykle.

Odłożył tyle pieniędzy, że mógł opłacić wyjazd z wyspy. Mógł odejść już miesiąc temu i pamiętał, jak pragnął stamtąd zniknąć, jak patrzył na rzadko się pojawiające okręty handlowe wypływające z portu. Cumowały na wyspie tylko co miesiąc albo dwa, żeby kupić towary. Chociaż minie trochę czasu, zanim będzie mieć kolejną szansę, Bannon uznał, że nie odejdzie teraz – że *nie powinien* – póki nie będzie mógł zabrać ze sobą mamy. Obydwoje odpłyną i znajdą lepszy świat, nowe, spokojne miejsce, jak te ziemie, o których słyszał – Tanimura, Pałac Proroków, Midlandy. Nawet dzikie, niecywilizowane krainy Nowego Świata będą lepsze niż niedola na Chiriyi.

Bannon zbliżył się do domu, ściskając w dłoni srebrną monetę, którą tego dnia zarobił, przekonany, że wreszcie mu wystarczy na opłacenie rejsu dla siebie i mamy. Będą mogli uciec, kiedy kolejny okręt zacumuje w porcie. Żeby się co do tego upewnić, zamierzał przeliczyć zaoszczędzone monety, które ukrył na dnie doniczki z ziemią stojącej w jego izbie na parapecie. Tkwił w niej zeschnięty zawilec wielosieczny; zasadził go, podlewał, a potem patrzył, jak usycha.

Wchodząc do chaty, natychmiast wyczuł przypaloną strawę i żelazistą woń krwi. Zatrzymał się, nagle czujny. Matka, stojąca przy palenisku i mieszająca w garnku, odwróciła się ku niemu; próbowała się uśmiechnąć, ale jej wargi i policzki wyglądały jak kawałek surowego mięsa. Na nic udawanie, że wszystko w porządku.

Wpatrywał się w nią, czując się okropnie.

– Powinienem tu być i go powstrzymać.

– Nic byś nie zrobił. – Głos miała schrypnięty, pewnie od krzyku i płaczu.  
– Nie powiedziałam mu, gdzie chowasz... nie powiedziałabym mu. – Znowu zaczęła płakać, trzęsła się jej głowa. Opadła na kamienną obudowę paleniska.  
– Nie powiedziałam mu... ale i tak znalazł. Przetrzasał twoją izbę, póki nie natrafił na monety.

Bannon, czując ucisk w żołądku, pobiegł do izby i zobaczył swoje skromne rzeczy rozrzucone po podłodze, wybebeszony siennik, kołdrę, którą uszyła mu mama, rzuconą pod ścianę – i wywróconą do góry dnem doniczkę z zawilcem, ziemię wysypaną na posłanie.

Monety zniknęły.

– Nie! – krzyknął.

Te pieniądze miały dać im nową nadzieję, nowe życie dla obydwójga. Bannon ciężko pracował w polu i poświęcił rok, żeby zarobić kwotę, która pozwoli im opuścić Chiriyę, uciec od tego człowieka.

Ojciec ukradł mu nie tylko pieniądze, obrabował też jego i matkę z przyszłości.

– Nie! – zawołał jeszcze raz w cichej chatce.

Matka szlochała przy palenisku.

I właśnie *tak* ojciec nauczył Bannona, żeby nigdy nie trzymał wszystkich pieniędzy w jednym miejscu, bo wtedy ktoś może zabrać mu wszystko. Nieważne, jak dobra jest kryjówka, złodzieje mogą być sprytni jak jego ojciec, mogą być okrutni – albo jedno i drugie. A kiedy złodzieje zabiorą *trochę* pieniędzy, to Bannon będzie mógł z przekonaniem utrzymywać, że więcej nie ma, a oni już nie będą szukać.

– Na dobre duchy, chłopcze! – Głos miecznika wyrwał go z mrocznych wspomnień. – Jak tak dalej pójdzie, zniszczysz mój ćwiczebny klocek i złamiesz nie tylko miecz, ale i rękę!



Bannon zamrugał i zobaczył, co zrobił. W zapamiętaniu wyrąbał w sosnowej kłodzie wielkie wręby, rozsiewając drzazgi na wszystkie strony. Dłonie miał spocone, ale mocno trzymał oplecioną rzemykiem rękojeść. Przebarwiona klinga ze świstem cięła powietrze, ale miecz był cały, ostrze niewyszczerbione.

Bolały go ramiona, dłonie miał obolałe, rwało go w nadgarstkach.

– Wydaje mi się... – zaczął i z trudem przełknął ślinę. – Wydaje mi się, że już go wypróbowałem, jak należy. Masz rację, panie. To dobre ostrze.

Sięgnął do kieszeni i wyjął ostatniego miedziaka.

– I jeszcze jedna prośba. Czy miedziak wystarczy, żeby go na nowo naostrzyć? – Spojrzał na pokierszowany ćwiczebny klocek i przeszedł go dreszcz. – Chyba mogłem go trochę stępić.

Mandon długo i uważnie mu się przypatrywał, a potem wziął miedziaka.

– Naostrzę go tak, że wystarczy na długo, pod warunkiem że będziesz o niego dbać.

– Będę – obiecał Bannon.

Miecznik szlifierką naostrzył miecz, wzniecając przy tym chmury iskier. Bannon patrzył niewidzącym wzrokiem, bo myślami wędrował przez pogorzelsko wspomnień. Wkrótce będzie musiał wrócić na *Tnącego Fale*, żeby być na pokładzie, kiedy poześlują z wieczornym pływem. Reszta załogi będzie skacowana i wykończona i tak samo bez grosza, jak i on. Będzie do nich pasować.

Znowu się uśmiechnął i dotknął obolałej wargi. Zignorował ból i wyobraził sobie, co zrobi zbirom, jeśli znowu go kiedyś napadną. Teraz był na to gotowy. Przelotnie pofantazjował – nie, *nieugięcie wierzył* – w dobre życie, szczęśliwą rodzinę, miłych przyjaciół. Taki świat musiał gdzieś istnieć. Przez całe jego dzieciństwo na Chiriyi, przez cały czas ojciec krzyczał i bił.

Bannon Farmer wyobraził sobie inne życie i desperacko trzymał się tej wizji.

Zanim odtworzył świetlaną przyszłość, Mandon skończył ostrzyć klingę i podał mu miecz.

– Daję ci ten miecz i gorąco życzę, żebyś nigdy nie musiał go użyć.

Bannon się uśmiechnął i poczuł ukłucie w wardze.

– I ja mam taką nadzieję. Szczerą.

Ale wątpił, że tak będzie.

Pożegnał Mandona, wyszedł z warsztatu i ruszył ku nabrzeżu i czekającemu statkowi.

## ROZDZIAŁ 7

Nicci dotarła do nabrzeża Grafanu, wychodząc spośród ciasno stłoczonych budynków do przestronniejszej dzielnicy kupieckich magazynów i administracyjnych kantorów. W siedzibie komendanta portu panował ruch, okna i drzwi pootwierano na oścież dla przewiewu. Urzędnicy w kurtach z wysokimi kołnierzami krzątali się po nabrzeżu ze swoimi dokumentami i gęsimi piórami, przepytując okrętowych intendentów, w celu spisania i oclenia krajowego i zamorskiego ładunku.

Gospody i tawerny miały jaskrawe szyldy i mało zachęcające nazwy. W „Robalu i Ryju” było nadzwyczaj tłoczno; ludzie wrzeszczeli do siebie, zamiast zwyczajnie rozmawiać. Przed tawerną pękaty chłopak proponował przypalone mięsne paszteciki marynarzom opierającym się o ściany albo wystającym na schodach.

Obskurnie wyglądające zamtuzy obsługujące samotnych mężczyzn, jakich nigdy nie brakuje w porcie, stały tak blisko siebie, że klienci jednego słyszeli, co się dzieje w innych. Niesamowicie sugestywne murale informowały o usługach świadczonych przez kobiety lub chłopców. Nicci przypatrywała się malunkom i wątpiła, czy wielu żeglarzy poradziłoby sobie z tymi wymyślnymi, wymagającymi gibkości pozycjami. Przygryzła dolną wargę, w której kiedyś tkwiło złote kółko, znak, że jest własnością Jaganga. Z niemiłych doświadczeń w żołnierskich namiotach wiedziała, że chociaż większość mężczyzn uważa się za wspaniałych kochanków, to zwykle są brutalami, kończącymi sprawę szybko i bez polotu.

Mijała budy lichwiarzy: takich, co finansowali całe wyprawy, lub pomniejszych zdieńców żerujących na zdesperowanych żeglarzach. Przed

jedną z bud tkwił zakuty w dyby żałośnie wyglądający człowiek. Kulił się i łypał gniewnie, kiedy rzucano w niego nadgniłymi owocami, oraz odszczekiwał się przechodniom, którzy z niego drwili.

Nicci wiedziała, jak to się odbywało w Tanimurze. Jakiś rzekomo współczujący kapitan spłaci jego dług i weźmie go na pokład jako członka zakontraktowanej załogi. Ale takim „wykupionym” naliczano tak wysoki procent, że właściwie stawali się niewolnikami. Chociaż Nicci pogardzała niewolnictwem, to nie miała zbyt wiele litości dla głupca, który wpędził się w takie tarapaty.

Idąc nabrzeżem, przypatrywała się cumującym statkom, szukała *Tnącego Fale*, którego zachwalał Bannon. Jednostki z dużymi ładowniami najwyraźniej były statkami handlowymi, węższy, opływowy kadłub zaś wskazywał na szybki okręt patrolowy albo wojenny.

Muskularni, owłosieni mężczyźni starali się nająć jako tragarze – ludzkie woły taszczące ładunek tam, gdzie kupcy urządzali licytacje. Robotnicy przeciągali grube konopne liny przez skrzypiące bloki, żeby ściągnąć z pokładów skrzynie i palety.

Na jednym ze statków handlowych, zabrudzonym sadzą i tłuszczem, marynarze szarpali się z wyciągiem, żeby podnieść odcięte macki jakiegoś wielkiego morskiego stwora. Skórzasta, szara skóra była pokryta śluzem i usiana przyssawkami. Ciągąc z całych sił, przrzucili zwisające macki przez burtę i wylądowały na nabrzeżu z głuchym plaśnięciem. Nadeszli rzeźnicy – tasakami i piłami dzielili mięso na mniejsze porcje, młodzi uczniowie zaś biegali tam i z powrotem po nabrzeżu, wołając: „Świeże mięso krakena! Sprzedajemy świeże mięso krakena!”. Tak okropnie cuchnęło, że Nicci nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby ktoś to zjadł.

Zdumiała się, słysząc nawoływanie Nathana:

– Tu jesteś, czarodziejko! Jestem gotów pomóc ci znaleźć statek, który nas

zabierze na wielką wyprawę do Starego Świata.

Odwróciła się, żeby spojrzeć na czarodzieja, i o mało się nie roześmiała na jego widok. Od opuszczenia Pałacu Proroków Nathan nosił szykowne stroje podróżne, które w trakcie wędrówki przez Mroczne Ziemie i do Tanimury zabrudziły się i wyblakły, mankiety i brzeg peleryny zaś wystrzępiły. Teraz czarodziej był w nowych, skórzanych brązowych spodniach i białej lnianej koszuli ze świeżo zaprasowanymi plisami na gorsie, z układającymi się w luźne fałdy rękawami o szerokich mankietach – w każdym tkwiła złota spinka. Nosił również rozpiętą haftowaną kamizelę i pelerynę o barwie leśnej zieleni. Na ramieniu miał torbę, bez wątpienia z zapasowymi koszulami (zapewne tak samo niepraktycznymi, raz-dwa się zabrudzą i zszarzeją) oraz kamizelami, spodniami, a może i drugą peleryną – jakby w ogóle była mu potrzebna.

Nathan najwyraźniej uznał, że mina Nicci wyraża podziw.

– Hm, może będę musiał zmienić zdanie o Tanimurze. To jednak wspaniałe miasto, pomimo tych nieprzyjemności, jakie mnie tu niegdyś spotkały. Cała dzielnica krawców! Szyją koszule, kurty, spodnie i płaszcze. Nadzwyczajny wybór! – Zniżył głos do chrapliwego szeptu: – Uwierzyłabyś, że znalazłem dwie uliczki, gdzie sprzedają wyłącznie fikuśne damskie fatałaszki? – Uniósł brew i Nicci się domyśliła, że chciał ją zirytować. – Mógłbym cię tam zaprowadzić.

– Raczej nie – odparła. – Moja czarna suknia i inne stroje są w sam raz i podróżuję w służbie Richardowi.

Po co jej koronkowa bielizna – żeby kusić jakiegoś obcego mężczyznę? Zresztą nigdy nie potrzebowała do tego koronek.

Niezrażony Nathan podjął z zapalem:

– A szewcy robią buty wszelkiego rodzaju! – Stuknął czubkiem nowego

czarnego trzewika o naborze, sprawdzając ułożenie stopy. – Rzemieślnicy wytwarzający pasy, guziki, klamry i sprzączki – wiedziałaś, że to odrębny zawód? Wykuwacze klamer i sprzączek!

Nicci mogła go sobie wyobrazić, krocącego wśród straganów i sklepów, zafascynowanego takim morzem możliwości – niczym oczarowane dziecko w sklepie ze słodyczami.

– Dziwi mnie, że tak szybko się zdecydowałaś.

– W rzeczy samej! Kiedy uciekłem z Pałacu Proroków, poszedłem z Clarissą do krawca poza Tanimurą i trochę potrwało, zanim odpowiednio wykonał robotę. Bardzo skrupulatnie. – Cień smutku musnął mu twarz. – Ale tu, w mieście, przy takim wyborze, musiałem tylko powiedzieć, czego potrzebuję, a krawiec to znajdował, i to dokładnie w moim rozmiarze – mruknął z zadowoleniem, ważąc w ręku pakunki. – Kupiłem trochę odzienia.

Rozejrzał się po nabrzeżu, powiódł wzrokiem po licznych cumujących okrętach.

– Jestem gotowy do drogi. Znalazłaś coś dla nas?

Nicci pomyślała o młodzianie z uliczki.

– Szukam statku zwanego *Tnący Fale*, trzymasztowej karaki, ma odpłynąć wieczorem na południe. To może być to, czego nam trzeba.

– Za mną – powiedział Nathan. – *Tnący Fale* jest tam.

Nie pytała, skąd to wie ani jak długo chodził po porcie bez niej. Ruszyli razem pirsem i znaleźli *Tnącego Fale* w trzecim doku od końca. Figura na dziobie miała twarz pięknej kobiety o spływających w tył puklach, przechodzących w morskie fale – Matka Morza, zabobon południowych nadbrzeżnych miast Starego Świata.

Na pokład statku mającego wypłynąć z wieczornym odpływem ładowano ostatnie beczki i zawartość wozów. Marynarze wnosili kojce z kurami,

a brzuchaty kucharz wprowadzał po trapie smętną krowę mleczną.

Marynarze gromadzili się przy relingach, obserwowali ruch w dokach, wielu było skacowanych lub posiniaczonych po bijatykach. Bez wątpienia wydali albo stracili wszystkie pieniądze i wrócili wcześniej na statek, no bo niby gdzie indziej mogliby pójść.

Nicci i Nathan weszli po trapie, niosąc swoje bagaże. Czarodziej skinął na starszego mężczyznę w szarej kurcie kapitana, który wstał z drewnianego stołka. Kapitan świetnie tu pasował, wolał własny statek od uroków Tanimury. Wyjął z ust fajkę o długim cybuchu, z której unosił się zielonkawo-niebieski dym, rozsiewający zapach ziela marzeń.

– Kapitan Eli? – zapytała Nicci.

Mężczyzna uniósł krzaczaste brwi i skłonił się, witając ich na pokładzie.

– Eli Corwin, pani. Skąd wiesz, kim jestem?

– Jeden z twoich marynarzy doradził nam, żebyśmy porozmawiali z tobą o rejsie na południe, do Starego Świata. Chcielibyśmy szybko wypłynąć.

Kapitan zdjął płaską szarą czapkę. Miał gęste, sztywne, czarne włosy z siwymi pasmami i gładko ogoloną twarz, jedynie jej kontur okalała ciemna broda.

– Jeśli wypłyniecie wieczorem was urządza, to wasz statek. *Tnący Fale* to statek handlowy, ale mamy miejsce dla paru pasażerów, jeśli odpowiednio zapłaca.

– Mamy coś lepszego niż zapłata. – Nathan dumnie wypiął pierś i jego elegancka koszula się wydeła, jakby marszczenia były rozkwitającymi kwiatami. Ze skórzanej sakiewki u pasa wyjął dokument i podał kapitanowi.  
– To dekret lorda Rahla, władcy D’Hary, który mianuje mnie swoim podróżującym ambasadorem. Gwarantuje także status i ochronę mojej towarzyszce.

Kapitan Eli tak szybko przesunął wzrokiem po dekrecie, że Nicci pojęła, iż wcale go nie czytał. Dokument najwyraźniej nie zrobił na nim wrażenia.

– Ten dekret i cena rejsu wystarczą jako zapłata za waszą podróż.

Nicci poczuła, że palą ją policzki.

– Dekret lorda Rahla powinien nam zagwarantować darmowy rejs.

– Może i powinien. – Kapitan założył czapkę i wetknął fajkę w usta, powoli wciągnął dym, a potem go wypuścił. – Ale takie dokumenty można podrobić. Wielu oszustów próbuje okpić uczciwego kapitana. – Znowu pyknął z fajki. – Taki potężny człowiek jak lord Rahl, władca D’Hary, z pewnością ma pełny skarbiec i nie musi żałować mi zapłaty za wasz rejs.

Wskazał cumujący obok statek, z którego marynarze w osobliwych jedwabnych szarawarach wyładowywali skrzynie z kolczastymi owocami.

– U większości tutejszych kapitanów niczego nie osiągnięcie dekretem władcy, o którym nigdy nie słyszeli. Co do mnie, postaram się być godziwy.

Krowa zamuczała, bo kucharz usiłował ją zaciągnąć po pochylni na niższy pokład.

– Nasza misja to także powiadamanie świata o władzy lorda Rahla – powiedziała Nicci, nadal niezbyt wierzyła w tę drugą misję, tak wedle wiedzy ważną.

Kapitan Eli znowu usiadł na stołku.

– Możecie opowiadać każdemu mojemu marynarzowi o wspaniałym nowym imperium waszego lorda Rahla, jeśli zapłacicie za kajutę.

Nicci zeszywniała, szykując się do wymuszenia zgody na kapitanie, lecz wmieszał się Nathan.

– Kapitanie, to bardzo sensowne. Jesteś człowiekiem interesu i możemy być uczciwi. – Rozwiązał trzymaną na dłoni małą sakiewkę i wysypał złote monety na wyciągniętą rękę kapitana.



Tamten zdumiony spojrział na nie, przez chwilę bił się z myślami, a potem oddał Nathanowi dwie monety.

– Tyle wystarczy, dziękuję.

Schował pieniądze do własnej sakiewki, Nathan zaś szepnął Nicci:

– Zawsze możemy zrobić ich więcej. Czemuż nie uszczęśliwić innych?

Nathan – żeby nie dźwigać worków monet ze skarbca D’Hary – wykorzystywał swój dar do przemieniania zwyczajnych metali w złoto, toteż nigdy się nie martwili, że zabraknie im pieniędzy. Niecywilizowanym ludziom z Mrocznych Ziem monety nie były potrzebne, lecz Nathan uznał, że w cywilizowanych miastach D’Hary lepiej mieć przy sobie sporą sumę w złocie.

– Za tę cenę – dodał czarodziej – tak moja towarzyszka, jak i ja dostaniemy po luksusowej kabinie.

Kapitan dobrodusznie się zaśmiał.

– Luksusowa kabina? Widzę, że nigdy nie byłeś na pokładzie *Tnącego Fale*. Po prawdzie tom ciekaw, czy w ogóle byłeś na jakimś statku. Tak, znajdę kajuty dla was. Niektórzy wysoko urodzeni mogliby je uznać za klitki, lecz każda ma drzwi i koję. Po tygodniu albo dwóch na morzu uznacie je za wspaniałe kwatery.

Nicci, jeśli tylko zdążyła do celu, nie dbała o przestronne pokoje i wyściełane meble.

– To do przyjęcia.

Niektórzy załoganci snuli się po pokładzie, gapiąc się na nowych pasażerów, jakby byli jakimiś dziwami wyciągniętymi wraz z siecią. Statek miał wkrótce wypłynąć, więc marynarze gromadnie wracali – jedni chwiejnie, inni nieśli kupione w porcie rzeczy. Z zaciekawieniem popatrywali na Nathana, bez wątpienia podziwiając jego wspaniały strój

i piękny miecz, lecz wzrok zatrzymywali na Nicci, urzeczeni jej długimi jasnymi włosami i kształtami opiętymi czarną suknią. Nicci nie zauważyła chłopaka, którego uratowała w uliczce.

Kapitan, lekceważąc badawcze spojrzenia marynarzy, pokierował gości do ich kajut. Nicci, przemierzając pokład, zauważyła pięciu załogantów bez koszul, na piersiach mieli wytatuowane faliste kręgi. Wszyscy byli śniadzi i mieli brązowawe włosy związane w koński ogon. Większość marynarzy odwracała oczy pod spojrzeniem Nicci, za to ci wyniosli żeglarze o nagich torsach wpatrywali się w nią z nieskrywanym pożądaniem.

Nathan, widząc ich pożądliwe uśmieszki, wysunął się przed czarodziejkę.

– Z drogi! Nie wiecie, że to Pani Śmierci?

Mężczyźni niechętnie się cofnęli.

Kajuty na rufie statku okazały się tak ciasne i skromne, jak ostrzegał kapitan Eli. Nicci wiedziała, że Nathan był rozczarowany, więc powiedziała:

– Nawet ciasna kajuta lepsza od leżenia na leśnej ściółce w zimnym deszczu i mgle Mrocznych Ziemi.

– Jak zawsze optymistka – odrzekł. – Zgadzam się.

Słońce zaszło nad deltą rzeki Kern, zaczynał się odpływ i wyszli na pokład, żeby obserwować przygotowania do rzucenia cum.

Kapitan Eli wykrzykiwał rozkazy, a marynarze wspinali się na maszty i reje, żeby rozwinąć żagle. Inni luzowali cumy i zsuwali je z pachołków na nabrzeżu. Dzwony na portowych wieżach wybijały szklanki.

Nicci wciąż nie widziała na pokładzie Bannona Farmera i bała się, że rudzielec napatoczył się w jakiejś uliczce na kolejną bandę rzezimieszków i spotkał go los, jaki mu przepowiadała.

Marynarze już mieli podnosić trap, kiedy nabrzeżem nadbiegł znajomy chłopak.

– Zaczekajcie na mnie! Już biegnę! Czekaście! Czekaście!

Nicci zauważyła, że ma miecz, który obijał mu się w biegu o udo.

Bannon pędził, a kupcy i robotnicy portowi usuwali mu się z drogi. Byłby się zderzył z zataczającym się pijanym marynarzem, który chyba zapomniał, gdzie jest jego statek, ale go ominął i wbiegł po trapie. Współzałoganci się zaśmiali, paru wymieniło się monetami.

– Mówiłem, że jest za głupi, żeby uciec ze statku, kiedy się trafi okazja.

Kapitan Eli rzucił Bannonowi gniewne spojrzenie.

– Niektórzy się zakładali, że będziesz jednorejsowym marynarzem, panie Farmer. Następnym razem się nie spóźnij.

– Nie spóźniłem się, panie. – Bannon ciężko dyszał, odgarniając z oczu rude włosy, policzki miał zarumienione z wysiłku. – Zdążyłem na czas.

Kiedy zauważył Nicci, twarz mu pojaśniała. Uśmiechnął się szeroko, przez co rozbita warga jeszcze bardziej rzucała się w oczy.

– Jesteś! Zjawiłaś się. Witaj na pokładzie *Tnącego Fale*.

– Będziemy pasażerami. Statek płynie tam, dokąd musimy się dostać. – Wzięła oddech i dodała: – Dziękuję za wskazówki.

Uniósł swój skromny miecz.

– Widzisz, kupiłem miecz. Tak jak mówiłem.

Inni marynarze zaczęli się naśmiewać. Jeden powiedział:

– Niektórzy mogliby to nazwać mieczem. Ja powiadam, że to kosa.

A drugi:

– Komu chcesz zaimponować tym paskudztwem? Ślepcowi? A może farmerowi, który musi skosić wysokie zielsko?

Wszyscy zarechotali.

Bannon spojrział chmurnie na swój miecz, a potem znowu radośnie się

uśmiechnął.

– Miecz nie musi być piękny, żeby zabijać – odpowiedział, powtarzając wcześniejszą uwagę Nicci. – To solidny miecz. – Uniósł go. – I nazwę go *Niepokonany!*

Kapitan Eli mu przerwał:

– Starczy tego chwalenia się, panie Farmer. Teraz twoje ręce i mięśnie są mi potrzebne przy takielunku. Zanim zapadnie noc, chcę być na otwartym morzu.

Nathan, stojąc obok Nicci przy relingu na sterburcie, rzekł:

– Cóż, czarodziejko, wyruszyliśmy. Do Kol Adair, gdziekolwiek to jest. – Posłał jej kpiący uśmiezek. – Chyba już się zaczynam czuć w pełni sobą.

## ROZDZIAŁ 8

Morze było ciemne i spokojne, księżyc w pełni wzniósł się niczym jasna pochodnia, kiedy *Tnący Fale* wypływał z portu. Karaka minęła łańcuch wysepek ciągnący się od wyspy Halsband, gdzie stały ruiny Pałacu Proroków.

Kiedy zostawili za sobą światła Tanimury, nocne niebo stało się aksamitnie czarne. Nicci stała na pokładzie i wpatrywała się w nie, starając się odnaleźć nowe układy jasnych gwiazd.

Płócienne żagle, mocno napięte, były kremowe w blasku pełni. Liny połyskiwały od nocnej rosy. Matka Morza wpatrywała się przed siebie oczami z drewna, jakby wypatrywała zagrożeń.

Bannon przyszedł na dziób do czarodziejki, uśmiechając się nieśmiało.

– Cieszę się, że postanowiłaś do nas dołączyć.

– A ja się cieszę, że przetrwałaś Tanimurę. – Nie wiedziała, czy po tych przeżyciach stał się choć trochę ostrożniejszy i rozsądniejszy. – To był dzień pełen niespodzianek.

Wciąż miał przy sobie miecz.

– Miałaś rację co do miecza, mówiąc, że powinien być poręczny, a nie piękny. I solidny, musi być solidny. – Trzymał go, jakby był jego najcenniejszym skarbem, obracał w rękę, patrząc, jak blask księżyca igra na przebarwionym ostrzu. Wykonał parę sztychów. – Nie mogę się doczekać okazji, żeby go użyć.

– Nie pal się do tego, lecz bądź gotowy, jeśli zajdzie taka potrzeba.

– Będę. Masz miecz?

– Nic mi po nim – oznajmiła Nicci.

Mina mu zrzedła, bo nagle przypomniał sobie, co zrobiła tamtym zbirom.

– Fakt, raczej go nie potrzebujesz. Widziałem, jak cisnęłaś tym człowiekiem i rozbiłaś mu głowę o ścianę. Rozprysnęła się niczym zepsuta dynia! A ten drugi... zmieniłaś jego gardło w marmoladę! Nawet nie wiem, co zrobiłaś trzeciemu. – Bannon potrząsnął głową, oczy miał rozszerzone. – Próbowałem z nim walczyć, za ciebie, ale on nagle... umarł.

– Tak się dzieje, kiedy komuś zatrzymasz serce.

– Słodka Matko Morza – wyszeptał Bannon. Odgarnął włosy z czoła. – Ocaliłaś mi życie, bez wątpienia, i miałaś rację: byłem bardzo naiwny. Nie powinienem był się wplątać w coś takiego. Spodziewam się, że świat to miłe miejsce, lecz jest mroczniejszy, niż myślę.

– Istotnie – potwierdziła Nicci.

– Mroczniejszy, niżbym chciał.

Nicci się zastanawiała, czy młodzian aby nie podkradł kapitanowi trochę ziela marzeń.

– Lepiej dostrzegać zagrożenia i być w pogotowiu, kiedy ktoś cię zaatakuje. O wiele przyjemniej się przekonać, że ktoś jest miłszy, niż się spodziewałeś, niż stwierdzić, że potajemnie cię zdradza.

Mina Bannona wyrażała zaniepokojenie i troskę.

– Sądzę, że masz rację, i jeszcze raz chciałbym ci podziękować. Jestem twoim dłużnikiem. – Grzebał w kieszeniach płóciennych spodni. – Przyniosłem ci coś. Jako wyraz wdzięczności.

Nicci popatrzyła na niego chmurnie.

– To nie jest konieczne. Uratowałam ci życie, bo akurat się tam znalazłam i ponieważ gardzę ludźmi, którzy pastwią się nad słabszymi. – Nie zamierzała pozwolić, żeby ten młody człowiek się do niej przymilał. – Nie chcę od ciebie podarunków.

Wyjął niewielkie zawiniątko z miękkiej tkaniny i podał jej na otwartej dłoni.

– Ale to musisz wziąć.

– To nie jest konieczne – powtórzyła Nicci, tym razem ostrzej.

– Uważam, że jest – nalegał Bannon. Niezgrabnie odsunął na bok miecz, kucnął przy burcie i rozwinął pakuneczek, ukazując perłę wielkości łyzy zrozpaczonej kobiety.

– Nie chcę od ciebie podarunków – powtórzyła trzeci raz Nicci.

Bannon jakby tego nie słyszał.

– Na Chiriyi nauczono mnie manier i okazywania wdzięczności. Moi rodzice chcieli, żebym był uprzejmy dla wszystkich i honorował swoje zobowiązania. Uratowałaś mnie i ukarałaś złych ludzi. Ojciec mówił, że jeśli chcę być prawym człowiekiem, powinienem okazywać wdzięczność. Nie ma znaczenia, czy oczekiwałaś czegoś w zamian. Mam obowiązek ci to dać. –

Oddech mu przyspieszył. Podał jej perłę. Wyglądała, jakby była ze srebra i lodu. – To perła marzeń, moja zaliczka. Kapitan mówi, że będziemy mieć ich mnóstwo pod koniec rejsu, ale chciałem dać ci ją teraz. – Znacząco kiwnął głową. – Teraz jest bardzo rzadka.

Mijał ich wachtowy.

– Rządka? – odezwał się kpiąco. – To tylko resztki. W Tanimurze wyładowaliśmy dwie wypełnione nimi skrzynki: tak kapitan Eli zarabia na całą podróż. Płynąc na południe, raz-dwa wypełnimy kolejne skrzynie.

Bannon szybko się odwrócił ku podsłuchującemu marynarzowi, mocno zaciskając w dłoni perłę.

– To prywatna rozmowa.

– To statek, hodowco kapusty! Grubo się mylisz, oczekując na pokładzie prywatności.

Speszony Bannon podniósł miecz.

– Teraz jest coś warta, to ostatnia perła marzeń. Chcę ją dać czarodziejce, a jeśli nie będziesz się wobec niej zachowywał jak należy, to zmiążdży ci tchawicę i zatrzyma serce. Widziałem to na własne oczy.

Marynarz znowu się roześmiał i odszedł.

Chociaż Nicci nie chciała podarunku, rozumiała zawilóści zobowiązań. Naprawdę ocaliła chłopaka, chociaż nie miała tego w planach.

– Jeśli pojąłeś nauczkę, Bannonie Farmerze, to będzie wystarczającym wyrazem wdzięczności.

– Nie dla mnie – upierał się i znowu podał jej perłę. – Weź ją. Wyrzuć za burtę, jeśli chcesz, ale *ja* zrobię, co trzeba. Postąpię jak należy.

Perła w palcach Nicci była chłodna i śliska. Przetoczyła ją po dłoni czubkiem palca.

– Jakie będę mieć wobec ciebie zobowiązanie, jeżeli ją przyjmę? Czego oczekujesz?

Bannon się zaczerwienił.

– Ależ niczego! Nigdy bym nie śmiał... nie o to mi chodziło!

Głos Nicci stał się ostrzejszy.

– Wytłumacz.

– To perła marzeń! Nie wiesz, co to takiego?

– Nie wiem. Coś więcej niż ładne świecidełko? – Nicci zorientowała się, że go uraziła, i niechętnie złagodziła ton: – To piękna perła. Chyba nigdy nie widziałam ładniejszej.

– To *perła marzeń* – powtórzył. – Powinnaś sobie czegoś zażyczyć. Może to tylko legenda, ale słyszałem, że te perły zawierają różne marzenia i można urzeczywistnić to, które się wybierze.



– Któż w to wierzy? – zapytała Nicci.

– Mnóstwo ludzi. To dlatego *Tnący Fale* tyle zarabia na każdym rejsie. Kapitan Eli wie, gdzie są odpowiednie rafy. Zbiera perły marzeń i sprzedaje w portowych miastach, przynajmniej tak opowiadają marynarze – ściszył głos i pochylił głowę. – To mój pierwszy rejs.

Nicci trzymała perłę, myśląc o tym, dokąd płyną, o misji, którą wiedźma wyznaczyła Nathanowi. To będzie bez wątpienia długa podróż. Popatrzyła na kulkę lodowato srebrną w księżycowej poświacie i powiedziała:

– No dobrze, życzę sobie, żebyśmy dotarli do Kol Adair.

Zamknęła perłę w palcach i schowała do niewielkiej kieszonki w czarnej sukni.

## ROZDZIAŁ 9

*Tnący Fale* płynął na południe. Od jakiegoś czasu byli na pełnym morzu. Nathan, który tyle wieków spędził samotnie w Pałacu Proroków, był przyzwyczajony do tkwienia w jednym miejscu, ale teraz przynajmniej przebywał na świeżym powietrzu, czuł rześki wiatr.

Daleka Tanimura była jedynie wspomnieniem – w jego przypadku tysiącem lat wspomnień. Czas na nowe. Red zatrzymała księgę jego dotychczasowego życia, ale on miał nowy tom, na całkiem nowe przygody. Teraz, kiedy nie miał już daru prorokowania, każdy zwrot i zawirowanie były niespodzianką. Dokładnie tak, jak powinno być.

Kapitan i załoga potrafili żeglować, nawet kiedy wiatry nie sprzyjały. Doświadczeni marynarze świetnie potrafili zgrać pracę olinowania i żagli, zwijając i rozwijając płótna, żeby złapać najłżejszy podmuch. Dla Nathana było to niczym magia, chociaż w znajomości tajemnic morza nie kryły się żadne czary.

Większość załogi odbyła z kapitanem wiele rejsów i każdy marynarz miał swoją robotę do wykonania – z wyjątkiem tych pięciu o nagich torsach, którzy się wałkonili. Nathan stracił dla nich cały szacunek i to nie tylko dlatego, że ślinili się na widok Nicci. Nie wykazywali najmniejszej ochoty do włączenia się w obowiązki załogi. Przypuszczał, że ci leniwi aroganci byli tutaj po coś, bo inaczej kapitan Eli nie ścierpiałby ich na pokładzie. Na razie jednak byli całkiem bezużyteczni.

Bannon Farmer był majtkiem na *Tnącym Fale* i dlatego zwalano na niego najgorsze roboty – wylewanie pomyj, wypompowywanie zęzy, szorowanie pokładu z wiadrem słonej wody i twardą szczotką. Ale harował z radością.

Nathan patrzył, jak młody człowiek wspina się po drabince wantowej i siedzi w bocianim gnieździe jako oko albo przesuwają się po rezi, żeby zrzucić żagiel. Kiedy wszystko już zrobił, siadał po południu obok czarodzieja i wypytywał go:

– Naprawdę żyjesz tysiąc lat? Ileż wspaniałych rzeczy musiałeś dokonać!

Nathan poklepał swoją księgę życia w sakwie u pasa.

– Bardziej ciekawi mnie to, co jeszcze mam do zrobienia. – Posłał chudemu rudzielcowi zachęcający uśmiech. – Ale chętnie opowiem ci o moich przygodach, jeżeli ty opowiesz mi o swoich.

Bannon się przygarbił.

– Nie mam o czym opowiadać. Nic mi się nie przydarzyło. – Odwrócił wzrok i potarł prawie już niewidoczne siniaki na twarzy. – Niby czemu wedle ciebie opuściłem Chiriyę? Miałem tam świetne życie, kochających rodziców, miły dom. Ale dla kogoś takiego jak ja było tam za cicho i za spokojnie. – Uśmiechnął się z przymusem i skrzywił, bo zaboląła go jeszcze niezagojona warga. – Wiosną sadziłem kapustę, całe lato plewiłem, zbierałem jesienią i pomagałem mamie kosić ją na zimę. – Uniósł głowę. – Ojciec żałował, że odchodzę, bo był ze mnie dumny. Może kiedyś tam wrócę jako bogaty i sławny podróżnik.

– Może. – Nathan wychwycił dziwną nutę w głosie chłopaka.

Bannon miał przy sobie miecz. Stal nie była doskonała, za to klinga ostra.

– Myślę, że Niepokonany dobrze mi posłuży.

Młodzian najwyraźniej oczekiwał mądrej rady i Nathan zdecydował się jej udzielić.

– Miecz tylko wtedy służy temu, kto nim włada, jeśli ten wie, jak się nim posługiwać. Służysz mieczowi tak samo jak on tobie. – Wysunął z pochwy własny miecz i podziwiał misterne ozdoby na rękojeści, złote inkrustacje,

lśnienie kosztownej stali; zawsze uważał, że dzięki temu mieczowi wygląda na człowieka śmiałego i walecznego, na kogoś, z kim należy się liczyć: tak wojownika, jak i czarodzieja. Stojąc, uniósł przed sobą miecz i patrzył, jak klinga skrzy się w słońcu. Spojrzał surowo na młodego człowieka. – Potrafisz władać mieczem, chłopcze?

– Wiem, jak nim machać – odpowiedział.

– Nie szatkujemy kapusty. A gdybyś tak walczył z żądnym krwi wojakiem Imperialnego Ładu?

Bannon pobladł.

– Z pewnością ubiłbym przynajmniej pięciu, zanim by mnie zabili.

– Tylko pięciu? A ja miałbym się rozprawić z tysiącami pozostałych? – Nathan poruszył ramionami i ugiął kolana w nowych wygodnych podróżnych spodniach. – Może byśmy poćwiczyli? Nauczę cię kilku sztuczek, żebyś, jeśli kiedyś staniesz naprzeciwko hordy nieprzyjaciół, mógł zabić co najmniej piętnastu, zanim cię powalą.

Bannon się uśmiechnął.

– Świetnie. – Na moment się zatroskał. – Wolałbym, żeby mnie nie zabili, ale jak już miałbym walczyć w wielkiej bitwie, to chciałbym się dzielnie spisać.

– Podobnie jak twoi towarzysze, chłopcze. – Nathan potarł brodę lewą dłonią. – Może i mam tysiąc lat, ale jako poszukiwacz przygód dopiero zaczynam. Miecz wygląda tak... buńczucznie, nie sądzisz? – Uniósł broń.

– Twój jest piękny, panie – przyznał Bannon. – Ale czy piękny miecz i buńczuczny wygląd odstraszą hordę potworów?

– Pewnie nie – powiedział Nathan. – Może nam obydwóm przyda się trening. – Ujął rękojęść i wypróbował rozmaite postawy. – Potrenujemy, Bannonie Farmerze?

Młodzian z uśmiechem uniósł miecz i cofnął się, ugiął kolana, przyjmując bojową pozycję – a przynajmniej jak najlepszą jej imitację.

Nathan uderzył, a Bannon machnął mieczem, próbując sparować cios, ale czarodziej musiał się postarać, żeby klingi zderzyły się ze szczękiem. Potem ponowił atak i trafił w miecz Bannona, uniesiony w obronie. W ferworze walki Bannon ciął i siekł, machając mieczem chaotycznie.

Czarodziej go zrugął:

– Jesteś, chłopcze, drwalem, co próbuje zrąbać cały las?

– Staram się zabić tysiąc żołnierzy wroga!

– Szczytny cel. Teraz wypróbujemy kombinację uderzeń, pchnięć i uników.

Bannon odpowiedział kolejną kombinacją cięć i kontr, które czarodziej z łatwością parował, chociaż wcale nie był mistrzem miecza. Nathan zawsze polegał bardziej na magii niż na ostrzu, ale żeby dać nauczkę zadziornemu młodziakowi, przebił się przez jego obronę i uderzył w tyłek płazem miecza.

Bannon, dotknięty do żywego, krzyknął i poczerwieniał tak, że piegi zniknęły.

– Zapłacisz za to, czarodzieju!

– Zapisz to na mój rachunek – skwitował Nathan z dumnym uśmieszkiem.

– Jeszcze sporo czasu upłynie, zanim zmusisz mnie do spłacenia długu!

Marynarze im się przyglądali, rozbawieni tym fechtunkiem. Właściwie pokładali się ze śmiechu.

– Patrzcie no tylko na hodowcę kapusty! – prychnął Karl, muskularny weteran wielu rejsów, który uznał za swój obowiązek dopilnowanie, żeby Bannon przeszedł swoje.

– A tak, patrzcie! – odkrzyknął Nathan. – Wkrótce będziecie się go bać!

Bannon, ponownie atakując, uwolnił tłumiony gniew, który zdumiał, a nawet przestraszył Nathana. Czarodziej, broniąc się, złajał chłopaka:

– Okazuj tak zapał, jak i *opanowanie*, chłopcze. A teraz zróbmy to powoli. Obserwuj mnie. Naśladuj moje sztychy.

Ćwiczyli godzinę w palącym słońcu, pocąc się z wysiłku. Kiedy Nathan przerobił z nim kilka podstawowych ćwiczeń, Bannon zaczął lepiej panować nad mieczem. Uśmiechał się i oczy mu się świeciły, kiedy ich ruchy nabrały szybkości. Szczęk mieczy zwabił większość załogi.

Zasapany Nathan uniósł rękę, sygnalizując koniec walki.

– Drogie duchy, dostałeś tyle wiedzy, ile możesz wchłonąć w jeden dzień. Lepiej dam ci czas, żebyś przetrawił to, czego się nauczyłeś. – Starał się zapanować nad ciężkim oddechem, żeby Bannon się nie zorientował, jaki jest zdyszany.

Włosy chłopaka były mokre od potu, morski wiatr rozwiewał je na wszystkie strony. Nie wyglądał na takiego, co ma dość.

Nathan dodał:

– Może już czas, żebyś ci opowiedział i zapoznał cię z historią. Dobry fechtmistrz jest również *inteligentnym* fechtmistrem.

Bannon nie opuścił miecza.

– Jak opowieść o dawnych czasach może mnie nauczyć lepiej robić mieczem?

Nathan się do niego uśmiechnął.

– Opowiem ci o kiepskim fechtmistrze, któremu obcięto głowę. To chyba niezły temat lekcji?

Bannon otarł czoło i usiadł na zwiniętej linie.

– No dobrze, posłucham.

Nicci spędziła dzień na rufie w dużej kabinie nawigacyjnej kapitana

Eliego. Kapitan otworzył dwuskrzydłowe okna na tyłach kabiny, żeby wpuścić rzeński wiatr. Na powierzchni oceanu widać było pienisty ślad zostawiany przez *Tnącego Fale*. Kilwater przypominał Nicci szerokie imperialne drogi, którymi Jagang poprzecinał Stary Świat; lecz drogi Jaganga przetrwają, ścieżka na wodzie zaś niknęła od razu.

– Chciałabym przestudiować twoje mapy i wykresy – powiedziała kapitanowi. – Jako emisariuszka lorda Rahla powinnam zobaczyć odległe rejony Starego Świata, które podbił Imperialny Ład. Teraz to część D’Hary.

Kapitan Eli bawił się swoją fajką o długim cybuchu, stukając główką o stół z twardego drewna.

– Wielu kapitanów trzyma swoje szlaki w sekrecie, bo najszybszy rejs to zarobek dla kupca. Kiedyś dobrze znałem prądy, rafy i linię brzegową. – Pyknął z fajki, choć jej nie zapalił w kabinie, żeby od drobiny żaru nie zajęły się mapy. – Ale przypuszczam, że to już nie ma znaczenia.

– Nie rywalizuję z tobą, kapitanie – rzekła Nicci. – Nie interesują mnie mapy oceanu. Chcę poznać linię brzegową. Wraz z moim towarzyszem szukamy miejsca zwanego Kol Adair.

– Nigdy o nim nie słyszałem. Musi leżeć daleko w głębi lądu, a każde miejsce odległe od brzegu niezbyt się dla mnie liczy. – Podrapał się po policzku. – Wcale nie chciałem powiedzieć, że jesteś dla mnie konkurentką. Chodziło mi o to, że mapy prądów nie mają już znaczenia, bo wszystko się zmieniło. Wszystko jest teraz inne. Przez ostatnie dwa miesiące prądy się pozmieniały. Wiatry, które tak dobrze znałem, zmieniły kierunki, jakby pory roku się pomieszały – jęknął przeciągle. – A nocą gwiazdy są w innych miejscach. I jak mam nawigować? Moje astrolabia i sekstanty są bezużyteczne. Mapy konstelacji nie pokazują tych samych gwiazd. Słodka Matko Morza, czy kompas dalej wskazuje prawdziwą północ? Kieruję się instynktem.

Nicci dobrze wiedziała, co się stało.

– To nowy świat, kapitanie. Proroctwa zniknęły. Magia zmieniła się w sposób, którego jeszcze nie zaczęliśmy poznawać. – Spojrzała lśnięcymi niebieskimi oczami w twarz kapitana i wciągnęła w płuca wilgotne powietrze. Wiatr szeleścił rozłożonymi na stole papierami. – Ale ktoś musi nakreślić nowe mapy gwiazd, zmienionych prądów morskich i odkryć najlepsze miejsca do rzucania kotwicy. Możesz być jednym z pierwszych, którzy to zrobią.

– To byłoby wspaniałe... gdybym się uważał za odkrywcę. – Kapitan podrapał się teraz po przystrzyżonej brodzie. – Ale zawsze chciałem być rzutkim kapitanem statku handlowego, pływającym od portu do portu. Mam na utrzymaniu rodziny, dzieci. Za rzadko je widuję i chcę móc przyplływać na czas.

– Rodziny? – zapytała Nicci. – Więcej niż jedną?

– Oczywiście. – Kapitan Eli musnął palcami ciemne włosy, założył za ucho naznaczone siwizną pasmo. – Mam żonę i dwie córki w Tanimurze, młodszą żonę i trzech synów na wybrzeżu Larrikan i przepiękną żonę w Serrimundi, córkę zarządcy portu.

– Czy te rodziny o sobie wiedzą? – dopytywała się Nicci. – A może to coś rzadko spotykanego wśród kapitanów?

– Dbam o wszystkie. Każda żona ma piękny dom. Wszyscy synowie i córki mają, co trzeba. Zapewniam im wyżywienie, dach nad głową, wykształcenie. Większość marynarzy i kapitanów w każdym portowym mieście chadza do zamtuzów i słyszałem o wielu takich, co się nabawili paskudnej choroby i zarazili nią żonę, jak wrócili do domu. – Kapitan Eli zapatrzył się na bezmiar morza za rufą. – Nie, to nie dla mnie. Wybrałem sobie żony i jestem im wierny. Jestem prawym człowiekiem.



Nicci – pamiętając niezliczone żony, które wziął sobie imperator Jagang (w tym i ją), oraz to, że potem odesłał ją wraz z innymi do namiotów, gdzie gwałcili je jego żołnierze – nie osądzała kapitana Eliego Corwina. Nigdy nie miała najmniejszej ochoty zostać czyjąś żoną lub jedną z żon – z wyjątkiem czasów, kiedy to zmusiła Richarda, żeby udawał jej męża. Roiała o idealnym rodzinnym życiu, przekonana, że nakłoni go do przyjęcia filozofii Imperialnego Ładu. Poniosła klęskę, bolesną, i Richard ją za to znienawidził.

Machinalnie potarła dolną wargę, nadal czując bliznę po złotym kółku Jaganga. Nigdy sobie nie uświadamiała, że jej fantazje o Richardzie jako mężu były równie szalone jak idealny świat Bannona Farmera.

Na szczęście teraz była kimś innym. Będąc przez wiele lat Siostrą Mroku, potem niewolnicą Jaganga, złamana i odrodzona – lecz odrodzona *niewłaściwie*, póki Richard tego nie naprawił – lepiej wszystko rozumiała. Nigdy nie zdoła się mu odwdzięczyć. A on powierzył jej misję.

– Pozwól, że mimo wszystko obejrzę mapy – powiedziała, odpędzając wspomnienia. – Im więcej wiem o Starym Świecie, tym korzystniej dla lorda Rahla.

Kapitan rozpostarł mapy na stole i przeglądał je, aż znalazł tę ukazującą wybrzeże daleko na południe od Tanimury.

– To nasze główne porty. Lefton, Kherimus, Andaliyo, Larrikan, nawet Serrimundi, przez wzgląd na moją żonę mamy tam specjalną umowę z zarządcą. – Uśmiechnął się tęsknie na myśl o niej.

Nicci powiodła palcem po skraju mapy, ale nie dostrzegła Kol Adair.

– Co jest dalej na południe? Te mapy są niekompletne.

– Dalej na południe nikt nie pływa, bo nie ma po temu powodu. To Widmowe Wybrzeże. Bardzo słabo zaludnione, chociaż imperialne drogi ciągną się daleko w głąb lądu. – Kapitan Eli znowu pyknął z niezapalanej

fajki, odłożył ją i otarł wargi. – Kto wie, co sobie myśleli dawni imperatorzy, kiedy je budowali?

Nicci zmarszczyła brwi, patrząc na zaznaczone na mapach miasta.

– Muszę zadbać o to, żeby wszyscy w Starym Świecie dowiedzieli się o zakończeniu wojny, o upadku imperatora Jaganga. Poprosimy i ciebie o pomoc, kapitanie. Co prawda zejdziemy z twojego statku, ale dam ci pismo, które zabierzesz do tamtych portów, żeby rozgłaszać wieści o lordzie Rahlu. Wszystkie krainy będą podlegać jednemu władcy, chociaż zachowają własny rząd i własną kulturę, chyba że ludzie złamią podstawowe prawa, uzgodnione przez wszystkich.

– Znakomite założenie – orzekł kapitan, zwijając mapy – jeśli wszyscy je podzielają. Ale wątpię, czy nakłonisz ludzi do zgody.

– To istota naszej misji. Musimy sprawić, żeby tak myśleli – powiedziała Nicci i uśmiechnęła się z pewnością siebie. – Potrafię być bardzo przekonująca. A jeśli nie dam rady, to pomoże w tym wielka d’harańska armia.

Wyszli z kapitanem na górny pokład, skąd mogli obserwować marynarzy wykonujących codzienne obowiązki. Pięciu mężczyzn o nagich torsach objało się, lekceważąc robotę i załogę. Zwrócili bezczelne spojrzenia na Nicci i jeden z nich zawołał do niej:

– Zabawisz się z nami? Mamy czas.

– Możecie marnować swój czas, póki nie dopłyniemy do raf – powiedział kapitan. – Ale nie sądzę, żeby pani zechciała się z wami zabawić.

– Wątpię, czy by się im spodobało to, jak bym się z nimi zabawiła – prychnęła Nicci.

Obiboki odpowiedziały oblesnym rechotem, który ją zirytował. Popatrzyła na kapitana.

– Dlaczego nie odpracowują rejsu? Są nic niewarci.

– To poławiacze pereł marzeń. Byli ze mną na trzech rejsach, niezwykle opłacalnych. – Kiwnął ku nim głową. – Sol, Egin, Rom, Pell i Buna. Teraz to leniwe obwiesie, ale w ciągu jednego dnia dziesięciokrotnie zapracują na swoje utrzymanie, jak tylko dopłyniemy do raf.

## ROZDZIAŁ 10

Mewy krążyły w górze, towarzysząc *Tnqemu Fale* pod słonecznym niebem. Zafascynowany Nathan dołączył do marynarzy tłoczących się przy relingu i pokazujących sobie palcami dziwną pływającą „blokadę”, która ich otoczyła na pełnym morzu.

Setki tysięcy meduz pływały na powierzchni niczym bańki mydlane, każda wielkości głowy wołu, pulsując niczym galaretowate mózgi. Nathan nie widział w tych bezrozumnych przezroczystych stworzeniach żadnego zagrożenia, *Tnqcy Fale* po prostu je rozgarniał. Niektóre rozbijały się o kadłub, zostawiając lepkie ślady, ale pozostałe usuwały się z drogi.

Przezorny kapitan stał na pokładzie.

– Miarowo naprzód. Gdyby to był wąż morski albo Kranek, tobym się martwił, ale meduzy to tylko utrapienie.

Bannon patrzył z zadziwieniem. Zarumieniony odwrócił się ku swojemu mentorowi.

– Nigdy nie widziałem takich na Chiriyi, ale inne odmiany meduz podpływają blisko brzegu w spokojnych zatoczkach... gdzie chłopcy mogliby popływać. Parzą! – westchnął tęsknie, marząc o domu. – Mieliśmy z Ianem własną lagunę, z jeziorkami pływowymi. Woda była w sam raz, żeby w niej brodzić, ale kiedyś nie zauważyliśmy meduz. Okropnie nas poparzyły. Noga mi spuchła niczym tygodniowe truchło świni, a z Ianem było jeszcze gorzej. Ledwo dowlekliśmy się do domu. Ojciec się złościł, bo przez kilka dni nie mogłem pracować w polu. – Spochmurniał, a potem, jakby chmury się rozwiały, znowu się uśmiechnął. – Aleśmy się wtedy uśmiali. – Wypuścił powietrze. – Ale tam meduzy są wielkości mojej pięści. – Wychylił się za

burzę. – Założę się, że oparzenie przez którąś z tych by cię zabiło, pewnie z pięć razy!

– Raz by zupełnie wystarczył – odrzekł Nathan.

Czarodziej lubił chłopaka. Bannon Farmer wyglądał na poważnego i zdeterminowanego, może zbyt naiwnego – ale Nathan nie miał nic przeciwko naiwności. Spisywał swoje opowieści dla takich chłopców jak on. Głose i lutnie minstreli niosły po świecie *Przygody Bonnie Day* i niezliczone inne historie. Teraz Nathan nie widział powodu, żeby nie wziąć młodego człowieka pod swoje skrzydła.

Nicci stała na uboczu, z dala od marynarzy. Gęste jasne włosy rozwiewał wiatr, błękitne oczy patrzyły w dal. Czarny stanik sukni opinał piersi i podkreślał jej kształty. Ciasno opasująca talię spódnica rozszerzała się od kolan. Na statku postanowiła zapomnieć o obcisłych nogawicach i wysokich butach. Wyglądała pięknie, podobna nieskazitelnemu dziełu sztuki, które należy podziwiać, doceniać – i nie dotykać.

Bannon od czasu do czasu popatrywał na nią z niedozwoloną iskierką w oczach. Nie było to pożądanie, lecz zauroczenie. Nathan będzie musiał mieć baczenie, żeby później nie przysporzyło im to kłopotów. Rudzielec nie miał pojęcia, w co by się wpakował.

Bannon szeptem zapytał Nathana:

– Czy to prawda, że nazywano ją Panią Śmierci?

Nathan się uśmiechnął.

– Drogi chłopcze, nasza Nicci była w Imperialnym Ładzie Jaganga jedną z kobiet budzących największy strach. Ma na rękach krew tysięcy ofiar.

– Tysięcy?! – Bannon aż przełknął ślinę.

Czarodziej poruszył ręką.

– Dziesiątek tysięcy, a może i setek. – Pokiwał głową. – Tak. Sądzę, że

setek tysięcy.

Nicci stała niby poza zasięgiem głosu, ale Nathan zauważył, że leciutko się uśmiechnęła. Podjął scenicznym szeptem:

– Była też Siostrą Mroku i latami służyła Opiekunowi, zanim przeszła w służbę Jaganga, Nawiedzającego Sny. – Rozejrzał się i stwierdził, że słuchają też niektórzy marynarze, pomrukując niespokojnie.

Bannon był pełen podziwu dla Nicci, za to inni byli wystraszeni i pełni zabobonnego lęku.

Nathan się tym nie przejął. Strach rodzi respekt.

– Ale to było, zanim czarodziejka przyłączyła się do lorda Rahla, ujrzała światło i stała się jedną z najzagorzalszych bojowniczek o wolność. Mówiłem ci, że zatrzymała Richardowi serce i wysłała go w zaświaty?

– Ona... ona go zabiła?!

– Tylko przejściowo. Wysłała go do Opiekuna, żeby mógł uwolnić duszę swojej ukochanej Kahlan. Ale to inna historia. – Klepnął młodego człowieka w ramię. – Podczas długiego rejsu będziemy mieć mnóstwo czasu na opowieści. Po co opowiadać wszystkie od razu.

Chłopak mruknął z rozczarowaniem.

– Ja miałem nudne życie, dorastałem na farmie, na sennej wyspie. Nie mam o czym opowiadać.

– Kiedyś poparzyły cię meduzy – przypomniał mu Nathan. – Na pewno masz jeszcze coś do opowiedzenia.

Bannon odchylił się do tyłu i zamyślił. Unoszące się na wodzie meduzy uderzały o siebie z plaśnięciami.

– Może tylko to sobie wyobraziłem – powiedział. – Kiedy się płynie samotnie małą łódką we mgle, to umysł płata figle.

Nathan się roześmiał.

– Drogie duchy, chłopcze! Wyobraźnia to podstawa opowieści. Opowiadaj.

Bannon wydał wargi.

– Słyszałeś kiedyś o selka? Rasie mieszkającej w głębi morza i przyglądającej się ludziom na powierzchni? Obserwują z dołu nasze łodzie i statki, które są niczym drewniane chmury płynące wysoko po ich niebie.

– Selka? – Nathan zmarszczył brwi, przesunął kciukiem i palcem wskazującym od ust do brody. – Morscy ludzie... a tak. O ile pamięć mnie nie zawodzi – a moja pamięć jest równie wyostrzona jak najlepszy sztylet – selka to wojownicy stworzeni podczas pradawnych wojen czarodziejów. Ludzie przemienieni magią w inne stworzenia, jak mriswithy czy sylfy. Selka utworzono jako podwodne wojsko, które miało atakować statki wroga. – Zmrużył oczy. – Ale albo wymarli, albo są tylko legendą.

– Nigdy przedtem o tym nie słyszałem – powiedział Bannon. – Opowiadamy sobie o nich na Chiriyi. Czasem selka spełniają życzenia.

Nathan zachichotał.

– Gdybym dostawał miedziaka za każdą historię o mitycznych istotach spełniających życzenia, to miałbym tyle monet, że mógłbym kupić, co bym chciał, i nie musiałbym marzyć.

– O tym też nic nie wiem – mruknął Bannon. – To była tylko historyjka, którą opowiadano w wiosce. A bywają chwile, że zwyczajnie chcesz w coś wierzyć.

Nathan z powagą skinął głową, żałując, że drażnił się z chłopakiem.

– I mnie się to zdarzało.

Bannon wpatrywał się w morze i sprawiał wrażenie, że już nie widzi meduz. Zniżył głos do szeptu:

– Są też chwile, kiedy ktoś nieszczęśliwy pragnie uciec. Byłem głupi

i młody... za młody, żeby wiedzieć, że jestem głupi.

Może wciąż jesteś na to za młody, pomyślał Nathan, ale zmilczał.

– Wypłynąłem w małej łódce, sam jeden, chciałem na zawsze opuścić Chirię. Nie miałem na wyspie żadnych przyjaciół.

– A Ian? Ten, którego poparzyły meduzy.

– To było potem. Ian umarł. – Bannon się zachmurzył. – Wyruszyłem o zmierzchu, z odpływem, i wiedziałem, że księżyc w pełni oświetli mi drogę. Miałem nadzieję zobaczyć selka, ale w głębi serca podejrzewałem, że to tylko opowiadki. Opowiadano mi o wielu rzeczach, które okazywały się nieprawdą. – Wyglądał na przybitego, ale zmusił się do uśmiechu. – Zawsze jest jakaś szansa. Wiosłowałem w mroku, na niebie pojawiły się gwiazdy, a ja wiosłowałem, o mało mi ręce nie odpadły. Potem już tylko dryfowałem na otwartym morzu. Przez jakąś godzinę widziałem ciemny zarys wyspy, z odblaskiem ognia z palenisk i światłem lamp w wioskach na wybrzeżu, wysoko nad plażą. Potem to zniknęło w oddali, a ja dalej wiosłowałem.

– I niby dokąd podążałeś? – zapytał Nathan. – Tak wprost na otwarte morze?

Bannon wzruszył ramionami.

– Wiedziałem, że jest tam Stary Świat, kontynent z miastami takimi jak Tanimura, Kherimus, Andaliyo. Cały kontynent! Uznałem, że jeśli odpłynę wystarczająco daleko, to wcześniej czy później trafię na wybrzeże. – Odwrócił wzrok zawstydzony. – Dorastanie na wyspie nie nauczyło mnie oceniania dużych odległości. Dryfowałem całą noc, a o świcie zobaczyłem tylko wodę, wodę ze wszystkich stron. Jak teraz. – Wskazał za burtę. – Nie miałem kompasu, brakowało mi prowiantu. Cały dzień pod piekącym słońcem dryfowałem po otwartym morzu i zaczynałem się poważnie niepokoić. Żar spalił mi skórę, pokryły ją pęcherze, ale kolejna noc wydawała



się przeraźliwie zimna. Trzeciego dnia skończyła mi się woda i prawie cała żywność. Czułem się jak ostatni głupiec. Nie widziałem śladu lądu, nie miałem pojęcia, w jakim kierunku leży Stary Świat, a nawet jak odnaleźć Chiriwę. Płakałem jak zrozpaczone dziecko i nie wstydzę się do tego przyznać. Stałem w chwiejnej łódce i wołałem w dal, w nadziei, że ktoś usłyszy. Czułem się jeszcze większym głupcem niż wtedy, kiedy płakałem. Tej nocy księżyc świecił jasno, ale pojawiła się gęsta mgła, nie przesłaniała wszystkiego, lecz była zimna i lepka. Dygotałem jeszcze bardziej nieszczęśliwy. Nie mogłem dostrzec niczego wokół siebie... nie żeby było coś do zobaczenia. Księżyc stał się jedynie delikatnym poblaskiem nad głową. – Głos Bannona przeszedł w szept: – Podczas mglistej, cichej nocy słyszysz dźwięki dochodzące z bardzo daleka, a odległość cię zwodzi. Słyszałem pluski i pomyślałem, że to rekiny, potem to brzmiało, jakby ktoś płynął... i niesamowity głos. Znowu zawołałem o pomoc. Wydało mi się, że może to selka płynie mi na ratunek, ale rozsądek podpowiadał, że to tylko wieloryb, a może i wąż morski. Wołałem i wołałem, ale nie usłyszałem odpowiedzi. Może mój głos wystraszył to coś, cokolwiek to było. A ja słyszałem tylko chlupot fal, kolejny daleki plusk i jakby śmiech, chichot... ale to nie mogła być prawda. Byłem taki zrozpaczony, wyczerpany – że już nie wspomnę o tym, że głodny i spragniony – aż wreszcie padłem w najciemniejszej godzinie nocy i głęboko zasnąłem.

Nathan uśmiechnął się, dodając chłopakowi otuchy.

– Masz zadatki na gawędziarza, chłopcze. Zaciekawileś mnie. I jak się z tego wyplątałeś?

– Nie wiem – odrzekł Bannon. – Naprawdę nie wiem.

Nathan zmarszczył brwi.

– No to musisz popracować nad lepszym zakończeniem swojej historyjki.

– O, jest dobre zakończenie. Obudziłem się następnego ranka i zamiast

jednostajnego szumu bezkresnych fal usłyszałem przybój zalewający kamyki. Dotarło do mnie, że łódka już się nie kołysze. Wstałem i o mało z niej nie wypadłem. Wyrzuciło mnie na brzeg wyspy, w miejsce, które znałem! To była Chiriya, ta sama zatoczka, w której pływaliśmy z Ianem!

– Jak tam wróciłeś?

Bannon wzruszył ramionami.

– Słodka Matko Morza, przecież ci mówiłem: nie wiem. Nocą, kiedy byłem nieprzytomny z wyczerpania, coś mnie odholowało na wyspę, bezpiecznie dociągnęło do wybrzeża.

– Jesteś pewny, że prądy nie zniosły cię z powrotem do miejsca, z którego wypłynąłeś? We mgle i tak byś się nie zorientował. – Nathan spojrzał na niego z góry. – Chyba nie twierdzisz, że to selka cię uratował?

Bannon był zakłopotany.

– Powiadam, że bezpiecznie wróciłem tam, skąd wyruszyłem, i że nie wiem jak. Ze wszystkich wysp na bezkresnym oceanie wróciłem na tę, którą nazywałem domem, do zatoczki, z której wypłynąłem. – Zamilkł na długo, a potem popatrzył na czarodzieja i uśmiechnął się z zadziwieniem. – A w miękkim piasku na brzegu, obok łódki wyciągniętej z wody o wiele dalej, niż wysoka fala by ją zostawiła, zobaczyłem ślady stóp.

– Jak wyglądały?

– Jak ludzkie... prawie. Palce były połączone błoną pławną, jak u morskiego stworzenia. Widziałem też delikatny odcisk czegoś, co wyglądało jak brzeg płetwy, i zagłębienia jak od pazurów, a nie ludzkich paznokci.

Nathan zachichotał.

– Wspaniała opowieść! A twierdzisz, że nic ci się nie przydarzyło!

– Tak mi się zdaje... – Bannon nie był przekonany.

Meduz nie ubywało. Karl o szerokich barach, podpuszczony przez kolegów, wziął harpun i przywiązał linę do metalowego oka na końcu drzewca. Tamci pokrzykiwali i pohukiwali, a zaprawiony w marynarskiej robocie żeglarz wychylił się za burtę i dźgnął harpunem meduzę niczym nabrzmiały pęcherz. Żelazny grot przebił błonę, zmieniając galaretowate stworzenie w dymiącą kałużę. Pozostałe meduzy odsuwały się od dryfujących szczątków, jakby uciekały przed drapieżnymi muchówkami.

Inni marynarze, rechocząc, pobiegli po harpuny, ale kiedy Karl wciągnął swój harpun, sapnął ze zdumienia.

– Patrzcie! Spójrzcie na to!

Hak dymił i zaczynał się wyginać – kwas zżerał metal.

Pozostali znieruchomieli, choć przed chwilą gotowi byli rzucać harpunami w meduzy. Zaciekawiony Karl wyciągnął stwardniały palec, ale zanim dotknął dymiącego metalu, Nathan warknął ostrzegawczo:

– Nie dotykaj, bo stracisz nie tylko harpun, ale i rękę.

Kapitan Eli zrugął wszystkich:

– Dajcie spokój tym meduzom! Morze ma dla nas wiele zagrożeń. Nie musimy się narażać na nowe.

Speszeni marynarze opuścili harpuny, a potem je schowali.

## ROZDZIAŁ 11

*Tnący Fale* przez tydzień płynął na południe. Kapitan Eli ominął większe przybrzeżne miasta Starego Świata, a Nicci niepokoiły zmienione prądy morskie, zaburzone wzorce wiatrów i nieznane układy gwiazd na nocnym niebie.

– Zgubiliśmy się? – zapytała pewnego popołudnia, stojąc obok kapitana na dziobie.

– Pani czarodziejko, dobrze wiem, dokąd płynę. – Otarł ustnik fajki kciukiem i palcem wskazującym, a potem znowu wsunął do ust. – Kierujemy się wprost ku rafom.

Nathan, słysząc to, podszedł do nich.

– To brzmi złowieszczo.

*Tnący Fale* płynął szybko, pchany stałym morskim wiatrem. Kapitan spojrzał przed siebie.

– Nie, jeśli wiesz, gdzie płyniesz.

– Jak możesz mieć pewność? Twierdziłeś, że mapy i prądy już nie są dokładne – powiedziała Nicci.

– Bo nie są, ale jestem kapitanem i w moich żyłach płynie słona morska woda. Wyczuwam to wszystkimi zmysłami. Lecz zanim będę mógł handlować w Serrimundi lub Leftonie, muszę zabrać najcenniejszy ładunek. Jutro rano przekonacie się, co mam na myśli.

Kapitan miał rację.

Bannon, pełniący wachtę na bocianim gnieździe, zawołał:

– Linia piany wprost na południe, kapitanie! Wygląda jak wzburzona

woda.

Kapitan pochylił się ku figurze Matki Morza na dziobie, ocieniając oczy.

– To rafy.

Nicci patrzyła, jak poławiacze pereł marzeń się ożywiają, jakby budzili się z długiego snu.

– Potrzebne są nasze usługi – powiedział Sol, który wyglądał na ich szefa.

Egin przeciągnął się leniwie.

– Przyniosę liny i obciążniki.

Trzej pozostali – Pell, Buna i Rom – zaczęli głęboko oddychać, wciągając i wypuszczając powietrze, rozciągając barki, rozluźniając ramiona. Nicci domyślała się, że potrafią jakiś czas przebywać pod wodą, na co wskazywały ich rozrośnięte klatki piersiowe i proporcjonalne do tego płuca.

Buna spojrział na nią przymrużonymi oczami.

– Może będziemy mogli zabawić się z damą po dobrym dziennym połowie.

Nathan fuknął, urażony tymi słowami, ale Nicci spokojnie odpowiedziała:

– Jeśli spełnią się moje życzenia, to już nigdy nie będziecie do tego zdolni.

Kapitan Eli nawet bez map prowadził *Tnącego Fale* po lekko wzburzonych wodach, unikając ciemnych odsłoniętych raf, statek manewrował w głębokich kanałach. Marynarze zwinęli żagle i mocno przywiązali je do rei. Kiedy statek powoli wpłynął na właściwe miejsce, rzucili kotwicę w spokojnym, osłoniętym akwenie. Fale nadal się pieniły, rozbijając o zewnętrzny skraj podwodnej rafy.

Statek był pewnie zakotwiczony i podekscytowani marynarze przyglądali się przygotowaniom pięciu poławiaczy pereł. Sol wydawał komendy

kolegom:

– Nurkujemy po dwóch. Najpierw ja i Egin, potem Rom i Pell. Kiedy wypłyną, będę na tyle wypoczęty, żeby zanurkować z Buną.

Wygiął ramiona do tyłu, popisując się szeroką klatą z łańcuchem wytatuowanych okręgów.

Poławiacze otworzyli gliniany pojemnik z tłuszczem, nasmarowali nim skórę. Tłuszcz zapewni im ciepło, kiedy zanurzą się głęboko w labirynt szczelin i grot rafy. Pozwoli im również łatwiej przecinać wodę – tak twierdził Rom i nasmarował pierś kolejną warstwą.

Chociaż pięciu poławiaczy miało podobny tatuaż, niektórzy mieli więcej kręgów niż inni. Nicci dowiedziała się, że to pokazuje, ile skrzynek pereł ma na koncie każdy z nich. Sol miał ich tyle, że zaczął drugi szereg na prawej piersi. Każdy miał pleciony pas, przy którym wisiały długie haki do zaczepiania obciążników oraz siatki na perły.

Sol i Egin, nurkujący jako pierwsi, przywiązali sobie do pasów długą konopną linę, a drugi jej koniec przymocowali do fokmasztu. Potem wspięli się na reling, zaparli bosymi stwardniałymi stopami. Przymocowali żelazne obciążniki do haków u pasa – pociągną ich na dno, żeby nie marnowali czasu i powietrza na płynięcie do celu. Później z łatwością odczepią i wyrzucą obciążniki, kiedy będą chcieli się wynurzyć.

Dwaj poławiacze balansowali na relingu w słonecznym blasku, wdychając i wydychając powietrze, potem wzięli głęboki oddech, wydymając pierś i napełniając płuca. Bez słowa jednocześnie skoczyli i zniknęli, niemal nie wzburzając wody.

Kapitan Eli podrapał się w brodę. Wydawał się bardzo spokojny i zadowolony.

– Pewnie postoiemy tu na kotwicy dzień lub dwa. Zależy, ile potrwa

napełnienie skrzyni.

– W skrzyni zmieści się mnóstwo pereł marzeń – stwierdził Nathan.

– Owszem. – Kapitan zdjął czapkę i przygładził włosy, potem znowu ją założył.

Kiedy minęło kilka minut, Bannon wyjrzał za burtę, wypatrując, czy poławiacze już wracają. Spojrzał na Roma i Pella poprawiających pasy, mocujących na hakach obciążniki i siatki. Szykowali się do zanurkowania, jak tylko tamci powrócą.

– Jak myślicie, mógłbym kiedyś zostać poławiaczem pereł marzeń? – zapytał ich.

Rom popatrzył na niego jak na robaka.

– Nie.

Chłopak posmutniał, ale dalej popatrywał za burtę.

– Są!

Nurkowie wynurzyli się na powierzchnię. Łapczywie chwyтали powietrze i potrząsali głowami, otrzepując długie gęste włosy. Minęło blisko dziesięć minut i Nicci była zdumiona, że tyle wytrzymali pod wodą. Wydolność ich płuc była równie wielka jak bezczelność.

Obaj chwycili liny i wspięli się po kadłubie statku. Przeskoczyli reling i stanęli na pokładzie, ociekając wodą. Potem wysypali z siatek dziesiątki chropowatych szarych muszli wyglądających jak złożone do modlitwy dłonie.

– Słodka Matko Morza, to wspaniałe! – powiedział kapitan Eli. – Absolutnie wspaniałe.

Marynarze nadbiegli i zabrali się do roboty. Krótkimi, płaskimi nożami otwierali muszle, wyrywali z nich gumowate małże i oddzielali lodowosrebrne perły.

Teraz zanurkowali Rom i Pell, a ich towarzysze odpoczywali. Sol wyszczerzył się do Nicci.

– Jeśli zaoferujesz mi należytą nagrodę, dam ci twoją własną perłę marzeń.

Nicci na to:

– Już taką mam. Bannon mi dał.

Sol tylko sapnął z irytacją.

Kiedy Rom i Pell wypłynęli z równie obfitym połowem, dwaj kolejni nurkowie byli gotowi. Połowiacze o nagich torsach przez wiele godzin nurkowali i wypływali, a załoga otwierała muszle i wyjmowała perły.

Kapitan Eli podniósł z pokładu jedną z otwartych muszli.

– Niezwykłe. Wyglądają jak ludzkie dłonie, które osłaniają perły.

– Dłonie złożone, by wypowiedzieć życzenie – odezwał się Bannon.

Nicci uważała, że te z grubsza uformowane dłonie wyglądają, jakby się mocno zaciskały wokół skarbu.

– Te rafy obfitują w muszle – powiedział Buna po trzecim nurkowaniu. – Jest tam dość skarbów na setkę rejsów.

– I nie omieszkamy wrócić – przyobiecał kapitan Eli.

Ponieważ załoga *Tnącego Fale* odbierała część żołdu w perłach marzeń, marynarze naciskali, żeby połowiacze dalej nurkowali. Nicci z przyjemnością patrzyła, jak bezczelnie wałkonie wreszcie pracują.

Ale pod koniec dnia, kiedy słońce zachodziło, płonąc złoto i pomarańczowo, pięciu połowiaczy już się zmęczyło. Chociaż Sol, Egin i Rom nie mieli ochoty na dodatkową robotę, to Pell i Buna zgodzili się zanurkować ostatni raz. Obwiązali się liną, przyczepili do haków żelazne obciążniki i skoczyli za burtę.



Marynarze siedzieli na pokładzie, gadając, rozłupując muszle i odrzucając puste pod burzę. Pell i Buna długo byli na dole – dłużej niż poprzednio. Nathan chodził po pokładzie z niespokojną miną. Kapitan też był zatroskany.

W końcu Sol zmarszczył brwi, podszedł do relingu i wychylił się za burzę, patrząc w ciemniejącą wodę.

– Łapmy za liny, wyciągnijmy ich.

Sam chwycił jedną z mokrych konopnych lin i zaczął ciągnąć, Bannon zaś złapał drugą.

Lina się napięła, a potem szarpnęła, kalecząc chłopakowi palce. Krzyknął i puścił ją, lina uderzyła o kadłub. Coś pod wodą ciągnęło ją w dół.

– Żaden nurek nie dałby rady tak ciągnąć! – powiedział Sol, szarpiąc się z liną.

Lina trzeszczała, ciągnięta przez jakąś nieznaną siłę. Rom i Egin podbiegli, żeby pomóc towarzyszom. Nieznane „coś” ciągnęło z taką siłą, że statek zaczął się przechylać.

Ciągnęli razem, krzycząc, natężając się.

– Wydostańmy ich! – wrzasnął znowu Sol.

Nagle obie liny pękły i zwisły luźno w wodzie, niczym wodorosty. Marynarze mocno ciągnęli, póki nie ukazał się postrzępiony koniec jednej z nich.

– Czemu mieliby odciąć liny? – zapytał Egin.

Bannon wpatrywał się w końcówkę sznura.

– Jest *przetarta*, nie przecięta.

Nicci natychmiast zrozumiała, co to znaczy.

– Coś urwało linę.

Kiedy marynarze wciągali drugą, Rom stanął na relingu, gotowy

zanurkować na ratunek towarzyszom, ale zanim zdążył skoczyć, pojawił się koniec drugiej liny, wciąż przywiązany do plecionego pasa zerwanego z poławiacza. W pas wplątane były pętle wydartego jelita i trzy żebra, jakby napastnik przeciął pasem kręgosłup i brzuch mężczyzny.

Marynarze wrzasnęli ze strachu i cofnęli się.

– Ale jak...? – Rom chwiejnie się odsunął i upadł na pokład. – Niczego tam nie widzieliśmy.

– Coś zabiło Pella i Buna – powiedział Sol. – Co to mogło być? Co ich zaatakowało?

Egin spojrzał gniewnie na Nicci.

– Może Pani Śmierci przywołała potwora.

Trzej poławiacze wpatrywali się w Nicci ze zgrozą i strachem, które szybko zmieniły się w nienawiść.

Bannon szepnął do niej ze zdumieniem:

– Naprawdę to zrobiłaś? Tak jak zabiłaś złodziei w uliczce?

Zbeształa go za taki głupi pomysł, ale dostrzegła w poławiaczach skłonność do przemocy i była zadowolona, że się jej boją.

## ROZDZIAŁ 12

Marynarze patrzyli to na znikającą plamę krwi na wodzie, to na wnętrzości zwisające z plecionego pasa. Kapitan Eli zawołał do nich, żeby postawili żagle i podnieśli kotwicę. Zapadał zmierzch i chmurzyło się. Chociaż *Tnący Fale* znajdował się w ciepłej strefie, daleko na południe od Tanimury, to zdawało się, że wiatr niesie chłód śmierci.

Zwinni marynarze wdrapali się na reje, żeby rozwiązać liny, a inni ciągnęli za fały i napinali płótna. Statek oddalał się od raf, chyłkiem niczym zbity pies, nawigator mocno napierał na ster, stojący na oku zaś podawali kurs, pilnując, żeby okręt nie otał się o niebezpieczne skały.

– Straciliśmy dzisiaj dwóch ludzi, nie chciałbym stracić kolejnych! – zawołał ochrypłym głosem kapitan.

Statek złapał wiatr w żagle i odpłynął od raf, znalazł się znowu na otwartym morzu. Zapadła noc, chmury przesłoniły gwiazdy, które i tak na niewiele się przydawały, bo kapitan nie mógł nawigować według nieznanymi konstelacji. Chciał tylko odpłynąć jak najdalej od tego miejsca.

Chociaż załoga zabobonnie wierzyła w niosące śmierć morskie potwory, to Nicci uznała, że Buna i Pella na rafach zaatakował rekin albo jakiś inny podwodny drapieżca. Jednakże zachowywała czujność. Ponury nastrój ogarnął załogę niczym zimna i dusząca mgła. Po kilku godzinach roztrzęsieni ludzie uwierzyli w oskarżenie rzucone na Nicci przez trzech gburowatych poławiaczy pereł i wszyscy patrzyli na nią z przerażeniem. Nie zrobiła nic, żeby rozwiać ich obawy. Przynajmniej zostawiali ją w spokoju.

*Tnący Fale* płynął jeszcze trzy dni, a pogoda się pogarszała, niczym przejrzwający powoli owoc. Zaniepokojony kapitan wyszedł z kabiny

nawigacyjnej i wpatrywał się w zachmurzone szare niebo i białe grzywacze. Odezwał się do Nicci, jakby była jego powiernicą:

– Mamy pełną skrzynię pereł, toteż ten rejs był bardzo zyskowny, chociaż zapłaciliśmy za to krwią. Każdy kapitan wie, że może stracić załoganta albo dwóch, chociaż wątpię, żeby ci poławiacze jeszcze kiedyś ze mną popłynęli.

Nicci spojrzała na niego.

– Znajdziesz innych. Gdzie się ich szkoli? W jednym z nadmorskich miast? Na wyspie?

– Serrimundi. Mieszkańcy wielbią poławiaczy pereł.

– Zauważyłam ich arogancję.

– Nie będzie łatwo ich zastąpić – westchnął kapitan. – Ci trzej będą gadać, kiedy zawiniemy do portu.

– Więc mądrze zainwestuj swoją fortunę – doradziła Nicci. – Te perły mogą się okazać ostatnim zbiorem.

Perłę od Bannona schowała w kieszonce czarnej sukni.

Nastąpiła zmiana wachty. Obserwator opuścił bocianie gniazdo, a drugi wspiął się po drabince, żeby zająć jego miejsce. Nathan dołączył do Nicci i kapitana, kiedy podszedł też wysmagany wiatrem, ogorzały obserwator.

– Chmury wyglądają groźnie. W wietrze czuć sztorm.

Kapitan kiwnął głową.

– Pewnie musimy się przygotować na ciężką noc.

– Są przed nami jakieś rafy, których należy się obawiać? – zapytała Nicci.  
– Osiądziemy na mieliźnie? O wiele trudniej byłoby nam odnaleźć Kol Adair, gdybyśmy teraz utknęli na jakiejś rafie.

– O tak, na pewno byłoby to kłopotliwe. – Kapitan pyknął z niezapalonej fajki i przytrzymał ręką czapkę, żeby wiatr jej nie porwał. – Jesteśmy na

pełnym morzu. Nie ma tu żadnych raf, o których bym wiedział.

Marynarz kiwnął głową i wrócił do swojej roboty.

Kiedy odszedł, Nicci zniżyła głos:

– Mówiłeś, że twoje mapy już nie są dokładne.

Kapitan Eli miał nieprzeniknioną minę.

– To prawda, ale nie wydaje mi się, żeby rafy pojawiały się znikąd.

Porywisty wiatr się nasilał i zaniepokojona załoga wykonywała jedynie najważniejsze prace. Pojawił się brzuchaty kucharz z wiadrem pianistego mleka prosto od krowy trzymanej pod pokładem.

– Nie podoba się jej chwiejba – oznajmił. – Następnym razem z wymion może strzykać zsiadłe mleko.

– To będziemy mieć świeży ser.

Kapitan Eli nabrał chochłę. Nicci odmówiła, ale czarodziej z ochotą spróbował. Wypił i zacmokał. Kucharz zaproponował mleko ponurym poławiaczom, ale tylko się wykrzywili, łypiąc gniewnie na Nicci.

– Mogła je zatruć – stwierdził Rom.

Nicci, słysząc to, postanowiła się jednak napić.

Wicher świstał w olinowaniu, godziny się wlokły i Nathan zaproponował Bannonowi, żeby poćwiczyli na pokładzie fechtunek. Szczęk stali niósł się w podmuchach wiatru, kiedy skakali, omijając zwoje lin i otwarte beczki na deszczówkę. Wystawiono je, spodziewając się sztormu, żeby nałapać świeżej wody.

Bannon radził sobie o wiele lepiej. Miał niespożyta energię, którą nadrabiał niezdarność, a Niepokonany okazał się godny swojej nazwy, przyjmując i odbijając ciosy o wiele piękniejszego miecza Nathana. Ich trening na chwilę rozproszył posepny nastrój marynarzy.

Kiedy tak rudzielec, jak i czarodziej byli już wyczerpani, warstwa chmur zrobiła się tak gruba, że Nicci nie mogła obejrzeć zachodu słońca; patrzyła tylko, jak gaśnie dzień.

– Pokazałbyś mi jakieś czary? – zapytał Nathana Bannon, wspinając się na skrzynię, zbyt wysoką na wygodne siedzisko.

– Niby czemu miałbym to robić? – odpowiedział zapytany.

– Bo jesteś czarodziejem, czyż nie? Czarodzieje robią magiczne sztuczki.

– Czarodzieje *korzystają* z magii. Sztuczki robią popisujące się małpki. – Nathan uniósł gęste brwi. – Poproś czarodziejkę. Może wykona dla ciebie jakąś sztuczkę.

Bannon obejrzał się na Nicci, z trudem przełknął ślinę, a potem znowu popatrzył na Nathana.

– Już widziałem jej czary. Wiem, co potrafi.

Karaka kołysała się na wzburzonym morzu, to wspinała się na fale, to opadała w doliny pomiędzy nimi. Większość załogi *Tnącego Fale* miała odporne żołądki, ale niektórzy marynarze wychylali się za burtę i wymiotowali. Maszty skrzypiały i jęczały, żagle łopotały i wydymały się.

Kapitan Eli stał z rękami na biodrach, wełnianą kurtę zapiął na srebrne guziki.

– Trymować żagle! Wiatr się nasila, nie potrzeba nam podartego płótna.

Obserwator w bocianim gnieździe przywiązał się do masztu, żeby nie wypaść podczas przechyłów statku.

Nathan z teatralnym westchnieniem zgodził się zademonstrować Bannonowi czary, chociaż chłopak już mu się nie naprzykrzał.

– No dobrze, popatrz na to. – Czarodziej ukląkł, wygładził koronkowe mankiety eleganckiej koszuli i energicznie potarł o siebie dłonie, jakby chciał je rozgrzać. – To tylko mały ogienek, płomyk, którym możemy rozpalić

ogień albo oświetlić sobie drogę.

– Ja korzystam z zapalek albo krzesiwa – powiedział Bannon.

– To masz własne czary. Nie musisz oglądać moich.

– Nie, chcę zobaczyć! – Nachylił się bliżej, oczy mu błyszczały. – Zrób ogień. Pokaż mi.

Nathan uformował z dłoni czarę. Zmarszczył czoło i wpatrywał się przed siebie, koncentrował się, póki nie pojawił się błysk światła. Płomyczek uniósł się i chwiał, ale kiedy pokład smagnął powiew wiatru, zamigotał i zgasł. Nathan nie zdołał go podtrzymać.

Czarodziej był zaskoczony i zbity z tropu. Nicci widywała, jak bez jednego spojrzenia tworzył kule oślepiającego ognia, żeby już nie wspominać o niszczycielskim ogniu czarodzieja. Rozsierzony, znowu się skoncentrował, a potem zachmurzył, kiedy pojawił się tylko nikły ogienek, ponownie zgaszony przez wiatr.

– To takie trudne? – zapytał Bannon.

– Nie czuję się dobrze, chłopcze – powiedział Nathan, najwyraźniej się usprawiedliwiając. – Magia wymaga skupienia, a mój umysł jest niespokojny. Poza tym za bardzo wieje jak na dobry pokaz.

Bannon był zawiedziony.

– Nie wiedziałem, że czarodzieje mogą czarować tylko w idealnych warunkach. Mówiłeś, że muszę być gotowy walczyć bez względu na to, jaki mam nastrój.

– Co ty wiesz o czarodziejach? – burknął Nathan. – W takiej sytuacji i twoje siarkowe patyczki nie zapalą ognia.

Urażony Bannon potwierdził.

Nathan powiedział bardziej pojednawczo:

– Nie twoja wina, chłopcze. Moja Han wydaje się... zaburzona. I nie

bardzo wiem, co na to poradzić.

– Twoja Han?

– Tak nazywamy moc magii, moc życia w nas, a szczególnie w czarodziejach. Han przejawia się rozmaicie u różnych ludzi. Moja Han była powiązana z prorokowaniem oraz zdolnością korzystania z magii, ale teraz to się rozplotło. Nie wiem, czy to unormuję.

– A nie masz aby choroby morskiej? – zapytał odrobinę kpiąco Bannon.

– Może właśnie w tym rzecz – mruknął Nathan.

Nicci, zaniepokojona tym, co widziała, zastanawiała się, co też może trapić czarodzieja. Po odmienieniu się świata Nathan stracił dar prorokowania, lecz to nie powinno wpłynąć na samą istotę jego magicznej mocy. A czar ognia powinien być łatwy.

– Idę do kajuty. – Nathan się odwrócił, starając się zachować godność i równowagę na chwiejącym się pokładzie. – Jestem głodny. Przyjdę do kambuza na kolację.

Nicci też postanowiła schronić się w kajucie. Nie chciała denerwować przesądnych marynarzy, zostając na pokładzie przy pogarszającej się pogodzie.

Chociaż czarodziejka była posągowo piękna, to Sol od chwili, kiedy ją zobaczył, wiedział, że jest zła i niebezpieczna. Jego towarzysze widzieli tylko kształtną figurę, długie blond włosy i twarz jeszcze bardziej uroczą niż u Matki Morza.

Marynarze, tkwiąc samotnie na statku, długo na morzu, zwykle zaniżają kryteria urody, ale nie można było zaprzeczyć, że Pani Śmierci była piękniejsza od najdroższej dziwki w najczystszym zamtuzie w Serrimundi. I w zasięgu ręki. Ilekroć paradowała po pokładzie, czarna suknia przylegała



do jej ciała i falowała wokół niej na wietrze, napinając się na pełnych piersiach. Sol wyobrażał sobie, że są miękkie i sprężyste, aż się proszą, żeby je pomiętosić. Próbował sobie wyobrazić brodawki, dumając, czy są ciemne czy blad różowe, czy zachłysnęłyby się oddechem, gdyby je uszczypnął.

Dwaj pozostali poławiacze też rościli sobie do niej prawa, ale Sol był ich szefem i będzie pierwszy. Dwaj towarzysze nie żyli, a ocaleńcom coś się należało. Czarodziejka była im winna parę numerków. Prawdę mówiąc, była im winna życie zamordowanych przyjaciół. W jakiś sposób magicznie przywołała podwodne potwory, żeby ich zabiły. Przez wiele dni kpiła z poławiaczy, ignorowała ich awanse, obrażała – a teraz Pell i Buna nie żyją. To była jej wina.

W Serrimundi Sola i innych poławiaczy pereł marzeń uważano za bohaterów. Od najmłodszych lat rodzice uczyli go głęboko nurkować, a potem sprzedali mentorowi za część z Solowych zbiorów pereł, wypłacaną im przez następne pięć lat. Mentor szkolił go – a to oznaczało, że co rusz próbował młodego Sola utopić, przywiązując mu do kostek obciążniki, opuszczając go na dno głębokiej laguny i odliczając minuty. Nie wyciągał żadnego z uczniów na upragnione powietrze, póki nie uznał, że już dość czasu tkwili pod wodą. Ponad jedna trzecia uczniów wypływała martwa, z płucami wypełnionymi wodą, wytrzeszczonymi oczami, rozdziawionymi ustami.

Sol raz też byłby się utopił, ale wykaształ wodę i wrócił do życia. To wtedy zrozumiał, że będzie z niego poławiacz pereł marzeń. Mógł mieć każdą mieszkankę Serrimundi, której zapragnął, i zazwyczaj je brał. Wszystkie jego kochanki oczekiwały, że dostaną w darze perły marzeń, a on szczerze je rozdawał. Zawsze mógł nałowić nowych.

Wydawało się, że na południowych rafach są nieprzebrane ilości muszli w kształcie złożonych dłoni, lecz kapitan Corwin płacił mu nie tylko perłami.

To była lukratywna umowa, zapewniająca Solowi i jego towarzyszom status i wpływy, ilekroć wracali do portu.

Lecz Pell i Buna już nie wrócą do domu. Przez Nicci. Wyniosła czarodziejka sądziła, że jest nietykalna, że nie odpowie za zabicie jego przyjaciół, ale Matka Morza domaga się sprawiedliwości i Sol wiedział, jak ją wymierzyć.

Wyjawił swój plan Eginowi i Romie, a potem spotkali się na pokładzie, gdzie marynarze zostawili puste muszle. Większość już wyrzucono za burtę, ale trochę zostało, zapomniano o nich po wypadku i szybkiej ucieczce z rafy.

Teraz poławiacze wydłubali z nich nożami niejadalne i bezwartościowe tkanki małży, Sol coś wiedział o tych szczególnych muszlach. Gruczoł małży zawierał toksynę – truciznę na tyle silną, żeby unieszkodliwić nawet czarodziejkę.

Trzej poławiacze szybko zbierali tę wydzielinę, bo kucharz miał wkrótce szykować kolację.

Bannon pełnił pierwszą wachtę w gęstniejącej nocy i był spięty. Na Chiriyi widział wiele groźnych sztormów szalejących na oceanie, huraganowe wichry smagające płaską wyspę i zrywające dachy. Rybackie łódki w zatoczkach trzeba było mocno uwiązywać albo wyciągać daleko na brzeg.

Nigdy nie był na morzu podczas sztormu, lecz wyczuwał w powietrzu niebezpieczeństwo. Gwałtowne porywy wiatru prawie pozbawiały go oddechu. Nie podobały mu się czarne chmury i uderzenia wichru.

Pozostali marynarze zeszli pod pokład i tam grali w rozjaśnionym latarnią półmroku. Niektórzy kołysali się w hamakach, próbując spać, podczas gdy *Tnący Fale* przechylał się z burty na burtę; inni rzygali do wiader, które

potem opróżnią do morza.

Bannon się wystraszył, kiedy pojawiły się obok niego trzy wysokie postacie; szczupli mężczyźni bez koszul nawet w wichrze i zimnym deszczu. Sol, szef poławiaczy pereł marzeń, trzymał naczynie przykryte drewnianą pokrywką.

– Kucharz kończy podawać kolację.

Bannonowi pociekła ślinka, choć mdliło go od kołysania się pokładu. Cały dzień nie jadł.

– To dla mnie?

Rom łypnął na niego gniewnie.

– Ty dostaniesz swoją porcję, jak skończysz wachtę. Ale kucharz chciał mieć pewność, że czarodziejka coś zje.

Bannon zmarszczył brwi.

– Nigdy wcześniej tego nie robił.

– Wcześniej nie mieliśmy takiego sztormu – powiedział Egin. – Lepiej, żeby pasażerowie zostali w kajutach. Jeśli głupcy łaziliby w wichrze, mogliby wypaść za burtę. Kapitan chce, żeby mu dodatkowo zapłacili, jak dotrzemy do portu.

Bannon kiwnął głową. To miało sens.

– Już zanieśliśmy posiłek czarodziejowi, ale czarodziejka... – Sol odwrócił wzrok, jakby zawstydzony. – Nie byliśmy dla niej mili, ubliżaliśmy jej. – Wetknął naczynie Bannonowi w ręce. – Lepiej, żebyś ty jej to zaniósł.

Rom przytaknął.

– Tak, byłoby niezręcznie, gdybyśmy my to zrobili.

– Yhm – zgodził się Egin.

Bannon był nieufny. Nigdy przedtem poławiacze pereł nie byli na posyłki

u kucharza. No, ale większość załogi przebywała pod pokładem. A poławiacze rzadko wykonywali jakąś robotę, toteż był rad, że tym razem się włączyli. Może śmierć towarzyszy ich odmieniła.

Poza tym Bannon się cieszył, że ma okazję odwiedzić Nicci.

– Zaniosę – powiedział.

## ROZDZIAŁ 13

Statkiem miotał wzmagający się sztorm. Nicci przyglądała się naczyniu, które Bannon przyniósł jej do kajuty. Podniosła pokrywkę i powąchała.

– To zupa rybna – powiedział chłopak, zadowolony, że może jej usłużyć. Statkiem zarzuciło i chwycił się drzwi kajuty, lecz nie przestał się uśmiechać.  
– Kucharz chciał mieć pewność, że zjesz.

– Tak. – Nicci nie miała zamiaru wychodzić w wietrzną noc na posiłek w kambuzie. Młody człowiek był taki ochoczy, taki troskliwy. Wiedziała, że gdyby nie przyjęła stawy, toby się dalej naprzykrzał. – Dziękuję.

– Mam wachtę. Muszę wracać do obowiązków. – Bannon najwyraźniej miał ochotę z nią pogawędzić i liczył na to, że poprosi, by jeszcze chwilę został.

– Tak, musisz wracać do obowiązków.

Nicci wzięła naczynie rozsiewające smakowite aromaty i – kiedy chłopak niechętnie wyszedł – zamknęła cienkie drzwi kajuty.

W jej kajucie z wąskim zasłoniętym okiennicą bulajem znajdowały się miednica, mała półka i twarda mała koja z wełnianym kocem, lampka oliwna rozjaśniała pomieszczenie migotliwym płomykiem.

Czarodziejka, siedząc na koi, wyszczerbioną drewnianą łyżką zamieszała mętny bulion. Kawalki ryby pływały wśród przywiędłych ziół, guzowatych bulw i kawałków cebuli. Zaczęła jeść. Smak był cierpki, zupę przyprawiono nieznanymi przyprawami.

Służąc imperatorowi Jagangowi, podróżowała po Starym Świecie, jadła wiele osobliwych potraw, kosztowała smaków miłych jedynie wygłodzonej kobiecie. Należała do nich i ta potrawa, pewnie dlatego, że w zupie zwarzyło

się mleko. No, ale musiała coś zjeść. To była tylko strawa, nic więcej.

Kadłub trzeszczał i kołysał się. Na statek napierały fale i nasilający się wicher. Skończyła jeść, skręciła knot w lampce i zgasiła płomyk. W ciasnej kajucie zapanowała ciemność, słychać było odgłosy zmagającego się ze sztormem statku.

Nicci położyła się na koi i spróbowała zasnąć. Burczało jej w brzuchu. Opatuliła się kocem, dygotała. Trzęsła się coraz bardziej. Poczowała skurcze mięśni, głowa ją łupała.

W godzinę zrozumiała, że zupa była zatruta. Nie zwyczajnie nieświeża, lecz zawierała jakąś śmiertcionośną substancję. Powinna była się zorientować. Być bardziej ostrożna. Już tylu ludzi przedtem chciało ją zabić.

Ale nie mogła pojąć, czemu *Bannon* miałyby ją otruć. Nie, nie mogła w to uwierzyć. Prostuduszny, żarliwy chłopak nie był intrygantem czy zdrajcą. Ufnie przyjęła potrawę, bo to *on* ją przyniósł.

Pewnie go oszukano.

Zwinęła się w kłębek, ciężko dysząc, starając się ugasić ogień we wnętrznościach. Pot pokrył jej skórę, a dreszcze stały się tak silne, że przypominały konwulsje. Miała wrażenie, że ktoś wbija jej w brzuch dzidę z zadziarami i wierci nią we wnętrznościach, aż się wystraszyła, że może je wyrwać, jak tamtemu poławiaczowi pereł.

Ledwo widząc i niemal nie mogąc myśleć, zwlokła się z koi i chwiała na słabych nogach. Kolana się pod nią ugiwały, ale chwyciła się desek. W głowie jej się kręciło. Zbierało się jej na wymioty, jakby niewidzialna ręka zagłębiła się jej w gardło i próbowała wywlec wnętrzności.

Bezwładnie oparta o ścianę kajuty, sama tak się chwiała, że prawie nie zauważała chwiejby *Tnącego Fale* na wzburzonym morzu. W oczach się jej ćmiło, ale w kajucie było ciemno, więc i tak niewiele by widziała. Mięśnie jej

wiotczały.

Musiała znaleźć pomoc – dotrzeć do Nathana. Nikt inny nie przychodził jej na myśl. Może czarodziej zdoła usunąć truciznę, uleczyć jej skutki. Ale nie mogła trafić do drzwi. Kajuta wirowała.

Znowu ją zemdliło – i tym razem zwymiotowała na podłogę – ale trucizna już się wsączyła. Próbowwała przywołać magiczny dar, by dodał jej siłę, a przynajmniej pomógł wydostać się z tej pułapki, ale była za bardzo oszołomiona. Jej myśli wirowały niczym koło najeżone ostrzami.

Musiała się wydostać, znaleźć drogę na pokład – miała nadzieję, że świeże powietrze ją ocuci.

Dotykała ścian kajuty, zmuszała się do skupienia uwagi, wiedząc, że znajdzie drzwi, jeśli się nie podda. Jak mogłaby się zgubić w tak ciasnym pomieszczeniu? Natrafiła na małą półkę i uwiesiła się na niej tak mocno, że gwoździe puściły i spadła na podłogę. Nicci upadła i popęzła po podłodze, ręce ślizgały się jej w wymiocinach. Kiedy odnalazła koję, zdołała się podnieść na nogi. Namacała ścianę i powolutku ruszyła wokół kajuty, jeden wymęczony krok za drugim.

Pokład się chwiał, ale musiała znaleźć wyjście. Wiedziała, że tu jest... gdzieś blisko.

Drzwi kajuty gwałtownie się otworzyły, pchnięte przez kogoś. Nicci zatoczyła się do tyłu i z trudem złapała równowagę. Zobaczyła tłoczących się w progu trzech mężczyzn. Wiedziała, że Bannon jest na wachcie, Nathan w swojej kajucie, a reszta załogi siedzi pod pokładem, kryjąc się przed sztormem.

Była samiuteńka.

Stali przed nią trzej poławiacze pereł marzeń. Rom trzymał mocno przykręconą lampę. Nadal byli bez koszul. Chwiejne światło lampy rzucało

mroczne cienie, uwydatniając ich mięśnie. Luźne spodnie ciasno przewiązali w pasie. Nicci zmaconym wzrokiem zauważyła, że Sol jest podniecony, jego męskość napierała na tkaninę niczym krótki twardy harpun.

Cofnęła się o krok w głąb kajuty. Kolana znowu się pod nią ugiwały. Sol, widząc jej bezsilność, wybuchnął śmiechem. Pozostali się przyłączyli, ochryple rechocząc.

– Czarodziejka coś kiepsko się czuje – powiedział Egin i zaśmiał się z własnego żartu.

– Za chwilę znajdzie się pode mną – oznajmił Sol. Wepchnął się do kajuty, tamci zaraz za nim. – Będiesz za słaba, suko, żeby się szarpać czy użyć swoich złych czarów, a kiedy z tobą skończymy, będziesz za bardzo obolała, żeby się ruszyć.

– Odejdźcie – wykrztusiła Nicci i zmusiła się, żeby dodać: – To wasza ostatnia okazja.

– Ja się załapię na pierwszą – rzekł Sol. – Potem przyjdzie kolej na tych dwóch.

Niedbałym gestem powalił Nicci na koję. Krzepki mężczyzna stanął nad nią, wcisnął jej ramiona w pozwijany koc i gmerał przy staniku sukni. Odpychała jego ręce, usiłowała drapać. Chociaż była słaba i nie mogła przywołać swojej mocy, to jej paznokcie były groźną bronią i wryła mu głębokie ślady na przedramionach. Sol mocno uderzył ją w twarz i głowa Nicci walnęła o koję. Zrobiło się jej słabo, ale ból nie był gorszy od tego, który zadawała jej trucizna.

Sol zdarł górę sukni, odsłaniając piersi.

– Daj no tu lampę, Rom. Chcę je obejrzeć.

Mężczyźni gapili się pożądliwie, rechocząc. Sol powiedział:

– Różowe sutki, jak myślałem! Dobrze je wreszcie zobaczyć na własne



oczy, kiedy się o nich marzyło całymi dniami. – Położył łapę na lewej piersi i miażdżył ją, ścisnął mocno.

Nicci walczyła z trucizną, lecz sięgnęła w głąb umysłu, starała się zebrać siły. Gwałcono ją i przedtem – nie tylko Jagang, ale i jego żołnierze, niezliczone razy zmuszał ją, żeby służyła w ich namiotach – to miała być kara... szkolenie. Potężny imperator mógł to zrobić, lecz ci nic niewarciu osobnicy nie byli Nawiedzającymi Sny. Byli odrażający.

Gniew sprawił, że krew w niej zawrzała. Trucizna, jakakolwiek by była, to tylko chemia – dar Nicci był od niej silniejszy. Była Siostrą Mroku. Miała umiejętności skradzione czarodziejom, których zabiła. Mogła przyzwać kulę ognia i spopielić tych gnojników, ale przy tym mógłby spłonąć *Tńczy Fale*.

Nie, musiała znaleźć inny sposób, bardziej bezpośredni. I osobisty.

Sol, stękając, szarpał się z wiązaniem spodni. Rozchylił je, ukazując sterczący penis.

– Po tych twoich przechwałkach – zdołała wykrztusić Nicci – spodziewałam się czegoś większego.

Egin i Rom znowu zarechotali. Sol ponownie ją uderzył, potem chwycił za uda i siłą je rozłożył.

To się już tyle razy przedtem działo. Wtedy była bezradna. Zmuszona to znosić.

Ale teraz nie musiała tego cierpieć. Nawet osłabiona trucizną była silniejsza od tych mętów. Lepsza od nich. Poczuła w dłoniach migotanie ogników, niewiele większych od tych, które Nathan przyzwał na wietrznym pokładzie. Ale to wystarczy.

Uderzyła żarzącymi się dłońmi w nagie barki Sola, parząc mu skórę. Wrzasnął i odskoczył. Nicci posłała więcej daru w płomyki, ale zamigotały i zgasły.

Wystraszeni poławiacze się cofnęli.

– Dalej może czarować.

– Ale nie za bardzo – warknął Sol i znowu do niej doskoczył.

Przyzywanie ognia zwykle było łatwe, ale widziała, jak Nathan się z tym męczył. Znała jednak więcej prostych zaklęć. Mogła przemieszczać powietrze, wywoływać wichry i prądy. Teraz zaklęła powietrze w kajucie nie w wiatr, lecz w *pięść*.

Cios niewidzialnej pięści znów odrzucił od niej Sola – tak się wystraszył, że stracił erekcję. Pozostali dwaj nie – świadczyły o tym wybrzuszenia w spodniach; pewnie podniecała ich tak sama perspektywa gwałtu, jak i oczekiwanie fizycznej rozkoszy.

Sol wziął się w garść.

– Suko, kładź się i...

Nicci zignorowała truciznę, zawroty głowy, dręczącą ją słabość. Ponownie przyzywała powietrze, zestaliła je, tworząc broń.

Na zewnątrz sztorm się srożył, wichry uderzały w *Tnącego Fale*. Łało tak, że załoga mogła nie słyszeć jej wyczynów w kajucie. Lecz jeśli zmusi ich do wystarczająco głośnych wrzasków, to ktoś mógłby jednak usłyszeć.

Uformowała z powietrza dłoń... potem pięść. Zacisnęła ją na jądrach Sola. Wrzasnął przerażony.

Uformowała z powietrza jeszcze dwie dłonie i zacisnęła na klejnotach tamtych dwóch. Krzyknęli i machali rękami, starając się odepchnąć niewidzialną siłę.

– Ostrzegałam was. – Wstała z siennika, nie dbając o to, że wciąż ma odsłonięte piersi, i patrzyła na nich gniewnie błękitnymi oczami. – Ostrzegałam was, a teraz wybierajcie. Mam je urwać czy tylko zmiażdżyć?

Sol, z twarzą wykrzywioną wściekłością, skoczył ku niej. Nicci mocniej

zaciśnęła niewidzialną dłoń na jego kroczu, a potem skręciła ją, jakby odkręcała słoje. Zaciśnęła powietrzną pięść, aż poczuła, jak jego jądra pękają niczym winogrona. Sol zawył z bólu.

Nie dając tamtym okazji do błagania, bo nie miała zamiaru okazywać litości, też zmiążdżyła im jądra – padli na podłogę kajuty, jęcząc i skowycząc.

– Sądzę, że wolelibyście, żebym was zabiła. – Zasłoniła piersi. – Zawsze mogę zmienić zdanie. – Stojąc dumnie na uginających się nogach, patrzyła z pogardą na wijących się mężczyzn. – Nawet potraktowana trucizną jestem lepsza od was.

Ale nie zdążyła uprzątnąć bałaganu, bo w statek uderzył główny sztorm.

## ROZDZIAŁ 14

Oddychający powietrzem złodzieje płynęli w swoim wielkim okręcie, bezbronni na granicy pomiędzy wodą-domem a niebem. Ciemny kadłub ciął fale wysoko w górze, odległy, lecz w zasięgu. Styk wody i powietrza był wzburzony, rozkołysany, co wskazywało na gwałtowny sztorm na powierzchni. Kruche istoty tam, na górze, pewnie walczyły o życie z wichrem i deszczem, lecz tu na dole woda była spokojna i ciepła. Prawdziwy dom.

To nie selka wypowiedzieli wojnę.

Prądy niosły ledwo słyszalne echa szalejącego sztormu. Królowa selka wyczuwała różnicę w delikatnym smaku soli w wodzie przepływającej przez wąskie szczeliny skrzelowe na szyi. Selka byli daleko od labiryntu raf, gdzie trzymali swoje cenne skarby, lecz królowa nadal wyczuwała w wodzie cierpki, obcy posmak ludzi.

Płynęła szybciej niż rekin, mocno pracując dłońmi o palcach połączonych błoną pławną, jej piękna gładka skóra prześlizgiwała się przez wodę. Za królową, niczym ławica drapieżnych ryb, podążała jej armia. Smukłe jak miecze ciała rozgniewanych selka śmigały przez prądy, ich szpony mogłyby zmiażdżyć krakena. Królowa wiele razy wykazywała się w podwodnych walkach, własnymi rękami wybebeszając ryby młoty, wywlekając im wnętrzności w chmurach ciemnej krwi. Lud selka pamiętał dni wielkich ludzkich wojen sprzed tysiący lat... kiedy to stworzono ich rasę. To były legendarne czasy, czasy zniewolenia.

Dzieje selka opowiadały, jak ludzcy czarodzieje torturowali i wbrew woli zmieniali ich przodków, przemieniając bezbronnych pływaków

w śmiertelnością podwodną broń, żeby walczyli w ich wojnach. Wtedy selka byli postrachem mórz, zatapiali okręty nieprzyjaciela.

Lecz to było dawno temu i oddychający powietrzem czarodzieje, ich panowie, zapomnieli o selka. Porzuceni wojownicy wycofali się w głębokie chłodne wody, zbudowali sobie domy w rafach i na dnie morza. Teraz selka byli wolnym ludem – swawolili, łączyli się w pary, badali swój świat. Mieli własną cywilizację, nieznaną wdychaczom powietrza, trwającą w spokoju.

Póki ludzie się nie wmieszali, póki złodzieje nie wdarli się w labirynt raf, zabierając to, co dla selka najcenniejsze, czego się nie da odzyskać. Te wszystkie marzenia...

Selka zabili i pożarli dwóch złodziei, którzy zanurkowali po perły marzeń. Pojmali nurków i przytrzymali na dole. Królowa wiedziała, że słabi oddychacze powietrzem raz-dwa utoną, że powietrze uleci z ich wymęczonych płuc. Ale taka spokojna śmierć byłaby niewystarczającą karą. Długimi szponami rozdarła gardło pierwszemu nurkowi i patrzyła, jak gwałtownie bucha krew.

Drugi nurek usiłował uciec, ale nie zdołał się wyrwać. Kiedy jej ludzie się zgromadzili, żeby pić krew płynącą z rany pierwszego nurka, królowa selka ujrzała w oczach tamtego przerażenie, obserwowała, jak – wstrząśniętemu i zdumionemu – powietrze uchodzi z płuc. Zanim w jego oczach zgasło światło, i jemu otworzyła gardło i pozwoliła się napić swoim ludziom.

To był początek – ale to nie wystarczyło.

Królowa po kształcie widocznego w górze kadłuba oraz posmaku, jaki zostawiało w wodzie jego porośnięte pąklami drewno, poznała, że to ten sam statek, który już kilka razy okradał rafy. Wiedziała, że wróci, i dlatego muszą go powstrzymać. Może jedna walka wystarczy, jeżeli zabiją całą załogę i zatopią statek. Może ludzie okażą się na tyle rozsądni, żeby trzymać się z daleka.

Może... a może nie. I wtedy to będzie wojna totalna.

Jej ludzie byli głodni krwi. Ludzka krew miała bardziej cierpki, wyrazistszy smak niż rybia. Tej nocy selka napiją się do syta.

Skierowała się ku wiszącemu nad ich głowami statkowi. Ponad setka jej żołnierzy podpłynęła do kadłuba i wczepiła się pazurami w oślizłe drewno. Pracując nogami i rękami, wydostali się na nieprzyjazne powietrze i wspięli na burzę.

Nicci przeszła ponad trzema leżącymi na podłodze jęczącymi wykastrowanymi mężczyznami, taplającymi się w jej wymiocinach, ignorując ich. Nadal była osłabiona działaniem trucizny, ale zadowolona z tego, że na dobre unieszkodliwiła niedoszłych gwałcicieli. Stali się zupełnie niegroźni, nie musiała się już nimi przejmować.

*Tnącym Fale* miotał sztorm i Nicci obijała się o ściany wąskiego korytarza, starając się dotrzeć do kajuty Nathana. Ciekawa była, czy stary czarodziej słyszał wrzaski, ale wicher tak wył, że ledwo mogła myśleć. Nadal łupało ją w głowie. Nagle zgięła się wół i zwymiotowała. Miała nadzieję, że czarodziej jej pomoże, usunie z niej truciznę.

Kiedy dotarła do jego kajuty, zastała drzwi otwarte na oścież. Wyszedł na pokład, w wicher i bryzgi fal. Także wydostała się na zewnątrz, w twarz uderzyły ją zimne krople deszczu, to ją orzeźwiło. Wicher rozwiął jej włosy. Nabrała powietrza w płuca i zawołała Nathana.

Dojrzała go – trzymał się liny u podstawy bezanmasztu. Długie siwe włosy opadały mu na ramiona niczym mokre sznury. Zawinął się w sztormiak, ale w tej nawałnicy z pewnością przemókł. Twarz miał ściągniętą, zielonkawą i Nicci się zastanawiała, czy i jego nie otruto. Ale Nathana najprawdopodobniej tylko mdliło. U boku miał miecz, jakby chciał

walczyć z deszczem.

Nicci wstąpiła na zalewany falami pokład, jakby czerpała z deszczu energię, pozwalającą jej pozbyć się resztek trucizny. Czarna suknia była już przemoczona, ale czarodziejka utrzymywała się na nogach. Chwytała się wyblinki, żeby zachować równowagę, gdy statek to opadał w doliny fal, to się unosił na ich grzbietach.

Kiedy Nathan ją zobaczył, uśmiechnął się szeroko.

– Źle wyglądasz, czarodziejko. Czyżby sztorm ci zaszkodził?

– Trucizna mi zaszkodziła! – odkrzyknęła w wyjąłym wichrze. – Ale wyjdę z tego. Niestety kapitan Eli będzie musiał znaleźć nowych poławiaczy pereł – nie dodała nic więcej.

Nathan lekko skinął głową, wyciągając wnioski.

– Jestem przekonany, że potraktowałaś ich, jak należało.

Białogrzywe bałwany pieniły się nad dziobem, zalewając pokład. Kilka baryłek z zapasami wyrwało się z uwięzi, potoczyło po pokładzie, uderzyło o burtę, podskoczyło i wypadło, niknąc w falach.

Nathan mocno trzymał się liny, gromko się zaśmiał i wyprostował.

– Porządny sztorm i krzepka załoga stworzona do przygód, nie sądzisz?

Nicci próbowała stłumić ból rozsadzający jej czaszkę, pozbyć się ucisku w żołądku.

– Nie robię tego dla przygód, tylko dla lorda Rahla i jego imperium.

– A myślałem, że podobno masz uratować świat.

– Wiedźma tak uważa. – Zgięła się, bo targnęły nią torsje. – Niech Richard zbawia świat po swojemu.

Wachtowy w bocianim gnieździe przywiązał się dla bezpieczeństwa i trwał na posterunku, wypatrując skał, raf lub nieoczekiwanego wybrzeża.

Na kołyszącym się statku tkwił tam niczym na końcu odwróconego wahadła i trzymał się ze wszystkich sił.

Burzowe chmury przydusiły niebo niczym garota. Zygzaki błyskawic rozświetlały morze i olinowanie rozbłyskami płynnego srebra.

Nicci usłyszała znajomy głos i osłoniła oczy przed deszczem – przemoknięty Bannon schodził z rei. Miał u boku miecz, jakby mógł na niebie znaleźć nieprzyjaciół. To nie było wygodne, ale chłopak wszędzie go ze sobą zabierał. Nathan patrzył na młodego protegowanego z mieszaniną dumy i niedowierzania.

Bannon w połowie masztu wpatrzył się we wzburzone fale i wrzasnął coś niezrozumiale. Nerwowo na coś pokazywał.

Kiedy uderzyła kolejna wielka fala, statek mocno się przechylił. Woda przelała się przez pokład, zmywając liny, skrzynie i rupiecie. Uderzyła w jednego z młodych marynarzy trzymającego się relingu. Niosła go przez pokład – rozpaczliwie starał się czegoś chwycić i wreszcie mu się udało.

Nicci starała się zyskać kontrolę nad wichrem i powietrzem – choć na tyle, żeby złapać nieszczęsnego marynarza i go uratować. Potem zobaczyła, co tak przeraziło Bannona.

Dłonie marynarza ześliznęły się i już miał polecieć we wzburzone morze, kiedy jakaś *istota* przelazła przez burtę i go złapała; humanoidalna istota o dłoniach z błonami pławnymi i pazurami. Przerażony marynarz szukał ratunku, lecz stwór go złapał. Bładoskóre stworzenie jedną ręką chwyciło go za podartą koszulę, a drugą za mokre brązowe włosy.

Przez chwilę się wydawało, że oślizły stwór go uratował – ale potem otworzył gębę pełną ostrych, spiczastych zębów i wbił je w bok głowy marynarza, odgryzając połowę twarzy i górę czaszki. Biedak jeszcze szarpał się i krzyczał, a stwór rozdarł mu gardło i rzucił ciało na pokład.



Nicci instynktownie pojęła, kto to jest.

– Selka – wyszeptała. – To muszą być selka.

Marynarze podnieśli alarm, bo tuzin podobnych postaci wylazło z głębin i wspięło się na pokład *Tnącego Fale*.

## ROZDZIAŁ 15

Napastnicy byli połyskliwi, gładcy, pod szarozieloną skórą grały mięśnie. Nicci przypomniła sobie opowieść Nathana, że selka byli niegdyś ludźmi, których torturowano i przemieniono w rasę podwodnych wojowników. Te stwory sprawiały wrażenie, jakby już dawno zapomniały o swoim człowieczeństwie.

Szeroko otwierali szczelinowate usta, dysząc w sieczonym deszczem powietrzu i odsłaniając rzędy stożkowatych zębów. Ich duże oczy przesłaniała cienka błona, a źrenice się rozszerzały, kiedy patrzyli na nielicznych śmiałków pełniących wachtę. Ząbkowana płetwa biegła wzdłuż kręgosłupa od bezwłosej głowy, a na nogach i przedramionach mieli falbaniaste płetwy pływne.

Statek miotany potężnym sztormem był bezbronny. Marynarze z trudem wytrzymywali rozszałały żywioł, a teraz jeszcze pchali się na pokład wrodzy morscy ludzie. Wachtowi, wołając o pomoc, miotali się po pokładzie, szukając harpunów i haków.

Trzej selka smyrgnęli naprzód niczym ryby w strumieniu. Doświadczony żeglarz Karl złapał harpun i machał drzewcem, bo chwycił ten o grocie strawionym kwasem meduz i mógł go użyć jedynie jako pałki. Ale mimo to walczył. Walnął w twarz selka, rozplaszczając mu gładką głowę. Szczeliny skrzelowe zatrzepotały, zaczęła się z nich sączyć krew.

Dwa stwory rzuciły się na Karla. Wielki marynarz tłukł je, ale jeden go powalił i przytrzymał, a drugi otworzył mu pierś, rozłupując mostek i wrywając żebra. Obaj selka sięgnęli w otwartą ranę i wyszarpnęli śliskie wnętrzności, a Karl wrzeszczał w ogłuszającym wichrze.

Nicci trwała przy drzwiach na pokład rufowy, wciąż jeszcze walcząc z oszołomieniem i szukając w głębi siebie magii, jakiegokolwiek zaklęcia, które pozwoliłoby jej walczyć. Trucizna ją osłabiła, no i dopiero co poważnie nadwątlila siły, żeby rozprawić się z Solem i jego kolegami. Nie była w stanie atakować.

Niemniej zebrała ostatki mocy i spróbowała wyczarować kulę ognia, lecz wokół szalał wicher. Zimny, mokry podmuch uderzył ją w twarz i rozproszył. Ocierając z oczu słoną wodę, wykorzystwała gniew i w prawej dłoni rozblęsnął ogień. Nareszcie. Poczowała ulgę.

Zbliżał się selka, wlepiając w nią wąskie oczy. Skoczył w chwili, kiedy Nicci cisnęła kulę ognia, która roztrzaskała się na jego piersi. Poparzona skóra pokryła się pęcherzami, a selka wydał dziwny wrzask, rezonujący w trzepoczących szczelinach skrzelowych na jego szyi. Śmiertelnie ranny chwiejnie się cofnął i upadł na pokład.

Bannon zdołał się opuścić z wyblinek i nie zgubić przy tym miecza. Był przerażony, ale gotowy do walki. Nathan go zauważył, kiedy chłopak starał się dotrzeć do niego i czarodziejki.

– Pamiętaj, czego cię nauczyłem, chłopcze! – Głos miał surowy, ponury.

Tuziny kolejnych selka przelazły przez burtę i rzuciły się na marynarzy. Dwaj krzepcy żeglarze stali obok siebie, dźgając i siecząc ząbkowanymi grotami harpunów. Rozorywali pokryte śluzem skóry, zranili trzech napastników – ale rzuciło się na nich kolejnych piętnastu. Uderzali harpunami, póki pazurzaste dłonie nie wyrwały im ich z rąk. Potem selka ogarnięci morderczym szałem wykorzystali je przeciwko żeglarzom.

Bannon truchtał po rozkołysanym pokładzie, starając się utrzymać równowagę. Zaatakował potwory swoim mieczem. Klinga Niepokonanego była ostra i chłopak odrąbał ramię jednemu napastnikowi, po czym wzięł zamach i trafił drugiego w szyję, niemal odcinając mu głowę.

Z tyłu ruszył ku Bannonowi inny selka, wyciągając błoniaste dłonie, ale Nicci przyzwała kolejną kulę ognia i trafiła go w głowę. Płomienie zrobiły swoje, tkanki zadymiły i eksplodowały. Z wrzaskiem wyskoczył za burtę, porzucając swoją ofiarę.

Bannon gwałtownie się odwrócił, zamrugał ze zdumienia i wykrzyczał do Nicci podziękowanie.

Marynarze gromko wołali o pomoc. Część niemających wachty załogantów otworzyła w końcu luk i wyrzała spod pokładu. Widząc, co się dzieje, krzykiem zaalarmowali kolegów na niższych pokładach. Wreszcie zjednoczyli siły – chwycili, co tylko mogło służyć za broń, i wypadli na pokład.

Kiedy zdezorientowani marynarze wyłaniali się w sztorm, syczący selka ruszyli do luku. Drugi pojawił się wysoki chudy żeglarz, mistrz łatania żagli. Gdy tylko wychylił głowę, selka wsunął mu pazury pod brodę, wbił je w żuchwę i wyciągnął go jak rybę na haczyku. Marynarz wisiał, jego ręce i nogi drgały spazmatycznie, a potwór go wybebeszał, krew spływała na resztę próbujących się wydostać żeglarzy. Selka odrzucili ciało i zeszli po drabinie na dolne pokłady, gdzie wyłapali i pozabijali pozostałych załogantów.

Czterech napastników ruszyło ku Nicci. Deszcz lał, słona woda zmywała pokład. Czarodziejka – choć słaba i chora – stała, niewzruszona i wyzywająca. Czuli szalejący w niej gniew i napominała się, że była Siostrą Mroku, że ukradła magiczny dar wielu czarodziejom. Nawet osłabiona trucizną miała więcej mocy niż każdy wróg, z jakim te stwory kiedykolwiek się zetknęły.

Wicher wył, a ona zaczerpnęła z niego energię, przekształciła ją, przyciągnęła sztorm bliżej. Kiedy selka zaatakowali ją i Nathana, pchnęła powietrzny taran. Uderzenie wyrzuciło sześć stworów za reling, wysoko

w powietrze, i poniosło daleko na morze.

Nathan ruszył naprzód, unosząc ręce, próbując przywołać własny magiczny dar. Jego postawa i skupiona mina mówiły, że stara się rzucić potężne zaklęcie. Dziesięciu kolejnych selka wspięło się na statek i Nathan poruszył dłońmi, chcąc ich zasypać magicznymi pociskami – i... osłupiał, bo nic się nie stało. Znowu bez żadnego efektu poruszył dłońmi, a niezrażeni selka ruszyli ku niemu.

– Nathan! – krzyknęła Nicci.

Stary czarodziej wciąż usiłował przyzwać magiczny dar, ale mu się nie udawało. Był zbyt zdezorientowany, żeby się przestraszyć.

Bannon w samą porę znalazł się obok niego i ciał mieczem najbliższego selka. Ten padł, a chłopak dźgnął następnego, szczerząc się do czarodzieja:

– Uratuję cię w razie potrzeby.

Speszony Nathan popatrzył na dłonie.

– Nie powinienem tego potrzebować.

Nicci znowu przelotnie pomyślała, czy i czarodzieja otruto. Trzęsła się, kręciło się jej w głowie. Ostatnie zaklęcie pozbawiło ją sił, ale nie mogła sobie pozwolić na odpoczynek – wciąż było zbyt wielu napastników.

Blondwłose marynarz chwycił pustą beczkę i cisnął w selka, kiedy wielka fala uderzyła w pokład i zmyła ich obu. Marynarz poszedł pod wodę i Nicci nie zobaczyła, żeby się wynurzył.

Kapitan wypadł ze swojej kabiny.

– Selka! – wołał, jakby już kiedyś ich spotkał. – Niech was szlag, odczepcie się od mojego statku!

Miał ze sobą miecz i długi pręt, którym zwykle karciał niezdyscyplinowanych marynarzy. Z tą bronią ruszył ku napastnikom.

Selka rozpoznali kapitana i zaatakowali go, ale nie ustępował im pola na

mokrym pokładzie. Rzucali się na niego, a kapitan uderzał długim prętem i energicznie ciął mieczem trzymanym w drugiej ręce.

Odciał w nadgarstku błoniastą dłoń, bił i siekł, trzymając selka na dystans, lecz otoczyli go kolejni. Pręt miażdżył twarze, łamał ostre zęby, ale sięgały ku niemu ręce selka. Na koniec jedna chwyciła pręt i wyrwała go kapitanowi.

Otoczony chmarą przeciwników, walczył mieczem, siekąc i rąbiąc, ale selka wyrwanym mu prętem walnął go w nadgarstek i strzaskał przedramię.

Kapitan Eli z bólu stracił oddech, nie mógł już utrzymać miecza, wygięte ostrze upadło na pokład.

Nie mogąc walczyć, wycofał się do kabiny nawigacyjnej, ochraniając złamaną rękę. Zabarykadował drzwi, ale selka raz-dwa sobie z nimi poradzili – rozłupali drewno i wdarli się do środka. Po krzykach kapitana dał się słyszeć brzęk tłuczonych szyb w rufowych bulajach. Jego ciało, wyrzucone w noc, spadło w ciemną wodę. Morskie stwory skoczyły za nim, żeby ucztować, nim zatonie.

Sztorm szalał. Nathan bez skutku starał się przywołać swój dar, Nicci zaś wykorzystywała każdą znaną jej sztuczkę. Przyzwała splot magii addytywnej i subtraktywnej, by uzyskać czarną błyskawicę. Pierwszy rozbłysk przeszył selka serce, pozostawiając dymiący krater.

Stojący obok niej Nathan był przygnębiony.

– Magia... Nie mogę odnaleźć swojego daru! Zniknął. – Znowu uniósł ręce, żeby rzucić czar, zgiął palce, lazurowe oczy zalśniły gniewem, ale nic to nie dało. – Zniknął!

Nicci nie miała czasu, żeby się zastanawiać, co z nim jest nie tak. Zdesperowana zdołała przywołać śmiertcionośny ogień czarodzieja. Sycząca kula zawirowała jej w dłoniach, uwolniła ją. Przecięła powietrze niczym kometa i otoczyła czterech selka, którzy osaczyli samotnego marynarza. Jego

krzyki nabrały innej barwy, a potem nagle ucichły wraz z sykliwymi, pełnymi bólu wrzaskami selka, kiedy ogień pochłonął ich wszystkich.

Lecz niekontrolowany ogień czarodzieja nadal się rozprzestrzeniał, zwęglał stertę beczek, podpalając pokład i kadłub. Magiczny pożar wszystko trawił, ale fale i ulewny deszcz w końcu go ugasiły.

Nicci osłabła, nie potrafiła oszacować, ile jeszcze zostało jej energii, a wiedziała, że musi walczyć, bo selka wciąż atakowali.

Trzej z trudem trzymający się na nogach mężczyźni wypełzli wreszcie na pokład rufowy. Poławiacze pereł człapali niezdarnie, oślepieni i dezorientowani. Sol, Egin i Rom ledwo się ruszali i na pewno nie mogli walczyć.

Lecz nie byli całkiem bezużyteczni. Przynajmniej na chwilę przyciągnęli uwagę selka.

Dwa morskie stwory zbliżyły się do poławiaczy. Oczy Sola pełne były bólu i krwi. Wyciągnął rękę, jakby nie zdawał sobie sprawy, że selka nie są jego współzałogantami. Morski stwór zacisnął dłoń na jego gardle i rzucił na ścianę nadbudówki, drugą ręką uderzył go w brzuch. Wygięty pazur wbił się głęboko w kość łonową i powoli sunął w górę, rozcinając biedaka od krocza po szyję, niczym nóż rybaka patroszącego rybę. Ukazały się trzewia, płuca i serce. Kiedy Sol stracił przytomność, selka podał go towarzyszowi, a ten szerzej go otworzył, zatopił stożkowate zęby w jego piersi, zaczął pożerać serce.

Kolejne stwory pochwyciły mamroczącego Egina, który bił gołymi rękami, kiedy potwory i jego otworzyły i się nim dzieliły.

Trzeci poławiacz, Rom, odwrócił się i usiłował uciec, ale selka chwycił go i rozplatał mu plecy, wyrywając kręgosłup z kilkoma żebrami. Potem wyszarpał resztę żeber i rzucił na pokład wór skóry i mięsa.

Nathan zrezygnował z walki za pomocą czarów. Wydobył z pochwy swój piękny miecz i uniósł go, rzucając wyzwanie morskim ludziom. Razem z Bannonem – ramię przy ramieniu – zaatakowali potwory. Bannon z zaciętą miną machał Niepokonanym jak drwał wyrabujący sobie drogę przez leśny gąszcz.

Czarodziej wszedł w nową dla siebie rolę fehmistrza. Dla swobody ruchów zrzucił sztormiak i zatoczył mieczem zgrabny łuk, trafiając stwora pod brodą i rozcinając go od gardła aż po kręgosłup. Gwałtownie się odwrócił, ciął i rozorał drugiemu bark i pierś.

Nicci dochodziła do siebie po przyzwaniu ognia czarodzieja, kiedy zaatakowali ją dwaj selka. Znalazła tyle energii, żeby ich odepchnąć powietrzną barierą, ale nie miała siły, by ich wyrzucić za burtę. Po chwili selka wrócili, jeszcze bardziej rozzłoszczeni, a ona stawiała im czoło.

Przerażony marynarz, próbując uciec, wspinał się po wyblinkach. Dotarł na reję grotmasztu i wciągnął się do bocianiego gniazda. Kiedy selka go tam zobaczyli, bezbronnego, zaczęli się gromadnie wspinać po linach, a on nie miał już dokąd uciec.

Błyskawica z hukiem uderzyła w top, roztrzaskując maszt w drzazgi i zrzucając marynarza z bocianiego gniazda. Jego dymiące ciało było już wiotkie, kiedy wpadł do wody.

Piorun zrzucił również wspinających się selka. Jeden z nich chwycił się zwiniętego grotzagla i rozdarł płótno pazurami. Strzaskany maszt, skrzypiąc, pochylił się i zwalił w olinowanie, łamiąc fokmaszt.

Kiedy zrozpaczony Nathan obserwował te zniszczenia, jeden ze stworów skoczył na niego od tyłu i podarł mu elegancką nową koszulę. Bannon pchnął selka mieczem w żebra i nadział jak na rożen. Wytężył wszystkie siły, żeby oderwać umierającego stwora od czarodzieja, potem stanął mu na oślizłej pierśi i wyszarpnął miecz.



– Dziękuję, chłopcze – powiedział Nathan, nie wierząc własnym oczom.

– Dobrze mnie wyuczyłeś – odparł Bannon.

Nicci sięgnęła w głąb siebie po kolejną iskierkę energii, żeby przyzwać drugą kulę ognia czarodzieja, ale wiedziała, że to nie wystarczy.

Bannonowi zrzęda mina, kiedy spojrzał ku dziobowi.

– Słodka Matko Morza, wciąż nadciągają!

## ROZDZIAŁ 16

Sztormowe fale przewalały się przez pokład, ale i tak nie zmyły krwi marynarzy. Napastnicy pożerali swoje ofiary, walczyli o serca i wątroby, obgryzali ręce i nogi.

Nicci przyzwała kolejną niebiesko-czarną błyskawicę i smagnęła nią selka niczym dziewięciorzemienną dyscypliną. Woń przypieczonego mięsa i miedziany odór zmieszały się z mocnym swędem słonawego śluzu.

Potem pod Nicci ugięły się nogi, ledwo mogła utrzymać równowagę, ciągle walczyła z mdłościami i pulsującym bólem głowy. Nathan ją osłaniał. Jego magia zawiodła, ale miecz siał śmierć.

Bannon, niestrudzony i wściekły, dźgał i siekł, ale zapomniał chronić swoją flankę. Dopadł go selka i rozorał mu pazurami lewe udo, lecz zanim zdążył narobić więcej szkód, przyskoczył Nathan i odciął mu głowę. Potoczyła się, a usta o grubych wargach mechanicznie otwierały się i zamykały, ukazując ostre zęby. Nathan wykopnął ją za burłę, jak piłkę w grze Ja'La.

Nicci wyczuła zmianę w napastnikach i spojrzała ku dziobowi w chwili, kiedy ponad relingiem przechodziła istota wspanialsza od pozostałych. Bez wątplenia była kobietą, jej połyskliwe zielonkawe ciało pokryte było jakby lamparcimi cętkami. Selka odwrócili się ku królowej i wpatrzyli w nią ze czcią.

Mimo wyjącego wichru, huczących fal i trzeszczących belek na *Tnącym Fale* zapadła cisza. Królowa stała na dziobie, zwrócona tyłem do pięknej figury Matki Morza. Przemówiła osobliwym, kwilącym głosem, jak gdyby przez całe swoje życie nie wymawiała słów na powietrzu – lub też słów

w zwykłym ludzkim języku:

– Złodzieje muszą umrzeć. Wasza krew to zbyt niska cena za szkody, jakie wyrządziliście.

– Niczego nie ukradliśmy! – zawołał Nathan.

Bannon szeroko otworzył oczy, jakby nagle pojął. Potem zrozumiała i Nicci.

– Perły marzeń – wyszeptała.

Królowa selka powiedziała:

– Perły marzeń to ziarna naszych pragnień i snów. Łzy naszych serc, nasz największy skarb. Selka już nie należą do waszej rasy, do waszego świata. Przybyliśmy odebrać nasze marzenia. Nasze perły.

Martwych marynarzy było na pokładzie o wiele więcej niż żywych. Statek był niemal zniszczony, grotmaszt złamany, fokmaszt strzaskany, tliły się resztki żagli i połamane reje. Okrutni selka kłębili się we wnętrzu statku, przetrząsając dolne pokłady i ładownię. Kolejne wrzaski towarzyszyły odgłosom uderzeń mieczy i pałek, dopóki nie zginęli ostatni marynarze.

Przez otwarty luk Nicci słyszała, jak rozpaczliwe muczenie krowy wznosi się crescendo, a potem milknie. Wkrótce na pokład wyszli trzej selka, niosąc kawały okrwawionego mięsa, i ofiarowali je królowej.

Kobieta wpatrywała się gniewnie w Nicci. Bannon i Nathan stali tuż obok siebie, osłaniając się wzajemnie. Na pokład wychynęli jeszcze dwaj krzepcy selka. Dźwigali drewnianą skrzynię, którą znaleźli za zamkniętymi drzwiami ładowni, z trzaskiem postavili ją przed królową. Wąskie oczy władczyni otworzyły się szeroko, kiedy jej poddani zdarli wieko z taką siłą, że wyrwali zawiasy i uszkodzili ścianki.

Skrzynia była pełna pereł marzeń, zebranych ledwie wczoraj.

Królowa wpatrywała się w skarb. Nabrała pereł w dłonie i uniosła je,

jakby były cudownymi kroplami. Podniosła twarz i wydała syczący okrzyk:

– Ziarna naszych snów!

Wrzuciła perły do wody – zwróciła je morzu. Nabrała w dłonie więcej pereł i delikatnie, z czułością sypała je w rozszalały ocean, jakby siała ziarno. W końcu opróżniła skrzynię.

Selka, jakby usłyszeli niewypowiedziany rozkaz, wznowili atak i rzucili się na ostatnich żyjących.

Bannon i Nathan stali na ugiętych kolanach po bokach Nicci, z mieczami w ręku, gotowi do walki na śmierć i życie. Kiedy napastnicy ruszyli ku nim, Nicci otworzyła się na magię, przywołała wszystko, czego się nauczyła i co ukradła innym czarodziejom. Chociaż niewiele mocy w niej zostało, zdołała wzbudzić ogień czarodzieja – ostatni desperacki czyn. W jej dłoniach pojawiła się mała rozżarzona kula, którą powiększyła zwyczajnym ogniem oraz jaskrawą aurą iluzji. Selka się wydawało, że trzyma w dłoniach słońce.

Skwiercząca kula ognia czarodzieja była gotowa, ale Nicci trzymała ją w rezerwie. Gdyby teraz ją wykorzystała, już nic by im nie zostało. Wątpiła, czy została w niej choć iskierka magii, którą mogłaby się bronić. Lecz właściwie nie potrzebowała magii. Zabrała nóż jednemu z zabitych marynarzy i mogła walczyć.

Królowa selka podeszła i stanęła przed nimi. Jej wojownicy powarkiwali i gulgotali. Nicci uniosła kulę ognia czarodzieja.

– Mogę tym zabić większość z was, w tym królową. Chciałabyś tego posmakować?

Władczyni była przerażająca i wspaniała. Mieszkańcy morza także się zbliżyli. Niektórych najwyraźniej zaciekawiał Bannon, ich szczeliny skrzelowe trzepotały. Królowa utkwiała w chłopaku wąskie oczy.

– Znamy cię – powiedziała wreszcie. – Ocaliliśmy cię. Czemu wróciłeś?

– Nie chcieliśmy zrobić nic złego. – Spojrzał na nią. Był zakrwawiony, ciało i twarz znaczyły ślady pazurów i rany, miecz ociekał krwią i śluzem selka, których zabił. Wyszeptał przerażony: – Myślałem, że selka są magicznymi istotami. Kiedy byłem młodszy, przywoływałem was na pomoc. Ale teraz widzę, że jesteście tylko potworami.

Rumieniec sprawił, że zniknęły cętki królowej, płetwy się usztywniły.

– *My jesteśmy potworami?!*

Pokładem wstrząsnął dochodzący z dołu huk – głucho, miażdżące uderzenie w kadłub. Selka rozbijali statek. Niebo znowu przecięła błyskawica.

Królowa popatrzyła na Nicci, która nawet nie drgnęła. Blask ognistej kuli odbijał się od połyskliwej zielonkawej skóry selka. Zabili ich tylu, a jeszcze ponad sześćdziesięciu stało przed nimi.

Całą załogę zabito i Nicci wiedziała, że kula ognia uśmierciłaby część stworów, ale nie wszystkie. Potem coś sobie przypomniała.

Wsunęła dłoń do ukrytej kieszeni i wyjęła perłę marzeń, którą dostała od Bannona tuż po wypłynięciu z Tanimury. Była chłodna w jej palcach. Zapewne ostatnia perła marzeń na pokładzie. *Ziarna marzeń i snów.*

Uniosła perłę w palcach wolnej dłoni i królowa zasyczała. Reszta stworów zawrzała ze złości. Gotowe były atakować mimo groźnej kuli magicznego ognia w ręku Nicci.

Selka bacznie się w nią wpatrywali, czarodziejka zaś rzuciła perłę tak daleko w morze, jak tylko zdołała, a wzburzone fale ją połknęły.

– Niech ryby wezmą moje marzenia – powiedziała. – Sama decyduję o swoim życiu.

Królowa popatrzyła na nią z szacunkiem i na koniec oznajmiła:

– *Może wy nie jesteście rabusiami.* – Odwróciła się do swoich. –

Skończyliśmy.

Skrwawieni selka złapali parę ludzkich ciał i pociągnęli za sobą w rozszalałe morze. Inni zabrali zabitych pobratymców.

Królowa długo stała przed Nicci tkwiącą przy strzaskanej burcie, wpatrując się w groźny ogień czarodzieja, a potem się odwróciła i wdzięcznym łukiem skoczyła w morze. Reszta jej ludu ruszyła za nią.

Zostawili Nicci, Nathana i Bannona, sztorm zaś kończył dzieło zniszczenia, które selka zapoczątkowali.

## ROZDZIAŁ 17

*Tnący Fale* był nie do uratowania. Dwa maszty złamane, podarte żagle powiewały niczym widmowe wstęgi. W walce uległy zniszczeniu dziób statku, liny i takielunek. Deski pokładu były połupane, a najgorsza rzeź rozegrała się na dolnych pokładach. Z otwartych luków unosił się odór krwi i wnętrzości.

Nicci i jej towarzysze – jedyni, którzy przeżyli – stali obok siebie, z napięciem czekając na kolejny atak podwodnych stworów. Czarodziejka, nie będąc w stanie podtrzymać magii, pozwoliła w końcu, żeby kula ognia czarodziejki w jej dłoni się rozproszyła. Miała nadzieję, że nie grozi im nowa napaść, chociaż królowa selka niczego nie obiecała. Kula ognia zniknęła i Nicci wzięła głęboki oddech. Z całej siły chwyciła się postrzępionych resztek wyblinki, żeby utrzymać się na nogach.

Kiedy statek znalazł się na grzbiecie wysokiej fali, a potem poleciał w dół, rzuciło ich na kolana.

– Żałuję, że nie mogłem ci pomóc, czarodziejko. – Nathan był tak wystraszony, jak i zbity z tropu. Popatrzył na swoje dłonie. – Nie mogłem doszukać się w sobie magii. Próbowałem przywołać zaklęcia, z których korzystałem całe życie, nawet te proste. I nie mogłem.

– To było w ogniu bitwy. Nie mogłeś się skupić – powiedział Bannon. – Ale twój miecz okazał się śmiercionośny. Uratowałeś mnie.

– O, spodziewam się, że więcej niż raz. – Nathan zmusił się do grymasu mającego być uśmiechem. – Ale i ty mnie ocaliłeś. Obydwaj dobrze się sprawiliśmy. – Wyprostował się i zaraz znowu przygarbił, spoglądając na Nicci. – Choć wytężyłem wszystkie siły, nie mogłem dotknąć mojej Han. –

Ostrożnie musnął palcami szyję. – Jest tu jakaś obroża, której nie mogę zobaczyć? Niewidzialna Rada’Han uniemożliwiająca mi korzystanie z daru?

Nicci świetnie wiedziała, jak Siostry w Pałacu Proroków kontrolowały mających dar chłopców dzięki obroży, która uniemożliwiała im czerpanie siły życiowej. Nathan jako pojmany prorok miał taką obrożę przez większość życia, a Richarda zmuszono do jej noszenia, kiedy go uprowadzono, żeby Siostry go szkoliły.

– Nie dostrzegam żadnej zewnętrznej siły neutralizującej twój dar, czarodzieju – odpowiedziała, kiedy wstali. – Traciłeś swoją magię już wcześniej, zanim selka się pojawili. Nie mogłeś nawet zrobić sztuczki z ogniem dla Bannona.

Nathan zwiesił głowę.

– Drogie duchy, wiedziałem, że utraciłem dar prorokowania, a teraz także i swoją magię? Już nie czuję się w pełni sobą.

Nadal lało, a wiatr był tak porywisty, że krople uderzały niczym grudki lodu. Trzasnęła jeszcze jedna nadłamana reja i spadła na pokład pchnięta podmuchem wichru. Fale tłukły w dziób, wstrząsając całym statkiem, i Nicci z trudem utrzymywała się na nogach, mocniej chwytając się lin.

– Jeżeli przetrwamy noc, to z przyjemnością poszukam wyjaśnienia – powiedziała.

Bannon z trudem starał się podejść bliżej. Woda spływała mu po twarzy i Nicci nie wiedziała, czy chłopak też płacze.

– Co teraz zrobimy?

Własna odpowiedź dodała jej sił:

– Przetrwamy. To zależy od nas.

Pokład zaczął się niebezpiecznie przechylać i *Tnący Fale* bardziej zanurzył się w wodzie.



– Powinniśmy zajrzeć pod pokład – oznajmił Bannon. – Może ktoś tam ocalał.

– Tak, chłopcze, lepiej sprawdźmy. – Nathan spojrział znacząco na Nicci. Obydwoje wiedzieli, że nie ma na to szans.

Nicci słyszała wcześniej, jak morskie stwory wałą w kadłub.

– Powinniśmy też sprawdzić, jakich szkód narobili selka. Uważam, że mieli zamiar zniszczyć statek, jak już nas wszystkich pozabijają.

Zeszli w otwarty luk. W ciasnej przestrzeni cuchnęło krwią – dławiący odór, niczym w sklepie rzeźnika. Znaleźli łeb krowy i strzępy jej skóry, którą selka zdarli i porzucili pod ścianami.

Zostawili na pokładach pokiereszowane ciała marynarzy. Pozrywali hamaki ze ścian i belek nośnych. Na jednym z haków wisiał za skórę na potylicy młody marynarz.

Huk wlewającej się wody dobiegający z ładowni był jeszcze bardziej złowieszczy. Podnieśli klapy i spojrzeli w dół, a Nicci zdołała wyczarować malutki płomyczek, żeby rozświetlić czarny jak smoła mrok. Część kadłuba została zniszczona od zewnątrz, połamane deski wepchnięto do środka.

Selka, pływając pod kadłubem, musieli w niego tłuc, aż wybili dziurę. Teraz wlewała się przez nią niepowstrzymana woda, wypełniając ładownię.

– *Tnący Fale* zatonie – oznajmił Nathan. – To kwestia godzin.

– Możemy zapieczętować luki – powiedziała Nicci. – Ograniczyć zalanie do dolnej ładowni. Moglibyśmy zyskać pół dnia.

– Nie da się załatać kadłuba? – zapytał Bannon. – Mógłbym zanurkować i coś zaradzić.

Woda już do połowy zalała dolną ładownię. Nicci wiedziała, że jej siła zniszczy każdą łatę.

– Gdybym miał dar – odezwał się Nathan – tobym wyczarował drewno

i naprawił szkody.

– Może ja spróbuję – włączyła się Nicci.

To była magia addytywna, bazująca na tym, co już istnieje. Nicci sięgnęła w głąb siebie, lecz każde jej włókienko drżało z wysiłku. Tak wiele magii wykorzystała już w walce, no a jeszcze nie pozbyła się całkiem trucizny.

Ale statek tonął i nie miała czasu do stracenia. Zamknęła oczy, zogniskowała myśli, przyzwała całą magię, jaką w sobie znalazła. Wyczuła darem potrzaskane deski kadłuba i nakazała drewnu przyrastać. Zakleiała wyrwę, niczym strup ranę, ale ocean dalej pchał się do środka i świeże drewno pękło, a ona musiała zaczynać na nowo.

Nathan chwycił ją za ramię, chcąc przekazać jej moc, lecz nic nie wyczuła. Wobec tego pomyślała o swoim gniewie, o krwiożerczych selka, o Solu, Eginie i Romie, o tym, co jej zrobili – co zrobili całej załodze *Tnącego Fale*. Skutki tego dalece wykroczyły poza planowany przez nich gwałt. Gdyby ci głupcy jej nie otruli, Nicci byłaby u szczytu swojej magicznej mocy i selka nigdy by ich nie pokonali.

W rozbłysku odrazy i furii odnalazła kolejną maleńką iskierkę, przywołała magię i znowu kazała drewnu narastać, zasklepić się, póki nie zatkała otworu, który selka wybili w kadłubie. Zadygotała, kiedy woda wreszcie przestała się wlewać.

– Załatane, ale nie na długo.

Bannon westchnął z zachwytem.

– Skoro przestaliśmy tonąć, mamy czas na poszukanie drewna! Zanurkuje i wzmocnię łatę. Będzie solidna.

Przez kolejną godzinę chłopak harował. Wstrzymując oddech niczym poławiacz pereł marzeń, nurkował w zalanej ładowni. Pływały tam resztki ładunku i szczątki załogi: skrzynki, ciężkie baryłki, bele żaglowego płótna

i ciała. Bannonowi udało się wzmocnić łatę z magicznego drewna.

Na zewnątrz sztorm nadal szalał i kiedy wreszcie wydostali się na otwarty, przechylony pokład, popatrzyli z rozpaczą na poszarpane olinowanie, złamane maszty, zwęglony przez ogień czarodzieja dziób.

Kabina nawigacyjna na rufie była w ruinie. Koło sterowe wybite z podstawy. Prądy i wicher pchały wrak naprzód. Nie mieli kapitana, map, nie mogli sterować. Noc wydawała się nie mieć końca, mrok pozostawał gęsty, do czego przyczyniały się czarne chmury.

Bannon, stojąc na dziobie i osłaniając oczy, wskazał przed siebie.

– Popatrzcie tam na wodę. Na tę linię piany. – Potem wrzasnął w panice: – To rafy! Następne rafy!

Sztorm z jeszcze większą furią pchnął bezbronny statek i Nicci się zorientowała, że rzuci ich na poszarpane skały, gdzie gwałtownie rozbryzguje się woda.

– Przygotować się! – wykrzyknął Nathan.

Nicci usiłowała pokierować statkiem, lecz był on już tylko skazanym na zgubę wrakiem. Morze miało go w swojej mocy. Wiatr był groźny i nieprzewidywalny.

Z przeraźliwym zgrzytem *Tnący Fale* wpadł na rafy. Ciemne skały złamały kil i wybiły dziurę w dnie. Deski pokładu pękły i odskoczyły. Bezanmaszt wpadł do wody.

W blasku błyskawic noc wydała się jeszcze ciemniejsza, ale Nicci miała wrażenie, że dojrzała zarys dalekiej linii brzegowej. Ziemia – nieosiągalna i nieprawdopodobna – oferowała jedynie złudną nadzieję na ratunek. I tylko przez chwilę.

Rozszalałe morze wdarło się na pokład, a statek rozpadł się i zatonął.

## ROZDZIAŁ 18

Sztorm ustał. Rozproszone chmury sunęły jak markietanki za zwycięską armią. Fale omywały usiany gładami piach.

Nicci zbudziły wrzaski mew bijących się o padlinę. Była poturbowana. Bolały ją mięśnie i kości, a żołądek wciąż się buntował, głównie przez morską wodę, której się opiała, z uporem płynąc do brzegu w wietrzną noc. Otarła z twarzy piasek i pochyliła się, żeby zwymiotować, ale zwróciła tylko odrobinę gorzkiej żółci. Opadła na plecy i wpatrzyła się w rozpalone niebo, starając się uporządkować kłębiące się myśli i wspomnienia.

Słyszała huk fal bijących o brzeg, uderzających w cypel, lecz na wydłużonej, półkolistej piaszczystej plaży czuła się bezpieczna. Podparła się na łokciu, żeby ocenić swój stan – wszystko po kolei. Najpierw ciało. Nie wyczuła żadnej złamanej kości, jedynie siniaki i otarcia.

Wzięła oddech, wyciszyła wewnętrzny niepokój. Serce biło, krew krążyła. Powietrze wypełniało płuca. Odzyskała siły i znowu wyczuwała – jak przez całe życie – swój magiczny dar. Była jednak słaba po truciźnie, a Nicci nie zносиła czuć się słaba.

Gwałtownie napłynęły wspomnienia – sztorm, atak selka, zatonięcie statku...

Podniosła się i zachwiała, ale odzyskała równowagę. Żyła i była sama.

Mewy skrzeczały, prowokując się nawzajem. Chmura czarno-białych skrzydeł otoczyła kilka ciał wyrzuconych na brzeg – marynarze z *Tnącego Fale*. Ptaki biły się przy zwłokach, dziobały je, sprzecząc się o najlepsze kąski, chociaż mogłoby się tu najeść i sto mew. Jedna złapała zwisające z oczodołu oko, chwyciła za nerw wzrokowy i odleciała, a cztery inne

pomknęły za nią, oskarżycielsko wrzeszcząc.

W pierwszej chwili Nicci pomyślała, że jedno z ciał należy do Bannona, lecz spostrzegła, że zmarły miał długie blond włosy. Ot, jeden z marynarzy, którego nie знаła. Nie mogła już pomóc umarłym, toteż odwróciła się i powiodła wzrokiem po plaży, szukając tych, co przeżyli.

Plaża była usiana szczątkami wyrzuconymi przez sztorm: potrzaskane deski kadłuba, rozbite antałki, drzewce oplątane linami i podarte płótno żagla. Większe beczki leżały na piasku, niektóre na wpół w nim zagrzebane przez ustępujące fale, niczym kości rzucone przez olbrzymów-hazardzistów.

Czekała, nieruchoma jak posąg, starając się odzyskać równowagę umysłu. No to po ich misji odnalezienia Kol Adair. Rzuciło ją na to odludne wybrzeże, nie miała pojęcia, gdzie jest. Nigdy nie wierzyła, że wiedźma ma jakąś tajemną wiedzę. Nicci tkwiła tam, przemoczona i posiniaczona, i w żadnym razie nie czuła się gotowa ocalić świata – ani dla Richarda Rahla, ani dla siebie.

Mimo huku fal, świstu wiatru i skrzeku mew czuła się przytłoczona ciszą. Była sama.

Wtem jakiś głos zawołał:

– Czarodziejko! Nicci!

Odwróciła się gwałtownie i ujrzała idącego ku niej Bannona Farmera. Był przemoczony, rude włosy miał sklejone i splątane, twarz posiniaczoną. Lewy policzek stłuczony i siny, przez czoło biegło długie rozcięcie, ale promienny uśmiech przesłaniał to wszystko. Obiegł duży wygięty fragment kadłuba oparty o skalną wychodnię.

– Słodka Matko Morza! Nie sądziłem, że znajdę kogoś żywego. – Koszula schła w gorącym słońcu, zostawała na niej warstewka soli. – Obudziłem się z piachem w ustach, dokoła nie było nikogo. Utkwiłem w jeziorku

pływowym jakieś pięćdziesiąt stóp od brzegu. Wołałem, ale nikt nie odpowiedział. – Uniósł rękę z mieczem. – Za to nie wypuściłem Niepokonanego.

Nicci powiodła po nim wzrokiem, sprawdzając, czy aby nie jest poważniej ranny, niż mu się zdaje. Często widywała na polu walki, jak pod wpływem szoku i strachu żołnierze nie uświadamiali sobie, jak poważny jest ich stan. Ale Bannon był cały i zdrowy.

– Widziałeś Nathana?

Wyraźnie się zaniepokoił.

– Nie. – Rozprostował ramiona. – Ale dopiero zacząłem się rozglądać. W końcu jest potężnym czarodziejem.

Nicci się zachmurzyła, wiedząc, że Nathan nie był w stanie posłużyć się magią podczas ataku selka. Ruszyła plażą, zatroskana o starego czarodzieja, pozbywając się nawracającego bólu i zawrotów głowy.

– Gdzie szukałeś? Szedłeś tamtędy?

– Przyszedłem stamtąd. – Pokazał Bannon. – Tam morze mnie wyrzuciło. Ale większość szczątków leży tutaj. Może prądy Nathana też poniosły w tę stronę.

Piasek tak iskrzył się w słońcu, że raził w oczy. Nicci zmrużyła powieki, osłoniła oczy dłonią, żeby spojrzeć wzdłuż linii brzegowej, która zakrzywiała się w cypel, niczym magnes przyciągający fale. Grzywacze tłukły o skały i huk słyhać było pewnie milę dalej. Gdyby zwłoki Nathana dostały się w ten kocioł, zmieniłyby się w miazgę.

Bannon z zadziwiającą energią parł do przodu, nawołując czarodzieja. Nicci niemal się spodziewała, że znajdą leżące na piachu pokaleczone ciało, otoczone chmarą mew.

W połowie drogi do najgłośniejszych o brzeg fal zobaczyli na plaży,

pośród strzaskanych skrzyń, jardy żaglowego płótna, zwinięte jak całun pogrzebowy. Bannon wypatrzył stertę beczek, liny i kolejne płócienne zwoje. Nicci zrównała się z chłopakiem akurat wtedy, kiedy podniósł poszarpany kawałek żagla i wykrzyknął:

– Tu jest!

Chwycił Nathana za ramiona. Starzec leżał na brzuchu na resztkach strzaskanej beczki. Długie siwe splątane włosy zwisały wokół twarzy. Kiedy Nicci zobaczyła, że czarodziej się nie rusza, pomyślała, że nie żyje.

Bannon przetoczył go i ułożył na plecach. Skóra Nathana była sinoszara, powieki nawet nie zadrżały. Chłopak nachylił się, nasłuchując oddechu, dotknął policzków starca, uniósł mu powieki. Skupiony, znowu przetoczył czarodzieja, objął go od tyłu ramionami w pasie i przytknął mu pięści do brzucha. Szarpnął ostro, gwałtownie, aż Nathanem zatrzęsło. Znowu nacisnął z taką siłą, że Nicci się wystraszyła, że złamie mu kręgosłup. Lecz z ust Nathana trysnęła fontanna morskiej wody. Zadygotał, a potem zakaszłał.

Niemrawo chciał uderzyć Bannona, ale ten wykazał zadziwiającą siłę. Znowu ułożył Nathana na plecach i zaczął uginać jego długie nogi, przyciskając kolana do piersi tak mocno, jak tylko zdołał. Nathan zakaszłał i wypluł jeszcze więcej wody. Na koniec na tyle odzyskał siły, że odepchnął Bannona.

– Wystarczy, chłopcze! Przeżyłem! – Wyglądał fatalnie. Potrząsnął głową i przeczesał palcami włosy.

Nicci spojrzała z zaciekawieniem na młodego człowieka.

– Był topielcem. Gdzie się tego nauczyłeś?

– Na Chiriyi wiemy, jak ratować podtopionych rybaków. To się często nie udaje, ale jeśli nadal tli się w nich iskierka życia i uda nam się opróżnić płuca z wody, to Matka Morza czasami pozwala człowiekowi odzyskać oddech.

– Nie jestem tylko człowiekiem – wychrypiał Nathan. – Jestem czarodziejem. – Zgiął się w pół i zwrócił mnóstwo słonej wody.

– Matka Morza najwyraźniej okazała ci łaskę – stwierdziła Nicci.

Nathan usiadł niepewnie i przyłożył dłoń do prawej skroni; długa rana na czole nadal krwawiła.

– Cieszę się, że żyję. Dobry początek dnia. – Znowu dotknął rany i skrzywił się. Zamknął oczy, najwyraźniej się koncentrując, ale mina mu zrzędała. Kiedy popatrzył na Nicci, był zrozpaczony. – Niestety, nadal nie mam dostępu do daru. Czy mogę pokornie prosić, czarodziejko, żebyś mnie uleczyła? – Spojrzał na nią z nagłą troską. – A może i twoja moc zniknęła? Trudno ci było podczas walki...

– Nic mi nie jest – odparła. – To były skutki otrucia przez poławiaczy pereł marzeń. Ale mnie bardziej się poszczęściło niż im.

Bannon spojrzał na nią z osobliwą miną.

– Poławiacze cię otruli? – Potarł zaczerwienione oko.

Nicci bacznie mu się przyglądała.

– Tak, zupą rybną, którą przyniosłeś. – Z jego miny wywnioskowała, że nic o tym nie wiedział, co przyniosło jej ulgę. – To dlatego byłam taka osłabiona, że ledwo mogłam dawać odpór selka. Trawiła mnie trucizna.

Był zrozpaczony i przerażony.

– Strawą, którą przyniosłem? *Ja cię* otrułem? Nie wiedziałem! Nie chciałem! Słodka Matko Morza, tak mi przykro, ja...

Nicci wiedziała, że w takich okolicznościach Jagang długo i boleśnie zamęczyłby chłopaka na śmierć. Były czasy, że Pani Śmierci też by go zabiła, lecz teraz była inna. Richard ją odmienił. Widząc szczerą rozpacz Bannona, znowu sobie przypomniała, dlaczego nie miała żadnych podejrzeń do posiłku, który przyniósł.



Z wolna kiwając głową, powiedziała:

– I dlatego posłużyli się tobą, Bannonie Farmerze. Nigdy bym nie uznała, że jesteś zdolny do zdrady, że w jakikolwiek sposób chciałbyś mnie skrzywdzić.

– Bo nie! Nigdy bym cię nie otruł.

– Rozumiesz więc, że twoja naiwność była niczym broń, którą obrócili przeciwko mnie. Oszukali cię. – Przybrała surowszy ton. – Nie pozwól, żeby to się powtórzyło. – Kiedy jąkał się i przeproszał, Nicci poruszyła palcami, poczuła moc, znowu czuła się *silna*. – To już nie ma znaczenia. Odzyskałam siły.

Położyła dłoń na skroni Nathana i z łatwością przywołała moc potrzebną do uleczenia rany.

Westchnął z ulgą.

– Dziękuję. Nie było to straszne, ale irytowało.

Odwróciła się ku Bannonowi i popatrzyła na jego obrażenia.

– Teraz ty.

Chłopak cofnął się o krok, zaniepokojony czarami – a może niepewny, czy mu naprawdę wybaczyła.

– Nie trzeba, czarodziejko. To tylko drobne zranienia. Same się zagoją po jakimś czasie.

Ale Nicci, chcąc się upewnić, że znowu w pełni kontroluje swój dar, chwyciła go za ramię.

– Nalegam. – Uwolniła moc i siniaki zniknęły, rany się zasklepiły.

Strach odpłynął z twarzy chłopaka.

– To wspaniałe! Czuję, że znowu mógłbym walczyć z selka! – Chwycił miecz.

– Miejmy nadzieję, że nie będziemy musieli tego robić, chłopcze – odezwał się Nathan.

Nicci otrzepała z piasku czarną suknię, związała z tyłu włosy, żeby nie wchodziły jej do oczu.

– Musicie być zdrowi. Mamy robotę. – Powiodła wzrokiem po wybrzeżu.  
– Musimy się dowiedzieć, gdzie jesteśmy.

## ROZDZIAŁ 19

Nathan pogodził się wreszcie ze swoim niechlujnym wyglądem i nalegał, żeby przeszukali szczątki statku. Chciał odzyskać swój miecz, no i powinni zabrać wszystko, co mogło im się przydać. Po tych wszystkich nieszczęściach miał niewielką nadzieję na odzyskanie cennego oręża, ale dzięki łutowi szczęścia go odnalazł. Miecz był wciśnięty pomiędzy strzaskaną baryłkę wina a skrzynię z tkaninami w jaskrawych kolorach, przeznaczonymi na sprzedaż, teraz nasiąkniętymi słoną wodą i zniszczonymi.

Czarodziej wyciągnął miecz i uniósł go w słońcu. Westchnął z zadowoleniem.

– O wiele lepiej! – Mrugnął do Bannona. – Teraz obaj, mój chłopcze, możemy bronić naszą czarodziejkę przed wszelakimi napastnikami.

– Mewy i kraby z pewnością drżą ze strachu. – Nicci przewróciła oczami i przeszła do poważnych spraw: – Zanim wyruszymy, powinniśmy zgromadzić wszelki prowiant, jaki znajdziemy. Nie wiadomo, jak daleko jesteśmy od cywilizacji ani ile zajmie nam powrót do imperium D’Hary.

Nawet po tym, co ich spotkało, nie przestawała myśleć o tym, co powinna zrobić dla Richarda i jego wizji przyszłości.

Znaleźli nietkniętą beczułkę wody pitnej – i napili się do woli – oraz skrzynię solonego mięsa. Nathan był przygnębiony, bo stracił wszystkie swoje nowe koszule, kamizele i kurty kupione w Tanimurze. Ale znalazł marynarski kufer, w którym była koszula (pasowała na Bannona), szylkretowy grzebień i pakiet przesiąkniętych wodą listów (atrament się rozmazał). Nieliczne dające się odczytać słowa świadczyły o tym, że pisała je ukochana, która nigdy nie dostanie odpowiedzi od swojego wybranka.

– Bierz tylko to, co może się nam przydać. – Nicci wydobyla długi nóż, trzymany przez bezimiennego marynarza na dnie kufra. Przymocowała pochwę do pasa.

Zmagania z trucizną ją osłabiły, ale też czegoś nauczyły. Nawet jeśli nie będzie mogła korzystać ze swojego daru, to nie pozostanie nieuzbrojona. Nigdy więcej.

Z kawałków żaglowego płótna zrobili plecaki na prowiant. Słońce stało w zenicie, kiedy ruszyli rozległą plażą.

Wokół nich teren wypiętrzał się w strome wydmy, usiane kępami kortaderii i mięsistych słonorośli. Dotarli do miejsca, z którego mogli spojrzeć na roziskrzone morze. Nicci nie dostrzegła żadnych żagli oznaczających zbliżające się statki ani nawet linii wzburzonej wody przy rafach, które zniszczyły *Tnącego Fale*.

– Musiało nas zwać daleko na południe – powiedziała, patrząc znowu w stronę, z której przyszli. Z map kapitana Eliego wywnioskowała, że mogą być gdzieś na Widmowym Wybrzeżu.

Na takich opustoszałych ziemiach, pozbawionych śladów ludzkiej bytności, sztuczna struktura była niczym krzyk w ciszy. Bannon mający sokoli wzrok zobaczył ją pierwszy i pokazał na wzgórze wznoszące się na smaganej wiatrem wyżynie, jakieś pół mili dalej, na którym stał monument z głazów, najwyraźniej wzniesiony przez ludzi i z pewnością umieszczony tutaj dlatego, żeby można go było dostrzec z daleka.

Nathan, mrużąc oczy, powiedział:

– Trudno ocenić, nie mając punktu odniesienia, jak duża jest ta budowla.

Nicci ruszyła w tamtą stronę.

– Musimy to obejrzyć. Może ułatwi nam zorientowanie się, gdzie jesteśmy, albo wskaże drogę do jakiejś pobliskiej osady czy wojskowej

placówki.

Znajdujące się powyżej plaży smętne trawiaste pustkowie spletało im figla i wzgórze z budowlą okazało się dużo bliższe, niż im się wydawało. Kiedy tam dotarli, rozczarowany Bannon mruknął:

– To tylko kupa kamieni.

– Znak. Kopiec. Punkt orientacyjny – powiedział Nathan.

Była to wieża ze starannie ułożonych głazów – te największe u podstawy położono i zaklinowano tak, żeby tworzyły solidny fundament, na którym wzniesiono smukłą piramidę. Czubek kopca o głowę górował nad Nathanem. Wokół jego podstawy rosły skrzypy, a pomarańczowe i zielone porosty pstrzyły szorstkie czarne kamienie. Zupełnie inne niż pozostałe znajdujące się w pobliżu.

– Ktoś zadał sobie wiele trudu, żeby to zbudować – stwierdziła Nicci. – Bez wątpienia stoi tu od dawna.

Czarodziej osłonił oczy i wpatrzył się w połyskliwy ocean.

– Może to był znak dla przepływających żeglarzy. Punkt odniesienia na ich mapach. Albo wieża sygnałowa... ale i tak nie możemy dać sygnału – westchnął. – Za mało chrustu, żeby rozpałić porządne ognisko.

Nicci popatrzyła na niego z uśmiechem.

– Wyrzucona w powietrze kula ognia czarodzieja mogłaby przyciągnąć czyjąś uwagę.

Bannon okrążał piramidę, szukając jakichś wskazówek. Przykucnął, zdrapał porosty i mech.

– O! Na dolnych kamieniach są wyryte jakieś słowa – zauważył, odsłaniając litery. – To wiadomość.

Nicci i Nathan podeszli do niego i Nicci zamarła. Litery tworzyły napis:

*Do Kol Adair.*

– No cóż... – Nathan zakołysał się na piętach. Najwyraźniej był zadowolony. – Coś mi się zdaje, że to drogowskaz, którego szukaliśmy.

Nicci jeszcze bardziej zmroziło, kiedy zobaczyła chropowate, podniszczone litery wycięte w następnym kamieniu.

*Tam czarodziej ujrzy to, co mu potrzebne, by na powrót stał się w pełni sobą.*

Słowa na drugim kamieniu sprawiły, że zaschło jej w gardle.

*A czarodziejka musi ocalić świat.*

Nathan patrzył na nią ze zdumieniem. Uniósł rękę, poruszył palcami.

– Znowu w pełni sobą? Myślisz, że to znaczy, iż znów będę mógł dotknąć mojej Han? Czarować? Red wiedziała! Ona *wiedziała*.

Nicci się zachmurzyła, poczuła, jak żołądek skręca się jej w supeł.

– Z niechęcią przyznaję, że to uwiarygodnia to, co napisała wiedźma.

Bannon miał mętlik w głowie.

– Co? Co to jest? Proroctwo? – Patrzył to na Nicci, to na Nathana.

– Proroctwa już nie istnieją – odpowiedziała Nicci, ale nie zabrzmiało to przekonująco.

Może... jeżeli ta przepowiednia była dostatecznie stara, wtopiona w materię świata, zanim wszystkie zasady się zmieniły...

– Sądziłem, że się zgubiliśmy – odezwał się Nathan z nutką zadziwienia w głosie. – A tu, o ironio, ta katastrofa doprowadziła nas dokładnie tam, gdzie powinniśmy dotrzeć.

– Wolę sama wybierać kierunki – powiedziała Nicci, ale nie mogła zaprzeczyć temu, co miała przed oczami.

Nie potrzebowała proroctwa, żeby pomóc ocalić świat albo w każdy możliwy sposób przysłużyć się Richardowi Rahlowi. A skoro musi się udać

do tajemniczego miejsca zwanego Kol Adair, zrobi to. Podobnie jak Nathan.

Czarodziej zacisnął usta, przyglądając się kamieniom.

– Tylko głupiec próbuje stawiać opór oczywistemu proroctwu. Czyniąc tak, zwykle ściąga na siebie przepowiedziany los, ale w o wiele gorszy sposób.

Nicci ruszyła w drogę.

– Idziemy do Kol Adair, gdziekolwiek to jest – oznajmiła.

Kiedy kamienny kopiec zmalął w oddali, usłyszeli głośny trzask i rumor za plecami. Odwrócili się i zdążyli zobaczyć, jak kamienna piramida przechyla się i wali. Kamienie spadły ze szczytu, środek się załamał i cała budowla się zawaliła. Kopiec wypełnił swoje zadanie.

Zostawiając za sobą szczyt, zeszli z cypla i natrafili na kości potwora. Długi szkielet leżał wśród głazów i zielska tuż za linią przyływu. Głowa była wielkości wozu – trójkątna czaszka z przypominającymi sztylety kłami i wielkimi oczodołami. Kręgosłup ciągnął się przez głazy aż na piach, niczym kościana lina, mająca długość dziesięciu stojących rzędem koni. Wygięte żebra tworzyły długi, ażurowy tunel, aż do ogona bestii.

– To nie smok – stwierdził Nathan.

– Smoki niemal całkiem wyginęły – powiedziała Nicci.

Bannon skrzyżował ramiona na piersi.

– Wąż morski, ale mały. W porze godów często przepływają koło Chiriyi, kiedy morskie krasnorosty zakwitają.

Nicci, patrząc na szkielet, domyślała się, że stworzenie umarło w morzu i fale wyrzuciły je na brzeg, gdzie mewy i inni padlinożercy oczyścili kości. Na żebrach zostały jedynie pojedyncze, twarde jak żelazo strzępki mięsa.

– Jeśli to jest mały wąż morski, to cieszę się, że *Tnący Fale* na żadnego się

nie natknął.

Szli plażą, aż późnym popołudniem nastąpił przypływ. Słońce czerwona kulą opadło ku wodzie. Brnęli mozolnie, nie znajdując żadnej ścieżki, żadnej wioski, żadnego portu, a nawet żadnego wypalonego ogniskiem kręgu, wskazującego na obecność ludzi. Kraina wydawała się dzika, niezamieszкана, niezbadana.

Bannon wybiegł naprzód, ku kolejnemu dużemu klifowi zagrządzającemu im drogę i sięgającemu w morze.

– Szybko, przypływ odetnie nam drogę. Wolałbym iść plażą, niż wspinać się na te klify.

Zanim okrążyli klif, przechodząc po pokrytych wodorostami głazach, woda sięgała im do kostek.

– Tędy – powiedział Bannon. – Ostrożnie stawiajcie stopy.

Ale kiedy znaleźli się w zatoczce za cyplem, chłopak znieruchomiał. Oparł się o wysoką skałkę, żeby nie upaść.

Nicci zobaczyła, co przyciągnęło jego uwagę. Kolejny wrak morze wyrzuciło niczym zabawkę wysoko na skały. Niewiele zostało poza kilkoma wręgami, paroma deskami kadłuba i długim kilem. Czas i pogoda zrobiły swoje.

Nathan przystanął, żeby złapać oddech.

– Ciekawe, jaki to rodzaj statku.

Zakrzywiony dziób zdobiła rzeźba groźnej głowy morskiego węża, takiego jak ten, którego szkielet widzieli, uświadomiła sobie Nicci. Deski kadłuba były z grubsza ociosane i łączone „na zakładkę”, a nie „na styk”, jak w przypadku *Tnącego Fale*. Parę nietkniętych, pokrytych mchem i wodorostami wręg wyginało się ku górze. Reszta kadłuba się rozpadła.

Nicci spojrzała na Bannona, który wyglądał, jakby zobaczył złego ducha.



– Ta rzeźba wydaje ci się znajoma?

Zbyt szybko potrząsnął głową.

– Dlaczego drżysz, chłopcze? – dopytywał się Nathan.

– Jestem zmarznięty i zmęczony. – Odkaslnął i ruszył dalej po kamieniach. – Wkrótce będzie ciemno. Powinniśmy znaleźć miejsce na obóz.

Nicci rozejrzała się i podjęła decyzję.

– To całkiem dobre miejsce. Zatoczka jest osłonięta, a wrak powyżej linii przyływu da nam osłonę.

– I drewno na ognisko – dodał Nathan.

Bannon miał wątpliwości.

– Może kawałek dalej znaleźlibyśmy wioskę.

– Bzdura. To o wiele lepsze niż spanie na wietrznych cyplach. – Nathan podszedł do złowieszczonego węzowego statku.

– To wszystko będzie lepiej wyglądać przy miłym, huczącym ogniu. – Zaczął zbierać drewno na podpałkę.

Nicci znalazła zaciszne miejsce w zagięciu zniszczonego kadłuba.

– Piach jest tutaj miękki. Krąg na ognisko zrobimy na skałkach.

Bannon był przygnębiony.

– Poszukam czegoś na kolację. W jeziorkach pływowych powinny być kraby, małże, a może i omułki.

Odszedł w gęstniejący zmierzch. Nathan pozbierał drewno na ognisko, ale to Nicci musiała je rozpalić. Wkrótce mieli trzaskający ogień.

Czarodziej wygładził piach, uklepując sobie przyzwoite siedzisko, i rozsiadł się na ziemi. Nicci przyciągnęła wypolerowaną przez fale kłodę i przysiadła na niej. Nathan wsparł łokcie o kolana i zapatrzył się w przyjazny ogień. Wyglądał fatalnie.

– Jeszcze nigdy nie czułem się taki słaby i bezradny, chociaż wiem, że jesteśmy na dobrej drodze do Kol Adair.

– Dużo przecierpeliśmy, czarodzieju. To po prostu kolejny dopust. – Nicci wetknęła patyk w płomienie.

– Czuję się bezradny, bo mój dar zawiódł, kiedy go najbardziej potrzebowałem. Całe życie go miałem. Zmarnowałem tyle wieków, zamknięty w tym okropnym pałacu, zmuszony spisywać nawiedzające mnie proroctwa, żeby każdy mógł je sobie błędnie interpretować – prychnął. – Siostry miały jak najlepsze intencje, ale skutki pozostawiały wiele do życzenia.

Poprawił się, ale wyraźnie nie mógł znaleźć wygodnej pozycji.

– Uważały, że jestem niebezpieczny! Prorokowanie było ze mną nierozzerwalnie związane, wplecione w moje ciało, kości i krew, a kiedy Richard odesłał wróżebną maszynę w zaświaty, usunął tę część mnie.

– Richard zrobił to, co było konieczne – powiedziała Nicci.

– Nie wątpię w to, czarodziejko, i nie skarżę się. – Pogrzebał w prowizorycznym plecaku i wyjął szylkretowy grzebień, który zabrał z kufra marynarza. Zaczął rozczesywać splątane włosy, krzywiąc się, kiedy niesforne pasma stawiały opór. – Świat jest lepszym miejscem bez tych okropnych proroctw. – Uniósł rękę, skupił się i mocno zacisnął powieki, ale nic się nie stało. – Ale teraz tracę resztki daru. Już przed sztormem i atakiem selka nie mogłem korzystać z magii. Próbowałem, ale... nic. Jak to możliwe, czarodziejko?

– Pytasz, czy magia znika tak jak proroctwa? Nie widzę współzależności. Mój dar działa. – Po namyśle dodała: – Póki mnie nie otruto.

– Ale ja byłem prorokiem i czarodziejem. – Popatrzył na nią z błyskiem w lazurowych oczach. – Dar prorokowania mnie opuścił, a co, jeżeli był

powiązany z resztą mojego daru? Nie możesz wysnuć nici ze skomplikowanego wzoru, nie prując innych jego części. Czy mogło to zniszczyć całą moją Han? Może Richard, wyszarpując prorocstwo, poluzował inne nici splecionej z nim magii? – Wyciągnął ręce ku płomieniom, wyraźnie się wysilając. – A co, jeżeli już nigdy nie będę mógł rzucić uroku ognia? Albo manipulować wodą? Czy rozpałić ogniska? Przyjdzie mi się zadowolić karcianymi sztuczkami, jak byle wędrownemu szarlatanowi? Jak mogę znowu stać się w pełni sobą?

– Nie mam dla ciebie odpowiedzi, czarodzieju – westchnęła Nicci.

Był przygnębiony.

– Może już nie będziesz mogła mnie tak nazywać.

Przerwał im Bannon, wracając z mnóstwem ostryg i omułek, które rzucił na piach koło ogniska.

– Były też kraby, duże prawie jak moja dłoń – powiedział. – Nie mogłem unieść tego wszystkiego, no i kraby próbowały uciekać. Mogę później ich nałapać.

Nathan patykiem wepchnął muszle w rozżarzone węgle, zasyczały i pryskały, parując. Małże się otworzyły i z sapnięciem oddały ducha. Bannon patykiem wyciągnął je na piasek.

– Szybko się gotują.

Nicci i Nathan wzięli po gorącej muszli i przerzucali z ręki do ręki, póki nie ostygły na tyle, by mogli je otworzyć i dostać się do małży. Kiedy pochłonęli cały połów, Bannon wyjął z ogniska płonąca gałąź i znowu zniknął w ciemnościach. Wkrótce wrócił z krabami, które też upiekli.

Chłopak przycupnął na gładkiej kłodzie w pobliżu Nicci, położył miecz na kolanach i delikatnie przesunął palcami po klindze. Wciąż się rozglądał, mocno zaniepokojony.

Nicci, nareszcie mając okazję przemyśleć plan, wpatrywała się w szczątki statku-węża. Potem spojrzała w niebo na odmienione konstelacje.

– Jutro zadecydujemy, dokąd iść.

Bannon, mało się interesując ich rozważaniami, rzucił puste muszle pod wręgi.

Nathan otworzył zawieszoną u pasa skórzaną sakiewkę, rad, że wciąż ma swoją księgę życia. Już prawie wyschła, czyste kartki mało ucierpiały. Zaczął rysować grafitowym rysikiem, który nabył w Tanimurze, linię wybrzeża.

– Nie mam kartograficznych instrumentów, ale mam dobre oko. – Dodał skalne cyple, półkoliste plaże, umiejscowienie kamiennego kopca oraz zaciszną zatoczkę z wrakiem. – Trudno nakreślić dokładną mapę, jeśli się nie wie, gdzie się jest, ale robię, co mogę. W końcu jestem podróżującym ambasadorem, a Richard będzie chciał zobaczyć mapę, jak już wrócimy do domu. – Pracował w skupieniu, a potem westchnął rozczarowany. – Czar mapowania dałby lepsze rezultaty, ale dobre i to.

– Dzięki tej książce masz przynajmniej czysty papier – powiedziała Nicci.  
– Nie jest całkiem bezużyteczna.

Nathan aż się wyprostował, bo coś mu przyszło na myśl. Popatrzył na Nicci i uniósł palec.

– Wiedźma też się przydała. Wiedziała, że musimy się tu znaleźć. Że ty musisz się tu znaleźć.

– Tak, żeby ocalić świat i imperium Richarda. Jestem przekonana, że to się wyjaśni... jak tylko znajdziemy kogoś, kogo będzie można o to zapytać.

Bannon popatrzył na nich.

– Czyli jak znajdziemy Kol Adair, to odzyskasz swoją magię? A czarodziejka uratuje świat.

– Tak! – potwierdził Nathan, lecz zaraz się zachmurzył. –

Prawdopodobnie. A może to tylko głupia przepowiednia bez żadnej wartości.

Nicci dodała:

– Nie można wierzyć w to, co mówi wiedźma.

– Mamy inny wybór? Poza tym i tak tu jesteśmy. Przybyliśmy, żeby zbadać Stary Świat. Przedtem ta misja wydawała się bezcelowa, lecz teraz ma większe znaczenie.

– No to pójdziemy do Kol Adair – oznajmiła Nicci, podchodząc do ogniska – jak tylko wpadniemy na pomysł, jak je odnaleźć.

## ROZDZIAŁ 20

Bannon nie spał dobrze, pomimo zacisznej zatoczki i znajomej kołysanki fal przyboju. Podenerwowany, zmagał się z kłębowiskiem myśli o tym, co się wydarzyło w ciągu paru ostatnich dni, i lęków o to, co jeszcze może ich czekać.

Ponieważ i tak nie spał, na ochotnika trzymał wartę, rozmyślając przez najciemniejsze godziny nocy. Podskakiwał przy każdym dźwięku w mroku, bojąc się, że plażą nadciągną krzepcy, bezlitośni ludzie, pochwycą go, zakneblują i zwiążą. Ale to była tylko jego wyobraźnia... jego wspomnienia.

Piękna czarodziejka spała na piasku, w pobliżu Nathana, a Bannon zmusił się do spokoju, zmienił świat, aby był taki, jakim *chciał* go widzieć, i wymodelował sobie zadowolony uśmiech. Czarodziej przy dogasającym ognisku wyglądał niepokojąco, kiedy tak spał z otwartymi oczami. Lecz bliżej świtu powieki mu opadły.

Kiedy blask poranka obramował wysokie cyple, Bannon obudził towarzyszy. Zdumiało go, jak szybko Nicci się ocknęła, bez ziewania i przeciągania się. Wstała, niebieskie oczy miała jasne i czujne, przytomne. Jednym spojrzeniem otaksowała otoczenie. Otrzepała czarną suknię i mimo wszystkich ciężkich przejść nie była ani trochę wymięta czy rozczochrana. Już samo to wydawało się Bannonowi magią.

Na Chiriyi durzył się w ładnych dziewczynach, ale takiej kobiety jak Nicci jeszcze nigdy nie spotkał. Była o wiele piękniejsza i mądrzejsza od kobiet z wyspy, lecz nie tylko o to chodziło. Była fascynująca, ale i niebezpieczna. Bannon zarumienił się, kiedy go przyłapała, jak się na nią gapi – odwzajemniła spojrzenie z niezbyt serdeczną miną.

Razem ruszyli na pustkowie. Bannon, zostawiając za sobą małą zatoczkę, westchnął bezgłośnie z ulgą, że oddała się od złowieszczy wraku statku Norukaich.

– Dalej plaża robi się bardziej skalista – powiedziała Nicci, patrząc ku południu. – Lepiej idźmy głębiej w ląd.

Czarodziej na to przystał.

– Może tam napotkamy jakąś osadę, skoro w tej części wybrzeża nie zobaczyliśmy żadnych portów ani łodzi.

– Poszukam szlaku – zaofiarował się Bannon.

Ruszył na zwiady we własnym tempie i wypatrzył dość łatwą trasę biegnącą zygzakami w górę kruszącego się piaskowcowego klifu. Poszli za nim, ręka w nogę, i razem dotarli na otwartą, wietrzną płaszczyznę nad przybojem.

Wiatr był ostry i zimny, po niebie mknęły obłoki. Wysokie kortaderie i niska roślinność chwiały się, jakby przez płaskowyż pędziło w popłochu coś niewidocznego. Ciemnozielone cyprysy gięły się w niecichnących podmuchach, ich krótkie gałęzie wskazywały kierunek wiatru.

Nathan i Nicci omawiali plany, ale wiatr porywał ich słowa poza zasięg słuchu idącego przodem Bannona. Nie palił się – a może brakowało mu śmiałości – do rozmowy z piękną czarodziejką. Chciał usłyszeć, gdzie dorastała, czy miała wspaniałe życie, spokojne dzieciństwo, kochających rodziców. Bannon właściwie nie chciał wiedzieć. Po prostu tak to sobie *umyslił*.

Nathan wypłoszył czarnoskrzydłą rybitwę z kępki trawy i pochylił się.

– O, popatrzcie, gniazdo. I trzy jajka. – Wziął je w stulone dłonie. – To uzupełni nasze śniadanie.

Bannon zawrócił, burczało mu w brzuchu.

– Jajka? Rozpalimy ognisko?

Szli dopiero godzinę.

Nicci wzięła jajka od Nathana.

– Nie musimy się zatrzymywać. Pozwól. – Zamknęła znaleźisko w palcach i Bannon zobaczył smużki dymu. Po chwili podała mu jajko, a skorupka była tak gorąca, że musiał je podrzucać w dłoni. – Możemy jeść w marszu. Przed nami długa droga, nawet jeśli nie wiemy, dokąd idziemy.

Nathan skończył śniadanie i rzucił skorupki na ziemię. Otrzeptał dłonie i wytarł je o spodnie.

Z wysuniętych w morze cypli widzieli linię brzegową wijącą się całymi milami na południe. Wzgórza w głębi lądu porastały ciemne sosny i srebrnolistne eukaliptusy o łuszczącej się korze.

Utrzymywali równe tempo. Czarodziej zawołał do Bannona:

– Daj nam znać, chłopcze, jeśli zobaczysz jeszcze jakieś drogowskazy pokazujące kierunek na Kol Adair!

Bannon ochoczo się zgodził, a potem sobie uświadomił, że Nathan się z nim droczy. Ale czy byłoż to takie nieprawdopodobne?

Wysforował się naprzód. Przemykał wśród pochylonych cyprysów, zbadał kępy sosen i ostro pachnących eukaliptusów. Nie widząc żadnych ludzkich siedzib, zastanawiał się, czy są pierwszymi ludźmi, którzy postawili stopę na dziewiczej ziemi. Było to i wspaniałe, i przerażające zarazem.

Chiriya była zamieszкана od niezliczonych pokoleń. Mieszkańcy uprawiali kapustę i wypływali łodziami na połowy. Jedynym godnym uwagi wydarzeniem bywał statek handlowy, sporadycznie cumujący w niewielkim porcie. Bannon długo udawał, że jego młodsze lata były wspaniałe – każdy sąsiad serdecznie się witał z innymi, wszyscy sobie pomagali, zawsze świeciło słońce, nie brakowało jedzenia, w najzimniejsze zimowe noce



w palenisku płonął ogień.

Opuścił to miejsce... miejsce, które nigdy naprawdę nie istniało.

Okradziono go w ciemnych uliczkach Tanimury. Walczył z krwiożerczymi selka i widział, jak zabijano jego współzałogantów. Tamtej nocy był przekonany, że i on umrze. Ale przeżył, choć *Tnacy Fale* rozbił się na nieznanym brzegu. Dla tego porzucił Chirię, twarde pięści i pijackie wrzaski ojca, krew. I kocięta...

Bannon wzdrygnął się na te wspomnienia. Odgarnął wysokie, szorstkie źdźbła kortaderii, obszedł pagórek i wstąpił w szeleszczące skupisko cyprysów dających schronienie przed wiatrem. Nawet po tych wszystkich przejściach było to lepsze od Chiriyi. O wiele lepsze.

Badając okolicę, zagłębił się w las. Usłyszał plusk strumyka płynącego wśród sosen do pięknego okrągłego jeziora o gładkim, piaszczystym dnie. Widział srebrzyste błyski pływających ryb, umykających przed jego cieniem. Ukląkł w trawach i kwiatach na skraju jeziora i nabrał w dłoń chłodnej, czystej wody. Napił się – świeża woda!

Przyjrzał się śmigającym rybom, ale były za małe, żeby się dla nich trudzić. Cała garść ledwo by starczyła na posiłek, jeśli w ogóle by ich nałapał. Za to woda była pyszna. Napełnił bukłak i wyszedł spomiędzy drzew na rzeński wiatr.

Otrząsnął się z przykrych wspomnień, poczuł ulgę i żwawo powrócił do badania okolicy. Tak, przeżył ciężkie chwile, ale obróci to na swoją korzyść. Napomniał się, że opuścił Chirię, żeby szukać przygód – i je znalazł. Mała, skryta część jego ja przyznawała, że uciekł z wyspy w szoku, wypierając to, co się stało... ale znowu odpędził te myśli, mrugając i patrząc na jasny świat. Wziął kolejny spokojny oddech.

– Nie uciekam, badam! – powiedział głośno i na tyle zdecydowanie, by

przekonać samego siebie.

Był na nieznanymi ziemiach z wielkim czarodziejem i swoim mentorem, człowiekiem, który uczył go historii i fechtunku. I była tu też piękna, tajemnicza czarodziejka Nicci, coraz bardziej zajmująca jego myśli. Nic nie mógł na to poradzić – pociągała go.

Buszował po trawiastym płaskowyżu, po czym wrócił na skraj klifu, żeby patrzeć na bijące o brzeg białe grzywacze. Zastanawiał się, kim jest Nicci, co nią powoduje. Czy i ona o nim myśli? Dumał, co mógłby zrobić, żeby zwróciła na niego uwagę, uznała za interesującego, a nie ot, przypadkowego towarzysza podróży.

Wyjrzał za skraj urwiska i obserwował, jak w powietrze wzbijają się pióropusze piany. Jego uwagę przyciągnęła kolorowa plama w omszałym piaskowcu, tuż poniżej. Ukląkł i zobaczył kępkę dziwnych kwiatów rosnących w zasięgu ręki. Płatki poprzecinane szkarłatnymi żyłkami otaczały żółte pręciki i były barwy intensywnego najciemniejszego fioletu, jaki w życiu widział. Miały grube, mięsiste łodyżki i mieczowate zielone liście.

Kwiaty podsunęły mu wspaniały pomysł. Piękne kwiaty dla pięknej kobiety!

Bannon się wyciągnął i sięgnął ręką za skraj klifu. Zerwał cztery kwiaty – bukiet. Drobny gest, ale może Nicci będzie miło. Może go zauważy.

Pobiegł przez trawy z powrotem do towarzyszy i mocno się zadyszał, zanim ich dogonił. Z rozwianymi przez wiatr rudymi włosami podszedł do Nicci.

Kiedy podawał jej kwiaty, ulotniły się wszystkie słodkie słówka, jakie sobie przygotował. Zupełnie jakby skradł je wiatr. Udało mu się jedynie wydukać:

– Znalazłem je dla ciebie.

Zachmurzyła się, trochę zirytowana, ale kiedy spojrzała na kwiaty, zaciekawiła się. Zmrużyła błękitne oczy i wzięła z bukietu jeden kwiat, trzy zostawiając Bannonowi. Nad wyraz ostrożnie dotknęła łodygi czubkami palców.

Bannon oczekiwał, że uśmiechnie się z zachwytem albo podziękuje skinieniem głowy. Nie przypominał sobie, by kiedyś widział jej szczery uśmiech.

– Gdzie je znalazłeś? – zapytała.

– Tam, przy klifie. – Pokazał. – Rosną w skalnej niszy.

– Te kwiaty są rzadkie. Wiele razy mogłam je wykorzystać! – Popatrzyła na Nathana.

Czarodziej przyglądał się roślinom szeroko otwartymi oczami, rozpoznał je.

– Bannonie Farmerze, wiesz, co to za kwiaty?

– Śliczne kwiatki?

– Śmiertunki – wyjaśniła Nicci, badawczo się przyglądając trzymanemu w palcach kwiatkowi.

Speszony Bannon spojrzał na resztę swojego bukietu.

– Śmiertunki – powtórzyła. – Jedne z najniebezpieczniejszych roślin. Bardzo trudno je znaleźć, są cenne. Za te cztery asasyni zapłaciliby bająnskie sumy. Ale takiej ilości nie zużyjemy. – Uniosła łodyżkę. – Jeden to aż nadto.

– Co... co masz na myśli? – Bannon patrzył na szkarłatno-fioletowe kwiaty i przeszedł go dreszcz.

– Zamierzasz wybić całe miasto, chłopcze? – zapytał Nathan. – A może tylko wioskę?

Bannon zamrugał, usiłując pojąć, o czym mówią.

– Chcecie powiedzieć, że te kwiaty... są trujące?

Twarz Nicci rozjaśnił pełen fascynacji uśmiech. Obracała w palcach grubą łyżkę, uważając, żeby nie dotknąć złamanego końca.

– Śmiertunki mają wiele zastosowań. Z płatków można przygotować tak śmiercionośny atrament, że każdy, kto przeczyta napisaną nim wiadomość, będzie umierał długo i w bólach. Połknięcie nawet jednego nasionka prowadzi do straszliwych boleści. Pisano, że to jak łykanie okruchów szkła, zwracanie ich i połykanie wciąż na nowo.

Żołądek Bannona zacisnął się w supeł.

– Jjja... nie chciałem...

Nicci ciągnęła:

– Ze wszystkich części śmiertunek można przygotowywać nalewki, ekstrakty i mikstury. Imperator Jagang nakazał swoim alchemikom i aptekarzom przetestować je na swoich jeńcach wojennych. – Uniosła brwi. – We wstępnych eksperymentach zmarło jakieś pięć tysięcy ludzi. Obozy dla poddawanych testom zaczęto nazywać Namiotami Wrzasku. Imperator Jagang rozbił swój namiot w pobliżu, żeby mógł usypiać kołysany tą muzyką.

Bannona zemdliło. Stał, dygocząc, i patrzył na trzy śmiertunki w swojej dłoni. Bał się poruszyć palcami.

– Nawet odrobina soku na skórze wywoła wysypkę i czyraki. – Nicci patrzyła na swój kwiatek. Najwyraźniej była pod wrażeniem, ale nie takim, na jakie liczył Bannon. – Bardzo ci dziękuję. Nigdy nie wiadomo, kiedy będą potrzebne takie metody. – Starannie owinęła kwiatek kawałkiem płótna i włożyła do plecaka. – Podoba mi się twój sposób rozumowania.

Zakłopotanie – i strach, że dłonie i ramiona lada moment obsypią mu nabrzmiałe czyraki i rany jak u trędowatego – odebrały Bannonowi mowę.

Odwrócił się i na łeb, na szyję pognał ku sosnom i do jeziora. Kiedy dotarł do brzegu, rzucił śmiertunki w wodę tak daleko, jak zdołał, potem padł na kolana, zanurzył dłonie i wbił palce w piasek. Szorował wnętrza i grzbiety dłoni, palce, przeguby, przedramiona. Rozpaczliwie próbował sobie przypomnieć każde miejsce, którego dotknął śmiertunkami. Nabrał wody w stulone dłonie i już miał ochlapać twarz, ale nie ośmielił się zbliżyć rąk do oczu i ust.

Chociaż dłonie wyglądały na czyste, znowu zanurzył je w piasku i szorował. Tarł skórę trzeci, czwarty raz, choć wnętrza dłoni były różowe, a opuszki zdarte do żywego mięsa, kłykcie obolałe. Wreszcie się odsunął, ciężko oddychając, nadal wystraszony, że trucizna wniknęła do jego wnętrza.

Przełknął ślinę. Co jeszcze mógłby zrobić? Nie znajdzie tutaj żadnej odtrutki... o ile taka w ogóle istnieje.

Serce mu waliło, tętno szalało, choć starał się nad sobą zapanować. Wreszcie zostawił za sobą jezioro i pobiegł do Nicci i Nathana.

O zmierzchu cztery piźmowce karłowate wyszły z eukaliptusowego zagajnika, gdzie cały dzień odpoczywały w cieniu. Zdążyły ledwo widocznym, wydeptanym przez zwierzęta szlakiem, delikatne raciczki stąpały po gałązkach.

Na nabrzeżnej wyżynie żyło niewiele dużych drapieżników, ale piźmowce instynktownie zachowywały czujność, zmierzając do jeziora, gdzie piły każdego wieczoru o zachodzie słońca. Zbliżyły się do brzegu, niepewne i płochliwe. Zrobiły parę kroków i się zatrzymały. Strzygły uszami, nasłuchując podejrzanych odgłosów, i znowu ruszyły naprzód. Jeden został z tyłu na straży, pozostałe podeszły na skraj jeziora.

Wyczuły, że coś jest nie tak. Woda była gładka i czysta jak zawsze, ale

zauważyły połyskliwe srebrzyste kształty unoszące się na powierzchni. Wczoraj setki małych rybek śmigają jak zajączki puszczane lusterkiem, a teraz unosiły się brzuskami do góry niczym plamy na wodzie.

Piżmowce usiłowały pojąć, co się zmieniło. Nieruchome niczym posążki w lesie, czekały długie minuty, ale nic nie nadeszło, nie zaatakowało. Wreszcie jeden zanurzył pyszczek w wodzie i zaczął pić. Pozostałe poszły za jego przykładem i napiły się do woli. Nadeszła kolej wartownika i koziół także się napił. Wokół zgęstniał mrok...

Rankiem liczne ryby dalej unosiły się na powierzchni jeziorka, niektóre zaczynały już tonąć. Na brzegu leżały cztery martwe piżmowce karłowate.

## ROZDZIAŁ 21

Rozbili obóz pod osłoną gęstych cyprysów. Nocą ucichło żalosne, nie do wytrzymania wycie wichru i osiadła gęsta mgła. Zimna i wilgotna – dawała im się we znaki. Zbili się w grupkę przy niewielkim ognisku, coraz to dorzucając wilgotnych gałązek. Nicci magicznie podtrzymywała ogień, ale płomienie dawały mało ciepła.

Czarodziejka nigdy nie troszczyła się przesadnie o swoją wygodę, póki mogła działać. Ich statek rozbił się na nieznanym wybrzeżu i – pomimo nieoczekiwanego natknięcia się na kamienny stożek potwierdzający istnienie Kol Adair – nie potrafiła ocenić, ile mil będą musieli przejść, zanim znajdą na tym nadbrzeżnym pustkowiu jakąś osadę.

Stale się napominała, że ta kraina, smętna i dziewicza, jest teraz częścią imperium D’Hary. A ona robiła to, co obiecała lordowi Rahlowi. Prawdę mówiąc, przeszłaby dla niego tam i z powrotem cały świat, gdyby to było konieczne. Lecz ani ona, ani Nathan nie będą mogli kontynuować misji, póki nie znajdą wioski lub miasta.

Wreszcie ranek rozjaśnił mrok i Nicci przestała marnować siły na podtrzymywanie bezużytecznego ognia.

– Powinniśmy ruszać. Zrobi się nam cieplej.

Nathan szylkretowym grzebieniem rozczesywał splątane długie, siwe włosy.

– Nie wiem, czy nawet bieg by nas rozgrzał. – Popatrzył z niezadowoleniem na wilgotną i zmiętą koszulę. – Nigdy sobie nie uświadamiałem, jak jestem uzależniony od mojego daru. Odrobinka magii nie pozwoliłaby mi marznąć w ten wietrzny, ponury dzień.

Nicci zarzuciła na ramiona swój prowizoryczny plecak.

– Nie będzie nam już zimniej, no i przejdziemy kawałek.

Bannon spojrzał w mgłę.

– Ale czy będziemy wiedzieć, dokąd idziemy?

– Przekonamy się, jak tam dojdziemy – powiedziała Nicci.

Nathan schował księgę życia do skórzanej sakwy.

– Wątpię, czy dzisiaj uda mi się dodać więcej szczegółów do mojej mapy.

Ruszyli. Kierując się szumem i hukiem oceanu po prawej, szli na tyle daleko od krawędzi klifu, żeby było bezpiecznie.

– Boję się nie tyle, że spadniemy z klifu, ile że docieramy do końca świata – powiedział zadyszany Bannon. – A wtedy będziemy spadać przez całą wieczność.

Nathan uniósł krzaczaste brwi.

– Wierzysz, że znajdziemy skraj świata, chłopcze?

– Widziałem mapy, które się urywały...

– Jeśli znajdziemy skraj świata, to będziemy wiedzieć, że dotarliśmy do granic imperium lorda Rahla. – Nicci nie marnowała czasu i sił na zamartwianie się takimi sprawami. – Wtedy zawrócimy i zbadamy, co jest w przeciwnym kierunku.

– Mam nadzieję, że wcześniej znajdziemy Kol Adair – stwierdził Nathan.

Młody człowiek wydawał się przybity, odkąd przyniósł czarodziejce śmiertunki. Nicci dostrzegła w jego oczach błysk świadczący o tym, że chyba się w niej zadurzył – i te uczucia były przeraźliwie źle ulokowane. Już miał zbyt żywą imaginację.

Nathan zaś miał do chłopaka słabość. Pomimo tysiącletniej różnicy wieku mieli ze sobą wiele wspólnego, skoro stary czarodziej też był odrobinę



naiwny.

Szli godzinę i mgła rzedła, ale robiło się coraz zimniej. Bannon dygotał.

– Może powinniśmy pójść w głąb lądu, do gęstszego lasu, wtedy przynajmniej drzewa by nas osłaniały.

Nicci potrząsnęła głową i maszerowała dalej. Kroczyła prostą, jakby wytyczoną linią, pokonując odległość niczym wroga.

– Idąc wzdłuż brzegu, możemy natrafić na ujście rzeki lub port. Jak tylko mgła się rozwieje, będziemy widzieć na większą odległość.

Nathan patrzył w ziemię, wypatrując krzaków jagód, czosnku czy ptasich gniazd i jajek na śniadanie. Bannon szedł przodem niczym obowiązkowy zwiadowca.

Wiatr ucichł i mgła znowu zgęstniała, toteż Nicci nie widziała chłopaka, póki się nie znalazł tuż obok niej. Był speszony i uśmiechał się po raz pierwszy od klapy ze śmiertunkami. Tym razem trzymał bukiet pomarańczowych lilii o długich łodygach.

– Znalazłem je dla ciebie, czarodziejko. Mam nadzieję, że spodobają ci się bardziej niż tamte trujące kwiatki.

Nicci popatrzyła na niego chłodno.

– Przecież doceniłam śmiertunki. Obszernie ci wyjaśniłam, jak można je wykorzystać.

– Ale to są ładne kwiaty – powiedział Bannon, podając je czarodziejce. – To śniedki baldaszkowate. Rosły na całej Chiriyi. Szybko więdną po zerwaniu, ale chciałem ci je dać. – Mina mu zrzedła, kiedy Nicci nie sięgnęła po nie. – Nie podobają ci się?

Przyznawała, że Bannon Farmer był całkiem przydatny, no i w walce z selka pokazał, co potrafi. Pozwoli, by im towarzyszył, dopóki będzie go uznawać za pożytecznego, a przynajmniej nie za zawadę. Potrafiła sobie

wyobrazić o wiele gorsze towarzystwo, ale to jego zauroczenie musiała zdusić w zarodku.

Uświadomiła sobie, że jej reakcja na wczorajszy nieporadny podarunek nie była dość zdecydowana. Trzeba mu wszystko wyjaśnić, bo inaczej prędzej lub później będzie musiała go zabić.

Przypomniała sobie czasy, kiedy ją wykorzystywano, zmuszano do spędzania wielu tygodni z żołnierzami Jaganga, była zabawką w ich sadystycznych rozrywkach, a także kiedy Jagang sam ją brał i czasem bił do krwi. Po tych okropnych doświadczeniach z tak zwaną miłością Nicci w mówiła sobie, że kocha Richarda Rahla. Była wówczas Siostrą Mroku, zdeprawowaną tak służeniem Opiekunowi, jak i brutalnym zniewoleniem przez imperatora. Jej próba wyrażenia niefortunnej miłości do Richarda – zmuszenie go, żeby udawał jej męża – doprowadziła tylko do tego, że jeszcze bardziej jej nie znosił.

Nicci zrozumiała nauczkę. Sama zabiła Jaganga i teraz całym sercem służyła Richardowi – na swój sposób. Wiedziała, że kocha Richarda, że jest jedynym mężczyzną, którego *mogłaby* kochać... lecz teraz to była inna miłość. On miał Kahlan i nigdy nie byłby szczęśliwy z Nicci, nie w ten sposób, bez względu na to, jak ją szanował i cenił. Ona zaś, powodowana niezłomnym oddaniem, postanowiła zdobyć Stary Świat dla Richarda Rahla – osobiście, jeśli będzie trzeba.

Nie miała ani czasu, ani cierpliwości dla tego młodego naiwniaka, który uważał, że jest ładna.

Bannon się rozpromienił, kiedy wyciągnęła rękę – ale zamiast wziąć kwiaty, zacisnęła dłoń na jego przegubie. Mocno trzymając, uwolniła ostrzegawczy strumyk magii, który wywołał ostre kłucie, niczym nawałnica igieł.

Orzechowe oczy chłopaka otwarły się szeroko, usta rozdziawiły pod

wpływem szoku. Zanim zdążył się odezwać, Nicci wycodziła przez zaciśnięte zęby:

– Tylko dlatego pozwalam ci z nami zostać, że Nathan cię lubi i możesz być użyteczny, pomagając nam dotrzeć tam, gdzie musimy się dostać. Ale wiedz – zniżyła głos, niemal warknęła – że nie jestem jakąś przymilną dziewczuszką czekającą, aż ktoś jej skradnie buziaka.

Palce odmówiły Bannonowi posłuszeństwa i upuścił kwiaty. Nicci nawet na nie nie spojrzała. Nadal mocno trzymała go za przegub.

– Prze... przepraszam, czarodziejko!

Musiała mu to solidnie wbić do głowy, żeby problem już się nie powtórzył. Ani odrobinę nie złagodziła tonu.

– Mamy poważne kłopoty. Zgubiliśmy się i musimy się dowiedzieć, gdzie jesteśmy, żeby móc kontynuować naszą misję. Jeśli kiedykolwiek wejdiesz mi w drogę, to cię żywcem obedrę ze skóry, bez wahania.

Gapił się na nią z należytych strachem, który wkrótce zmieni się w stosowny respekt. Już nie musiała się martwić, że znowu będzie się jej narzucał.

Puściła chłopaka i Bannon poruszył ręką, machał nią, jakby chciał przepędzić ból. Wydukał:

– Ale... ale... ja tylko...

Nie miała zamiaru być częścią jego wydumanego świata czy przedmiotem nostalgii za spokojnym wyspiarskim domem.

– Słyszałam, co opowiadałeś. Nie przynależę do twojego idealnego chłopięctwa. Rozumiesz mnie, dziecko? – Ostatnie słowo wybrała z premedytacją.

Jego wystraszona twarz nagle zmroczniała, jakby Nicci zdarła strup z niezagojonej rany.

– Nie było idealne. Nigdy. – Odwrócił się, zawstydzony, i zobaczył stojącego w pobliżu Nathana, zatroskanego i współczującego.

Nicci się nie wtrącała, kiedy czarodziej położył pocieszająco dłoń na ramieniu Bannona.

– Lepiej zrozum, jak się sprawy mają. Pamiętaj, że nazywano ją Panią Śmierci.

Przybity Bannon ruszył przed siebie. Wchodząc w gęstniejącą mgłę, powiedział:

– Nie. Nigdy o tym nie zapomnę.

Mgła zamknęła się wokół niego.

## ROZDZIAŁ 22

Po kolejnych trzech dniach marszu wyżynę zastąpiły zalesione wzgórza i bujne łąki. Bannon nerwowo trzymał się z dala od Nicci i jeszcze więcej czasu spędzał z czarodziejem. Nicci, chociaż nie wspominała już o tamtym incydencie, była zadowolona, że odrobił lekcję.

Słyszała, jak Nathan opowiada chłopakowi to i owo z historii albo rozwodzi się nad tym, ileż to czasu był zamknięty w Pałacu Proroków. Niektóre legendy wydawały się Nicci absurdalne, podobnie jak wydarzenia z życia czarodzieja, ale Bannon nie potrafił ocenić, co jest prawdą, a co nie. Chciwie chłonał każdą opowieść Nathana, niczym kot śmietankę. Przynajmniej obaj mieli zajęcie podczas marszruty, której trasę czarodziej pracowicie nanosił na poglądową mapę w swojej księdze życia.

Piątego dnia natrafili na ścieżkę zbyt szeroką, żeby była wydeptana przez zwierzynę. I zobaczyli pniaki po ściętych drzewach.

– To oznacza, że byli tu ludzie!

Ścieżka szybko zmieniała się w trakt, a potem w prawdziwą drogę. Wspięli się na wzniesienie i zobaczyli, że wzgórza schodzą ku zaokrąglonej zatoce, do której wpada wąska rzeka. Na obu brzegach wznosiło się miasteczko z drewnianymi domami, sklepami i składami. Wysoki most spinał brzegi. Pirsy sięgały w wody zatoki, tworząc doki dla małych łodzi. Po drugiej stronie przystani widać było skalisty cypel z wieżą obserwacyjną.

Na stokach wzgórz znajdowały się tarasowate ogrody i pastwiska, na których pasły się owce i bydło. W dokach z łodzi rybackich wyładowywano połów. Rozwieszane sieci schły w słońcu. Wysoko na plaży cieśle okrętowi naprawiali pięć łodzi odwróconych do góry dnem.

– Zaczynałem myśleć, że będziemy musieli obejść świat dokoła – odezwał się Nathan.

Nicci przytaknęła.

– Dowiemy się, gdzie jesteśmy, i obierzemy dalszą drogę. Możemy ich powiadomić o panowaniu lorda Rahla, no i może ktoś będzie wiedział, gdzie znaleźć Kol Adair.

– Widzę, czarodziejko, że aż się palisz do ratowania świata – stwierdził Nathan. – Tak jak ja do bycia w pełni sobą.

Nicci mocno zacisnęła wargi.

– Wstrzymam się z oceną, jak poważnie należy traktować słowa wiedźmy.

Nathan popatrzył chmurnie na swoją koszulę, zirytowany zniszczonym plisowaniem stroju, który kupił niecałe dwa tygodnie temu w Tanimurze.

– W miasteczku tej wielkości powinien być krawiec, który zrobi porządek z moim ubraniem. Nie cierpię czuć się taki... niechlujny.

Nicci, pamiętając bezludne ziemie, przez które wędrowali, zastanawiała się, jak często ci ludzie widywali obcych. Kiedy dostrzegła inne drogi wiodące w górę rzeki oraz łodzie rybackie i sporą przystań, uświadomiła sobie, że musieli mieć kontakt z innymi zamieszkanymi obszarami – nie tylko z pustkowiem Widmowego Wybrzeża.

Na obrzeżu miasta minęli cmentarz na zboczu wzgórza. Niektóre groby miały niskie kamienne nagrobki z wyrytymi nazwiskami, inne oznaczone były drewnianymi palami – i na nich też wyryto nazwiska. Te skromne słupki stały zbyt blisko siebie, żeby wyznaczać miejsca pochówku. Widok pali i kamiennych nagrobków bardzo poruszył Bannona.

Nathan przesunął palcami po podniszczonym drewnie z nieczytelnym nazwiskiem.

– Czyżby dwa rodzaje nagrobków wskazywały na system kastowy?

Bogaci mogą sobie pozwolić na ładne kamienne płyty i obszerny grób, a biedniejsi muszą się zadowolić palikiem?

– Może tu w ogóle nie ma ciał – odezwała się Nicci. – Może pale upamiętniają na przykład zaginionych na morzu rybaków.

Bannon miał ponurą minę.

– Myślę, że upamiętniają ludzi, którzy nie umarli, tylko odeszli.

Nathan zmarszczył brwi.

– Odeszli? Co przez to rozumiesz, chłopcze?

– Może ich... zabrano. – Chłopak z trudem przełknął ślinę.

Nicci się odwróciła i popatrzyła na niego surowo.

– Kto ich zabrał?

– Pewnie handlarze niewolników – wyszeptał.

To zaniepokoiło Nicci i ruszyła szybciej, bardziej zdecydowanie. Dla handlarzy niewolników nie było miejsca w nowym imperium lorda Rahla i nie mogła się doczekać, kiedy położy temu kres. Tak lub inaczej.

Kiedy dotarli na skraj miasta, dzieci bawiące się na ulicach bez utwardzonej nawierzchni zauważyły troje podróżnych nadchodzących z nieoczekiwanej strony i – podekscytowane – zawołały rodziców. Tęgie kobiety prały, a dwie starsze pary siedziały i naprawiały sieci rozciągnięte na drewnianych ławach. Mężczyźni i kobiety, pracujący na zagonach warzyw lub polach uprawnych, podnieśli głowy i spojrzeli na obcych.

Nathan otrzepał spodnie i koszulę z kurzu, popatrując na siebie z niesmakiem.

– Nie bardzo wyglądam na ambasadora D’Hary. – Poklepał miecz u pasa.

– Ale przynajmniej mój wspaniały oręż świadczy, że jestem kimś ważnym.

Bannon położył dłoń na owiniętej rzemieniem rękojeści własnego miecza,

ale nie bardzo wiedział, co powiedzieć.

Nicci ich napomniwała:

– Nie będziemy dobywać mieczy bez wyraźnej potrzeby. Przynieśliśmy wieści, że w Starym Świecie zapanował pokój. Radzi to usłyszają.

Kobieta w średnim wieku, o zaplecionych w warkocz brązowych włosach, uniosła rękę na powitanie. Dziesięcioletek u jej boku wpatrywał się w nowo przybyłych, jakby byli potworami z morza.

– Przyszli z północy! – powiedział, energicznie pokazując. – Na północy nic nie ma.

– Witajcie w Renda Bay – odezwała się kobieta. – Wyglądacie, jakbyście mieli za sobą długą podróż.

– Nasz statek się rozbił – wyjaśniła Nicci.

– Wędrujemy od wielu dni – wtrącił się Bannon. – Cieszymy się, że znaleźliśmy wasze miasteczko.

– Renda Bay? – odezwał się Nathan. – Naniosę na mapę.

Zbierało się więcej ludzi. Nicci oszacowała wzrokiem skromne domy, drewniane budynki wspólne, ogrody, rabaty. Dzieci nie były wymizerowane, obdarte czy przygnębione. Głównym zajęciem w miasteczku było sprawianie ryb w dużych korytach na drewnianych stołach ustawionych w dokach. Żelazne kosze, pełne rybich filetów, wisiały nad dymiącymi ogniskami z krasnorostów. Na plaży, w słońcu, ustawiono rzędy pojemników z morską wodą – powoli wyparuje, pozostawiając osad cennej soli.

Mieszkańcy zasypali ich pytaniami. Nathan i Bannon opowiadali chaotycznie ich przygody, gwar narastał. Nicci to przerwała:

– Zwołajcie zgromadzenie, przemówimy od razu do wszystkich i nie będziemy musieli się powtarzać.

Poznali burmistrza. Nazywał się Holden, był po trzydziestce, miał gęste



brązowe włosy siwiejące na skroniach. Dowiedzieli się, że do niedawna miał własną łódź rybacką, póki nie zajął się pracą na rzecz miasta.

Zaprowadził ich na miejski rynek, gdzie już się zebrało sporo ludzi chcących posłuchać opowieści przybyszów. Nicci pozwoliła mówić Nathanowi, bo czarodziej lubił dźwięk własnego głosu.

– Jestem Nathan Rahl, obecnie reprezentuję lorda Richarda Rahla, władcę Imperium D’Hary, człowieka, który pokonał imperatora Jaganga. – Spojrzał na nich, jakby oczekiwał wiwatów. – Może się zastanawialiście, czemu nie jesteście już gnębieni przez Imperialny Ład?

Mieszkańcy nie okazywali żadnych emocji ani nawet zrozumienia. Holden powiedział:

– Słyszeliśmy o imperatorze Jagangu, ale od z górą trzydziestu lat nie widzieliśmy ani wojsk, ani nikogo z Imperialnego Ładu.

Bannon się wtrącił:

– Płynęliśmy statkiem na południe, z Tanimury, *Tnącym Fale*, dowodzonym przez kapitana Eliego Corwina, ale zaatakowali nas selka. Setki, a może i tysiące! Zabili załogę, a statek wpadł na rafy. Tylko my troje przeżyliśmy. Jesteście pierwszymi ludźmi, jakich zobaczyliśmy po tej katastrofie.

Jedni wpatrywali się w nich z przerażeniem i fascynacją, inni marszczyli brwi z nieukrywanym sceptycyzmem, jakby się spodziewali, że rozbitkowie ubarwią swoją historię.

Odezwała się Nicci:

– Najważniejsza wieść, jaką przynosimy, to ta, że lord Rahl obalił tyranów, jesteście wolni. Lord Rahl, scalając swoje imperium, wysłał emisariuszy, żeby ustanowili powszechne prawa, na które wszyscy będą musieli przystać. To będzie złoty wiek w historii ludzkości. – Skrzyżowała

ramiona na piersi. – To dotyczy i was.

Nathan się rozpromienił, patrząc na mieszkańców.

– Musicie mieć mapy. Znać te strony. Wybierzcie kilkoro najlepszych ludzi, żeby ruszyli na północ. Niech dotrą do Nowego Świata, serca D’Hary i Pałacu Ludu, dołączcie do lorda Rahla. Zapewni opiekę i wsparcie, jakich potrzebuje wasze miasteczko. To ważne czasy w budowie nowego imperium.

Holden miał nawyk potakiwania, okazywania, że słucha ludzi przedstawiających swoje racje, ale nie wyglądał na przekonanego.

– To pogrzbujące wieści i z dumą słyszę, czego dokonał wasz lord Rahl.  
– Wskazał na zebranych. – Nasi ludzie handlują z miasteczkami w górze rzeki i z większymi miastami na południu, ale mało słyszeliśmy o D’Harze czy Tanimurze. Dobrze wam mówić, że jesteśmy wolni od tyranii i zniewolenia... ale czy słyszeli o tym ci, którzy mogliby nam zagrozić?

– Usłyszą – powiedziała Nicci.

Holden rozłożył ręce i oznajmił rozsądnie:

– Wasz lord Rahl jest o wiele za daleko, żeby mieć realny wpływ na nasze życie. Jak jakiś D’Haranin mógłby nam pomóc z drugiego końca świata? Jesteśmy tu zdani na własne siły... sami przeciwko temu, co by nas zaatakowało.

– Potrafiłby was ochronić – zapewniła Nicci, bo świetnie wiedziała, że nie wolno nie doceniać Richarda.

Holden uśmiechnął się do nich pojednawczo i już nie dyskutował.

– Dobrze to wiedzieć i jesteście mile widziani w Renda Bay. Pomożemy wam, jak zdołamy, bo wygląda na to, że wszystko straciliście.

– Przydałby się solidny posiłek – powiedział Nathan. – I nowe ubrania. – Podciągnął wystrzępiony rękaw. – Macie krawca? Potrzebuję kilku nowych strojów.

– Bylibyśmy też wdzięczni za prowiant i ekwipunek na dalszą podróż – dodała Nicci. – Szukamy miejsca zwanego Kol Adair.

Nic im ta nazwa nie powiedziała, ale chcieli pomóc. Rynek rozbrzmiewał gwarem rozmów. Holden oznajmił:

– Wieczorem wydamy powitalną kolację. Jest sezon na labraksy, więc nasze łodzie przywiozły obfity połów. Usmażymy tyle, że starczy na ucztę.

Nathan się uśmiechnął.

– Doceniamy waszą gościnność i z przyjemnością zjemy dobry posiłek. Gdzie mógłbym dostać nową koszulę?

Wieczorem mieszkańcy ustawili pod gołym niebem, tuż nad dokami przystani, długie stoły z desek. Z okien domów padał ciepły, przyjazny blask, a miejsce zgromadzenia otaczały wysokie pochodnie. Gliniane lampiony oświetlały most spinający brzegi wąskiej rzeki.

Zapadał zmierzch i mieszkańcy schodzili się na powitalną ucztę. Tłuste labraksy, przyprawione solą morską i ostrymi ziołami, piekły się na węglach. W dużych saganach gotowały się bulwy, przygotowano też sałatkę z kwiatów dławisza. Nicci się przekonała, że labraks to ryba ze sporą ilością czerwonego mięsa o wyrazistym smaku. Bannon – rozmawiający z sąsiadami przy długim stole – wziął dokładkę. Ku ich zadziwieniu opowiedział, ile potraw można przyrządzić z kapusty.

Nathan dostał nową szarą koszulę z płótna domowej roboty, sznurowaną na piersi. Stary czarodziej uważał, że to nietwarzowy kolor, ale przyznał, że koszula jest o niebo lepsza od resztek jego niegdyś eleganckich strojów.

– Stokrotne dzięki, moja droga Jann – powiedział do niskiej, ciemnowłosej kobiety o pospolitych rysach, lecz pięknych oczach.

Była jedną z trzech tutejszych szwaczek, sama tkła i szyła ubrania dla

rodziny i mieszkańców.

– U krawców w Tanimurze mogłem wybierać z rozlicznych modeli i wzorów, niezliczonych gatunków materiałów i mnóstwa fasonów – Nathan westchnął. – Ale żaden z nich nie był tak miły i ładny jak ty.

Jann zachichotała.

– Powinieneś podziękować mojemu mężowi. Ta koszula miała być dla Phillipa.

Obok niej siedział barczysty starszy mężczyzna. Niemal dorównywał wzrostem Nathanowi. Miał mocno kręcone ciemne włosy i wyrazistą twarz. Kiedy Nathan spytał go o bliznę na nosie, odparł, że kiedyś pękła linka i haczyk rozciął mu nos aż do chrząstki.

– Mam wiele koszul, a ta z pewnością była bardziej potrzebna tobie niż mnie – powiedział Phillip. – I teraz mogę się chwalić, że ambasador lorda Rahla nosi ubrania uszyte przez moją żonę. – Dużą stwardniałą dłonią ścisnął o wiele delikatniejszą rękę Jann. Rozkoszował się kolejnym kęsem labraksa. – Miło zajadać się rybą, której nie musiałem sam złowić. To już dla mnie przeszłość.

Jann wyjaśniła:

– Phillip jest znakomitym rybakiem, ale woli budować łodzie. Właśnie ukończyliśmy nowy suchy dok i będzie naprawiał łodzie rybackie oraz zbuduje nową, na sprzedaż.

Phillip uśmiechnął się z dumą.

– Zamierzam ją nazwać *Lady Jann*.

– To z pewnością podbije cenę.

Burmistrz wstał i rozmowy przy stole ucichły.

– Witamy naszych gości z dalekich stron. Dajemy, co mamy, i żywimy nadzieję, że Matka Morza zapamięta naszą uprzejmość dla obcych.

Kiedy mieszkańcy wiwatowali i wznosili toasty, Nicci usłyszała, że niektórzy mruczą pod nosem, jakby uważali, że Matka Morza wiele razy w przeszłości ich zawiodła. Uświadomiła sobie, że Renda Bay nie ma zbrojnych strażników ani garnizonu – w ogóle żadnej ochrony. Wiedziała, że jeśli ktoś wierzy, iż boskie istoty rozwiążą jego problemy, to problemy te zwykle pozostają nierozwiązane.

Nagle mieszkańcy poderwali się zza drewnianych stołów, pokazując ku ciemnej przystani. Na wieży obserwacyjnej na południowym krańcu falochronu zapłonął ostrzegawczy ogień. Ktoś rzucił pochodnię na stos suchego drewna. Kiedy Holden to zobaczył, przeraził się.

Nicci, patrząc na przystań, dostrzegła złowieszcze sylwety czterech dużych okrętów z zadziwiającą szybkością zbliżających się do zatoki.

Zrozpaczony Holden popatrzył na czarodziejkę.

– I gdzie ta ochrona twojego lorda Rahla?

Nicci się wyprostowała.

– Jestem tutaj.

## ROZDZIAŁ 23

Przerażeni mieszkańcy uciekali. Niektórzy biegli do domów po noże, pałki, łuki i wszystko, co mogło posłużyć za broń. Nathan i Bannon dobyli mieczy i stanęli ramię w ramię, chociaż mina chłopaka w niczym nie przypominała tej, którą Nicci widziała na jego twarzy, kiedy walczył z selka. Tym razem był zarówno przerażony, jak i pełen odrazy.

Masywne okręty sunęły szybko naprzód, chociaż noc była bezwietrzna. Każdy miał jeden maszt z szerokim ciemnoniebieskim żaglem (żeby go nie było widać nocą).

Nicci słyszała pluski i gburowate krzyki mężczyzn. Wpatrując się intensywnie w noc, wyostrzyła wzrok zaklęciem. Dzięki temu zobaczyła, że okręty napastników są napędzane długimi rzędami wiosł. Wiosła wchodziły w wodę niczym ostrza i odchyłały się w tył, żeby pchnąć statek do przodu, a potem unosiły się w powietrze, ociekając księżycową poświatą, i znowu cięły wodę.

– Norukaiscy handlarze niewolników! – wykrzyknął Bannon.

– Norukaiscy handlarze niewolników – powtórzył Holden, a potem zawołał: – Szykować się do obrony! To kolejny napad.

– W czym rzecz, chłopcze? – zapytał Nathan. – Kim oni są?

– Koszmarem.

Okręty handlarzy niewolników nadpływały szybko, dobijały do pirsów, miażdżąc małe rybackie łodzie. Dał się słyszeć chór gardłowych, urągliwych krzyków. Nicci zadrżała, widząc, że dziób każdego okrętu zdobi rzeźba potwornego węża morskiego – rozpoznała rzeźbę z wraku, który znaleźli w zatoczce.

Okręty napastników wpadły do przystani niczym rozszalałe byki. Z ich pokładów strzeliły w niebo jaskrawopomarańczowe zygzaki, zakreśliły łuk i opadły na ulice, dachy i pechowych mieszkańców. Niektóre z płonących strzał utknęły w dachach i podpaliły domy.

Ekipy strażaków nadbiegły z wiadrami, żeby zapobiec rozprzestrzenianiu się pożarów. Reszta obrońców ruszyła ku dokom, zbrojna w taki oręż, jaki był pod ręką. Nicci od razu wiedziała, że mieszkańcy nie dadzą rady napastnikom. Jej zdaniem na czterech okrętach Norukaich było około trzystu wojowników. Powiedziała do Nathana:

– To my musimy dać im odpór.

Uniósł miecz.

– Też tak myślę, czarodziejko.

Nicci odwołała się do magii, zapaliła w dłoni jaskrawą kulę ognia i rzuciła ją w powietrze. Kula zaczęła się rozdymać, rozrzedzać, aż eksplodowała deszczem iskier. Blask oświetlił wielkie okręty z węzami na dziobach i napastników kłębiących się na pokładach. Dwa najbliższe okręty uderzyły o pirsy, rzucono żelazne haki i ciężkie trapy. Ci z dwóch dalszych okrętów spuścili na wodę łódki i powiosłowali do brzegu.

Jann i Phillip stanęli przy Nathanie, zbierając siły do walki.

– Ratujcie nas, duchy! – wykrzyknęła Jann.

– *Ja* was uratuję – oznajmiła Nicci.

Czarodziej spojrzał na byłego rybaka.

– Toczycie wojnę z Norukaimi? Czemu zaatakowali Renda Bay?

– Jesteśmy dla nich łupem – odparł Phillip z obłędem w oku. – Zwykle przypływają jednym okrętem, porywają pięć–dziesięć osób i uciekają w noc. Ale to... to inwazja.

– Czyli zjawiliśmy się w samą porę – stwierdziła Nicci.

Wojownicy gnali przez doki ku miasteczku. Wyskakiwali z łódek i brodzili w płytkiej wodzie do brzegu, niosąc pałki, sznury i sieci.

Magiczne oświetlenie zgasło, ale czary Nicci przybrały na sile. Skierowała umysł w jedną stronę, sięgnęła do magii addytywnej i jej energii, jednocześnie zaczerpnęła też z magii subtraktywnej. Złączyła je i przywołała zygzaki czarnej błyskawicy, uderzyła nią w trzech napastników, którzy pierwsi dotarli do końca doków. Błyskawica zmieniła ich piersi w dymiące rany i krzepcy mężczyźni padli na ziemię.

Mimo tego nieoczekiwanego ataku handlarze niewolników nie okazali ani strachu, ani zawahania. Parli do przodu, drwiąc z magicznej błyskawicy, arogancko pewni, iż są nie do pokonania. Czwooro wyskoczyło z łódek i brnęło do brzegu.

Nicci zabiła także ich.

Norukai byli przysadzistymi mężczyznami o nieproporcjonalnie szerokich barach, wygolonych głowach i odsłoniętych ramionach; mieli ochronne łuskowate kamizele, zrobione ze skóry jakiegoś gada. Najbardziej przerażające było to, że od kącików ust aż do uszu biegły im przez policzki zszyte rozcięcia – miało to upodobnić ich usta do paszczy węża. Kiedy ryczeli swój okrzyk bojowy, ich usta rozwierały się szeroko, jak pyski gotowych kąsać żmij. Jedynie nieliczni mieli miecze lub włócznie; pozostali najwyraźniej zamierzali poskromić i pojmać ofiary, a nie zabić. Chcieli zebrać plon wśród mieszkańców Renda Bay.

Na miasteczko spadł drugi deszcz płonących strzał wystrzelonych z pokładu okrętu. Wśród drewnianych domów szerzyły się pożary. Kiedy Nicci zobaczyła, że płomień przeskakuje z jednego dachu na drugi, wyrzuciła w górę rękę i przywołała kontrolę nad powietrzem i wiatrem. Nakierowany przez nią podmuch odepchnął płomienie, a kiedy go cofnęła, wyssało to cały tlen i ugasiło ogień.



Nathan popatrzył na nią i jęknął.

– Już nie mogę cię tak wspomóc – powiedział, trzymając mocno miecz. – Ale zrobię swoje nawet bez czarów.

Biegł ramię w ramię z Bannonem, obydwaj wysoko dzierżyli miecze. Krzepcy handlarze niewolników nadbiegali od brzegu. Chłopak, szykując się do walki, miał dziwne spojrzenie – choć nie był to strach. Sprawiał wrażenie opętanego.

Mieszkańcy Renda Bay mieli miecze i włócznie, ale najwyraźniej nie byli wprawni w posługiwaniu się nimi. Holden wykrzyczał rozkazy i mężnie pobiegł ku fali napastników, chociaż nie miał żadnego taktycznego planu.

Nicci obserwowała, jak czwarty okręt uderza w dok, rozłupując drewno. Napastnicy krzyczeli. Nie zamierzała pozwolić, żeby wyszli na brzeg. Trucizna już jej nie osłabiała, w pełni władała darem i mogła uczynić o wiele więcej, niż tylko przywołać wiatr czy błyskawicę.

Przyzwała wielką buzującą kulę ognia czarodzieja, żarzącą się sferę, którą cisnęła w dziób okrętu dokładnie wtedy, kiedy Norukai cumowali do uszkodzonego pirsu. Magiczny ogień spopielił rzeźbę węża i przedostał się dalej. Płomienie rozlały się po pokładzie i ogarnęły piętnastu opancerzonych handlarzy niewolników. Wrzeszczeli, kiedy zwęglona skóra odchodziła od kości, a ich wstrętne rozcięte usta tak szeroko otwierały się w krzyku, że trzaskały im szczęki.

Ogień czarodzieja nie dawał się łatwo ugasić. Palił deski pokładu, podpalił wysoki maszt i granatowy jak noc żagiel, który zamienił się w migotliwą pomarańczową firanę. Kiedy Nicci korzystała z mniejszych kul ognia czarodzieja podczas ataku selka na *Tnącym Fale*, sztorm i woda stłumiły ogień. Lecz tutaj, w dokach Renda Bay, magiczne płomienie przepaliły pokład pirackiego statku i dostały się w głąb kadłuba.

Wielu Norukaich wyskoczyło za burtę, niektórzy się palili. Okręt płonął niczym gorejąca świetlna boja. Zawodzenia umierających wrogów ucieszyły Nicci. Chociaż się zmieniła, te wrzaski przypomniały jej chwile, kiedy spaliła żywcem pułkownika Kardeefa, piekąc go na rożnie na oczach mieszkańców nowo podbitego miasta, tylko po to, żeby udowodnić, jaka potrafi być bezlitosna.

Setki Norukaich wdarły się do miasta. Unosząc pałki i sieci, starli się z mieszkańcami dającymi odpór wszystkim, co mogło służyć za broń. Odrażający wojownicy nie okazywali strachu i z o wiele większą wprawą posługiwali się sieciami i pałkami niż mieszkańcy bronią, z której rzadko korzystali.

Zarzucili obciążoną sieć na trzech mężczyzn, którzy atakowali ich włóczniami i mieczami. Ci potykali się i miotali, próbując rozerwać oka, ale Norukai rzucili się na nich i tłukli pałkami, aż ich ogłuszyli. Wyglądało to na dobrze skoordynowane działanie. Jak tylko nieszczęśnicy stracili przytomność, Norukai związali ich jak dzikie zwierzęta. Potem podnieśli jeńców – jeden za nogi, drugi za ręce – i zatargali na pokład najbliższego okrętu.

Płonące strzały nadal przecinały powietrze niczym spadające gwiazdy. Nicci próbowała je gasić jedną po drugiej, zanim trafią na coś łatwopalnego, i zarazem starała się opanować pożary, ale nie mogła nadążyć. Były już setki ognisk. Norukai najwyraźniej zamierzali zniszczyć całe miasto, żeby wywołać chaos i pochwycić więcej ludzi. Poruszali się bardziej jak zawodowi myśliwi, a nie jak dobrze wyćwiczone wojsko: szli luzem i wypatrywali celów. Wdarli się do miasta.

Nathan powiedział sobie, że klinga może być równie śmiertelna jak magia, jeśli włada nią wytrawny fechtmistrz. Jego nowa koszula była luźna,

wygodna i czysta... jak dotąd. Ruszył na pierwsze szeregi przysadzistych Norukaich, machając mieczem.

U jego boku Jann i Phillip brawurowo włączyli się do boju. Phillip trzymał długi bosak, z którego korzystał jako rybak. Rzucił nim jak harpunem i przebił mostek jednemu z handlarzy niewolników. Choć trafił prosto w serce szybko zmarł, to szarpał drzewce, zanim znieruchomiał.

Żona Phillipa była mała, lecz zwinna. Śmigła wśród napastników z długim rzeźnickim nożem: ciachnęła po rękach jednego, drugiemu głęboko rozcięła bok. Krew spływała po odsłoniętych żebrach.

Nathan trzymał miecz oburącz, wykorzystywał całą swoją siłę i klinga wbiła się w szeroko otwarte usta jednego z cudacznym Norukaich, odcinając mu głowę. Bannon u jego boku zamienił się w wir i nawet nie patrzył, gdzie uderza i tnie. Handlarze niewolników cofali się przed szaleńczym atakiem chłopaka.

Lecz nie na długo powstrzymano Norukaich. Wydali syczące warknięcie – jakby osobliwy okrzyk wojenny – nowa ich grupa ruszyła naprzód, trzymając długie włócznie. Każda była zakończona kłębem jakiegoś nieznanego zwierzęcia, z wyciętym ząbkowaniem. Przednie szeregi handlarzy szły z grubymi pałkami w dłoniach, miotacze włócznie zaś zajęli pozycje i wypatrzyli ogniska oporu.

Burmistrz stał na jednym ze stołów i krzyczał, mobilizując swoich ludzi:

– Stawcie im czoło! Nie pozwólcie uprowadzić waszych żon i dzieci! Nie pozwólcie...

Jeden z miotaczy włócznie wziął zamach i z wielką siłą cisnął drzewce. Broń ze świstem przecięła powietrze i utkwiała w brzuchu Holdena. Umazany krwią kiel sterczał mu z pleców.

Nathan w pierwszej linii ciał mieczem, to z lewa, to z prawa, odrabując ręce i wbijając ostrze między żebra. Czuł wewnętrzne mrowienie – sądził, że to może być iskierka magii. Sięgnął w głąb siebie, starając się ją pochwycić i zakłócić lot włóczni. Zwyczajne instynktowne zakłęcie. Czas płynął tak wolno... lecz iskra zniknęła, zgasła. Magia znowu go opuściła.

Bannon chwycił go za ramię i szarpnął w bok, włócznia przeleciała obok czarodzieja.

– Uważaj, Nathanie. Jesteś mi potrzebny żywy, żeby zabić jeszcze więcej tych bydlaków.

Jad w jego głosie zaskoczył Nathana. W chłopaku coś się przebudziło. Oczy miał błędne, wargi ściągnięte, a zwykle pogodny uśmiech zmienił się w przerażający grymas. Krople krwi na twarzy przesłoniły piegi.

Bannon rzucił się naprzód, nie bacząc na pałki, sieci i miecze handlarzy niewolników. Rude włosy miał rozwiane, z wyciem przeciął szyję jednego z przysadzistych mężczyzn, odrąbał ramię drugiemu.

– Bydlaki! – wrzeszczał.

Celny sztych Niepokonanego otworzył brzuch kolejnego napastnika, który łypnął drwiąco na swoje węzowate kiszki i próbował złapać rękę, w której Bannon trzymał miecz. Lecz chłopak uskoczył, odciął mu ramię, a potem w szale odrąbał drugie – z kikutów lała się krew.

– Bo cię zabiją, chłopcze – napomniał go Nathan.

Biegł za Bannonom, starając się dotrzymać mu kroku, Norukai zaś zaczęli otaczać tego rozszalałego wroga.

Jeden z miotaczy włóczni cisnął nią w chłopaka, lecz Nathan w samą porę zamachnął się mieczem i z głośnym trzaskiem uderzył w drzewce, zmieniając jego lot. Zakończona kłębem włócznia poleciała pod kątem, rykoszetowała i wbiła się pomiędzy łopatki innego z nacierających Norukaich.

Handlarze otoczyli Jann i zarzucili na nią sieć. Upadła na ziemię, szarpała linki. Chciała się uwolnić, tnąc zakrwawionym nożem, ale stanęli nad nią dwaj muskularni Norukai i unieśli pałki, żeby ją zbić do nieprzytomności.

Wyrósł za nimi Nathan i dźgnął jednego w plecy. Kiedy jego towarzysz się odwrócił, obrzucając czarodzieja wściekłym spojrzeniem, Jann uwolniła rękę i głęboko wbiła mu rzeźnicki nóż w łydkę. Wrzeszcząc, sięgnął w dół, chcąc złapać za nóż, a Nathan czystym cięciem pozbawił go głowy. Czarodziej pospiesznie rozerwał sieć i uwolnił Jann. Kobieta się wydostała, wyczerpana i roztrzęsiona.

Nadbiegł jej mąż, był zakrwawiony, lecz pełen wdzięczności.

– Uratowałeś ją. Dziękuję, czarodzieju – powiedział.

Wyciągnął ręce do żony i wtedy jedna z płonących strzał trafiła go w kark. Stalowy grot, wciąż jeszcze pokryty palącą się smołą, wyszedł z rany w gardle. Phillip chwycił strzałę, jakby zirytowany, że przeszkodziła mu w spotkaniu. Jann krzyknęła, a mąż popatrzył na nią wilgotnymi, stęsknionymi oczami i padł martwy.

Bannon wył ku niebu, tłukąc mieczem w deszcz płonących strzał. Z taką furją rzucił się na dwóch Norukaich, że się cofnęli, Nathan zaś musiał mu pomóc, pozostawiając szlochającą nad zabitym mężem Jann.

W mieście szerzyły się pożary. Nicci ugasiła tyle, ile zdołała, ale chwilowo była to przegrana walka. Uświadomiła sobie, że jeśli nie uda się jej przepędzić napastników, to nie będzie miało znaczenia, czy Renda Bay spłonie.

Mieszkańcy dobrze się spisywali, chociaż co najmniej trzydziestu pobito do nieprzytomności i zawleczono na okręt. Dziesiątki Norukaich wróciły na pokład. Pod pokładem zagrzmiały bębny, wiosła się uniosły i opuściły –

galerników zmuszono do pracy i statek odbił od nabrzeża.

Nicci przyzwała kolejne czarne błyskawice i zabiła nimi sześciu Norukaich, którzy myśleli, że są bezpieczni na odpływającym okręcie. Nie sądziła, że zdoła zapobiec ich ucieczce, toteż zajęła się tymi piratami, którzy zostali na brzegu.

Ponad setka handlarzy niewolników dalej atakowała. Widzieli Nicci i jej moc i paru najwyraźniej uznało, że piękna, potężna czarodziejka byłaby cenną niewolnicą. Głupcy.

Jeden z nich z monstrualną wężową paszczą zamachnął się maczugą zakończoną kulą na łańcuchu, dwaj inni unieśli sieci, zachodząc Nicci z drugiej strony. Pewnie myśleli, że będzie łatwą zdobyczą.

Nie miała na to czasu. Uniosła rękę i szybko wskazała kolejno na każdego z nich, zatrzymując ich serca. Padli martwi, zaplątując się we własne sieci.

Ciężko oddychała, łapiąc oddech. Miała dość mocy, żeby przyzwać kolejną kulę ognia czarodzieja. Mogłaby podpalić uciekający okręt, ale zabiłaby wszystkich, którzy na nim przebywali, w tym więźniów. Czy woleliby taki los? Nie jej o tym decydować. Nie, będzie walczyć z Norukami na brzegu.

Przywołała ogień czarodzieja, ale zamiast ukształtować kulę, rzuciła ku nacierającym napastnikom rozbryzg śmiertelnych magicznych płomieni, ochlapując co najmniej trzydziestu. Nieustępliwe płomienie nie gasły. Nawet kulka ognia czarodzieja wielkości paznokcia płonęłaby, aż przepaliłaby ofiarę na wylot.

Norukai, wrzeszcząc i wijąc się, padali jak drzewa w płonącym lesie. Nicci, chociaż wyczerpana tak intensywnym korzystaniem z magii, przywołała zwykły ogień i posłała go w powietrzu ku żaglom i masztom dwóch okrętów, podpalając farbowaną tkaninę.

Nathan i Bannon zabili piętnastu do dwudziestu handlarzy niewolników każdy. Dalej walczyli, podobnie jak setki krzyczących, gniewnych mieszkańców. Norukaiscy miotacze włóczni cisnęli ostatnie drzewca w tłum, nie wybierając celów.

Nicci ostatkiem mocy wysłała ścianę wichru, solidny powietrzny taran, który odepchnął Norukaich. Pędzili ku nim rozwścieczeni mieszkańcy Renda Bay – i handlarze niewolników wreszcie się wycofali.

Rozpaczliwie próbowali ugasić żagle na swoich zniszczonych okrętach. Potem, klnąc, stłoczyli się na ostatnim statku. Galernicy, przy akompaniamencie grzmiących bębnow, zaczęli wycofywać wężowy statek, odrywając go od pirsu, zostawiając po sobie zniszczenia.

Nicci wyciągnęła nóż i stwierdziła, że ma tu jeszcze robotę. Nie potrzebowała magii, żeby zabijać tych, co zostali na brzegu, kiedy ich statki uciekały. I ją, i mieszkańców Renda Bay czekała długa noc.

## ROZDZIAŁ 24

Statki Norukaich umknęły w noc, lecz w Renda Bay pozostały ból i przerażenie wywołane napadem. Mieszkańcy gasili pożary, opatrywali rannych, liczyli zabitych – i zaginionych.

Nathan popatrzył na swój zbroczony krwią miecz. Jego nowa koszula z samodziału – którą Jann uszyła dla męża – była podarta i przesiąknięta krwią. Czarodziej złapał się na tym, że wpatruje się w tkaninę, skubiąc lepkie grudkowate skrzepy. Magia jest o wiele czystsza niż *to!* Kiedy uświadomił sobie, że przejmuje się tak trywialną sprawą, wiedział już, że doznał szoku.

Sprawdził dłonie i ramiona, przesunął palcami po głowie, badając, czy nie został ranny. W ogniu walki można odnieść poważne rany i w ogóle tego nie zauważyć, aż się umrze z upływu krwi. Na szczęście znalazł jedynie niewielkie ranki i zadrapania oraz guz za prawym uchem. Nawet nie pamiętał, że otrzymał tam cios.

– Wygląda na to, że jestem względnie cały – mruknął do siebie.

Powiódł wzrokiem po innych – jedni stali, zaszokowani i bezradni, drudzy miotali się gorączkowo, próbując pomagać sąsiadom. Z bólem serca Nathan uzmysłowił sobie, że choć przelotnie poczuł podczas walki iskierkę daru, to teraz nie ma w nim magii i nie potrafi uleczyć choćby pomniejszych ran.

Bannon Farmer wyglądał na zagubionego i wycieńczonego; jakby go wyżęto i powieszono, żeby wysechł. Był pokryty krwią, kępkami wyrwanych włosów, szarawą tkanką mózgową, w koszulę wbiły mu się nawet fragmenty kości. Walczył, jakby go opętał duch wojny. Nathan nigdy nie widział czegoś takiego. Za to teraz Bannon wyglądał jak znękany podrostek.

Czarodziej martwił się o rannych i umierających. Nie było tu uzdrowicieli



o potężnym darze i mieszkańcy Renda Bay musieli radzić sobie tradycyjnymi sposobami. Mieli jedynie paru medyków, którzy zajmowali się chorymi i różnymi obrażeniami (jak wtedy, kiedy haczyk wędkarski rozorał biednemu Phillipowi nos, pozostawiając długą bliznę).

Nathan z trudem przełknął ślinę, wspominając Phillipa. Jann klęczała przy ciele męża na placu; strzała wciąż sterczała mu z gardła. Umarł ze zdziwioną miną; przynajmniej nie cierpiał. Jann szlochała z pochyloną głową, ramiona jej drżały.

Nathan, krążąc pomiędzy rannymi, pomagał uzdrowicielom bandażować rany od noża, owijać płótnem rozbite głowy. Ranni jęczeli lub krzyczeli z bólu, kiedy medycy zszywali rany. Kiedy czarodziejowi powiał w twarz morski wiatr, woń krwi i dymu przeważała nad słonym zapachem zatoki. Tyle zniszczeń...

Na szczęście Nicci uwolniła całą moc, a Nathan wiedział, jak potężną jest czarodziejką. I on sam był niegdyś potężnym czarodziejem. Gdyby tej nocy miał dar, gdyby mógł rzucać zaklęcia tak jak Nicci, to większości tych strat by nie było. Napastnicy zostaliby przepędzeni, zanim dotarliby na brzeg. Ludzie by żyli, dbali o zasiewy, naprawiali sieci albo wyruszali na połów.

Zawiódł. Magia zawiodła jego – a on z kolei zawiódł mieszkańców Renda Bay. Nathan Rahl zawiódł *samego siebie*.

Gdyby tylko mógł rzucić ogień czarodzieja na norukaiskie statki, spopielić żagle, nie pozwolić napastnikom wylądować! Użyłby czaru unieruchamiającego, żeby nie mogli się zbliżyć, a może i rzuciłby urok snu, żeby padli niczym skoszona pszenica – potem mieszkańcy Renda Bay związałiby handlarzy niewolników, przejęli ich statki, uwolnili jeńców przykutych do wiosł pod pokładem niczym zwierzęta...

Nathan zacisnął pięści, zgrzytnął zębami i zawołał:

– Jestem czarodziejem!

Chociaż proroctwa zniknęły z tego świata, to przecież nie mógł utracić wszystkiego. Nie chciał dać wiary, że wraz z prorokowaniem zniknęły jego pozostałe umiejętności, bez względu na to, co zagadkowo przepowiedziała wiedźma. Nie, nadal była w nim magia. Wiedział to. Stanowiła jego część. Miał dar!

W Nathanie buzował gniew i poczuł nieoczekiwane pieczenie w przedramionach przemieszczające się aż do piersi, jakby jakaś błyskawica przemknęła żyłami. Tak, rozpoznawał tę iskrę!

Magia mogła sobie przejść w stan uśpienia, ale Nathan ją wydobyl, wyciągnął, wierzgającą i opierającą się jak jeden z jeńców wleczonych na piracki statek.

– Jestem czarodziejem i władam magią! – powiedział do siebie.

Teraz mógł ją wykorzystać do pomagania ludziom.

Zobaczył dwie uzdrowicielki przy mężczyźnie wydającym ciche bulgotliwe dźwięki. Pospieszył ku nim, nadal czując ożywcze mrowienie w palcach. Zdoła pomóc.

Biedak leżał na plecach, z piersi sterczała mu włócznia. Grot nie trafił w serce, ale przebił płuca. Kaszlał, z sinych ust płynęła krew. Miał drgawki i zrozpaczone kobiety nie mogły mu pomóc.

Kiedy Nathan się zbliżył, potrzęsnęły głowami. Twarz rannego wykrzywił grymas bólu. Szeroko otwarte oczy były szkliste. Znowu zakaszlał i na usta wystąpiła mu różowa piana.

– Możemy jedynie czekać, aż Matka Morza go zabierze – powiedziała jedna z kobiet o twarzy umazanej krwią i łzami.

Nathan popatrzył na złamane drzewce.

– Musimy usunąć włócznię – stwierdził.

Druga kobieta potrząsnęła głową.

– Jeśli to zrobimy, umrze natychmiast. Dajmy mu odejść z godnością i w spokoju.

– *Umrze*, jeśli zostawisz włócznię. – Lazurowe oczy stały się twarde jak stal. – On może mieć szansę. Nie potraficie mu pomóc, ale ja mam dar, pozwólcie mi spróbować. – Kobiety wpatrywały się w Nathana, a on zachęcił je, by się oddaliły: – Idźcie zająć się kimś, komu możecie pomóc.

Skinęły głowami, delikatnie dotknęły umierającego i pospieszyły do innych rannych.

Nathan chwycił śliską, okrwawioną włócznię. Tak delikatnie, jak tylko zdołał – chociaż nie było delikatnego sposobu na poradzenie sobie w tej sytuacji – wyciągnął drzewce. Mężczyzna wydał stłumiony krzyk. Świeża krew połała mu się z ust i jasny strumień popłynął z otworu w piersi. Kiedy ranny wił się z bólu, jego płuca wydawały ssący, świszczący dźwięk. Nie zostało mu wiele czasu.

Nathan przywołał magię, sięgnął po mrowienie, dotyk swojej Han, i zmienił to w strumień energii. Magia addytywna. Robił to wcześniej wiele razy – tak wiele razy. Dla kogoś z darem to była dziecinna igraszka, wiedział, że może to kontrolować.

Przycisnął dłonie do otwartej rany. Czuł uzdrawiającą moc, pozwolił, żeby magia przezeń płynęła. Odzyskanym darem wyszukał rozerwane naczynia krwionośne, poszarpane tkanki płuc, okropną wyrwę, którą drzewce wybiło w piersi biedaka. Mógł scalić włókna mięśni, skleić odłupane kawałki kości. Potrafi to naprawić! Sprawí, że ten mężczyzna znowu będzie cały... *cały*, jak wedle słów wiédzmy Red powinien stać się Nathan. Znowu cały! W pełni sobą! Dar go nie opuścił. Nadal mógł kontrolować magię, chociaż nie odnalazł jeszcze Kol Adair.

Zacisnął zęby i bardziej się skoncentrował, wręcz *zmuszał* tego człowieka, żeby ozdrowiał. Magia wyla się niczym próbujący uciec wąż, lecz czarodziej ponowił żądanie. Uzdrowi go. Znów ma moc!

Lecz magia złośliwie stawiała opór, wyswobodziła się i zrobiła dokładnie odwrotnie, niż chciał. Zamiast uleczyć ranę, zmieniła się w siłę, która niszczyła, a nie naprawiała.

Wypłynęła z Nathana, gdy uciskiem rąk próbował zatamować krwotok. Buchnęła gwałtownie i mściwie – rozerwała ranę, roztrzaskała biedakowi żebra, przenicowała go. Serce i płuca wypadły w przerażającej eksplozji krwi i tkanek. Mężczyzna nawet nie zdążył krzyknąć, wygiął tylko szyję i bezwładnie opadł.

Nathan z odrazą i niewiarą wpatrywał się w swoje zakrwawione dłonie. Czuł magię. Próbował biedaka uzdrowić... a tymczasem ten, zamiast choćby spokojnie umrzeć, został zmiażdżony niczym przejrzały owoc. Nathan to uczynił! Nieszczęśnik i tak by umarł, ale nie w ten sposób!

Czarodziej cofnął się chwiejnie, otworzył usta, ale zabrakło mu słów. Sądził, że utracił dar, ale to było o wiele gorsze niż zwyczajna niemoc. Dar zwrócił się przeciwko niemu. Jeśli odzyska swoją moc, to co się stanie, jeżeli nie będzie w stanie jej kontrolować?

Wpatrywał się ze zgrozą w okaleczone zwłoki, przekonany, że zbierze się tłum i oskarży go o straszliwą zbrodnię. Zastanawiał się, czy nawet w najgorszych czasach Pani Śmierci zrobiła coś równie potwornego.

Kiedy podniósł wzrok, napotkał szkliste spojrzenie Bannona. Chłopak był tak przerażony wydarzeniami tej nocy, że to, co stało się tutaj, prawie nie zrobiło na nim wrażenia.

Czarodziej poczuł w gardle żółć. Odwrócił się, przygarbiony. Nie chciał, żeby Nicci to zobaczyła, chociaż może mogłaby pomóc mu pojąć, co się

stało. Jak dar mógł tak gwałtownie zwrócić się przeciwko niemu? Chociaż czuł, że magia do niego wraca, na razie nie ośmieli się z niej korzystać. Mógłby spowodować jeszcze większe nieszczęście.

Coś przyszło mu na myśl. A gdyby tak podczas walki spróbował rzucić kulę ognia czarodzieja na jeden z okrętów, ona zaś uderzyłaby w niego? Gdyby gniewny żar zmienił kierunek, mógłby zniszczyć połowę Renda Bay.

Nathan jęknął i chwiejnie oddalił się od ludzi zajętych opatrywaniem rannych, składaniem połamanych kości, układaniem poranionych głów na zrolowanym płótnie. Czuł wstyd i strach.

Był niebezpieczny.

Wziął wiadro i dołączył do ekip pożarniczych, żeby pomóc gasić ogień, który jeszcze tu i tam buzował w mieście. Przynajmniej w tym nie zaszkodzi.

## ROZDZIAŁ 25

Renda Bay paliło się aż do rana, a dym wzbijał się w szare niebo, plamiąc świt. Domy i wiaty na łodzie wciąż się tliły, z niektórych zostały tylko zgliszcza. Grupa rybaków uratowała sześć łódek ze zniszczonych doków. W mieście zaś przybici ludzie szacowali szkody, rozmawiając stłumionymi głosami.

Nicci rozmyślała o wczorajszej atmosferze, braku pośpiechu, swobodnych rozmowach sąsiadów, tradycyjnych zajęciach, małym, gwarnym targu – stylu życia zniszczonym przez miecze, ogień i krew, brutalną napaść.

Bannon, ogarnięty stuporem, dochodził do siebie, siedząc na potrzaskanej drewnianej ławie obok przewróconego koryta do filetowania ryb. Srebrne łuski zdobiły drewno niczym monety, lśniąc w blasku poranka. Trzymał oburącz oplecioną rzemieniem rękojeść Niepokonanego, jakby czerpał z niego siłę. Koszulę miał podartą, poplamioną krwią i sadzą.

Nicci podeszła do niego i zauważyła co najmniej pięć głębokich cięć na jego rękach, plecach i barkach. Młody hodowca kapusty był pogrążony w zadumie, na nowo przeżywając walkę. Bardzo się postarzał.

Chociaż Nicci była wykończona intensywnym korzystaniem z magii, tak w czasie walki, jak i później przy zajmowaniu się rannymi, to znalazła dość siły, żeby z grubsza uleczyć rany Bannona. Zdawało się, że w ogóle nie był ich świadomy.

Podszedł do nich Nathan, z błędnym wzrokiem. Długie siwe włosy i pożyczoną koszulę miał brudne od skrzepłej krwi. Plamiła mu także dłonie.

Bannon popatrzył na swojego mentora, ale chyba ledwo go rozpoznawał. Nathan powiedział łagodnie:

– Tej nocy walczyłeś jak demon, jakby ktoś rzucił na ciebie czar nieokiełznania. Wiem jednak, że nie było żadnego czaru.

Twarz młodego człowieka była blada i ściągnięta.

– Handlarze niewolników zaatakowali. Musiałem walczyć. Cóż innego mógłbym zrobić?

– Dobrze się spisałeś – przyznała Nicci. – Walczyłeś nawet bardziej zażarcie niż z selka.

– To byli *handlarze niewolników* – powtórzył, jakby to wszystko wyjaśniało. Z widocznym wysiłkiem zapanował nad sobą i nawet zdołał się uśmiechnąć, choć był to upiorny uśmiech. – Właśnie to powinienem był zrobić. Do obłądu doprowadzało mnie to, że ci ludzie zostaną skrzywdzeni... obróceni w niewolników. Oni... wiedli takie miłe życie i nie chciałem, żeby tamci to zniszczyli.

Nicci popatrzyła na Nathana. Żadne z nich nie uwierzyło w słowa Bannona. Nicci powiedziała:

– To odpowiedź do przyjęcia, ale nie wyczerpująca. Powiedz prawdę.

Chłopak się zaniepokoił.

– Jjja... nie mogę. To tajemnica.

Nicci wiedziała, że to pora, by okazać surowość, zmusić go do odpowiedzi. Jego urazy były o wiele głębsze niż fizyczne rany i mogły stać się albo strasznymi bliznami, albo niebezpiecznymi pęknięciami. W minionym tygodniu zaczęła inaczej na niego patrzeć i podejrzewać, że wcale nie jest takim naiwnym, beztroskim wiejskim chłopakiem. Musiała się dowiedzieć.

Chwyciła Bannona za koszulę, postawiła na nogi i przysunęła twarz do jego twarzy, żeby przykuć jego uwagę przeszywającymi błękitnymi oczami.

– Nie z próżnej ciekawości chcę poznać twoje sekrety, Bannonie

Farmerze. Pytam, bo muszę poznać odpowiedź. Jesteś moim towarzyszem podróży i twoje działania mogą wpłynąć na moją misję. Jesteś niesolidny? Stanowisz zagrożenie dla mnie i dla tego, co muszę zrobić dla lorda Rahla? – Złagodziała ton: – A może jesteś po prostu dzielnym, lecz lekkomyślnym wojownikiem?

Bannon się zachwiał i spojrzał błagalnie na czarodziejkę, a potem na Nathana. Odwrócił wzrok i zapatrzył się na spalony wrak okrętu Norukaich, na wpół zatopionego w spokojnej zatoce. Nicci przypomniała sobie nagle, jak chłopak dziwnie się zachowywał, kiedy obozowali przy kadłubie wraku węzowego okrętu.

– Już kiedyś widziałeś te statki – szepnęła. – Znasz Norukaich.

Wreszcie odpowiedział:

– To z powodu *Iana*... mojego przyjaciela.

Spazmatycznie wciągnął powietrze. Jego orzechowe oczy były zaczerwienione tak od pożarów i dymu, jak i od szlochu. Kryły się w nich o wiele poważniejsze tajemnice; jasne, kolorowe dzieciństwo ustąpiło nagiej prawdzie.

Bannon opowiedział całą historię, z trudem dobywając z siebie słowa, niczym ktoś oddający drogocenne pamiątki lichwiarzowi.

– Ian i ja byliśmy przyjaciółmi od dziecka. Zbiegaliśmy na wybrzeże albo ścigaliśmy się na wietrznych łąkach. Kiedyś obeszliliśmy wyspę dokoła, zabrało nam to cały dzień. To był nasz świat. Jako chłopcy pieliliśmy pola i pomagaliśmy zbierać kapuściane głowy, ale mieliśmy też czas dla siebie. Mieliśmy z Ianem swoją zatoczkę na drugim końcu wyspy, gdzie badaliśmy jeziora pływowe. Większość czasu po prostu się bawiliśmy. Byliśmy najlepszymi przyjaciółmi, rówieśnikami, owego roku trzynastolatkami... ostatniego roku. – Jego głos stał się ochryply i twardy. – Pewnego ranka



wstaliśmy wcześniej, w porze odpływu. Poszliśmy do naszej zatoczki, ześlizgując się z piaskowcowego klifu zręcznie, jak tylko chłopcy potrafią. Przy pasach mieliśmy puste worki, bo wiedzieliśmy, że przyniesiemy do domu dużo małży i krabów na obiad. A przede wszystkim cieszyliśmy się spokojem i tym, że jesteśmy tu razem, a nie w naszych domach... gdzie wcale nie było spokojnie – zakończył z goryczą.

– Zawsze mówiłeś, że na twojej rodzinnej wyspie życie było idealne i wspaniałe, ale nudne – odezwała się Nicci.

Skierował na nią posępne spojrzenie.

– Nic nie jest idealne, czarodziejko. Czy to nie ty powinnaś powiedzieć to *mnie*? – Potrząsnął głową i zapatrzył się we wciąż dymiący wrak. – Tamtego dnia byliśmy z Ianem zaabsorbowani jeziorkami pływowymi. Obserwowaliśmy kraby pustelniki biegające wśród ukwiałów, małe rybki uwięzione tu do kolejnego przypływu. Nie zauważyliśmy wypływającej z za cypla łodzi handlarzy niewolników. Sześciu Norukaich nas dostrzegło, podpłynęło i wyskoczyło na brzeg. Zanim się z Ianem zorientowaliśmy, byliśmy otoczeni. Ci przysadziści, krzepcy mężczyźni, z okropnie okaleczonymi i zeszytymi ustami... Mieli sieci, sznury i pałki. Byli myśliwymi, a my zwierzyną. – Zamrugął. – Pamiętam, jak ludzie z wioski przemierzali z sieciami trawiaste pastwiska na płaskowyżu, bębniąc w garnki, żeby spędzić kozy, a potem zabić je na zimę. Norukai tacy właśnie byli. Polowali na mnie i Iana. Wrzasnęliśmy i zaczęliśmy uciekać. Ian biegł przede mną. Dotarłem do podstawy klifu i zacząłem się wspinać. Już nie mogli mnie dosięgnąć, ale stopa mi się obsunęła i spadłem. Złapali mnie, odwrócili na plecy i rzucili na kamienie. Straciłem oddech i nie mogłem wydać żadnego dźwięku. Za to Ian wrzeszczał z połowy plaży. Prawie udało mu się uciec. – Bannon pociągnął nosem. – Mógł uciec. Szarpałem się, ale ich było dwóch i byli silni. Starali się związać mi przeguby. Kolejny chwycił moje stopy. Nie

potrafiłem się uwolnić, nawet nie mogłem krzyczeć. A kiedy złapałem oddech, nie mogłem dobyć głosu. Szarpałem się i kopałem. Kiedy owijali mi sznur wokół przegubów, usłyszałem jeszcze głośniejszy krzyk. Ian zawrócił i nadbiegał, wydzierając się. Rzucili na niego sieć, ale chybili. Po prostu ich zignorował i biegł ku mnie. Chwycił gdzieś pałkę Norukaich i biegł kamienistą plażą, przeskakując jeziora pływowe. Żeby mnie uratować. Zamachnął się pałką. Usłyszałem, jak pęka czaszka – jednego z tych, którzy mnie związywali. Krew buchnęła mu z oczu i z nosa. Drugi sięgnął do Iana, ale mój przyjaciel walnął go w zęby, zmieniając mu usta w miazgę. Ian krzyczał do mnie, żebym uciekał. Wyszarpnąłem się Norukaim, zerwałem i popędziłem ku klifowi. Gnałem jak nigdy przedtem. Dotarłem tam, pozbywając się sznura z przegubów, i zacząłem się wspinać najszybciej, jak zdołałem. Ian znowu krzyknął, ale się nie odwróciłem. Nie mogłem! Znalazłem podparcie dla stopy i podciągnąłem się wyżej. Palce mi krwawiły, paznokcie miałem połamane. – Bannon z trudem oddychał. Pot zrosił mu czoło. – Znowu się podciągnąłem, wdrapałem wyżej i wtedy się odwróciłem. Zobaczyłem, że otoczyli mojego przyjaciela. Dwaj znowu rzucili sieć. Ten, którego walnął pałką w usta, teraz tłukł go pięściami. Ciasno go otaczali i nie mógł się wydostać. Krzyczał. – Zaszlochał. – Ian wrócił, żeby mnie uratować. Ryzykował życie, żeby nie pozwolić im mnie zabrać. Zrobił wszystko, żebym uciekł! Ale kiedy pojмали jego, mnie sparaliżowało. Mogłem tylko patrzeć, jak owijają Iana siecią, biją go i kopią. Śmiali się, kiedy krzyczał z bólu. Widziałem krew płynącą z jego twarzy. I nic nie zrobiłem. Związali mu sznurem przeguby i kostki, a ja tylko patrzyłem. To ja powinienem być w tej sieci. Pomógł mi, *a ja tylko patrzyłem!* – Bannon rozluźnił chwyt i Niepokonany z brzękiem upadł na ziemię. Przycisnął dłonie do oczu, jakby chciał je ukryć. – Byłem w połowie klifu, kiedy znowu ruszyli po mnie, i spanikowałem. Kiedy dotarłem na samą górę, popatrzyłem na

plażę. Norukai wlekli mojego przyjaciela do łodzi, szarpał się, ale wiedziałem, że na próżno. *Na próżno!* Po raz ostatni zobaczyłem twarz Iana, pełną rozpacz. Wiedział, że nigdy się nie wydostanie... i widział, że nie zawracam, żeby go ratować. Nawet z takiej odległości spojrział mi w oczy. Zostawiłem go własnemu losowi. Chciałem zawołać, że żałuję. Obiecać, że przyjdę po niego, ale odebrało mi głos. Brakowało mi tchu. – Odwrócił się. – I tak byłoby to kłamstwo. Ian wpatrywał się we mnie, zszokowany, jakby nie mógł uwierzyć, że go zdradziłem. Zanim wrzucili go do łodzi, dostrzegłem w jego oczach nienawiść. Uciekłem. – Bannon potrząsnął głową, pociągając nosem. – Zostawiłem przyjaciela. Nie pomogłem mu. On zawrócił, żeby mnie ratować, a ja... ja uratowałem tylko siebie. Uciekłem... – Głos mu się załamał i znowu zaszlochał. – Słodka Matko Morza, on walczył dla mnie, a ja go porzuciłem. – Popatrzył na krew na koszuli, na ślady ran na rękach. Dotknął głębokiej niezaleczonej rany na szyi i skrzywił się ze zdumieniem, najwyraźniej nie pamiętał, skąd się wzięła. Łzy nie zmyły jednak bolesnych wspomnień. – Dlatego tutaj tak zażarcie walczyłem z handlarzami niewolników, dlatego ich tak nienawidzę. Okazałem się tchórzem, kiedy Norukai złapali Iana. Wtedy nie walczyłem, ale teraz mam miecz i będę walczyć do ostatniego tchu. – Podniósł Niepokonanego i obejrzał, zadowolony, że klinga wciąż wygląda na ostrą. – Nie mogę uwolnić Iana. Nigdy więcej go nie zobaczę... ale mogę zabijać handlarzy niewolników, gdzie tylko ich napotkam.

## ROZDZIAŁ 26

Po całym dniu uprzątaniaszków zasmuceni ocalańcy z Renda Bay byli wykończeni. Holden nie żył i mężczyzna imieniem Thaddeus zgodził się zostać burmistrzem. Był muskularnym rybakiem o kwadratowej twarzy, z długą kędzierzawą brodą. Był lubiany przez wszystkich, ale wyraźnie czuł się w tej roli nieswojo.

Nicci przez cały dzień obserwowała mieszkańców. Zawsze nienawidziła niewolnictwa. Jej zadaniem było położenie kresu tyranii i opresji – w imieniu lorda Rahla i dla spokoju własnej duszy. W ten sposób mogła pomóc Richardowi ocalić świat, lecz wątpiła, czy to o tym była mowa w przepowiedni wiedźmy.

Nathan i Bannon obmyli ręce i twarze, ale włosy nadal mieli skołtunione, ubrania poplamione krwią.

Mieszkańcy w uroczystej procesji odprowadzili poległych na cmentarz na stoku wzgórza. Muły i woły ciągnęły wozy z ciałami. Ludzie – znużeni i przybici – rozeszli się, żeby oznaczyć miejsca pochówku trzydziestu dziewięciu sąsiadów, którzy zginęli w bitwie. Mieli narzędzia, ale najwyraźniej przytłaczało ich zadanie wykopania tylu grobów.

– Musimy także ustawić dwadzieścia dwa pale – powiedział Thaddeus drżącym głosem. – Żeby upamiętnić porwanych.

– Wyryjcie imiona w kamieniu i postawcie drewniane oznaczenia – odezwała się Nicci. – Mogę użyć magii do pomocy w innych pracach.

Uwolniła jej falę, zgarniając trawę i ziemię ze wzgórza i tworząc grób. Okazało się to dość łatwe. Obok pierwszego wykonała drugi, a potem trzeci. Miała sporo roboty.

Mieszkańcy przyglądali się, za bardzo zmęczeni, żeby się zdumiewać, zbyt wystraszeni, żeby wyrazić wdzięczność. Nicci skończyła trzydziesty dziewiąty grób i cofnęła się, także znużona.

– Mam szczerą nadzieję, że długo nie będziecie potrzebować nowych.

Mieszkańcy pochowali swoich zmarłych bez długiej ceremonii, stwierdzając, że będą ich opłakiwać później, w stosownej porze. Głośno wymawiali imię, podnosząc z wozu ciało, i grzebali je. Wśród zmarłych byli rybacy, stolarz, jowialny piwowar, dwaj chłopcy – zginęli w pożarze domu, w którym się schronili – oraz burmistrz Holden, który zrezygnował z życia na morzu, żeby przewodzić Renda Bay.

Jann wymówiła imię męża i zaszlochała, pochylając głowę nad grobem, kiedy składano w nim Phillipa.

– Chciał budować łodzie – powiedziała. – Po wypadku wołał zostać na łądzie. Myślał, że to będzie bezpieczniejsze. – Ramiona jej dygotały. – Bezpieczniejsze...

Nathan stał przy niej z pochyloną głową i posępnym wzrokiem. Szwaczka nieporadnie podała mu złożony szary przyodziewek.

– To jeszcze jedna koszula Phillipa, Nathanie. Walczyłeś razem z nami, uratowałeś mnie i... – Głos się jej załamał, wydała zdławiony dźwięk, pociągnęła nosem, wargi jej drżały. – I tamta koszula jest zniszczona. Phillip by chciał, żebyś ją dostał.

– To dla mnie zaszczyt. – Czarodziej przycisnął do piersi czystą lnianą koszulę.

Chociaż walczyli wraz z mieszkańcami Renda Bay, to Nicci nie miała wrażenia, że zakończyła tutaj swoją misję. Kiedy zasypali wszystkie groby i snycerze wyryli imiona w nowych palach, Nicci przemówiła do ludzi, zanim opuścili cmentarz.

– Oto, dlaczego potrzebujecie lorda Rahla – powiedziała. – Jego celem jest powstrzymanie takiej przemocy i rozlewu krwi, zniszczenie handlarzy niewolników, żeby wszyscy ludzie mogli żyć w spokoju, wolni. Tak, lord Rahl jest daleko, lecz armia D’Hary nie będzie tolerować takiego bezprawia. To może trochę potrwać, ale świat się zmieni. Świat już się zmienił. Na pewno zwróciliście uwagę na gwiazdy.

Mieszkańcy pomrukiwali pod nosem. Po ciężkich przeżyciach słuchali jej z innym nastawieniem niż przedtem.

Podjęła mocniejszym głosem:

– Lecz i wy powinniście się o siebie zatroszczyć. Gdy już naprawicie szkody, wyślijcie posłów w długą podróż na północ, do Pałacu Ludu. W D’Harze przysięgnijcie wierność lordowi Rahlowi i opowiedzcie mu, co się tutaj stało. Powiedzcie mu o wszystkich krainach starego imperium, które go potrzebują. Na pewno was nie zawiedzie.

Nathan dodał:

– Zanim wyślecie posłów, napiszemy pismo do Richarda oraz krótkie streszczenie tego, co widzieliśmy. Bylibyśmy ogromnie wdzięczni, gdybyście mu je przekazali.

Thaddeus z wysiłkiem przełknął ślinę.

– Norukai powrócą, chociaż tej nocy ich pokonaliśmy. Jak szybko ten wasz lord Rahl może przysłać wojsko?

Nicci jeszcze nie skończyła.

– Nie możecie po prostu czekać na pomoc. Wszyscy odpowiadają za swoje życie, za własny los. Powinniście wzmocnić obronność miasteczka. Będziecie potrzebować czegoś więcej niż ogień i wieża obserwacyjna. Handlarze niewolników uważają, że jesteście słabi, i dlatego na was napadają. Najlepszym sposobem zapewnienia sobie spokoju jest *siła*. Może

ostatnia noc była dla nich nauzką. Tym razem byliśmy tu i wam pomogliśmy, lecz nie trzeba by was ratować, gdybyście nie byli skrzywdzeni.

– Możecie się nauczyć bronić – odezwał się Bannon, odwracając wzrok. – Ja się nauczyłem.

– Ale jak? – zapytał Thaddeus. – Zbudować mur wzdłuż wybrzeża? Odgrodzić przystań łańcuchem? Jak zdołamy wystawić armię? Skąd weźmiemy broń? Jesteśmy rybakami.

Nathan podpowiedział:

– Zbudujcie wieże strażnicze po obu stronach przystani i bądźcie gotowi zasypać deszczem płonących strzał każdy wrogi statek, jaki się pojawi. Trzymajcie w pogotowiu kilka barkasów, żeby podpłynąć do napastników i ich zatopić, zanim dotrą do przystani. Pirackie okręty zmieniają się w płonące wraki, zanim dotrą do wybrzeża.

Nicci powiedziała twardo:

– Norukai to handlarze niewolników, a nie zdobywcy. Macie tę przewagę, że chcą was żywych, inaczej na nic im się nie przydadacie. Inni po prostu by was wszystkich wymordowali.

– Z radością bym ich pozabijała – warknęła Jann.

Nicci się z tym zgodziła.

– Niech nic was nie powstrzyma. Uzbrójcie ludzi, żeby mogli lepiej walczyć.

– Trzymajcie w pogotowiu bosaki i piki w dokach – wtrącił się Bannon. – Nawet jeśli handlarze niewolników się przedrą, to będziecie mogli ich odeprzeć, kiedy spróbują wyjść na brzeg.

– Sprawcie, żeby dwa razy się zastanowili, zanim tutaj wrócą – dopowiedziała Nicci. Z zadowoleniem obserwowała, jak w mieszkańcach powoli narasta determinacja. – Kiedy wasze rany się zabliznią i odbudujecie

domy, nie zapomnijcie, co tu się wydarzyło, bo znowu się to powtórzy.

Następnego dnia Nicci, Nathan i Bannon poszli do niewielkiego budynku, gdzie mieścił się ratusz. W środku czuć było dym. Trzy z oszklonych okien były rozbite i dach częściowo się spalił, lecz pożar ugaszono, zanim wyrządził poważniejsze szkody.

Muskularny burmistrz jakby się przygarbił pod ciężarem obowiązków.

– Potrzeba mi robotników, żeby pomogli w odbudowie, ale to może poczekać. Najpierw musimy wzmocnić naszą obronność, jak powiedzieliście.

– Thaddeus popatrzył na nich z nadzieją. – Zostaniecie z nami? Będziecie nas bronić? Widzieliśmy, czarodziejko, jak potężny jest twój dar. A i czarodziej mógłby spróbować wykorzystać swoje zdolności.

Nathan wyglądał, jakby zrobiło mu się słabo.

– Nie... to mogłoby być niebezpieczne.

Nicci przygryzła wargę.

– Mamy większą misję do wypełnienia dla lorda Rahla i musimy już wyruszać. Sztorm zniósł nas daleko, musimy spojrzeć na mapy i określić, gdzie jesteśmy.

– Musimy odnaleźć miejsce zwane Kol Adair. – Nathan poklepał skórzaną sakwę z księgą życia. – Powiedziano nam, że czeka tam nas coś ważnego.

– Mamy trochę map – przyznał strapiony Thaddeus. – Są gdzieś tutaj.

Grzebał w szafkach Holdena, odkładając na bok stare dokumenty – spisy właścicieli rybackich łodzi, księgi podatkowe, rejestry gruntów. Wreszcie znalazł starą, fragmentaryczną mapę ukazującą Widmowe Wybrzeże, południe Starego Świata, poznaczoną siatką prostych linii łączących rozległe przestrzenie.

– To imperialne drogi, które zbudował dla wojsk imperator Jagang. Ale



tak daleko na południu spędzał mało czasu. Wiem tylko, że gdzieś tam są portowe miasta Serrimundi i Kherimus. – Wskazał mniej więcej na górę mapy. – A Tanimura leży dalej na północ. Słyszałem pogłoski o Nowym Świecie, ale nic o nim nie wiem.

Nicci wpatrywała się w mapę, Nathan zaś wyjął księgę życia i pospiesznie naniósł niektóre szczegóły na własną mapę, poprawiając swoje szkice ziem, które widzieli.

– Kol Adair... – Thaddeus usiadł ciężko na krześle za starym biurkiem Holdena. Zmarszczył brwi, patrząc na mapę, lecz najwyraźniej się na niej nie orientował; drapał kędzierzawą brodę. – Sam rzadko wyjeżdżałem poza Renda Bay. Nawet w łodzi nigdy nie odpływałem tak daleko, żeby stracić z oczu brzeg. Ale słyszałem opowieści o dalekich ziemiach. Myślę, że Kol Adair leży daleko w głębi lądu, za pogórzem i pasmem gór. Za rozległą żyzną doliną rozciągają się kolejne góry. Miejsce, którego szukacie, znajduje się gdzieś w tych górach... zgodnie z opowieściami. – Przesunął dłonią po najbardziej na wschód wysuniętej części mapy, jakby mógł narysować topografię na pokierszowanym biurku. – Od bardzo dawna nie było tu podróźnych z odległych ziem. – Wskazał na środek mapy. – Ale wiemy o innych osadach w górze rzeki, portach, miasteczkach górniczych, wioskach rolniczych. – Zadrżał. – A w przeciwnym kierunku są wyspy na morzu, poszarpane, smagane wichrem skały, gdzie mieszkają Norukai. – Zagryzł wargi, a potem dodał z pozornym spokojem: – Nie radziłbym wam się tam udawać.

– I nie zrobimy tego – powiedział Nathan. – Szukamy Kol Adair.

Nicci spytała:

– Mógłbyś dać nam na drogę prowiant, plecaki, odzież i narzędzia? Niemal wszystko straciliśmy, kiedy statek się rozbił.

– Renda Bay nigdy nie zdoła się wam odplacić – odpowiedział Thaddeus.

– W zupełności wystarczy, jeśli wyślesz posłów do D’Hary z wieściami od nas dla lorda Rahla.

Zostali jeszcze jeden dzień i pomogli mieszkańcom choć trochę się pozbierać, a potem ruszyli w drogę. Mieli czyste ubrania. Miecz Bannona, naostrzony i naoliwiony, wisiał w pochwie u boku. Ozdobny miecz Nathana także wypolerowano i naostrzono.

Bannon wydawał się niespokojny.

– Moglibyśmy pójść na chwilę na cmentarz? Chcę coś zrobić.

– Już okazaliśmy szacunek poległym, chłopcze.

– Nie w tym rzecz – odparł Bannon.

Nicci widziała, jak chłopak się zmienił. Już nie wydawał się taki naiwny i radosny... a może jego wesołość zawsze była pozą. Powiedziała:

– Dobrze, ale nie chcę za długo zwlekać.

– Dziękuję – rzekł chłopak.

Szli krzywizną wzgórza, aż dotarli do rzędu nowych grobów: świeżo usypanych kopczyków ziemi kryjących trzydzieści dziewięć ciał. Bannon poszedł prosto do części cmentarza z palikami. W ziemię wbito dwadzieścia dwa nowe, każdy z imieniem mieszkańca porwanego przez handlarzy niewolników.

Chłopak zaciskał pięści, idąc wśród palików, aż wybrał jeden – czysty, jasny, ze świeżo wypiastowanego drewna. Po jednej stronie ktoś wyrył imię MERRIAM.

Bannon ukląkł przy palu. Dobył miecza i niezdarnie wyrył czubkiem klingi w świeżym drewnie trzy litery. Kiedy skończył, miał w oczach łzy.

IAN.

Nathan z powagą skinął głową.

Bannon wstał i wsunął miecz do pochwy.

– Teraz mogę iść.

## ROZDZIAŁ 27

Kierowali się w głąb lądu, w górę rzeki, wyczekując z niecierpliwością „Nieznanych Ziem” – farm, osad drwali i górników, o których opowiedział im Thaddeus. Ktoś tam powinien coś wiedzieć o Kol Adair.

Czasem rzeką płynęły płaskodenne łodzie, którymi rolnicy albo kupcy wieźli towary do Renda Bay. Drągami kierowali je w dół nurtu. Niektórzy machali na powitanie, inni tylko wpatrywali się w obcych idących ścieżką nad rzeką.

Po rozbiciu się statku Nicci miała uczucie, że dano im drugą szansę. Jej długa czarna suknia podróżna była wyczyszczona i uprasowana. Nathan był w samodziiałowej koszuli Phillipa, Bannon też miał nowe ubranie.

Kiedy weszli głębiej w dolinę rzeki, Bannon odzyskał radość życia, ale Nicci wiedziała już, że jego uśmiech i optymizm to tylko poza. Teraz wiedziała, co skrywa. Przynajmniej już nie próbował z nią flirtować. Zniechęciła go, wyleczyła z niemądrego zadurzenia.

Lecz młody człowiek najwyraźniej nie poczuł się tak całkiem zniechęcony. Podeszedł do niej i zagaił rozmowę:

– Czarodziejko, przyszło mi na myśl, że tak jak proroctwo, tak i życzenia mogą się czasem spełnić w nieoczekiwany sposób. A twoje pragnienie się spełniło.

Przymrużyła błękitne oczy.

– Jakie życzenie?

– Perła marzeń! Dałem ci ją na *Tnącym Fale*. Pamiętasz?

– Wyrzuciłam ją za burtę, żeby ułagodzić królową selka – powiedziała Nicci.

– Pomyśl o łańcuchu zdarzeń. Wypowiedziałas życzenie i popłynęliśmy na południe, zaatakowali nas selka, sztorm zniszczył okręt, ale znaleźliśmy kamienny drogowskaz, który potwierdził przepowiednię wiedźmy. Potem dotarliśmy do Renda Bay, gdzie pokonaliśmy handlarzy niewolników i burmistrz nam powiedział, co wie o Kol Adair. Takie było twoje życzenie: żeby perła pomogła nam dotrzeć do Kol Adair. – Rozłożył ręce. – To oczywiste.

– Twoje rozumowanie jest równie niezachwiane jak pijak schodzący oblodzonym stokiem podczas wichury – stwierdziła Nicci. – Sama dbam o to, żeby moje życzenia się spełniały i żebym była szczęśliwa. Żadna magia nie naginała wydarzeń do moich życzeń tylko po to, żebyśmy dokładnie tutaj się znaleźli. I tak odszukalibyśmy drogę.

– Marzenia są niebezpieczne, tak samo jak prorocтва – wtrącił Nathan, idąc tuż za nimi. – Często wywołują nieoczekiwane skutki.

– Więc postaram się już nigdy nie wypowiadać lekkomyślnych życzeń – zapewniła Nicci. – To ja decyduję o własnym życiu.

Przez wiele dni wędrowali w głąb lądu i znaleźli kilka osad. Nathan i Nicci zbierali informacje, opowiadając przy tym o imperium D’Hary i nowym władcy, Richardzie Rahlu. Odizolowani od świata mieszkańcy słuchali wieści, ale te dalekie i niejasne polityczne sprawy miały niewielki wpływ na ich codzienne życie. Nathan nanosił nazwy osiedli na swoją odręczną mapę i ruszali dalej.

Pewnego razu, kiedy przedstawił się jako czarodziej Nathan Rahl, mieszkańcy poprosili, żeby zaprezentował swoją moc, a on z zakłopotaniem wykrztusił:

– Cóż, przyjaciele, magia to specyficzna sprawa, nie powinno się jej

używać dla zabawy czy popisów.

Kiedy Nicci to usłyszała, posłała mu sceptyczne spojrzenie. Gdy Nathan miał swój dar, to wykorzystywał go właśnie w takich celach, ilekroć uznał to za przydatne. Teraz jednak musiał udawać, że to poniżej jego godności. Kiedy dzieci się dowiedziały, że Nicci jest czarodziejką, zaczęły się jej naprzykrzać, ale jedno spojrzenie sprawiło, że dały spokój.

Bannon zaproponował im, że zademonstruje sztuczki z mieczem, ale nie były zainteresowane.

Kiedy opuścili wioskę, Nathan złożył obietnicę:

– Już nigdy nie wspomnę o swoim darze... póki znów nie będę w pełni sobą. Po Kol Adair. Na razie nawet nie ośmieliłbym się próbować.

– A powinieś – stwierdziła Nicci, kiedy tak szli leśną drogą. – Czy w ogóle potrafisz wyczuć Han? Może straciłeś swój dar, ale mógłbyś go odzyskać.

– Albo mógłbym spowodować straszliwe nieszczęście. – Nathan pobladł.  
– Nie opowiedziałem ci, co się stało w Renda Bay, kiedy... kiedy próbowałem uleczyć pewnego mężczyznę.

Wędrowali wygodnym szlakiem ku pogórz. Rzeka się rozdzieliła na dwie odnogi i wybrali północne odgałęzienie.

– Widziałam, że pomagasz rannym – powiedziała Nicci.

– Nie widziałas wszystkiego. – Nathan odgonił muchę sprzed twarzy. – Bannon widział, jak... ale potem o tym nie rozmawialiśmy.

Młody człowiek zamrugął.

– Tamtej nocy tyle widziałem, że zdawało mi się, że oczy zalewa mi krew. Nie pamiętam... w ogóle niewiele pamiętam.

– Tamten człowiek umierał z włócznią wbity w pierś – powiedział Nathan.  
– Nawet uzdrowicielki wiedziały, że nie można go uratować. Lecz poczułem

iskrę daru. Byłem zdesperowany i chciałem się sprawdzić. Widziałem, jak ratujesz miasteczko dzięki swojemu darowi, czarodziejko, i wiedziałem, jak bardzo mógłbym pomóc. Byłem wściekły i sięgnąłem po drobną iskierkę magii. Wyczułem coś i próbowałem to wykorzystać. – Zatrzymał się, jakby zabrakło mu tchu, chociaż teren był dość płaski. Otarł pot z karku. To wydarzenie tak mu ciążyło, że aż nie mógł iść i jednocześnie mówić. – Chciałem go uzdrowić... lecz wiele się we mnie odmieniło. Drogie duchy, nie pojmuję już mojego daru. Sądziłem, że dotknąłem Han i uwolniłem tę niewielką moc, jaką znalazłem. To powinna być magia addytywna. Powinienem zespolić tkanki rannego, naprawić płuca, powstrzymać krwotok. – W lazurowych oczach Nathana lśniły łzy.

Nicci i Bannon przystanęli obok niego.

– Próbowałem go uleczyć... – Głos mu się załamał. – Lecz moja magia uczyniła coś przeciwnego. Zamiast zbliżyć rany, moje zaklęcie... *go rozerwało*. Rozdarło biedaka na strzępy, chociaż tylko próbowałem go ratować.

Przerażony Bannon patrzył na czarodzieja.

– Teraz chyba sobie przypominam. Patrzyłem na tę scenę, ale... nie widziałem albo nie chciałem wierzyć w to, co widzę.

Nicci starała się zrozumieć, co mówił czarodziej.

– Poczujesz, że dar do ciebie wraca, ale uczynił dokładnie na odwrót, niż zamierzałeś?

– Nie wiem, czy to było dokładnie na odwrót... to się wymknęło spod kontroli. To było coś nieokiełznanego. Moja Han wydawała się niemal mściwa, sprzeciwiała się mojej woli. Ten nieszczęśnik... – Spojrzał na nią. –

Pomyśl tylko, czarodziejko: gdybym uwolnił ten rodzaj magii w walce z Norukaimi, mógłbym unicestwić całe Renda Bay. Zabić ciebie i Bannona.

– Czy teraz wyczuwasz w sobie dar? – zapytała.

Nathan się zawahał.

– Być może... Nie jestem pewien. Lecz wiem, że zrozumiesz, dlaczego boję się próbować. Jak mógłbym tak ryzykować? Nawet nie chcę ćwiczyć. A co, gdybym zamiast zwykłego płomyka wywołał pożar lasu? Te dzieci proszące o sztuczkę... mógłbym je wszystkie zabić. Magia, której nie można kontrolować, jest gorsza niż jej brak.

Nicci powiedziała:

– To zależy od okoliczności. Gdyby ściagała nas armia wojowników-potworów, to niekontrolowany pożar lasu okazałby się przydatny.

Bannon jak zwykle starał się ich zarazić swoim optymizmem.

– Najwyraźniej najlepszym rozwiązaniem jest znaleźć Kol Adair tak szybko, jak się da. Wtedy odzyskamy naszego czarodzieja.

– Tak, mój chłopcze – rzekł Nathan. – Perfekcyjnie proste rozwiązanie.

Raźnym krokiem ruszył dalej.

Trzy dni później, kiedy wędrowali przez lesiste wzgórza z nielicznymi oznakami ludzkiej bytności, natrafili na szeroką imperialną drogę biegnącą na wprost przez nierówny teren do szerokiej kotliny. Droga na południe, niczym włócznia, którą Jagang cisnął ku Staremu Światu.

Ze szczytu wzgórza spojrzeli na nieużywany teraz szlak wytyczony dla wielkich armii w dawnych czasach. Był zniszczony i zarośnięty.

Nathan spojrział na Nicci.

– Czy któraś z twoich ekspedycji dotarła tak daleko na południe, kiedy byłaś Panią Śmierci?

Potrząsnęła głową.



– Jagang uważał, że te pustkowia nie są warte zachodu, chociaż z jego starych map wiedzieliśmy, że niegdyś były tu wielkie miasta i ośrodki handlowe, za Widmowym Wybrzeżem.

– Może tę drogę zbudował inny imperator. – Uśmiechnął się Nathan. – Pełno ich w historii Starego Świata. Słyszeliście o Kurganie? Watażce zwanym Żelaznym Kłem?

Zeszli na szeroki trakt. Nicci uniosła brew.

– Pamiętam co nieco z historii, której uczyłam się w Pałacu Proroków, ale to imię nie jest mi znane. Czy ów Żelazny Kieł był ważnym władcą?

– Spędziłem tysiąc lat na lekturze kronik i zapisów dziejów, droga czarodziejko. Niezliczeni władcy twierdzili, że są niezwykle ważni dla świata, lecz imperator Kurgan mógłby się okazać najbardziej niesławnym władcą od czasów wojen czarodziejów. Przynajmniej zdaniem kronikarzy. Jestem zdumiony, że o nim nie słyszałaś.

– Jagang wolał, żebym pomagała mu tworzyć historię, a nie rozmyślała o niej – odparła Nicci.

Rzeczywiście tworzyła historię: osobiście zabiła Jaganga – bez fanfar, bez widowiska, dokładnie tak, jak prosił Richard.

– Mamy przed sobą długi marsz, a więc i mnóstwo czasu na opowieść. – Nathan kroczył przed siebie traktem prowadzącym ich w odpowiednim kierunku. – Przed piętnastoma wiekami imperator Kurgan podbił większość Starego Świata i rozległe ziemie na południu. – Uśmiechnął się do Bannona depczącego zielsko wyrastające spomiędzy płyt nawierzchni. – Wcale nie tak dawno temu, zaledwie pięćset lat przed moimi narodzinami.

– Pięćset lat? – Bannon nie był w stanie ogarnąć takiego czasu.

– Kurgan był brutalny i bezlitosny, ale przydomek Żelazny Kieł zdobył głównie z powodu swojego efekciarstwa. Kazał sobie wymienić lewy kieł. –

Nathan otworzył usta i postukał palcem w ząb. – Na długi żelazny sztyft. Nie wątpię, że nadało mu to przerażający wygląd, chociaż nie potrafię sobie wyobrazić, jak mógł tym jeść – prychnął. – No i musiał go regularnie wymieniać z powodu rdzy.

– Mnie się to nie wydaje aż tak przerażające – stwierdziła Nicci.

– O, był dostatecznie przerażający i potężny. Niestrudzone armie Żelaznego Kła podbijały krainę po krainie, wcielając w swoje szeregi wszystkich młodych ludzi, jacy wpadli im w ręce, co znacznie zwiększało ich liczebność i pozwalało mu podbijać kolejne krainy, i wcielać do armii nowych wojowników. To była niepowstrzymana powódź. Ale *podbicie* terytorium to jedno, *zarządzanie* nim zaś to zupełnie co innego. I obawiam się, że drogi Richard właśnie zaczyna to pojmować. Kurgana do upadku przywiodło to, iż uwierzył w pochlebstwa, jakimi obsypywali go minstrele i dworzanie. Chociaż, o ile wiem, prawdziwym geniuszem Żelaznego Kła był jego naczelny generał Utros.

– Nawet imperator potrzebuje znakomitego dowódcy, żeby podbić i utrzymać tak wiele krain – oznajmiła Nicci.

Nathan podjął:

– Generał Utros był strategiem, prowadził wojska Kurgana od zwycięstwa do zwycięstwa. W imieniu imperatora zajął cały Stary Świat. – Czarodziej, krocząc wygodną prastarą imperialną drogą, co i raz spoglądał ku wzgórzom na wschodzie, gdzie prawdopodobnie znajdowało się Kol Adair. – A kiedy Utros odszedł, Kurgan po prostu nie mógł sobie poradzić bez swojego generała.

– Co się stało z Utrosem? – zapytał Bannon. – Pokonano go czy zabito?

– O dziwo, nie ma co do tego pewności, ale mam swoją teorię. Sprawa jest o wiele bardziej skomplikowana niż opis militarnych kampanii. Imperator

Kurgan poślubił piękną królową jednej z największych krain, które podbił. Nazywała się Majel. Niektórzy mówili, że była czarodziejką, bo jej uroda była zaiste urzekająca. – Posłał Nicci krzywy uśmiech. – Podobnie jak naszej czarodziejki.

Spojrzała na niego chmurnie, a on kontynuował opowieść:

– Uroda Majel oczarowała i generała Utrosa. Ona zaś widziała, że jest przystojnym mężczyzną, nie wspominając o tym, że także odważnym i potężnym. Z pewnością godniejszym towarzyszem niż Żelazny Kieł, który wcale nie musiał budzić aż takiego nabożnego podziwu i lęku, jak głosili pochlebcy. – Machnął dłonią. – A zresztą może nie było w tym żadnej magii. Może królowa Majel i generał Utros po prostu się w sobie zakochali. Nie mam wątpliwości, podobnie jak wielu historyków, że Utros zamierzał podbić cały świat, a potem obalić Kurgana i wziąć sobie Majel.

– I co się stało? – zapytał Bannon.

Nathan zatrzymał się przy sięgającej mu do ramienia zwietrzalej skale, postawionej na poboczu drogi jako kamień milowy, chociaż wyryte litery już dawno się zatarły. Wyjął księgę życia, otworzył na mapie i spojrzał na wzgórze, starając się zorientować. Jednakże nigdzie nie było najmniejszej wskazówki co do Kol Adair ani mrozącej krew w żyłach przepowiedni. Nicci niemal poczuła ulgę...

– Utros zebrał większość imperialnej armii, dziewięćset tysięcy najlepszych żołnierzy Kurgana, i pomaszerował na potężne miasto Ildakar. I po prostu zniknął, razem z całą armią. Powszechnie uznano, że zdezerterowali, całe dziewięćset tysięcy. Może nawet dołączyli do wojsk Ildakaru. Imperator Kurgan, nagle pozbawiony armii, był słaby i całkowicie bezradny. Potem odkrył romans królowej Majel z Utrosem i rozwścieczony tą zdradą przykuł ją, nagą, z rozpostartymi rękami i nogami, pośrodku głównego placu miasta. Zmusił ludzi, żeby patrzyli, jak obsydianowym

nożem zdziera z jej pięknej twarzy wąskie paski skóry, zostawiając nietknięte oczy, żeby mogła widzieć, jak skóruje resztę jej ciała. Na koniec wyłupił jej oczy i upewnił się, że wciąż żyje, zanim wysypał na jej skrwawione, odsłonięte ciało wygłodniałe mięsożerne żuki.

Bannona zemdliło. Nicci ponuro skinęła głową, wyobrażając sobie, że Jagang mógłby postąpić podobnie.

– Imperator zazwyczaj bywa... nieumiarkowany – powiedziała.

Czarodziej podjął:

– Żelazny Kieł zrobił to, żeby wzbudzić przerażenie swoich poddanych, ale tylko ich rozdrażnił, bo kochali Majel. Byli tak oburzeni, że się zbuntowali i obalili Kurgana. Nie miał armii, żeby go broniła, tylko garstkę gwardzistów, a i nimi wstrząsnęła zbrodnia, której byli świadkami. Poddani zabili Kurgana i włożyli jego zwłoki ulicami, póki ciało całkiem nie odpadło od kości. Potem wywiesili za kostki z najwyższej pałacowej wieży i wisiał tak, aż kawki obdziobały szkielet do czysta.

– Taki los powinien spotykać tyranów – stwierdziła Nicci. – Jaganga pochowano w masowym grobie.

Nathan kroczył przed siebie z uśmiechem.

– No i, rozumie się, obywatele wybrali sobie kolejnego imperatora, równie bezlitosnego i opresyjnego. Niektórzy nigdy się niczego nie nauczą.

## ROZDZIAŁ 28

Teren wznosił się coraz bardziej, za doliną rzeki przechodząc w pasmo gór. Zgodnie z tym, czego się dowiedzieli, za tymi górami będzie szeroka, żyzna dolina, a za nią następne, może nawet wyższe góry. A potem powinni odnaleźć Kol Adair.

Nathan pomyślał, że dalsza podróż będzie prawdziwym wyzwaniem. Poprawił się: prawdziwą *przygodą*. Przez stulecia zamknięcia w Pałacu Proroków czekał właśnie na coś takiego, chociaż nie przewidział, że tymczasem straci swój dar.

Troje podróżnych opuściło prostą jak strzała imperialną drogę i maszerowało wśród wzgórz porośniętych osikami. Drzewa były niezmiernie piękne, z gładkimi pniami o zielonoszarej korze i drżącymi liśćmi, które szeptały i szeleściły na wietrze. Szli po dywanie z miękkich, słodko pachnących opadłych liści.

Późnym popołudniem Nathan znalazł polanę w pobliżu strumyka i zaproponował, żeby rozbili obóz. Bannon poszedł zapolować na króliki, ale wrócił tylko z paroma nadpsutymi dzikimi jabłkami i naręczem pałek. Powiedział, że ich mięsz można ugotować, uzyskując sycącą, chociaż mdłą papkę. Dorzucili wędzoną rybę z zapasów, które dostali od mieszkańców Renda Bay. Potem Nicci zasnęła, a Nathan opowiadał kolejne zagmatwane i brutalne historie z barbarzyńskich czasów. Zaciekawily przynajmniej Bannona.

Następnego dnia znowu wędrowali wśród wzgórz, podążając traktem wystarczająco szerokim dla konia, lecz od wielu dni nie widzieli żadnego miasteczka. Nathan sprawdził na swojej mapie.

– Przed nami powinno być miasto. Lockridge. – Zmarszczył brwi, rozglądając się i wciąż próbując zorientować się w terenie. – Chyba. Powinniśmy dotrzeć tam przed zmierzchem.

– Z radością będę wam towarzyszyć w dalszej podróży, póki mi na to pozwolicie – powiedział Bannon.

Nathan się zastanawiał, ile dni, miesięcy czy nawet lat zabierze im odnalezienie Kol Adair, lecz kiedy dotrą do tego tajemniczego miejsca – czy będzie to góra, miasto czy jakieś czarodziejskie źródło – on znów stanie się w pełni sobą. Ale teraz czuł się sfrustrowany. Chociaż także bez daru zachował swoje umiejętności, był dobrym fechmistrzem i prawdziwym poszukiwaczem przygód, to magia stanowiła jego część i nie zachwycała go myśl, że jego własna Han stała się niespokojną, buntowniczą siłą.

Niestety, im bardziej oddalali się od Renda Bay, tym mniej mogli polegać na szkicowych mapach od Thaddeusa.

– Jestem przekonany, że mieszkańcy leżącego przed nami miasta będą mogli nam pomóc – powiedział Nathan.

Kiedy dotarli do perci i wyszli na odsłoniętą wychodnię, wśród skał zobaczyli jedynie sękatą sosnę ościstą. Nathan przystanął, żeby się rozejrzeć, korzystając z rozległego widoku.

Bannon wskazał na wyższą grań, kilka mil dalej, duży granitowy szczyt górujący nad innymi wzgórzami niczym cytadela.

– Tam jest coś w rodzaju wieży. Co to jest waszym zdaniem?

– Kolejny kamienny stożek? – zapytała Nicci.

– Nie, nie. Jest dużo większe. Sądzę, że to wielka wieża.

Nathan osłonił oczy. Poranne słońce go oslepiało, zamazywało szczegóły, ale dostrzegł wysoką kamienną wieżę obserwacyjną, zwieńczoną częściowo zniszczonymi blankami.

– Tak, tak, masz rację, mój chłopcze. Ale nie widzę tam żadnego ruchu, żadnych ludzi. – Bardziej przymrużył oczy. – Wygląda na opuszczoną.

– To byłby dobry punkt na wieżę strażniczą – odezwała się Nicci. – Posterunek obserwacyjny.

Nathan powoli się obrócił, patrząc na granie i drzewa.

– Tak, to najwyższy punkt w okolicy. Można stamtąd sięgnąć wzrokiem na sporą odległość. – Ożywił się, bo coś przyszło mu na myśl. – Mógłbym w parę godzin tam dotrzeć i wrócić na główny szlak. Dowiedzielibyśmy się, co leży przed nami, a to z pewnością warte zachodu.

Nicci wzruszyła ramionami.

– Jeśli uważasz, czarodzieju, że to konieczne, pójdę z tobą.

Nathan popatrzył na nią dziwnie urażony. Od kiedy stracił dar, Nicci najwyraźniej sądziła, że powinna go chronić, być jego opiekunką.

– Nie musimy wszyscy tam iść. Z darem czy bez Nathan Rahl nie jest dzieckiem potrzebującym niańki. Dotrę tam, przyjrzę się ukształtowaniu terenu i uaktualnię mapę, a wy pójdziecie dalej szlakiem. Kiedy dotrzecie do miasta, to ufam, że znajdziecie kwaterę i zamówicie posiłek. Z pewnością będę głodny, kiedy do was dołączę.

Rozpromieniony Bannon podszedł do niego.

– Pójdę z tobą, Nathanie. Możesz potrzebować mnie i Niepokonanego do obrony przed niebezpieczeństwem. Poza tym dotrzymam ci towarzystwa. Będiesz mógł mi opowiedzieć jeszcze jakieś historie.

Nathan wiedział, że młody człowiek jest szczery – i po prawdzie pewnie bał się zostać z Nicci sam na sam – lecz czarodziej nie chciał towarzystwa. Od kiedy utracił kontrolę nad magią, a nawet zaczął się jej lękać, czuł potrzebę przekonania się, co potrafi.

– Choć to kuszące, mój chłopcze, nie potrzebuję twojej pomocy. –

Uświadomił sobie, że jego głos zabrzmiał zbyt ostro, i złagodził ton: – Uwierz, nic mi nie będzie. Pozwól mi pójść samemu. Ruszę tą granią, widzisz, to całkiem łatwa trasa. – Zaśmiał się rozbajająco. – Drogie duchy, jeśli nie znajdę najwyższego punktu w okolicy, to jestem do niczego! Nie ma potrzeby, żebyście obydwójecie aż tak zbaczali z drogi.

Nicci zauważyła jego determinację.

– To twoja decyzja, czarodzieju.

– Postarajcie się, żebyście nie potrzebowali *mojej* pomocy, kiedy mnie z wami nie będzie – dodał Nathan z nutką sarkazmu i szturchnął Bannona w ramię. – Idź z czarodziejką. A jeśli przyda się jej twój miecz? Nie opuszczaj jej.

Nicci skrzywiła się na te słowa, Bannon zaś skinął głową, poważnie traktując nowe zadanie.

Bez dalszych pożegnań czarodziej pomaszzerował między szeregi smukłych osik, ciągnące się granią aż do wieży obserwacyjnej. Starał się szybko zniknąć im z oczu, bo nie chciał, żeby Nicci lub Bannon zmienili zdanie i upierali się, by mu towarzyszyć.

– Wciąż jestem czarodziejem, u licha – mruknął.

Han nadal w nim była, chociaż teraz przypominała nie tyle wiernego psiaka, ile uwięzowanego na łańcuchu wściekłego brytana. Ale przynajmniej miał miecz i potrafił walczyć, no i mógł korzystać z tysiącletniego doświadczenia. Może sam pójść na zwiady.

Falista linia wzgórz wiodła go w dół, a potem znowu w górę. Mignęła mu wieża, wciąż odległa o wiele mil, ale nie pozwolił sobie na zniechęcenie. Dotrze do celu i dowie się, co w trawie piszczy. To nieznanne terytorium, a on był pierwszym d'harańskim ambasadorem, który je zbada w imieniu lorda Rahla.



Nogi go bolały, kiedy przemierzał nierówny teren. Przystanął, żeby się przyjrzeć tajemniczym symbolom wyrytym w korze grubej powalonej osiki – pradawne i nieczytelne litery, blizny, które zniekształciły się, w miarę jak drzewo rosło. Nie był to żaden znany mu język, nie górnod'harański, nawet nie któryś ze starych języków zaklęć ze zwojów i ksiąg, które studiował w Tanimurze. Owe znaki uświadomiły mu, że naprawdę znalazł się w miejscu, o którym zupełnie nic nie wie.

Kiedy od towarzyszy dzieliły go już mile i był sam na pustkowiu, najprawdopodobniej bezpieczny, Nathan pozwolił sobie na rozmyślenia, jak dużo się dla niego zmieniło, od kiedy wraz z Nicci zostawili za sobą dawne życie w D'Harze. O tak, z pewnością był w świetnej kondycji jak na człowieka w jego wieku: muskularny, sprawny, aktywny, bystry. I świetny fechtmistrz, we własnym mniemaniu. Lecz jego dar zniknął i nawet nie potrafił wyrazić, jak go to dręczy – a Nathan Rahl uważał się za bardzo elokwentnego.

Nigdy nie zapomni tego, co się stało, kiedy próbował uleczyć ранego w Renda Bay, jak magia się broniła i wiała, gdy usiłował jej użyć. Bał się tego, co mógłby spowodować. Ilekroć próbował sięgnąć do daru, dotknąć go, uchwycić, wyczuwał jedynie cień, rezonans... a potem *ukłucie*. Nie chciał być w pobliżu przyjaciół, gdyby znowu zdarzyła się jakaś straszliwa kontreakcja. Ale musiał się przekonać, jak to z nim jest.

Postanowił zaryzykować. Tu w lesie, z dala od ludzi, Nathan postanowił spróbować.

Rozważył możliwości i zdecydował się nie bawić w żadne sztuczki z ogniem, bo łatwo mogło się to zmienić w wielki pożar, którego nie byłby w stanie ugasić. Lecz, podobnie jak Nicci, potrafił kiedyś manipulować powietrzem, wpływać na bryzę, zmieniać kierunek wichru. Może powinien spróbować tego.

Popatrzył na otaczający go las łudząco podobnych do siebie osik, okrągławe listki tworzyły kopułę. Wiatr kołysał gałęziami.

Co miał do stracenia? Sięgnął w głąb siebie, szukając Han, starając się uzyskać tyle magii, żeby móc poruszyć powietrze, stworzyć odrobinę wiatru, poruszyć gałązkami i listkami. Łagodny podmuch...

Z początku nic się nie stało, ale kiedy mocniej się wysilił, sięgnął głębiej, uwolnił swoją Han, *przymusił*, by stworzyła ciąg powietrza, lekki powiew.

Liście się poruszyły i powietrze nagle zassało ku niemu. Wiatr zawirował, potężniał, zmienił się w cyklon. Nathan miał zamiar wywołać jedynie leciutki powiew, lecz powietrze wokół niego wirowało z rykiem w coraz silniejszym huraganowym wichrze.

Walczył, chwycił dłońmi, starał się to zdusić, powściągnąć swój dar – ale wiatr tylko się nasilał, a magia mu się opierała. Gałęzie pękały. Gruba osika złamała się w pół i runęła na ziemię, blisko Nathana. Zerwane liście unosiły się w powietrzu niczym zielone konfetti. Wicher się wzmaczał, szaleńczo szarpał konarami.

– Przestań! Drogie duchy, przestań! – Nathan próbował zapanować nad swoją Han, sięgnąć do jakiegoś wewnętrznego zaworu i go zamknąć i wreszcie wicher ucichł, a on stał, ciężko dysząc.

Splątane siwe włosy sterczały mu na głowie. Nathan oparł się o solidny pień. Wcale nie o to mu chodziło! To była kolejna, jeszcze bardziej złowieszcza próbka groźnych następstw, jakie by wywołał, próbując korzystać z daru. Przeważnie w ogóle nie miał do niego dostępu, lecz kiedy usiłował rzucić jakieś zaklęcie, nie miał pojęcia, co właściwie się stanie.

Na pewno nie o to mu chodziło.

Był zadowolony, że Nicci i Bannon tego nie widzieli. Nie mógłby zaręczyć, co by się wydarzyło, gdyby znowu popełnił błąd. Zaszło mu

w gardle, powoli wracał do siebie.

– Niezwykłe – powiedział – ale wolałbym drugi raz tego nie robić. Póki lepiej tego nie zrozumie.

Godzinę później na kolejnej wysoko położonej polanie stwierdził, że pokonał połowę drogi do wieży obserwacyjnej, i przyspieszył. Południe już minęło, a chciał zobaczyć panoramę, poczynić zapiski, po czym wrócić na główny trakt – i, jak miał nadzieję – trafić do przyjemnego miasteczka przed zmrokiem.

I nie, nie będzie znowu bawić się magią.

Wieża obserwacyjna stała na szczycie skalnego urwiska, tu i tam porośniętego przysadzistymi sosnami ościstymi tkwiącymi wśród głazów. Najbliższa ściana była stroma, nie do przebycia, i Nathan musiał obejść skałę, szukając wygodniejszego podejścia – znalazł szlak na tyle szeroki, by trzech mężczyzn mogło iść obok siebie... albo żeby konie mogły pogalopować na sam szczyt.

Kiedy wyszedł z lasu i wspiął się na otwartą przestrzeń u podstawy wieży, wiatr się wzmógł. Kamienna budowla wznosząca się ku niebu była o wiele bardziej imponująca, niż mu się początkowo zdawało. Potężna wieża miała oktagonalny kształt, mury zbudowano z ogromnych bloków pozyskanych z kamieniołomów. Takie gigantyczne zamierzenie wymagało albo wyjątkowej pracy, albo potężnej magii.

Nathan zatrzymał się, żeby złapać oddech, i patrzył na panoramę. Z tej ogromnej cytadeli wartownicy mogli mieć baczność na wszystko w promieniu wielu mil. Zastanawiał się, czy tę budowlę wzniósł imperator Kurgan, i wyobrażał sobie generała Utrosa wspinającego się na szczyt wieży, skąd mógł widzieć ziemię, które podbił.

Słyszał jedynie dławiącą ciszę. Wyciągnął szyję, żeby przyjrzeć się szczytowi budowli, i zobaczył duże okna obserwacyjne – w jednych szyby były strzaskane, w innych całe. Część blanek runęła i wielkie bloki leżały wokół podstawy niczym gigantyczne klocki.

– Halo! Jest tu ktoś?! – zawołał.

Każdy obserwator by go zauważył w trakcie tej godzinnej wspinaczki, no i samotny człowiek na ścieżce wiodącej na szczyt byłby zupełnie bezbronny. Gdyby ktoś chciał go zaatakować, miałby po temu znakomitą okazję. Nathan chciał przyjaźnie zacząć ewentualną rozmowę.

– Halo?! – zawołał znowu, ale usłyszał tylko świst wiatru w wybitych oknach.

Nawet ptaki tu nie mieszkały.

Nathan, chociaż zaniepokojony, miał u boku dodający mu pewności miecz. Nie będzie znowu próbował czarować, ale w razie jakiegoś niebezpieczeństwa będzie mógł się bronić. Podszedł do wejścia wieży – masywne drewniane drzwi wypadły z zawiasów i leżały w środku, tuż za progiem. Zebrał się w sobie, wziął głęboki oddech. Obiecał towarzyszom, że sobie poradzi, a tymczasem z trudem pokonał tę drogę i bał się wspiąć na szczyt wieży.

– Przychodzę w pokoju! – krzyknął na cały głos, a potem mruknął do siebie: – Przynajmniej dopóki mnie nie zmusicie, żebym zmienił zdanie.

Minął powalone drzwi i wkroczył w łukowate wejście – zobaczył kolejne drzwi, żelazne sztaby, opuszczane kraty, wszystko powyrywane i *zniszczone*. Sztaby były wyrwane z kamiennych bloków i powykręcane, jakby przez jakąś potężną siłę.

W głównym westybulu szerokie kamienne schody wznosiły się i biegły wokół ośmiu ścian. Na podłodze leżało pięć prastarych szkieletów

w przerdzewiałych zbrojach – jakby ludzie spadli ze schodów z dużej wysokości.

Nathan co prawda nie mógł znaleźć swojej Han i nie ośmieliłby się jej przywołać, lecz wyczuwał we wnętrzu wieży moc, pulsującą energię – jakby tę budowlę zaatakowało czarami... lub przepoili ją magią obrońcy.

Wspinał się po schodach i brakowało mu tchu. Był krzepkim mężczyzną, z wyrobionymi mięśniami, ale miał przecież tysiąc lat.

Świst wiatru stał się głośniejszy, kiedy dotarł na górę do rozległej, pustej chatowni ze wzmocnioną żelazem drewnianą podłogą. Stare deski były jak kamień. Chociaż zewnętrzne ściany zostały częściowo uszkodzone, to nie wyglądało to na skutek działania czasu. Zamiast się wykruszyć i po prostu spaść, zgodnie z prawem ciężkości, kamienne bloki zostały wyrzucone daleko poza podstawę wieży... jakby w wybuchu.

Na każdej ścianie rozległej chatowni znajdowało się wielkie okno, co dawało wartownikom widok we wszystkich kierunkach. W każdym oknie osadzono tafelę ciemnoczerwonego szkła. Trzy strzaskał czas lub jakaś siła i odłamki sterczały z ościeżnic niczym szkarłatne sztylety. Pozostałe pięć okien cudownie ocalało, co skłoniło Nathana do domysłów, że szkło jakoś wzmocniono czarami. Wiatr szeptał głośnie, wpadając przez wybite okna.

Czarodziej, stojąc pośrodku pomieszczenia, powoli się obrócił, jakby próbował ustalić, co się tutaj stało. Na twardej jak żelazo podłodze leżały kolejne szkielety, wszystkie w pradawnych zbrojach. Ciemne plamy na kamiennych ścianach były krwią, długie białe rowki zaś zapewne wyżłobili w kamiennych blokach paznokciami zdesperowani ludzie.

Nathan zrobił kilka kroków – jedna z desek alarmująco zatrzeszczała, jakby miała pęknąć. Instynktownie odskoczył i trafił stopą na kość udową jednego z poległych wojowników. Potknął się, stracił równowagę, poleciał na ścianę i podparł się ręką.

Natrafiał na parapet ze sterczącymi odłamkami szkła. Syknął z bólu i cofnął rękę, spojrział na głęboką ranę we wnętrzu dłoni. Skrzywił się, bo mocno krwawiła.

Mruknął:

– Gdybym miał dar, uleczenie byłoby takie proste.

Chociaż był sam, krępowała go własna niezdarność. Teraz będzie musiał jakoś opatrzyć ranę i poczekać, aż Nicci się nią zajmie.

I właśnie wtedy dotarło do niego, że szum wiatru stał się jakiś dziwny. Wieżą wstrząsało drzenie. Czatownię wypełnił jaskrawy szkarłatny blask bijący z jego krwi.

Pięć nietkniętych czerwonych szyb zaczęło się jarzyć.

## ROZDZIAŁ 29

Nicci szła dróżką przez las, a Bannon spieszył za nią.

– Nie martw się, czarodziejko, dotrzymam ci kroku. Samotna kobieta na opustoszałym trakcie mogłaby sobie napisać kłopotów, ale jak tylko jacyś podejrzani osobnicy zobaczą mnie i mój miecz, to dwa razy się zastanowią, zanim cię zaczepią.

Spojrzała na niego chłodno.

– Widziałeś, co potrafię. Wątpisz, czy poradzę sobie z każdym problemem, jaki mógłby się pojawić?

– O, *ja* wiem, że masz moc, czarodziejko, ale inni mogą o tym nie wiedzieć. Ja i moja ostra klinga – poklepał miecz – z pewnością zapobiegniemy kłopotom. Najlepsze wyjście z trudnej sytuacji? Upewnić się, że nigdy do niej nie dojdzie. – Zniżył głos: – Sama mnie tego nauczyłaś, kiedy ocaliłaś mnie przed tymi rabusiami w Tanimurze.

– Owszem. – Nicci lekko skinęła głową. – Zadbaj, żebym nie musiała cię już ratować.

– Przyrzekam.

– Nie obiecuj, bo okoliczności mogą sprawić, że tego pożałujesz. Obiecałeś swojemu przyjacielowi Ianowi, że zawsze będziesz stać u jego boku? Że nie opuścisz go w niebezpieczeństwie?

Bannon z trudem przełknął ślinę, ale nadal szedł obok Nicci.

– Nie miałem wyboru. Nic nie mogłem poradzić.

– Nie oskarżam cię i nie twierdzę, że miałeś wybór. Po prostu wykazuję, że złożyłaś obietnicę i nie mogłaś jej dotrzymać.

Przez jakieś dwanaście kroków dumął w milczeniu.

– Wiesz, że moje dzieciństwo nie było tak idealne, jakbym sobie życzył. Ale to nie oznacza, że nie mogę mieć nadziei na poprawę losu. – Odsunął gałąź zwieszającą się nad ścieżką. Nicci się pochyliła i szła dalej. – A ty, czarodziejko? Miałaś okropne dzieciństwo? Ktoś musiał cię głęboko zranić, że stałaś się taka twarda i nieprzystępna. Twój ojciec?

Nicci się zatrzymała. Bannon zrobił jeszcze kilka kroków, zanim się zorientował, że została w tyle. Zawrócił.

– Nie, ojciec mnie nie skrzywdził. Właściwie był dobry. Wyrabiał broje, był cenionym rzemieślnikiem. Nauczył mnie rozpoznawać gwiazdne konstelacje. Dorastałam w miasteczku, które było całkiem przyjemne, póki się nie pojawił Imperialny Ład. – Nicci podniosła wzrok, wreszcie wyznając głośno to, co od dawna wiedziała: – To matka zamieniła moje dzieciństwo w koszmar. Okaleczyła mnie naukami, które zwała prawdą. Kazała mi wierzyć, że mój ciężko pracujący ojciec jest złym człowiekiem, że jego wiara przyczynia się do nieszczęścia ludzi. A Imperialny Ład umocnił ją w tym przekonaniu. – Ruszyła przed siebie szybszym krokiem, nie przejmując się, czy Bannon za nią nadaża. – Kazała mi żyć w okropnych miejscach. Łapałam wszy, a ona twierdziła, że to dla mojego dobra. To miało ukształtować mój charakter, sprawić, że zrozumiem. – Prychnęła. – Nienawidzę jej teraz za to, ale potrzebowałam półtora wieku, żeby to sobie uświadomić.

– Półtora wieku? – zapytał Bannon. – Przecież to niemożliwe. Ty, ty...

Odwróciła się i spojrzała na niego.

– Mam ponad sto osiemdziesiąt lat.

– Jesteś nieśmiertelna? – zapytał ze zdumieniem.

– Teraz starzeję się zwyczajnie, ale wciąż mam przed sobą długie życie i zamierzam wiele osiągnąć.



– To tak jak ja – powiedział Bannon. – Będę ci towarzyszyć i zrobię, co w mojej mocy, żeby pomóc tobie i czarodziejowi Nathanowi osiągnąć cel. Możecie na mnie liczyć.

Ledwo na niego spojrzała.

– Możesz z nami zostać, póki nie staniesz się utrapieniem.

– Nie stanę się utrapieniem, obiecuję. – Uświadomił sobie, co powiedział, i ugryzł się w język. – To znaczy nie *obiecuję*, ale zrobię, co w mojej mocy, żeby nie być utrapieniem.

– A będziesz wiedział, kiedy staniesz się utrapieniem?

– Jasne. Bez wątpienia.

Nicci zdumiała jego pewność siebie.

– A skąd?

– Bo mi to powiesz bez ogródek. – Miał tak poważną minę, że musiała się uśmiechnąć.

Chociaż szerokość dróżki wskazywała, że niegdyś była uczęszczana, to od kilku zim nie usuwano zwalonych osik i dębów i musieli albo się na nie wspinać, albo je okrążyć. Jeśli przed nimi było jakieś miasteczko, to jego mieszkańcy niezbyt często tędy chodzili. Nicci nie widziała żadnych śladów stóp, oznak obecności innych podróżników i pomyślała, że pewnie znowu rozbiją obóz w lesie.

Młody człowiek przerwał milczenie:

– Myślisz, że ktoś ma takie idealne życie, jakie sobie wyobrażam? Że istnieje takie sielskie miejsce?

– Sami musielibyśmy o to zadbać – stwierdziła Nicci. – Jeśli ludzie tworzą opresyjną kulturę, jeśli pozwalają rządzić tyranom, dostają to, na co zasłużyli.

– Ale czy nie powinna istnieć spokojna kraina, gdzie ludzie mogliby być szczęśliwi?

– To naiwna fantazja. – Nicci wydeła usta. – Ale lord Rahl stara się budować świat, w którym ludzie będą wolni. Jeśli zechcą stworzyć sielskie miejsce, to będą mieć po temu okazję. I na to liczę.

Dróżka stała się drogą, las się przerzedził, zmienił w zagajnik, a potem rozległy teren, gdzie zobaczyli gospodarstwa z szachownicą pól na wykarczowanej ziemi. Domy były zbudowane z bali, z dachami krytymi gontem.

Bannon powiedział:

– To muszą być farmy okalające miasteczko, którego szukamy. Widzisz, jak wycięto drzewa? Te wszystkie kamienne murki?

– Ale nikogo nie widać – stwierdziła Nicci.

Chociaż droga wciąż była traktem, porastała ją trawa; nie było śladów stóp ani kolein. Mijali zrujnowane murki, zielsko i trawa rosły w pęknięciach. Nawet pola były zarośnięte. Całkiem opuszczone miejsce.

Cisza się pogłębiała i Nicci stała się czujna. Na jednej z farm zwiędło całe pole wysokich słoneczników, pochylały duże kwiaty, żółte płatki okalały brązowy środek. Bannon znowu się odezwał:

– Te pola wydawały plon przez kilka sezonów. Spójrz tylko, jak teraz wyglądają. – Potrząsnął głową. – Żaden hodowca kapusty by do tego nie dopuścił. – Podeszedł do najbliższego słonecznika, przesunął dłońmi po szorstkiej łodydze. – Posadzono je w równych rzędach parę lat temu, ale nikt ich nie zebrał. Nowe rośliny są już wszędzie. Ptaki wysiały nasiona i kiedy w przyszłym roku wzejdą, zapanuje jeszcze większy chaos. – Rozejrzył się. – Popatrz na ten warzywnik. Zupełnie zaniedbany.

Nicci była zaniepokojona.

– Tę farmę porzucono. Wszystko zostawili.

– Ale czemu? Ziemia wygląda na żywną. Widzisz te pola? Gleba jest

ciemna.

Usłyszała dziwny dźwięk i odwróciła się, gotowa uwolnić magię, ale to były tylko dwie szaro-białe kozy. Zbliżyły się zwabione ich głosami.

Bannon się uśmiechnął.

– No proszę! – Kozy podeszły i pozwoliły mu poklepać się po karku. – Wygląda na to, że jecie do syta. – Popatrzył na Nicci zaskoczony. – Skoro kozy chodzą luzem, to buszują w warzywniku. Matka nigdy by nie pozwoliła kozom zbliżyć się do naszego ogródka.

Podeszli do chaty z bali ze zniszczonym dachem. Przewrócony wóz porastało zielsko.

– Nikt tu nie mieszka – powiedziała Nicci. – To widać.

Obeszli dom i nieoczekiwanie natrafili na dwa posągi, naturalnej wielkości mężczyzna i kobieta, ubrani jak farmerzy. Ich kamienne twarze wyrażały niewymowne cierpienie. Wargi mężczyzny wykrzywiał grymas bólu; oblicze unosił ku niebu, oczy miał szeroko otwarte. Usta także otwierały się w bezgłośnym żalnym krzyku. Kobieta była przygarbiona, zasłaniała twarz rękami, jakby szlochała lub w rozpacz drapała policzki.

Bannon był mocno zaniepokojony, a Nicci przypomniały się rzeźby, które imperator Jagang i brat Narev zamówili w Altur'Rang, każąc rzeźbiarzom oddać nie zalety i godność człowieka, lecz jego demoralizację i cierpienie. Jagang i Narev chcieli, żeby twarze wszystkich posągów wyrażały złe uczucia – jak te, które teraz widzieli. Byliżby to jacyś wyznawcy ich nauk?

Kiedy mieszkała z Richardem w Altur'Rang, pracował jako rzeźbiarz i wykonał zapierającą dech w piersiach alegorię ludzkiego ducha, posąg, który nazwał *Prawda*. To wtedy Nicci doznała objawienia. *Zmieniła się*.

Przestała być Panią Śmierci i Siostrą Mroku.

Lecz ten, kto wyrzeźbił te posągi, najwyraźniej nie doznał podobnego

oświecenia.

– Powinniśmy znaleźć inny dom – oznajmił Bannon. – Nie podobają mi się te rzeźby. Kto chciałby mieć coś takiego w ogródku?

Nicci popatrzyła na niego.

– Z pewnością ktoś, kto nie podziela twojej wizji sielskiego świata.

## ROZDZIAŁ 30

Świst wiatru wokół wieży obserwacyjnej przybrał inny ton, przypominał teraz zawroźenie. Nietknięte szkarłatne szklane tafle w oknach czatowni lśniły, pulsowały, *obudziły się*.

Nathan uniósł skaleczoną dłoń, zbierając w niej krople krwi.

– Drogie duchy – mruknął.

Czatownia świeciła mocnym, gniewnym blaskiem, a on wpatrywał się w rozjarzone czerwone szkło nie tyle z lękiem, ile z fascynacją. Chociaż nie mógł posługiwać się darem, czuł w sobie magię – niespokojną, rozedrganą, nieokiełznaną. Jego wrodzona, nieuchwytna Han wydawała się dostrojona do tego, co się działo.

Z pamięci wypłynęło wspomnienie i uśmiechnął się.

– Krwioszkło! Tak, słyszałem o nim.

Zrobiło się cieplej, jakby w szkle żarzyła się lawa jakiegoś dalekiego wulkanu, lecz tę magię rozgrzewała krew. Zaciekawiony czarodziej podszedł do jednej z nietkniętych szyb, dudnienie zaś stało się głośniejsze, mocniejsze.

Krwioszkło było wytworem czarodziejów wykorzystywanym podczas wojen. Szkło spajano, hartowano i kształtowano krwią ofiar, tak żeby było powiązane z rozlewem krwi. W najburzliwszych wojnach obserwatorzy wodzów, patrząc przez krwioszkło, monitorowali postępy wojsk – bitwy, zwycięstwa, rzezie. Krwioszkło nie ukazywało pejzażu jako takiego, lecz obrazy bólu i śmierci, co pozwalało watażkom oglądać masakry.

Nathan stanął przy najbliższym oknie i wyjrzał przez rozjarzoną szkarłatną tafle. Spodziewał się, że ze szczytu wieży obserwacyjnej będzie rozległy widok, że zobaczy stare imperialne drogi, górskie łańcuchy, może

nawet żyzną dolinę, za którą leży Kol Adair.

Lecz ujrzał tylko niekończący się przemarsz niegdysiejszych wojsk, setki tysięcy wojowników z mieczami i tarczami, ciągnących jak szarańcza przez tę krainę. Krwioszkło było tak doskonale przejrzyste, że mógł sięgać przez czas w dal ku scenie powiększonej przez szkło z domieszką krwi.

Stary Świat był rozległy i pradawny, dzięki czemu Nathan widział panoramę najazdów i zażartych bitew, kolejne wojska, kolejnych imperatorów, niezliczone lata rozlewu krwi. Barbarzyńcy napadali na miasteczka, zabijali mężczyzn próbujących bronić swych domów i rodzin, gwałcili kobiety, ścinali głowy dzieciom. Po dzikich i niezdyscyplinowanych wojownikach pojawili się inni: doskonale zorganizowane armie, wojenne maszyny, w idealnym szyku, zabijające beznamiętnie, z nieubłaganą precyzją.

Nathan przeszedł wzdłuż ściany ośmiokątnej wieży i wyjrzał przez drugą tafelę krwioszki. Ta błyszczała jeszcze jaskrawiej i wojska wydawały się bliżej. Szkło wibrowało i cała masywna wieża dudniła, jakby się obudziła... przelękała.

Nathan gwałtownie się odwrócił, słysząc jakiś dźwięk – grzechot kości. Popatrzył na szkielety leżące na twardych jak żelazo deskach podłogi. Poruszyły się? Światło wypełniające wieżę miało barwę głębokiego szkarłatu. Na zewnątrz popołudniowe słońce się zniżyło, lecz nie miało to żadnego wpływu na ten morderczy, magiczny blask. Nathan nerwowo położył zranioną dłoń na rękojeści miecza. Uniósł rękę i popatrzył na spływające po nadgarstku purpurowe krople.

Znowu się odwrócił, bo kości zagrzechotały, ale nic podejrzanego nie zobaczył. Z pewnością to szkielety się poruszyły. Pospiesznie wyjrzał przez dwie kolejne szkarłatne tafle i zobaczył naciągającą kolejną armię. Ta zdawała się bardziej złowieszcza niż poprzednie, bardziej realna.

Wojownicy mieli spiczaste stalowe hełmy, łuskowe zbroje i tarcze

ozdobione stylizowanym płomieniem. Nathan pamiętał ten płomień... emblemat armii imperatora Kurgana. Dzięki magicznemu przybliżeniu ujrzał jadącego na jej czele budzącego lęk wodza i uświadomił sobie, że oto – poprzez krew i czas – widzi samego generała Utrosa.

Wicher zawył wśród ścian, jakby nad szczytem góry przetoczyła się niewidoczna burza. Przyniósł krzyki żołnierzy, szczęk stali i tupot maszerujących butów. Czerwony blask stał się intensywniejszy, jakby przenikał przez krwawą mgiełkę.

Nathan dobył miecza, mocno zacisnął palce na ozdobnej rękojeści, lecz były śliskie od krwi. Odwrócił się powoli, ale nie zauważył, żeby rozrzucone na podłodze kości się poruszyły. Pospiesznie podszedł do innego okna i ujrzał, że armia generała Utrosa maszeruje ku wysokiej twierdzy, niepowstrzymana fala zbrojnych. Magia jakimś sposobem ich tu przywróciła: okrutni żołnierze wydawali się całkiem prawdziwi. Maszerowali szerokimi kamiennymi drogami, zbliżając się do wieży z trzech stron. Patrzył na tę nadciągającą gniewną siłę.

Grzechot znowu odwrócił jego uwagę od krwioszki. Gwałtownie się odwrócił i zobaczył, jak kości dawno zapomnianych obrońców dygoczą, drżą i łączą się. Szkielety, skąpane w czerwonym blasku bijącym z niesamowitych okien, powstały niczym marionetki.

Czarodziej uniósł miecz przeciwko nim, lecz było to tylko parę niezdarnych mar. Bardziej go niepokoiły hordy widmowych wojowników za oknami. Słyszał ich – nawała mieczy, zbroi, mięśni. Szorstki głos – Utros? – zawołał w twardym języku, który Nathan, o dziwo, zrozumiał:

– Zająć wieżę! Zabić wszystkich!

Nathan, ogarnięty przytłaczającym czerwonym blaskiem, gotował się do walki ze szkieletami. Ze schodów dobiegł łomot. Usiłował znaleźć w sobie dar, gotów uwolnić krnąbrną magię, bez względu na to, czy narobi szkód.

Był zupełnie sam. Nawet gdyby wykorzystanie magii spowodowało ogromne zniszczenia i zrównało wieżę z ziemią, to przynajmniej nie skrzywdziłyby Nicci i Bannona. Za to mógłby odeprzeć widmowych wojów.

Jeden z ożywionych obrońców z grzechotem kroczył ku niemu, wyciągając kościane ręce, jakby sądził, że to Nathan jest napastnikiem. Czarodziej ciął mieczem przez kręgosłup szyjny. Czaszka spadła i potoczyła się po deskach, kłapiąc szczękami. Kości ramion młóciły powietrze, sięgając ku niemu. Rozbił je mieczem. Odwrócił się, żeby pokawałkować kolejny szkielet w resztkach zbroi. Kopniakiem rozrzucił kości trzeciego przeciwnika.

Potem pojawiło się jednak większe zagrożenie. Dwaj widmowi wojownicy w zbrojach, z tarczami ozdobionymi płomieniem, z szerokimi mieczami, wdarli się ramię przy ramieniu do czatowni. Lśnili w czerwonym blasku.

Nathan cofnął się ku ścianie, licząc, że kamienne bloki za plecami dadzą mu choć odrobinę osłony. Nie miał się gdzie ukryć.

Strumień martwych od dawna żołnierzy wlał się przez drzwi, jakby zamierzali po prostu przytłoczyć obrońców wieży samą swoją liczebnością.

Czarodziej stawiał im czoło, zbierając wszystkie siły.

– No, chodźcie!

Ciął ze świstem powietrze mieczem, porzucając już nadzieję, że ponownie znajdzie w sobie iskrę magii. Han się teraz nie objawi. Musi mu wystarczyć miecz.

O dziwo, żałował, że nie ma tu Bannona. Obaj zabiliby dziesiątki, zanim sami by padli.

– Sam muszę to zrobić!

Z rozwianymi siwymi włosami rzucił się na pradawnych wojowników.



Wokół niego pulsował szkarłatny blask krwioszki i miał uczucie, jakby wpadł w trans. Zamachnął się mieczem na jednego ze starożytnych wojów, szykując się na mocne uderzenie w łuskową zbroję, mięśnie, kości. Lecz miecz przeszedł gładko i wróg padł. Nathan nie wyhamował, zamachnął się na kolejnego napastnika, rozcinając widmową zbroję.

Poczuł ostry ból w kostce. Jedna z odciętych dłoni zacisnęła mu się na butcie niczym imadło. Mocnym kopniakiem odrzucił ją na bok i uchylił się przed atakiem innego wojownika. Dotarło do niego, że wrzeszczy. Ledwie widział w otaczającym go gęstym, niemal namacalnym blasku.

Nathan nie panował nad sobą. Ogarnął go bitewny szal. Opętała magia krwioszki, przemoc i atmosfery rzezi przesycające to miejsce. Nie miał wyboru, musiał walczyć, zabić tylu wrogów, ilu zdoła, zanim jego krew splami deski podłogi, zanim jego ciało legnie wśród pradawnych napastników, zanim powoli sam zmieni się w szkielet.

Nacierał na szkarłatne cienie wrogów, brzęk pękającego szkła brzmiał jak krzyk. Obracał się i ciął, nie widząc skutków. Uderzał i gruchotał kości. Jego krew i miecz najwyraźniej wiedziały, co robić.

Głośny szczęk i mocne uderzenie miecza o kamień na tyle nim wstrząsnęły, że rozproszyły czerwony blask. Wyrwały go z transu. Wróg zniknął.

Nathan, wyczerpany, ciężko dyszał. Ręce mu się trzęsły. Krew z rany na dłoni ściekała na rękojeść i klingę – ale widział już jedynie własną krew. Zamrugnął, a powietrze się oczyściło i znowu ujrzał żółty blask słońca, otwartą przestrzeń. Krwioszka zniknęła.

W bitewnym szale potłukł pozostałe szklane tafle. Czerwone okna już nie ukazywały bitwy; widać było przez nie krajobraz zalany ukośnymi promieniami popołudniowego słońca. Widmowa armia i szczątki poległych w wojnach sprzed stuleci rozwiały się, czar krwioszki został zniszczony.

Walczył z marami. Szkielety leżały połamane, rozrzucone i nie wiedział, czy naprawdę coś przywróciło im życie, czy walczył tylko z własnymi koszmarami.

Długo stał, łapiąc oddech, dygocząc ze zmęczenia. Potem uśmiechnął się z przymusem.

– Cóż za przygoda. Porywająca.

Zranioną dłonią otarł pot z czoła, nie dbając o to, że rozmazuje krew na twarzy.

Był w wieży sam i wiatr szepczący przez rozbite szyby brzmiał jak dalekie głosy duchów.

## ROZDZIAŁ 31

Nicci i Bannon zostawili za sobą opuszczone, ponure obejście i ruszyli porośniętą zielskiem drogą, mijając domy i pola. Osamotnionekozy jakiś czas za nimi szły, ale w końcu zrezygnowały i zboczyły na pole kukurydzy, bardziej kuszące niż szansa, że Bannon podrapie je za uszami.

Większość domostw była pusta, a na niektórych podwórzach stały niepokojące posągi udreńczonych osób. Dlaczego ci ludzie chcieli mieć takie przedstawienia niedoli? Nicci zmierzała ku miasteczku, coraz bardziej spięta, lękając się, co tam znajdzie. Chociaż ziemia wydawała się żyzna, a pogoda sprzyjająca, to domy tutaj najwyraźniej od lat były opuszczone.

– To bez sensu. Dokąd wszyscy odeszli?

Zatrzymała się przed dużym domostwem z zapuszczonymi rabatami i ogrodową dróżką, ze zmarniałymi jabłoniemi, na których ptaki dziobały na wpół zgniłe jabłka. Stały tu dwa kolejne posągi: chłopiec i dziewczynka, najwyżej dziewięcioletni, obydwójce klęczeli, pogrążeni w rozpaczypłakali kamiennymi łzami.

Bannon wpatrywał się w budzące grozę rzeźby, a Nicci była zła, że jakiś szalony rzeźbiarz lubował się w ukazywaniu ludzkiego bólu i że tutejsi mieszkańcy z własnej woli wystawiali jego dzieła. Nie okazywała głębszych emocji, kiedy imperator Jagang zamówił podobne rzeźby, bo wiedziała, że był bezlitosnym, chorym człowiekiem. Dorównywała mu jedynie Nicci z sercem z czarnego lodu.

Lecz to leżące na uboczu, daleko od wpływów Imperialnego Ładu miasteczko z jakiegoś powodu postanowiło odtworzyć podobną niedolę. Uznała, że to bardzo niepokojące.

Natrafili na strumień spływający zalesionym stokiem wzgórza, poruszający młyńskie koło. Po latach zaniedbania koło się wypaczyło i tarło o dolne. Ze ścian młyna powypadały też deski.

Dotarli do miasteczka, które tworzyła około setka domów wokół głównego rynku i targu. Większość była jednorodzinna, ale zdarzały się i dwupiętrowe, zbudowane z drewna i kamienia z pobliskiego kamieniołomu. Miasto też zostało opuszczone.

Na placu stała kamienna fontanna, teraz sucha; kuźnia popadała w ruinę, piec kowalski dawno wygasł; gospoda i tawerna były ciche i puste. Znajdowały się tam również: skład, kilka kupieckich kantorów, gospoda, stajnia i stodoły pełne starego siana, ale żadnego konia. Drewniane stoły na kozłach i kramy świadczyły o tym, że kiedyś targ tętnił życiem. Wyschnięte łupiny i ogryzki – tyle zostało na straganach farmerów. Na rynku grzebały w ziemi kury.

Nicci odnotowała to wszystko, lecz jej uwagę przyciągnęły liczne posągi. Kamienne figury stały na targu, w drzwiach domów, przy straganach, przy studni.

Bannon był wstrząśnięty. Twarz każdej rzeźby wyrażała przerażenie i cierpienie; gładkie marmurowe oczy były szeroko otwarte w pełnym grozy niedowierzaniu albo zamknięte jakby z chęci zaprzeczenia rzeczywistości, kamienne wargi wykrzywione łkaniem. Potrząsnął głową.

– Słodka Matko Morza, dlaczego ktoś to zrobił? Zawsze starałem się wyobrazić sobie przyjazny świat. Kto chciałby tworzyć coś takiego? Czemu ktoś to zrobił temu miastu?

Rozległ się głęboki głos:

– Bo oni byli winni.

Obydwoje się odwrócili i zobaczyli łysego mężczyznę wychodzącego

z ciemnego drewnianego budynku, który wyglądał na siedzibę kogoś ważnego. Wysoki i chudy człowiek, z nienaturalnie wydłużoną czaszką, ruszył ulicą. Na czole miał złotą opaskę. Długie czarne szaty z bufiastymi rękawami kołysały się w rytm kroków. Przepasany był złotym łańcuchem. Przenikliwe oczy miały barwę tak bladego błękitu, jakiego Nicci jeszcze nigdy nie widziała; były przejrzyste niczym woda w górskim potoku. Twarz miał tak posepną, że przy nim nawet Opiekun wydawał się pogodny.

Bannon instynktownie dobył miecza, ale Nicci postąpiła krok naprzód.

– Winni czego? Kim jesteś?

Wychudły mężczyzna zatrzymał się przed nimi i jeszcze bardziej wyprostował. Wydawał się zadowolony z tego, że otaczają go rzeźby przedstawiające cierpienie.

– Każdy był winien swoich występków, własnego braku rozwagi. Za długo by o tym opowiadać.

Nicci wytrzymała nieustępliwe spojrzenie bladych oczu.

– Pytałam, kim jesteś. Tylko ty tutaj zostałeś? Dokąd odeszli pozostali?

– Jestem sędzią i naprawiaczem – oznajmił barytonem. – Wymierzyłem sprawiedliwość w Lockridge i w wielu innych miastach.

– Jesteśmy tylko podróżnikami – odezwał się Bannon. – Szukamy strawy i miejsca do spania, przydałoby się też trochę prowiantu.

Nicci skupiła uwagę na dziwnym mężczyźnie.

– Jesteś czarodziejem. – Wyczuwała w nim dar, magię.

– Jestem sędzią i naprawiaczem – powtórzył. – Obarczono mnie darem i odpowiedzialnością. Mam narzędzia i moc, żeby wymierzać sprawiedliwość.

Popatrzył na nich surowo, wyblakłe oczy przesunęły się po Nicci, potem po Bannonie, jakby szukał w nich zepsucia.

– Kto cię mianował? – zapytała Nicci.

– *Sprawiedliwość* mnie mianowała – odparł, jakby Nicci okazała się najgłupszą ze znanych mu osób. – Wiele lat temu byłem zwykłym sędzią pokoju i krążyłem po tym rejonie za powszechną zgodą, bo ludzie potrzebowali bezstronnego prawa. Przenosiłem się z miasta do miasta i sądziłem oskarżonych. Dowiadywałem się, jakie prawo złamali, patrzyłem na nich i orzekałem, wyznaczałem karę za ich przewinienia. – Przycisnął dłoń o długich palcach do piersi. – To był mój dar. Oceniałem prawdziwość ich słów. Dzięki magii ustalałem, czy są winni czy niewinni, i wydawałem stosowny wyrok, który wykonywali włodarze miasta. Tak ustaliliśmy. Takie było nasze prawo.

– Jak Spowiedniczka – stwierdziła Nicci. – Taki miejscowy Spowiednik. Mężczyzna spojrzał na nią obojętnie.

– Nic nie wiem o Spowiedniczkach. Jestem sędzią.

– Ale gdzie są wszyscy? – zapytał Bannon. – Skoro wydawałeś wyrok, a mieszkańcy go uznawali, to gdzie są? Czemu wszyscy opuścili miasto?

– Nie opuścili – odrzekł ponury czarodziej. – Moje uzdolnienia się zmieniły, stały się silniejsze. *Ja* stałem się silniejszy. Amulet, dzięki któremu rozpoznawałem prawdę i niewinność, stał się częścią mnie i moja moc bardzo wzrosła. – Rozchylił fałdy czarnej szaty, odsłaniając pierś i amulet na cienkim złotym łańcuszku: złotą trójkątną płytkę z wygrawerowanymi wymyślnymi pętlami, tajemniczymi symbolami i wzorami zaklęć wokół ciemnoczerwonego granatu.

Lecz amulet nie był już tylko ozdobą – złoty trójkąt *wrósł* w ciało mężczyzny. Skóra wokół zbliznowaciała, jakby ktoś wcisnął w nią niczym w wosk rozżarzony metal i pozwolił, żeby wokół niego narosła. Łańcuszek gdzieś wtopił się w obojczyk i ścięgną szyi. Tkwiący pośrodku granat

lśnił migotliwym magicznym ogniem.

Bannon zachłysnął się oddechem.

– Co ci się stało?!

– Stałem się naprawiaczem. – Oskarżycielskie spojrzenie spoczęło na młodym człowieku. – Przez lata osądzałem głównie niewielkie występki: napaści, kradzieże, podpalenia, cudzołóstwa. Niekiedy zdarzały się morderstwa i gwałty, lecz to się stało tutaj, w Lockridge... – Podniósł wzrok i jego przejrzyste niebieskie oczy spojrzały ponad ich głowami, jakby przywoływał duchy. – To tutaj się zmieniłem. Mieszkała tu kobieta, Reva, miała trzy córki. Najstarsza miała osiem lat, najmłodsza zaledwie trzy. Matka była całkiem ładna, podobnie dziewczynki, ale jej mąż pragnął innej kobiety. Nazywał się Ellis. Zdradzał żonę i kiedy Reva się o tym dowiedziała, uznała, że to jej wina, że za dużo uwagi poświęca córkom, a za mało mężowi. Rozpaczliwie pragnęła odzyskać jego miłość. – Prychnął z odrazą. – I udusiła córki, kiedy spały, by mieć pewność, że już nigdy nie staną pomiędzy nią a Ellisem. Myślała, że mąż znowu ją pokocha. Kiedy wieczorem wrócił do domu po schadzce z kochanką, Reva z dumą pokazała mu, co zrobiła. Rozłożyła ramiona i powiedziała, że teraz jej czas i serce znowu należą wyłącznie do niego. Kiedy Ellis zobaczył martwe córki, chwycił siekiere z sterty drewna na opał i zabił żonę, uderzając szesnaście razy. – Naprawiacz opowiadał, nie zmieniając wyrazu twarzy. – Kiedy przybyłem sądzić Ellisa, dotknąłem jego czoła. Wszyscy uważaliśmy, że wiemy, co się stało. Odwołałem się do mocy mojego amuletu i dowiedziałem się wszystkiego. Poznałem jego myśli i czarne, zdeprawowane serce. Już wiedziałem, jaką straszną zbrodnię popełniła jego żona, lecz wtedy dowiedziałem się też, co uczynił ten człowiek. Tak, zabił żonę, po tym jak zamordowała córki. Nie było wątpliwości co do jego zbrodni, ale niektórzy nawet mu współczuli. Nie ja. Wykryłem w Ellisie najnikczemniejszą winę, bo wcale nie zabił żony

przejęty zgrozą, że zamordowała ich dzieci, jak wszyscy sądziliśmy. W sercu Ellisa wyczytałem, że był zadowolony, iż rodzina przestała mu zawadzać, i wykorzystał to jako pretekst do pozbycia się niechcianej żony. Myślał, że się z tego wywinie.

Kiedy jego wina wniknęła we mnie, owe występki przesyciły amulet. Magia stała się silniejsza, a ja uwolniłem ją w zapamiętaniu. Byłem rozgniewany i pełen odrazy. Sprawilem, że Ellis *poczuł* swoją winę. Że przeżył chwilę największej, najintensywniejszej grozy. Zagnieździła się w jego umyśle, ja ją tam zatrzymałem. Zamieniłem go w kamień w chwili, kiedy doświadczał najboleśniejszego poczucia winy w swoim życiu, wspominając ów przerażający moment. – Naprawiacz przeciągle westchnął. – Uwolnienie magii wyzwoliło mnie. – Dotknął amuletu wtopionego w pierś. – Byłem już nie tylko urzędnikiem, nie tylko tym, kto weryfikuje słowa oskarżonego. Stałem się naprawiaczem. – Jego głos stał się głębszy, bardziej złowieszczy. – Muszę ochraniać te ziemie. To mój obowiązek. Muszę znaleźć wszystkich, którzy są winni. Nie mogę pozwolić, żeby podróżni schodzili z gór w żyzną dolinę. Muszę powstrzymać szerzenie się grzechu.

Bannon głośno przełknął ślinę i cofnął się o krok, unosząc miecz.

Nicci się nie poruszyła, chociaż była gotowa do walki.

– I osądziłeś tych wszystkich ludzi?

– Wszystkich. – Naprawiacz przeniósł na nią mrozące krew w żyłach spojrzenie wyblakłych oczu. – Jedyne ci bez winy będą mogli pójść dalej. Jaka jest twoja przewina, czarodziejko?

– To nie twoja sprawa – odparła arogancko.

Po raz pierwszy zobaczyła, jak wąskie, blade usta sędziego drgnęły w czymś, co mogło być cieniem uśmiechu.

– Ależ przeciwnie.



Granat w amulecie się rozjarzył.

Nicci sięgnęła w głąb siebie, gotowa uwolnić magię, lecz stwierdziła, że nie może. Jej stopy jakby wrosły w ziemię. Nogi zostały unieruchomione. Ramiona nie chciały się poruszyć.

Bannon zachłysnął się oddechem.

– Co... się dzieje?

– Jestem naprawiaczem. – Sędzia zbliżył się o krok, wrośnięty w jego pierś amulet pulsował. – Kara, którą wyznaczyłem przestępcom, polega na tym, że muszą doświadczać momentu największej przewiny. Nieustannie. Zamienię was w kamień w owej wyjątkowej chwili, abyście jej doświadczali po kres czasu.

Nogi Nicci były zimne, ciężkie. Nie mogła odwrócić głowy, ale kątem oka zobaczyła, że jej ramię i czarna suknia stają się białe. Zmieniają się w kamień.

– Nie macie się czego lękać, jeśli jesteście bez winy – powiedział mężczyzna. – Zostaniecie osądzeni, a ja jestem sprawiedliwy. Jestem naprawiaczem.

Podszedł do nich. Nicci starała się znaleźć sposób, żeby walczyć, przywołać magię, lecz wzrok się jej zaćmił. W głowie rozbrzmiało głośnie brzęczenie, jakby było tam pełno pszczoł.

Chociaż ledwie widziała posępnego czarodzieja, usłyszała jego słowa:

– Niestety, nadal muszę szukać kogoś, kto jest bez winy.

## ROZDZIAŁ 32

Kiedy magia naprawiacza zamknęła się wokół niej niczym pięść, Nicci walczyła, lecz jej ciało trwało w bezruchu i miała uczucie, że umysł też kamienieje. Ledwo mogła myśleć. Była w pułapce.

Mroczny czarodziej musiał wyczuć jej potężny dar, bo uderzył tak, żeby nie mogła stawić oporu, zaklęciem, z którym nigdy wcześniej się nie zetknęła. Jej mięśnie napięły się, stwardniały, spetryfikowały. Czas jakby się zatrzymał. Ciepła karnacja skóry zmieniła się w chłodny szarobiący marmur. Czuła, jak miążdży jej płuca, jak kości robią się przeraźliwie ciężkie.

Stopniowo traciła wzrok. Błękitne tęczęwki jakby chrzęściły... i w ostatnim przebłysku zobaczyła Bannona z jego rudymi włosami i bladą piegowatą twarzą. Zwykle minę miał tak naiwną, radosną i beztroską, że doprowadzało to Nicci do szału. Teraz jego twarz wyrażała rozpacz i udrękę. Usta miał otwarte, wykrzywione i chociaż w uszach dzwoniła jej zamykająca się wokół niej cisza, zdawało się jej, że usłyszała, jak chłopak powiedział: „...kociątka...”, zanim całkiem skamieniał, zmienił się w posąg człowieka przytłoczonego żalem i poczuciem winy.

Kiedy Nicci przestała widzieć, w głowie ukazywały się jej tylko koszmarne sceny z przeszłości. Obudziły się wspomnienia, jakby i one miały przetrwać w kamieniu. Przeróżające, szarpiące nerwy obrazy.

Nathan, wstrząśnięty potyczką z widmową armią przywołaną przez krwioszkło, opuścił wieżę. Samotny i zmęczony szedł przez mroczniejący ponury las, słońce schowało się za linią wzgórz.

Nie spodziewał się, że ta wędrówka tak długo potrwa, ale ze względu na

to, co zobaczył i czego się dowiedział, było to cenne doświadczenie, choćby i tylko historyczne. Ziemie Starego Świata były przesycone krwią setek lat wojen; drobni watażkowie zwracali się przeciwko sobie, odkąd – w trakcie wojen starożytnych czarodziejów – powstała bariera odgradzająca Nowy Świat. Uczenie się historii to jedno, doświadczenie jej zaś to zupełnie co innego.

Szedł w pogłębiającym się mroku, kierując się w stronę ledwo widocznej drogi, lecz obawiał się, że w coraz gęstszych ciemnościach minie trakt.

Chociaż bardzo by chciał dołączyć w mieście do Nicci i Bannona, licząc na dobrą gospodę i ciepłą strawę, to postanowił spędzić noc w lesie. Palił się do opowiedzenia towarzyszom o wieży i do spróbowania miejscowego piwa, a tymczasem będzie musiał samotnie obozować wśród drzew.

– Nie cała przygoda musi być przyjemna i miła – powiedział na głos.

Znalazł dogodne miejsce pod dużym wiązem, plecak posłuży mu za poduszkę. Usiadł pod gałęziami i w coraz chłodniejszej nocy dumał nad utratą daru i nad tym, co się stało, kiedy spróbował poćwiczyć w drodze do wieży. Teraz, patrząc na stertę suchych patyków, których nazbierał, nie mógł nie myśleć, jakie proste byłoby rozpalenie ognia, gdyby miał choć odrobinę daru. Nigdy nie był biegły w posługiwaniu się hubką i krzesiwem. Nie miał cierpliwości ani wprawy – bo czyż było to potrzebne Nathanowi Rahlowi, skoro jednym skinieniem palca mógł rozpalić ogień?

Zrezygnowany, zjadł zimną strawę i owinał się brązową peleryną, żeby się ogrzać. Samodziałowa koszula Phillipa też chroniła przed zimnem. Potem się położył i zapadł w niespokojny sen.

Wyruszył o brzasku, przedzierając się przez niskie zarośla, i kiedy wreszcie trafił na główną drogę, poczuł prawdziwe zadowolenie. Teraz, kiedy znowu był na trakcie, dogoni Nicci i Bannona. Zgodnie z mapą do sporego miasta – Lockridge – powinno być zaledwie parę mil.

Był już późny ranek, kiedy zobaczył pierwszą opuszczoną farmę. Napił się ze studni, pewny, że nikt nie będzie na to narzekał, i przegonił dwie kozy domagające się uwagi. Wstrętne posągi wydawały się dziwaczne i nie na miejscu, ale Nathan już wcześniej widywał osobliwe i niewytłumaczalne rzeczy. Ludzie często miewają wątpliwy gust, a te rzeźby były zaiste w wątpliwym guście.

Droga prowadziła go obok innych farm i siedzib – wszystkie były równie ciche i zastawione brzydkimi posągami. Może jakieś miejscowe ksiądzko uważało się za rzeźbiarza i wymagało, żeby każdy poddany miał jego wytwory.

Koło południa Nathan dotarł do miasta – typowej górskiej osady ze sklepami i domostwami, targiem, rynkiem, gospodą, kuźnią, warsztatem garncarza, stolarnią – zastawionego setkami kolejnych posągów, kamiennych podobizn ludzi uchwyconych w chwili przeżywania straszliwego koszmaru.

Ostrożnie szedł przed siebie, drapiąc się po policzku. Stapał uważnie w wysokich skórzanych butach, bojąc się, że obudzi te niesamowite rzeźby. Czuł się tu jak intruz. Kiedy indziej potrafiłby wyczuć czary lub zagrożenie. Sięgnął w głąb siebie i znalazł uśpioną magię, nadszarpniętą siatkę, jaka pozostała po usunięciu daru prorokowania. Lecz jego Han była niespokojna i oporna, nie ośmielił się jej użyć. Nie był głupi.

Mógłby zawołać, ale cisza była zbyt złowieszcza, nawet bardziej niż w prastarej wieży. Nieklamana groza i rozpacz na twarzach posągów przyprawiała go o gęsią skórkę. Widział najrozmaitszych ludzi: kupców, rolników, praczki, dzieci.

Na rynku dwa posągi były bielsze i czystsze niż pozostałe, nowe dzieła szalonego rzeźbiarza. Grymas przerażenia na pierwszy rzut oka uniemożliwił rozpoznanie, ale potem Nathan poznał... Bannona!

Obok niego stała piękna czarodziejka, której figura i szata byłyby gotowym dziełem sztuki dla każdego obdarzonego wyobraźnią rzeźbiarza. Twarz Nicci wyrażała mniejszą udrękę niż oblicza innych posągów, ale i tak malowało się na niej cierpienie, jakby przewiny i żale zostały roztrzaskane na mnóstwo ostrych odłamków, a potem niestarannie na nowo poskładane.

Nathanem wstrząsnął zimny dreszcz. Powoli się odwrócił. Działała tu jakaś straszliwa magia i chociaż nie przychodziło mu na myśl żadne zaklęcie, które mogłoby to spowodować, był przekonany, że nie były to tylko posągi jego przyjaciół, lecz sami Nicci i Bannon przemienieni w kamień.

Ciszę przerwał gromki baryton:

– Jesteś człowiekiem niewinnym? Czy przyszedłeś, żebym cię osądził, jak innych?

Kroczył ku niemu wysoki mężczyzna w czarnych szatach. Wydłużoną łysą czaszkę zdobiła złota opaska. Szata, rozchylona na piersi, ukazywała blizny i woskową skórę narosłą wokół złotego amuletu.

Nathan, mając się na baczności, odparł:

– Przeżyłem tysiąc lat. Trudno zachować niewinność i czystość przez tak długi czas.

– Prawy człowiek by tego dokonał.

– Nie ciążyło mi nadmiernie poczucie winy. – Nathan był przekonany, że ten posępny czarodziej rzucił urok petryfikujący na wszystkich tych ludzi, w tym Nicci i Bannona. – Jestem podróżnym, emisariuszem imperium D’Hary. Prawdę powiedziawszy, podróżującym ambasadorem.

– Jam zaś jest sędzia i naprawiacz. – Mężczyzna się zbliżył i ciemnoczerwony granat amuletu zaczął się jarzyć.

Kiedy indziej Nathan uwolniłby magię, ale teraz nie miał daru. Sięgnął dłonią do rękojeści miecza, lecz ręka poruszała się powoli, apatycznie.

Uświadomił sobie, że stopy utkwily w miejscu. Domyślił się, co się dzieje.

Naprawiacz podszedł, wlepiając w niego przejrzyste niebieskie oczy.

– Jedyne niewinny pójdzie dalej. Ja wykryję twój występki, starcze.  
Wykryję je wszystkie.

Nicci była unieruchomiona w spetryfikowanym muzeum swojego życia, pośród obciążających obrazów jej działań. Nie miała wyboru – musiała oglądać okropności, które uczyniła, mrok swojej egzystencji... Pani Śmierci... służka Opiekuna. Ten psychiczny ciężar przygniatał bardziej niż tony skał.

Służąc Jagangowi, musiała torturować i zabijać. Pomagała Imperialnemu Ładowi, błędnie wierząc, że służy dobru ludzi, narzucając równość, pomagając biednym i niedołącznym, rozdzielając pomiędzy nich bogactwa chciwych kombinatorów. To nie budziło w niej poczucia winy.

Dawno temu żałowała, że nie była na pogrzebie ojca, ale Siostry nie pozwoliły jej opuścić Pałacu Proroków. Jej ojciec był zbrojmistrzem, pracowitym, sprawnie zarządzającym warsztatem (teraz to wiedziała), człowiekiem, którego pracę cenili klienci, póki Ład go nie zrujnował. Nicci przyczyniła się do jego upadku, jako gorliwa młoda dziewczyna, której matka zrobiła wodę z mózgu. Stała się wyznawczynią, zagorzałą zwolenniczką Ładu.

Kiedy ktoś wyznaje błędną wiarę i nią się kieruje, to czy musi w tym być jego wina?

Nicci, tak wiele lat przetrzymywaną w Pałacu Proroków, ominęła i śmierć apodyktycznej matki. Ale była na jej pogrzebie, chociaż nie czuła żalu po tej stracie. Żeby zdobyć elegancką czarną suknię na tę ceremonię, Nicci pozwoliła się obłąpać lubieżnemu, obmierzłemu krawcowi – lecz to była

cena, którą zgodziła się zapłacić. Zrobiła to, co konieczne. Nie było w tym występku. I od tej pory zawsze nosiła czarne suknie.

Kiedy te mroczne wspomnienia wyłaniały się z jej pamięci, poczuła potrzebę odpokutowania za porwanie Richarda od jego ukochanej Kahlan, za zmuszenie go, by poszedł z nią do Altur'Rang i udawał jej męża. To był okropny uczynek, chociaż zrobiła to, żeby przekonać Richarda o słuszności jej poglądów. Wtedy się w nim zakochała, ale było to chore, wypaczone uczucie, którego sama Nicci nie pojmowała.

Lecz najgorzej postąpiła chyba wtedy, kiedy Richard odtrącił jej umizgi i nie chciał się z nią kochać – wtedy rzuciła się na innego mężczyznę, pozwoliła, żeby był wobec niej brutalny, bił ją i gwałcił (choć właściwie nie był to gwałt, bo sama nalegała). I cały czas wiedziała, że poprzez łączący je czar zespolenia *Kahlan* doświadcza tego samego co ona... i zakładała, że *Kahlan* uwierzy, że Richard ją zdradził, że to *on*, oszalały z żądz, kocha się z Nicci.

Jak to musiało zranić Kahlan... Nicci sprawiało to wtedy ogromną radość.

Tak, tym zawiniła.

Lecz już to wyjaśniła. Kahlan i Richard jej wybaczyli. Zawiniła ta zgorzkniała, zła osoba, jaką była dawno temu – Pani Śmierci, teraz była kimś zupełnie innym. Nie babrała się w przeszłości, nie prześladowały jej upiory. Służyła Richardowi, walczyła dla niego, pomogła pokonać Imperialny Ład. Rozkazała Jagangowi *umrzeć*. Służyła Richardowi z niekłamanym oddaniem i zabiła mrowie krwiożerczych półludzi z Mrocznych Ziemi. Robiła to, o co prosił Richard, nawet zatrzymała mu serce, żeby mógł przeniknąć w zaświaty i uratować Kahlan.

Ofiarowała mu wszystko z wyjątkiem swojego poczucia winy. Nicci nie wierzyła w winę. Nawet kiedy popełniała występki, nic takiego nie czuła.

A teraz, na nowej drodze życia, służyła jeszcze większemu celowi – nie Richardowi Rahlowi, którego kochała, lecz *marzeniu* Richarda Rahla: i w tej służbie nie mogło być niczego złego, żadnej przewiny. Nicci była czarodziejką. Posiadała moc czarodziejów, których zabiła. Pamiętała wszystkie zaklęcia, których nauczyły ją Siostry. Moc jej duszy przewyższała wymaginowane powołanie tego wypaczonego sędziego.

To był jej dar, podlegał jej woli i nie do tego człowieka należało wymierzanie kary.

Jej ciało mogło obrócić się w kamień, zamknąć jej myśli w dławiącym czyścicu, ale uczucia Nicci i przedtem były niczym kamień, miała serce z czarnego lodu. To była jej osłona. Teraz się do tego odwołała. Uwalniając każdą iskierkę magii, jaką znalazła, odzyskiwała determinację i odrzucała wyrok narzucony jej przez posępnego czarodzieja.

W miarę jak rósł w niej gniew, potężniała i magia. Nie była jakąś tam niewydarzoną małomiasteczkową zbrodniarką, drobnym złodziejaszkiem. Była czarodziejką. *Panią Śmierci*.

Nicci czuła, jak w niej i wokół niej kamień zaczyna pękać...

Pociągła twarz naprawiacza była ziemista i ponura, jakby pozbawiono go wszelkich uczuć. Nie okazywał zadowolenia, objaśniając Nathanowi karę i rzucając na niego czar.

– Są winni – powiedział. – Wszyscy. Tyle pracy przede mną...

Nathan się natężył, próbując poruszyć skamieniałą ręką.

– Nie, wcale nie.

Już niemal dosięgnął miecza, ale gdyby nawet dotknął rękojeści, nic by to nie dało. Czar petryfikacji go oplątał i szybko utwardzał tkanki, zatrzymując upływ czasu w jego ciele. Nathan nie mógł walczyć ani uciec, ledwo mógł się



poruszyć. Jedynym ratunkiem byłoby użycie magii, rzucenie retorsyjnego zaklęcia. Lecz skoro nie mógł nawet rozpaść ogniska, to z pewnością nie dałby rady tak potężnemu czarodziejowi.

Nathan wiedział, że nawet gdyby przyzwał swój krnąbrny dar, to i tak nie mógłby go kontrolować. Nie potrafił zapomnieć próby uleczenia rannego w Renda Bay – rozdarł go na strzępy tym, co miało go uzdrowić. A tylko chciał pomóc.

Może to był ów fatalny postępek, który naprawiacz każe mu oglądać, póki będzie trwał kamień.

Usłyszał zgrzyt, kiedy zaklęcie spetryfikowało nawet skórzaną sakiewkę, podróżny strój i księgę życia. Nie mógł oddychać.

Nathan poczuł, jak magia w nim się wiję, umyka niczym wąż w zaroślach. Jakie by to miało znaczenie, gdyby teraz ją uwolnił i zaklęcie przyniosłoby odwrotny skutek? Jakąż większą szkodę miałoby to uczynić? Nawet Nicci utkwiała w kamiennej pułapce, a Bannon, biedny Bannon, był unieruchomiony w niekończącym się cierpieniu.

Nathan nie miał nic do stracenia. Nieważne, jaką reakcję zapoczątkuje jego magia, jeżeli zdoła ją uwolnić i oddać cios, choćby nawet niezdarnie, i tak będzie to coś.

Jego płuca się zapadały, kiedy przygniatał go kamienny ciężar winy, dusił się, ale zdołał wykrztusić:

– Jestem Nathan... Nathan Prorok. – Kolejny jeszcze płytszy oddech i znowu: – Nathan *Czarodziej*.

Magia wypełzła z niego niczym murena wypłoszona z mrocznej podwodnej kryjówki. Uwolnił ją, nie wiedząc, co robi... nie dbając o to. Wyrwała się – nieokiełznana.

Usłyszał i poczuł żar narastający w jego wnętrzu. Przez chwilę był

przekonany, że sam eksploduje, że czaszkę rozsadzi mu moc nie do opanowania.

Widoczna przed nim statua Nicci wydawała się zmieniać, mięknąć. Biały kamień, zamykający jej idealne kształty, pokrywał się siateczką pęknięć. Nathan nie sądził, że to jego dzieło. Jego własna magia kipiała tutaj i niczym wrzący olej ochlapywała naprawiacza.

Posępny czarodziej się wzdrygnął i chwiejnie zaczął się cofać.

– Co robisz? – Uniósł rękę, drugą dłoń przycisnął do amuletu. – Nie!

Czar petryfikacji, który naprawiacz rzucił na Nathana niczym dławiącą płachtę, teraz zsunął się z czarodzieja, rykoszetował i połączył z jego zbuntowaną magią. Działał, obracał się przeciwko tamtemu.

Mężczyzna się wyprostował i zadygotał ze zgrozy. Otworzył usta, na chudej twarzy odmalowała się skrajna rozpacz. Przejrzyste niebieskie oczy zaczęły się robić białe, szata sztywniała, obracając się w kamień.

– Jestem naprawiaczem! – wykrzyknął. – Jestem sędzią. Widzę winę...

Nicci z trzaskiem wyrwała się z kamienia, wykorzystując swoją moc. Nathanowi wzrok się wyostrzał, w miarę jak kamień osypywał się z jego ciała niczym piasek w klepsydrze. Jego tkanki zmiękły, krew znowu krążyła.

Nieokiełznana magia Nathana smagała, wiła się i skręcała. Naprawiacz szarpał się i wrzeszczał, stopniowo kamieniejąc, jego szata zmieniała się w marmur.

– Jesteś *winny* – powiedział do naprawiacza, kiedy tamten jeszcze mógł oddychać. – Twoją zbrodnią jest to, że skazałeś tych wszystkich ludzi.

Kamień przepoił złego czarodzieja, wniknął w jego skórę, unieruchomił powieki szeroko otwartych oczu.

– Nie! – To nie było zaprzeczenie, lecz groza zrozumienia. – Cóż uczyniłem? – Jego głos stawał się zgrzytliwszy, w miarę jak krtań i pierś

twardniały, tak że nie mógł już oddychać. – Ci wszyscy ludzie! – Kamień unieruchomił mu twarz w wyrazie niezmiernego żalu i wstydu. Otworzył usta i wykrztusił po raz ostatni: – Nie!

Stał się najnowszym posągiem w mieście Lockridge.

Nathan, patrząc na ten posąg, poczuł, że jego rozszalała magia się rozprasza. O, tak po prostu już jej nie wyczuwał. Wciągnął głęboko powietrze i poczuł, że znowu żyje.

## ROZDZIAŁ 33

Kiedy naprawiacz obrócił się w kamień, jego zaklęcie przestało działać w całym mieście.

Nicci wyprostowała się i zrobiła głęboki wydech, na poły oczekując, że zobaczy wydostający się z płuc pył. Jasne włosy i skóra szyi znowu były miękkie, czarna tkanina sukni spływała w fałdach. Uniosła ręce i spojrzała na dłonie.

Dzięki swojej determinacji złamała czar skamienienia, lecz Nathan poradził sobie z o wiele potężniejszym morderczym uściskiem czarodzieja. Teraz poruszał rękami i tupał, żeby przywrócić krążenie krwi. Potrząsał głową zdumiony.

Posąg Bannona, zastygłego w rozpaczliwym poczuciu winy, powoli odyskiwał kolory. Różową skórę, rdzawe piegi i rude włosy. Chłopak, zamiast się cieszyć, że żyje, osunął się na kolana i żałośnie zawodził. Ramiona mu się trzęsły, pochylił głowę i szlochał.

Nathan próbował pocieszać zrozpaczonego młodzieńca, poklepując go po ramieniu, ale nic nie mówił. Nicci podeszła do nich i przemówiła łagodnie:

– Teraz jesteśmy bezpieczni. Czegokolwiek doświadczyłeś, stało się to w przeszłości. Przeżył to ten, kim *wtedy byłeś*, a nie ten, kim jesteś. Nie powinienes się winić za to, kim jesteś. – Podejrzewała, że nadal dręczy się tym, iż zostawił przyjaciela w rękach handlarzy niewolników.

Ale czemu, zamieniając się w kamień, wykrztusił: „kociątka”?

Na ulicach i na rynku cichy trzask powoli narastał w dudnienie, któremu towarzyszyły szmery przypominające zdumione szepty. Nicci się odwróciła i patrzyła, jak mieszkańcy, zamienieni niegdyś w kamień przez okrutny osąd

naprawiacza, jeden po drugim zaczynają się poruszać.

Kiedy udręczone posągi znów stały się ludźmi, wciąż przytłaczały ich koszmarne wspomnienia, które tak długo przeżywali. Rozległy się szlochy i lamenty, narastając do wycia potępieńców. Ludzie byli zbyt przytłoczeni, żeby się rozejrzeć i uświadomić sobie, że zostali uwolnieni spod straszliwego czaru.

Bannon wreszcie wstał. Oczy miał czerwone i zapuchnięte, twarz poznaczoną smugami łez.

– Już jesteśmy bezpieczni – powtórzył słowa Nicci, jakby pocieszał mieszkańców. – Wszystko będzie dobrze.

Niektórzy go usłyszeli, lecz większość była za bardzo zszokowana, żeby zrozumieć. Mężowie i żony odnajdywali się i obejmowali, przywierając do siebie w rozpaczliwym uścisku. Zawodzące dzieci biegły ku rodzicom, żeby znaleźć pocieszenie w kochającej rodzinie.

Zdezorientowani mieszkańcy w końcu zauważyli, że jest wśród nich troje obcych. Jeden z mężczyzn przedstawił się jako Raymond Barre, burmistrz.

– Mówię w imieniu mieszkańców miasta. – Popatrzył kolejno na Nicci, Nathana i Bannona. – Czy to wy nas ocaliliście?

– Tak – odrzekł Nathan. – A jesteśmy zwykłymi podróżnymi szukającymi ciepłego posiłku i wskazówek co do dalszej drogi.

Coraz gniewniejsi mieszkańcy zauważyli groteskowy posąg przerażonego naprawiacza. Nicci wskazała tę niegodną postać.

– Społeczność musi przestrzegać prawa, lecz nie będzie sprawiedliwości, jeśli człowiek bez sumienia będzie ferować wyroki bez współczucia i miłosierdzia.

Bannon powiedział:

– Skoro na każdym z nas ciąży wina, i tak dręczy nas co dzień. Jak

mógłbym kiedykolwiek zapomnieć...

– Nikt z nas nie zapomni – stwierdził burmistrz. – I nikt nie zapomni o was, cudzoziemcy. Ocaliliście nam życie.

Podeszli inni mieszkańcy. Karczmarz miał na sobie fartuch poplamiony strawą, którą podawał nie wiadomo ile lat temu. Rolnicy i sklepikarze patrzyli na miasto będące w opłakanym stanie, na swoje rozpadające się kramy, resztki owoców i warzyw, na zniszczone okiennice gospody, zapadnięty dach stajni, zbutwiałe siano w stodole.

– Jak długo to trwało? – zapytała kobieta z kosmykami ciemnobrązowych włosów wysuwającymi się z koka. Wytarła dłonie o spódnice. – Ostatnie, co pamiętam, to że była wiosna. Teraz chyba mamy lato.

– Ale lato którego roku? – spytał kowal. Wskazał zawiasy wrót rozpadającej się stodoły. – Patrzcie na tę rdzę.

Nathan powiedział im, który jest rok wedle d'harańskiej rachuby czasu, lecz ci ludzie, tak daleko na południu Starego Świata, nadal posługiwali się kalendarzem jakiegoś starożytnego imperatora, toteż data podana przez czarodzieja nic im nie mówiła. Nawet nie pamiętali Jaganga czy Imperialnego Ładu.

Burmistrz, chociaż równie wstrząśnięty jak inni, zwołał wszystkich na rynek, gdzie Nicci i Nathan wyjaśniali, co się stało. Każdy pamiętał swój kontakt z naprawiaczem, a większość przypominała sobie wcześniejsze czasy, kiedy to podróżujący sędzia pojawiał się, żeby sądzić ich drobne występki i wydawać rozsądne wyroki – zanim magia go opętała i amulet oraz własny dar zmieniły go w potwora.

Jedna z matek, trzymając za ręce syna i córkę, podeszła do kamiennego posągu złego człowieka. Przez chwilę stała w milczeniu, a potem splunęła na biały marmur. Inni zrobili to samo.

Karczmarz zaproponował, żeby wzięli młoty i dłuta od kowala i rozbili posąg na kawałki.

Nicci potaknęła.

– Nie przeszkodzę wam w tym.

Mieszkańcy, ponury, gniewny tłum, tłukli i walili w posąg, póki ze znienawidzonego naprawiacza nie zostały jedynie odłamki i pył. Stojąc nad tą stertą gruzu, ludzie byli wykończeni, lecz nie usatysfakcjonowani.

Burmistrz powiedział:

– Musimy wrócić do domów i odbudować nasze życie. Posprzątać, zająć się ogrodami. Znaleźć wszystkie ofiary tego człowieka i wyjaśnić im, co się stało.

Nathan dodał:

– Magia się zmieniła i świat się zmienił. Nawet nocne niebo się zmieniło. Kiedy zapadnie noc, przekonacie się, że konstelacje są inne niż te, które pamiętacie. Jeszcze nie wiemy wszystkiego o tych zmianach.

Odezwała się Nicci:

– Lord Rahl, władca imperium D’Hary, pokonał imperatorów ciemnących tak Stary, jak i Nowy Świat. Zjawiliśmy się tutaj, żeby zobaczyć jego nowe ziemie i powiedzieć wam, że ludzie mogą być wolni i żyć w pokoju. Uwolniliśmy was, zniszczyliśmy naprawiacza. – Popatrzyła na kupkę gruzu i wyłowiła gładki wygięty odłamek, który mógł być uchem. – Ten człowiek był takim monstrum jak te, z którymi walczy lord Rahl. – Wyprostowała ramiona. – I my się mu przeciwstawiliśmy.

Ludzie mruzcili pod nosem, przyswajając te wieści, zaniepokojony Nathan zaś potrząsał głową. Powiedział do Nicci:

– Przez wiele stuleci studiowałem magię i pamiętam opowieści o tym, że pradawni czarodzieje z Ildakaru potrafili przemieniać ludzi w kamień.

Niektórzy nawet zwali siebie *rzeźbiarzami*. Robili tak nie tylko ze skazanymi przestępcami, ale i z wojownikami pokonanymi na arenie. Takie posągi stanowiły dekorację. – Musnął palcami gładki podbródek. – Ten rodzaj magii to coś więcej niż transmutacja ciała w marmur. To inna forma magii, pozwalająca spowolnić i zatrzymać czas, petryfikująca ciało tak, jakby minęły wieki. Muszę to przemyśleć.

Nicci i jej towarzysze dowiedzieli się, że w górach jest więcej miast połączonych siecią dróg i że w wielu pojawiał się ten sam sędzia. Czarodziejka lękała się, że spetryfikował też tamtejszych mieszkańców – lecz czar został złamany, więc i oni wrócili do życia.

Być może przebudziła się cała ta część Starego Świata...

– Ocalasz świat, jak to przepowiedziała wiedźma, czarodziejko – zażartował Nathan.

– I ty miałeś w tym swój udział – odparła.

Wzruszył ramionami.

– Dobry uczynek to dobry uczynek, bez względu na to, czyja jest to zasługa. Odszedłem z Pałacu Proroków, żeby pomagać ludziom, i cieszę się, mogąc to robić.

Nicci nie mogła się z tym nie zgodzić.

Podenerwowani mieszkańcy Lockridge rozeszli się, żeby obejrzeć niszczone domy i odzyskać swoje życie. Nicci, Nathan i Bannon dołączyli do karczmarza i jego żony, żeby zjeść rzadką owsiankę przyrządzoną z ziarna, które jakimś cudem nie spleśniało.

Bannon wciąż był nad wyraz udręczony i bezskutecznie próbował odzyskać spokój i radość. Był rozdrażniony, zamyślony i wreszcie – kiedy zostali sami w jednej z zakurzonych izb gospody – Nicci zapytała:

– Powiedziałabym, że nadal cierpisz z powodu jakiegoś przewinienia. Co



widziałeś, kiedy uwiążeś w kamieniu? Zaklęcie już zostało złamane.

– Nic mi nie będzie – odpowiedział schrypniętym głosem.

Nie dała się zbyć.

– Minę masz jeszcze bardziej udręczoną niż wtedy, kiedy opowiadałeś nam o Ianie.

– Tak, to było gorsze.

Nicci czekała, zachęcała go swoją milczącą obecnością i wreszcie wybuchnęła:

– To były kociątka! Pamiętam człowieka z wyspy. Utopił kociątka w worku! – Odwrócił od niej wzrok i dopiero wtedy podjął: – Próbowałem go powstrzymać, ale wrzucił kociaki do strumienia i utonęły. Chciałem je uratować, ale nie mogłem. Miauczały i piszczwały.

Nicci pomyślała o wszystkich okropnościach, jakich sama doświadczyła, o poczuciu winy, jakie udźwignęła i odrzuciła, o krwi, jaką przelała, o życiach, które zniszczyła.

– To twój największy występki? – Nie wierzyła mu. – Większy żal niż po tym, co spotkało Iana?

Orzechowe oczy błysnęły gniewnie, gdy gwałtownie się ku niej odwrócił.

– Kim teraz jesteś? Naprawiaczką? Nie do *ciebie* należy ocenianie mojej winy! Nie masz pojęcia, jak mi to złamało serce, co czułem. – Ruszył do drzwi, chciał znaleźć wolną izbę, gdzie mógłby się przespać. – Daj mi spokój. Nie chcę o tym myśleć. – Odgrodził się drzwiami od jej pytań.

Nicci patrzyła za nim, starając się ocenić prawdziwość jego słów, ale w oczach Bannona, w jego minie był jakiś fałsz. Ukrywał prawdę, ale postanowiła teraz go nie naciskać, chociaż musiała się tego dowiedzieć wcześniej czy później.

Wszyscy w Lockridge przeszli ciężką próbę. Zmęczona, poszła poszukać

sobie łóżka. Miała nadzieję, że spokojnie się wyśpią, nie niepokojeni przez koszmary.

## ROZDZIAŁ 34

Zostawiając mieszkańców Lockridge, żeby na nowo posklejali swoje życie, Nicci, Nathan i Bannon ruszyli starą drogą wijącą się w głąb gór. Burmistrz potwierdził, że Kol Adair leży za górami i wielką doliną. Przejścia z naprawiaczem sprawiły, że Nathan był jeszcze bardziej zdeterminowany, by stać się dawnym sobą, wszelkimi możliwymi sposobami.

Niegdyś szeroki trakt, którym podróżowały kupieckie karawany, teraz zarósł, od dawna nieużywany. Ciemne sosny i grube dęby wdarły się na niego, żeby zatrzeć ślady pozostawione przez ludzi.

Bannon był ogromnie przybity, okazywał niewielkie zainteresowanie dalszą podróżą. Zniknęły jego chęć rozmowy i optymizm. Wciąż dręczyło go to, co naprawiacz kazał mu znowu zobaczyć i doświadczyć. Nicci dawno temu stawiała czoło mrocznej przeszłości i uporała się z poczuciem winy, ale młody człowiek miał o wiele mniejsze doświadczenie w przemienianiu otwartych, krwawiących ran w twarde blizny.

Nathan próbował go rozruszać.

– Szybko maszerujemy. Chciałbyś się na chwilę zatrzymać, chłopcze? Poćwiczyć walkę na miecze?

Bannon odpowiedział z niezwykłym jak na niego brakiem entuzjazmu:

– Nie, dziękuję. Już się nawalczyłem z selka i handlarzami niewolników.

– To prawda – odparł czarodziej z udawaną wesołością. – Ale ćwiczebna walka może być niezłą zabawą.

Nicci ominęła omszały głąz i obejrzała się przez ramię.

– Może on uważa, że zabawne jest prawdziwe zabijanie, czarodzieju.

Bannona dotknęło to do żywego.

– Robiłem, co musiałem. Ludzie potrzebują obrony. Można nie zdążyć na czas, ale skoro już się zdąży, trzeba dać z siebie wszystko.

Dotarli do wartkiego strumienia pieniącego się na kamieniach. Nicci uniosła suknię i przeszła przez płytką wodę, nie przejmując się, że zamoczy buty. Za to Nathan ruszył w dół nurtu i znalazł zwalony pień mogący posłużyć za most. Ostrożnie przeszedł na drugi brzeg i odwrócił się ku Bannonowi, który podążał za nim, ledwo patrząc pod nogi.

Nicci obserwowała chłopaka, coraz bardziej zaniepokojona jego nasilającą się wewnętrzną męczarnią. Osoba tak apatyczna, pochłonięta swoimi myślami mogłaby stać się kulą u nogi, gdyby coś im zagrażało – a na to nie mogła pozwolić.

Stała przed Bannonem, kiedy zszedł z pnia na brzeg porośnięty miękkim mchem.

– Musimy się tym zająć, Bannonie Farmerze. Wrzód trzeba przeciąć, zanim podejdzie ropa. Wiem, że nie mówisz prawdy, a przynajmniej całej prawdy.

Chłopak natychmiast stał się czujny, przez twarz przemknął mu cień strachu. Cofnął się.

– Prawdy o czym?

– Co ukazał ci naprawiacz? Jakie poczucie winy cię zżera?

– Już powiedziałem. – Odsunął się, jakby chciał uciec, zbladł. – Nie powstrzymałem tamtego przed utopieniem kociąt. Słodka Matko Morza, wiem, że dla ciebie to może być dziecinada, ale nie tobie osądzać, co to dla mnie znaczy!

– Nie jestem twoim sędzią ani nie chcę nim być – odpowiedziała Nicci. – Lecz muszę zrozumieć.

Wtrącił się Nathan, podchodząc ku nim:

– Chyba nie sądzisz, że uwierzemy, iż naprawiacz uznał utopienie kociąt za bardziej obciążające niż pozostawienie przyjaciela w rękach handlarzy niewolników? – Uśmiechnął się ze smutkiem, starając się okazać współczucie. – Chociaż, prawdę mówiąc, lubię kocięta. Siostry w Pałacu Proroków pozwoliły mi kiedyś mieć kotka, o... ze czterysta lat temu. Wychowałem go i kochałem, ale sobie poszedł. Zakładam, że radośnie polował w pałacu na myszy i szczury. To ogromna budowla. To było wieki temu... – Jego słowa przeszły w smutne westchnienie. – Teraz już nie żyje. Od dawna o tym nie myślałem.

Nicci próbowała złagodzić swój surowy ton, ale z marnym skutkiem.

– Jesteś naszym towarzyszem, Bannonie. Byłeś przestępcą? Nie zamierzam cię karać, ale muszę wiedzieć. W obecnym stanie jesteś zagrożeniem dla naszej misji i naszego bezpieczeństwa.

Wybuchnął:

– Nie jestem przestępcą!

Odszedł brzegiem strumienia. Nicci chciała pójść za nim, ale Nathan położył jej dłoń na ramieniu i lekko potrząsnął głową.

Zawołała za chłopakiem:

– Cokolwiek to było, nie będę cię osądzać. Całymi miesiącami mogłabym wymieniać ludzi, których skrzywdziłam. Kiedyś upiekłam żywcem jednego z moich generałów na placu w miasteczku, żeby pokazać mieszkańcom, jaka potrafię być bezlitosna.

Bannon odwrócił się i zagapił na nią, tak zdumiony, jak i pełen odrazy.

Skrzyżowała ramiona na piersi.

– Nie udało ci się powstrzymać kogoś przed utopieniem kociąt. To może być prawda. Ale nie wierzę, że naprawiacz skazałby cię za to na nieustającą karę.

Bannon ochlapał twarz zimną wodą, potem zaczął się wspinać na wzgórze przez łąkę lilii.

– To długa historia – westchnął, nie patrząc na Nicci.

Odezwał się stojący z tyłu Nathan:

– Chyba może poczekać do wieczora, kiedy znajdziemy coś do jedzenia i rozbijemy obóz.

Bannon wypłoszył z zarośli parę kuropatw. Tłuściutkie ptaki zaczyrkały, szybko przebiegły dystans paru ludzkich kroków i poderwały się do lotu.

Nicci gestem dłoni uwolniła magię, zatrzymała serca obu kuropatwom – spadły martwe na ziemię.

– Oto nasza kolacja, a to miejsce jest równie dobre na obóz jak każde inne. Świeża woda ze strumienia, drewno na ognisko i czas na opowieść.

Bannon był przybity. Bez słowa zaczął zbierać suche gałęzie, Nathan zaś sprawił ptaki. Nicci wykorzystała dar do rozpalenia ognia. Strawa się piekła, a czarodziejka przyglądała się minie Bannona przekopującego się przez wspomnienia niczym górnik przerzucający tony skał, przesiewający gruz w poszukiwaniu cennego kruszcu.

Wreszcie, kiedy już oskubał do czysta udko kuropatwy, poszedł do strumienia się umyć. Po powrocie zadarł brodę i przełknął ślinę. Nicci wiedziała, że jest gotowy.

– Na wyspie – zaczął i głos mu się załamał, wziął głęboki oddech. – W domu... Nie dlatego uciekłem, że moje życie było zbyt spokojne i nudne. To nie była sielanka.

– Życie rzadko jest sielanką, chłopcze – odezwał się Nathan.

Nicci była bardziej stanowcza.

– *Nigdy* nie jest.

– Moi rodzice nie byli tacy, jak mówiłem. No, mama była. Kochałem ją,

a ona mnie, ale ojciec... ojciec był... – Wodził oczami, jakby szukał odpowiedniego słowa i odwagi, by go użyć. – Był nikczemnikiem. Zasługiwał na potępienie. – Bannon ugryzł się w język, jakby się wystraszył, że duchy mogą go pokarać. Potem znów przybrał tę dziwną minę, jakby starał się przemalować wspomnienia. – Matka miała pręgowaną kotkę, którą bardzo kochała. Kotka zwykle sypiała w pobliżu ognia, ale wolała zwinąć się w kłębek na kolanach mamy. – Przymrużył oczy. – Ojciec był zapijaczonym gburem, brutalem. Jeśli miał nędzne życie, to sam był sobie winien. Uprzykrzał życie nam, bo chciał na nas zwalić winę. Bił mnie, czasem kijem, ale zwykle pięściami. Uważam, że to sprawiało mu radość. Ale zawsze byłem drugi na liście. Byłem szybszy od niego, a on nigdy nie lubił się za bardzo wysilać, toteż bił mamę zamiast mnie. Dopadał ją w domu. Tłukł, ilekroć przegrał w karczmie albo kiedy skończyły mu się pieniądze i nie miał za co się upić. Bo nie smakowało mu jedzenie, które przygotowała, lub za to, że ugotowała za mało. Sprawiał, że krzyczała, i wtedy karał ją za to, że krzyczy, i za to, że robi to tak głośno, że sąsiedzi mogą usłyszeć. Chociaż wszyscy wiedzieli, że maltretuje ją od lat. Ale lubił, jak krzyczała, i jeśli krzyczała za mało, to bił ją mocniej. Więc musiała kroczyć tą wąską ścieżką grozy i cierpienia, żeby przetrwać. Żebyśmy oboje mogli przetrwać. – Bannon pochylił głowę. – Kiedy byłem dzieckiem, nie miałem siły, żeby stawić mu czoło. A kiedy podrosłem i potrafiłbym się obronić, to zwyczajnie nie mogłem, bo wpoił mi, że mam się go bać. – Usiadł ciężko na zwałonym pniu, tak jakby upadł. – Kotka była największym skarbem mamy. Kiedy ojca nie było, płakała cicho, głaszcząc kotkę leżącą na jej kolanach. Zdawało się, że kotka wchłania ból i smutek mamy. To działało na nią lepiej niż cokolwiek innego. To nie była magia, ale jakiś rodzaj uzdrawiania.

Nathan skończył jeść i wyrzucił kości. Pochylił się, bacznie słuchając. Nicci się nie poruszyła. Obserwowała minę chłopaka, jego nerwowe ruchy

i chłonęła każde słowo.

– Kotka urodziła pięć kociąt, miauczających i bezradnych, milutkich. Ale umarła przy tym. Kiedy znaleźliśmy je rankiem w kącie, próbowały ssać martwą matkę, ogrzać się przy jej zimnym, sztywnym ciele. Tak żałośnie miauczały. – Zacisnął pięści, pogrążył się we wspomnieniach. – Kiedy mama podniosła nieżywą kotkę, zdawało się, że coś w niej pękło.

– Ile miałaś wtedy lat, chłopcze? – zapytał Nathan.

Bannon popatrzył na starego czarodzieja, jakby próbował sformułować odpowiedź.

– To było mniej niż rok temu.

Nicci była zaskoczona.

– Chciałem ocalić kociątka, przez wzgląd na mamę. Były takie maleńkie, miały mięciutką sierść i ostre pazurki. Kręciły się, kiedy trzymałem je na rękach. Musieliśmy je karmić mlekiem z naparstka. Kociaki były dla nas pociechą... ale nie zdążyliśmy nadać im imion, ani jednemu, bo ojciec je znalazł. Pewnego wieczoru wrócił do domu wściekły. Nie mam pojęcia, co go tak rozwścieczyło. Powody i tak nigdy nie miały znaczenia: mama i ja nie musieliśmy ich znać. Lecz w jakimś mrocznym zakątku jego przesyconego alkoholem umysłu tkwiło przekonanie, że to my jesteśmy winni. Wiedział, jak nas zranić, o, tak, wiedział... Wpadł do domu, chwycił wiszący na ścianie worek z cebulą. Wysypał cebulę na podłogę. Chociaż próbowaliśmy nie dopuścić go do kociąt, złapał je, jedno po drugim, i wepchnął do worka. Miauczały i miauczały, wołając o pomoc, ale nic nie mogliśmy zrobić. Nie pozwoliłby nam. – Twarz Bannona spochmurniała, nawet nie spojrzął na słuchaczy. – Rzuciłem się na ojca, ale przyłożył mi na odlew. Mama go błagała, ale on chciał wykończyć kociaki. Wiedział, że to sprawi jej większy ból niż jego pięść. *Ich matka nie żyje, warknął, i nie chcę, żebyś marnowała moje mleko.* – Mówiąc to, Bannon prychnął z oburzeniem. – „Marnowanie”



paru naparstków mleka to była taka bzdura, że nie znalazłem odpowiedzi. Potem otworzył drzwi i wypadł w noc. Mama zawodziła i szlochała. Chciałem pobiec za nim i dać mu nauczkę, ale zostałem, żeby pocieszać mamę. Objęła mnie i kołysaliśmy się razem. Płakała na moim ramieniu. Ojciec zabrał to, co kochała, ostatnią pamiątkę po jej ulubionej kotce. –

Z trudem przełknął ślinę. – Postanowiłem coś zrobić, natychmiast. Wiedziałem, dokąd idzie. W pobliżu płynął głęboki strumień, chciał tam wrzucić worek. Kociaki się potopią, chyba że je ocalę. Wiedziałem, że dostanę lanie bez względu na to, co zrobię, ale już wcześniej obrywałem, a nie miałem okazji uratować tego, co kochałem, co kochała mama. I wybiegłem w noc za ojcem. Chciałem go gonić, krzycząc i przeklinając, chciałem go nazwać potworem i łotrem. Ale miałem dość oleju w głowie, żeby milczeć. Wolałem, żeby nie wiedział, że nadchodzę. Noc była ciemna, a on tak pijany, że nie widział nic wokół siebie. Nawet mu się nie śniło, że mógłbym stawić mu czoło. Nigdy wcześniej tego nie zrobiłem. Dotarł nad brzeg strumienia, widziałem, jak worek podryguje w jego łapie. Nie napawał się tym, chyba nawet nie myślał o tym, co robi. Bez skrępowań rzucił zawiązany worek w szybki nurt. Wcześniej pewnie obciążył go kamieniami i po paru chwilach worek poszedł pod wodę. Byłem przekonany, że słyszę lament kociąt. Słodka Matko Morza... – Głos mu się łamał. – Nie miałem dużo czasu. Kociątka lada chwila się potopią. Nie mogłem pozwolić, żeby ojciec mnie złapał, a gdybym podszedł za blisko, toby mnie chwycił tymi wstrętnymi łapskami. Szarpałby mnie za koszulę albo za ramię i bił, póki bym nie upadł. Mógłby mi nawet połamać kości, i co gorsza, nie pozwoliłby mi uratować kociąt! Przez straszną minutę kryłem się w mroku. Serce mi waliło. Nie został, żeby się nacieszyć swoim paskudnym uczynkiem. W końcu odszedł w noc. Najszybciej jak się dało pogałem z biegiem strumienia, potykając się na kamieniach i zawadzając o niskie wierzby.

Staralem się coś dostrzec w słabej księżycowej poświacie, wypatrywałem podskakującego na wodzie worka. Szukałem po omacku przy brzegach, rozchlapując wodę, potykając się, ale musiałem się spieszyć. Po wiosennych deszczach woda przybrała i prąd był szybszy, niż zapamiętałem. Nie wiedziałem, jak daleko zniosło kocięta, ale w zakolu mignął mi worek: podskoczył na wodzie i znowu poszedł na dno. Potknąłem się na omszałych kamieniach i śliskim mule i wpadłem do wody, ale się nie przejąłem. Wszedłem głębiej i brnąłem, rozgarniając wodę rękami, starając się chwycić worek. Złapałem wodorosty, skaleczyłem się o zaplątaną w nie gałąź, ale worek popłynął dalej, pod wodą. Już nie słyszałem kociąt i wiedziałem, że jest za późno, lecz się nie poddawałem. Brnąłem dalej, macając rękami, aż w końcu złapałem worek, zacisnąłem palce na szorstkim płótnie. Miałem je!

Śmiejąc się i płacząc, wyciągnąłem worek i podniosłem wysoko. Był nasiąknięty wodą, ciężki. Spływały z niego strumyczki. Dobrnąłem do brzegu i wygramoliłem się. Zdrętwiałymi, krwawiącymi palcami nie mogłem rozsypać węzła. Szarpałem paznokciami i w końcu rozdarłem płótno. Wylało się jeszcze więcej wody i wysypałem kocięta na ziemię. Pamiętam, że powtarzałem: „NIE NIE NIE!”. Biedne, delikatne kociaki wypadły śliskie i mokre jak ryby z sieci. Nie ruszały się. Ani jedno. Podniosłem je, delikatnie uciskałem, dmuchałem w ich maleńkie pyszczki, robiłem wszystko, żeby zareagowały. Ich malutkie języczki zwisały. Nie mogłem przestać myśleć o tym, jak miauczały o pomoc, usiłowały oddychać pod zimną wodą. Były takie malutkie i nawet nie znały swojej mamy, więc wiedziałem, że wołały mnie i moją mamę. A my ich nie uratowaliśmy, my ich nie uratowaliśmy! – Bannon przygarbił ramiona i zaszlochał. – Biegłem najszybciej jak zdołałem. Próbowałem wyciągnąć worek! Naprawdę próbowałem! Ale wszystkie kocięta były martwe. Wszystkie pięć.

Nathan słuchał ze współczuciem. Gładził brodę, siedząc na kamieniu przy

ognisku.

– Zrobiłeś, co w twojej mocy. Więcej nie mogłeś. Nie możesz się stale o to obwiniać. To cię zabije.

Bannon szlochał, a Nicci bacznie go obserwowwała. Powiedziała cicho:

– To nie o to się obwinia.

Stary czarodziej się zdziwił, ale Bannon popatrzył na Nicci zadziwiająco *starymi* oczami.

– Nie – powiedział schrypniętym głosem. – Wcale nie o to.

Splótł palce, potem je rozplótł i wreszcie znalazł odwagę, żeby podjąć opowieść:

– W miękkiej ziemi pod wierzbą w pobliżu strumienia rękami wykopałem dołek. Zakopałem kocięta, przykryte mokrym workiem niby kocem, który miałby je ogrzać w zimną noc. Na grobie ułożyłem kamienie, żebym mógł pokazać mamie, gdzie je pochowałem. Absolutnie nie chciałem, żeby ojciec się dowiedział, co zrobiłem. Długo tam zostałem, płacząc, a potem wróciłem do domu. Wiedziałem, że nie ukryję przed ojcem łez ani mokrego ubrania. Pewnie mnie za to zbije, a może tylko popatrzy z wrednym zadowoleniem. Skoro kocięta już nie żyły, nie sądziłem, że mógłby mnie jeszcze bardziej skrzywdzić, no i byłem zmęczony bieganiem. – Głośno przełknął ślinę. – Ale wróciłem do domu i zastałem coś jeszcze gorszego.

Nicci poczuła, jak tężeją jej mięśnie ramion, zebrała się w sobie. Bannon odezwał się głuchym głosem, jakby to wspomnienie nie budziło już w nim żadnych uczuć:

– Kiedy utopił kocięta i wrócił do chaty, mama na niego czekała. Miała *dość*. Po całym tym bólu, cierpieniu i strachu, jakich od niego doznała, zabicie tych biednych kociąt było kroplą, która przepełniła czarę. Kiedy wtoczył się przez drzwi, mama już na niego czekała. Na widok tej sceny

domyśliłem się, co się stało. Jak tylko wszedł do domu, chwyciła dębowe stylisko siekiery niczym maczugę. Zaatakowała ojca, uderzyła go w głowę, krzyczała na niego. Prawie jej się udało, ale cios był za słaby: wystarczył, żeby poląła się krew, może pękła skóra... a na pewno, żeby ojciec się wściekł. Bezskutecznie usiłowała go zranić, może nawet zabić. Ale on chwycił stylisko, wyrwał jej z rąk, odwrócił... – Bannon znowu przełknął ślinę. – I pobił ją na śmierć. – Mocno zacisnął powieki. – Kiedy wróciłem, już nie żyła. Tak jej zmasakrował twarz, że nie mogłem jej rozpoznać, a nawet rozróżnić poszczególnych części. Z lewego oka została miazga, odłamki rozłupanej czaszki odsłaniały mózg. Usta były poszarpaną dziurą, zęby leżały na podłodze, niektóre wbite w twarz sterczały niczym upiorne ozdoby... – Jego głos stał się cichszy, bardziej drżący. – Ojciec ruszył na mnie z zakrwawioną siekierą, a ja nie miałem czym się bronić. Ale i tak rzuciłem się na niego, wrzeszcząc. Ja... ja nawet tego nie pamiętam. Uderzyłem go, drapałem, waliłem w pierś. Tym razem sąsiedzi usłyszeli krzyki mamy, okropniejsze niż kiedykolwiek przedtem, i wpadli do naszej chaty chwilę po mnie. Uratowali mnie, bo inaczej ojciec na pewno i mnie by zabił. Krzyczałem, usiłowałem zrobić mu krzywdę. Ale odciągnęli mnie, a jego obezwładnili. Wtedy już uszła z niego większość pary. Miał zakrwawioną twarz, ubranie, rękę. Trochę krwi wypłynęło z rany, którą zadała mu mama, ale większość należała do niej. Ktoś podniósł alarm i jedna z kobiet posłała syna do miasta po magistrata. – Bannon oddychał szybko i wyłamywał sobie palce, wpatrując się w ognisko jak zagubiona dusza, zanim mógł opowiadać dalej. Jakiś nocny ptak zakrzyczał i poderwał się do lotu z sosny. – Nie mogłem ocalić kociąt. Nie mogłem powstrzymać ojca przed ich utopieniem, ale i tak za nim pobiegłem. Brodziłem w strumieniu i próbowałem pochwycić worek, zanim będzie za późno. Ale zawsze wiedziałem, że będzie za późno, a kiedy kociaki były martwe, zmarnowałem

cenny czas na ich pogrzebanie i oplakiwanie... a powinienem być w domu i ocalić mamę. – Popatrzył na słuchaczy i udręka w jego orzechowych oczach poruszyła nawet serce Nicci. – Gdybym został z mamą, może zdołałbym ją obronić. Byłbym na miejscu, gdybym nie pogonił za kociętami. Stawiłbym mu czoło. Uratowałbym ją. Obydwoje byśmy się mu przeciwstawili. Jakoś byśmy go przepędzili. Po tej nocy ojciec już nigdy by mnie nie skrzywdził. Ani jej. Ale ja pobiegłem ratować kocięta. Zostawiłem mamę i sama musiała walczyć z tym potworem. – Bannon znowu wstał, otrzepał spodnie. Zakończył, jakby po prostu składał raport: – Zostałem na Chiriyi na tyle długo, żeby zobaczyć, jak ojca wieszają za morderstwo. Miałem już wtedy trochę grosza, a mieszkańcy ze współczucia dali mi pieniądze na życie. Mogłem mieć chatkę, założyć rodzinę, pracować na polach kapusty. Ale dom za bardzo czuć było krwią, czaiły się w nim koszmary, nic mnie nie trzymało na wyspie. Więc zaokrętowałem się na następny statek, który wpłynął do naszego małego portu, na *Tnącego Fale*. Opuściłem rodzinne strony, nie zamierzając nigdy wrócić. Chciałem znaleźć lepsze miejsce. Chciałem żyć tak, jak sobie wymarzyłem.

Nathan powiedział:

– I zmieniałeś wspomnienia, przesłaniając mrok fantazjami na temat tego, jakie twoim zdaniem powinno być życie.

– Kłamstwami – stwierdziła Nicci.

– Tak, to kłamstwa – przyznał Bannon. – Prawda... to trucizna. Ja tylko próbowałem wszystko poprawić. To źle?

Nicci była już przekonana, że Bannon Farmer ma dobre serce. W wyobraźni usiłował odmalowywać świat takim, jaki powinien być.

Kiedy czarodziej pokrzepiająco położył mu dłoń na ramieniu, chłopak drgnął, jakby nagle przypomniały mu się razy ojca. Nathan nie cofnął ręki, ale wzmocnił uścisk, jak kotwicę.

– Teraz jesteś z nami, chłopcze.

Bannon skinął głową, ocierając łzy wierzchem dłoni. Wyprostował ramiona i słabo się uśmiechnął.

– Fakt. To dobrze.

Nawet Nicci nagrodziła go pochwalnym skinieniem głowy.

– Możesz być twardszy, niż sądziłam.

## ROZDZIAŁ 35

Przez kolejne cztery dni, kiedy weszli w wyższe partie gór, padało i było mglisto. Rankami unosiła się mgła, za dnia mżyło, a nocami lało jak z cebra. Nisko wiszące chmury i gęste, ociekające deszczem drzewa nie pozwalały im oszacować odległości do znajdujących się przed nimi wysokich, poszarpanych szczytów. Nicci wiedziała jednak, że gdy dotrą na samą górę, spojrzą na porośniętą bujną roślinnością dolinę oddzielającą ich od Kol Adair.

Czarodziejka owinęła się szarą wełnianą peleryną, którą dostała od karczmarza w Lockridge, teraz przemoczoną i ciężką. Nathan i Bannon byli w równie opłakanym stanie, a przesiąknięty wilgocią mrok doskwierał im równie mocno jak małomówność chłopaka.

Piątej nocy po opuszczeniu Lockridge ulewa się wzmogła, a temperatura spadła i wilgotny ziąb przenikał do kości. Nicci się ucieszyła, bo znaleźli sosnę-strażniczkę, drzewo o kształcie ostrosłupa, z gęstymi, zwieszającymi się gałęziami. Podróżnym, którzy potrafili je rozpoznać, sosny-strażniczki dawały w lesie bezpieczne schronienie. Richard ją nauczył, jak ich wypatrywać i z nich korzystać.

Nicci potrząsnęła gałęziami o długich igłach, żeby się pozbyć kropli deszczu, potem je rozsunęła, odsłaniając ciemną i przytulną niszę.

– Prześpimy się tutaj.

Czarodziej znalazł sobie wygodne legowisko.

– Gdybyś tak jeszcze, czarodziejko, zapewniła trochę pieczonej baraniny i kufel piwa, to mielibyśmy wspaniałą noc.

Bannon siedział z kolanami podciągniętymi do piersi, dalej nic nie mówił.

– Ciesz się z tego, co już mamy – odpowiedziała Nicci.

Wykorzystała dar, żeby rozpalić w kryjówce mały ogienek, i cierpki dym z wilgotnego drewna wzbil się ponad gałęzie. Ponieważ byli przemoknięci i zmarznięci, użyła magii również do tego, żeby wysuszyć ich ubrania, tak że po raz pierwszy od wielu dni zrobiło im się ciepło i przyjemnie.

– Mogę pogodzić się z niewygodami, ale nie wtedy, kiedy nie muszę – wyjaśniła. – Musimy odzyskać siły i porządnie wypocząć. Nie wiadomo, jak daleka droga przed nami.

– Podróż to też część naszego planu – odezwał się Nathan. – Kiedy odnajdziemy Kol Adair i znowu zapanuję nad moim darem, pozostanie nam do zwiedzenia reszta Starego Świata.

– Pozwól nam dobrze wypocząć tej nocy i zwiedzaj świat jutro – odparła Nicci.

Zagotowali wodę na ogniu i przyrządzili wzmacniającą zupę z kaszy jęczmiennej, suszonego mięsa i przypraw. Potem zebrali trochę deszczówki do dzbanka, żeby zaparzyć herbatę.

Bannon owinał się suchą już peleryną i udawał, że zasypia, Nathan zaś patrzył na niego z troską.

– Przygody rzadko są takie, jak oczekujemy – powiedział cicho do Nicci, ale Bannon na pewno usłyszał, na co liczył czarodziej.

Następnego dnia, kiedy wędrowali w mżawce, brodząc przez kałuże i ślizgając się na błotnistej ścieżce, Nathan energicznie dobył miecza i natarł na Bannona.

– Idziesz jak oferma, chłopcze. Oczy wlepiasz w ziemię i nawet byś nie zauważył, że smok cię atakuje. – Uniósł miecz i zastąpił chłopakowi drogę. – Broń się, bo na nic się nam nie przydasz.



Bannon się wystraszył, ale czarodziej zamachnął się mieczem na tyle wolno, żeby speszony chłopak zdążył się uchylić.

– Przestań, Nathanie! Co robisz?!

– Budzę cię. – Czarodziej znowu się zamachnął, tym razem bardziej serio.

Bannon uskoczył. Niezdarnie wyciągnął Niepokonanego z pochwy.

– Nie chcę z tobą walczyć.

– Jaka szkoda – mruknął Nathan, doskakując do niego. – Kiedy żądni krwi wrogowie atakują, zawsze daję im poznać, że palę się do walki. To wszystko zmienia.

Znowu uderzył i Bannon sparował cios z głośnym szczękiem miecza. Wróble w gałęziach się spłoszyły i poderwały do lotu, żeby znaleźć bardziej suchy, bezpieczniejszy konar.

Nicci świetnie wiedziała, o co chodzi Nathanowi, ale pojmowała też stan Bannona. Po tym, jak zmusili go, żeby przyznał, iż jego sielskie życie było wymysłem, stał się jak okręt dryfujący bez żagla i steru. Ona poświęciła wiele lat na zbudowanie osłon wokół umysłu i serca, ale Bannon był jeszcze bardzo młody.

Nathan krzyknął radośnie, kiedy chłopak go zaatakował i jego miecz ze świstem ciął powietrze. Głośny szczęk stali poniósł się echem przez przesiąknięty wodą las.

– Tak lepiej, chłopcze! Chcę wiedzieć, że sobie poradzisz, kiedy znowu natrafimy na jakieś potwory.

Przedzierali się przez podszycie, a Nathan go ścigał. Bannon się odwrócił, żeby się bronić i kontratakować, i zmusił starego czarodzieja do cofnięcia się. Potem, w szaleńczej wymianie sztychów, nawzajem się zaszachowali. Bannon, teraz ożywiony, napierał na Nathana, który pośliznął się na błocie. Czarodziej padł na plecy, a wtedy i Bannon stracił równowagę i upadł obok

swojego mentora. Obaj się podnieśli, zasapani i roześmiani, upačkani błotem.

Nicci opatulona podróżną peleryną przyglądała im się, krzyżując ramiona na piersiach. Napotkała wzrok Nathana i lekko skinęła głową.

Czarodziej ujął rękę chłopaka.

– Drogie duchy, to nie powstrzymało deszczu, ale przynajmniej rozproszyło twój zły nastrój.

– Przepraszam – mruknął Bannon. – Kiedy chciałem opuścić wyspę, myślałem... może i uciekałem. Ale teraz dotarło do mnie, że wcale nie o to chodzi. – Zadarł upačkana błotem brodę. Deszcz wciąż padał, duże krople spływały z gęstych gałęzi niczym zimny prysznic. – Chcę iść z wami. Zawsze marzyłem o takiej podróży.

– Dobrze – powiedział Nathan. – No to w drogę.

Nicci ruszyła przodem.

– Jeśli zajdziemy wystarczająco daleko, to może zostawimy za sobą deszcz.

Im wyżej wchodzili, tym zimniejsze stawały się noce, ale w końcu przestało padać. Lało wystarczająco długo, żeby zmyć błoto z ich ubrań.

Dwa dni później niebo się przetarło i zrobiło błękitne, a Nicci podkręciła tempo, bo słońce dodało jej energii. Ścieżka stała się ledwo widoczną dróżką zwierzyny. Nie widzieli nikogo, odkąd opuścili Lockridge. Nicci rozumiała, dlaczego imperator Jagang nie wysyłał wojsk na te pustkowia, gdzie właściwie nie było kogo podbijać.

Czasem natrafiali na ruiny dużych kamiennych budowli, które już zarosły lasem. Czas zrobił swoje.

– Tysiące lat temu te ziemie musiały kwitnąć – odezwał się Nathan. – Kiedy pod koniec wojny czarodziejów powstała wielka bariera, Sulachan i jego następcy musieli się zwrócić na południe, skoro nie mogli dotrzeć do

Nowego Świata. Tu były miasta i drogi, kupieckie faktorie, górnicze osady, żyli wielcy wodzowie i rozgrywały się wojny domowe. Po prawdzie imperator Kurgan najeżdżał głównie południową część Starego Świata.

– To dlatego niewiele o nim wzmianek w naszej historii – stwierdziła Nicci. – Nie liczył się.

– Dla tutejszych ludzi liczył się wystarczająco – powiedział czarodziej.

– Nie widzę żadnych ludzi – wtrącił się Bannon.

– Wykorzystaj wyobraźnię. Byli tutaj.

Zatrzymali się przy omszałych fundamentach jakiejś budowli. Ruiny wskazywały, że niegdyś musiała to być spora forteca.

– Kiedy żyjesz w wieży, świat przechodzi obok ciebie – mówił, kiedy zostawiali za sobą gruzy. – Opowiadałem wam o tych szalonych czasach, kiedy próbowałem uciec z pałacu? Byłem młody i nie miałem pojęcia, jak szczelne jest moje więzienie.

Nicci zmarszczyła brwi.

– Siostry nigdy mi nie wspomniały, że próbowałeś się wydostać.

– Miałem zaledwie sto lat, właściwie chłopiec. Byłem zuchwały i chciałem zaryzykować... no i okropnie mi się tam nudziło. Tak, wolno mi było spacerować po komnatach wysokiej wieży, przeglądać wspaniałe księgi w bibliotece, ale takie rozrywki wystarczają chłopcu, zanim zacznie marzyć. Nie chciałem być ich udomowionym prorokiem, toteż przez wiele miesięcy układałem plany. O, tak, założyły mi żelazną obrozę i poprzez Rada'Han mogły kontrolować mnie i mój dar. – Wygiął usta w uśmiechku, odgarnął w tył proste siwe włosy. – Czyli musiałem ruszyć głową, a nie tylko rzucić zaklęcie albo dwa, żeby się wydostać. Zacząłem marudzić Siostram, że mi zimno, więc przyniosły mi więcej koców, a ja wykorzystałem odrobinę daru, żeby je spruć. Potem z nici uplotłem długą linę. Była na tyle mocna,

żeby mnie utrzymać. Cały tydzień byłem radosny i pilnie się uczyłem, żeby Siostry myślały, że jestem zadowolony i posłuszny. Którejś bezksiężycowej nocy poszedłem do jednej z najwyższej położonych komnat. Zabarykadowałem drzwi, wcześniej zapowiadając, że mam zamiar przez całą noc studiować księgi z zaklęciami. Byłem ciekawskim młodym człowiekiem, chciałem ukształtować i wzmocnić moją czarodziejską moc, chociaż wiedziałem, że nigdy mnie nie uwolnią. – Odruchowo potarł szyję, jakby wciąż czuł tam żelazną obrozę. – Bo prorok jest zbyt niebezpieczny. – Popatrzył na Bannona, upewniając się, że chłopak słucha. – Otworzyłem wysokie okno i mocno przywiązałem linę do kotwi. Nie mogłem użyć zaklęcia lewitacyjnego, toteż musiałem się uciec do bardziej tradycyjnych metod. Kiedy się wychyliłem i popatrzyłem w dół, odniosłem wrażenie, że mur sięga aż do zaświatów. – Spojrzał znowu na Bannona, unosząc brew. – Kiedy ktoś mieszka w zamkniętych komnatach o kamiennych ścianach, to trudno mu oszacować bezmiar nieba czy odległość do ziemi. Ale byłem zdecydowany. Obwiązałem się w pasie liną i zacząłem zjeżdżać po murze.

Nicci nie bardzo wierzyła w tę opowieść.

– Pałac Proroków jest chroniony przez strażę i osłony. Nikt nie mógłby ot, tak wyjść przez okno i uciec.

Nathan uniósł palec.

– A czemu twoim zdaniem Siostry dodały te wszystkie zaklęcia ochronne? Wtedy zakładały, że wystarczą osłony blokujące dolne drzwi. Nigdy nie przyszło im do głowy, że będę na tyle szalony, żeby wyleźć z najwyższej wieży. – Odkaslnął. – Ważne, że dyndałem na linie przy ścianie. Dodam, że to był śmiały wyczyn. Ale kiedy miałem jeszcze ze sto stóp do ziemi, lina się skończyła. I zawisłem! – Zamilkł, budując napięcie, patrzył na Bannona. – Potrafiłem korzystać z magii addytywnej, więc kazałem linie się wydłużyć. Powinienem był się domyślić, że Siostry wykryją to poprzez Rada’Han, ale

cóż mogłem zrobić? Na pewno nie mogłem się wdrapać z powrotem na górę. Wydłużałem linę stopa po stopie i dotarłem na dół, ale to pochłonęło mnóstwo energii. Byłem taki wykończony, zanim dotarłem na ziemię, że ledwo trzymałem się liny. – Westchnął przeciągle, ze smutkiem. – Do tej pory Siostry zdążyły wykryć, co robię, i złapały mnie, jak tylko dotknąłem stopami ziemi.

– Nawet gdybyś wy dostał się z Pałacu Proroków i przez most do Tanimury, to Rada’Han nie pozwoliłaby ci uciec. Siostry by cię schwytały, kiedy by zechciały – powiedziała Nicci. – Naciągana historyjka.

– Ale ciekawa i z morałem. – Odwrócił się ku Bannonowi. – Niekiedy musisz się zdobyć na wielki czyn, ale bez względu na to, jak bylibyś odważny, to niewiele z tego przyjdzie, jeżeli wszystkiego porządnie nie zaplanujesz.

Wspinali się mozolnie stromą, wijącą się zakosami ścieżką. Im bliżej szczytu, tym drzewa były rzadsze.

Nathan się przeciągnął.

– Potem Siostry tak mnie pilnowały, że już nigdy nie mogłem na poważnie rozważać ucieczki. Dlatego zabawiałem się, opisując różne przygody, i potajemnie przekazywałem je poza pałac. Stały się dość popularne, wielu się podobały.

Gdy wreszcie dotarli na samą górę, brakowało im tchu. Przeszli na drugą stronę grani, żeby ujrzeć zapierający dech widok.

Kiedy pytali o drogę do Kol Adair, wciąż im mówiono o rozległej, żyznej dolinie, pełnej zielonych lasów, pól uprawnych i miasteczek. A zobaczyli zupełnie co innego.

Patrzyli na rozciągające się w dole ziemie i widzieli jedynie ciągnące się po horyzont brunatne pustkowia. To nie była zielona dolina, lecz wyschnięty,

spękany krater, zamknięty od północy wysokim płaskowyżem. Gęsto zalesione stoki opadały ku nieostrej granicy strefy śmierci. Po suchej ziemi sunęły wiry pyłowe. Białe połacie lśniącej soli wskazywały, gdzie wyschły jeziora, zostawiając po sobie tylko zasoloną glebę. Przeróżające pustkowie ciągnęło się na wiele mil.

A strefa śmierci najwyraźniej się powiększała.

Nathan westchnął zawiedziony.

– Będę musiał uaktualnić mapę.

## ROZDZIAŁ 36

Cała roślinność zniknęła i stara droga stała się równiejsza. Schodzili kamienistym szlakiem ku rozległej, spustoszonej dolinie. Kiedy Nicci brała wdech, w powietrzu czuła spaleniznę i pył, z nutką zgnilizny, jakby wyziewy, wywołane prądami termicznymi, dryfowały aż ku góróm.

Przystanęli na zakręcie, żeby popatrzeć na tę wielką misę. Nicci mogła rozróżnić proste linie przecinające jałową ziemię – zbudowane przez ludzi drogi, teraz pokryte pyłem. Widziała też pozostałości małych wiosek, miasteczek i chyba nawet ruiny miasta.

Powiedziała:

– To były ludne ziemie, ale coś je wysuszyło.

– Na obrzeżach pustkowia nadal są obszary nadające się do zamieszkania – odezwał się Nathan, wskazując przejściową strefę, gdzie zieleń roślinności zmieniała się w spękaną, zbrązowiałą glebę. Oślonił oczy i popatrzył w zamgloną dal za doliną. – Niesiony wiatrem pył ogranicza widoczność, ale można dostrzec wysokie góry daleko na wschodzie. – Wskazał ręką. – Kol Adair musi być gdzieś tam, na jednej z przełęczy.

– Ale jak przejdziemy przez to pustkowie? – zapytał Bannon.

Nicci się rozejrzała.

– Moglibyśmy je obejść. Iść skrajem doliny na północ, trzymając się zieleńszych obszarów na pogórzu.

– Odwiedzmy którąś z tych osad – zaproponował Nathan. – Chciałbym się dowiedzieć, co się tutaj stało, skoro niegdyś była to wielka żyzna dolina. – Skrzywił się z niesmakiem. – To nie jest normalne.

Nicci przygryzła wargę.

– Zgoda. Lord Rahl powinien się o tym dowiedzieć.

– A świat może potrzebować ratunku, czarodziejko – stwierdził Nathan na pozór całkiem bez ironii.

Nie odpowiedziała.

Zdążali ścieżką w dół ku pustkowiu, gdzie skały wznosiły się jak monolity, czerwony piaskowiec zerodowany przez wiatr i wodę. Wysokie sosny ustąpiły zdeformowanym karłowatym dębom, jałoszynom i jukkom, które przetrwały w mniej sprzyjających warunkach.

W czasie największego upału Nicci spakowała podróżną pelerynę. Jej suknia była wygodna, ale kamienie uwierały nawet przez podeszwy butów. Twarz Bannona szybko się spiekła.

Wybrali najwygodniejszą drogę, biegnącą wzdłuż gładkiej jak wypolerowana skarpy przy kamienistym korycie wyschniętego strumienia. Z góry spadały kamienie i dostrzegali jaszczurki smyrgające z nasłonecznionych skał w cieniste szczeliny.

Nicci nasłuchiwała ciszy, zakłócaną jedynie sporadycznymi powiewami wiatru i szelestem gałązek. Przymrużyła oczy, wyczuwając ruch czegoś większego niż jaszczurka. Obydwoje z Nathanem natychmiast wzmoгли czujność, Bannon zaś szedł dalej, przejęty tym, co widział wokół. Potem i on się zatrzymał.

– Co to? Ktoś nas śledzi? – zapytał.

– Nie wiem – odparła Nicci. – Coś usłyszałam. – Stała nieruchomo, wyęzając wszystkie zmysły, starając się wykryć zagrożenie.

Trwali w pełnej napięcia ciszy. Nathan zmarszczył brwi.

– Właściwie to nic nie słyszę.

Nagle usłyszeli wybuch dźwięcznego śmiechu, wysoki głos dziecka. Wszyscy troje spojrzeli w górę na gładkie urwisko, tu i tam poprzecinane



skalnymi gzymsami. Dziewczynka wyszła z kryjówki. Drobną i szczupłą, wyglądała na jedenaście lat.

– Od dawna was obserwuję. – Oparła dłonie na biodrach i znowu się zaśmiała. – Ciekawa byłam, kiedy wreszcie się zorientujecie. Chciałam was zaskoczyć!

Była ubrana w łańchmany, jak bezdomna sierota, w patchworkowej wystrzępionej spódnicy. Miała niesforną czuprynę barwy przydymionego brązu, raczej splątana niż kędzierzawa. Miodowo-brązowe oczy się skrzyły, kiedy tak im się przyglądała. Miała skórę barwy karmelu, trójkątną buzię z wąskim podbródkiem i wysokimi kośćmi policzkowymi. Jej ręce były chude, nogi patykowate. Cztery duże jaszczurki zwisały za ogony ze sznura opasującego ją w talii, ich głowy były zmiażdżone.

– Zaczekajcie na mnie! – zawołała. – Schodzę!

– Kim jesteś? – spytała Nicci.

– Czemu nas szpiegujesz? – dodał Nathan.

Dziewczynka niczym jaszczurka zsunęła się po skalnej ścianie, znajdując ledwo widoczne punkty podparcia dla rąk i stóp, ale w ogóle się nie bała, że spadnie. Na stopach miała buty zrobione ze sznurka, tkaniny i skrawków skóry. Z wysokości pięciu stóp zeskoczyła, lądując na ugiętych kolanach na skałach przed nimi. Jaszczurki u jej biodra się zakołysały.

– Śledzę was, bo jesteście obcy, i dlatego, że jesteście interesujący. – Podniosła wzrok. – A nazywam się Oset.

– Oset? – powtórzył Bannon. – Dziwne imię. Czy to dlatego, że kłujesz?

– Albo dlatego, że trudno się mnie pozbyć, jak tego zielska. Jestem z miasteczka Verdun Springs. Czy to tam idziecie? Mogę was zaprowadzić.

– Nie bardzo wiemy, dokąd idziemy – odparła Nicci. – Jesteś tutaj sama?

– Tylko ja i jaszczurki – powiedziała Oset. – Ale teraz jest ich mniej, bo

polowanie mi się dzisiaj udało. – Przykucnęła i otworzyła woreczek wiszący na drugim biodrze. – Rzadko widuję ludzi. Zwykle tylko ja chodzę na zwiady. Wszyscy inni w Verdun Springs całymi dniami tyrają, żeby przeżyć. – Wyjęła z woreczka paski suszonego szarawego mięsa. – To wczorajsze jaszczurki. Chcecie trochę? Suszyły się całe popołudnie, więc mięso będzie w sam raz.

Chwyciła zębami pasek i oddarła kawałek. Żuła i połykała, cały czas wyciągając ku nim drugą rękę z poczęstunkiem.

Wszyscy troje wzięli po kawałku suszonej jaszczurki. Bannon podejrzliwie patrzył na mięso, ale czarodziej bez wahania spałaszował.

– Wujek Marcus i ciocia Luna nauczyli mnie gościnności. Mówią, że powinniśmy być mili dla obcych, bo może będą mogli nam pomóc.

– Być może – mruknęła Nicci, myśląc o swoim ogólniejszym celu. – Najpierw musimy się dowiedzieć, co się tutaj stało. Jak daleko jest twoje miasteczko?

– Niedaleko. Nie ma mnie tam od dwóch dni, a zapasów mam na tydzień. Marcus i Luna nie spodziewają się mojego powrotu. – Uśmiechnęła się szerzej. – Zdziwią się, jak przyprowadzę gości. Na pewno możecie nam pomóc? Możecie powstrzymać rozrastanie się Blizny? – Otaksowała ich wzrokiem, a potem prychnęła: – Chyba nie macie dość siły.

– Blizna? – zapytał Bannon.

– Pewnie ma na myśli pustkowie – powiedział Nathan. – Całą dolinę.

– Nazywamy ją Blizną, bo tak wygląda – wyjaśniła Oset. – Słyszałam, jaka piękna była dolina, kiedy byłam malutka. Pola uprawne, sady, lasy, podobno mieli nawet ogrody kwiatowe. Wyobrażacie sobie? – prychnęła. – Ogrody kwiatowe! Marnować wodę, nawóz i dobrą glebę na uprawę kwiatów!

Nicci było żal dziewczynki, której naiwny komentarz dobitnie wskazywał, jak się żyło w jej miasteczku zagrożonym inwazją pustkowiec.

Mała paplała dalej:

– Gdybyście mogli nas ocalić, złamać zaklęcie Życiożercy i przywrócić dolinie żyzność! Tak baaardzo chciałabym to zobaczyć! Całe życie marzyłam, żeby przywrócić piękno tym ziemiom. – Poderwała się gotowa do drogi. Ruszyła, wołając przez ramię: – Naprawdę myślicie, że możecie zniszczyć Życiożercę?

– Kto to jest Życiożerca? – zapytał Nathan.

Nicci ostrzegła:

– Nie obiecujemy, że zdołamy coś zrobić.

Kiedy dziewczynka potrząsnęła głową, splątane brązowe loki podskoczyły jak zielsko.

– Wszyscy wiedzą o Życiożercy! Złym czarodzieju w samym środku Blizny, który wysysa życie ze świata, żeby wypełnić własną pustkę. – Ściszyła głos: – Tak mówi wujek Marcus. Naprawdę nic więcej nie wiem.

– Twój wujek nie martwi się, że całymi dniami chodzisz sama po pustkowiec? – spytała Nicci.

– Potrafię o siebie zadbać. – Oset maszerowała różnym krokiem, przeskakując kamienie. Nie zwalniając, schyliła się i zgarnęła w prawą dłoń kamyki. Podążała parowem, wiedząc, że przybysze pójda za nią. – Sama się żywiłam od śmierci rodziców, kiedy byłam małą dziewczynką. Wujek Marcus i ciocia Luna opiekowali się mną, ale nie mieli dodatkowej wody i żywności, więc sama o siebie dbałam i starałam się przynieść tyle, żeby im pomóc. – Oset gwałtownie zwróciła głowę w lewo, skupiona na ruchu, jaki dostrzegła. Szybciej, niż nawet Nicci zdążyła to odnotować, cisnęła kamyki. Stuknęły i trafiły w cel, a dziewczynka pognała przed siebie i kucnęła, żeby

podnieść małą jaszczurkę, którą właśnie upolowała. Podniosła ją, wydymając usta. – Taka mała, że prawie niewarta wysiłku. – Ale i tak przywiązała ją do pasa. – Ciocia Luna mówi, żeby nigdy nie marnować jedzenia. W tych czasach ciężko je zdobyć.

Energiczna dziewczynka prowadziła ich w tempie, które nawet Nicci trudno było wytrzymać. Nathan i Bannon zaczęli zostawać w tyle, mozolnie przemierzając chropowate skały. Oset rażno truchtała, zadowolona, że ma towarzystwo.

– Jesteś bardzo ładna – powiedziała do Nicci. – Gdzie są twoje rodzinne strony? Skąd jesteś?

– Mieszkam daleko na północy – odpowiedziała czarodziejka. – W Nowym Świecie.

– Ja znam tylko ten świat. Czy tam, gdzie mieszkasz, są drzewa? I woda? Kwiaty?

– Tak. I miasta... nawet ogrody kwiatowe.

Oset się zachmurzyła.

– Ogrody? Czemu opuściłaś takie miłe miejsce i przybyłaś tutaj?

– Nie wiedzieliśmy, że tu trafimy. Jesteśmy w długiej podróży.

– Cieszę się, że się zjawiliście – oznajmiła Oset. – Może pokonacie Życiożercę. Znajdziecie sposób, żeby przywrócić życie dolinie i naszemu światu.

Nicci przypomniała sobie słowa Red i zadrżała.

– Może właśnie po to tu jesteśmy.

– Tak zrobimy, dziecko, jeśli będzie to w naszej mocy – powiedział Nathan i pokrótce wyjaśnił, kim są.

Szli rozszerzającym się suchym korytem, wokół urwiska, tam, gdzie uschła ostatnia linia drzew. Oset dumnie wskazała przed siebie.

– To moje miasteczko.

Nicci, Nathan i Bannon przystanęli. Widok im nie zaimponował.

Verdun Springs najwyraźniej było niegdyś o wiele większym miastem, świetnie prosperującym na skrzyżowaniu imperialnych dróg, leśnych traktów i handlowych szlaków prowadzących do żyznych ziem uprawnych i osad w głębi doliny. Lecz skupisko niskich budynków z cegieł skurczyło się w zaniedbaną wioskę, jakby ludność wyschła podobnie jak okolica.

Pył skrzypiał pod nogami. Pod pobliskim budynkiem zwalono stosy kamieni. Wóz ze złamanym kołem – bez konia, który by go ciągnął – opierał się o stertę gruzu. Kurz pokrywał domy, które popadały w ruinę.

Nicci naliczyła nie więcej jak dwudziestu ludzi trujących się w ostrym słońcu. Nosili zniszczone ubrania i szerokie słomiane kapelusze. Kilku mężczyzn pracowało przy miejskiej studni. Jeden z nich opuścił się na linie w szyb o kamiennych ścianach.

– Nie przestawaj! Jeśli będziemy kopać wystarczająco głęboko, na pewno znowu znajdziemy czystą wodę.

Reszta ciągnęła za drugą linę przechodzącą przez krążek, wyciągając wiadro – niestety tylko z błotem.

Oset, ogłaszając ich przybycie, głośno i przenikliwie zagwizdała. Mężczyzna przy studni podniósł wzrok, a inni wymizerowani ludzie przystanęli, żeby popatrzeć. Dziewczynka oznajmiła:

– To mój wujek Marcus, opowiadałam wam o nim. Wujku, ta kobieta jest czarodziejką, a starzec czarodziejem, ale nie ma ani trochę magii.

– Nadal mam dar – sprostował Nathan. – Po prostu nie mam do niego dostępu.

– Ten trzeci nazywa się Bannon – ciągnęła. – Nie wiem, co potrafi.

Młody człowiek zachmurzył się.

Marcus był chudym mężczyzną o ciemnobrązowych, siwiejących włosach i szczeciniastej brodzie. Koszulę miał ubłoconą, bo pomagał przy studni, na niej spłowiła, podniszczoną skórzaną kamizelę.

– Witam was w Verdun Springs, nieznajomi, lecz nie bardzo mam was czym ugościć. Nikt z nas nie ma.

– Przyniosłam jaszczurki! – powiedziała Oset.

– No to wyprawimy ucztę. – Uśmiechnął się Marcus. – Zawsze dajesz więcej, niż bierzesz, Oset. Nasza rodzina wieczorem sobie podje, no i nasi goście też.

Luna też się przedstawiła – ciemnoskóra kobieta w burej spódnicy, z głową obwiązaną wystrzępioną chustką, kiedyś jaskrawoczerwoną, teraz wypłowiałą. Luna przed domem miała duże gliniane donice, w których mieszała żyzną, ciemną ziemię z ludzkimi odchodami. W każdej donicy tkwiła kęпка zielonych warzyw. Kobieta otarła dłonie o spódnicę i zmierzwiła czuprynę dziewczynki.

– Może nawet znajdziemy trochę warzyw gotowych do zebrania. Lepiej zjeść je od razu, gdy dojrzeją, niż pozwolić, żeby się dostały Życiożercy.

Oset prychnęła.

– Póki warzywa są w donicach, Życiożerca nie może ich tknąć. Nie da rady sięgnąć przez donicę.

– Może po prostu jeszcze się za bardzo nie wysilił – odpowiedziała jej ciocia, poprawiając chustkę.

Mieszkańcy mruclili pod nosem. Imię Życiożercy najwyraźniej budziło w nich lęk.

– Cieszy nas wasze przybycie – powiedział Marcus, prowadząc ich główną ulicą. – Gdybyście zajrzeli do pobliskich miasteczek, tobyście się przekonali, że są całkiem opustoszałe. Zostało tylko Verdun Springs. Reszta

ludzi odeszła albo po prostu... zniknęła. Nie wiemy. – Otarł kurz z czoła.

– Dlaczego się nie spakujecie i też nie odejdziecie? – zapytał Nathan, zamaszystym gestem wskazując niszczące miasto, wysychającą studnię, pyliste ulice. – Z pewnością znaleźlibyście lepsze miejsce do życia.

– Pewnego dnia to znowu będzie dolina porośnięta bujną roślinnością, jak dziesięć lat temu. Wiemy, jaka może być piękna – powiedziała Luna, a paru stojących przy niej mieszkańców potaknęło.

Oset się rozpromieniła.

– Mogę to sobie tylko wyobrazić.

Luna dodała:

– Namawiałam męża, żebyśmy poszli w góry. Słyszeliśmy, że za przełęczą mogą być inne miasta, a nawet ocean, jeśli się pójdzie daleko na zachód. – Ciężko westchnęła. – Ocean! Nie przypominam sobie aż tyle wody. W czasach narodzin Oset w dolinie było jezioro, zanim Blizna się tam rozprzestrzeniła.

– Nie odejdziemy. – Marcus wykruszył zaschnięte błoto z kamizeli. – Będziemy się starali przetrwać, dzień za dniem. – Wyprostował ramiona i dodał z dumą: – Jesteśmy twardzi.

– Twardzi? – Nicci uniosła brew, myśląc, że bardziej pasowałoby tu słowo „lekkomyślni”.

## ROZDZIAŁ 37

Kiedy zapadł wieczór, Nicci wraz z towarzyszami zasiedli przy palenisku przed domem Marcusa i Luny. Dom z cegieł był przestronny i chłodny, z dużym pokojem o belkowanym, wysokim suficie i niewielkimi oknami pod dachem z glinianych dachówek. Pochodził z dużo lepszych czasów.

Siedzieli na dworze w ciepłym zmierzchu, czekając na wieczorny posiłek. Nathan i Bannon opowiedzieli o ich podróży, a Nicci mówiła o złotym wieku lorda Rahla, ale nie było wątpliwości, że ani Marcus, ani Luna nie nabrali nadziei.

– Z trudem znajdujemy tyle wody, żeby przeżyć – powiedział Marcus – a i żywności szybko nam ubywa. Jak już mówiłem, inne miasta tętniące życiem w tej dolinie dwadzieścia lat temu są teraz puste i martwe. – Zacisnął dłonie, przygarbił się i popatrzył na Nicci. – Rad słyszę o przepędzaniu tyranów, ale czy wasz lord Rahl może nam przyjść z pomocą? Blizna stale się poszerza.

Nicci przymrużyła oczy.

– Jesteśmy tutaj. Lecz musimy dowiedzieć się więcej o Życiożercy.

Nathan się zatroskał.

– Nie wiem, jaką pomoc mogę zaoferować, czarodziejko... przynajmniej póki nie dotrzemy do Kol Adair.

Oset siedziała ze skrzyżowanymi nogami na ziemi obok Nicci i oprawiała jaszczurki na kolację.

– Kol Adair? To daleko.

Dziewczynka nożykiem zdarła skórę z jaszczurek, nabiła je na patyk i podała Bannonowi, żeby je upiekł nad ogniem. Młody człowiek, trochę



nieswój, umieścił jaszczurki nad ogniskiem i mięso wkrótce zaczęło skwierczeć.

Otarł dłonią usta. Obracał patyk, żeby jaszczurki się nie spaliły.

– Jak szybko Blizna się rozrasta?

– W dwadzieścia lat umarła cała dolina i spustoszenie się rozszerza – powiedziała Luna. – To ostatnie miasteczko na jej obrzeżu.

– Blizna rozrasta się szybciej, w miarę jak Życiożerca staje się potężniejszy... a jego apetyt nienasycony – dodał Marcus. – Pamiętam, kiedy środek doliny zaczął umierać, tuż przed tym, jak się pobraliśmy z Luną. Ale zostaniemy tutaj. Wytrwaliśmy tak długo.

Noc była cicha, ale wiatr miał posmak popiołu z cierpką chemiczną nutką. W całym miasteczku przed ceglanyimi domami czy większymi kamiennymi budynkami siedzieli mieszkańcy i w milczeniu jedli posiłek, trzymając się z dala od siebie. W Verdun Springs zapanowała ponura cisza na dźwięk imienia Życiożercy.

Luna była smutna.

– Kiedyś Verdun Springs liczyło tysiąc mieszkańców, a teraz zostało mniej niż dwanaście rodzin.

– Jesteśmy najtwardsi – upierał się Marcus; najwyraźniej już kiedyś się o to spierali.

Bannon się odezwał:

– Po drugiej stronie gór są lasy i ziemie uprawne, mnóstwo miejsc, gdzie moglibyście osiąść i żyć szczęśliwie.

– To by tylko odsunęło w czasie nasz koniec – odparł nieustępliwie Marcus. – Blizna się rozrasta i wcześniej czy później Życiożerca pochłonie świat.

– Chyba że ktoś go powstrzyma – zaproponowała ostro Nicci.

Oset wtrąciła swoje trzy grosze:

– Chcę zostać, aż nasza kraina stanie się znowu żyzna i piękna, taka jak przed śmiercią rodziców. Pamiętam to... ociupinkę.

– Byłaś za mała – powiedział Marcus.

Zadziorna dziewczynka skończyła jeść najmniejszą jaszczurkę, którą sobie przyrzadziła. Zlizwała krew z palców, lecz w kąciku ust została czerwona smużka. Nicci starła tę plamkę.

– Masz buzię pokrytą pyłem.

– Niezbyt często mamy okazję się umyć – wyjaśnił Marcus.

Oset z chichotem polizała palce i rozsmarowała ślinę po buzi, przez co raczej nie stała się czystsza.

Podróżni dołożyli do posiłku suszone owoce i resztę wędzonej ryby. Labraks z Renda Bay był nowością dla dziewczynki. Skrzywiła się, skosztowawszy, i oznajmiła, że woli swoje świeże jaszczurki.

Nicci wróciła do sprawy.

– Kim jest Życiożerca? Jak można go pokonać? Ma jakiś słaby punkt?

Może istotnie z tego powodu ich tu wysłano. *A ona musi ocalić świat.*

Marcus zaszurał butami.

– Nie znamy całej historii. Jesteśmy tylko prostymi mieszkańcami miasteczka zagrożonego przez tę nieustannie się powiększającą szkę. Lecz wiemy, że był czarodziejem w Cliffwall i że coś poszło okropnie nie tak. –

Oskubywał z resztek mięsa kości upieczonej jaszczurki, a potem rozgryzł też kostki, nie zmarnował ani kawałeczka. – To tam się dowiedziecie, jak go zniszczyć, jeśli to w ogóle możliwe.

– A co to takiego to Cliffwall? – zapytał Nathan.

– Olbrzymie archiwum wiedzy o magii. Przez wieki sądzono, że to tylko

legenda.

– Istnieje! Widziałam je! – pisnęła Oset.

– Nie zapędziłaś się aż tak daleko, dziecko – zmitygował ją Marcus.

– A właśnie że tak! Trzeba iść cztery dni w głąb płaskowyżu, ale dotarłam tam.

– Pozostawało ukryte od czasu wielkich wojen czarodziejów – powiedziała Luna – ale pojawiło się na nowo pięćdziesiąt lat temu.

Czarodziej uniósł brwi i spojrzał na Nicci.

– Wielkie archiwum? No to powinniśmy je zbadać. Może znajdziemy coś, co poprawi... mój stan, zanim dotrzemy do Kol Adair. – Potarł brodę. – No i zdobędziemy wiedzę o Życiożercy, ma się rozumieć.

Miodowo-brązowe oczy dziewczynki zaśniły.

– Mogę was tam zaprowadzić. Widziałam je na własne oczy!

– Spokojnie, mała... – zbeształ ją Marcus.

– Mówią, że pięćdziesiąt lat temu ktoś złamał czar maskujący Cliffwall – odezwała się Luna. – Jego położenie to nadal tajemnica, ale kiedyś ludzie strzegący archiwum zaprosili paru uczonych z miast w dolinie. To się od dawna nie zdarzyło, nie od czasu, kiedy Blizna zaczęła się rozrastać i pochłaniać miasta i farmy.

Powiał wiatr, niosąc jeszcze więcej pyłu. Nicci usłyszała krzyk polującego nocnego ptaka i jakiś chrobot w pustych domach. Nieoczekiwanie ujrzała cienie poruszające się w ciemnych przejściach między opuszczonymi kamiennymi budowlami. Wyprostowała się, czujna, starając się przebić mrok wzrokiem.

Wyczuła też w powietrzu magię – nie zwykle rozprzestrzeniające się vibracje, które czuła zawsze. Od przybycia do Verdun Springs odczuwała osobliwą i niepokojącą nutkę sączącą się z Blizny. Teraz to się nagle nasiliło,

niczym podmuch żaru po otwarciu pieca. Wstała, odrzucając na bok patyk z resztkami pieczonej jaszczurki, i wyszła na szeroką, suchą ulicę.

Zanim Marcus lub Luna zdążyli zapytać, co robi, noc wypełniła się krzykami.

## ROZDZIAŁ 38

Coś się poruszało w nocy wśród cicho szeleszczącego pyłu. Krzyki strachu dobiegały z jednego z zamieszkałych domów na obrzeżu osady, gdzie wcześniej starsze małżeństwo siedziało na zewnątrz przy małym ogniu.

Nicci już tam biegła. Jej czarna suknia była odrobinę ciemniejszym cieniem w mroku. Kolejny krzyk. Skoczyła ku ludziom przy palenisku. Zobaczyła wiele sylwetek, siwowłosa mężczyzna i jego żona opierali się otaczającym ich postaciom.

Napastnicy, oświetleni pomarańczowymi rozbłyskami małego ognia, wydawali się chudzi jak szkielety. Bannon bez wahania pobiegł za czarodziejką, dobywając Niepokonanego. Czarodziejka przekonała się, że napastnicy są wyschniętymi na wiór ludzkimi szczątkami. Skórę mieli pozbawioną wilgoci, spieczoną na brązowo, jak suszone mięso.

Oset, biegnąc ile sił w nogach, dogoniła Nicci i Bannona.

– Piaskowi ludzie! Jeszcze nigdy nie pojawili się w mieście.

Trzy ożywione truchła otoczyły małżeństwo, broniące się, ale bezradne i przerażone. Nie mieli żadnej broni. Ale Nicci miała. Wyciągnęła rękę i uwolniła magię. Potężny podmuch wyrzucił jednego z piaskowych ludzi w powietrze, jakby był słomką. Kiedy uderzył o ceglana ścianę domu, jego ciało się rozpadło, rozsypało jak wiązka patyczków.

Staruszka szarpała paznokciami napastnika, ale zmumifikowana postać oplotła ją ramionami. Natychmiast *zmieniła się* sucha ziemia pod ich stopami, stała się niczym spieniona woda. Stwór pociągnął staruszkę w dół, wciągnął w pylistą sztolnię i zniknęli pod ziemią.

Starzec, ujrawszy to, szarpał się jeszcze gwałtowniej. Mocnym ciosem

pozbawił stwora głowy, ale ten i wtedy nie odpuścił. Ziemia pod stopami starca się wzburzyła i zapadł się po kolana. Jęknął rozpaczliwie, starając się czegoś złapać.

Nicci znowu uderzyła magią, cios skonsolidowanego powietrza był tak gwałtowny i potężny, że roztrzaskał napastnika.

Lecz czterej kolejni wstrętnei piaskowi ludzie wynurzyli się z miękkiej gleby niczym atakujące węże, wspólnie pochwycili starca i wciągnęli go pod ziemię. Jego krzyki zagłuszył piach.

Nicci i Bannon dotarli do niego za późno. Napastnicy zniknęli, pozostawiając jedynie zmarszczki na suchym piasku.

Bannon ugiął kolana, trzymał miecz w pogotowiu, spodziewając się kolejnego ataku. Rozglądał się, szukając wrogów. Nicci chwyciła go za koszulę i odepchnęła z miejsca, gdzie twarda ziemia zmieniła się w ruchome piaski.

Potem krzyki dały się słyszeć z innych domów na obrzeżach umierającego miasta – napadnięto kolejnych mieszkańców.

Nathan z mieczem w dłoni w końcu do nich dołączył.

– Co to za jedni? Widzieliście ich?

– Piaskowi ludzie – wyjaśniła Oset. – Życiożerca połyka żywych, kiedy tylko zdoła, i zamienia ich w swoich sługusów.

Nicci stanęła przy dziewczynce.

– Uważaj na siebie.

– A gdzie jest bezpiecznie? – zapytała Oset i czarodziejka nie wiedziała, co odpowiedzieć.

Mrok zalegał ulice Verdun Springs, a zewnętrzne paleniska i lampy w kamiennych domach dawały o wiele za mało światła, żeby dobrze widzieć, ale ziemia na pewno się poruszała. Wiatr się wzmógł, nawiewając do miasta

dławiającą zawieszinę pyłu.

Nicci ostrożnie poprowadziła ich z powrotem ku centrum.

– Trzymajcie się mnie.

Spokojne uliczki poruszały się, falowały i wypluwały coraz to nowe potworności. Kościane ręce wyłaniały się z ziemi, ukazując długie pazury i szarobrazową, stwardniałą na kłykciach skórę. Wyschnięta ziemia stała się płynna niczym woda i piaskowi ludzie wypływali na powierzchnię, żeby polować na ostatnich upartych mieszkańców.

Pazerne dłonie wynurzyły się przy stopach Nathana, sięgając do jego butów. Jedna się w niego wczepiła, ale mieczem odrąbał kości przedramienia, a potem wierzgnął, całkiem pozbywając się dłoni.

Bannon pobiegł i przebił mieczem klatkę piersiową ożywionego truchła, rozłupując żebra. Ale stwory nadchodziły jak armia przerażających marionetek, wynurzając się z ziemi.

Nicci uderzyła magią, odrzucając dwie mumie od Oset, i chwyciła małą za ramię.

Bannon rozsiekał kolejnego napastnika, od lewa ciął następnego w brzuch. Kiedy rzucił się ku trzeciemu, gruntowa ulica zmieniła się pod jego stopami w piaszczysty lej i się potknął. Wrzasnął z przerażenia, bo zaczął się zapadać, ale czarodziej był tuż, chwycił go za nadgarstek i wyciągnął z pułapki.

W centrum miasta stało podwyższenie z cegieł i płyt, scena, na której mogli niegdyś występować minstrele lub miejscowi przywódcy wygłaszali mowy.

– Na tę platformę! – krzyknęła Nicci.

Nathan, wciąż trzymając rękę Bannona, zachwiał się i stracił równowagę, bo ziemia znowu się zmieniła. Obaj się potykali i mozolnie brnęli w stronę platformy. Nicci wykorzystwała magię, żeby im pomóc, uniosła ich, tak by

mogli uciec z pyłowej pułapki. Gdy tylko znaleźli się znowu na stabilnym gruncie, rzucili się ku podwyższeniu, tej bezpiecznej wyspie.

Pełne grozy krzyki rozbrzmiewające w mieście uświadomiły Nicci, że piaskowi ludzie atakują inne rodziny, niszczą domy. Musiała jednak zapewnić towarzyszom bezpieczeństwo, zanim spróbuje bronić innych.

Oset, biegnąc na patykowatych nogach, zachłysnęła się oddechem, kiedy ulica poruszyła się jej pod stopami. Zapadła się po pas, wymachując rękami, ale Nicci ją złapała. Szarpnąwszy z całej siły, wyciągnęła Oset poza zasięg sięgających ku niej dłoni piaskowych ludzi. Rzuciła ją w pobliże platformy i chudziutka dziewczynka przetoczyła się, poderwała na nogi i przebiegła resztę drogi do celu.

Nicci wyciągnęła przed siebie otwartą dłoń i zatoczyła półkole, wykorzystując magię, żeby odrzucić w tył napastników, i na koniec dołączyła do towarzyszki na platformie. Płyty pod ich stopami były stabilne, ale zmumifikowane ciała wciąż ku nim parły.

Bannon i Nathan ustawili się w przeciwległych narożnikach platformy, wysoko unosząc miecze, i siekli piaskowych ludzi, gdy tylko się zbliżali. Kiedy otoczyły ich zeschnięte, powłóczące nogami monstra, Nicci mimowolnie pomyślała o drewnie sosny ościstej, które mieszkańcy zebrali na podpałkę. Wszystko w Bliźnie było suche jak pieprz, twarde, gęste... łatwopalne.

Uwolniła falę magii, żeby podnieść temperaturę wewnątrz napastników, skrzesała iskrę. Pomarańczowe jęzory ognia buchnęły im z piersi, ale nawet płonąc, straszydła chwiejnie szły naprzód. Powietrze wypełnił odór palących się ścięgien i kości, tłusty czarny dym unosił się z każdej postaci.

Nathan i Bannon siekli mieczami. Bojowa Oset wyciągnęła swój nóż do skórowania.



Krzyki w dalszych budynkach złowieszczo umilkły, lecz w pobliżu rozlegały się znajome głosy.

– To wujek Marcus i ciocia Luna! – zawołała Oset. – Muszę wracać do domu!

Nicci widziała, jak opiekunowie dziewczynki usiłują odeprzeć atak piaskowych ludzi. Oset próbowała tam popędzić, ale Nicci chwyciła ją za ramię.

– Nie możesz. Ulice cię pochłoną.

– Muszę. Musimy ich ratować!

Nicci istotnie powinna uratować wujka i ciocię tej małej – a przynajmniej spróbować.

– Moglibyśmy się przebić – powiedział Bannon, ścinając mieczem głowę jednego z napastników, upadła na ziemię i poturlała się jak pusta tykwa.

– Nigdy tam nie dotrzemy – orzekł Nathan. – Po trzech krokach ziemia nas wessie.

Ze swojego niepewnego schronienia patrzyli, jak Marcus uderza piaskowego człowieka kamieniem z paleniska. Lunie zsunęła się z głowy czerwona chustka, kobieta tłukła napastników drewnianymi szpikulcami. Dźgnęła prosto w pusty oczodół najbliższego stwora, lecz ten dalej atakował, nawet z patykiem w czaszce.

Nicci w nagłym przeblysku pojęła, jak najbezpieczniej przebiec z platformy do domu Oset.

– Muszę stworzyć bezpieczną ścieżkę.

Otwarte ulice groziły śmiercią, chyba że Nicci odmieniłaby naturę ziemi jako takiej i nie pozwoliła, żeby powstawały ruchome piaski i tunele. Skierowała falę magii w piach, wykorzystując magię addytywną do łączenia i scalania ziaren. Miałki pył stwardniał w wąską dróżkę, jakby zamroziła

strumień.

– Biegiem! Mogą się przebić, ale to powinno ich chwilowo zatrzymać i dać nam potrzebny czas. *Biegiem!*

Zeskoczyli z bezpiecznej platformy. Nicci popędziła przodem, zeszklwiwały piach trzeszczał pod butami. Czuła wibracje przemieszczających się pod ziemią zirytowanych piaskowych ludzi usiłujących pazurami przekopać się przez przeszkodę. Twarda powierzchnia musi przetrwać parę sekund, tyle, by zdążyli przebiec.

W końcu dotarli do domu dziewczynki. Jej ciocia i wujek byli podrapani i zakrwawieni, poranieni przez piaskowych ludzi. Chustka Luny się przekrzywiła i kobieta odsunęła ją z oczu. Nicci posłała kolejny strumień magii, podpalając dwóch najbliższych napastników, i zawołała do Luny:

– Zabierz Oset i wejdźcie do środka!

Marcus i Luna chwiejnie ruszyli ku drzwiom. Podłoga w domu była z glinianych płytek. Nicci miała nadzieję, że to ich uchroni przed atakiem z dołu.

Dom zapewniał jedynie niewielką osłonę, ale to było ich ostatnie schronienie. Marcus i Luna, wyswobodzeni z chciwych łap piaskowych ludzi, wycofali się w głąb domostwa.

Nathan i Bannon usiekli na progu dwóch wrogów, a potem wpadli do środka. Za nimi ścieżka z zeszklwionego piachu pękała i piaskowi ludzie wynurzyli się spod ziemi.

Marcus i Luna tulili się do siebie w rogu pokoju. Luna szlochała, Marcus zaś otwierał i zamykał usta, jakby starał się wygłosić jakiś butny komentarz. Kiedy zobaczyli, że Oset jest bezpieczna, popłakali się z ulgi i skinęli na nią, żeby podeszła.

Nathan zatrzasnął drewniane drzwi i zasunął zasuwę. Ale marna to była

barykada. Stwory wkrótce w nią waliły i drapały pazurami. Deski zaczęły pękać.

Nicci rozglądała się, badając ewentualne środki obrony. Bannon i stary czarodziej stali plecami do siebie, trzymając miecze w pogotowiu, a stwory tłukły w drzwi. Jeszcze parę chwil i wtargną do środka.

Oset miała błędne, ale zdeterminowane spojrzenie. Stanęła obok Nicci.

– Jesteśmy bezpieczni?

Luna wyciągnęła rękę.

– Chodź tutaj, dziecko. Razem będziemy bezpieczniejsi.

Zanim Oset zdążyła ruszyć ku przytulonym cioci i wujkowi, twarde gliniane płytki w rogu rozpuściły się w błoto i podłoga się zapadła, niczym przykrycie wilczego dołu. Luna i Marcus krzyknęli, kiedy kościane dłonie chwyciły ich za nogi i wciągnęły pod ziemię.

Nicci pospieszyła im z pomocą, ale w tej samej chwili drzwi się rozpadły i zastępy piaskowych ludzi wdarły się do środka. Nathan i Bannon próbowali ich powstrzymać mieczami. Obaj walczyli w ponurym milczeniu, nie szczczędząc sił.

Czarodziejka poczuła, jak płytki przesuwają się pod jej butami, kiedy rozpadały się fundamenty. Podniosła wzrok, szukając jakiejś drogi ucieczki, i dostrzegła twarde jak żelazo belki biegnące przez sufit. Wiodły do górnego okna, otwartego na noc, i na dach. To była ich jedyna szansa.

– Oset, podrzucę cię tam. Chwyć się belki i przejdź do okna.

Chwyła chudą dziewczynkę. Ta bez sprzeciwu wyciągnęła rękę, a Nicci podrzuciła ją na tyle wysoko, żeby mogła chwycić belkę i zwinnie zaczepić się o nią nogami. Gdy tylko złapała równowagę, ruszyła po belce do okna.

Nicci odwróciła się do mężczyzn.

– Bannonie, Nathanie, musimy się tam dostać.

– Czy i mnie podrzucisz, czarodziejko? – zapytał Nathan i rozłupał mieczem czaszkę kolejnego napastnika. – Wydaje ci się, że umiem latać?

– Nie. Ale za pomocą magii zapanuję nad powietrzem i zmienię twój ciężar. Przesunę cię.

Bez zbędnych ceregieli uwolniła moc i szarpnęła Nathana w górę, tak żeby mógł złapać belkę. Potem to samo zrobiła z Bannonem. Młody człowiek, nie spodziewając się tego, zamachał rękami i nogami i niemal wypuścił miecz, ale udało mu się chwycić belkę i nie stracić Niepokonanego.

Oset dotarła do okna. Mężczyźni, już na belkach, sięgnęli w dół i Nicci podskoczyła, wyciągając ręce, akurat wtedy, kiedy do domu wtoczyła się dziesiątka potworów. Nathan i Bannon zręcznie ją chwycili i wciągnęli na górę.

Piaskowi ludzie wypełnili dom, wyciągali ręce ku wysokiemu sufitowi, ale nie mogli dosięgnąć swoich potencjalnych ofiar.

Oset odwróciła się od okna i wpatrzyła w pusty narożnik, który dopiero co pochłonał jej wujka i ciocię. Łzy płynęły po wąskiej buzi, żłobiąc ślady w pokrywającym ją pyle.

– Wyjdź na dach – poleciała Nicci. – Tam powinniśmy być bezpieczni. – Akurat wtedy fundament domu przesunął się i zaczął kruszyć, jakby konstrukcja zaczęła zmieniać się w pył. – Szybko!

Oset wyszła przez okno i opuściła się na pokryty dachówką dach, Nathan i Bannon poszli w jej ślady z pośpiechem. Nicci, sunąc za nimi po belce, spojrziała w dół na kolejnych piaskowych ludzi wynurzających się spod popękanej podłogi. Ściany znaczyły szybko rozbiegające się szczeliny.

Uświadomiła sobie, że nawet dach nie będzie bezpiecznym miejscem.

Wszyscy czworo usiedli tam, w nocnym powietrzu łapiąc oddech i słuchając głuchego syczenia armii piaskowych ludzi na ulicach Verdun

Springs.

Cały dom Oset zaczął się pod nimi zapadać. Jedna ściana się osunęła, destabilizując dach, i obluzowane gliniane dachówki spadły na ziemię jak wyłamane zęby. Bannon starał się utrzymać równowagę, ale ześliznął się i rozpaczliwie próbował czegoś uchwycić, a dachówki się pod nim zapadały. Udało mu się chwycić belki kotwicznej, Nathan zaś złapał go za koszulę i wciągnął na chwilowo bezpieczne miejsce.

Nicci stała na szczycie dachu, wypatrując drogi ucieczki. Osierocona dziewczynka pobiegła na drugi jego koniec i wskazała na przyległą kamienną budowlę: czworoboczny sklep o płaskim zadaszeniu, zbudowany z kamiennych bloków, a nie z cegieł.

– Tam! To wygląda bezpieczniej!

Budynki dzieliło sześć stóp. Ale wszyscy czworo – niesieni desperacją i być może odrobiną magii – pobiegli po walącym się dachu, skoczyli i wylądowali na płaskim kamiennym budynku.

Za nimi dom Oset się zapadł, ceglane ściany się pokruszyły, dach runął do środka. Dziewczynka patrzyła na to z rozpaczą.

Bannon na o wiele wytrzymalszym budynku tupnął nogą.

– Przynajmniej ten dach jest solidny, wzmocniony. A kamienne ściany tak łatwo się nie zawalą.

Nathan pokazał na otwór w dachu prowadzący do głównego pomieszczenia poniżej.

– Ale oni mogą iść za nami, wyleźć na górę.

Ścigający ich piaskowi ludzie wyrwali niezamknięte na klucz drzwi na dole i wpadli do opuszczonego sklepu. Nieubłagane parli w górę po schodach.

– Dalej jesteśmy w pułapce. – Nicci popatrzyła ku granicom miasta,

kamiennym urwiskom i kanionom na obrzeżu Verdun Springs. – Jeśli się wydostaniemy poza miasto, pomiędzy skały, to piaskowi ludzie nie będą mogli atakować nas spod ziemi. Może tam zdołamy się obronić.

– To o wiele za daleko – powiedział Bannon, z trudem przełykając ślinę.

– A stwory są o wiele za blisko – dodał Nathan.

– Są powolne... chyba że nas wciągną w zasadzkę – stwierdziła Nicci.

Dwaj piaskowi ludzie, charcząc i świszcząc, dotarli na dach. Nicci celnym kopniakiem zrzuciła ich ze schodów, lecz za nimi gramolili się kolejni.

Nicci spojrzała w noc i zdała sobie sprawę, że w mieście zapadła cisza. Już nie było słychać żadnych krzyków.

– Czyżbyśmy tylko my zostali? – wyszeptała Oset.

Czarodziejka nie owijała w bawełnę:

– Tak. Ale wydostaniemy się stąd.

Patrzyli z przerażeniem, jak dwa do niedawna zamieszkane domy osiadają i wałą się, kiedy czary Życiożercy zmieniły cegły w pył.

Rozgniewana Nicci skupiła uwagę na poszarpanych urwiskach – miejscu schronienia, gdzie ochroni ich twardy grunt. Lepiej niż tutaj.

– Bądźcie gotowi – poleciła. – Zestalę piasek jak przedtem, zrobię drugą ścieżkę, po której pobiegniemy, ale nie przetrwa ona długo. No i piaskowi ludzie ruszą za nami tak prędko, jak potrafią. Musimy być szybsi. – Popatrzyła na dziewczynkę. – Dasz radę?

– No pewnie – odparła Oset. – Powiedz kiedy.

Nicci oceniła ewentualne trasy do urwisk. Wskazała:

– Tamtędy. Nie odwracajcie się. W żadnym wypadku się nie zatrzymujcie, po prostu biegnijcie. Utwardzę ziemię, ale przedtem musimy zeskoczyć z dachu.

– Chciałbym napomknąć o moich starych kościach – odezwał się Nathan – ale nie czas na to.

Bannon też pokazał w dół.

– Bardziej mnie martwią *te* stare kości.

Nicci uwolniła magię addytywną i utworzyła płaskie, twarde wysepki z piachu. To one miały im ułatwić przejście, bo zostało jej za mało mocy, żeby zrobić ciągłą ścieżkę. To powinno wystarczyć. Zaczęła od dwóch wysepek.

– Biegiem! – krzyknęła. – Resztę wyczaruję po drodze.

Oset bez wahania zeskoczyła z dachu i wylądowała w pyle. Zanim piaskowi ludzie zdążyli zareagować, wskoczyła na najbliższą wysepkę, a potem na następną. Nicci ruszyła tuż za nią, żeby móc tworzyć ścieżkę w jej tempie.

Nathan i Bannon skoczyli za nimi. Niektórzy z piaskowych ludzi już się zorientowali, co robią ich potencjalne ofiary, i zaroili się wokół pozostałych budynków. Dwa truchła wynurzyły się po lewej stronie Oset, poza wysepką. Nicci prychnęła gniewnie i uderzyła powietrzem, rozbijając napastników na strzępy.

Ale pojawili się następni.

Czarodziejka i dziewczynka biegły ku skałom, Bannon i Nathan trzymali się zaraz za nimi. Uciekali z miasta. Kiedy wreszcie dotarli do skał, Oset zaczęła się wspinać. Pozostali poszli w jej ślady, pięli się po nierównościach urwiska, aż dotarli na względnie bezpieczne twarde podłoże.

Dziewczynka nie zamierzała się zatrzymywać.

– Znam drogę, idźcie za mną. Nigdy nas nie znajdą, jeśli wejdziemy głębiej w kaniony.

Umknęli w noc. Nicci z wysoka obejrzała się przez ramię, akurat żeby

zobaczyć, jak ostatnie ceglane budynki rozsypują się w pył. Potem nawet te kamienne zaczęły się przechylać, w miarę jak grunt pod nimi stawał się sypki, pochłaniał je. Wkrótce wszelki ślad po Verdun Springs na zawsze zginął.



## ROZDZIAŁ 39

Oset, nawet przerażona i zszokowana, odnajdywała drogę przez ciemne pustkowie. Pchana adrenaliną, prowadziła ich w gwiazdnej poświacie po wygładzonych skalnych półkach w głąb kanionów, poza zasięg piaskowych ludzi. Wszyscy byli zbyt wyczerpani i wstrząśnięci, żeby rozmawiać. Dziewczynka najwyraźniej usiłowała przetworzyć to, co właśnie przeżyła i przed czym uszła z szaleńczą determinacją, którą Nicci podziwiała.

Wreszcie dotarli na szczyt urwiska, gdzie służalcy Życiożercy już nie mogli im zagrozić, i Oset przycupnęła na płaskiej skale pod gwiazdami. Patykowate nogi i chude kolana sterczały spod patchworkowej spódnicy, przygarbiła ramiona. Oparła dłonie na podołku i po prostu wpatrywała się w dal.

Nicci stanęła obok niej.

– Wierzę, że teraz jesteśmy bezpieczni. Dziękuję.

Dziewczynka zaczęła dygotać, a Nicci nie wiedziała, jak ją pocieszyć.

Na szczęście podszedł czarodziej i pochylił się nad małą.

– Tak mi przykro, dziecko. To był twój dom, twoja ciocia i wujek...

– Opiekowali się mną – powiedziała drżącym głosem. – Ale większość czasu spędzałam sama. Dobrze się miałam i dalej tak będzie. – Podniosła wzrok z silnym postanowieniem, ale kiedy jej miodowo-brązowe oczy napotkały wzrok Nicci, wypełniły się łzami. Usta znowu jej zadrżały, a ramiona zaczęły się trząść. – Wujek Marcus i ciocia Luna zawsze mówili, że trudno im sobie ze mną poradzić. Że jestem krnąbrna – prychnęła i Nicci dostrzegła jej żelazną wolę. – Nic mi nie będzie.

– Wiem – przytaknęła czarodziejka. – Jestem tego pewna.

Chwilę potem dziewczynka się rozplakała, trąc oczy. Bannon niezdarnie położył jej dłoń na ramieniu, niczym starszy brat. Odwróciła się, przytuliła do niego i płakała na jego piersi. Młody człowiek zamrugał, nie bardzo wiedząc, co robić. Instynktownie też ją objął.

– Zostaniemy tutaj – oznajmiła czarodziejka, rozglądając się po ich górskim azylu. – Można się tu bronić. Rankiem pójdziemy dalej.

– Nigdzie nie jest bezpiecznie – powiedziała Oset twardszym głosem. Otrząsnęła się. – Chyba że z wami. Razem będziemy mieli szansę.

Nicci objęła pierwszą wartę, a pozostali próbowali zasnąć. Podczas panicznej ucieczki zgubili plecaki i podróżny ekwipunek. Nicci mogła ich wspierać magią, ale podejrzewała, że umiejętność przetrwania Oset będzie ważna dla ich misji nawet wtedy, kiedy już się oddalą od rozprzestrzeniającego się pustkowia.

Bannon i Nathan wyciągnęli się na gołej skale, próbując odpocząć. Stary czarodziej, wyczerpany, zasnął twardo, oczy miał na wpół zamknięte. Nicci dostrzegła pomiędzy powiekami błysk białka. Była przyzwyczajona do tego, że czarodzieje śpią z otwartymi oczami; dziwaczny nawyk, niepokojący dla tych, którzy nie byli z nim zaznajomieni. Lecz teraz bardziej ją zaniepokoiło, że oczy Nathana Rahla pozostawały prawie całkiem *zamknięte*. Może to kolejna wskazówka co do tego, ile daru utracił, od kiedy świat się zmienił. Już nie był w pełni sobą. Skąd Red wiedziała, co ich czeka?

Nicci siedziała w ciszy, wpatrując się w gwiazdy, nadal próbując pojąć ich nowe układy, ale nie mogła tam znaleźć żadnego wzorca. Nasłuchiwała podejrzliwie każdego szelestu w zaroślach czy stukotu kamyków, ale odgłosy te wywoływały tylko gryzonie.

Wreszcie miała czas pomyśleć. Dumiała o imperium D'Hary, o rozległym Starym Świecie, tym prawie nieznanym kontynencie, który powinna zwiedzić dla lorda Rahla. Jak ma ocalić świat? Sam pomysł był zabawny.

W tej chwili jej największą troską był Życiożerca – czymkolwiek był. Blizna się rozprzestrzeniała, pochłaniając coraz większe połacie tej krainy. I już na nich napadł, wysyłając tych swoich piaskowych ludzi.

To był jego pierwszy błąd, pomyślała. Teraz to już sprawa osobista.

Musiała się więcej dowiedzieć o złym czarodzieju: jaki miał cel, jak i dlaczego wysłał do sucha mieszkańców doliny i zmienił ich w swoich sługusów. Byłbyż to tylko jego ogromny apetyt? Przywłaszczyć sobie więcej dusz, wchłonąć ich energię? Mroczna magia Życiożercy, na czymkolwiek polegała, rozprzestrzeniała się jak silna trucizna, bardziej zabójcza niż tysiące kwiatów śmiertunek, takich jak ten, który wciąż miała przy sobie w kieszeni.

Wiedziała, że muszą znaleźć miejsce zwane Cliffwall.

Zobaczywszy na własne oczy, jak mieszkańcy Verdun Springs, w tym wujek i ciocia Oset, są wciągani pod ziemię, podjęła mocne postanowienie. Żywiła głęboką nienawiść do niszczenia i zniewalania ludzi. Życiożerca był uosobieniem tyranii, a Nicci uznała, że do jej misji należy też rozprawianie się z takimi zagrożeniami. Proroctwo, nie proroctwo – wiedziała, że właśnie to powinna zrobić.

Dziewczynka obudziła się przed świtem, w pełni przytomna. Rozejrzała się, zobaczyła czarodziejkę i przysunęła się do niej. Długo siedziały w milczeniu, zanim Oset powiedziała:

– Mogę was zaprowadzić do Cliffwall. Spotkacie się tam z uczonymi i zdobędziecie informacje potrzebne, żeby zniszczyć Życiożercę. Nienawidzę go! Zaprowadzę was.

– Wierzę ci – odparła Nicci. – Obydwoje z Nathanem jesteście znawcami magii. Jeśli odpowiedź tam jest, to ją znajdziemy. – Przymrużyła błękitne oczy i popatrzyła na dziewczynkę. – Przymrużę ci, że niezależnie od tego, co zawiera biblioteka, wymyślimy sposób, żeby uwolnić wasz świat od

prześladowcy.

Oset z powagą skinęła głową. W wielkich oczach wezbrały łzy.

– A mogę potem z wami zostać? Ja... nie mam nikogo. – Kiedy na końcu głos jej się załamał, zamaskowała to głośnym chrząknięciem. Odwróciła wzrok, zawstydzona własną desperacją.

Nicci nie wyobrażała sobie, żeby mogli zabrać dziecko – choćby nie wiem jak utalentowane – w trudną podróż do Kol Adair. Ale Oset tyle doświadczyła w jedną noc, że czarodziejka powiedziała „zobaczmy”, nie pozbawiając jej nadziei.

O świcie byli gotowi do drogi. Oset obudziła Bannona i Nathana, potrząsając nimi.

– Dotarcie do Cliffwall może nam zabrać kilka dni, no i kaniony na płaskowyżu to prawdziwy labirynt, ale jeśli pójdziecie ze mną – zmusiła się do uśmiechu – to bezpiecznie doprowadzę was na miejsce.

Bannon związał włosy.

– Nie mamy wody i żywności. Nie mamy też naszych plecaków.

Dziewczynka oparła pięści na postrzępionej spódnicy i zadarła brodę.

– Znajdę to, co nam potrzebne.

I poprowadziła ich szczytem urwiska, a potem w wyżej położoną płataninę kanionów i stromych wzgórz o ściętych szczytach, coraz dalej od niegdyś żyznej doliny zwanej teraz Blizną. Na bezkresnej skalnej płaszczyźnie widać było wypiętrzone czerwone formacje, przypominające kręgosłup jakiegoś mitycznego stwora.

Rozciągał się tutaj oszalamiająco skomplikowany labirynt rozpadlin i kanionów, głębokich parowów opadających w nicość – Nicci nie dostrzegła tu żadnej drogi wyjścia. Stonowane czerwienie i jasne brązy tu

i ówdzie znaczyły plamy ciemnej zieleni – pinie, zarośla jadłoszynów, a nawet wysokie kaktusy. W kanionach pienista jasna zieleń zmieszana z kolczastymi gałęziami wskazywała, gdzie rośnie gęszcz tamaryszków. To była zwykła pustynia z naturalną roślinnością. Rozprzestrzeniająca się skaza, dzieło Życiożercy, nie sięgnęła tutaj... lecz Nicci podejrzewała, że to się wkrótce zmieni.

Nathan osłonił oczy i spojrzał poprzez płaskowyż.

– Przyznaję, że to piękne. – Położył dłoń na skórzanej sakiewce, w której spoczywała jego księga życia, jedna z niewielu rzeczy, które zachował. – Ale przeraża mnie myśl o nanoszeniu tego na mapę. Jak mamy się tu nie zgubić?

Odezwała się Oset:

– Już mówiłam, że was poprowadzę. Pokażę wam, gdzie na tysiące lat ukryto Cliffwall. Zwiedziłam to wszystko. Wiem, którądy iść.

– Obejrzałaś wszystko? – Bannon najwyraźniej nie dowierzał.

Najeżyła się.

– Mam już *jedenaste* lat.

– Nie ma powodu jej nie wierzyć. – Nicci ruszyła za dziewczynką, przeskakując z kamienia na kamień w górę stromego zbocza.

Nathan i Bannon bardzo się starali za nimi nadążyć.

Oset prowadziła ich wąskimi palcowatymi kanionami, a potem znowu w głębsze rozpadliny. Kiedy odpoczywali, dziewczynka trzymała się blisko Nicci i patrzyła w stronę odległego już o wiele mil pustkowia Blizny. Przeciągle i tęsknie westchnęła, miała smutną minę.

– Słyszałam, jak ludzie mówili, jakie te ziemie były niegdyś piękne, z lasami, rzekami, polami. Jak raj, idealne miejsce do życia. Kiedy ciocia i wujek o tym rozmawiali, zaczynali płakać. Podobno wszystko bardzo się zmieniło już po moich narodzinach. To brzmiało tak wspaniale. – Pociągnęła

nosem. – To dlatego wujek i ciocia upierali się, żeby tu zostać. Mówili, że nasza dolina powróci... pewnego dnia. – Popatrzyła na czarodziejkę. – Przywrócisz ją, Nicci, a ja ci pomogę. Tak! Razem będziemy walczyć. Przywrócimy życie tej dolinie.

Dziewczynka okazywała tak niezłomną nadzieję, że Nicci nie chciała jej rozczarować.

– Być może.

Pod koniec długiego dnia wędrówki Oset podprowadziła ich na krawędź szerokiego kanionu i znalazła karkołomny szlak, którym z mozołem schodzili.

– Tam będzie woda i miejsce na biwak.

Istotnie wiedziała, gdzie znajdą idealne schronienie pod skalnym nawisem. Rozpalili tam ognisko z kruchych tamaryszków i jadłoszynów, które dawało ciepło i wonny dym. Mieli tu wodę do picia i umycia się.

O zmierzchu dziewczynka pobiegła w głąb krętego kanionu i po chwili wróciła z czterema jaszczurkami na kolację. Upiekli je w całości. Nicci schrupała też łuskowatą skórę i kości.

Oset prowadziła ich przez trzy dni w głąb płaskowyżu przez pustynny busz, jadłoszyny, bylice i jukki. Wspięli się na wyżyny sporo ponad Verdun Springs, obchodząc pogórze otaczające dolinę, i dotarli na wysoki płaskowyż.

Wreszcie, jakby puchnąc w miarę zwiększania się wysokości, ziemia zaczęła się rozszczepiać na jeszcze liczniejsze głębokie kaniony. Dziewczynka pewnie poprowadziła ich przez ten labirynt – a oni sami nie mieli pojęcia, gdzie są ani czy zdołaliby stąd wyjść po własnych śladach. Nawet wtedy Nicci jej ufała.

Pewnego pięknego poranka dotarli tam, gdzie kaniony się rozszerzały,

a skalne ściany tworzyły ogromne kominy, stojące niczym dziwni, nieforemni wartownicy. Czarodziejka zapytała:

– Ile miałaś lat, kiedy zmarli twoi rodzice?

– Byłam bardzo mała. Wtedy Verdun Springs wciąż miało dużo mieszkańców. Blizna jeszcze nie dotarła do naszego miasta, ale Życiożerca był groźny, chociaż daleko. Pamiętam twarz mamy... była bardzo piękna. Kiedy o niej myślę, to widzę zielone drzewa, szerokie pola, płynącą wodę i piękne kwiaty... Kwiatowy ogród. – Roześmiała się z absurdalnego pomysłu marnowania żyznej ziemi na jakieś tam kwiatki. – Blizna pochłaniała dolinę, a moi rodzice starali się wyszukiwać wszystko, co nadawało się do zebrania. Pewnego razu poszli do sadu migdałowców, bo mimo że drzewa uschły, to zostały migdały. Nigdy nie wrócili... – Oset długo milczała, prowadząc ich wśród ogromnych skalnych kominów. –

Blizna może wydawać się martwa, ale niektóre istoty są złączone z Życiożercą i on ich nie zabija. Przemienia je i wysługuje się nimi.

– Jak piaskowymi ludźmi? – zapytała Nicci.

Oset przytaknęła.

– Ale ma nie tylko ludzi. Także pająki, stonogi i wszy. Okropne, potworne wszy.

Nicci aż skrzyknęło.

– Nienawidzę wszy.

– Wszy też wysysają życie – wtrącił Bannon. – Nic dziwnego, że zły czarodziej je lubi.

– Co zabiło twoich rodziców? – zapytał Nathan.

– Skorpiony. Duże skorpiony oblażyły drzewa migdałowe i kiedy rodzice przyszedli do sadu, spadły na nich i pokłuły. Kiedy wujek Marcus i dwaj inni sąsiedzi poszli ich szukać po wielu dniach, znaleźli ich ciała ze spuchniętymi

twarzami... Życiożerca ich też zmienił w piaskowych ludzi. Moi rodzice zaatakowali wujka. – Zamilkła, nie musiała opowiadać, co tamci trzej musieli zrobić, żeby ujść z życiem. – Potem zostałam z ciotką i wujkiem. Powiedzieli, że się mną zajmą, że będą się mną opiekować. – Głos miała smutny. – Teraz przepadli. Verdun Springs przepadło. – Z trudem przełknęła ślinę. – Mój świat zginął.

– Jesteś z nami, dziecko – powiedział Nathan. – Zrobimy, co w naszej mocy.

Bannon ruszył dalej.

– Tak, jeśli dotrzemy do Cliffwall.

Oset, spojrzeniem szukając otuchy u Nicci, skinęła głową.

– Będziemy tam jutro.

Rankiem dziewczynka poprowadziła ich dnem kanionu. Dolne partie ścian wyglądały tak, jakby zdarzały się tu gwałtowne powodzie, ale jakiś czas temu. Niebo znikało, w miarę jak ściany robiły się coraz wyższe, a kanion węższy; wydawały się urwiste i nie do przebycia.

Czarodziej zmarszczył brwi, starając się coś dojrzeć wśród wydłużających się cieni.

– Jesteś pewna, dziecko, że to nie ślepa uliczka?

– To właściwa droga. – Oset potruchtała naprzód.

Kanion jeszcze się zwęził i Nicci się zaniepokoiła. Poczowała się bezbronna, bo dotarło do niej, że byłoby to wspaniałe miejsce na zasadzkę.

– Jest zablokowany – odezwał się Bannon. – Spójrzcie przed siebie.

– Nie – twierdziła z uporem dziewczynka. – Idźcie za mną.

Zaprowadziła ich tam, gdzie skalne ściany zamykały kanion,



pozostawiając jedynie szczelinę. Oset odwróciła się ku podróżnikom, potem ustawiła bokiem i wcisnęła w otwór.

Zniknęła.

Nicci zbliżyła się i przekonała, że szczelina to sprytnie ukryte przejście, wąski tunel w, zdawałoby się, ślepej ścianie. Zaczęła się przeciskać i zobaczyła przed sobą światło.

Dziewczynka dotarła do końca przejścia i wyszła do rozszerzającego się kanionu. Nicci dołączyła do niej, a kiedy Nathan i Bannon wyłonili się za nimi, wstrzymali oddech.

Wszyscy napawali się widokiem Cliffwall.

## ROZDZIAŁ 40

Za skalnym przewężeniem, ukryta po drugiej stronie ogromnej ściany, znajdowała się sieć kanionów tworząca odcięty świat. Palcowate wąwozy o stromych ścianach, niczym wyciągnięte ręce, przecinały położony wysoko płaskowyż. Nicci i jej towarzysze chłonili widok.

Główny przecinający płaskowyż kanion był szeroki i żyzny, wiał się w nim srebrny potok zasilany przez liczne strumyczki. Owce pasły się na bujnej zielonej trawie, a ogrodzone pola gęsto porastały pszenica i kukurydza. Warzywniki, pełne fasoli i kabaczków, umieszczono w niedużych skalnych niszach, jakimi były usiane urwiska. W drewnianych ulach mieszkały pszczoły, napełniając powietrze delikatnym brzęczeniem. Ludzie pracowali na polach, doglądali stad, wspinali się po drewnianych drabinach na ściany kanionu. To była kwitnąca społeczność.

W skalnych ścianach duże nawisy i wnęki tworzyły osłonięte miejsca, gdzie zbudowano budynki z cegły suszonej na słońcu. W niektórych grotach stały tylko dwa lub trzy domy, na większych wystęпах i nawisach zaś wzniesiono prawdziwe miasto wież połączonych pomostami.

Po drugiej stronie kanionu znajdowała się wyjątkowo wielka jaskinia, a w niej okazałe kamienne budowle o monumentalnych fasadach. Imponująca architektura odznaczała się klasyczną majestatycznością. Nicci uświadomiła sobie, że to musi być legendarne archiwum czarodziejów, odkryte dopiero niedawno.

W ogromnej, łatwej do obrony pieczarze Cliffwall było jak forteca. Kamienne budowle, wysokie na pięć i dziesięć pięter, grube solidne mury z umocnieniami obronnymi. Wąska, kręta ścieżka w klifie, uzupełniona

powiązаныmi linami i krótkimi drabinami, pozwalala się dostać z dna kanionu do groty.

Nathan odchylił głowę i zapatrzył się z zachwytem, z rozdziawionymi ustami.

– To mi przypomina Pałac Proroków. Jakże mi brakuje tamtejszej biblioteki...

Bannon patrzył z takim samym podziwem, jaki Nicci widziała na jego twarzy w Tanimurze.

– Pałac Proroków naprawdę był taki wielki? – zapytał.

Nathan się roześmiał.

– Rozmiar to rzecz względna, chłopcze. Klify z całą pewnością nadają temu imponujący wygląd, ale pałac był co najmniej dziesięć razy większy.

– Dziesięć razy? – powtórzył Bannon. – Słodka Matko Morza, to chyba niemożliwe!

– Nie ma potrzeby porównywać – odezwała się Nicci. – Cliffwall robi wrażenie, no i ma tę zaletę, że jest *nienaruszone*. Może znajdziemy tu potrzebne nam informacje o Życiożercy.

Miejscowi zauważyli już w jasnym świetle dnia przybyszów wyłaniających się z ukrytego przejścia. Dwaj chłopcy na grzędce warzywnej w połowie wysokości klifu zagwizdali, wszczynając alarm. Ostry dźwięk odbił się echem, wzmocniony przez pochyłe ściany kanionu. Mieszkańcy zaczęli się zbliżać.

Nicci pewnie wolałyby przyjrzeć się bliżej budowłom i ocenić obronność Cliffwall oraz ewentualne zagrożenia. Za to Oset wołała i machała do nadchodzących ludzi:

– Hej! Jesteśmy przybyszami z zewnątrz. Musimy zajrzeć do waszego archiwum.

Więcej alarmujących gwizdów dało się słyszeć z budynków w niszach, a w olbrzymiej fortecy dziesiątki ludzi rzuciły się do okien i drzwi. Nicci nie zdołała zatrzymać Oset i dziewczynka dumnie wkroczyła do kanionu, jakby się spodziewała, że ich tu przyjaźnie powitają.

Grupa mieszkańców pospieszyła ku czwórce podróżników. Oset wsparła się rękami pod boki i podniosła głos:

– Jesteśmy tu, bo chcemy pokonać Życiożercę! Przyprowadziłam wam czarodziejkę, dzielnego szermierza i starego czarodzieja!

– Nie wyglądam aż tak staro – powiedział Nathan urażony. – I jestem też prorokiem, nie tylko czarodziejem... Chociaż chwilowo nie mogę korzystać z żadnego z tych talentów. – Postukał się w głowę. – Lecz wiedza nadal tu tkwi.

– Są tutaj, żeby się dowiedzieć, jak powstrzymać rozrastanie się Blizny – ciągnęła Oset.

Nathan popatrzył na zbliżających się ludzi.

– Witajcie! To prawda, że macie wielkie archiwum? Starożytne pisma, które mogą się okazać przydatne w walce ze straszliwym wrogiem, który nęka tę krainę?

Nicci dodała surowszym głosem:

– Informacje, które dadzą nam środki i broń, żeby go pokonać? Potrzebujemy ich.

Jeden z rolników, w średnim wieku, w koszuli upstrzonej źdźbłami i plewami, najwyraźniej oderwał się od koszenia pszenicy.

– Powinniście się zobaczyć z Simonem. Jest starszym uczonym-archiwistą. – Wskazał olbrzymią pieczarę, skąd kilkanaście osób schodziło jedna za drugą wąską ścieżką, żeby ich powitać.

– I z Victorią. Powinni spotkać się z Victorią – dodała kobieta z kokiem

z jasnych włosów obwiązanym szarą chustką; miała szerokie biodra, stwardniałe palce i bicepsy większe niż Nathan i Bannon razem wzięci. – To ona decyduje, jaka wiedza mnemoników zostanie zachowana.

Rolnik strzepnął koszulę i włożył do ust źdźbło.

– Chwila, wszystko zależy od tego, jakich informacji potrzebują.

– Od lat nie widzieliśmy obcych ani uczonych z zewnątrz. Od czasów, kiedy Blizna zniszczyła dolinę – powiedział czerwony na twarzy, rudy pasterz, który nadszedł zasapany i usłyszał końcówkę rozmowy.

– Uczonym przyda się świeża krew – orzekła zwalista kobieta. – Nikt tu nie znalazł sposobu na powstrzymanie Życiożercy. Potrzebna nam pomoc.

– Cliffwall przez tysiące lat skrywał czar kamuflujący – powiedział rudzielec. – I chociaż został złamany, to duchy naszych przodków dręczyłyby nas, gdybyśmy ot, tak przekazali wiedzę jakiemuś obcemu brudasowi, bo o to poprosił! Bardzo zważamy na to, kogo tu wpuszczamy.

– Jesteśmy tu właśnie po to, żeby pomóc – odezwała się Nicci.

– I wcale nie jesteśmy aż tak brudni – dodał Nathan.

– Ja nie jestem obca – sprzeciwiła się Oset. – Obserwowałam was już rok temu, a wy w ogóle się nie zorientowaliście. Tylko ja ocalałam z Verdun Springs.

– Nigdy o nim nie słyszałem – odparł pasterz.

– Bo od zawsze tkwisz w tym kanionie – odcięła się dziewczynka. – Świat się zmienił, kiedy wy się tu ukrywaliście. Wszystko umiera, a wy nawet o tym nie wiecie.

Nicci położyła jej dłoń na ramieniu, żeby ją uspokoić.

– Przyszliśmy tutaj, żeby pomóc. Jeśli będę mieć właściwe informacje, to może znajdę sposób na powstrzymanie waszego wroga.

– I przywrócenie zielonej doliny – dodała z uporem Oset. – Potrafią to

zrobić.

Wszyscy się odwrócili, bo z fortecy-archiwum spieszyła ku nim grupa uczonych odzianych w togi. Miejscowi zaczęli mówić wszyscy naraz:

- Simon, ci ludzie przyszli z zewnątrz.
- Dziewczynka ich przyprowadziła. Mówi, że jest z Verdun Springs.
- Kobieta jest czarodziejką, a mężczyzna czarodziejem.
- I prorokiem.
- Spójrz, Victorio, ta tutaj to czarodziejka.
- Chcą przeczytać nasze zapisy, zajrzeć do naszego archiwum...
- Potrzebni nam nowi uczeni.

Victoria usiłowała uporządkować tę paplaninę, natomiast z grupy wysunął się mężczyzna, najwyraźniej zwierzchnik.

– Jestem Simon, starszy uczony-archiwista Cliffwall. Nadzoruję katalogowanie wiedzy zachowanej tutaj dzięki mądrości przodków.

Nathan uniósł brwi.

– Starszy uczony-archiwista? Jesteś raczej młody jak na takie stanowisko.

Simon wyglądał na około trzydzieści pięć lat, miał gęste brązowe włosy sterczące na wszystkie strony, jako że najwyraźniej nie zadawał sobie trudu, by się czesać. Jego podbródek i policzki porastała rzadka żółtawa broda.

– Jestem wystarczająco dojrzały. I zacząłem młodo, sprowadzono mnie tutaj dwadzieścia lat temu jako wyjątkowy talent z jednego z miast w dolinie.

– Czar kamuflujący przestał działać dopiero pięćdziesiąt lat temu – wyjaśniła korpulentna kobieta, która stanęła obok niego.

Victoria, jak domyśliła się Nicci. Była po sześćdziesiątce, miała siwo-brązowe włosy splecione w warkocz zwinięty w koronę na głowie, gładką twarz z kurzymi stopkami w kącikach oczu, okrągłe policzki krasiał zdrowy

rumieniec. Jej ciepły głos brzmiał dla Nicci jak głos miłej babci z bajek dla dzieci, ale z ostrą nutką.

– Byliśmy strażnikami Cliffwall od wojen czarodziejów, ale dopiero niedawno otworzyliśmy znowu nasze archiwa dla ludzi z zewnątrz. Uczni Simona skatalogowali zaledwie połowę wiedzy – ciągnęła Victoria. – Ale może moi mnemonicy będą mogli wam przekazać to, co chcecie wiedzieć, czerpiąc wprost z naszej pamięci. Jeśli nas przekonacie, że to niezbędne.

## ROZDZIAŁ 41

Simon, Victoria i pozostali szacowni uczeni poprowadzili gości do fortecy-archiwum. Mozolnie się wspinali wąską ścieżką biegnącą zakosami po skalnej ścianie. Nicci oszacowała rozmiary budynków wewnątrz pieczary i starożytna biblioteka wywarła na niej jeszcze większe wrażenie. Wielkie kamienne fasady Cliffwall były o wiele wyższe, niż się jej początkowo zdawało.

– To imponujące – powiedziała, starając się pojąć, jak zdołano wybudować tak gigantyczne miasto w tak odosobnionym miejscu. – Może Pałac Proroków był tylko *pięć* razy większy.

Oset truchtała ścieżką, ani razu nie zmyliła kroku, nie minęła podparcia dla ręki. Zniecierpliwiona zatrzymała się w połowie drogi i odwróciła.

– No, dalej, Nicci. Nie chcesz zobaczyć biblioteki?

Nathan wspinał się i podziwiał budynki, ściany wież, okna i łuki, okazałe główne wejście o wysokości równej dwukrotnemu wzrostowi człowieka.

– Spójrz na te masywne kamienne bloki. Taką fortecę, zwłaszcza w tym kanionie, można było wznieść wyłącznie za pomocą magii.

– Potężnej magii – zgodziła się Nicci. – W pradawnych czasach tyle magii wyeliminowano ze Starego Świata.

Czarodziej przystanął na stromej ścieżce, oparł dłoń o gładką skałę. Skinął głową.

– Istotnie, to dopiero musiało być przedsięwzięcie.

Dziewczynka wdrapała się już do wielkiej pieczary i czekała na nich przed monumentalnymi budynkami.

– Słodka Matko Morza – westchnął Bannon. – Nigdy czegoś takiego nie



widziałem.

Victoria popatrzyła na niego, po jej okrągłej twarzy przemknął wyraz zatroskania.

– Twoja Matka Morza nie ma z tym nic wspólnego, młody człowieku. Jest daleko i nie pomagała w tych wysiłkach. To dzieło ludzkiej pracy oraz życia i energii wielu mających dar czarodziejów.

Simon się obejrzał i ze czcią spojrział na budowle.

– Najpotężniejsi czarodzieje świata przybyli tu potajemnie w czasie swych starożytnych wojen. Zbudowanie i ukrycie tego miejsca zabrało im lata, lecz ryzyko się opłaciło. Imperator Sulachan i jego przeprowadzające czystki wojska nigdy nie odkryli skarbów wiedzy, jakie czarodzieje tu umieścili. Czar kamuflujący trwał przez wieki, całkowicie skrywał Cliffwall przed wścibskimi oczami. Jedynie mieszkańcy kanionów pamiętali, że to miejsce istniało.

– Aż pięćdziesiąt lat temu czar został złamany – powiedziała Victoria z wyraźną dumą. – A teraz wiedza znowu jest dostępna dla wszystkich.

Nicci odwróciła się, żeby spojrzeć na kanion, w którym pogłębiały się popołudniowe cienie. Pasterze spali w namiotach w pobliżu swoich stad na pastwiskach na dnie kanionu. W licznych niszach na przeciwległych ścianach zobaczyła domy rozświetlone lampami i ogniem palenisk. Lecz majestatyczne Cliffwall lśniło jaśniej, bo mający dar uczeni wykorzystywali magię do oświetlania biblioteki.

– Studiujemy i badamy najszybciej, jak potrafimy – powiedział z entuzjazmem Simon.

Wzrok Nicci przyciągnęła najdalsza budowla po prawej stronie pieczary. Wieża była uszkodzona, nadtopiona, jakby kamień zmienił się w wosk. Skała nad nią pochyliła się do wnętrza pieczary i przypominała opadającą powiekę.

Okna były zalepione – wyglądało to, jakby lodowa rzeźba zaczęła się topić, po czym na powrót zamarzła.

Zanim Nicci zdążyła zapytać, co się stało, uczeni otworzyli wielkie drzwi i Simon wprowadził ich przez główną bramę do wnętrza wieży.

– To zaledwie zewnętrzna forteca. Cliffwall to nie tylko to, co tutaj widzicie. We wnętrzu płaskowyzu aż po klify po drugiej stronie rozciąga się sieć tuneli.

W głównym budynku biblioteki sklepienia były wysokie, a ściany z kamienia grube. Kroki na podłodze z błękitnych płytek budziły echa w portyku, gdzie równomiernie rozmieszczone wieczne lampy, palące się dzięki magii, świeciły jasnym światłem. Pod ścianami stały drewniane regały, zapchane najrozmaitszymi tomami, dziwaczną mieszaniną skórzanych grzbietów i zwiniętych zwojów, a nawet wypalanych glinianych tabliczek z odcisniętymi symbolami, których Nicci nie rozpoznawała.

Nathan wodził głodnymi oczami po półkach.

– Nie mogę się doczekać, kiedy zacznę czytać.

Simon się zaśmiał.

– To tutaj? To jedynie drobna część, księgi, które badaczom wydawały się interesujące. Główną wiedzę zgromadzono głębiej, podziemia są o wiele rozleglejsze. Przechowuje się tam wiedzę wszelkiego rodzaju.

Trzy urocze młode akolitki podeszły do Victorii. Miały najwyżej po dwadzieścia lat, ładne buzie i były podekscytowane. Kobieta skinęła im głową z miłym uśmiechem.

– Dziękuję, moje drogie, że do nas dołączyłyście. Przyda się nam wasza pomoc i troskliwość. – Przedstawiła je gościom: – To moje najpilniejsze uczennice, Audrey, Laurel i Sage.

Dziewczęta miały na sobie białe luźne suknie, ciasno przepasane w talii

tkanym paskiem. Każda była piękna na swój sposób. Laurel miała włosy rudoblond, z jednej strony rozpuszczone, z drugiej strony splecione w ozdobny warkocz, oczy zielone, a w wąskich, skorych do uśmiechu ustach błyskały białe zęby. Audrey miała wysokie kości policzkowe, pełne usta i gęste czarne włosy, niemal granatowe. Kasztanowe włosy Sage były gęste i lśniące, a piersi miała najbujniejsze z całej trójki.

Nicci i Nathan uprzejmie je powitali, Bannon zaś głęboko się uklonił i zarumienił z zakłopotania, kiedy dziewczęta zaczęły mu nadskakiwać, poświęcając więcej uwagi niż innym.

Victoria cmoknęła z dezaprobatą.

– Przybysze z pewnością są zmęczeni i głodni, toteż zjemy, zanim wysłuchamy ich opowieści. Przygotujcie dodatkowe nakrycia. Wszyscy właśnie się schodzą na południowy posiłek. – Starsza kobieta się uśmiechnęła. – Mamy pieczoną antylopę, kukurydzę, owoce w miodzie i orzeszki piniowe na deser.

Nicci ze zdumieniem stwierdziła, jak bardzo jest głodna.

– Wspaniale.

Czarodziej szeroko się uśmiechnął.

– To o wiele lepsze niż przeżuwanie pieczonych jaszczurek. – Kiedy Oset łypnęła na niego z irytacją, uniósł przepaszająco rękę. – Nie żebyśmy nie doceniali tamtej strawy, dziecko. Chciałem tylko powiedzieć, że miła będzie odmiana.

W jadalni stały długie drewniane stoły przykryte lnianymi obrusami. Kobiety i mężczyźni w różnym wieku zeszli się na posiłek. Niektórzy cicho rozmawiali, wymieniając się rewelacjami, jakie znaleźli w zapomnianych zwojach. Wielu było tak zaabsorbowanych, że nawet nie zauważyli przybyszów. Pochłonęli mięso i kukurydzę, a potem wrócili do swoich ksiąg,

nie czekając na deser.

Kiedy usiedli na długich ławach, Simon nałożył sobie porcję aromatycznego mięsiwa i podał półmisek Nicci i Nathanowi. Nathan napełnił talerz i powiedział:

– Opowiedz nam, proszę, o Cliffwall. Jak zostało zbudowane i czemu służyło.

Simon uznał to za część powinności uczonego-archiwisty.

– Trzy tysiące lat temu, na początku wielkiej wojny, w Starym Świecie ścigano i zabijano czarodziejów, a magię uważano za podejrzaną. Imperator Sulachan wysyłał oddziały niszczące całą magię, której nie mógł sobie przywłaszczyć. On i jego poprzednicy chcieli, żeby nikt poza nimi nie znał ogromnej wiedzy gromadzonej przez pokolenia. Lecz czarodzieje nie poddali się tak łatwo, przesyłali ostrzeżenia z miasta do miasta, z archiwum do archiwum. Wojska imperatora przewyższały ich liczebnością i czarodzieje wiedzieli, że kiedy przegrają, ich cenna wiedza zostanie zniszczona. Toteż najwięksi mający dar uczeni potajemnie wynieśli ze znanych bibliotek wszystkie księgi o magii i prorocत्वach i ukryli woluminy, których nie można było na czas skopiować.

Oset siedziała na ławie, niezainteresowana rozmową. Nałożyła sobie palcami dokładkę antylopy i kukurydzy. Nie było wątpliwości, że od jakiegoś czasu – a może nigdy w życiu – nie jadła takiego posiłku.

Simon przeniósł wzrok z Nathana na Nicci.

– Czarodzieje-buntownicy znaleźli na płaskowyżu ten labirynt kanionów, gdzie nikt nie byłby w stanie ich wyśledzić. Przez lata, kiedy Sulachan prowadził swoją kampanię, zdesperowani czarodzieje przemycali księgi, zwoje, tabliczki i magiczne artefakty do nowej kryjówki. Zbudowali Cliffwall, żeby zdeponować tu wiedzę, i wielu z nich oddało życie, żeby ją

chronić. Umierali na straszliwych torturach, ale nie zdradzili, gdzie leży kanion. Kiedy księgi zmagazynowano w skalnym labiryncie, czarodzieje zrozumieli, iż nawet odosobnienie kanionu nie uchroni zgromadzonej tu wiedzy. Potrzebowali czegoś skuteczniejszego.

– Bardziej definitywnego – dodała Victoria.

Oczy Simona zaślniły.

– I tak wyczarowali nieprzenikalną osłonę, niewykrywalny kamuflaż, który odgradził pieczarę. Cała forteca została *ukryta*. Wszyscy widzieli jedynie gładką ścianę urwiska.

Victorii chyba nie podobało się to, jak Simon opowiadał.

– Osłona była czymś więcej niż czarem maskującym, była też fizyczną barierą. Nikt nie mógł jej odnaleźć ani przekroczyć. Cliffwall miało pozostać ukryte, póki nie zostaną wygubieni ci, którzy chcieli zniszczyć magię.

Nicci popatrzyła na Nathana.

– Podobnie Baraccus ukrył Świątynię Wichrów. Pospiesznie zebrał najcenniejszą magiczną wiedzę, odsyłając całą świątynię w zaświaty, gdzie nikt nie miał do niej dostępu.

– I dzięki temu tyle wiedzy przetrwało czasy wielkiego zamętu – dokończył Simon. – Bez Cliffwall i czaru kamuflującego wszystko by przepadło podczas Sulachanowych czystek. A tak trwało tu nienaruszone przez tysiące lat.

– Nie tylko dzięki temu – odezwała się lakonicznie Victoria. – Mieliśmy też inną metodę.

Simon niechętnie pozwolił kobiecie przejąć opowiadanie, a sam wziął z półmiska kolbę pieczonej kukurydzy. Zaczął dość hałaśliwie jeść.

– Dokumenty były zamknięte w archiwum – wyjaśniła Victoria – ale pradawni czarodzieje mieli dodatkowy plan gwarantujący, że wiedza nie

zostanie utracona. Postarali się, żeby ktoś zawsze pamiętał. – W jej dobrotliwych oczach pojawił się błysk. – Spośród ludzi żyjących spokojnie w kanionach, będących strażnikami Cliffwall, czarodzieje wybrali nielicznych, którzy byli obdarzeni wyjątkową pamięcią. Mnemoników, którzy, wsparci dodatkowo czarem idealnego przypominania, mogli się wyuczyć i zapamiętać każde słowo niezliczonych dokumentów.

– Po co? – zapytał Nathan.

– No jak to? Żeby pamiętać, rzecz jasna – powiedziała Victoria. – Zanim rzucono czar kamuflujący i odgrodzono Cliffwall, mnemonicy studiowali pisma, notując w pamięci każde słowo. – W jej głosie pojawiła się nutka dumy. – *Jesteśmy żywym archiwum. Pamiętaliśmy przez te wszystkie lata. Tylko my przechowywaliśmy w pamięci wiedzę.*

Nicci przypomniało się, że Richard nauczył się na pamięć całej *Księgi opisania cieni* – linijka po linijce – kiedy był zwykłym leśnym przewodnikiem w Westlandzie. George Cypher kazał mu wyuczyć się całej księgi od deski do deski i palił każdą stronicę, kiedy Richard ją zapamiętał, żeby zły Rahl Posepny nie miał dostępu do treści. I chociaż okazało się, że księga była jedynie błędną kopią, to Richard wykorzystał tę wiedzę, żeby pokonać tak Rahla Posepnego, jak i imperatora Sulachana.

No ale to była jedna książka. Każdy zaś z mnemoników zapamiętał setki tomów. Nicci nie mogła ogarnąć nieprawdopodobnego ogromu ich pracy.

Victoria zabębniła palcami w blat stołu.

– Jestem mnemoniczką, jak i moje akolitki.

Audrey, Laurel i Sage – jak na dany znak – weszły do jadalni, niosąc misy z owocami w miodzie. Młode kobiety nie omieszkały najpierw poczęstować deserem zakłopotanego Bannona, dopiero potem posłały naczynia dookoła stołu, żeby każdy mógł się uraczyć.

Nathan wybrał łśniącą połówkę brzoskwini i delektował się nią, a potem zlizął miód z palców. Popatrzył na Victorię, marszcząc czoło.

– Każde z was zapamiętało tysiące książek? To zadziwiające i trudne do uwierzenia.

Victoria się skrzywiła.

– Nie, jedna osoba nie zapamiętałaby tyle, nawet z pomocą czarów poprawiających pamięć i z naszym talentem. Czarodzieje rozdzielili to zadanie wśród naszych przodków. Każdy z pierwszych mnemoników dostał do nauki wybrane tomy. Ogólnie biorąc, nasi przodkowie zapamiętali większość archiwum, ale księgi były rozproszone w wielu umysłach, a mnemonicy uczyli kolejne pokolenia, coraz bardziej rozpraszając księgi, w zależności od tego, ilu mieli akolitów. – Postukała palcem w skroń. – Niemniej wiedza jest tutaj.

Nicci nie miała ochoty na owoce i podała misę Oset, która zaczęła gmerać w niej palcami.

– Czyli przez tysiące lat uczyliście się ksiąg i je recytowaliście? Niczego nie tracąc? Bez błędów?

Simon powiedział:

– Doświadczony mnemonik szkoli kilku akolitów i ćwiczy z nimi, ucząc ich wiersz po wierszu, tak że zapamiętują każde słowo danego zaklęcia. Dzięki temu mnemonicy są źródłem wiedzy, choćby księgi były zamknięte za nieprzenikalną osłoną. Czar kamuflujący zapewniał nam bezpieczeństwo. – Przerwał, żeby napić się źródlanej wody z kielicha, i otarł usta. Ciężko westchnął. – Niestety, wszyscy czarodzieje obdarzeni mocą pozwalającą zdjąć ów czar zginęli w pradawnych wojnach i nikt nie miał dostępu do ukrytej tutaj wiedzy. Zdawała się na zawsze utracona, odcięta nieprzenikalnym czarem. Nikt nie potrafił go zdjąć.

Victoria mu przerwała:

– Dopóki *ja* nie wymyśliłam, jak to zrobić, tym samym znowu udostępniając archiwa. Pięćdziesiąt lat temu. – Wybrała trzy duże truskawki i szybko je zjadła, po czym serwetką wytarła palce i usta. – Byłam wtedy zaledwie siedemnastoletnią dziewczyną.

Simon powiódł wzrokiem po uczonych przy drewnianych stołach. Wielu z nich było zatopionych w księgach, jedli i uczyli się.

– Tak, to wszystko zmieniło. Mieszkańcy kanionów, po tysiącletnich strzeżenia ukrytego archiwum, zyskali nagle dostęp do tej skarbnicy. Ale cóż mieli z tym począć? Byli prostymi wieśniakami, wiedli spokojne życie. Przez cały ten czas docierało do nich niewiele informacji o zewnętrznym świecie. A nawet mnemonicy potrafili recytować zapamiętane słowa, lecz niekoniecznie rozumieli, co one znaczą. Niektóre księgi napisano w językach, których nikt nie znał.

– Rozumieliśmy wystarczająco dużo – Victoria nieco ostrzejszym głosem przejęła opowieść. – Lecz pojmowaliśmy, że potrzebujemy pomocy. Mieszkańcy kanionu niekiedy handlowali z miastami w wielkiej dolinie, chociaż uważano nas za obcych i barbarzyńców. Wojny czarodziejów dawno się skończyły i z tego, co wiedzieliśmy, w Starym Świecie panował pokój. Toteż kiedy czar kamuflujący przestał działać, postanowiliśmy sprowadzić znawców z zewnątrz. Najlepszych i najpracowitszych uczonych z doliny, którzy wykazywali wymagane uzdolnienia. Byliśmy ostrożni. Zapraszaliśmy wyłącznie wyjątkowe osoby i wprowadzaliśmy tutaj przez labirynt kanionów.

– Krótko mówiąc, w archiwum pracuje teraz stu oddanych pracy uczonych – przerwał jej Simon. – Byłem jednym z tych utalentowanych, którzy kiedyś tu przybyli. Zaproszono mnie, kiedy byłem młody i gorliwy, obdarzony talentem, a potem i zaszczytem przebywania w tym miejscu. Mogłem poświęcić życie odtwarzaniu zapomnianej wiedzy. Byłem biegły w czytaniu



i interpretowaniu, nauczyłem się wielu języków. Po prawdzie osiągnąłem tu znaczną pozycję. – Uśmiech zachwytu zmienił się w zakłopotanie. – Zjawiłem się tu dwadzieścia lat temu, zaraz po ucieczce Życiożercy.

Victoria się zachmurzyła.

– Teraz od lat nie mamy nowych uczonych. Miasta w dolinie zniknęły, pochłonięte przez rozrastającą się Bliznę. – W jej głosie zabrzmiał smutek. – Tylko my zostaliśmy. Spustoszenia powodowane przez Życiożercę jeszcze do nas nie dotarły, ale to tylko kwestia czasu, najwyżej paru lat.

Simon posępnie przytaknął.

– Naszym głównym zadaniem jest zorientowanie się, co mamy w archiwum. Tyle wiedzy, lecz w jakim nieładzie! Nawet po półwieczu ponad połowa nie jest skatalogowana.

– Wszyscy moi mnemonicy pamiętają odrębne tematy – powiedziała Victoria. – Próbowaliśmy wymieniać się informacjami, żebyśmy przynajmniej mogli powoływać się na siebie nawzajem. To ogromna łamigłówka.

W głosie Simona zabrzmiała nutka sarkazmu.

– Tak, i nie zawsze można sprawdzić ze słowem drukowanym to, co mnemonicy pamiętają, jak twierdzą. – Sięgnął po cząstkę pomarańczy w miodzie. – Na szczęście możemy studiować te wszystkie dokumenty i wyspecjalizowani mnemonicy nie są już potrzebni. Całe zespoły uczonych czytają księgę po księdze, studiując i tłumacząc, żeby na nowo przyswoić wiedzę... i ją wykorzystać. Pewnego dnia staniemy się wielkimi czarodziejami, lecz na to trzeba czasu. Wszyscy jesteśmy samoukami, ale niektórzy mają większy dar niż inni. Staramy się znaleźć czar na tyle potężny, żeby zniszczyć Życiożercę. – Z trudem przełknął kęs i odwrócił wzrok. – Jeśli się na to odważymy.

– Czarodzieje samoucy? – Nicci nie dowierzała. – Siostry Światła poświęcały lata na szkolenie mających dar młodych ludzi, jak mają korzystać ze swojej Han, a wy usiłujecie sami się nauczyć? Wykorzystując stare i być może źle przełożone księgi?

Nathan zmarszczył brwi, okazując zatroskanie.

– Niestety i ja się niepokoję, że mnemonicy coś przekręcili, źle przekazywali jakieś słowa z pokolenia na pokolenie. Drobne błędy mogą nie mieć znaczenia w przypadku legend lub opowieści, lecz przy potężnym uroku skutki mogłyby być tragiczne.

Victoria poczuła się urażona. Simon dukał usprawiedliwienia, a Nicci przypomniała sobie nagle uszkodzoną, na wpół stopioną wieżę w pieczarze i wyciągnęła własne wnioski.

– Już popełniliście błędy, nieprawdaż? I to niebezpieczne.

Simon i Victoria byli zażenowani. Uczony-archiwista przyznał:

– Zdarzył się... niefortunny wypadek. Jednemu z naszych ambitnych studentów nie udało się eksperyment i główna sala biblioteczna z prorocत्वami została uszkodzona. Wiele straciliśmy. – Był przygnębiony. – Już tam nie wchodzimy. Ściany się nadtopiły i zeszkliły.

– Mnemonicy pamiętają niektóre z utraconych tomów – powiedziała Victoria. – Zrobimy, co w naszej mocy, żeby je odtworzyć.

Nathan wymienił z Nicci pełne niepokoju spojrzenia, a potem zwrócił się do uczonych:

– Sugeruję, żebyście wykazali ogromną ostrożność. Pewne rzeczy są zbyt niebezpieczne, żeby się nimi bawić. Pierwszy „wypadek” zniszczył budynek czy dwa. Co będzie, jeśli kolejny błąd spowoduje jeszcze większe szkody?

Simon odwrócił wzrok i wstał od stołu.

– Obawiam się, że masz rację. Kolejny z naszych uczonych popełnił

ogromny błąd i przemienił się w Życiożercę. Teraz cały świat ponosi konsekwencje.

## ROZDZIAŁ 42

Po posiłku Simon poprowadził przybyszów w głąb Cliffwall: na tyły kamiennych budowli i w labirynt wydrążonych w rozległym płaskowyzu tuneli. Szerokie korytarze oświetlało mnóstwo magicznych lamp. Nicci miała nadzieję, że to całe ich zabawy z magią. Pomniejsze uroki ognia to jedno, lecz uwolnienie potężniejszej niekontrolowanej magii było o wiele groźniejsze.

Główne budowle fortecy były ogromne, ale podziemia archiwum robiły jeszcze większe wrażenie. W przestronnych sklepionych pomieszczeniach ściany przesłaniały regały zapchane księgami. W kolejnych salach studenci siedzieli w fotelach lub garbili się nad stołami w jasnym blasku lamp naftowych. Na końcu każdego długiego stołu stały kosze pełne zwojów. Drabiny ułatwiały dostęp do woluminów na najwyższych półkach. Panowała atmosfera ciszy i skupienia. Tak wiele osób poświęcało całą swoją energię na odtworzenie utraconej dla świata wiedzy.

– Miejsca takie jak to nazywano głównymi składnicami – powiedział Nathan. – Ogromne księgozbiory ukryte pod cmentarzami, w katakumbach pod Pałacem Proroków lub w starożytnej Casce. – Rozejrzył się z zaciekawionym. – Ta składnica wydaje się o wiele większa niż wszystkie, które wcześniej widziałem.

– A widzicie zaledwie najmniejszą część – odparł Simon. – Pamiętaj, że te archiwa otwarto pięćdziesiąt lat temu, zawierają przytłaczający ogrom informacji, dziesiątki tysięcy bezcennych woluminów. – Rozpostarł ręce. – Nawet po upływie dekad ciągle jesteśmy na etapie katalogowania. To pierwszy ważny krok. Nadal nie wiemy, co tu jest.

Victoria dodała:

– Kiedy pradawni czarodzieje kompletowali to archiwum, musieli się spieszyć, groziła im eksterminacja. Desperacko starali się zachować jak najwięcej wiedzy, zanim Sulachan ją zniszczy. Karawany dostarczały do ukrytych kanionów księgi i zwoje o magii, a jeźdźcy przywozili w jukach wykradzione woluminy, nadpalone manuskrypty uratowane z bibliotek i uczelni spalonych przez siepaczy imperatora. Ponieważ czasu było coraz mniej, najrozmaitsze księgi złożono tutaj i zamaskowano, niewiele uwagi poświęcając ich posegregowaniu. – Odgarnęła z czoła kosmyk włosów. – Mnemonikom przydzielano woluminy nie tyle wedle kategorii, ile stopnia ważności. Toteż jedni mogą znać magię pogodową i prorocтва oraz złowieszcze ostrzeżenia przed magią subtraktywną. Natomiast inni mogli zachować w pamięci wiedzę o tym, jak kontrolować ziemię, glinę i kamień oraz jak panować nad błyskawicami, a może i zmieniać morskie prądy, chociaż jesteśmy daleko od oceanu.

– Niezły galimatias – stwierdził Nathan. – Jak się znajduje konkretną informację?

Simon wzruszył ramionami.

– Przeszukując. To powinność uczonego. Każda wiedza jest użyteczna.

Nicci rzuciła szorstko:

– Pewne informacje są użyteczniejsze od innych. Teraz musimy dowiedzieć się czegoś o Życiożercy. Blizna się rozrasta i należy go powstrzymać.

Simon miał strapioną minę.

– Posłuchaj... albo lepiej będzie, jak ci to pokażę. Wtedy zrozumiesz.

Poprowadził ich korytarzami w głąb płaskowyżu, a potem pod górę, aż znaleźli się po drugiej stronie kanionu. W stromej ścianie otwierało się

naturalne skalne okno wychodzące na wzgórze i rozległą dolinę. Stali i patrzyli na widoczną w oddali ogromną Bliznę.

Było późne popołudnie, zachodzące słońce barwiło horyzont na czerwono. Nicci widziała pustkowie rozprzestrzeniające się koncentrycznie.

– To wszystko niegdyś było piękne – powiedział z westchnieniem Simon.  
– Zielony raj. Póki Życiożerca go nie zniszczył.

Nicci się zachmurzyła, bardziej zdeterminowana niż kiedykolwiek.

– Zanim zaczniemy z nim walkę, musimy wiedzieć, kim on jest, co stanowi źródło jego mocy. Skąd się wziął?

Simon znowu westchnął.

– Był jednym z najambitniejszych uczonych w Cliffwall. Nazywał się Roland.

Bannon wpatrywał się w pustkowie.

– Jeden z was to zrobił?

– Nieumyślnie – powiedziała Victoria, jakby go broniąc. – To był przypadek. Byłam uczoną, mężatką w średnim wieku. Roland od lat pracował w archiwum. Jako jeden z pierwszych przybył tu z zewnątrz po tym, jak złamałam czar kamuflujący.

– Bardzo szanowaliśmy Rolanda – wtrącił Simon. – Chciałem być taki jak on. Każdy chciał. Był w Cliffwall pierwszym uczonym-archiwistą. Lecz nawet najwięksi uczeni cierpią na ludzkie przypadłości. – Potrząsnął głową. – Roland nie był stary, ale zapadł na wyniszczającą chorobę, która go osłabiała i wyniszczała. Guzy rosły w nim niczym czerwie. Nasi najlepsi uzdrowiciele nic nie mogli zrobić.

Victoria przejęła opowieść:

– Straszliwie cierpiał, słabł i wiedział, że długo nie pożyje. Wszyscy to wiedzieliśmy. Oczy mu się zapadły, policzki wklęsły, ręce drżały. Miał

wielki umysł i byliśmy w rozpacz, że go stracimy. Wydawało się, że nic się nie da zrobić. Ale Roland nie pogodził się z chorobą. Nie poddał się. Po prawdzie bał się umrzeć i postanowił się ratować za wszelką cenę. Mówił, że ma jeszcze dużo roboty. – Z trudem przełknęła ślinę. – Rozpytywał, próbując znaleźć osobę mającą wiedzę, której szukał. Studiował zwoje i księgi, rozpaczliwie poszukując możliwości czerpania energii potrzebnej do zwalczania choroby. I tak znalazł zakłęcie, niebezpieczne zakłęcie, które miało mu pozwolić wchłaniać życiową energię i utrzymać się przy życiu. Jeden z moich mnemoników je sobie przypomniał, przynajmniej częściowo, i to dało mu wskazówkę do poszukiwań w nieskatalogowanych zbiorach. Wiedział, że to nierozsądne, lecz nie zwierzył się nikomu. Wiedząc, że wkrótce umrze, bez wahania rzucił zakłęcie energii życia, chociaż nie pojmował, co robi. Połączył się z nim, żeby móc czerpać ze świata przejawy życia i odmładzać swoje chore ciało. – Victoria tak mocno zacisnęła wargi, że aż zbieleły. – I podziałało. Roland był słaby, wychudzony, na skraju śmierci... ale odzyskał siły. Zakłęcie uczyniło cuda. Przywróciło mu zdrowie. Pamiętam to. – Jeszcze bardziej się zatroskała. – Lecz on nie wiedział, jak to powstrzymać. Nie panował nad tym.

Simon jej przerwał:

– Pamiętam tamte dni narastającego strachu. Akurat przybyłem jako uczeń. Roland czuł się winny, był przerażony tym, co się z nim działo, co czynił innym. Wysysał z otoczenia coraz więcej życia, czy tego chciał, czy nie. Staraliśmy się mu pomóc. Przyjaciele stanęli u jego boku, zaofiarowali wsparcie, obiecywali, że pomogą rozwiązać problem. Lecz każdy, kto go dotknął, *umierał*. Roland kradł im życie i sam je wchłaniał. Wszyscy zaczęliśmy słabnąć.

– Zabił mojego męża – powiedziała Victoria. – Żeby nas chronić, Roland uciekł z Cliffwall. Nie mogąc kontrolować zaklęcia, które sam rzucił,

wyjechał daleko, do odludnej doliny, z dala od miast... choć nie dość daleko. Miał nadzieję dożyć tam swoich dni i już nikogo nie skrzywdzić. Lecz zaklęcie trwało, niepowstrzymane, nienasycone. Roland był jak gąbka, wchłaniał życie z lasów, z łąk. Samo jego istnienie zabijało drzewa, wysuszało rzeki. Spustoszenie rozprzestrzeniało się coraz bardziej wokół miejsca, gdzie osiadł, niczym rozrastająca się blizna. Zniszczył pola. Starł z powierzchni ziemi całe miasta. – Wyprostowała się, otarła ręką oczy. – On tego nie chciał.

Nicci pomyślała o rodzinie Oset, o Verdun Springs, o tym, jak mieszkańcy czepiali się swego ciężkiego życia, a w końcu i tak zginęli.

– Jego intencje nie mają znaczenia. Pomyśl o szkodach, jakie wyrządził. Należy go powstrzymać, bo inaczej ta jego bezdenne magiczne studnia pochłonie świat.

Simon dodał:

– Uczni z Cliffwall latami wertowali księgi, wypróbowywali każde zaklęcie wygaszające, jakie znaleźli. Lecz nikt nawet nie zbliżył się do względnej skuteczności.

Noc gęstniała nad wymarłą doliną. Nathan wpatrywał się w Bliznę, obserwował przesuwane się cienie.

– Nie spodziewam się, że wiecie, jak powstrzymać tak potężnego wroga. Wszyscy jesteście niewyszkolonymi czarodziejami. Przeczytaliście księgi, lecz nigdy nie byliście *szkoleni* przez czarodzieja i nigdy nie dowiedliście swoich zdolności. Nie należy ufać niewypróbowanym magom.

– Zrobiliście, co w waszej mocy – odezwała się Nicci. – Teraz my przeprowadzimy poszukiwania. Jeśli to archiwum jest tak zasobne, jak mówicie, to musi zawierać kontrzaklęcie. Musimy po prostu je znaleźć.

– Zrobimy wszystko, żeby wam pomóc – stwierdził Simon. – Lecz po...



różnych wypadkach baliśmy się samodzielnie wypróbować radykalne metody.

– Rozsądnie – przyznał Nathan. – Ale należy coś zrobić.

– Po to tu jesteśmy – powiedziała Nicci i na koniec przyznała: – Żeby ocalić świat.

Dziewczynka powiedziała tęsknie:

– Chcę zobaczyć taką dolinę jak dawniej. Żyzne ziemie, zielone pola, wysokie lasy.

Nicci spojrzała na nią.

– Zobaczysz.

## ROZDZIAŁ 43

Chociaż Nicci chciała rozpocząć poszukiwania sposobów pokonania Życiożercy, to zdawała też sobie sprawę, że są wyczerpani długą podróżą. Na zewnątrz zapadła ciemna noc.

– Zaprowadzimy was do przygotowanych pokoi – powiedziała Victoria. – Musicie wypocząć. – Spojrzała na Oset. – Dziewczynce przyda się sen.

– Wcale nie jestem śpiąca. Pomogę. – Popatrzyła na Nicci ze zdecydowaniem. – A jutro mogę czytać razem z tobą.

– Umiesz czytać? – zdziwiła się czarodziejka.

– Znam litery i potrafię przeczytać wiele słów. Będę w tym lepsza, jak mnie podszkolisz. Szybko się uczę.

Nathan zaśmiał się dobrodusznie.

– Drogie dziecko, cenię takie chęci do nauki, ale to ambitny cel. Nawet ja nie znam niektórych spośród tych języków i alfabetów.

Nicci przyjrzała się zakurzonej dziewczynce, jej lśniącem, inteligentnym oczom.

– Kiedy Siostry szkoliły mnie w Pałacu Proroków, ponad czterdzieści lat uczyłam się podstaw.

Dziewczynka była zdumiona.

– Nie chcę się uczyć ponad czterdzieści lat! – zaprotestowała.

– Nikt nie chce, ale ty jesteś mądrą dziewczynką. Ponieważ szybko się uczysz, to może wystarczy ci czterdzieści lat. – Oset nie od razu się zorientowała, że Nicci żartuje. Potem czarodziejka podjęła już poważniej: – Musimy pokonać Życiożercę dużo wcześniej, bo inaczej zniszczy świat.

Victoria ich napomniała:

– Teraz wypocznijcie, jutro zaczniecie. Dla każdego przygotowaliśmy osobną kwaterę. Są skromne, ale przestronne. Rozgościcie się i odpoczniecie.

– Straciliśmy prawie wszystko, kiedy osadę zaatakowali piaskowi ludzie – powiedział Bannon. – Zostały nam głównie ubrania na grzbietach.

Victoria, ciepło się uśmiechając, obiecała:

– Dostarczymy wam czystą odzież z magazynów Cliffwall, a wasze ubrania upierzemy i zacerujemy.

Kobieta zaprowadziła ich do komnat głęboko wewnątrz płaskowyzu, chłodnych i suchych. W niewielkich niszach w kamiennych ścianach płonęły woskowe świece, dając ciepły żółty blask i wydzielając delikatny słodki aromat. W każdym pokoju znajdowały się pulpit do czytania, owcza skóra na kamiennej podłodze, nocnik, dzban z wodą i wąskie łóżko. Czekala też na nich czysta, luźna odzież.

Victoria przygotowała zadziornej dziewczynce osobną kwaterę, ale mała poszła za Nicci do jej pokoju. Podskoczyła parę razy na wypchanym słomą sienniku.

– Miękkie, ale może kłuć, wolę spać na podłodze. Ty możesz spać na tym. Owcza skóra mi wystarczy, ogrzeje mnie. Będę w pobliżu, gdybyś mnie potrzebowała.

Chociaż dziewczynka wydawała się zadowolona, Nicci zapytała:

– Czemu nie chciałaś własnego pokoju? Mogłabyś spać, jak długo byś zechciała.

Oset wlepiła w nią miodowo-brązowe oczy.

– Powinnam się trzymać blisko. A gdybyś potrzebowała obrony?

– Nie potrzebuję obrony. Jestem czarodziejką.

Ale dziewczynka usiadła ze skrzyżowanymi nogami na owczej skórze

i szeroko się uśmiechnęła.

– Dodatkowa para oczu zawsze się przyda. Będę cię ochraniać.

Mała najwyraźniej nie chciała być sama, chociaż za nic by się do tego nie przyznała.

– Dobrze, strzeż mnie, jeśli chcesz – przystała Nicci, pamiętając, co przeżyła dziewczynka. – Ale jeśli masz mnie skutecznie chronić, to powinnaś porządnie wypocząć.

Kiedy się przebrały, u drzwi pojawił się jeden ze służących, żeby zabrać ich ubrania. Odzienie dziewczynki wymagało dużo pracy, podobnie jak suknia Nicci. Czarodziejka podała służącemu odzież i przejrzała nieliczne rzeczy, jakie udało jej się uratować z Verdun Springs.

Oset, chętna do pomocy, ułożyła je na pulpicie – długi ostry nóż, kawałek sznura, niemal puste torby z żywnością. Dziewczynka, chociaż zmęczona, nie przestawała paplać.

– Nigdy nie miałam rodzeństwa. Masz rodzinę? – Drobna buzia była jednym wielkim znakiem zapytania. – Miałaś kiedyś córkę?

Nicci ułożyła pościel na swoim posłaniu. Odwróciła głowę, żeby spokojnie obmyślić właściwą odpowiedź. Córkę? Kogoś takiego jak Oset? Nigdy nie przyszło jej to na myśl, przynajmniej od długiego czasu. Dotknęła dolnej wargi, gdzie niegdyś nosiła złote kółko.

– Nie, nigdy nie miałam córki. – To powinna być prosta odpowiedź i Nicci była zdumiona, czemu się wahała. – Nigdy nie było na to miejsca w moim życiu.

W tamtych czasach, kiedy to Jagang tyle razy rzucał ją swoim żołdakom lub sam ją gwałcił, Nicci z pewnością mogła zajść w ciążę, lecz dzięki swojej mocy nigdy nie musiała się tym martwić. Zawsze się przed tym chroniła. Bardzo wcześnie nauczyła się niczego nie odczuwać – żadnej namiętności,

żadnej miłości.

Dziewczynka oglądała rzeczy, które Nicci wcześniej wyjęła z kieszeni starej podróźnej sukni, pasa i sakiewki. Rozwinęła płócienne zawiniątko.

– O, kwiatek! – zachwyciła się, patrząc na fioletowo-szkarłatne płatki. – Przez całą drogę niosłaś kwiatek?

Nicci natychmiast zabrała zawiniątko z zasuszonym kwiatem sprzed nosa wystraszonej dziewczynki.

– Nie dotykaj tego! – Jej serce prawie oszalało.

Oset się wzdrygnęła.

– Przepraszam! Nie chciałam go zniszczyć. Ja... – Odchrząknęła. – Musi dla ciebie wiele znaczyć. To podarek od zalotnika?

Nicci zmrużyła błękitne oczy, rozbawiona tym pomysłem. Bannon faktycznie dał jej kwiat w romantycznym geście – ale od razu rozwiała jego nadzieje.

– Nie, wcale nie. Śmiertunki są bardzo trujące, to jedna z najsilniejszych znanych trucizn, ogromnie niebezpieczna. – Na powrót ostrożnie zawinęła kwiat w płótno i położyła w najwyższej niszy nad swoim posłaniem. – Powodują powolną i straszną śmierć. Może najokrutniejszą.

Dziewczynce najwyraźniej ulżyło.

– Chronisz mnie! I będę bezpieczna. Bo ochraniający się nawzajem. – Ułożyła po swojemu owczą skórę na kamiennej podłodze, gotowa zwinąć się w kłębek i zasnąć.

Nicci zdmuchnęła jedną świecę, ale zanim zdążyła zgasić drugą, Oset zapytała:

– Skoro ta trucizna jest taka groźna, to może zabiłaby Życiożercę?

– Sądzę, że na to jest za słaba.

Dziewczynka kiwnęła głową. Owinęła się skórą i umościła na twardej podłodze, upierając się, że jest jej całkiem wygodnie.

– No to będziemy musieli znaleźć inny sposób.

Nicci czarem zgasła świecę na przeciwległej ścianie i pokój pogrążył się w ciemności.

Nathan, chociaż nie mógł się doczekać, kiedy zajrzy do wspaniałych ksiąg i zwojów, po raz pierwszy przespał tej nocy wiele godzin. Po raz pierwszy od bardzo dawna było mu ciepło i wygodnie, czuł się bezpieczny.

Obudził się wypoczęty i pospieszył do jadalni, gdzie znalazł resztki śniadania, bo większość uczonych zjadła dużo wcześniej i ruszyła do pracy. Pożyczona toga była wygodna, chociaż bez wyrazu i zupełnie nieelegancka. Ale musiał się nią zadowolić, póki lepsze stroje nie wrócą z prania i cerowania. Na razie chciał się zająć buszowaniem w bibliotece w nadziei, że gdzieś wyczyta, jak złamać nienasycony, niedający się kontrolować czar Życiożercy.

W pierwszej sali przyjrzał się całej ścianie grubych, oprawnych w skórę tomów. Jak ich dużo! Na stołach leżały rozwinięte zwoje, a zaaferowani uczeni omawiali możliwe znaczenia niejasnych wersów; inni pochylali się nad otwartymi księgami, zapisując coś kredą na tabliczkach.

Kiedy tak patrzył na oszałamiającą ilość ksiąg zapełniających regały także na innych ścianach – i wiedząc, że w Cliffwall jest wiele identycznych sal – zakres zgromadzonej tu wiedzy wydał mu się tak przerażający, jak i emocjonujący.

W Pałacu Proroków przez tysiąc lat księgi były milczącymi towarzyszkami Nathana, źródłem informacji o zewnętrznym świecie. Ostatnio Richard Rahl pozwolił mu korzystać z całego księgozbioru w Pałacu

Ludu w D'Harze, lecz większość tych tekstów dotyczyła prorocstw, toteż nie miały już znaczenia. Teraz przyszłość świata mogła zależeć od tego, co wyczytają tutaj.

A było tego o wiele więcej niż zagadkowy wpis w jego księdze życia.

W otoczeniu tych ksiąg czuł się tak, jakby znowu wrócił do domu – chociaż był to ogromny dom i panował w nim przeraźliwy bałagan.

– Drogie duchy, jak tu znajdę jakąś informację? Chyba tylko przypadkiem.

Chodził przed regałami i namyślał się, akolici archiwiści zaś zwijali zwoje lub odkładali księgi na miejsce.

Podeszła do niego Victoria w towarzystwie swych trzech uroczych akolitek.

– Wraz z moimi mnemonikami jestem tu, żeby ci pomóc, czarodzieju Nathanie. System katalogowania Simona jest ogromnie skomplikowany i tylko on jeden wie, gdzie stoją księgi. Lecz zapamiętałam wiele z tych tekstów, a każda z moich akolitek przechowuje w pamięci ponad sto ksiąg. Mogę także przyprowadzić Glorię, Franklina i jeszcze dziesiątkę dobrze wyszkolonych mnemoników. Usiądziesz sobie, a my wyrecytujemy ci zapamiętane księgi.

Nathan uznał za zadziwiające, iż te młode kobiety – a i każdy z mnemoników – potrafiły zapamiętać tysiące stron precyzyjnej wiedzy o magii, nawet jeśli jej nie uporządkowały i może nie rozumiały słów.

Audrey, Laurel i Sage patrzyły na niego tak uporczywie, że się zarumienił. Obdarzył Victorię uprzejmym uśmiechem.

– Podziwiam twoje umiejętności, pani, i z pewnością byłoby mi miłe towarzystwo tak pięknych dziewcząt, lecz obawiam się, że by mnie rozpraszały. Wiele lat sam czytywałem księgi i w ten sposób powinienem też

szukać informacji.

Dobroduszna twarz Victorii skrzywiła się z niezadowoleniem.

– Pokolenia mnemoników były ogromnie cenione. Posiadamy potrzebną wiedzę. Jeżeli nam powiesz, czego szukasz, możemy ci zacytować odpowiednie ustępy. – Lekceważąco machnęła ręką. – Te księgi to jedynie martwe podłoże dla słów. My dałybyśmy ci żywe słowa. Opowiedziały wszystko, co wiemy.

Namolność tej kobiety krępowała Nathana, chciał pracować po swojemu.

– Obawiam się, że to nie jest zbyt praktyczne. Nie mogę się zapoznawać z taką ilością wiedzy zamkniętej w waszych umysłach i nie mam czasu słuchać recytowania każdej księgi po kolei. – Przesunął palcami po dziwnych symbolach na grzbiecie jednego z czarnych tomów. – Niektóre z tych ksiąg są napisane w językach, których nie rozpoznaję, lecz biegle znam wiele innych. Potrafię całkiem szybko czytać.

– Ale nie wszystkie księgi będą dla ciebie dostępne – powiedziała Victoria. – Widziałeś wieżę archiwum nadtopioną w... wypadku. Wszystkie tamtejsze woluminy przepadły.

– Twoje akolitki je pamiętają? – zapytał Nathan.

Dziewczęta przytaknęły. Victoria dumnie uniosła brodę.

– Wiele. Nie wiemy dokładnie, co zginęło. W większości były to teksty o prorocत्वach, lecz wiele błędnie sklasyfikowano.

Nathan westchnął z ulgą.

– Proroctwa? No cóż, po przemieszczeniu się gwiazd proroctwa zniknęły i zawartość tych tomów miałaby niewielkie znaczenie. Proroctwo na nic się nam nie przyda, nie pomoże zniszczyć Życiożercy.

Lecz nie tak łatwo zlekceważyłby przepowiednię Red: *A czarodziejka musi ocalić świat.*



Victoria nie potrafiła ukryć oburzenia jego postawą.

– Jeśli naprawdę sobie tego życzysz, to zostawimy cię samego. Moi mnemonicy zawsze mogą służyć pomocą. Potrafimy przywołać wiele tekstów, których Simon i jego uczeni jeszcze nie przeczytali.

Nathan posłał kobiecie swój najśłodszy uśmiech.

– Dziękuję. Wszyscy w Cliffwall są tacy wspaniałomyślni. Jeżeli informacja jest tu zamknięta, to znajdziemy ją i wykorzystamy do pokonania Życiożercy. – Ukrył zażenowanie, bo uświadomił sobie, że przez swój nieszczęsny brak daru nie na wiele się przyda w walce ze złym czarodziejem. – Nicci jest potężną czarodziejką. Nie możecie jej nie doceniać. Nazywano ją Panią Śmierci, siała postrach w całej krainie.

Victoria przybrała skwaszoną minę. Najwyraźniej była z tych ambitnych.

– Pani Śmierci? Śmierci już nam nie trzeba. Miejmy nadzieję, że przywróci *życie* naszej dolinie.

Odeszła ze swoimi akolitykami, zostawiając go z chaotycznie poustawianymi księgami, zwojami i tomami. Nie wiedział, gdzie zacząć poszukiwania czaru, który stworzył Życiożercę, ani gdzie znaleźć odpowiednie kontrzakęcie.

Lecz miał inne ważne cele. Jeśli zdołałby odzyskać dar, mógłby u boku Nicci walczyć z Życiożercą. Gdzieś w bibliotece musi być informacja o tym, jak i dlaczego utracił moc, a może i dokładna mapa pokazująca drogę do Kol Adair. Wszystko się ze sobą łączyło.

Przeszedł wzdłuż regałów z jednej strony wielkiej komnaty na drugą, wodząc palcami po grzbietach oprawnych w skórę woluminów.

Wybrał na chybił trafił jedną z ksiąg, zaniósł na stół i usiadł przy młodej uczoney, tak zagłębioj w lekturze, że nawet nie oderwała oczu od tekstu. Otworzył księgę i przesunął wzrokiem po ręcznie pisanych symbolach na

stronicy, nie bardzo wiedząc, czego szuka, ale przekonany, że i tak znajdzie użyteczną informację.

## ROZDZIAŁ 44

Nathan zapoznawał się z niezliczonymi woluminami ocalonej magicznej mądrości, Nicci zaś uznała, iż przyda się jej wiedza z pierwszej ręki o Życiożercy. Sama była znakomitą uczoną i chciała własnymi oczami spojrzeć na Bliznę.

Bannon był niespokojny, krążył po cichych korytarzach olbrzymiego archiwum. Ćwiczył sam, harcując z mieczem w obszernych holach, bo jego mentor był zajęty w bibliotece. Skakał, brał zamachy i okręcał się w korytarzach. Przestraszył paru rozkojarzonych uczonych, walcząc z własnym cieniem i zazwyczaj go pokonując.

Kiedy Nicci zaproponowała ostrożne zwiady na terenie Blizny, żeby się czegoś dowiedzieć o Życiożercy, chłopak nie przepuścił takiej okazji. Uniósł miecz.

– Idę, czarodziejko. Niepokonany i ja będziemy cię chronić.

Oset, zawsze u jej boku, najeżyła się, słysząc tę zapowiedź.

– To ja chronię Nicci.

– Nie potrzebuję ochrony, ale możesz ze mną iść, Bannonie Farmerze. Mogą się trafić piaskowi ludzie, z którymi trzeba będzie walczyć. – Popatrzyła na dziewczynkę. – A ty zostaniesz tutaj, gdzie jest bezpiecznie.

– Nie chcę być bezpieczna. A poza tym najbezpieczniejsza jestem przy tobie.

Nicci potrząsnęła głową.

– Bannon i ja idziemy na rekonesans, wrócimy za dzień lub dwa. Ty zostajesz.

W oczach dziewczynki błysnęło rozczarowanie, ale przestała protestować.

Pobiegła poszukać Nathana i sprawdzić, czy nie potrzebuje jej pomocy.

Nicci znowu włożyła swoją podróżną suknię, wypraną i pocerowaną. Mieszkańcy Cliffwall dali im plecaki, wodę i prowiant, potrzebne na tę wyprawę.

Zanim wyruszyli na pustkowie, Simon dołączył do nich przy zewnętrznej ścianie płaskowyżu, po której mieli zejść na pogórze.

– Większość tych, co idą szukać Życiożercy, nigdy nie wraca – powiedział.

– Nie mamy zamiaru teraz z nim walczyć – odparła Nicci. – Po prostu się rozejrzemy, wybadamy jego środki obrony. A kiedy wrócę z informacjami, będę mogła pomóc Nathanowi szukać w woluminach tego, co okaże się nam potrzebne.

Obydwoje z Bannonem opuścili Cliffwall wczesnym rankiem, wychodząc z przeciwległej strony płaskowyżu na stromą, krętą ścieżkę prowadzącą na pogórze, gdzie roślinność ginęła, w miarę jak rozrastało się pustkowie Życiożercy. Niskie jadaloszyne i pinie się pochylały, jakby konały powolną śmiercią od trucizny. Kolczaste zielska wczepiały się w ich ubrania, kiedy tak schodzili. Czarne żuki biegały po ziemi, a pająki wisały żałośnie w pustych sieciach.

O wiele dalej w dolinie ziemia była spękana, jałową pustynią. Nicci usiłowała sobie wyobrazić tę rozległą krainę pełną pól, tętniących życiem miast i ruchliwych dróg. Wszystko to przez ostatnie dwadzieścia lat pochłonął pył. Z pogórza fale nadciągającego spustoszenia były równie wyraźne jak zmarszczki na powierzchni stawu.

Przymrużyła oczy, patrząc ku centrum krateru.

– Tam będzie Życiożerca. Podejdziemy tak blisko, jak się da, zbierzemy informacje. Lecz prawdziwą walkę odłożę do czasu, kiedy się dowiem, jak go

zabić.

Bannon spojrział ku ich celowi, a potem krótko kiwnął głową.

Zanim wyszli spośród ostatnich wzgórz, Nicci usłyszała za sobą szelest krzaków, stukot kamyka, trzask suchej gałęzi jadaloszyunu. Bannon gwałtownie się odwrócił, unosząc miecz, a Nicci przygotowała się do walki.

Rozsunęły się suche gałęzie pinii i ukazała się Oset. Rozejrzała się wokół, zobaczyła Nicci i uśmiechnęła się.

– Wiedziałam, że w końcu was dogonię.

– Mówiłam ci, żebyś została – powiedziała Nicci.

– Mnóstwo ludzi mówi mi różne rzeczy. Sama decyduję.

Czarodziejka wsparła się pod boki.

– Nie powinno cię tu być. Wracaj do Cliffwall.

– Idę z tobą.

– Nie, nie idziesz.

Dziewczynka najwyraźniej nie miała zamiaru usłuchać.

– Znam te ziemie. Przeżyłam tu całe życie. Zaprowadziłam was do Cliffwall, prawda? Beze mnie nigdy byście go nie znaleźli. Umiem o siebie zadbać i mogę też zadbać o ciebie. – Oparła dłonie na biodrach, naśladowując pozę Nicci. Uśmiechnęła się wyzywająco. – Jak mnie powstrzymasz, jeśli zechcę za wami iść?

– Magią – odparła natychmiast Nicci.

Dziewczynka się naburmuszyła.

– Nigdy nie użyłabyś czarów przeciwko mnie.

Jej pewność siebie sprawiła, że Nicci drwiąco się uśmiechnęła.

– Nie, chyba bym tego nie zrobiła. I świetnie wiem, jaka jesteś użyteczna na odludziu, może nawet bardziej niż Bannon.

Młody człowiek poczerwieniał.

– Ale udowodniłem swoją przydatność w walce. Przypomnij sobie, ilu piaskowych ludzi zabiłem w Verdun Springs, a przedtem selka.

– Może będziesz musiał walczyć i zabić jeszcze więcej wrogów. – Nicci nie zamierzała marnować więcej czasu. – No dobrze. Pójdziemy razem na zwiady i szybko wrócimy. Bądźcie czujni. Nie wiemy, czym dysponuje Życiożerca.

Zeszli ze wzgórz i ruszyli spękanymi kanionami do Blizny. Wiatr wzbijał z suchej ziemi biały, słonawy pył i Bannon kaszłał, ścierając go z twarzy. Nicci piekły oczy. Jej czarna suknia miała białe i jasnobrązowe plamy od tego alkalicznego pyłu. Oszczędzali wodę, wiedząc, że nie znajdą jej na tym pustkowiu.

Zdawało się, że zdewastowana ziemia staje się coraz bardziej gniewna, w miarę jak zagłębiali się w Bliznę. Kiedy opuścili szerokie koryta wyschniętych rzek, będące teraz jałowymi parowami, słońce zaczęło mocno przypiekać. Oprószone solą głazy sterczały z ziemi, a po okrągłych jeziorkach został jedynie spękany muł. Widzieli też upiorne małe trąby powietrzne.

Znużeni i czujni w tym nieprzyjaznym otoczeniu prawie nie rozmawiali i rzadko przystawali, żeby odpocząć. Kiedy pili, żrący pył na wargach nadawał wodzie okropny smak.

Kiedy poszli dalej, z rozpadlin w ziemi zaczęły się wydobywać opary z podziemnych kanałów. Nicci wyczuła spaleniznę i siarkę. Bulgoczące błotniste kałuże wyglądały jak otwarte rany, gnijące i wydzielające odór zepsutych jajek. Oset skakała z kamienia na kamień, wyszukując dla nich bezpieczną trasę.

Unoszący się w powietrzu pył sprawiał, że słońce późnego popołudnia

wyglądało jak nabrzmiałe. Nicci niepokoiło to, że będą musieli spędzić noc na Bliźnie.

– Minęło wiele godzin, odkąd widzieliśmy choć jakieś obumarłe drzewko – odezwał się Bannon.

– Znajdziemy schronienie wśród głazów – stwierdziła Nicci. – A może będziemy musieli iść całą noc. Wyczaruję światełko na dłoni, oświetli nam drogę.

Dziewczynka była niespokojna.

– Nocą wychodzą rozmaite niebezpieczne stwory.

Bannon nieufnie się rozejrzył, ale siarkowe wyloty z bulgoczących błotnych studni tworzyły w powietrzu gęstą zawiesinę. Te dźwięki zamaskowałyby każdy ukradkowy ruch.

– Możemy zostać napadnięci w każdej chwili, czy to w dzień, czy w nocy – powiedziała Nicci.

Kiedy się zastanawiali, co robić, poruszyła się pod nimi spieczona ziemia. Czarodziejka natychmiast zareagowała. Pchnęła małą na bezpieczniejsze miejsce, a sama odskoczyła, kiedy z pyłu wynurzyły się ciemne, zasuszone ręce. W ziemi rozwarły się szczeliny i zaczęły z nich wypęłzać piaskowi ludzie. Bannon wrzasnął i uniósł miecz, biegnąc ku napastnikom.

Nicci nasyciła magią dłoni. Już przecież walczyła z tymi stworami. Posłała ku nim strumień ognia, podpalając najbliższych, zanim całkiem się wydostali.

Bannon wskoczył na płaski kamień i za jednym zamachem pozbawił głów trzy mumie w obsypanych pyłem łachmanach. Lecz stwory dalej parły naprzód, na oślep próbując pochwycić ofiary. Oset uskakiwała z kamienia na kamień, unikając wyciągniętych łap, a Bannon rozłupał na pół tors napastnika i odciął mu w kolanach patykowate nogi.

Nicci uderzyła potężnym podmuchem wicheru, rozrywając kolejnego wyłazającego z ziemi stwora; została z niego tylko kupka śmieci. Kolejny podmuch zepchnął chwiejących się piaskowych ludzi w bulgoczące studnie. Wpadli w kipiące kotły i utonęli, młóćąc rękami i nogami.

Oset skoczyła na grzbiet stwora zbliżającego się od tyłu do Nicci. Szarpała go za ramiona, tłukła pięściami w żebra, dźgała nożem wysuszone ciało. Mumia się złamała i upadła.

Nicci się odwróciła, żeby podziękować wybawicielce, a spod ziemi wypełzła kolejna para piaskowych ludzi i ruszyła ku dziewczynce, wyraźnie mając ją na oku. Byli to mężczyzna i kobieta; jej czaszka obwiązana była czerwoną wypłowiałą chustką, spod której wystawały kępki szorstkich włosów, a on miał na grzbiecie strzępy skórzanej kamizeli.

Oset zamierzyła się nożem na napastników i nagle zamarła, z przerażeniem ich rozpoznając. Piaskowi ludzie brnęli ku niej chwiejnie, wyciągając szponiaste ręce; byli już stanowczo za blisko.

– Ciocia Luna? Wujek Marcus!

Nicci też ich rozpoznała i skoczyła przed osłupiałą dziewczynkę. Stwory, które kiedyś były jej krewnymi, chciały pociągnąć małą za sobą – lecz na ich drodze stała Nicci.

– Nie dostaniecie jej!

Skórzaste dłonie dotknęły jej rąk i czarnej sukni, Nicci uwolniła strumień magii, podpalając szczątki Marcusa i Luny.

Zapłonął ogień i oczyszczający biały żar w jednej chwili strawił obydwójce. Zatoczyli się w tył i zmienili w szary popiół, który opadł z szelestem przypominającym westchnienie. Oset rozpaczliwie załkała.

Wszyscy troje, ciężko oddychając, stali obok siebie, przygotowani na pojawienie się kolejnych napastników, ale Życiożerca nie nasłał już na nich



swych sługusów. Potyczka skończyła się równie szybko, jak się zaczęła. W oddali słyszeli bieganinę, stukot kamyków – tym razem nie były to ludzkie mumie, ale inne istoty: okryte pancerzykami, mające wiele odnóży, kryjące się w mroku.

Oset przytuliła się do Nicci.

– Życiożerca wie, gdzie jesteśmy. Szpieguje nas.

– Masz pewność, że powinniśmy tam iść po ciemku? – zapytał Bannon, z trudem powstrzymując drżenie głosu.

– Nie powinniśmy się narażać – powiedziała Nicci. – Wystarczająco wiele się dowiedzieliśmy.

W dobrym tempie wrócili po własnych śladach na wznoszący się teren na północnym krańcu rozległej wymarłej doliny. Ale i tak grubo po zmierzchu dotarli do ginących lasów i drzew na pogórzcu. Sucha trawa, zielsko, karłowate bezlistne drzewa w porównaniu z krajobrazem, który zostawili za sobą, wydawały się przyjazne. Zanim znaleźli miejsce na obóz, byli wykończeni.

– Mamy przynajmniej dostatecznie dużo drewna, żeby rozpalić ognisko – stwierdził Bannon. – Duże ognisko.

Oset, wciąż w szoku po ujrzeniu przemienionych wujka i cioci, przyniosła kilka naręczy suchych jadłoszynów i ułożyła z nich stertę.

– Ognisko będzie bardzo jasne i ciepłe, ale czy Życiożerca go nie zobaczy?

Nicci za pomocą czarunku podpaliła gałęzie i pojawił się jasny ogień dający pachnący dym.

– Dobrze wie, gdzie jesteśmy. Teraz przynajmniej będziemy mogli zobaczyć ewentualnych napastników.

Bannon i dziewczynka umościli się blisko dodających otuchy płomieni.

– Wy śpijcie – nakazała Nicci. – Ja będę czuwać.

Położyli się, ale jeszcze przez wiele godzin nie mogli się wyciszyć.

Czarodziejka siedziała samotnie i nasłuchiwała odgłosów innych niż trzask płonącego drewna.

Blizna pozostawała cicha – pustka w mroku, połykająca tak dźwięki, jak i życie. Jednak Nicci wyczuwała tam jakąś obecność, coś się skradało wśród otaczających ich umierających wzgórz. Czujna spojrzała w czerń poza blaskiem ognia, lecz niczego nie zobaczyła. Jednak wyczuwała... coś silnego i śmiertelnie groźnego.

Coś na nich polowało.

## ROZDZIAŁ 45

Nathan, otoczony mającymi dar uczonymi, uznał, że ich zaangażowanie jest inspirujące i pokrzepiające.

– Gdybym miał tysiąc lat na tę olbrzymią bibliotekę, stałbym się najpotężniejszym z czarodziejów – powiedział z dobrodusznym, choć znużonym uśmiechem, kiedy Simon przyniósł mu kolejną stertę tomisk.

– Tysiąc lat... – Uczony-archiwista potrząsnął głową. Ułożył tomy w równe stosy na zagraconym stole Nathana. – Niczego bardziej bym nie pragnął, jak spędzić stulecia na czytaniu i studiach... lecz niestety moje życie tyle nie potrwa.

– To była jedna z nielicznych zalet uwięzienia w Pałacu Proroków: sieci i czary chroniące przed starzeniem się – wyznał Nathan. Popatrzył na góry ksiąg, które mu przyniesiono i poukładano tematycznie; w niektórych pozaznaczano barwnymi piórami strony. – Ale jeśli Blizna dalej się będzie tak rozrastać, to życie każdego z nas niebawem dobiegnie końca.

Akolici, skupieni na poszukiwaniu wszelkich informacji o Życiożercy, przeglądali księgę za księgą, zwój za zwojem, zaznaczając fragmenty, które mogłyby być istotne. Nathan chciał znaleźć wyjściowe zaklęcie, którym posłużył się Roland, żeby zwalczyć chorobę – zaklęcie, które zmieniło go w Życiożercę.

Podczas pobytu w pałacu czarodziej nauczył się bardzo szybko czytać. Chociaż miał nieograniczony czas, to na nieprzeliczony księgozbiór nawet wieczność wydawała się za krótka. Czytał równie szybko, jak przewracał kartki, i potrafił w godzinę pochłonąć kilka opasłych tomów.

Po dwóch dniach w Cliffwall zdążył już przeczytać całe regały ksiąg, lecz

wyuczenie się ich zawartości zabrałoby tyle czasu... Mało się dowiedział o wysysającym życie czarze.

Pogłaskał palcami brodę.

– Czy dobrze pamiętam, że mówiłeś, iż Roland wykorzystał zaklęcie utrwalone w pamięci mnemoników?

– Jeden z nich pamiętał część zaklęcia i poczynił pewne sugestie. To podsunęło Rolandowi pomysł, gdzie szukać. – Simon skrzywił się na widok tomu oprawnego w wytłaczaną skórę i odłożył go na bok. – Jeszcze nie udało się nam znaleźć oryginalnego tekstu zaklęcia. Toteż musimy polegać na słowie Victorii. – Kiedy marszczył brwi, wyglądał o wiele starzej. – Pamięć może być zawodna. Wolałbym samodzielnie zweryfikować tekst.

Jak na zawołanie zjawiała się przełożona mnemoników ze swoimi trzema nieodłącznymi akolitkami. Kiedy usłyszała jego słowa, poczuła się urażona. Audrey, Laurel i Sage też się oburzyły.

– Mnemonikom nie można niczego zarzucić. – Victoria stanęła przed stołem ze stosami książek. – Gdyby nie ja, nie mielibyście dostępu do żadnego z tych tomów. Gdybym nie odkryła, jak zdjąć czar kamuflujący, nikt by nie znalazł archiwum.

– Roland też nie – wytknął jej Nathan – i nie bylibyśmy w takich tarapatach.

Simon nadął się, chcąc okazać Victorii lekceważenie.

– Wszyscy w Cliffwall doceniamy wasze dawne zasługi. Mnemonicy byli ważni w swoim czasie, lecz teraz to anachronizm. Obecnie inteligentni i mający dar ludzie mają dostęp do *całej* biblioteki, nie tylko do wybranych tomów wyuczonych na pamięć wiele pokoleń temu.

Victoria się naburmuszyła.

– Słowa zapisane na papierze są inne niż te zachowane w umyśle. –

Popukała się w skroń i nachyliła się. – Nie to się liczy, co zapisane, ale to, co wiemy.

Simon najwyraźniej się z tym nie zgadzał.

– Wiedzy, która nie jest spisana, nie można odpowiednio przekazać. Jak mógłbym studiować to, co jest w twoim umyśle? Jak nasi uczeni mogliby wyciągać wnioski i czynić spostrzeżenia, skoro nie możemy zobaczyć twoich myśli? Jak mogłabyś odpowiednio przekazać wiedzę czarodziejowi Nathanowi?

– Powiemy mu wszystko, co powinien wiedzieć – oznajmiła Victoria.

Zdesperowany Nathan uniósł ręce.

– Na drogie duchy, nie kłóćcie się! Cliffwall to nieprzebrane zasoby wiedzy i możemy się nią sycić. Po co się spierać o drobiazgi?

Simon, starając się nie zaogniać sprzeczki, odwrócił się, żeby odejść.

– Będę gromadzić dla ciebie odpowiednie woluminy, a te kobiety niech opowiedzą ci historie, jakie przechowują w głowach.

Victoria posłała odchodzącemu uczonemu-archiwście protekcyjne spojrzenie.

– Nie przejmuj się młodym Simonem, czarodzieju Nathanie. Ta odpowiedzialność go przerasta – mówiła słodko, po matczynemu. – Katalogowanie woluminów to ogromne, przytłaczające zadanie. Potrzeba będzie wielu pokoleń, żeby się z niego wywiązać. Mnemonicy przez tysiące lat starali się zachowywać informacje, nic więc dziwnego, że Simon tak się spieszy.

– Ależ to naprawdę paląca sytuacja, pani – stwierdził Nathan. – Jeżeli Życiożerca dalej będzie pochłaniał świat, nikomu z nas nie pozostanie za wiele czasu. – Przeczesał palcami długie siwe włosy. – Muszę wiedzieć, co pamiętacie, lecz, jak słusznie rzekł Simon, nie mam dostępu do waszych

głów.

Victoria uśmiechnęła się serdecznie, z wyrozumiałością.

– Więc ci to zaprezentujemy. Wyrecytujemy księgi, które powinieneś znać.

Nathan mógł czytać szybciej, niż mnemonicy potrafią mówić, ale jeżeli Victoria i jej akolitki wyrecytują tylko odpowiednie ustępy, to może się to opłaci.

Spojrzał na Audrey, Laurel i Sage, dziewczęta o tak odmiennych typach urody.

– To nie są twoje córki, ale widzę, jak się o nie troszczysz. Musicie być sobie bliskie.

– Te drogie dziewczyny całe życie spędziły ze mną. Wszyscy akolici to moi przybrani synowie i córki. – Victoria posmutniała. – Nigdy nie miałam własnych dzieci, chociaż obydwój z mężem bardzo się o to staraliśmy. Kiedy się pobieraliśmy, marzyliśmy o licznej rodzinie, ale... – Posmutniała jeszcze bardziej, odwróciła się. – Nie mogłam donosić ciąży. Trzy razy zachodziłam w ciążę i tak się cieszyliśmy. Nawet zaczęłam szyć ubranka... ale za każdym razem traciłam dziecko. A potem Bertram zmarł. – Zamknęła oczy i ciężko westchnęła. Z miłością popatrzyła na młode akolitki. – Toteż wszystkie matczyne uczucia przelałam na akolitów i przez lata wyuczyłam rodzinę większą, niż z Bertramem moglibyśmy sobie wymarzyć. Uznałam za swój obowiązek podtrzymanie tradycji mnemoników i wiedzę przekazując rodzice dzieciom. – Jakby się usprawiedliwiała. – Nie odstąpię od naszego dziedzictwa. To my przez wieki, kiedy Cliffwall było ukryte, przechowywaliśmy wiedzę. – Audrey, Laurel i Sage ze łzami w oczach przytaknęły, a Victoria je przytuliła. – Czasami żałuję, że zapamiętałam zaklęcie, które zdjęło czar kamuflujący. – Potrząsnęła głową.

– Musiałaś – powiedziała Laurel.

– Nadszedł czas – dodała Sage.

Zaintrygowany Nathan odsunął księgi.

– A właściwie jak zdjęłaś osłonę po tysiącach lat? Myślałem, że nikt nie wiedział, jak to zrobić.

– To była jedna z rzadkich pomyłek mnemoników.

Nathan złączył dłonie, uniósł brwi.

– Słucham.

– Jak już mówiliśmy, czar kamuflujący był nie tylko osłoną, ale także barierą, czarem konserwującym. Cliffwall zostało zamknięte za barierą *czasu*. Nie tylko je ukryto. *Zniknęło*. Lecz pierwszym mnemonikom przekazano, jak usunąć tę sekretną barierę, kiedy nadejdzie pora. Gdyby nikt nie wiedział, jak to zrobić, to całą tę wiedzę równie dobrze można było zniszczyć. I tak tę wskazówkę przekazywano w naszej zbiorowej pamięci z pokolenia na pokolenie. – Kiwnęła głową. – Minęły trzy tysiące lat, wojny czarodziejów dawno się skończyły, toteż mieszkańcy kanionu uznali, że jest już na tyle bezpiecznie, żeby spróbować. Lecz niestety czar uwalniający, który zapamiętaliśmy przed tysiącami, nie działał. – Victoria przyłożyła rękę do piersi i z drżeniem westchnęła. – Gdzieś po drodze źle coś zapamiętaliśmy! Naprawdę nie mogliśmy sobie przypomnieć niuansów w doborze słów. W pewnym momencie przekazywania wiedzy ktoś musiał popełnić błąd. – Zażenowana odwróciła wzrok, jak gdyby to rzucało cień na wszystkich mnemoników.

– Drogie duchy – mruknął Nathan.

Victoria podjęła:

– Lecz nie mogliśmy tego nikomu wyznać. Odizolowani mieszkańcy kanionów przez tysiąclecia poświęcali życie, by dochować sekretu. Ufali

mnemonikom, wierzyli w nas. Nie mogliśmy im powiedzieć, że zapomnieliśmy! Niektórzy próbowali zyskać na czasie, pokrętnie się tłumacząc i mówiąc, że to jeszcze nie pora na ujawnienie archiwum. Lecz nikt nie wiedział, jak to zrobić! Przez ponad sto lat mieliśmy nadzieję, że ktoś się domyśli, co poszło nie tak. Mnemonicy pragnęli, żeby ktoś skorygował czar i odtajnił biblioteczne zbiory. – Victoria podniosła wzrok, spojrzała w lazuruwe oczy Nathana. – Tym kimś byłam ja... Po prostu popełniłam błąd. Nieprawidłowo zapamiętałam czar. Wymówiłam złą kombinację sylab w starożytnej mowie Ildakaru – mówiła zduszonym głosem. – I podziałało! Byłam siedemnastoletnią dziewczyną, szkoloną przez rodziców... i źle zapamiętałam czar.

Nathan zaśmiał się z zachwytem.

– Ależ, pani, przypadkowo *dobrze* go zapamiętałaś. Omyłkowo właściwie wypowiedziałaś słowa. Czar kamuflujący został zdjęty i odsłoniłaś ukryte archiwum. Właśnie tego chcieliście, nieprawdaż?

– Tak. – Victoria nie kryła rozczarowania. – Przez tysiąclecia mnemonicy byli potężni i szanowani jako strażnicy niedostępnej wiedzy. Lecz otwierając bibliotekę i zapraszając mających dar uczonych z innych miast, niechcący sprawiłam, że staliśmy się niepotrzebni.

– Być może. – Nathan zatarł ręce. – Lecz teraz wszyscy mają dostęp do wiedzy. To może nam pomóc pokonać Życiożercę.

Victoria nadal była zatroskana.

– Niebezpieczne informacje, które każdy głupiec może wykorzystać! Ujawnienie ich ludziom niegotowym, niewykszolonym: właśnie to doprowadziło do narodzin Życiożercy – narzekała. – Moja matka była surową nauczycielką. Kazała mi wciąż na nowo powtarzać słowa, póki każdy czar nie stał się częścią mojej duszy, każde słowo nie wniknęło do szpiku moich kości. Biła mnie wierzbową witką, ilekroć się pomyliłam.



Wykrzykiwała, jakie niebezpieczeństwo może sprowadzić na świat pomyłka. – Wzruszyła ramionami. – Pamiętam uśmiech ojca i jego cierpliwość, ale matka uważała, że niezbyt serio traktuje swoją rolę. Zarzucała mu, że wyuczył mnie nieprawidłowej frazy, a on tylko się śmiał, zachwycony, że to jego córka zdjęła osłony. Czas świętować, mówił. Wreszcie zniknął czar kamuflujący. – Pochyliła się ku Nathanowi, zauroczonemu opowieścią. –

Matka go za to zabiła. Zrzuciła go z klifu, zanim się zorientował, co zamierza. Nawet nie raczyła popatrzeć, jak spada. Słyszałam jego krzyk, który ucichł, kiedy ojciec uderzył o ziemię. Matka pomstowała na mnie za to, że się pomyliłam: *Nie wiesz, jakie to ważne? Nie rozumiesz, że każde słowo musi być perfekcyjne? Jeśli nie uszanujesz słów, zagrożenia mogą być niewyobrażalne!* Byłam przerażona. Docierały do mnie jedynie krzyki, kiedy ludzie biegli do ciała ojca. Lecz matka się we mnie wczepiła. Oczy miała szalone, czułam na twarzy jej gorący oddech. *Zabiłam twojego ojca, żeby chronić nas wszystkich. A gdyby tak źle wypowiedział czar ognia? Gdyby pomyłkowo wyuczył kogoś, jak rozerwać zasłonę, i wypuścił na świat Opiekuna?* Musiałam potaknąć, uznać powagę błędu taty. Nigdy go nie oplakałyśmy. – Łzy napłynęły do oczu Victorii.

– Czemu czujesz się winna, skoro twój błąd skorygował wcześniejszą pomyłkę? – zapytał Nathan.

– Bo to pokazało wszystkim, że nasza doskonała pamięć wcale nie jest doskonała.

## ROZDZIAŁ 46

W ich obozowisku z ogniska z jałoszynowego drewna zostały do świtu żarzące się pomarańczowo węgle. Nicci nie obudziła Bannona, żeby ją zastąpił na warcie. Potrzebowała niewiele snu, toteż czuwała całą noc, badawczo wpatrując się w upiorne zarysy skalnych formacji za kręgiem światła przygasającego ogniska. Oset, jak tylko się obudziła, zaraz koło niej usiadła. Obie milczały, wpatrując się w mrok i czekając na wschód słońca.

Bannon ziewnął, przeciągnął się i wstał, otrzepując z ubrania pył i zeschnięte gałązki. Wkrótce wyruszyli, zostawiając za sobą miły blask żaru.

Zmierzali ku stromej ścianie płaskowyzu wznoszącej się ponad Blizną. Nicci i Bannon szli parowem, Oset zaś biegła przodem z wdziękiem i ruchliwością jaszczurki. Znaleźli stróżkę wody i poszli jej śladem po wygładzonej skale barwy ochry. Plusk brzmiał jak muzyka po pyłowych wirach i chemicznej mgiełce pustkowia. Długo nabierali w stulone dłonie skapującą zimną wodę, spryskali twarze, zmywając piekący alkaliczny pył.

– Czy Życiożerca może nadal nas obserwować? – zapytała dziewczynka. – Nawet tutaj?

– Całkiem możliwe. Są i inne zagrożenia – powiedziała Nicci. – Na tym świecie zawsze coś chce cię zabić. Nie zapominaj o tym.

Szli w górę kanionu. Jaszczurki biegały wśród głazów nad nimi i Oset popatrywała na skalne półki. Chętnie by zapolowała, lecz nie przerywała marszu.

Bannon mozolnie brnął po kamieniach, na wszelki wypadek trzymając miecz w pogotowiu. Nicci przez całą noc wyczuwała krążące wokół nich drapieżne „coś”, ale nie słyszała żadnego odgłosu, nie widziała ślepi

odbijających blask ognia. Teraz znowu miała niemiłe uczucie, że ktoś ich obserwuje. Szła za Bannonem, rozglądając się, wpatrując w skały, i zastanawiała się, czy zły czarodziej mógł przygotować kolejną zasadzkę. Lecz nic podejrzanego nie zobaczyła.

Cicho i niespodziewanie coś ciężkiego spadło z góry na jej plecy: kotłowanina płowej sierści, drapiących pazurów i głośnego warkotu. Uderzenie posłało Nicci na ziemię, zanim zdążyła uwolnić magię.

Bannon wrzasnął i gwałtownie się odwrócił. Oset krzyknęła.

Z góry skoczyły dwa kolejne koty, słabo widoczne na tle czerwono-brązowej skały: wielkie pantery o barwie piachu, z zakrzywionymi pazurami i kłami niczym ostre sztylety.

Pantera, spadając na Nicci, pozbawiła ją oddechu. Czarodziejka usiłowała się bronić, lecz kocica była niczym muskularny wojownik. Mogłaby ją zabić w jednej chwili.

Nicci uchyliła się przed pierwszym ciosem jej łapy, lecz drugi wyłobił na jej plecach krwawe pręgi, rozdzierając czarną suknię. Pantera ryknęła i spróbowała zacisnąć zęby na głowie czarodziejki. Nicci nie miała czasu ani możliwości, żeby się skoncentrować i nakierować strumień magii na serce bestii, by je zatrzymać.

Desperacko się broniąc, uwolniła magię rozbiegającą się we wszystkie strony uderzeniową falą skompresowanego powietrza. Niewidzialny wybuch odrzucił od niej kociego napastnika. Nicci chwiejnie się podniosła, mocno krwawiąc.

Bannon przycisnął się plecami do skały i dźgał mieczem. Jednym ciosem rozkrwawił drugą panterę. Oset uskakiwała i uciekała, kiedy trzecia bestia starała się na nią skoczyć, bawiąc się jak kot z myszą. Rozgniewana tym Nicci nakierowała swój dar na serce pantery.

Nic się nie stało.

Czuła, jak wypływa z niej strumień magii, ale czar odbił się od piaskowej pantery jak kamyk ślizgający się po powierzchni wody. Spróbowała znowu, bez skutku. *Miała* kontrolę nad darem – nie utraciła jej jak Nathan – lecz wielka pantera okazała się niewrażliwa na jej cios.

Kiedy bestia się podkradała, Nicci zauważyła, że na jej skórze wypalono tajemnicze wzory, glify z kropek, kresek i pętli. Rozpoznała w tym narys jakiegoś czarownika, być może rodzaj magicznego pancerza.

To nie były zwyczajne dzikie zwierzęta.

Nicci ugięła kolana, kiedy pantera znowu zaatakowała. Cisnęła ogniem, który powinien ją spopielić, lecz magiczne płomienie tylko prześliznęły się po sierści. Wielkie zwierzę, prychnąwszy, skoczyło ku niej i Nicci nie miała czasu się zastanawiać, jaka magia byłaby skuteczna.

Chwyciła długi sztylet wiszący u boku, gotowa do walki. Tajemnicze symbole mogły dawać panterze ochronę przed magią, lecz ostry nóż z pewnością zrobi swoje. Ostrze przecięło powietrze, a ona uskoczyła i pantera chybiła celu. Nie miała czasu na wymyślne manewry, nie zamierzała prowokować bestii. Chciała je *pozabijać*.

Oset schowała się za odłamem skały i powykręcaną piniją. Bannon bronił się, szaleńczo wymachując mieczem. Całkiem zapomniał o wyrafinowanych technikach walki, których nauczył go Nathan. Panterą kierowała wściekłość.

Nicci widziała, że zwierzęta działają wspólnie, atakują w osobliwie skoordynowany sposób, z niesamowitą precyzją. Rozproszyły swoje ofiary i każda pantera zdawała się wiedzieć, co robią dwie pozostałe. Nicci nie potrafiła odczytać wypalonych na ich skórze symboli, ale słyszała o zwierzętach złączonych zaklęciem. Te pantery były walczącą triadą, *troka* – połączono ich umysły, zmieniając je w idealną siłę bojową.

Nicci się zastanawiała, czy to Życiożerca nasłał na nich drapieżniki, ale to się jakoś nie zgadzało. Piaskowe pantery nie pochodziły z Blizny ani też z żyznej niegdyś doliny. Musiały zostać wyhodowane i wyszkolone gdzie indziej, przez kogoś innego.

Tak czy owak, stanowiły perfekcyjne maszyny do zabijania. Nie miało znaczenia, co nimi powodowało. Nie teraz.

Na chwilę odwróciła uwagę od pantery i zobaczyła, że Oset wymyka się pod konarami pinii z drugiej strony, kiedy kocica skoczyła w splątane gałęzie. Dziewczynka przetoczyła się na plecy i zerwała, trzymając w ręku nóż. Zacisnęła obie dłonie na rękojeści, kiedy pantera skoczyła.

Nicci wstrzymała oddech, wiedząc, że nie dotrze na czas do dziewczynki – a potem uświadomiła sobie, że mała celowo zwabiła drapieżnika. Kiedy kocica skoczyła, dziewczynka pchnęła ją nożem pod brodę. Ostrze przebiło szczękę, podniebienie i dotarło do mózgu. Pantera upadła w konwulsjach na chudziutką Oset, niemal ją miażdżąc.

Kiedy jedno zwierzę padło, dwie pozostałe pantery zadygotały i zatoczyły się, jakby i one otrzymały cios. Jednocześnie ryknęły.

Bannon wykorzystał tę chwilę i zaatakował, wbijając miecz między żebra drugiej pantery. Jasnobrązowy drapieżnik miotał się i ryczał, otwierając paszczę, ale czubek miecza przebił mu serce i wyszedł grzbietem.

Nicci cięła sztyletem po żebrach trzeciej pantery, na moment ogłuszonej śmiercią dwóch związanych z nią czarem partnerek. Rozwścieczone zwierzę zamierzyło się na nią pazurami i czarodziejka znowu machnęła sztyletem. Ranna bestia, bijąc ogonem, ruszyła do szaleńczego ataku, gotowa poświęcić życie. Ciężka kocica powaliła Nicci na ziemię, ale ona wbiła jej nóż głęboko w brzuch.

Oset, zalana krwią, wy dostała się spod ciała pantery i rzuciła na ratunek

czarodziejce. Kilka razy dźgnęła nożem ostatnią panterę, a Nicci z ciężkim stęknieniem zepchnęła z siebie umierającą bestię. Wstała, pokryta krwią tak swoją, jak i pantery. Skórę na plecach miała poszarpaną.

Bannon był w szoku; wyciągnął miecz z ciała zabitego zwierzęcia.

– Jestem zdumiony, że Życiożerca nie wysłał skorpionów albo stonóg.

Nicci krwawiła i czuła piekący ból ran. Potrząsnęła głową.

– Nie jestem pewna, czy to robota Życiożercy.

Ostatnia piaskowa pantera jeszcze nie umarła. Leżała na ziemi, z trudem oddychając, stękając z bólu i krwawiąc z licznych ran.

Bannon podszedł do Nicci i aż mu zapało dech na widok krwawych pręg na jej plecach.

– Czarodziejko! Jesteś ranna! Musimy cię opatrzyć.

Nicci spojrzała na rozdrapane ręce.

– Sama mogę się uleczyć. – Pochyliła się nad umierającą panterą. – Leczyć jej koniec jest blisko. Mogłabym ją uwolnić od cierpienia. – Rozejrzała się. – Przez te symbole chroniące ją przed magią muszę użyć noża.

Pantera wydała głośny pomruk, bardziej posępny niż groźny. Bannon posmutniał, wargi mu zadrżały.

– Musisz ją zabić? Nie możesz i jej uleczyć?

Nicci przymrużyła oczy.

– Czemu miałabym się opiekować tym zwierzęciem? Chciało nas zabić.

– A jeśli ją do tego wyszkolono? Nie powinniśmy się dowiedzieć, skąd się wzięła? – pytał Bannon. – Już zabiliśmy dwie, a ta... – Słowa uwięzły mu w gardle i nie dokończył. – To takie piękne zwierzę... – Nie mógł powiedzieć nic więcej.

Poziom adrenalinę opadł i Nicci czuła przeraźliwy ból własnych ran.

Pazury pantery rozdrapały jej plecy niemal do kości.

– To nie jest bezbronne kociątko, jak te, które utopił twój ojciec.

– Nie, nie jest. – Bannon potrząsnął głową. – Ale umiera, a ty możesz ją uleczyć.

Oset przykucnęła przy dyszącej panterze i popatrzyła na Nicci swoimi miodowo-brązowymi oczami.

– Wujek i ciocia mówili, że nie powinno się zabijać, jeśli nie jest to absolutnie konieczne. – Umazana krwią wyglądała na zabiedzoną i bardzo smutną.

Bannon się z nią zgodził.

– A teraz to nie jest konieczne.

Nicci dotknęła kocicy, ostrożnie sięgnęła darem, badając jej rany. Wypalone symbole jej nie przeszkodziły, więc domyśliła się, że osłona miała służyć konkretnemu celowi – obronie przed atakiem. Przesunęła dłoń i dotknęła ran, które sama zadała.

– Mogę to zaleczyć. Mogę ją uleczyć. Lecz powinniście wiedzieć, że te trzy piaskowe pantery były złączone czarem. Jej dwie siostry w *troka* nie żyją. Jeśli ją uratujemy, skazując na samotne życie, to może wcale nie wyświadczymy jej przysługi.

– Owszem – nalegała dziewczynka. – Proszę cię, Nicci.

Czarodziejce kręciło się w głowie na skutek utraty krwi, słabła. Nie miała siły sprzeczać się z małą.

Dotknęła głębokich ran pantery. I wtedy trochę krwi zwierzęcia zmieszało się z jej krwią ze skaleczeń na przedramionach i dłoniach. Krew dwóch groźnych istot, wyszkolonych do walki...

Przyzwała uzdrawiający dar, przesłała go poprzez dłoń do wnętrza płowej bestii, a jednocześnie do swoich najgłębszych ran.

Poczuła nagle szarpnięcie, jakby powstało ostatnie ogniwo w tajemniczym łańcuchu spajającym ją z panterą. Łańcuch, więź, biegł od jej serca poprzez układ nerwowy i mózg, sięgając tych samych narządów u kocicy. Myśli płynęły przez nią, kiedy potężna magia wlewała się w nie obie, usuwając ślady pazurów, rany od noża, głębokie otarcia, najmniejsze zadrapania, nawet obolałość mięśni.

Nicci gwałtownie cofnęła okrwawione dłonie i chwiejnie się odsunęła. Chociaż już nie dotykała pantery, czuła jaźń zwierzęcia połączoną z jej jaźnią. Jak siostry. Nie mogła temu zaprzeczyć.

– Nazywa się Mrra – powiedziała. – Nie wiem, co to znaczy. Właściwie to nie tyle imię, ile tożsamość, tak postrzega siebie.

Uzdrowiona pantera głęboko odetchnęła, przeturlała się i zwinęła u stóp Nicci. Miała złocisto-zielone oczy. Machała długim ogonem, wzburzona i zdezorientowana.

– Co się stało? – zapytał Bannon. – Co zrobiłaś?

– Moja krew zmieszała się z jej krwią. Śmierć związanych z nią czarem siostr zostawiła w niej pustkę niczym ranę. Kiedy mój dar leczył Mrrę, jednocześnie wypełnił pustkę w jej wnętrzu – mówiła Nicci lekko chropawym głosem, jakby zadziwiona tym, czego sama doświadczyła. – Teraz jesteśmy złączone, choć nadal osobne. Drogie duchy!

Piaskowa pantera popatrzyła na nią, bijąc ogonem. Nicci ponownie spojrzała na zbliżowaciałe symbole czaru, lecz pomimo więzi z Mrrą wciąż nie mogła zrozumieć tego języka. Pojęła jednakże niegdysiejszy ból – rany brutalnie wypalone rozżarzoną żelazem w miękkiej płowej sierści.

Mrra, wpatrzona w swoją niedoszłą ofiarę, drgnęła, a potem opuściła wzrok na dwie siostry. Głucho ni to jęknęła, ni warknęła i zaczęła się oddalać od trojga ludzi, które *troka* miała zabić.



Nicci czuła, jak łącząca je więź staje się słabsza. Nie mogła się z panterą bezpośrednio porozumiewać, nie potrafiła zrozumieć, co Mrra sobie myśli. Po prostu wiedziała, że jej, Bannonowi i Oset już nic nie zagraża. I że Mrra będzie żyła... chociaż osamotniona.

Lecz nie całkiem sama: zawsze będzie w niej cień Nicci.

Piaskowa pantera machnęła ogonem i wielkimi susami oddaliła się na pustkowie, skacząc z jednej skalnej półki na drugą.

Dziewczynka patrzyła za nią, a zdeorientowany Bannon nadal dzierżył zakrwawiony miecz. Nicci, spoglądając za panterą, miała osobliwe uczucie straty.

Zwierzę zniknęło w cieniu.

## ROZDZIAŁ 47

Nathan, w miarę jak docierał do niego ogrom biblioteki, zaczynał wierzyć, że archiwum Cliffwall może zawierać tajemnice całego wszechświata... gdybyż tylko potrafił określić, czego potrzebuje i gdzie to znaleźć. Dumał, pogryzając jęczmienne ciasteczka, które jedna z akolitek przyniosła mu z kuchni.

Problem w tym, że nikt nie ogarniał całości. Setki archiwistów i mnemoników znały jedynie niepowiązane fragmenty. Jakby się próbowało dostrzec konstelacje w pochmurną noc, kiedy przeświecają wyłącznie pojedyncze gwiazdy.

Cóż, konstelacje się zmieniły i każdy musiał na nowo uczyć się uniwersum.

Zjadł ciastko i w zamyśleniu wziął z tacy jeszcze jedno. Skończył przeglądać leżący przed nim tom akurat wtedy, kiedy nieśmiała studentka przyniosła następne słodkości. Mia była jedną z osób przydzielonych mu do pomocy. Miała około dziewiętnastu lat, krótkie, mysio-brązowe włosy, uciekające w bok oczy, które wydawały się bardziej nawykłe do czytania niż do nawiązywania kontaktu z innymi ludźmi.

– Wyszukałam je dla ciebie, czarodzieju. Mogą zawierać istotne wersy.

Pochodziła z rodziny mieszkającej w kanionie, uczyła się czytać i pisać. Urodziła się zaraz po tym, jak Roland opuścił Cliffwall i zaczął wysysać życie ze świata.

– Dziękuję, Mio – powiedział, uśmiechając się z wdzięcznością.

Ilekcio prosił ją o wyszukanie ksiąg lub zwojów na konkretny temat, pospiesznie odchodziła i wracała ze znaleziskami. Kiedy przesuwiał palcami

po słowach w starożytnych językach, Mia często siedziała przy nim cicho, czytając księgi, które ją zainteresowały, licząc, że przyda się jej pomoc.

Wziął leżącą na wierzchu księgę i otworzył podniszczoną okładkę.

– O, traktat o przyspieszaniu wzrostu roślin.

Mia potaknęła.

– Pomyślałam, że może podsunąć jakieś metody przeciwdziałania wysysającym życie czarom Życiożercy. Podstawowe formy zaklęć mogą mieć wspólne cechy.

– Doskonały pomysł – powiedział Nathan, chociaż uważał, że to mało prawdopodobne.

Kolejny tom napisany był alfabetem, którego nie rozpoznał, pochyłymi symbolami i pętlicami runów. Słowa zdawały się emanować jakąś mocą i czarodziej dotknął tekstu, jakby mógł sprawić, że nieznany alfabet wsączy się w opuszki jego palców.

– Rozpoznajesz ten język? – zapytał Mię. – To nie jest górnod'harański ani żaden ze znanych mi języków Starego Świata.

Młoda kobieta odgarnęła z twarzy krótkie włosy i założyła je za uszy.

– Niektóre z naszych najstarszych zwojów są zapisane takim alfabetem, ale nikt już nie potrafi ich odczytać. Niektórzy powiadają, że to część starożytnej biblioteki wykradzonej z miasta Ildakar.

Nathan odłożył tom na bok, ponieważ niezrozumiały tekst był dla niego bezużyteczny. Ucieszył się, widząc, że w kolejnej księdze są mapy rozległych ziem, chociaż bez żadnego układu odniesienia. Na jednej z map widać było łańcuch gór. Wykropkowane linie oznaczały kręte, zdradzieckie ścieżki wiodące z pogórza na szczyty. Dziwne nazwy szczytów i rzek były mu obce – póki nie natrafił wzrokiem na dwa słowa.

*Kol Adair.*

Wstrzymał oddech. Czyli jego cel naprawdę istniał – przynajmniej co do tego wiedźma się nie myliła. Zastanawiał się, czy rozległa dolina na mapie była niegdyś tą żyzną niecką, która zmieniła się w Bliznę.

Rozpaczliwie zapragnął odzyskać swój dar, choćby tylko po to, żeby pomóc w walce z Życiożercą. Nie można oczekiwać, że Nicci sama jedna ocali świat. Zaczynając podróż, Nathan niezbyt się przejmował utratą daru prorokowania, ponieważ rozwidlone przepowiednie i złowieszcze ostrzeżenia tylko przysparzały mu zmartwień. Lecz magiczny dar był z nim zespolony do tego stopnia, że uważał go za coś oczywistego. Sprawiał, że Nathan był w pełni sobą, był całością.

Postukał palcami w mapę, lecz jego własne potrzeby musiały poczekać. Odłożył wolumin i zadumał się nad rozrastającym się pustkowiem Życiożercy. Wrócił do ksiąg, szukając odpowiedzi.

Nicci, Bannon i Oset dotarli do stromej skalnej ściany, ucieszeni, że zostawili za sobą Bliznę. Dziewczynka wspinała się po stromym zboczu, z łatwością znajdując na wpół ukryte oznaczenia szlaku i skalne półki na drodze wiodącej na płaskowyż i do miasta-archiwum.

Nicci obejrzała się za siebie. Pył niósł się przez spustoszony krater niczym wyziewy. Kiedy Bannon zatrzymał się obok niej u wejścia do przechodniej pieczary, wysoko w ścianie płaskowyżu, wszyscy razem popatrzyli na spustoszenia. Życiożerca tkwił gdzieś głęboko pośrodku krateru.

– Pragniesz tam wrócić, czarodziejko? – zapytał.

– Nie – odparła szczerze. – Ale wiem, że muszę.

Nicci wciąż czuła w umyśle ślad kociej jaźni – osamotnionej jaźni. Mrra nadal tam była, przemierzała pustkowia. Kocica żyła, będąc częścią *troka*, wraz ze swoimi siostrami panterami, które zginęły. Uzdrawiająca magia

częściowo wypełniła tę pustkę, ale Nicci nie wiedziała, jak jej pomóc.

W Cliffwall pospieszył ku nim Nathan, zadowolony, że wrócili cali i zdrowi. Słuchając o potyczce z piaskowymi ludźmi i panterami, po ojcowsku klepnął Bannona w ramię.

– Wykorzystałeś sztukę fechtunku, której cię uczyłem?

– Tak – potwierdził Bannon. – Zapamiętałem wszystko, co mi pokazywałeś.

Nicci miała przed oczami chłopaka szaleńczo wymachującego mieczem, ale przecież pokonał nieprzyjaciół. Nie mogła mieć mu tego za złe.

– Zabiłam tylu co on – pochwaliła się Oset.

– Rozumie się, dziecko – odparł z lekko kpiącym uśmiechem Nathan. – I właśnie tego się po tobie spodziewaliśmy. Ale Bannon jest moim uczniem i chciałem się upewnić, że dobrze się spisał. Jak ty.

– Chociaż właściwie miałaś z nami nie iść – powiedziała Nicci, lecz była to łagodna wymówka. – Cieszę się, że potrafisz o siebie zadbać.

Dziewczynka popatrzyła na nią.

– Jestem twoją uczennicą, Nicci?

Ten pomysł ją zaskoczył. Mała z pewnością była użyteczna i rwała się do pomocy, ale nie wykazywała szczególnych magicznych uzdolnień.

– W jakim sensie? Nie mogę cię wyszkolić na czarodziejkę.

– Ale już o wiele lepiej czytam. Mogę pomóc wyszukiwać książki w bibliotece. Mówiłaś, że trzeba znaleźć mnóstwo informacji.

Nicci ze zdumieniem stwierdziła, że nie ma nic przeciwko temu.

– Możesz pomagać, póki nie będziesz mi przeszkadzać.

– Nie będę!

Kiedy uczeni się zebrali, Nicci dokładniej opowiedziała o pustkowiu,

spękanych kanionach i błotnych sadzawkach oraz obrońcach Życiożercy. Najdokładniej jak potrafiła, narysowała mapę.

– Jestem pewna, że bliżej kryjówki złego czarodzieja będzie więcej zajadłych strażników. – Spojrzała znacząco na Nathana i uczonych. – Jak tylko znajdziecie dla mnie broń, zrobię z niej użytek i go zabiję.

Simon podniósł głowę.

– Wierzę, że odpowiedź znajduje się w tym archiwum. – Pozostali potaknęli i szeptali między sobą. – Musimy tylko znaleźć właściwe zapiski.

Zasiedli w jadalni, a służący przynieśli wieczorny posiłek. Oset jadła rękami – obiema – ponieważ była głodna jak wilk. Victoria przyprowadziła swoich mnemoników do Nathana, żeby powiedzieli, jakie teksty zapamiętali.

Trzy piękne akolitki usiadły obok Bannona, blisko się ku niemu nachylając i spijając słowa z jego ust. Audrey, Laurel i Sage karmiły go kąskami z jego talerza: pieczonymi warzywami, świeżymi bułkami, kawałeczkami pikantnie przyprawionej jagnięciny. Młody człowiek, coraz bardziej rozemocjonowany swoją opowieścią, żywo gestykulował. Sage płócienną serwetką otarła mu kącik ust. Zaczerwienił się.

Audrey się roześmiała.

– Spójrz tylko, jak znać jego piegi, kiedy się czerwieni!

Po tych słowach zrobił się jeszcze bardziej czerwony.

– Doceniam wasze zainteresowanie. Nieczęsto miewam takie... piękne słuchaczki. – Z trudem przełknął kęs, a potem pociągnął łyk źródlanej wody, mrużąc: – Słodka Matko Morza!

Victoria stanęła za Bannonem i posłała akolitkom zachęcający uśmiech.

– Rozumiem wasze zainteresowanie tym młodzieńcem – powiedziała, jakby Bannona tam nie było. – Mam nadzieję, że nie będziecie bezdzietne, jak ja.

Bannon zamrugał.

– Ja... ja nie chcę tu zostać i się żenić. – Spojrzał na Nicci, jakby liczył, że go wyratuje. – Powierzono nam misję.

Nicci popatrzyła na niego chłodno.

– Kiedy cię ocaliłam przed rzeźmieszkami w Tanimurze, powiedziałam, że od tej pory sam będziesz musiał o siebie zadbać. No więc radź sobie.

Bannon znowu się zaczerwienił.

Victoria, stojąc jak kwoka nad kurczętami, powiedziała smutnym głosem:

– Zakurzone zwoje raczej nie sprawią, że powstanie w was nowe życie i będziecie piastować niemowlę. Pewnego dnia się o tym przekonacie.

Akolitki się uśmiechnęły.

Victoria podeszła do Oset zajądającej drugą garść winogron. Dziewczynka nadal była w zakurzonym stroju z wyprawy.

– Mam dla ciebie dobre wieści. – Położyła na stole owinięty w płótno pakunek i zaczęła rozwiązywać szpagat. – Tu, w Cliffwall, mamy bardzo niewiele dzieci, więc brakuje nam odpowiednich ubrań, toteż poprosiłam utalentowaną szwaczkę, żeby uszyła to dla ciebie. – Podniosła złożony strój i strząsnęła go, żeby się rozprostował – była to jaskraworóżowa, wykończona lamówką sukienka, skrojona tak, żeby dobrze leżała na chudziutkiej dziewczynce.

Oset przestała jeść.

– Nowa sukienka? – Zrobiła niewyraźną minę. – Nigdy przedtem takiej nie miałam.

Victoria nadal się uśmiechała.

– Już nie musisz chodzić w łachmanach. Jesteś ładną dziewczynką, a w tej sukience będziesz wyglądać jeszcze ładniej. Lubisz różowy? Barwnik pochodzi z rosnących w kanionie róż górskich.

Elegancka sukienka niezbyt się nadawała do biegania po pustyni i polowania na jaszczurki. Oset popatrzyła na Nicci, która szczerze powiedziała:

– Prawdę mówiąc, nie cierpię różowego. – I to do tego stopnia, że kiedyś w całkiem niewłaściwy sposób posłużyła się magią subtraktywną, żeby usunąć różowy barwnik z koszuli nocnej, którą kazano jej włożyć w Wieży Czarodzieja.

– Chyba bardziej lubię moją starą sukienkę – powiedziała Oset. – Ta jest bardzo ładna, ale nie chciałabym jej pobrudzić, kiedy pójdę z Nicci na wyprawę. Jak zabijemy Życiozercę, będziemy mieć cały świat do zwiedzania.

Victoria się zaśmiała.

– Ależ, dziecko, teraz jesteś w Cliffwall. Zostaniesz tu i będziesz jedną z moich akolitek. Nauczę cię odczytywać i rozumieć zaklęcia i wkrótce będziesz mogła zapamiętywać setki ksiąg. Staniesz się naszą najmłodszą mnemoniczką. – Poklepała dziewczynkę po ramieniu.

Nicci się zirytowała.

– Czy ona właśnie tego chce?

Mała patrzyła to na korpulentną mnemoniczkę, to na czarodziejkę.

– Ależ oczywiście – stwierdziła Victoria. – Wezmę cię pod moje skrzydła, dziecko, umyję cię i wyszkolę.

Dziewczynka wierciła się na ławie.

– Chcę lepiej czytać i się uczyć, ale nie chcę zostać w Cliffwall. Nicci może mnie uczyć, kiedy będziemy badać świat. Dla lorda Rahla. To ważna misja.

Victoria zbyła to lekceważącym gestem.

– Mrzonki, dziecko. Lepiej czytać o przygodach, niż je przeżywać. Ochronię cię. – Mocno zacisnęła dłonie na kościstych ramionkach



dziewczynki.

Mała się oswobodziła i przysunęła bliżej Nicci, zostawiając na stole różową sukienkę. Nicci wstała, nagle spięta.

– Dość tego, Victorio. Dziewczynka jest z nami.

Mnemoniczka się zirytowała, wyraźnie nieprzyzwyczajona, żeby ktoś się jej sprzeciwiał. Zacmokała.

– Wiesz, że dziecko potrzebuje opieki i nauki. Nauczymy ją zapamiętywać.

Głos Nicci był twardy jak stal.

– Oset musi sama wybrać. Sama powinna decydować o swoim życiu.

– Chcę polować na jaszczurki i wspinać się na ściany kanionów – wtrąciła się dziewczynka. – Nicci obiecała, że mnie zabierze w podróż po Starym Świecie.

Czarodziejka wyczuła panujące w komnacie napięcie. Uczni przestali jeść, przysłuchiwali się słownemu pojedynkowi.

Victoria utkwiała wzrok w Nicci.

– Jesteś jej matką? Jakim prawem decydujesz za nią?

– Nie, nie jestem jej matką. Nigdy nie zamierzałam zostać matką. To *moja* decyzja.

Victoria zareagowała w nieoczekiwany sposób.

– A pomyślałaś kiedyś, że może to była zła decyzja? Czemuż piękna, silna i najwyraźniej płodna kobieta, jak ty, postanowiła *nie dawać* życia? Tak bardzo pragnęłam mieć dzieci i nie mogłam! – Podnosiła głos coraz bardziej rozsierdzona. – Nikt nigdy nie odmówił mi akolitki. Kim jesteś, żeby mi się sprzeciwiać?

Nicci przyszło na myśl wiele odpowiedzi, ale wybrała tę o największej

mocy:

– Jestem Panią Śmierci.

## ROZDZIAŁ 48

Po sycącym posiłku Bannon wciąż czuł słodki smak owoców w miodzie podanych na deser. Wracając do swojej kwatery, klepał się po brzuchu. Po nocy na pogórzu uznał, że izba o kamiennych ścianach i siennik są przytulne i bezpieczne. Przypominały mu jego izdebkę na Chiriyi, kiedy był chłopcem, kiedy razem z Ianem rozprawiali o swoich marzeniach... zanim ojciec zaczął go bić, zanim norukaiscy handlarze niewolników porwali Iana, zanim świat się rozpadł.

Zamknął oczy i odpędził te myśli. Oczyszczył umysł, miarowo oddychając, i na nowo pomalował wspomnienia jasnymi – co z tego, że nieprawdziwymi – barwami. Gotowy na sen, opuścił zasłonę w drzwiach dla prywatności i zdjął samodzielną koszulę, wciąż oblepioną żrącym białym pyłem i zaschniętą krwią piaskowej pantery. Nucąc pod nosem, rzucił odzież pod ścianę, jutro zanieś ją do pralni. Miał na zmianę czystą koszulę i spodnie; równiutko złożone, leżały na nieużywanym stoliku do pisania.

Ktoś przyniósł mu misę z wodą i miękkie płótno, które mógł wykorzystać jako ręcznik. Tak by zrobiła jego mama. Zanurzył płótno w wodzie i przetarł twarz. Wspaniałe uczucie świeżości. Ktoś nawet dodał ziół do wody, aż mrowiła go skóra. Znowu zamoczył płótno, zmywał piach i brud. Wycisnął nadmiar wody i podniósł wzrok zaniepokojony, bo zasłona w drzwiach się poruszyła.

Do izdebki wśliznęła się Audrey, jej ciemnobrązowe oczy błyszczały. Nie zapukała, nie spytała, czy może wejść. Bannon, bez koszuli, natychmiast się zawstydził. Upuścił płótno do misy z wodą.

– Przepraszam – powiedział, a potem się zdziwił: czemu przeprasza? –

Właśnie się myślę.

– Przyszłam ci pomóc. – Uśmiechnęła się Audrey i pozwoliła opaść zasłonie w drzwiach.

Szła ku niemu, jej bujne, długie czarne włosy były rozpuszczone. Strój, jaki miała na sobie – w przeciwieństwie do białej wełnianej sukni, którą zwykle nosiła – był bardziej obcisły, gorset mocno przylegał w wąskiej talii i pod piersiami, podkreślając ich krągłość.

– Po tym wszystkim, co przeżyłeś, Bannonie Farmerze, nie powinieneś sam się myć.

– Nnnic mi nie jest. – Czuł, że policzki znowu mu pałają. – Całe życie sam się myślę. Do tego... nie potrzebuję drugiej osoby.

– Może i nie potrzebujesz – powiedziała Audrey, biorąc płótno i zanurzając je ponownie w wodzie z ziołami – ale dlaczego odtrącać pomoc? To o wiele przyjemniejsze.

Wszystkie argumenty uleciały mu z głowy, a poza tym uświadomił sobie, że nie ma nic przeciwko temu.

Audrey przesunęła wilgotnym płótnem po piersi Bannona, ścierając pył. Robiła to bardzo powoli, lecz zamierzała nie tylko go umyć. Znowu zamoczyła płótno i pieszczotliwie przesunęła po piersi chłopaka, po jego płaskim brzuchu.

Bannon poczuł, że zaschło mu w gardle. Uchylił się, skrępowany, bo zorientował się, że się podniecił, w płóciennych spodniach pojawiło się wyraźne wybrzuszenie.

Audrey też to zauważyła. Przycisnęła tam dłoń, a on – nawet nie zdając sobie z tego sprawy – jęknął. Pospiesznie chwycił jej nadgarstek.

– Nie ma potrzeby...

– Nalegam. Muszę mieć pewność, że jesteś cały czysty. – Rozwiązała

sznurek spodni, które zrobiły się zdecydowanie za ciasne.

Bannon płonął ze wstydu.

– Proszę, ja... – Zamilkł i przełknął ślinę. W gardle jeszcze bardziej mu zaschło. Nie był pewien, czy prosi, żeby przestała czy żeby nie przerywała.

Audrey wsunęła dłoń w spodnie i musnęła go miękkim wilgotnym płótnem.

– Chcę, żebyś był zupełnie czysty – powtórzyła i pchnęła go na posłanie.

Pod Bannonom ugiwały się kolana, więc i tak by padł na siennik.

Kiedy tak leżał, patrząc na nią błyszczącymi oczami, Audrey rozsznurowała gorset, a potem wyśliznęła się z sukni; miękka tkanina zsunęła się z białych ramion, odsłaniając piersi. Ciemne brodawki przypominały Bannonowi jagody, którymi nie tak dawno karmiła go przy stole.

Wstrzymał oddech, zachwycony tym widokiem, a ona się odwróciła, pozwalając mu podziwiać linię pleców i łagodną wypukłość idealnych pośladków. Lecz nigdzie się nie wybierała – po prostu chciała zdmuchnąć jedną świecę, zostawiając pojedynczy pomarańczowy chybotliwy płomyk. Było wystarczająco jasno, żeby się widzieli, ale Bannon i tak przeważnie miał zamknięte oczy. Wiele razy wstrzymywał oddech, kiedy dołączyła do niego na posłaniu, przyciskając go do siennika.

Kiedy wracał po posiłku do swojej kwatery, był wykończony i śpiący, ale teraz sen był ostatnią rzeczą, o której by pomyślał.

Dotknął skóry Audrey, poczuł jej ciepło. Uniósł ręce, kiedy się pochyliła, zachęcając go, żeby zamknął w dłoniach jej piersi. Kiedy przesunęła biodra i znalazła się nad nim, kiedy w nią wszedł, miał wrażenie, że znalazł się w raju.

Stracił poczucie czasu, oszołomiony doznaniem, jakie Audrey w nim budziła. Kiedy skończyli i zsunęła się z niego, pochyliła się i pocałowała go

w usta, a potem powiodła wargami po jego policzku i szyi. Przeciagle westchnął z rozkoszy. Był wyczerpany, ale zarazem wcale nie czuł się zmęczony. Cały jego świat się zmienił.

Audrey podniosła suknię i wsunęła ją przez głowę, a on już za nią zatęsknił.

– Nnnie wiem, co powiedzieć.

Zaśmiała się.

– Przynajmniej wiedziałeś, co robić.

– Czy to znaczy, że mnie wybrałaś? Na pewno byłbym dobrym mężem. Nie wiedziałem, czy chcę się żenić, ale ty mnie...

Znowu się roześmiała.

– Nie bądź głuptasem. Nie możesz się ożenić z nami wszystkimi.

– Wszystkimi? – zapytał, nie rozumiejąc.

Audrey skończyła się ubierać i podeszła do posłania, na którym Bannon leżał szczęśliwy i rozmarzony, cały drżący. Pocałowała go.

– Dziękuję – powiedziała, a potem wysliznęła się z izby, cicho znikając w korytarzu.

Bannonowi kręciło się w głowie. Był przekonany, że przez wiele dni – a może i miesiące – będzie się głupio uśmiechał. Zamknął oczy, znów westchnął przeciągle i spróbował zasnąć, ale jego ciało wciąż było podekscytowane. Słyszał wiele miłosnych wierszy, minstreli śpiewających o miłosnej tęsknocie – i właściwie nic z tego nie rozumiał. Był co prawda naiwnie oczarowany Nicci, pamiętał niezdarne zalecanki i wręczenie jej śmiertunek, lecz nigdy nie marzył o czymś takim jak z Audrey. Idealna, piękna i pełna *pożądania* Audrey.

Leżał godzinę, usiłując zasnąć, ale i nie zamierzając stracić ani sekundy tych wspaniałych wspomnień. W wyobraźni od nowa czuł każde jej

dotknięcie, dotyk ust na policzku, na wargach, na piersi – wszędzie.

Usłyszał szelest zasłony w drzwiach i początkowo zdezorientowany podniósł głowę, mrugając. Czy to Audrey wróciła?

W drzwiach stała Laurel, jej jasnorude włosy, lśniące w słabym blasku jednej świecy, były splecione w misterny warkocz. Uśmiechnęła się do niego uwodzicielsko, zielone oczy błyszcząły. W kąciку ust mignął czubek języka i w uśmiechu pokazała idealne białe zęby.

– Widzę, że nadal nie śpisz. – Zbliżyła się do jego posłania, a Bannon usiłował usiąść. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Idąc ku niemu, rozwiązała pasek i wysliznęła się z białej sukni akolitki niczym piękny motyl wyłaniający się z kokonu.

Bannon płytko odetchnął. Był zaniepokojony, zmieszany – i znowu podniecony.

– Audrey była... – powiedział, wyciągając ręce.

Ujęła jego lewą dłoń i położyła sobie na piersi. Mniejszej i jędrniejszej niż u Audrey. Brodawki sterczały.

– Audrey już dostała, co jej się należało – powiedziała z uśmiechem. – Mam nadzieję, że nie jesteś zbyt zmęczony. – Musnęła palcami jego brzuch, pogłaskała przyrodzenie. Uśmiechnęła się z zachwytem. – Widzę, że wcale nie jesteś zmęczony.

Zaczęła go całować, a Bannon już dokładnie wiedział, co robić, i reagował z coraz większym zapalem. Biorąc pod uwagę wcześniejsze doświadczenie, uznał, że staje się w tym coraz lepszy.

Laurel była powolniejsza i delikatniejsza niż Audrey, lecz bardziej namiętna. Pieściła go i pokazała mu, jak ma ją pieścić, chciała się nacieszyć całym jego ciałem i Bannon znowu okazał się pojętnym i żarliwym uczniem. Kiedy spróbował przyspieszyć, czując, jak narasta w nim żądza,

powstrzymała go, zwodziła i drażniła się z nim. Potem wsunęła się pod niego na wąskim posłaniu i objęła ramionami.

Szepnęła mu do ucha:

– Wszystko dobrze. Nie ma pośpiechu. Sage przyjdzie dopiero przed świtem.



## ROZDZIAŁ 49

Nicci, zobaczywszy na własne oczy pustkowie Blizny, zagłębiła się w zbiorach archiwum, poświęcając całe godziny stosom starych ksiąg. I chociaż Oset starała się pomagać – wyszukując tomy, które jej zdaniem były interesujące, i przynosząc z kuchni jedzenie – to była znudzona.

Dziewczynka chciałaby być pomocna, ale brakowało jej umiejętności. Kiedy pomagała przyjaciółom przetrwać na pustkowiu, czuła się ważna; była użyteczna, łapiąc jaszczurki, znajdując wodę. Ale księgi... Oset za mało wiedziała o magii i starożytnych językach.

Ciocia i wujek nauczyli ją liter, więc potrafiła odczytać podstawowe słowa. Wpadła na pomysł, żeby zapamiętać kluczowe terminy dotyczące tego, co interesowało Nicci – „życie”, „energia”, „Han”, „zmniejszyć”, „drenować” – i stawała przed regałami w wielkich czytelnich, przepatrując grzbiet po grzbiecie, zwój po zwoju. Ilekroć znalazła coś, co mogło się przydać, spieszyła z tym do Nicci i dokładała księgę do sterty czekającej na przeczytanie. Czarodziejka zawsze z powagą przyjmowała jej znaleziska, ale jak dotąd nikt nie trafił na żadne wskazówki co do ewentualnych słabych punktów Życiożercy.

Oset zawsze była niezależna, potrafiła o siebie zadbać. Czuła, że Nicci ją ceni – po części dlatego, że czarodziejka doceniała osoby potrafiące radzić sobie z problemami. Oset chciała udowodnić, że mogłaby być wartościowym członkiem ich grupy, lecz czuła się odsunięta na bok, bezużyteczna.

Zwiedzała więc wielkie kamienne budowle i tunele biegnące we wnętrzu płaskowyżu niczym szlaki korników w próchniejącym drzewie. Uczeni, zaabsorbowani własnymi poszukiwaniami, prawie nie zwracali na nią uwagi.

Unikała Victorii, nie chcąc, żeby ją szkoliła na mnemoniczkę i kazała zapamiętywać stare księgi. Kiedyś trafiła na jedną z takich sesji uczenia się na pamięć: młodzi mężczyźni i kobiety siedzieli ze skrzyżowanymi nogami na kamiennej podłodze, a Victoria czytała na głos akapit i kazała im powtarzać słowo po słowie. Ujrawszy Oset, dała jej znak, żeby się do nich przyłączyła, lecz dziewczynka odeszła. Nie podobała się jej natarczywość starszej kobiety. Nie chciała być tutaj zamknięta i przez całe życie ślęczeć nad starymi księgami. Wolała zostać z Nicci. Uczestniczyć w jej przygodach.

Natknęła się na niespokojnego Bannona przemierzającego – jak ona – tunele z mieczem w ręku. Pożalił się jej:

– Chciałbym, żebyśmy mogli coś zrobić.

Ciął niewidzialnych przeciwników, chociaż korytarz był zbyt wąski na symulowanie walki.

– Powinniśmy wyjść i razem walczyć ze złym czarodziejem – odpowiedziała.

– Jesteś tylko małą dziewczynką.

Popatrzyła na niego gniewnie.

– A ty tylko chłopakiem.

Bannon się najeżył.

– Jestem mężczyzną i wojownikiem. Szkoda, że nie widziałaś, ilu selka zabiłem, kiedy zaatakowali nasz statek.

– Widziałeś, jak walczyłam z panterami – odpaliła Oset – i z piaskowymi ludźmi.

Westchnął i oparł miecz o kamienną podłogę.

– Żadne z nas nie jest wielkim zagrożeniem dla Życiożercy. Musimy poczekać, aż ktoś w księgach wyczyta, jak go zniszczyć.

Oset się zachmurzyła.

– Czekanie mnie złości.

Bannon odszedł tunelem, znowu walcząc mieczem z wymaginionowanymi wrogami, ale kiedy natknął się na piękne akolitki Victorii, zatrzymał się speszony. Audrey, Laurel i Sage mogłyby go pokonać jednym uwodzicielskim uśmiechem. Oset przewróciła oczami.

Wybrała się do okna w zewnętrznym stromym stoku płaskowyżu. Kiedy patrzyła na Bliznę i widziała rozszerzające się pustkowie i odległe drzenie rozgrzanego powietrza, pragnęła się dowiedzieć, jak ta piękna niegdyś dolina wyglądała.

Znalazł ją tam uczony-archiwista Simon.

– Co dzień na to patrzę – powiedział. – Każdego ranka obserwuję, jak Życiożerca powiększa swoje tereny i wysysa ze świata coraz więcej życia. Gdybyś tu była tak długo jak ja, wiedziałabyś, co straciliśmy.

Oset popatrzyła na niego.

– Jak tu było?

Simon wskazał za okno.

– Widziałabyś stąd jeziora i rzeki. Wzgórza porastały gęste lasy, niebo było błękitne, nie takie szarobure. Drogi biegły z jednego końca doliny na drugi, łącząc miasta. Kraina była usiana pastwiskami i polami uprawnymi. – Cicho zagwizdał. – Czasem mi się wydaje, że pamiętam sen. Lecz wiem, że tak było naprawdę.

Dziewczynkę ogarnęło współczucie i determinacja.

– Możemy sprawić, że znowu tak będzie. Wiem, że potrafimy.

W głosie Simona pojawiła się twarda nuta.

– Przede wszystkim to się nigdy nie powinno stać. Jeden z naszych uczonych rzucił zaklęcie, którego nie potrafił kontrolować. Teraz dolina wymarła, miasta obróciły się w pył, w tym moje rodzinne. A ludzie nie żyją.

– Głucho jęknął. – To nasza wina. Musimy znaleźć sposób, żeby to naprawić.

– Chcę pomóc – powiedziała dziewczynka. – Musi być coś, co mogłabym zrobić.

Uśmiechnął się do niej protekcyjnie.

– Sądzę, że tę sprawę lepiej zostawić uczonym.

Urażona Oset odwróciła się, mruczając pod nosem, że i tak pomoże naprawić świat. Uczony-archiwista patrzył na odległe pustkowie nawet wtedy, kiedy już odeszła.

Nicci, odmawiając sobie snu, czytała tom po tomie, aż rozboleły ją oczy i głowa pękała od przyswajania informacji. Chociaż wiele się nauczyła – w tym derywacji zaklęć, z których w przeszłości korzystała – to nie znalazła właściwych odpowiedzi. Zniecierpliwiona odłożyła kolejny tom.

Teraz o wiele lepiej pojmowała, jak groźny i niszczycielski był Życiożerca. Jeśli go nie powstrzyma, całemu światu naprawdę grozi zagłada – nie wyolbrzymiała zagrożenia. Blizna będzie się rozrastać i w końcu pochłonie Stary Świat, a potem D’Harę.

Wiedziała już, czemu tutaj jest.

Za dnia blask słońca wpadał przez soczewkowate okna olbrzymich kamiennych budowli, oświetlając archiwum. Nocą czytała przy ciepłym żółtym świetle świec lub lamp oliwnych. Przewracała stronice, wczytywała się w tajemnicze starożytne języki i do rana przerzuciła kolejnych dziesięć tomów.

Nathan, pochłonięty własnymi poszukiwaniami, z łatwością chwycił tematykę przeglądanych ksiąg, no i zawsze był bardziej pracowity niż Nicci. Ona była kobietą czynu, próbującą aktywnie ocalić świat. Prawdę mówiąc, już raz *ocaliła* świat, pomagając Richardowi Rahlowi, a teraz powinna go

uratować przed destrukcyjnym zaklęciem Życiożercy.

Oczy ją piekły, bolały kark i ramiona. Musiała odetchnąć świeżym powietrzem i rozjaśnić sobie w głowie. Zostawiła więc za sobą sale archiwum i wyszła z najwyższej kamiennej wieży do osłoniętej grotty. Popatrzyła na drugą stronę kanionu, myśląc o ludziach spokojnie żyjących tu przez stulecia. Chociaż był już późny ranek, słońce nie wzniosło się jeszcze na tyle wysoko, żeby rozproszyć cienie.

Zobaczyła owce pasące się w pobliżu płynącego pośrodku strumienia, z obu stron otoczonego sadami kwitnących migdałowców. Oddychała, ciesząc się porannym chłodem. Słaby wiatr rozwiewał pasma jej blond włosów.

Nathan do niej dołączył.

– Chciałaś odetchnąć świeżym powietrzem, czarodziejko? Kiedy się patrzy na tutejsze domostwa, można niemal zapomnieć o Bliźnie i Życiożercy po drugiej stronie płaskowyżu.

– Nie potrafię zapomnieć. – Popatrzyła na niego. – Muszę się zastanowić, co moglibyśmy zrobić. Znalazłam wiele tangencjalnych zaklęć, ale żadne nie wystarczy. Tego ranka czytałam, jak zabić sukuba, w ostateczności to mogłoby się przydać.

Nathan przesunął dłońmi po siwych włosach.

– Jak się ma sukub do Życiożercy?

– Oboje wysysają życie. Sukub to rodzaj wiedźmy pozbawiającej sił witalnych poprzez seks. Mężczyźni uważają, że nie sposób się jej oprzeć, a ona kusi ich rozkoszą, zwabia w pułapkę i wysysa z nich siły. – Po czym dodała sarkastycznie: – Mężczyźni pewnie umierają z uśmiechem na ustach, chociaż ich twarze się marszczą i zapadają.

Nathan zaśmiał się nerwowo.

– Nie byłoby dobrze, gdyby tak piękna kobieta jak ty, czarodziejko, miała taką moc.

Dumnie uniosła głowę.

– Mam moc potężniejszą. To wszystko kwestia kontroli, a ja ją kontroluję. Za to Życiożerca nie. Pozbawia ofiary sił życiowych, a w tym przypadku jego ofiarą pada cały świat. Pod tym względem przypomina sukuba.

– Niezwykłe. Zatem jak można zabić sukuba? Co mówi dokument?

– Sukub ponosi winę za swój koniec... w pewnym sensie. Ilekroć kładzie się z mężczyzną, istnieje minimalna szansa, że zajdzie w ciążę. Jeśli tak się stanie, to już po sukubie. Dziecko, zawsze córka, jest obdarzoną mocą istotą, która rośnie i rozwija się, wchłaniając życie matki. Robi jej to samo, co ona mężczyznom: wysysa ją, póki nie zostanie z niej pusta skorupa. Wtedy dziecko wydobywa się z jej łona... i zostaje kolejnym zadającym śmierć sukubem.

Nathan zacisnął usta.

– To nie wygląda na praktyczną metodę uśmiercania sukuba, gdybyśmy mieli z czymś takim do czynienia. Nie ma innego sposobu?

– Legendy mówią, że nowy sukub jest słaby. Jeśli zgra się atak w czasie, to można zabić dziecko, niszcząc linię sukubów.

Nathan popatrzył przez wąski kanion na pasterza pędzącego niewielkie stadko na ukwiecony spłachetek trawy.

– Chociaż to fascynująca bajeczka, to nie pojmuję, do czego mogłaby się nam przydać.

– I ja tego nie wiem – westchnęła Nicci.

Z wieży wyszła Victoria, minę miała stanowczą. Zobaczyła ich i pospiesznie podeszła.

– Podczas dyskusji moi mnemonicy przypomnieli sobie coś ważnego –

zwracała się do Nathana. Od dwóch dni traktowała Nicci oziębło, bo ta nie pozwoliła jej wziąć Oset na nową akolitkę. – Ponieważ każde z nas pamięta inne księgi, porównujemy je, wysuwamy propozycje.

– I przypomniałiście sobie coś użytecznego? – zapytała Nicci. – To byłaby pożądana odmiana.

W oczach Victorii błysnęła irytacja i czarodziej pospiesznie się wtrącił:

– Co to takiego? Oryginalne zaklęcie Życiożercy?

Victoria odchyliła się i uniosła głowę.

– To opowieść o pierwotnej puszczy porastającej niegdyś Stary Świat, o idealnej harmonii z naturą. Pradrzewo było pierwszym drzewem w pierwszym lesie: olbrzymi dąb był najpotężniejszą żywą istotą na całym świecie. To opowieść o stwarzaniu.

Nicci nie próbowała ukryć rozczarowania.

– Jak prastary mit o drzewie ma nam pomóc z Życiożercą? On jest współczesnym zagrożeniem, nie starą baśnią.

Victoria spochmurniała.

– Wszystkie nici życia się splatają, czarodziejko. Kiedy pierwotna puszcza porastała ziemię, świat miał wielką moc i potężną magię. – Znowu zwracała się do Nathana, uznając go za uważniejszego słuchacza. – Przed wojnami czarodziejów, szalejącymi przed trzema tysiącami lat, Stary Świat pustoszyły inne armie, ścinając drzewa, niszcząc ostatki pierwotnej puszczy. Żli ludzie ścięli Pradrzewo, wymagało to współdziałania stu potężnych czarodziejów i jeszcze liczniejszych robotników. I kiedy olbrzymi dąb padł, wraz z nim umarła najważniejsza część świata. Lecz ocalał jeden żołądz, ostatnie nasiono Pradrzewa. Kiedy wojska wycinały rozległe lasy, kierowały całą energię życiową na powrót w Pradrzewo, aż na koniec skupiła się ona w tym jednym żołądziu, ostatniej cząstce pierwotnej puszczy. Cała energia Pradrzewa i jego

potomstwa została tam zmagazynowana, by pewnego dnia mogła zostać uwolniona w eksplozji niemożliwej do pojęcia potęgi życia.

Nathan wziął płytki oddech.

– I uważasz, że ta potęga mogłaby zabić Życiozercę?

– Z pewnością – stwierdziła Victoria. – Lecz im potężniejszy się staje, tym trudniejsze będzie to zadanie. Wkrótce będzie za późno. Uważam, że teraz Roland lub to, co z niego zostało, nie dorównałby ostatniej cząstce Pradrzewa.

– No i jak ma nam to pomóc? – odezwała się Nicci. – Uważasz, że ten żołędź naprawdę istnieje? Jeśli tak, to gdzie go znajdziemy? Przeczytałam wiele ksiąg i nie znalazłam wzmianki ani o tej legendzie, ani o samym żołędziu.

Nathan też potrząsnął głową.

– I ja na nic takiego nie natrafiłem.

– Ale ja *pamiętam* – powiedziała Victoria. – O tym mówiła jedna z zapamiętanych przeze mnie ksiąg. Żołędź Pradrzewa zamknięto w Cliffwall, głęboko w podziemiach... gdzieś tam. – Wskazała uszkodzoną wieżę z boku groty, częściowo stopioną w szklistą formację. – Nadal tam jest.



## ROZDZIAŁ 50

Nadzorowani przez Simona robotnicy z osad w kanionie przynieśli narzędzia do Cliffwall i zabrali się do roboty, starając się dostać na niższe poziomy uszkodzonej wieży, z nadzieją, że odnajdą skrytkę z żołędziem Pradrzewa. W zimnych, pełnych pyłu podziemiach niektóre z przejść się zawałyły. Kamień stopił się jak wosk, blokując korytarze – ale zdeterminowani robotnicy młotami i dłutami kuli twardą skałę.

Zeskliwiła skała zalała wejście, odcinając cały poziom piwnic. Robotnicy ciężko pracowali, kując i odgarniając gruz. Zakurzony kamieniarz jęknął i spojrzał na Simona.

– Panie, potrwa wiele dni, zanim wybijemy choć mały otwór.

Zeszli za robotnikami w podziemne przejścia, wcisnęli się do zawałonych piwnic. Nathan popatrzył na Nicci.

– Z pewnością barykada z twardej skały nie jest dla ciebie zbyt wielkim wyzwaniem, czarodziejko.

– Oczywiście. Pozwólcie mi działać, nie mamy czasu.

Zaciekawieni robotnicy się cofnęli, a Nicci dotknęła gładkiej stopionej skały. Kiedy uwolniła magię, kamień spłynął. Nie musiała korzystać z magii subtraktywnej, mogła pracować w skale jak w glinie, po prostu ją kształtując. Podnosiła garście miękkiego kamienia, niczym robotnik mozolący się w błocie. Chociaż wymagało to wielkiego wysiłku, zdołała wydrążyć tunel, poszerzyć go, podwyższyć strop i przesunąć się w głąb.

Wykorzystując dar, usunęła dziesięć stóp kamiennej blokady i zaczęła wątpić, że po drugiej stronie jest jakieś pomieszczenie. A co, jeśli niezdarny, niewyszkolony czarodziej stopił i zestalił całe archiwum z wieży w tym

nieszczęsnym wypadku? Lecz wkrótce wyczuła, że kamień robi się cieńszy, a potem pękł niczym skorupka jajka i przepchnęła się do ciemnej, klaustrofobicznej sutereny, dokładnie tam, gdzie według planów powinna się ona znajdować. Wewnątrz powietrze było ciężkie i zatęchłe, stojące od wielu lat.

Nicci stuliła dłoń i rzuciła czar ognia. Ujrzała ściany upstrzone dziobami po dłutach. Omiotła blaskiem pomieszczenie – cienie zatańczyły na regałach zastawionych zakurzonymi cennymi tajemniczymi przedmiotami, artefaktami, rzeźbami, amuletami.

Nathan wsunął się tam za nią, wyprostował się i starannie otrzepał z pyłu pożyczoną togę.

– Drogie duchy, właśnie tego szukaliśmy. Jest tutaj żołądź Pradrzewa?

Simon i Victoria weszli za nim i patrzyli zadziwieni.

– Dokładnie tam, gdzie powinna być wedle moich mnemoników. – Posłała Nicci ostre spojrzenie. – Powinnaś była mi wierzyć, czarodziejko.

– Wolę mieć dowód – odpowiedziała Nicci, nie reagując na jej irytację. – Teraz go mam i wierzę ci.

Podeksytowani obeszli podziemie niczym muzeum, oglądając wspaniałości zamknięte tu od lat. Szukali wśród egzotycznych artefaktów, rzeźbionych amfor, marmurowych figur, lśniących szklanych flakoników, amuletów ze złota i drogich kamieni, medalionów z wypalanej gliny pokrytych zielonkawą glazurą. Natknęli się na drewnianą szkatułkę, nie szerszą od dłoni Nicci. Ciągnęło ją do niej, wyczuwała energię, moc z trudem mieszczącą się w tym pudełeczku. Kiedy ją wyjęła z niszy, poczuła ciepłe pulsowanie.

– Zawiera coś bardzo ważnego.

– To jest to – powiedziała Victoria, zbliżając się. – Pamiętam opis

z oryginalnego tekstu.

Nicci uniosła wieczko i spojrzała na purpurową aksamitną wyściółkę, na której spoczywał żołędź wyglądający jak ze złota.

Nathan uśmiechnął się jak mały chłopiec.

– Niesamowite. Życiożerca nie da mu rady. Teraz mamy potrzebną nam broń.

– Tak. – Nicci zamknęła pudełeczko. – Mam ją.

Czarodziejka chciała natychmiast wyruszać.

– Moc Życiożercy rośnie z każdym dniem. Ta misja będzie niebezpieczniejsza niż nasza ostatnia wyprawa, ale pójdę.

Uczeni będą badać inne artefakty z podziemi. Jeżeli ona pokona złego czarodzieja, będą mieli na to całą wieczność. Nicci wyjęła żołędź z ozdobnej skrzyneczki, zawinęła w kawałek purpurowego aksamitu, żeby go schować w kieszeni sukni.

Kiedy wrócili do głównych budynków archiwum, zastanowiła się, co powinna zrobić przed wymarszem. Właściwie poza zabranie żywności i wody nie musiała czynić innych przygotowań. Dołączyli do niej Bannon i Oset, wokół zebrali się zaciekawieni uczeni, pragnąc zobaczyć żołędź Pradrzewa.

Victoria spojrzała na Nicci, tak surowo, jak i niespokojnie. Marszcząc brwi, powiedziała do uczonych:

– Wiem, że jest pośród nas najpotężniejszą czarodziejką, ale nie chcę oddawać tak cennego skarbu, samej esencji życia, kobiecie, która nazywa siebie Panią Śmierci.

Nicci zignorowała zastrzeżenia mnemoniczki.

– To musi zostać zrobione i ja jestem tą, która to uczyni.

Simon, patrząc z ukosa na Victorię, zasugerował:

– Wszyscy w Cliffwall wiedzą, że to ciężka walka. Możemy razem z tobą wysłać uczonych i wyszkolonych czarodziejów. Będziemy twoją armią przeciwko Życiożercy.

Nicci popatrzyła na zbyt młodego uczonego-archiwistę.

– Wszyscy byście zginęli. Nikt z was nie jest w pełni wyszkolony w magii. Ryzyko jest zbyt duże.

Podbiegła podekscytowana Oset. Jej miodowo-brązowe oczy błyszcząły.

– Nicci to zrobi, wiem, że da radę. Myślisz, że dzięki temu dolina stanie się taka jak przedtem?

– Zabicie Życiożercy powstrzyma rozprzestrzenianie się pustkowia – odparła czarodziejka; nie chciała budzić w małej nierealistycznych nadziei. – Lecz świat odniósł poważną ranę. Trochę potrwa, zanim się uleczy, nawet po pokonaniu Życiożercy.

– Muszę z tobą iść – nalegała dziewczynka. – Pomóc odrodzić dolinę.

Nicci nie chciała o tym słyszeć.

– To zbyt niebezpieczne. Nie dam rady się bronić i ukończyć misji, jeśli będę się martwić o ciebie.

– Nie musisz się martwić. *Chcę pójść*. *Chcę pomóc*, tak jak ostatnio.

Nicci skrzyżowała ramiona na piersiach.

– Nie i nie wymkniesz się za mną. Mogę kazać Nathanowi, żeby związał ci ręce i nogi i zamknął cię w pokoju.

– Nie zrobiłabyś tego – powiedziała dziewczynka.

– Istotnie, ale tylko jeśli obiecasz, że zostaniesz. Tego od ciebie wymagam, bo tylko tak mogę wykonać zadanie. To śmiertelnie poważna sprawa.

Dziewczynka zagotowała się ze złości.

– Ale...

Nicci uniosła rękę, ucinając wszelkie sprzeciwy.

– A może wolałabyś, żebym rzuciła na ciebie urok snu, tak żebyś się nie obudziła przez wiele dni?

– Nie – burknęła mała. – Obiecuję, że zostanę. – Głos miała cichy, przygnębiony.

– Złamiesz obietnicę?

Dziewczynka poczuła się znieważona.

– Nigdy!

Nicci patrzyła na nią długo i surowo i uwierzyła jej.

– Więc ci zaufam.

– To dziecko musi być bezpieczne, rozumie się – przyznał Nathan. – Lecz w takiej walce ktoś powinien stać u twego boku. Życiożerca to zły czarodziej, może jeden z najpotężniejszych, z jakimi kiedykolwiek miałś do czynienia.

– Zabijałam już czarodziejów – odparła Nicci.

– Istotnie, lecz nie takiego jak ten. Nie potrafimy odgadnąć, jak Życiożerca spróbuje ci przeszkodzić. Powiniennem z tobą pójść i wesprzeć cię tak, jak zdołam.

Nicci uniosła brew.

– Jak mógłbyś mi pomóc? Dar cię opuścił.

Nathan dotknął rękojeści miecza.

– Jestem też niezłym zawadiaką. Magia wciąż we mnie tkwi, czy mogę z niej korzystać czy nie. Może spotkanie z Życiożercą pomogłoby mi odzyskać moc.

Nicci przeszył zimny dreszcz.

– I tego się obawiam, Nathanie Rahlu. Wiem, jak wspaniałym czarodziejem możesz być, lecz nie możemy ryzykować.

Nathan się najężył.

– Nalegam...

Potrząsnęła głową.

– Zastanów się. Co uczyniła twoja magia, kiedy spróbowałeś uleczyć rannego w Renda Bay? Gwałtowny poryw rozerwał go na strzępy. A kiedy walczyłeś z naprawiaczem, magia znowu wymknęła się spod kontroli, lecz na szczęście dla nas zwróciła przeciwko niemu jego własną złą magię. Ale Życiożerca już jest poza kontrolą. Jeżeli zetknie się z twoją chaotyczną mocą, a ta jeszcze bardziej się wypaczy, to wyobraź sobie, co się może stać. – Jego oczy zrobiły się wielkie, kiedy to do niego dotarło. Podjęła: – Kiedy wykorzystam żołądź Pradrzewa, kiedy powietrze przesyci ogrom magii, uderzając w ziemię, to co się stanie, jeżeli zadziała i twoja moc? Rezonans mógłby rozerwać ciebie... lub świat. Nie wolno nam ryzykować.

Nathan niechętnie potaknął i powiedział cicho:

– Obawiam się, że możesz mieć rację, czarodziejko. Gdybym w jakiś sposób zwrócił magię Życiożercy przeciwko nam, tylko tysiące razy zwielokrotnioną, to w żaden sposób nie zdołałbym nad nią zapanować. Drogie duchy, jakież szkody mógłbym wyrządzić...

Nicci się wyprostowała.

– Muszę polegać na własnym darze i mogę szybko się przemieszczać. – Dotknęła tkaniny spowijającej pulsujący w jej kieszeni złoty żołądź. – Twój miecz byłby pomocny, ale już mam broń.

Podszedł Bannon, też zdeterminowany.

– W takim razie *ja* idę. Jeśli potrzebny ci miecz, możesz mieć mój. – Posłał jej zawadiacki uśmiech, bardziej przeznaczony dla Audrey, Laurel

i Sage, które też się przysłuchiwały. – I już zapowiedziałas, czarodziejko, że nigdy nie będziesz się mną przejmować.

Nicci sceptycznie zmarszczyła brwi.

– Nie powinieneś składać takich zuchwałych propozycji tylko po to, żeby zrobić wrażenie na swoich kochankach.

Poczerwieniał jak burak.

– Ależ mogę się przydać! Na Słodką Matkę Morza, widziałas, jak walczę z piaskowymi ludźmi i panterami. Jeśli nas zaatakują, kiedy będziemy się zbliżać do kryjówki Życiożercy, to mogę kupić ci sekundy potrzebne, żebyś mogła ukończyć misję, prawda? To mogłoby przesądzić o sukcesie lub porażce.

Nicci zacisnęła wargi, przyglądając się młodemu człowiekowi. We wspólnych walkach z wrogami na pozór nie do pokonania faktycznie zabił więcej przeciwników, niż można by się spodziewać.

– Przyznaję, że czasem bywasz użyteczny. Lecz wiedz, że jeśli pójdziesz ze mną, by walczyć z Życiożercą, możesz stanąć twarzą w twarz ze śmiercią. A ja nie będę mogła cię ocalić.

– Przystaję na te warunki, czarodziejko. – Z trudem przełknął ślinę, usiłując ukryć strach, bo dobrze pojmował ryzyko. – Jestem gotów stawić czoło niebezpieczeństwu.

Akolitki Victorii wpatrywały się w niego z podziwem, co tylko wzmagало żarliwą determinację Bannona. Nicci wątpiła, czy mogłaby zmienić jego decyzję, i przyznawała, że może się jej przydać.

– No dobrze, może chociaż zdołasz odwrócić uwagę tego monstrum w kluczowym momencie, żebyś mogła zrobić, co do mnie należy.

Audrey, Sage i Laurel pospieszyły, żeby się pożegnać z Bannonem, a Oset rzuciła się do Nicci i mocno ją objęła.

– Wróć do mnie. Chcę zobaczyć świat taki, jaki był niegdyś, ale chcę go zobaczyć z tobą.

Nicci dziwnie się czuła, nie miała pojęcia, jak zareagować na serdeczny uścisk dziewczynki.

– Naprawię świat, jeśli zdołam, i wrócę do ciebie. – Kolejne słowo wypowiedziała, zanim zdołała się nad nim zastanowić: – Przyrzekam.

Oset popatrzyła na nią wielkimi oczami.

– Łamiesz obietnice?

– Nigdy.



## ROZDZIAŁ 51

Kiedy zeszli z zewnętrznej ściany płaskowyzu, utrzymywali dobre tempo nawet w trudnym, wymarłym terenie. Podczas poprzedniego zwiadu ostrożnie wybierali drogę i obserwowali otoczenie. Teraz, kiedy Nicci miała broń, miała też jasny, wyraźny cel. Z żołądkiem Pradrzewa szła zabić nierozważnego czarodzieja, który spowodował tak straszliwe szkody, poświęcił niezliczone ludzkie istnienia – bo lękał się własnej śmierci.

Uważała Życiożercę za potwora, wroga, którego za wszelką cenę należy pokonać. Nie myślała o nim jako o chorym i przestraszonym człowieku, naiwnym uczonym igrającym z niebezpieczną magią. W jej myślach nie był *Rolandem*. Był rozlewającą się na wszystkie strony trucizną. Plagą mogącą zniszczyć świat.

To z tego powodu Red wysłała ją w tę podróż, by towarzyszyła Nathanowi w poszukiwaniach Kol Adair. Zrobi to, co jej przeznaczone.

Bannon bez skarg dotrzymywał jej kroku, kiedy tak wędrowali przez coraz bardziej wyniszczone ziemie, i Nicci była pod wrażeniem zawziętej determinacji młodego człowieka. Opuścili pogórze i ruszyli prostą jak strzała ścieżką przez spękaną i kamienistą Bliznę. Wiatr wzbijał miałki pyłu z wyschniętych jezior, tworząc słonawą mgiełkę.

Nicci skupiała się na tym, co przed nią. Nie biegła, po prostu nie odpoczywała. Wyjałowiona ziemia budziła w niej gniew i niecierpliwość. Przyspieszyła kroku, pokonując wiele mil w znakomitym tempie. Bannon stale popatrywał na boki, marszczył nos, oddychając gorzkawym powietrzem. Przecięli cień rzucany przez iglicę w kształcie goblina. Kolczaste gałęzie martwej pinii sterczały ze szczeliny w skale.

Bannon, nie zatrzymując się, upił łyk wody z bukłaka. Nagle się zatroskał.

– Czarodziejko, czy to rozsądnie iść po otwartym terenie? Może powinniśmy spróbować się ukrywać, żeby Życiożerca nie wiedział, że po niego idziemy?

Potrząsnęła głową.

– Wie, gdzie jesteśmy. Jestem przekonana, że wyczuwa mój dar. Skradanie się w cieniach tylko by nas spowolniło.

Bannon podał jej bukłak i uświadomiła sobie, jak bardzo zaschło jej w gardle. Napiała się. Woda była ciepła i mdła. Oddała mu bukłak i Bannon przyczepił go do pasa. Zaraz potem dotknął miecza i powoli się obrócił.

– Czuję, że coś nas obserwuje.

Nicci sięgnęła darem i stwierdziła, że w tym spustoszonej miejscu uchowały się nieliczne stworzenia, które przystosowały się do miazmatów Życiożercy.

– Wiele stworzeń na nas patrzy, ale one mnie nie interesują, chyba że będą przeszkadzać w naszej misji. – Wygięła usta w twardym uśmiechu. – Jeśli to zrobią, pokażemy im, że to błąd.

Zamierzała iść bez odpoczynku, bez obozowania, póki nie dotrą do serca Blizny. Opuścili Cliffwall o pierwszym brzasku i mozolnie wędrowali w południe przez spieczone ziemie. Zaczęli zwalniać. Obydwoje pocili się w skwarze, oblepiał ich biały alkaliczny pył i w końcu wyglądali, jakby sami byli z białego kamienia.

Nicci otarła z pyłu twarz i ręce. Jej czarną suknię oblepiał żrący chemiczny osad.

Po zachodzie słońca prądy termiczne wznosiły wiry pyłowe, wzbijały piach i żwir, tworząc grube zasłony. Kiedy zapadł zmrok, nasilająca się burza piaskowa przesłoniła obce gwiazdy na niebie, lecz oni brnęli dalej. Bliżej

północy rozszalałe wichry tak wyły, że ledwo słyszała idącego za nią Bannona, więc niechętnie się zatrzymali pod osłoną wysokiej skały.

– Odpoczywaj, póki możesz. Zatrzymamy się najwyżej na godzinę – powiedziała.

– Mógłbym iść – upierał się. Wargi miał spękane, oczy zaczerwienione i tak zapuchnięte, że ledwo widział.

– W tej wichurze jesteśmy bezbronni – stwierdziła Nicci. – Skoro nic nie widzimy, moglibyśmy wpaść w jakąś studnię lub Życiożerca mógłby nasłać na nas piaskowych ludzi. Zostaniemy tutaj, póki się nie uspokoi. Nie jestem tym zachwycona, ale to konieczne.

Podczas krótkiego odpoczynku wykorzystwała odrobinę daru, żeby oczyścić ze żrącego kurzu ich podrażnione twarze i piekące oczy – i wtedy wyczuła, że magia w niej zadrżała i cofnęła się. Coś wykryło dar i próbowało go pochwycić. Tak głęboko na terytorium Blizny wysysająca siły życiowe moc Życiożercy stała się bardziej przytłaczająca. Nicci natychmiast wyczuła, jak usiłuje przejąć nad nią kontrolę, pozbawić ją sił i odebrać moc. Tak nikłe użycie magii wywołało jego reakcję.

Po północy wyjący wichur smagający piachem tylko nieco zelżał, ale Nicci uznała, że dość już czekania.

– Musimy iść.

Bannon brnął za nią przez wyschnięty otwarty teren. Jego energia i determinacja osłabły – i było to coś więcej niż znużenie po całym dniu wytężonego marszu. Nicci nie mogła temu zaprzeczyć. Im bliżej byli Życiożercy, tym bardziej osłabiało ich jego mroczne i dręczące łaknienie. Ich też wysysał.

Po upływie kilku godzin niebo stało się czerwoną mgiełką, kiedy pękate słońce wzniosło się nad góry niczym płomień ze stosu pogrzebowego

pomordowanych ofiar. Daleko przed nimi Nicci wypatrzyła czarny środek krateru utworzony przez potężną magię Życiożercy.

– Słodka Matko Morza, już niemal dotarliśmy – wychrypiał Bannon raczej z ulgą niż ze strachem.

– Jeszcze jesteśmy za daleko.

Nicci usiłowała przyspieszyć, ale przekonała się, jak bardzo ją osłabiło nieustanne drenowanie przez złego czarodzieja. Obawiała się, że jeśli wkrótce nie zmierzą się z nieprzyjacielem, zabraknie jej sił, żeby go zniszczyć, nawet za pomocą potężnego talizmanu Pradrzewa.

Grunt stał się nierówny. Skalne płyty nachylały się pod ostrymi kątami, jakby pod powierzchnią zniszczonej doliny nieustannie trwały wstrząsy. Pęknięcia przecinały ziemię niczym czarne błyskawice, a wysokie głazy leżały dokoła, jakby Życiożerca w szale porzrzucał pionki.

Nicci i Bannon wspinali się na ostre skały, chwiali się na niestabilnych płytach i przeskakiwali przez szczeliny, z których wydobywały się wzywy. Szli w narastającym żarze dnia, a mroczna kryjówka migotała w oddali niczym miraż. Nicci wyczuwała obserwującą ich przyuczajoną obecność, coraz bliższą, ale jeszcze niegotową do ataku. Pozostawała czujna, lecz jej prawdziwym wrogiem był Życiożerca, a wszystko inne to zaledwie drobne przeszkody.

Podrażnionymi oczami zobaczyła przed sobą jakiś poruszający się duży kształt, brązowy i kanciasty. Powietrze przeciął syk i dobrze zamaskowana łuskowata istota ruszyła ku nim wśród skał. Stworzenie otwarło paszczę, ukazując jej wilgotne różowe wnętrze, rzędy ostrych białych zębów i rozdwojony czarny język: wielka jaszczurka, opancerzona ostro zakończonymi łuskami, z ciemną fałdą wzdłuż kręgosłupa, niczym piła. Poruszała się na czterech łapach, młóćąc długim ogonem. Jej skórę pokrywały czerwone sączące się wrzody.

Nicci się cofnęła, a Bannon uniósł miecz. Kiedy jaszczurka szurnęła szybko ku nim, Nicci wychwyciła więcej ruchu tak po prawej, jak i po lewej stronie. Trzy kolejne wielkie gady wypełzły spod głazów i płyt. Widzieli piaskowej barwy jaszczurki, na które Oset polowała na pustyni, ale każda z tych tutaj była wielka jak bojowy rumak. Wszystkie były pokryte licznymi zadrapaniami i brodawkami.

Bannon, gotując się do walki, cicho gwizdnął.

– Zawsze chciałem zobaczyć smoka. Słyszałem legendy, ale te... są prawdziwe!

– To nie smoki – zaprzeczyła Nicci. – To tylko jaszczurki. – Ale kiedy gady się zbliżyły, migając rozdwojonymi językami i kłapiąc szczękami, dodała: – Bardzo duże jaszczurki.

Bannon stanął u jej boku, wbił obcasy w piach i trzymał przed sobą Niepokonanego. Dwie jaszczurki zbliżały się, wpatrzone w swoje ofiary, dwie pozostałe zaś wpełzały na okoliczne skały, okrążając ich. Poruszały się z wdziękiem, rozgrzane palącym słońcem i powodowane żądzą krwi.

Nicci wyciągnęła przed siebie rękę, zagięła palce. Skoncentrowała się na piersi jaszczurki, odnalazła jej serce i kiedy ta ku niej skoczyła, uwolniła strumień ognia. W innych potyczkach wykorzystywała dar, żeby podnieść temperaturę we wnętrzu drzewa, błyskawicznie zagotowując soki i rozrywając pień. Teraz zrobiła to samo z sercem jaszczurki, aż krew zmieniła się w parę. Monstrum się zachwiało i padło na pysk, żłobiąc bruzdę w piachu u stóp Nicci. Wiedziała, że raz-dwa poradzi sobie ze wszystkimi jaszczurami.

Lecz po zabiciu pierwszego poczuła falę zawrotów głowy. Wyglądało na to, że korzystając z daru, otworzyła dostęp Życiożercy. Nawet z daleka zaczął kraść jej dar, odbierać siłę.

Dawno temu Nicci sama wchłaniała moc czarodziejów, których zabiła, a teraz to przytrafiało się jej. Roland okradał ją z życia. Instyktownie postawiła osłony, żeby powstrzymać wyciek mocy, ale uświadomiła sobie, że nie może magią walczyć z jaszczurkami. Zatoczyła się i oparła o głaz.

Bannon walczył z drugą jaszczurką i nie zauważył, że Nicci się zachwiała. Oburącz trzymając rękojeść miecza, wziął zamach, wzmacniając cios swoim ciężarem. Kiedy klinga uderzyła w pokrytą łuskami skórę, rozległ się dźwięk przypominający odgłos kowalskich młotów i szczypiec. Zachwiał się, kiedy miecz odskoczył od pancerza, nie zostawiając żadnej rany.

Gad znowu się ku niemu rzucił. Bannon złapał równowagę i zawirował, tnąc mieczem łuski, bez widocznego efektu. Kiedy wreszcie przebił jeden z sączących się wrzodów, jaszczurka się cofnęła i zadygotała, ale zaraz na niego ruszyła.

Tak mocno uderzył ją w łeb, że aż poleciały iskry. Kiedy jaszczurka szeroko otworzyła zębatą paszczę, cofnął miecz, a potem pchnął nim z całej siły, wbijając czubek w miękką różową tkankę. Pchnął mocniej, przekreślił ostrze, wbijając je głębiej w miękkie podniebienie stwora, aż przebiło cienką kość i dotarło do małego mózgu. Jaszczur zginął, a Bannon wyszarpnął miecz, odcinając czarny rozdwojony język, który wypadł z paszczy i wił się jak umierający wąż w przesiąkniętym krwią pyłu. Olbrzymia bestia rzucała się w zanikających impulsach nerwowych.

Bannon odwrócił się gwałtownie, bo trzecia jaszczurka zbliżała się do nich od lewej, przełaząc przez głaz. Rzucił okiem ku Nicci i aż zachłysnął się oddechem, widząc, jak wsparta o skałę próbuje odzyskać siły.

– Czarodziejko!

Zebrała się w sobie i uwolniła niewielki strumyk magii, mając nadzieję, że zatrzyma serce jaszczura – lecz gdy tylko to zrobiła, poczuła, jak żarłoczny Życiożerca chwyta jej dar i moc, niczym wyżeł zaciskający szczęki na

zajacu. Zanim było za późno, rzuciła ochronną sieć i znowu oparła się o głaz. Przysięgła w duchu, że się nie podda. Sięgnęła po wiszący u pasa sztylet i zacisnęła go w drżącej dłoni, zdecydowana walczyć taką bronią, jaką miała – w razie potrzeby nawet zębami i paznokciami.

– Zajmę się tymi dwiema.

Bannon rzucił się ku jaszczurce, wrzeszcząc w furii. Znowu jego miecz skrzesał iskry na opancerzonej skórze. Uderzał raz za razem, krusząc łuski, dotarł wreszcie do ciała i świdrował mieczem we wrzodziejącej ranie. Kiedy jaszczurka zasyczała i kłapnęła na niego paszczą, Bannon odpowiedział jej rykiem.

Nicci nie widziała go w takiej ślepej furii od czasu walki z norukaiskimi handlarzami niewolników, coś wyzwoliło w nim bitewny szał. Lecz był sprytniejszy niż oszalały derwisz. Choć klinga czyniła niewiele szkód, uniósł miecz wysoko i w końcu wbił go wprost w oko jaszczurki.

Stwór bulgotliwie zasyczał i spróbował się cofnąć, ale Bannon mocniej napał na ostrze, wbił je głębiej. Świdrował mieczem, zmieniając oczodół w krwawą miazgę. Gdy to nie wystarczyło, napał z całej siły na miecz, który przebił oczodół i dotarł do mózgu. Potwór upadł. Bannon ciężko dyszał, próbując wyszarpnąć ostrze, lecz utknęło w czaszce. Chłopak sapał i kłął.

– No, dalej!

Ostatnia z atakujących jaszczurek kroczyła ku Nicci, była ostrożna. Czarodziejka uniosła długi sztylet. Potwór szykował się do skoku. Wiedziała, że jego ciężar i impet odrzucą ją w tył. Wiedziała również, że jest za słaba, żeby go zabić.

Dokładnie wtedy wyczuła obecność dzikiej istoty, *poczuła*, jak grają mięśnie, doświadczyła uciechy z ataku i zadawania śmierci. Zanim wielka jaszczurka na nią runęła, płowa kocica skoczyła z głazu. Zębami i pazurami

spadła na jaszczura, wytrącając go z równowagi.

Nicci, podekscytowana i pełna ulgi, stanęła z trudem na nogach.

– Mrra!

Piaskowa pantera szarpała jaszczurkę pazurami, zrywała łuski, zadawała rany. Gad szamotał się i wierzgał, ale Mrra nie zamierzała go puścić. Ostre kły kłapnęły, wbiły się w słabe punkty pancerza.

Nicci dzięki swojej magicznej więzi z panterą czuła jej żądzę krwi, energię, przymus zabicia tego wroga... wroga *Nicci*. Mrra była urodzoną wojowniczką, wyszkoloną na zabójczynię.

Ponieważ czarodziejka była związana z Mrrą, chciała rozszarpać gada gołymi rękami. Śpiewała w niej krwawa furia, tak jak w panterze. Skoczyła, żeby się przyłączyć do walki. Nie potrzebowała magii, wystarczy nóż.

Mrra przewróciła rzucającą się jaszczurkę, odsłaniając miększe łuski na podbrzuszu, akurat wtedy, kiedy Nicci znalazła się obok. Jakby były zsynchronizowane. Potwór zamknął paszczę, a Nicci wbiła mu ostry sztylet pod brodę, przebijając cieńszą skórę na pokrytej naroślami gardzieli. Dźgała jaszczura raz za razem w łeb, a Mrra rozdarła mu brzuch i wywlokła wnętrzności. Krew zmyła zaskorupiały biały pył ze skóry Nicci i z jej dłoni, lecz ona nie czuła się czysta.

Za to rześka i pełna animuszu.

Kiedy czwarty potwór padł, Nicci dygotała z wyczerpania, ale grało w niej pragnienie, żeby to kontynuować.

Bannon wyglądał, jakby sam miał paść, ale zdołał dziwnie się uśmiechnąć, patrząc z respektem na Mrrę.

– Dobrze, że cię przekonałem, czarodziejko, byś nie zabijała pantery.

– Masz rację. – Nicci popatrzyła na Mrrę, czując łączącą je niewytłumaczalną, silną więź.



Jej siostra-pantera wydała niski pomruk.

– No i mówiłem ci, że mogę się przydać. Potrzebujesz mnie – dodał.

– Potrzebuję niewielu rzeczy. – Nicci osłoniła oczy, patrząc ku ciemnemu wirowi, nadal odległemu o wiele mil. – Teraz musimy dotrzeć do Życiożercy.  
– Dotknęła wiszącej u pasa sakiewki z żołądkiem Pradrzewa. – Zanim będzie za późno.

## ROZDZIAŁ 52

Mozolnie parli naprzód. Osobowość Życiożercy oblepiała ich jak smoła, spowalniając ruchy, osłabiając ciała, lecz Nicci zmierzała niezmordowanie ku centrum Blizny i czarodziejowi, którego musiała zabić. Dla Oset, dla tej niegdyś żyznej doliny, dla Richarda, dla imperium D'Hary, dla całego świata.

– Już prawie doszliśmy, czarodziejko – powiedział słabym głosem Bannon. – Mój miecz jeszcze się nie stępił.

– Czarodziej będzie się starał nas powstrzymać. Nie wiemy, jak teraz zaatakuje – ostrzegła go Nicci. – Bądź czujny.

Młody człowiek zdołał nadać głosowi radośniejsze brzmienie:

– I znowu się przydam.

Odpowiedziała wymijająco, ale on zachował się tak, jakby usłyszał wielki komplement.

Mrra została z nimi. Piaskowa pantera pomknęła przodem, płowa sierść stapała się z pylistym pustkowiem. Rumosz wokół nich zrobił się ciemniejszy, niebezpieczniejszy. Głazy były z roztrzaskanego wulkanicznego szkła, z krawędziami ostrymi jak nóż. Powietrze było gęste od siarkowych wyziewów, prawie nie dawało się oddychać, każdy krok podkopywał ich siły.

Lecz kiedy zeszli po osypującym się stoku w samym sercu wymarłej doliny, Nicci ujrzała ich cel. Jej cel.

Schronienie złego czarodzieja przypominało amfiteatr z czarnymi stelami, skalnymi iglicami sterczącymi w górę niczym szpony, otaczającymi centralną studnię. Fale apetytu Życiożercy zastygły w zmarszczkach osmalonego kamienia.

W górze burzowe chmury dławily niebo, jaśniały sieci błyskawic –

elektryczne bicze smagały niebo i uderzały w wierzchołki wysokich stel. Świstowi wichru towarzyszył basowy pomruk nieustających grzmotów.

Na ziemi po ich lewej stronie pękła czarna skalna płyta, odsłaniając płynną lawę. Stopiona skała niczym krew wylewała się z pękniętej, zaognionej rany.

Bannon cofnął się od gorącego podmuchu niczym z pieca. Kolejne obsydianowe skały pękały, wybrzuszały się, przesuwwały i skręcały. Mrra ostrożnie stawiała łapy, warknęła, kiedy rozbłysło więcej błyskawic. Trzymała się blisko Nicci.

Bannon dławił się oddechem, odgarniając z oczu rude włosy.

– Jak pójdziemy dalej?

Nicci uważnie stawiała stopy, ziemia robiła się coraz bardziej niestabilna. Wspinała się na ostre krawędzie, prąc ku studni Życiożercy, wiedząc, że tam go znajdzie.

– A możemy nie iść?

Wyczuwała przed nimi zdesperowaną, pulsującą jaźń i starała się otoczyć osłonami, chronić się tak magią addytywną, jak i subtraktywną. Nie mogła pozwolić, żeby Życiożerca odebrał jej dar i życie. Wykorzystała nowe zaklęcia, których się nauczyła, ślęcząc nad księgami w archiwach Cliffwall. To nie zapewniło jej całkowitego bezpieczeństwa, ale pozwoliło iść dalej.

Bannon, pogrążony w pełnym determinacji transie, brnął za nią, krok za krokiem. Kiedy się odwróciła, żeby dodać mu otuchy, zdumiała się, widząc sieć zmarszczek na jego twarzy. W rudych włosach pojawiły się siwe pasma. On też na nią spojrział i jego orzechowe oczy rozszerzył lęk.

– Czarodziejko, wyglądasz... staro!

Nicci dotknęła swojej twarzy, wyczuła pomarszczoną suchą skórę, jakby doganiały ją wszystkie lata jej długiego życia. Życiożerca kradł czas, jaki im

pozostał.

– Musimy się pospieszyć – powiedziała.

Musiała wykorzystać żołądz Pradrzewa, zanim będzie za późno, zanim zły czarodziej stanie się jeszcze potężniejszy.

Rósł w niej lęk – ale nie był to strach o własne życie, nie rozpacz na myśl, że mogłaby się zestarzeć. Najbardziej lękała się tego, że mogłaby *zawieść*, nie wypełnić misji, której oddała serce i duszę, że mogłaby zaprzepaścić Richardowe marzenia o lepszym świecie.

– Jestem Panią Śmierci – wyszeptała posepnie. – Życiożerca mi nie dorównuje.

Mrra kuśtykała obok i Nicci zobaczyła, że jej łapy zostawiają krwawe ślady na ostrych skałach. Lecz trzymała się blisko, gotowa walczyć u boku siostry.

Elektryczność statyczna w powietrzu narastała, a dźwięk w tle w pobliżu amfiteatru przeszedł w chrapliwe syczenie. Naelektryzowane blond włosy Nicci uniosły się, tworząc koronę wokół głowy.

Obsydianowe skały otarły się o siebie, skruszyły i buchnął siarkowy opar, omal jej nie dławiając. Utkwiła wzrok tam, gdzie krąg złowieszczych ostrych iglic rzucał na ziemię zacierane przez pył cienie.

Wiedziała, że wewnątrz jest potężny czarodziej. Stanie przed nim i go zabije, choćby miało ją to kosztować ostatnią iskrę energii.

– Życiożerco! – zawołała, nasłuchując niskiego wszechobecnego grzmotu, błyskawice smagały burzowe chmury. Już ciszej powiedziała: – *Rolandzie*, zmierz się ze mną.

Ziemia się zatrzęsła i pękła, pojawiły się jakieś kształty, biegnące stworzenia o ciemnych pancerzach, połyskujących oczach i posegmentowanych przednich odnóżach zakończonych szczękającymi

szczypcami. Skorpiony, każdy rozmiarów psa, wypełzły z podziemnych gniazd i stanęły na straży na czarnych głazach. Każdy długi ogon kończył się kolcem ociekającym jadem.

Obok niej Bannon się zakrztusił. Nicci przypomniała sobie, że podobne stwory zabiły rodziców Oset.

Wysunęła się naprzód, mając w pamięci głównego wroga. Wykrzyczała:

– ŻYCIOŻERCO!

Nagle przypomniała sobie, co wiedźma napisała w księdze życia: *Przyszłość i los zależą tak od podróży, jak i od jej celu.*

Więcej skał się przesunęło, kiedy ziemia zadygotała w kręgu ogromnych stel; czerń środkowej studni stała się jakby głębsza. Spod ziemi wynurzyły się niezdarne postacie, zmumifikowani ludzie, czarni od pyłu. Żylaste ciała były usiane zaognionymi czyrakami, otwartymi ranami na rękach i szyjach, wybrzuszeniami wypychającymi policzki. Te szkaradzieństwa były jeszcze gorsze niż piaskowi ludzie. Stali w szeregu, blokując Nicci dojście do Życiożercy.

Mrra zawarczała. Bannon uniósł miecz.

– Możemy się przez nich przebić, czarodziejko.

Wyniszczone ludzkie postacie chwiejnie ruszyły naprzód i Nicci dobyła noża, nie chcąc na razie używać magii, ale wiedząc, że może będzie musiała z niej skorzystać. Skorpiony, szczękając szczypcami, też się zbliżyły, sunąc pośród zmumifikowanych ludzi.

Mrra obnażyła długie kły, biła ogonem. Bannon stał u boku Nicci.

– Będę z nimi walczyć, żebyś mogła podejść wystarczająco blisko, czarodziejko – wykrztusił.

Na koniec, w wirze czarnej energii i gniewnych błyskach piorunów, z mroku wynurzył się sam Życiożerca.

## ROZDZIAŁ 53

Krąg krzywych filarów otaczał pustą studnię jak gardziel gigantycznego pogrzebanego węża, studnię sięgającą aż do najzimniejszych otchłani wieczności. Z owego głębokiego zapadliska niekontrolowana magia Życiożercy wciąż wchłaniała życie ze świata.

Z atramentowoczarnej pustki wynurzyła się istota będąca niegdyś Rolandem. Zły czarodziej kuśtykał, chwiał się, rozdymał i kurczył – skomplikowany mariaż nieprawdopodobnej mocy i rozpaczliwej słabości. Kiedyś był człowiekiem, ale teraz niewiele pozostało z jego człowieczeństwa.

Wyszedł w skwierczące powietrze, rozświetlane błyskami niebiesko-białych piorunów przeszywających burzowe chmury. Pył wirował i wył, jakby sam wiatr zachłystywał się trwożnym podziwem na widok Życiożercy.

Ubrany był w coś, co kiedyś było togą uczonego z Cliffwall, lecz rozciągnęło się w długi powiewający całun, który włókł się za nim z głębokiej studni. Od Życiożercy rozbiegały się ciemne zmarszczki, bo jego magia kradła blask z powietrza, wchłaniając i absorbując wszystko w czarną studnię. Wydawało się, że na dnie otchłani spoczywa potężny magnes przyciągający życie – magiczna moc tak olbrzymia, że nawet Życiożerca nie mógł się wyswobodzić z jej przyciągania.

Kiedy czarodziej przemówił, zasysał słowa z powietrza wraz z innymi dźwiękami, odbierając Nicci oddech i jeszcze bardziej okradając ją z energii.

– Niewielu do mnie przychodzi – powiedział. Wyciągnął się, wystrzępione szaty łopotały w wichrze jego własnej mocy.

Nicci dotknęła kieszeni sukni, wyczuła twardy kształt, żołądz Pradrzewa.

Zbliżyła się o krok, przypominając sobie wielu innych straszliwych wrogów, którym się przeciwstawiła i których pokonała.

– Przybyłam, żeby cię zniszczyć.

– Tak... wiem – odparł czarodziej. – Inni też próbowali.

Nicci nie usłyszała w jego głosie arogancji ani lekceważenia, jedynie osobliwą nutę rozpaczy.

Twarz miał pociągłą, wymizerowaną, policzki wklęsłe, duże oczy chorobliwie zaczerwienione. Szyja była tak cienka, że ścięgna odznaczały się jak sznury. Łopocząca toga odsłaniała nagą pierś i Nicci z przerażeniem ujrzała żebra oplątane nabrzmiętymi naroślami, jakby jego tors w całości składał się z guzów. Wybrzuszenia pulsowały i drgały, zbiorniki niewłaściwie spożytkowanej życiowej energii, które urosły w jego wnętrzu i wciąż się rozrastały, rozpaczliwie potrzebując pożywienia. Choroba stłumiła wszystko, co było czarodziejem o słabej woli, i przejęła nad nim kontrolę.

Nogi miał iksowate, kręgosłup skrzywiony. Życiożerca żył, lecz był zlepkiem skradzionego życia, bezładną mieszaniną spojonych razem tkanek, mięśni, narządów.

– Błagam... – zaczął cichszym głosem, który przeszedł w ryk. – Chcę jeść... chcę pić... *Muszę...* – Zachwiał się.

Piaskowi ludzie stali bez ruchu w kręgu obsydianowych kolumn.

Bannon dzierżył miecz, lecz nie mógł ukryć drżenia rąk.

Mrra przysiadła, warcząc, ale się nie poruszyła.

Życiożerca uniósł ręce. Palce miał jak patyczki okryte cieniutką skórą – ile życia wyssałby ze świata, wciąż było mu mało, nigdy dość. Wykonał błagalny gest.

– Wcale tego nie chciałem. Nie to było moim zamiarem. – Ciężko westchnął i wokół uderzyły pioruny, trafiając w wierzchołki obsydianowych

stel. – Nie mogę tego powstrzymać! – zajęczał.

Nicci – chociaż czuła, jak zły czarodziej nieubłagane odbiera jej lata i życie – podchodziła po nierównym gruncie.

– To ja cię powstrzymam.

Walczyłyby z nim, na powrót zepchnęła w bezdenną studnię. Żołądź Pradrzewa to najpotężniejsza broń, jaką kiedykolwiek miała.

Lecz straszliwy drenaż pozbawiał ją sił, sprawiał, że myśli się mąciły.

W zapadniętych oczach Życiożercy mignął niesamowity błysk. Guzy oblepiające jego ciało wiły się niczym kłębowiska gotowych ukąsić żmij.

– Nie – powiedział. – Powinienem przetrwać. Muszę.

Piaskowi ludzie – armia niezdarnych, ale śmiertelnie groźnych marionetek – zaczęli się poruszać. Ponad setka się ożywiła, gotowa atakować.

Nicci zmusiła się do jeszcze trzech kroków, a Życiożerca się nie cofnął. Jakby urósł, rozdęty ciemną energią, jak człekokształtny wrzód, który zaraz rozsadzi jego własne zło.

Pokrzywieni piaskowi ludzie przyczłapali bliżej. Bannon skoczył pomiędzy Nicci a mumie.

– Oczyszczę drogę!

Odciał w łokciu zeschnięte ramię, pozbawił głowy drugiego stwora. Obciągnięta skórą czaszka zagrzechotała na spieczonej ziemi, obnażone zęby wciąż kłapały.

Drugą ręką odepchnął kolejnego, popychając go na dwóch nadciągających nieprzyjaciół. Bannon, chociaż teraz wyglądał jak wiekowy mężczyzna, energicznie robił mieczem, miażdżąc żebra, odrąbując ramiona, rozcinając torsy.

– Dokończ swoją misję, czarodziejko! Zabij Życiożercę!



Nicci z sekundy na sekundę czuła się starsza i słabsza. Przypomniała sobie staruchę, którą dawno temu widziała w Tanimurze, kuśtykającą powoli przez targ, jakby każdy krok wymagał starannego zaplanowania, a potem odpoczynku. Teraz pojmowała, jak to jest. Kości miała kruche, stawy spuchnięte i obolałe, skórę na rękach suchą i pomarszczoną.

Pantera prychnęła i rzuciła się na piaskowych ludzi, rozdzierając powłoki ofiar Życiożercy, jakby to była słoma. Kły Mrry rozszarpywały ciała ożywionych trupów na strzępy wysuszonych mięśni i kości.

Przerośnięte skorpiony poruszały się za piaskowymi ludźmi. Wielka płowa kocica uniknęła kolców jadowych i wskoczyła na skałę, odciągając kilka skorpionów. Jeden z kolców już miał przebić jej skórę, ale Bannon go odrąbał. Potem rozciął twarde pancerz skorpiona i cisnął umierającym stworem w dwóch zbliżających się piaskowych ludzi.

Mrra, prychnając, wróciła do walki, bo więcej truposzów lazło ku Nicci, która usiłowała dotrzeć bliżej Życiożercy.

Zły czarodziej gestykulował, kierując swoimi sługusami. Kolejni piaskowi ludzie wyleźli z kryjówek pod spieczoną ziemią. Do walki włączyło się ich dwukrotnie więcej, niż zabili Mrra i Bannon.

Nicci nie miała dużo czasu.

Życiożerca utkwili zapadnięte oczy w błękitnych oczach Nicci.

– Błagam – powiedział. – Wiem, że wyrządziłem wiele szkód. Rozumiem, co zrobiłem, lecz *nie mogę* tego powstrzymać! Ja tylko chciałem żyć, chciałem przezwyciężyć wyniszczającą chorobę. Nigdy nie chciałem tej plagi.

Uniósł ręce, zacisnął szponiaste palce w twarde, kościste pięści. Jego ciało rozdymała ciemna energia, a Nicci poczuła nagłą falę odbierającej siły słabości, która omal nie powaliła jej na kolana.

– Nie wiem, jak to zakończyć!

Powiedziała ochryple:

– Skoro znalazłeś w sobie siłę, żeby to zacząć, możesz też znaleźć sposób, żeby zatamować przepływ tej mocy, zabić ranę wykrwawiającą świat na śmierć. Znajdź w swoim wnętrzu własną duszę.

W jego głosie zabrzmiała głucha rozpacz.

– Dawno temu wypiliśmy własną duszę. Pozostał we mnie tylko *przymus*.

Kiedy znowu spuchł, Nicci wiedziała, że magia całkowicie przejęła nad nim władzę. Zaklęcie stało się samodzielny bytem.

Otoczyła ich armia piaskowych ludzi. Po głazach nadciągały kolejne skorpiony.

Bannon walczył z dzikim zapamiętaniem. Był już starcem z rzadkimi siwymi włosami, lecz chronił ją ze wszystkich sił, dając szansę, żeby zrobiła swoje. Piaskowa pantera też wyglądała staro, sierść tu i tam znaczyły liszaje, lecz wypalone zaklęcia zdawały się ją chronić przed zachłannym apetytem Życiożercy.

Grzbiety dłoni Nicci pokrywała siatka żył, a jeszcze nie tak dawno mleczną skórę znaczyły plamy wątrobowe. Przy każdym kroku miała uczucie, że walczy z wichrem czasu, wiekiem i osłabieniem.

Za nią piaskowi ludzie otoczyli Bannona, lecz rąbał, siekał ich na kawałki, chociaż było ich tak wielu. Mrra włączyła się do walki, starając się go ochraniać, lecz nadciągnęła nowa armia skorpionów, z uniesionymi kolcami ociekającymi jadem.

Nicci zrobiła ostatni krok i sięgnęła do kieszeni. Życiożerca nadal spijał jej dar i nie mogła przyzwać ognia czarodzieja ani uciec się do żadnego zaklęcia. Tylko by je wchłonął.

Wyjęła pulsujący żołądź Pradrzewa i powiedziała przez zaciśnięte zęby:

– Masz. To. Zakończyć!

Życiożerca jeszcze bardziej się rozdał, patrząc na swoje stwory. O dziwo, też zawołał:

– To się musi skończyć!

Zrywem swojej magii ukradł ze świata więcej życia, wycisnął ostatnie krople z powietrza, z piachu – z piaskowych ludzi. Kiedy wydrenował własne sługi, dziesięć zmumifikowanych ciał zadygotało i zmieniło się w czarny proch. Skorpiony pękły i rozpadły się w pył.

Życiożerca zawył, skręcał się, unosząc dłonie i ręce, jakby wykrzykując to ostatnie polecenie, przyspieszył magiczną pożogę i teraz cyklon zaczynał go wciągać w bezdenną studnię będącą jego schronieniem.

– Ocal mnie – błagał.

Nicci wykorzystała tę chwilkę wytchnienia.

– Nie. Nikt nie może cię ocalić, Życiożerco.

Wyszeptał:

– Jestem... *Roland*.

Nicci uniosła dłoń z żołędziem Pradrzewa i uwolniła strumyczek magii, zbierając wokół siebie powietrze – kiedyś byłoby to prościutkie. Zamiast skondensować powietrze w twardą pięść i uderzyć przeciwnika, wykorzystała je do przyspieszenia lotu żołędzia. Pocisk wypełniony życiem śmignął niczym wystrzelony z kuszy bełt.

Życiożerca wrzasnął, żołędź wpadł w szeroko rozwarte usta i w gardło.

Ostatni owoc Pradrzewa zawierał w twardej skorupce skondensowane życie pierwotnej puszczy. Głęboko we wnętrzu złego czarodzieja skorupka pękła – niczym zapora ogromnego zbiornika – i uwolniła strumień życia. Odradzająca się moc buchnęła niepowstrzymaną falą witalności, odnowy, odmłodzenia.

Roland wydał wrzask, który – zdawało się – otworzył Bliznę. Zły czarodziej był bezdenną studnią, nienasyconym apetytem domagającym się całej życiowej energii – a żołędź Pradrzewa zawierała całą życiową energię. Obrośnięty guzami czarodziej był jak człowiek umierający z pragnienia, który nagle tonie w gwałtownej powodzi.

Jego zły czar próbował zaabsorbować nieznającą granic moc tryskającą z żołędzia. Burza piaskowa wyla wokół czarnych kolumn, tornada rozpętanej furii smagały suchą ziemię, ciskając we wszystkie strony ostrymi obsydianowymi pociskami.

Wyczerpana Nicci upadła ledwie stopę od skraju studni Życiożercy, nie była w stanie się poruszyć. Walka we wnętrzu złego czarodzieja nasilała się, a on był, straszliwie cierpiąc. Żołędź, który się w nim osadził, pękł i rozjarzył się ogniem życia.

Życiożerca próbował go ugasić drobnymi falami wygłodniałego mroku, reszta piaskowych ludzi zaś padła, grzechocząc kośćmi i szeleszcząc wyschniętą skórą. Ostatki skorpionów padły martwe, ich segmentowane odnóża zwinęły się ciasno przy opancerzonych ciałach, kolce jadowe obwisły.

Bannon rzucił z siebie truposzy i ruszył ratować Nicci. Dreptał niczym starzec, co to nie wiadomo, jak długo jeszcze pożyje. Mrza też się zbliżała. Chociaż Nicci była wykończona, wyczuła mentalny dotyk siostry-pantery.

Ziemia się trzęsła i dudniła. Kamienie pękały. Wielkie głazy spadały w studnię Życiożercy. Olbrzymie stele popękały i padły jak ścięte drzewa prosto w otwór studni. Lawina wciąż spadała i lej się spłycał, wypełniając się szczątkami. Dokoła biły pioruny.

Trwała zaciekle walka. Owoc Pradrzewa starał się tworzyć nowe życie szybciej, niż Życiożerca mógł je pochłonąć. Jaskrawy płomień bijący z żołędzia zbladł i zgasł, kiedy mroczna magia nieustępliwie z nim walczyła,

ale i mrok poszarzał, stał się niejednolity, jak mgła rozpraszająca się w porannym słońcu.

Na koniec zły czarodziej, Życiożerca – Roland – rozpadł się, jego ciało zniknęło. Jego zgon i pustka wzbiły pył i z żołędzia Pradrzewa wydobył się ostatni ciepły poszum, opłynął ich.

Nicci chwiejnie się cofnęła, czując, jak ciepło niczym letni wiatr przywraca jej siły. Życie. Energia. Odnowa.

Jej stawy znowu były giętkie. Gardło już nie tak suche i zaciśnięte, a kiedy głęboko wciągnęła powietrze, wyczuła w nim taką słodycz, jakiej nie czuła, od kiedy po raz pierwszy ujrzała Bliznę. Pył już jej nie oślepił. Dotknęła dłonią twarzy – skórę znowu miała gładką i jędrną.

Bannon się podniósł, kaszłąc i trzęsąc się. Kiedy się ku niej odwrócił, Nicci ujrzała, że włosy znowu ma gęste i rude. Z jego twarzy zniknęły zmarszczki, zostały na niej tylko piegi.

Otrzepała się, szukając wzrokiem miejsca, gdzie padł Życiożerca, gdzie Roland przegrał walkę z ostatnim nasionem z pierwotnej puszczy.

A tam, pośrodku rozległej martwej Blizny, tkwiła zielona gałązka, jedyne, co pozostało z całej żywiołowej mocy żołędzia Pradrzewa. Jedno jedyne wiotkie drzewko.

## ROZDZIAŁ 54

W trakcie długiej powrotnej drogi przez pustkowia czuli, jak znika przesycające powietrze straszliwe napięcie, jakby świat westchnął z ulgą. Chociaż Blizna nadal była ponura i zdewastowana, to miazmaty Życiożercy zniknęły, a i jego jad ulotni się powoli z niegdyś żyznej ziemi. Zielona dolina powróci, tak jak Nicci obiecała Oset.

Zawiesina słonawego pyłu się rozwiła, odsłaniając błękitne niebo, po którym płynęły obłoki. Bannon patrzył na to z uśmiechem.

– Myślę, że za dzień lub dwa popada i zmyje dolinę do czysta. – Szedł różnym krokiem, najwyraźniej z siebie dumny. Był posiniaczony, miał liczne rany po ostatniej walce, ale się tym nie przejmował. – Dobrze walczyłem, prawda? Przydałem się?

Nicci nie lubiła szafować komplementami, ale przyznała:

– Owszem, byłeś dość przydatny, kiedy najbardziej tego potrzebowałam.

Rozpromienił się.

Mrra została z nimi. Odchodziła daleko, znikając im z oczu w skalnych kanionach, badała pogórze i wracała, jakby potwierdzając więź z Nicci. Jednak piaskowa pantera była dzikim stworzeniem i kiedy zbliżyli się do płaskowyżu Cliffwall, wydawała się niespokojna, węszyła. Patrząc na prążkowany klif, warczała, biła ogonem.

Nicci krótko skinęła głową, co pantera zdawała się rozumieć.

– Nie możesz tam z nami iść. To ludzka siedziba.

Zakłęcia wypalone na skórze Mrry świadczyły o tym, że wcześniejszy pobyt wśród ludzi nie był przyjemny. Wielka kocica machnęła ogonem i zniknęła w suchym zagajniku dębów i pinii.

Nicci i Bannon zaczęli długą wspinaczkę.

Mieszkańcy Cliffwall powitali ich jak bohaterów. Bannon się tym cieszył, Nicci jakoś to zniosła. Młody człowiek, szeroko uśmiechnięty, poklepał miecz.

– Nieźle się sprawiłem. Ocaliłem czarodziejkę tyle razy, że nie da się zliczyć.

Nicci była przekonana, że tak czy owak to podliczy.

Pozwolił trzem akolitkom Victorii na przywilną uwagę. Jedna po drugiej rozczulały się nad strupami na jego policzkach, rękach, dłoniach. Obmyły rany wilgotnym płótnem, oczyściły czoło z pyłu, umyły włosy. Bannon dotknął rozcięcia na twarzy.

– Myślisz, że zostanie blizna? – zapytał z nadzieją.

Laurel pocałowała ranę.

– Może.

Nadbiegła roześmiana Oset i rzuciła się do Nicci.

– Wiedziałałam, że przeżyjesz! Wiedziałałam, że ocalisz świat!

– A ja się cieszę, że zostałam zgodnie z obietnicą – powiedziała Nicci.

Nathan, wysłuchawszy ich opowieści, z zadowoleniem pogładził brodę.

– Jednak szkoda, że mnie tam nie było. Cóż to byłaby za historia do mojej książki życia!

– Znajdziemy inne opowieści, czarodzieju – stwierdziła Nicci. – Przed nami jeszcze długa podróż. Tu już wykonaliśmy swoją robotę.

– Tak, twoja praca skończona. – Uśmiechnął się i kiwnął głową. – A teraz, kiedy Życiożerca został pokonany, naszym celem powinno być odnalezienie Kol Adair, żebym znów mógł być w pełni sobą. To irytujące czuć się

bezużytecznym! W archiwach Cliffwall są mapy świata i Mia zaraz pomoże mi je posortować.

Simon też był wdzięczny za to, czego dokonała Nicci.

– Nawet tutaj odczuliśmy, kiedy padł Życiożerca. Brzemię świata zelżało, jakby coś fundamentalnie się zmieniło. – Wraz ze zgromadzonymi uczonymi głośno wiwatował, dziękując Nicci i Bannonowi. – Zanim poświęcimy się katalogowaniu i studiowaniu, powinniśmy się udać na pole bitwy i zobaczyć nową sadzonkę Pradrzewa.

Victoria i jej mnemonicy kiwnęli głowami z niechętnym podziwem.

– Tak, wszyscy powinniśmy to zobaczyć.

Następnego dnia blisko pięćdziesiąt osób schodziło wąską ścieżką z klifu na spokojną już Bliznę.

Pełna energii Oset truchtała w pobliżu, kiedy szli pogórzem i pustkowiem. Aż się paliła, żeby ich poprowadzić najłatwiejszym szlakiem, wybiegać na zwiady.

– Teraz wiem, że zobaczę tę dolinę taką, jaka powinna być! Pewnego dnia odzyskam mój świat, zielony i kwitnący.

– Może nawet z kwiatowymi ogrodami – wtrąciła Nicci.

Wyczuwała, że mroki podnoszą się znad Blizny. Cały dzień szli spokojnym tempem, na noc rozbili obóz i wyruszyli następnego ranka, kierując się ku sercu pustkowia. Stożki obsydianowego szkła nadal sterczały z ziemi, ale cuchnące wyziewy zniknęły, płynna lawa stwardniała. Był to dopiero drobny pierwszy krok w długim, bolesnym procesie leczenia.

Wreszcie, pod koniec drugiego dnia wędrówki z płaskowyżu, grupa podróżników dotarła do niegdysiejszego schronienia Życiożercy. Nicci i jej towarzysze zbliżali się do rumoszu wypełniającego krater.



Nie zwracali uwagi na szczątki piaskowych ludzi i skorpionów. Pełni zachwyty uczeni zebrali się wokół sadzonki dębu, smukłego drzewka ledwo sięgającego Nicci do pasa.

– Jeśli to jest latorośl Pradrzewa, to nie wyczuwam w niej żadnej magii – powiedziała czarodziejka. – Wydaje się zwyczajnym młodym drzewkiem.

Nathan na to:

– Cała jego magia musiała się wypalić w ostatecznym starciu z Życiożercą. I pozostało tylko to – zwykły dąbek. Ale żyje i to jest najważniejsze.

Oset przepchnęła się przez tłum, żeby popatrzeć na młodziutkie drzewko, dumnie stojące na pustkowiu.

Victoria wydawała się zawiedziona.

– To wszystko? Przecież to było... Pradrzewo!

– Eksplozja życia z żołądzia ledwo wystarczyła, żeby wygrać walkę – powiedziała Nicci. – Moc życia kontra moc śmierci. Mało brakowało. Cała magia poszła na zniszczenie Życiożercy. Jeszcze tydzień lub dwa i byłoby za późno.

Victoria i mnemonicy podeszli bliżej. Korpulentna kobieta westchnęła:

– Dobrze, że przypomnieliśmy sobie tę opowieść. Bez mnemoników w ogóle nie znaleźlibyśmy żołądzia Pradrzewa i Roland nadal by zagrażał światu.

Przez twarz Simona przemknął wyraz irytacji.

– Tak, Cliffwall dostarczyło broni niezbędnej, żeby go pokonać, i teraz musimy zrekompensować te cierpienia. – Podniósł głos, zwracając się do wszystkich obecnych: – To będzie ogromny wysiłek, ale możemy odzyskać te ziemie. Znowu popłyną strumienie i rzeki. Spadną deszcze i będziemy mogli obsiewać pola, sadzić sady. Wielu z nas pochodzi z miast w tej dolinie

i możemy je odbudować.

Ludzie, rozumiejąc ogrom czekającej ich pracy, przyświadczyli jego słowom.

Nathan wsparł ręce na biodrach, przeciągnął się.

– Bliznę można uleczyć. Teraz, kiedy wyeliminowano zarazę, powróci naturalne piękno doliny. Po prostu trzeba na to czasu. – Uśmiechnął się optymistycznie. – Może zaledwie wiek lub dwa.

– Wiek? – Oset zmarkotniała. – To nigdy tego nie zobaczę!

Victoria była posępna, lecz zdeterminowana. Mruknęła tak cicho, że tylko Nicci usłyszała:

– To musi nastąpić szybciej.

## ROZDZIAŁ 55

Kraina była wymarła i w opłakanym stanie. Victoria wiedziała, że usuwanie szkód potrwa dekady, a nawet wieki... jeśli zostawi się to naturze. To było niewybaczone. Nie mogła zapomnieć, co uczynił egocentryczny Roland, jak ten żalosny człowiek zabił krainę... i zamordował jej drogiego męża.

Lecz ona знаła magię, pamiętała nieprzeliczone sekrety tajemnej nauki. Jako naczelną mnemoniczkę przechowywała w pamięci bogactwo związanych z magią informacji i teraz szukała najszybszego sposobu przywrócenia do życia wielkiej doliny. Odpowiedź była w niej – wiedziała to!

Simon i jego uczeni mogą się łudzić, że są ekspertami. Mogą czytać księgi i studiować zaklęcia, lecz to nie oznacza, że je rozumieją. Jeśli przymierający głodem patrzy na pełną spiżarnię, to wcale nie oznacza, że się najadł. Jednakże mnemonicy mieli wszystkie informacje w *sobie*: były ich częścią, częścią ich serca i duszy.

Pradawni czarodzieje zbudowali to archiwum, żeby zachować dla przyszłych pokoleń historię i wiedzę. W tych podziemiach było wszystko, co mógł sobie wyobrazić ktoś mający potężny dar – spisane w woluminach, zmagazynowane na regałach... i zamknięte w umysłach mnemoników.

Wiedza była częścią Victorii.

Kiedy odwiedzili miejsce ostatecznej bitwy, czarodziejka wydawała się zadowolona z siebie, tak pyszniła się tym, czego dokonała. Pani Śmierci! Tak, Nicci mogła zdławić wilczy apetyt Życiożercy, ale bynajmniej nie przywróciła życia. To było o wiele trudniejsze i bardziej czasochłonne zadanie.

Victoria uważała, że drzewko jest rozczarowujące, a nawet żalosne. Takie małe coś, bez odrobiny magii? Po Pradrzewie spodziewała się o wiele więcej. Z czasów młodości pamiętała faliste wzgórza porośnięte gęstymi lasami, żyzną misę doliny z rozległymi połaciami pól uprawnych i kwitnącymi miastami. Chociaż żyjący na uboczu mieszkańcy Cliffwall rzadko opuszczali swoje ukryte kaniony, to wiedzieli, jaki powinien być prawdziwy świat.

Jeden z pierwszych mających dar młodych ludzi, którzy przybyli do archiwum po tym, jak Victoria zdjęła czar kamuflujący, Roland, był gorliwym poszukiwaczem, nieszkodliwym uczonym, czytającym całe woluminy zaklęć i parającym się pomniejszą magią. Był spokojny i dobroduszny, a mąż Victorii uważał go za przyjaciela.

Bertram jako jeden z pierwszych zauważył, że Roland chudnie i mizernieje. Victoria teraz pojmowała, że były to pierwsze oznaki pożerającej go od środka choroby. Lecz Roland nie chciał się pogodzić z losem. Zawarł układ z magią, której nie pojmował. Nie rozumiejąc, do czego to doprowadzi, przemienił się w bezdenną studnię łaknienia, która wysysała całe – nie tylko jego własne – życie.

Victoria wzdrygnęła się na wspomnienie dnia, kiedy to natrafiła na Rolanda i swego męża w korytarzu. Zrozpaczony, błagając o pomoc, chwycił rękę Bertrama, lecz nie był w stanie zapanować nad tym, co wyzwolił, i magia zabierała *coraz więcej* sił jej biednemu mężowi. Bertram nie mógł się wyrwać, uciec... a potwór Roland wykradał mu całe życie, sycił się jego siłą.

Zanim Victoria ich zobaczyła, już było za późno. Roland uciekł w panice, a ona podbiegła i chwyciła upadającego męża. Tuliła go, przyciskała do piersi i kołysała w ramionach, kiedy szybko gasł. Skóra Bertrama zrobiła się szara i sucha, jak pergaminy w archiwum. Policzki się zapadły w ciemne zagłębienia, oczy zmieniły w suche gałki, włosy wypadały garściami. W jej ramionach mąż zmienił się w mumię.

Roland z głębi korytarza przyglądał się temu ze zgrozą i odrazą. Uniósł ręce, nie wierząc w swój śmiercionośny dotyk.

– Nie! Nie! Nie! – wrzeszczał.

Lecz po wyssaniu z Bertrama całej życiowej energii wydawał się silniejszy, wzmocniony przez ukradzioną siłę. Roland, szybko zmieniający się w Życiożercę, zbiegł z Cliffwall do rozległej doliny. Victoria dopiero później się dowiedziała, że w swoich szalonych, nieudolnych próbach zachowania sił zabił innych uczonych, nim uciekł z odosobnionego archiwum.

Teraz Życiożerca zginął, lecz Victorii to nie wystarczało. Nie mogła odzyskać Bertrama, ale musiała odtworzyć żyzną dolinę, obudzić życie – i była przekonana, że ma moc, by tego dokonać. W przeciwieństwie do nieudolnego, naiwnego Rolanda nie popełni żadnych błędów...

Zanim po dwóch dniach wrócili na płaskowyż, Victoria już wiedziała, co ma zrobić. Sage, Laurel i Audrey były jej trzema najlepszymi mnemoniczkami, ale miała też Franklina, Glorię i wielu innych uczniów, będących skarbnicami wiedzy. Nawet teraz, kiedy złamała zakłęcie kamuflujące, dzięki czemu wiedza była dostępna dla każdego, kto potrafił czytać, Victoria nalegała na podtrzymywanie tradycji mnemoniców. Może jej akolici przypomną sobie coś jeszcze ważniejszego.

Simon, wróciwszy do wielkiej biblioteki, nalegał na wydanie uczty, lecz Victoria nie mogła udawać, że jest tak zachwycona jak inni. Wciąż było tyle do zrobienia, całe wieki pracy – o wiele za długo trzeba by czekać na efekty.

Victoria – podobnie jak przedtem badacze, którzy przeszukiwali archiwa, by znaleźć sposób na zniszczenie Życiożercy – szukała czaru *plodności*, potężnego zaklęcia mającego przywrócić to wszystko, co zabrał zły czarodziej. Jeśli błędne zakłęcie mogło skraść życie, to czy inne nie mogłoby odwrócić jego skutków? Victoria musiała znaleźć tego rodzaju magię. Na

pewno jakieś rozwiązanie znajdowało się wśród tej całej wiedzy zgromadzonej tu przez dawnych czarodziejów.

Rozpuściła wieści wśród mnemoników, którzy rozmyślali i przeglądali w pamięci niezliczone księgi. Rozmawiali z uczonymi, którzy przeczesywali na wpół zapomniane woluminy z najgłębszych podziemi i najbardziej zakurzonych regałów, włączając tę wiedzę do własnych pamięciowych archiwów.

Musi być jakiś sposób!

Victoria spotkała się na osobności ze swoimi zaufanymi akolitykami, szepcząc, jakby knuły spisek:

– Wszystkie jesteście płodne, we wszystkich was pulsuje życie. Wyczuwam je. Powinnyście począć nowe istnienia. – Uśmiechnęła się do nich ciepło. – Poszłyście do Bannona Farmera?

Trzy młode kobiety były zadowolone, ale i speszone.

– Tak, Victorio – odpowiedziała Sage. – Wiele razy.

– Stale próbujemy – dodała Laurel.

– Tak często jak to możliwe. – Uśmiechnęła się Audrey.

Victoria westchnęła i potrząsnęła głową.

– Czasem się nie udaje. To nie wystarczy. Musimy spróbować czegoś innego. Pradawni czarodzieje musieli znać zaklęcie odrodzenia życia, magię wspomagającą rozwój.

– Odrodzenie życia? – Ten pomysł zadziwił Laurel. – Chcesz ożywić zmarłego?

– Chcę ożywić świat – powiedziała Victoria. – Czar płodności usunie skazę i zniszczenia z pustkowia. Chcę przywrócić lasy i rzeki, łąki i pola. Chcę zapełnić strumienie rybami. Chcę przywołać kwiaty i pszczoły, żeby je zapyliły i zrobiły miód. Chcę, żeby kraina znowu rozkwitała. – Wzięła

oddech i popatrzyła na swoje uczennice. – Nie chcę czekać na to całe dekady.

Uczeni i mieszkańcy kanionu radośnie świętowali koniec Życiożercy, mnemonicy Victorii zaś medytowali, przeglądając swoje doskonałe pamięci, szukając sposobu na przyspieszenie procesu zdrowienia.

Victoria każdą chwilę poświęcała na zmaganie się z morzami zapamiętanych słów. W głowie jej dudniło, jakby właściwe zaklęcia usiłowały się wydostać, ale nie wiedziała, jakie to zaklęcia. Jeszcze nie.

Stojąc na zewnątrz pod wielkim skalnym nawisem, obserwowała, jak mrok wypełnia kaniony. Wieczne światła migotały w oknach domostw w niszach po drugiej stronie kanionu. Owady cicho brzęczały, usłyszała też szelest skrzydeł, kiedy obok przeleciały dwa nocne ptaki. Świat trwał w spokoju, budził się do życia.

Rozmyślała o uszkodzonej wieży z biblioteką prorocत्व. Pamiętała ten okropny dzień, kiedy nieuważnie rzucone zaklęcie stopiło budowlę i pograżyło nieszczęsnego, acz głupiego czarodzieja w kamiennej lawinie. Takie wypadki, chociaż zdarzały się rzadko, odstraszały innych uczonych od prób z poważniejszymi zaklęciami.

Teraz, stojąc w pieczarze, patrzyła na uszkodzoną wieżę. Nie miała żadnego respektu dla niezdary, który nie potrafił pojąć mocy, jaką uwolnił. Kolejna oferra, jak Roland.

Ona nigdy by do czegoś takiego nie dopuściła. Miała wyższe standardy.

Kiedy rozmyślała o tej pomyłce, coś kliknęło w jej umyśle i przypomniała sobie część starego czaru płodności – nie tylko dla kobiety chcącej począć dziecko, ale chyba też uzdrawiającego jałowe łono; czaru *kreowania*, rytuału płodności, związanego z bardziej pierwotną magią mogącą zwiększać plony i liczebność stad, odnawiać lasy. Czuła łaskotanie słabiutkiego wspomnienia, zakopanego głęboko zaklęcia. Usiłowała sięgnąć myślami na daleki skraj

pamięci.

Przypomniała sobie surową matkę, której koścista twarz przypominała ostrze siekiery. Zmuszała Victorię do zapamiętywania ksiąg słowo po słowie, ale nigdy nie zwracała uwagi na to, czy młoda Victoria *rozumie*, co zapamiętuje. Dbała wyłącznie o to, żeby dokładnie powtarzała linijkę po linijce, nawet w języku, którego żadna z nich nie rozumiała. Regularnie smagała Victorię wierzbową różgą, zostawiającą czerwone ślady, czasem krwawe. Niekiedy okładała córkę po twarzy, tłukła ją po głowie, aż puszczała się jej krew z nosa, starając się ją zmusić, żeby lepiej zapamiętywała, żeby wykorzystywała swój dar i nie popełniała błędów.

Błędy powodują szkody. Ludzie cierpieli, kiedy ktoś popełnił błąd, nawet drobny. Młoda Victoria, szlochając, obiecywała matce, że nie popełni żadnych błędów. I patrzyła, jak kobieta spycha jej dobrodusznego ojca ze skalnego nawisu – wedle matki zasłużył na ten los, bo popełnił błąd, potencjalnie niebezpieczny.

Victoria nie może popełnić błędu.

Teraz, kiedy już dotknęła zarysu starożytnego zaklęcia i podążyła za wspomnieniami, zobaczyła w swoim umyśle słowa. Tajemniczy język, obce frazy, dystychy wymawiane w sposób jakby sprzeczny z literami, którymi je zapisano. Przypomniała sobie czar płodności, powtarzany z pokolenia na pokolenie, przekazywany sobie przez mnemoników. Myśli były blade i rozchwiane, umykały – lecz miała tę wiedzę. Mogła ją wykorzystać.

Zadowolona wróciła do głównej wieży bibliotecznej i pospieszyła do swojej kwatery. Chociaż wszystko pamiętała, zapaliła lampę i pochyliła się nad niskim stolikiem do pisania. Zaczęła pisać na skrawku papieru słowa, które wydobyła z głębin pamięci, wymawiając je bezgłośnie, upewniając się, że każdy szczegół jest właściwy. Starannie wymówiła je na głos, by mieć pewność, że prawidłowo oddała każdy niuans. Kiedy zapisała zaklęcie



płodności, odczytała je wielokrotnie, póki nie miała pewności, że się nie pomyliła.

Zebrała się w sobie. Wiedziała, co musi zrobić, i doskonale rozumiała tekst.

Kraina została już doszczętnie wykrwawiona. Cóż znaczyła dodatkowa odrobina krwi?

## ROZDZIAŁ 56

Cliffwall spełniło swoją rolę, dokładnie tak, jak tego chcieli pradawni czarodzieje – powiedział Simon do Nicci i Nathana. Nadal wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie. Po pokonaniu Życiożercy wydawał się swobodniejszy i bardziej skupiony na tym, co wedle niego samego powinno być jego prawdziwym zadaniem, chociaż dalej sprawiał wrażenie za młodego na starszego uczonego-archiwistę. – Teraz nasi uczeni mogą nareszcie zająć się dalszym katalogowaniem i podstawowymi badaniami. Tyle pracy przed nami!

Zespoły gorliwych badaczy wróciły do codziennego katalogowania niezliczonych tomów, tematycznego ustawiania woluminów na półkach i notowania, jakiego rodzaju wiedzę zawierają rozmaite nieuporządkowane jeszcze sektory. Najwyraźniej czekały ich całe dziesięciolecia roboty.

Simon rozejrzał się z pełnym zachwytem oszołomieniem, próbując objąć wzrokiem tysiące ksiąg bezładnie poukładanych na półkach w rozległych pomieszczeniach biblioteki.

– Zamiar wydaje się ponad siły, ale z jakiejś przyczyny czuję teraz zastrzyk energii i jestem lepszej myśli, niż byłem przez ostatnie dwadzieścia lat.

– Prawdę mówiąc, właśnie tak powinieneś się czuć – powiedział Nathan. – Odkrywanie na nowo wszystkich wspaniałości tej biblioteki samo w sobie będzie przygodą. Poza tym, jak dobrze wiesz, wszystkie zasady się zmieniły wraz z przesunięciem się gwiazdy. Jeszcze nie wiemy, ile spośród tych informacji nadal jest prawdziwych, a może wszystko wymaga przepracowania, sprawdzenia na nowo.

Simon wydawał się zadowolony.

– Jesteśmy gotowi. Skoro wasz lord Rahl zamierza ustanowić nowy złoty wiek, to cała ta magia może służyć ludziom.

Bannon upajał się okazywanym mu zainteresowaniem, chociaż jedna osoba ma ograniczone możliwości biesiadowania i tańczenia. Poświęcił chwilę na zadumanie się nad wszystkim, co mu się przytrafiło w ostatnich miesiącach. Uświadomił sobie, że – pomimo przerażających doświadczeń – właśnie takiego życia zawsze chciał.

Walcząc z selka, piaskowymi ludźmi czy stając przed samym Życiozercą, był przekonany, że zginie. Ale potem barwy tych wspomnień lśniły jaskrawo – no i były to historie, które będzie mógł opowiadać do późnej starości – kiedy będzie siwobrodym starcem, najlepiej z żoną, wianuszkami dziećmi i jeszcze liczniejszymi wnukami. Prawdę mówiąc, już chciałby na nowo przeżyć niektóre z tych przygód.

A miłość! Tu, w Cliffwall, odkrył rozkosz, dawały mu ją trzy piękne kobiety, które go uwielbiały i uczyły, jak osiągać fizyczne spełnienie. Chociaż początkowo był zakłopotany i niezdarny, to okazał się pojętym uczniem i teraz jego noce pełne były ciepłych ciał i zmysłowych pieszczot, cichego śmiechu i błyszczących oczu kobiet. Jak mógłby spośród nich wybrać swoją ulubienicę? Na szczęście Audrey, Laurel i Sage z radością się nim dzieliły.

Przez tyle lat tkwił w koszmarze, a teraz żył jak we śnie, którego sam nigdy by sobie nie wyśnił.

Po późnej biesiadzie Bannon błędził po kompleksie Cliffwall, szukając akolitek. Nagrodziły go entuzjastycznie po jego triumfalnym powrocie, ale teraz Victoria zebrała wszystkich swoich mnemoników, przydzielając im

jakieś bardzo ważne zadanie, wymagające całej ich uwagi i energii. Urocze młode kobiety wyraziły żal, że nie mogą zajmować się Bannonem, twierdząc, że mają teraz pilną sprawę. Nie widział ich od dwóch dni.

Tęskniąc za Audrey, Laurel i Sage, zaglądał do sal bibliotecznych, jadalni i kwater akolitów, niby od niechcienia ich szukając. Znalazł innego mnemonika, mężczyznę w średnim wieku, nazywanego się Franklin, z dużymi sowimi oczami i kwadratową szczęką.

– Victoria zabrała je na zewnątrz, gdzieś na Bliznę – wyjaśnił. – Myślę, że znalazła sposób, jak pomóc dolinie wrócić do życia.

Bannon z powagą skinął głową, nie chciał wyglądać na zdesperowanego.

– Czyli to musi być poważna sprawa. Nie będę im przeszkadzać.

Poszedł do siebie, mając nadzieję, że szybko wróci.

Oset wciąż z upodobaniem sypiała na owczej skórze na podłodze w pokoju Nicci.

– Martwiłam się o ciebie – powiedziała. – Nie chciałam cię stracić. Już straciłam wszystkich.

Nicci się zachmurzyła.

– Obiecałam, że wrócę. Powinnaś mi wierzyć.

Szwaczki kolejny raz naprawiały jej podróżną suknię, toteż przebrała się w wygodną lnianą podomkę.

– Wierzyłam ci – odpowiedziała dziewczynka, oczy jej błyszczały. – Wiedziałam, że zabijesz Życiożercę. A teraz jestem gotowa pójść z tobą i zwiedzać resztę świata. Wyruszymy wkrótce?

Nicci pomyślała o czekającej ich długiej podróży, o nieznanym świecie i wielu ewentualnych niebezpieczeństwach.

– Wiele przeżyłaś, a nasza podróż będzie pełna trudów. Na pewno chcesz pójść?

Oset, leżąc na owczej skórze, zaniepokoiła się i usiadła, podciągając kolana do piersi.

– Tak! Mogę polować, mogę wam pomóc znajdować szlak i wiesz, że potrafię walczyć.

– Pewnego dnia ludzie odbudują Verdun Springs – powiedziała Nicci. – Nie chcesz tam wrócić? To twój dom.

– To nie mój dom. Straciłam dom dawno temu. Nie pożyję na tyle długo, żeby ujrzeć dolinę na powrót zieloną i bujną, więc chcę zobaczyć, jak jest gdzie indziej. Teraz ty jesteś moim nowym domem. – Podrapała się po kudłatej łepetynie. – Kiedy wyruszyście, znowu będę wam towarzyszyć.

Nicci, rozbawiona jej determinacją, przygotowała się do snu i położyła na posłaniu.

– Coś mi się zdaje, że cię nie powstrzymam.

Okryła się kocem, leciutkim powiewem magii zdmuchnęła lampę i zasnęła.

## ROZDZIAŁ 57

Po drenującym dotknięciu Życiożericy Nicci spała głęboko, śniąc dziwne sny.

Krążyła gdzieś daleko... i nie była sobą. Jej życie i umysł tkwiły w innym ciele, krocącym na potężnych łapach. Jej mięśnie napinały się jak splecione liny, kiedy pędziła przez noc, długi ogon chwiał się z tyłu, postawione spiczaste uszy nasłuchiwały najcichszych odgłosów. Pionowe źrenice chłonęły poświatę gwiazd.

Była Mrrą. Trwały zespolone na głębokim wewnętrznym poziomie. Siostry-pantery. Ich krew się mieszała. Nicci w swoim śnie nie szukała tego dziwnego kontaktu, ale i nie budził on w niej lęku. Krążyła nocą – po części czarodziejka, po części piaskowa pantera. I coś więcej.

Leżąc na twardym sienniku w swoim pokoju, poruszyła się, przeciągnęła i zapadła w głębszy sen.

Mrra polowała, a Nicci wraz z nią. Razem wędrowały, radość śpiewała w jej potężnym kocim ciele. Galopowały dla czystej przyjemności, nie dlatego, że się spieszyły. Chociaż czuła głód, wiedziała, że znajdzie strawę. Zawsze znajdowała. Mrra potrafiła w wietrze wyczuć woń zdobyczy, usłyszeć ruchy gryzonia, dostrzec lśnienie w najgłębszym mroku.

I była wolna! Już nie była niewolnicą treserów. Była dzika i swobodna, jak powinna być piaskowa pantera.

Mrra płynęła przez noc, badając skraj Blizny, który już nie cuchnął rozkładem, kwaśną i gorzką magią, taką, z jaką się zetknęła w wielkim mieście. Tej nocy Blizna była spokojna i Mrra wyczuwała śmierć i milczenie, ale będzie tu i zdobycz, bo stworzenia znowu się zapuszczały na to

puszcie.

Uchwyciła się więzi z Nicci. Piaskowa pantera całe życie była złączona zaklęciem z dwiema siostrami; kociaki z jednego miotu, bezlitośnie związane magią przez czarodzieja, a potem oddane treserom do wyszkolenia.

Teraz siostry-pantery Mrry nie żyły, zabite w walce – jak powinny były umrzeć. Zabili je Nicci i jej towarzysze, dziewczynka i młody samiec-wojownik, lecz Mrra nie nienawidziła ich za to, co zrobili. W *troka* związane zaklęciem pantery powinny walczyć, podobnie jak powinny jeść, oddychać i łączyć się w pary.

Wielka kocica nie umiała wybiegać myślą daleko naprzód, planować ani wyobrazić sobie czegoś, co mogłoby być. Teraz Nicci była jej partnerką. Pełen tęsknoty pomruk zadudnił w jej piersi i miała nadzieję, że ona i Nicci będą znowu razem walczyć. Rozerwałyby na strzępy wielu wrogów, tak jak walczyły z wielkimi jaszczurami czy Życiożercą.

Mrra wskoczyła na skalną wychodnię, gdzie przysiadła w księżycowej poświacie, obserwując okolicę. Przymrużyła złociste ślepia, machała ogonem, węszyła. Jej wąsy wibrowały. Łowy były jak walka i każdy dzień był walką. Jej *troka* uciekła z wielkiego miasta, zabijając swoich treserów, a potem trzy siostry-pantery pognały na bezludzie, aby wieść życie, jakie było im przeznaczone.

Wszystkie trzy były wolne. Chwilowo.

Nicci poruszyła się i sny stały się żywsze, wspomnienia wyraźniejsze...

Brutalne doznania, ostre wspomnienie przeraźliwego bólu. Była mała, jej życie było wesołe i radosne, kiedy bawiła się z siostrzyczkami. Potem schwytał je wódz-czarodziej. Mocno przycisnął je do ziemi, wziął rozżarzone do białości żelazo, zakończone symbolami zaklęcia. Mrra szarpała się i podrapała treserów pazurami, ale łypiący złośliwie wódz-czarodziej

przycisnął żelastwo do jej skóry, wypalając w płowej sierści symbole. Dym z przypalonego ciała i sierści wzbił się gęstą chmurą, poruszaną jej kocim wrzaskiem.

Cierpienie było straszliwe, a ból Mrry rezonował z bólem jej sióstr, związanych z nią, kiedy zaklęcia zespały wszystkie trzy w *troka*, żeby łączyły się umysłami, myślami i krwią.

To był dopiero początek. Kiedy pantery złączyło pierwsze wypalone zaklęcie, wódz-czarodziej wypalił im na skórze więcej zaklęć. A ponieważ trzy pantery były teraz zespolone, każda raz za razem doświadczała okropnego bólu, aż ich umysły stały się tak wynaturzone jak ich piękne niegdyś ciała.

Kiedy kotki wyzdrowiały, treserzy zaczęli je szkolić – metody były surowe i bolesne. Była krew, łup, strach... i jeszcze więcej krwi. Ale kiedy ona i jej siostry stały się silniejsze, Mrra nauczyła się cieszyć zadaniami. Była szybsza, bardziej mordercza. Jej *troka* stały się najlepszymi zabójczyniami, jakie kiedykolwiek widziało wielkie miasto.

Życie Mrry polegało na łowach i zabijaniu. Nauczyła się atakować i zabijać ludzi na arenie. Niektóre jej ofiary były przerażone i bezradne, próbowały uciekać, ale nadaremnie. Inne padały na kolana, szlochając i dygocząc, kiedy pazury rozszarpywały je na strzępy. Ale inne były groźnymi wojownikami i one dostarczały najlepszej rozrywki, najzawziętszych walk. Inne ofiary władały magią, ale zaklęcia wypalone na skórze Mrry i jej sióstr odpierały magiczne ataki.

Pamiętała ryk tłumu, wiwaty, wycie z żądzы krwi. Mrra z sierścią splamioną krwią unosiła głowę ku jasnemu słońcu i patrzyła gniewnie na trybuny zatłoczone widzami. Błyskała długimi kłami i wydawała własny zwycięski ryk. Pamiętała żar słońca i piachu, smak gorącej krwi tryskającej z rozszarpanego gardła. Mrra pamiętała zabijanie ofiar. Zabijanie



wojowników. Po prostu *zabijanie*.

Bo jeśli nie robiła tego, co jej kazano, treserzy zadawali im ból.

Teraz wolna krążyła po spustoszonej dolinie, zapuszczając się tam, gdzie walczyli i zabili złego czarownika. W księżycowej poświacie ujrzała cztery ludzkie postaci, samice, które przyszły do samotnego małego dąbka, jaki wyrósł na polu bitwy. Mrra powęszyła, rozpoznała, że pochodzą z miasta w klifie. Starsza kobieta i trzy młode.

Nie były łupem i dlatego jej nie interesowały.

Mrra pobiegła w noc, na polowanie. Wyczuła woń wychudłej antylopy, która zawędrowała tu z pogórza. Kocica rzuciła się do biegu, przyspieszając. Chociaż antylopę ledwo było widać na pylistym brązowym tle, bystre oczy pantery wykryły ruch. Skoczyła, jeszcze podkręcając tempo, czując płomień w mięśniach.

Chociaż przerażona antylopa próbowała uciekać, stukając raciczkami na luźnych kamieniach, Mrra dopadła ją i powaliła na ziemię. Błysnąwszy kłami, rozdarła jej szyję, a potem wypruła wnętrzności, nogi i głowa wciąż drgały.

Ciepła krew była przepyszna, wspaniała! Jadła, mrużąc z zadowolenia...

Śpiąca Nicci przeciągle westchnęła z rozkoszą.

## ROZDZIAŁ 58

Wielką wyschniętą dolinę wypełniała pełna napięcia cisza. Okolica wciąż była wymarła, chociaż powinna już tętnić życiem. Sam pobyt tutaj był dla Victorii niczym policzek. To miejsce powinno być porośnięte bujną roślinnością, wysokimi trawami, gęstymi lasami, falującymi zbożami.

Roland do tego doprowadził – ukradł całe życie, wyjałowił ziemię. I chociaż Nicci go powstrzymała, była to dopiero część rozwiązania, a Victoria nie poprzestanie na półśrodkach. Inni w Cliffwall mogli sobie gratulować, lecz o wiele za dużo pozostawało jeszcze do zrobienia. Ona nie spocznie, póki praca nie zostanie wykonana, a nie ufała, że inni zastosują niezbędne metody.

Razem z trzema lojalnymi młodymi kobietami opuściła Cliffwall w zapadającym zmierzchu. Ruszyły pospiesznie przez pustkowie ku dawnej kryjówce Życiożercy. Audrey, Laurel i Sage aż się paliły, żeby jej pomóc. Ich błyszczące oczy były pełne nadziei. Chociaż wędrówka zajęła im prawie dwa dni, Victoria wyjawiała tylko część tego, co zamierzała zrobić, ale były jej akolitkami i podporządkują się wyższym potrzebom.

– Działamy nie dla własnej korzyści – wyjaśniła im. – To będzie triumf każdego żyjącego mężczyzny, kobiety i dziecka.

Wreszcie, pod wieczór drugiego dnia, dotarły do milczącej i wstrząsanej drganiem połaci, otoczonej poprzewracanymi obsydianowymi blokami, usianej zwłokami olbrzymich skorpionów i truchłami piaskowych ludzi. Było to tak przerażające, jak i swoiście uświęcone miejsce.

Victoria podprowadziła je do samotnego dąbka, delikatnego i kruchego drzewka, które wyrosło z ostatniego żołędzia Pradrzewa.

– Jest takie małe i słabe – powiedziała Sage.

– Lecz ma moc Pradrzewa – stwierdziła Laurel.

– Ma moc *świata* – poprawiła ją Victoria. – Lecz jego wyjątkowa magia wypaliła się w walce i teraz wydaje się zwykłym drzewkiem. Niemniej jest iskierką, symbolem, my zaś mamy moc rozdmuchać ten płomyk w pożar życia. Chcecie pomóc? – Powiodła wzrokiem po akolitykach. – Chcecie przyzwać niezbędną po temu magię?

Kobiety bez wahania potaknęły. Victoria nigdy w to nie wątpiła.

Stojąc w księżycowej poświacie przy cieniutkiej sadzonce, poluzowała sznurowanie sukni, żeby ją zdjąć. Ściągnęła przez głowę burą suknię i odrzuciła na bok. Upadła na jeden z obsydianowych bloków, a Victoria stała naga w świetle księżyca, wachając pylisty wiatr, czując chłód ciemności.

Odwróciła się ku swoim akolitykom.

– Wszystkie musicie się rozebrać. Jesteście życiem. Czyste i płodne. A do tego świętego aktu stwarzania musicie być takie, jakie się narodziłyście.

Zrobiły, jak poleciła. Zdjęły białe wełniane suknie i stały nagie, posągowe, bez skazy. Mleczna skóra lśniła w blasku gwiazd, piersi miały bujne, biodra krągłe. Włosy spływały swobodnie.

Krucze pukle Audrey były jak ciemniejszy element nocy, pasowały do nich czarne loczki pomiędzy nogami. Jasnorude włosy Laurel pały jak złoto przygaszonym ogniem. Ciemne brodawki Sage sterczały od chłodu; idealnie krągłe piersi nabrzmiały pragnieniem stworzenia nowego życia.

Ich piękno odebrało Victorii mowę. Te dziewczęta były najczystszym uosobieniem kobiecej energii, samego życia.

Dawno temu Victoria też była taka piękna. Mężczyźni jej pożądali, lecz ona oddała się tylko Bertramowi. Przypomniała sobie z westchnieniem ten

pierwszy raz, kiedy wziął ją w sadzie bezksiężycową nocą; strumyk w kanionie pluskał, lecz nie na tyle głośno, żeby zagłuszyć jej jęki rozkoszy. Bertram skradł jej całusa, potem dziewictwo i leżeli objęci na miękkich opadłych liściach, badając nawzajem swoje ciała. To było wspaniałe.

Po tamtej nocy Victoria nigdy nie pomyślała, że mógłby ją zadowolić inny mężczyzna. Miesiąc później stwierdziła, że jest w ciąży; nie było w tym nic zaskakującego, bo ona i Bertram cieszyli się sobą wiele razy. Wypowiedzieli przed sobą prastarą małżeńską przysięgę, którą mnemonicy przechowywali w pamięci. Lecz po zaledwie dwóch miesiącach Victoria straciła dziecko po wielu godzinach bolesnych skurczów i krwotoku, z którym wypłynął maleńki embrion, wielkości jej palca. Nawet nie przypominał człowieka. I było tyle krwi...

Bertram tulił ją, obolałą i zrozpaczoną, obiecując, że będą mieć wiele dzieci. Ale tak się nigdy nie stało. Odkrycie, że nie może donosić ciąży, załamało Victorię. To było jedno z jej największych rozczarowań, największa klęska. Nigdy nie urodziła syna ani córki, chociaż tak tego pragnęła, choć ona i Bertram tak się starali.

Bardzo kochała męża, lecz ich fizyczne obcowanie stało się w końcu bardziej obowiązkiem i to na dodatek bezowocnym. Toteż Victoria została zastępczą matką swoich akolitów, a zwłaszcza tych trzech doskonałych, pięknych młodych kobiet. Twierdziła, że jest prawdziwą matką dla o wiele liczniejszych dzieci, niż zdołałyby urodzić, lecz nie przekonała nawet samej siebie.

Kiedy jednak tej nocy wypowie starożytnie potężne zaklęcie, to stanie się matką całego świata. Jak mogłaby się zawahać, choć cena była wysoka?

– Męska magia jest magią podboju i śmierci, polowania i zabijania – powiedziała. Jej głos brzmiał bardzo donośnie w tym milczącym miejscu. – Kobięca magia jest magią życia. I nasza magia jest mocniejsza. –

Uśmiechnęła się do akolitek.

Audrey, Laurel i Sage, zarumienione, stały obok siebie, ciężko oddychając w niecierpliwym wyczekiwaniu. Poruszały się lekko, kołysząc biodrami, przestępując z nogi na nogę. Victoria widziała, że są podniecone. Ich pot, woń i wewnętrzny żar, prawdopodobnie spotęgowane magią, unosiły się w powietrzu. Audrey się dotknęła i cicho westchnęła. Laurel i Sage, skuszone, zrobiły to samo. Sama noc była przesycona energią, *życiem*. Nawet mały dąbek wydawał się drzeć.

Victorię bolało serce, lecz odepchnęła narastający lęk, nie pozwoliła, żeby opóźnił jej pracę, jej najważniejsze zadanie.

Trzy młode kobiety stały gotowe, przymykając oczy, wydając ciche westchnienia rozkoszy. Victoria poszperała w fałdach zrzuconej sukni i wyjęła flaszeczkę. Była to ciemnoniebieska tynktura.

– Każda z was musi to wypić. Łyk wystarczy.

Audrey wyciągnęła rękę po buteleczkę. Odkręciła zakrętkę.

– Co to jest?

– Najważniejsza część zaklęcia. Pij.

Audrey ostrożnie upiła łyk i podała buteleczkę Laurel.

– Skoro masz pewność, Victorio...

– Jestem pewna. Długo i dogłębnie nad tym myślałam. Musimy przywrócić życie tej krainie i w ten sposób możemy to zrobić.

Laurel wypiła bez dalszych ceregieli, potem Sage dopiła resztkę ciemnego płynu.

Victoria z ciężkim sercem patrzyła, jak jej akolitki się chwieją, wiotczeją i osuwają na ziemię. Były takie ufne...

Pospiesznie ułożyła nagie kobiety jedną przy drugiej, w pobliżu latorośli Pradrzewa. Teraz mogła płakać, bo dziewczęta były nieprzytomne. W fałdach

sukni ukryła też mocne rzemienie i związała akolitkom kostki i przeguby.

Młode kobiety ciężko oddychały w głębokim narkotycznym śnie, ale wkrótce się ockną, a Victorię czekało jeszcze wiele przygotowań.

Kopiując to, czego się wyuczyła ze starożytnych ksiąg i co dla absolutnej pewności narysowała na skrawku papieru, Victoria nakreśliła na ziemi złożony narys uroku, żłobiąc kąty i krzywe symboli w dawno zapomnianym języku, tak żeby wzór otaczał akolitki. Były teraz jej nasionami, początkiem nowego życia o niezmierzonej potędze.

Lecz miało to swoją cenę – zawsze trzeba zapłacić jakąś cenę. Krew żądała krwi.

Victoria dygotała, kończąc narys, wciąż powtarzając sobie, że korzyści warte są ceny. Czar płodności nie pozostawiał najmniejszej wątpliwości: te trzy krople życia wywołają ożywczą ulewę. Odrodzą tę dolinę i uleczą ranę świata.

Ale, och, Audrey, Laurel i Sage...

Victoria zamarła na chwilę i wzięła głęboki oddech, a potem pozwoliła sobie na szloch. Po jej policzkach płynęły łzy. Ale to musiało się stać.

Kiedy po wielu minutach podniosła wzrok, zobaczyła, że akolitki się ocknęły; szybciej niż się spodziewała. Wzrok wciąż miały nieprzytomny i zdezorientowany, a czar wymagał, żeby były przytomne i przyzwalające. Już dały Victorii swoje przyzwolenie.

– Co robisz? – spytała Laurel. – Co się dzieje?

– Ratujecie nas wszystkich. – Kobieta z twarzą zalaną łzami wyjęła z fałd sukni nóż i uklękła przy pierwszej akolitce.

Sage szeroko otworzyła oczy, wiała się ze strachu, Victoria zaś przeciągnęła ostrym nożem po jej gardle – rzeka krwi spłynęła po szyi na doskonałe piersi. Serce dalej biło, pompując życiodajną krew na boleśnie

wyjałowioną ziemię.

– Wybacz – powiedziała Victoria, przesuając się ku Audrey.

Zaciskając w dłoni długie czarne włosy dziewczyny, odchyliła jej głowę i podcięła gardło.

Laurel patrzyła na nią wyzywająco, zaciskając zęby. Przez chwilę szarpała więzy, ale potem opuściła ramiona, wyczuwając, że jej dwie towarzyszki umierają, zraszając krwią ziemię. Odezwała się drżącym głosem:

– Powiedz, że to konieczne.

– Nie ma innego sposobu – odpowiedziała Victoria.

Wtedy Laurel odchyliła głowę, a ona cięła po raz trzeci i ostatni.

Kiedy dziewczęta zmarły powolną śmiercią, Victoria zawodziła z rozpacz. Były dla niej jak córki, były jej doskonałymi uczennicami... a ona je zabiła. Lecz zrobiła to po to, żeby dać życie.

Teraz rzuciła zaklęcie. Magia naprawcza wyzwoliła falę płodności tak potężną, że mogła przywrócić lasy, łąki, trawiaste równiny, uprawne pola.

Pożywna krew płynęła z ofiar, a Victoria wypowiadała inkantacje, które doskonale zapamiętała i wyćwiczyła. Krew ściekała strumyczkami jak stopiony воск świecy w narysy uroków. Lśniła głęboką czerwienią jak lawa... a potem się zmieniła, pociemniała, schłodziła się. Stała się zielona i jaskrawa, wsiąkając w wyniszczoną ziemię, która zaczęła się budzić.

W brązowym pyłe pojawiły się maleńkie kielki, wyrosły źdźbła trawy, rośliny o szerokich liściach, splecione zielone gałęzie, krzewy i kwiaty.

Victoria się cofnęła i patrzyła z zachwytem. Latorośl Pradrzewa rosła wzwyż i wszcz, pojawiało się coraz więcej gałęzi, drzewo stawało się wyższe i bardziej rozłożyste. Paprocie niczym baty strzelały wachlarzowatymi liśćmi. Kolorowe grzyby wysuwały się z ziemi, nabrzmiwały i pękały, wyrzucając mrowie zarodników dających początek

kolejnym generacjom szaleńczo rozrastających się grzybów. Ziemia parowała i trzeszczała.

Dokoła fruwały i biegały nowo narodzone owady, noc wprost kipiała od stworzeń – ciem z jaskrawymi aksamitnymi skrzydłami, żuków o opalizujących pancerzykach.

Victoria się odsunęła i nasłuchiwała tej krzątanimy. Głęboko wdychała powietrze, czując w nim wilgoć, pyłki, zapach kwiatów, żywiczną woń młodych drzew, woskowany zielony aromat liści. Liany wydobywały się z ziemi jak węże, pełzną po strumykach przelanej krwi. Korzenie się rozrastały i splatały, spajając popękany grunt, wydając pnie i pęki liści. Wąsy roślin oplatały splamione krwią ciała ofiar, wchłaniały trzy młode kobiety niczym nawóz, niczym zdobycz.

Victoria rozglądała się wokół z zachwytem. Jeszcze nigdy nie widziała tyle życia – i to ona je stworzyła! Zapoczątkowała odrodzenie. Jej czar był na tyle potężny, że przemógł szkody wyrządzone przez Życiożercę.

Zielony las wydawał się rozszalały, wprost eksplodował życiem, zdecydowany odzyskać utracone tereny. Victoria się cofnęła, dumna z tego, co uczyniła. Uczni w Cliffwall zobaczą to i będą wiedzieć, że to dzieło Victorii. Stała naga i zadowolona, rada ze swojego dokonania. Zamknęła oczy i westchnęła dziękczynnie.

Coś chwyciło ją za kostkę. Gwałtownie otworzyła oczy i zobaczyła wijącą się do góry lianę, dotykającą jej łydki. Z szybkością atakującej zmił owinęła się jej wokół kolana i mocno trzymała.

Victoria krzyknęła i spróbowała się wyrwać, lecz liana była jak żelazna sprężyna. Szarpnęła, zatrzymując ją w miejscu. Liście paproci nachylały się nad nią, otaczały. Gałęzie sięgały ku niej, a ona usiłowała je odepchnąć. Wiotka gałązka chwyciła jej przegub. Z ziemi wyrwały się liany niczym wijące się macki i chwyciły ją za nogi. Inne otoczyły ją w talii i naprężyły



się.

Krzyczała, próbując się wyrwać. Korzenie złapały jej stopy, unieruchomiły ją.

– Nie! Ja nie...!

Kiedy krzyczała, ulistniona gałąź wepchnęła się jej do ust, do gardła. Victoria dławiła się i kaszłała. Świeże zielone liście paproci zasłoniły jej oczy. Szarpała głową na boki, dusząc się.

Wąsy roślin wniknęły jej do nosa, wrastały głęboko w czaszkę, wepchnęły się do uszu, też sięgając głębiej. Nie mogła krzyczeć, nic nie widziała, nie mogła oddychać. Szarpała się, a liany mocniej się zaciskały.

Potem, jak ręce krzepkiego wojownika, liany rozsunęły jej nogi. Wiła się, wykręcała biodra w rozpaczliwej próbie wyrwania się. Poczowała, jak pnące pełźnie wzdłuż jej nóg, sunie po wewnętrznej stronie uda, a potem – odrobinę się zawahawszy – zanurkowało pomiędzy jej nogi i wystrzeliło, nabrzmiwając, wypełniając ją.

Straszliwe cierpienie trwało bardzo długo, zanim wąsy roślin wreszcie wbiły się jej w mózg i dusza Victorii została wchłonięta w zielony mrok.

## ROZDZIAŁ 59

W Cliffwall trwała poranna krzątanina, a Nicci obudziła się z przepysznym miedzianym posmakiem krwi w ustach, ciepłym i gorącym, który wkrótce zniknął wraz ze wspomnieniem snu. Zamrugła i usiadła.

Oset stała nad nią, szarpała ją za ramię.

– Martwiłam się o ciebie. Tak głęboko spałaś.

Nicci przetarła dłonią oczy, przeciągnęła się. Jej ciało było jakies... dziwne.

– Już nie śpię.

– Mruczałaś i kręciłaś się we śnie. Pewnie miałaś koszmary.

Niczym zwodnicze echa mignęły wspomnienia dzikiej istoty.

– Coś w tym rodzaju. – Zmarszczyła brwi, starając się sobie przypomnieć.

– Ale nie wszystko było koszmarem.

Prawdę mówiąc, sen, w którym polowała z Mrrą, w którym była *częścią* Mrry, był wspaniały. Nicci była silna i pełna energii, jej instynkty śpiewały, każdy mięsień grał, kiedy sadziła susami, wolna i swobodna. Jej usta wygięły się w uśmiechu.

Oset uklękła przy jej posłaniu, ogromnie zatroskana.

– Myślałam, że umierasz. Próbowałam cię obudzić. Oczy miałaś otwarte, ale widać było tylko białka, jakby cię tu nie było... jakbyś przebywała gdzie indziej.

– Byłam gdzie indziej – powiedziała Nicci. – Na wyprawie. Polowałam z piaskową panterą. – Zniżyła pełen zdumienia głos: – W ogóle nie pamiętam, żeby moje ciało tu leżało.

Podeszła do niskiego stolika i ochlapała twarz wodą z misy, przypominając sobie przejażdżkę w umyśle piaskowej pantery – jakby była Nawiedzającym Sny, jak Jagang. Lecz kiedy we śnie była z Mrrą, jej ciało pozostawało tutaj w głębokim transie, całkowicie bezbronnie – i to ją martwiło. Nicci nie lubiła być bezradna. Nie może pozwolić, żeby to się znowu powtórzyło – chyba że będzie w bezpiecznym miejscu, strzeżona przez strażnika.

Wygładziła miękką suknię i uczesała blond włosy.

– Jeśli Nathan znalazł swoje mapy, to dzisiaj wyruszymy – powiedziała, mając nadzieję, że odwróci uwagę dziewczynki. – W Cliffwall zrobiliśmy, co było w naszej mocy.

Mała kiwnęła głową.

– Życiożerca nie żyje i dolina jest bezpieczna. Pewnego dnia tu wrócę. – Błysnęła optymistycznym uśmiechem. – Ludzie z Cliffwall napiszą o tym legendy, prawda?

– Nie mam ochoty być legendą – stwierdziła Nicci.

Będą potrzebować plecaków z prowiantem, nowych ubrań podróżnych, naprawionych butów. Nicci wciąż się zamartwiała, że dziewczynka wraz z nimi będzie narażona na nieznane zagrożenia, no ale Oset z pewnością była zaradna, szybka, bystra, niezależna. Jej lojalność i oddanie czyniły z niej dobrą towarzyszkę – a w podróży dobry towarzysz jest na wagę złota.

Nicci pomyślała o wielkim, niezbadanym kontynencie Starego Świata, z nieznanymi miastami i kulturami... może z uciskanymi ludźmi, zniewolonymi krainami czy też bezlitosnymi władcami, których trzeba będzie poskromić w złotym wieku lorda Rahla. Drgnęła, ujrawszy żywe obrazy z umysłu Mrry: rozdzierający ból, kiedy treserzy wypalali jej na skórze symbole czaru, wielkie miasto, olbrzymia arena, wódz-czarodziej,

rozlew krwi.

Wielkie miasto... *Ildakar*. Słowo pojawiło się samo, ale nie mogła mieć pewności. Byłaż to nazwa, którą *Mrra* usłyszała? Piaskowa pantera nie rozumiała mowy treserów, tylko ból, jaki jej zadawali. *Ildakar*...

Poszły z *Oset* do jadalni, gdzie podawano śniadanie. Uczni się zbierali, gotowi do kolejnego dnia pracy. *Simon* naradzał się z dwoma innymi badaczami, porównywali notatki na temat starego woluminu o wyblakłych literach. *Nathan* i *Bannon* już jedli, rozmawiając.

Czarodziej zobaczył je i przywołał gestem.

– Mamy, co nam potrzebne, czarodziejko. *Mia* znalazła starożytne mapy ukazujące kontynent sprzed trzech tysięcy lat, kiedy to dokumenty zostały ukryte za czarem kamuflującym.

– Drogi już pewnie są zniszczone – powiedziała *Nicci*. – Przez te ziemie przeciągały wojska, królestwa powstawały i upadały. Miasta porzucano, budowano nowe.

*Nathan* wzruszył ramionami.

– Prawda. Ale miasta to miasta, zwykle powstają na skrzyżowaniach szlaków, przy ciekach wodnych, obok zasobnych kopalń czy żyznych ziem. Jeśli tysiące lat temu istniał powód, żeby wybudować miasto, to pewnie wciąż istnieje. – Zmierwił kręcone włosy *Oset*, a dziewczynka się uśmiechnęła i w rewanżu zmierzwiła jego siwą czuprynę, co go zaskoczyło. Roześmiał się i dodał: – A jeśli miasta są inne i pejzaż się zmienił, to będzie co odkrywać. Poza tym chcę odzyskać dar.

– Wszyscy chcemy, żebyś odzyskał dar – zgodziła się *Nicci*. – Wyruszymy tak szybko jak to możliwe. *Życiożerca* nie żyje, ocaliłam świat, więc spełniłam przepowiednię wiedźmy. Teraz idziemy do *Kol Adair*.

*Nathan* z trudem powściągał zapał.

– Racja, racja, moja droga czarodziejko. Ale czemu sądzisz, że tylko raz miałaś ocalić świat?

Bannon, chmurny i zaniepokojony, jadł owsiankę.

– Zanim wyruszymy, bardzo bym się chciał pożegnać z Audrey, Laurel i Sage. Staliśmy się bardzo dobrymi przyjaciółmi.

Czarodziej miał iskierki w lazurowych oczach.

– Taaak, przypuszczam, że *bardzo* dobrymi przyjaciółmi.

Bannon się zaczerwienił.

– Nie mogę ich znaleźć. Poszły dokądś z Victorią.

Nicci przypominała sobie mgliście, że widziała grupkę kobiet oczami Mrry, kiedy polowała we śnie minionej nocy, ale od tamtej pory ich nie widziała. Odezwała się:

– Możesz się pożegnać, jeżeli je znajdziesz. Ale niedługo wyruszamy.

Była niespokojna, zdecydowana odnaleźć Kol Adair dla Nathana, ale i podjąć kolejną misję dla lorda Rahla, pójść do innych królestw, miast i miasteczek – wszędzie tam ludzie powinni się dowiedzieć, że teraz są częścią powiększonego imperium D’Hary.

Do jadalni wpadła myszowata młoda kobieta, krótkie brązowe włosy miała rozwiane, wyglądała, jakby przybiegła z daleka. Jej czoło lśniło od potu. Była to Mia, która często pomagała Nathanowi wyszukiwać księgi. Teraz podbiegła do uczonego-archiwisty.

– Mistrzu Simonie, coś się wydarzyło na Bliźnie! Nie umiem tego wyjaśnić. Musisz to zobaczyć. – Rozejrzała się i zobaczyła Nathana. – Nathanie, też musisz to zobaczyć. To cud!

Simon przesunął dłonią po potarganych włosach.

– W czym rzecz?

Mia poprowadziła ich tunelami przez wnętrze płaskowyżu, cały czas paplając:

– Kto by się tego spodziewał? Poczekaście, aż wyjrzycie przez okno. To niezwykle!

Szli za nią korytarzami, towarzyszył im coraz większy tłum. Simon zapytał:

– Gdzie Victoria? To bardzo ważne, żeby i mnemonicy to zobaczyli.

Bardzo się starał, żeby ich włączyć, chociaż nikt nie mógł sobie przypomnieć, by widział kobietę lub jej trzy akolitki. Wreszcie dotarli do okna wychodzącego na rozległą dolinę. Stąd obserwowali rozprzestrzenianie się spustoszenia spowodowanego przez Życiozercę, teraz zaś patrzyli na coś nad wyraz osobliwego.

Nicci wysunęła się naprzód, skupiona na dramatycznych zmianach, które nastąpiły nocą.

Pośrodku rozległej, niegdyś wymarłej doliny, gdzie mieszkał zły czarodziej, pylisty brąz się zmienił. Burze piaskowe i wiry zniknęły, zastąpione zieloną mgiełką nad rozrastającą się dżunglą, która pojawiła się na Bliźnie. Rosła tam już nie tylko latorośl Pradrzewa, samotny dąbek. Wyglądało to jak eksplozja roślinności.

I rozprzestrzeniało się.

## ROZDZIAŁ 60

Kiedy magia ją rozbudziła, wniknęła w nią i nią wstrząsnęła, Victoria stwierdziła, że jest pełna życia... Wprost eksplodowała życiem, buzowała w niej energia płynąca w jej żyłach niczym strumień wody z topniejącego w górach śniegu. Jej mięśnie grały. Każda kropla krwi, każdy skrawek skóry, każda drzazga kości, każdy włos na głowie były pełne życia. Miała wrażenie, jakby tysiące rojących się pszczół lub termitów dodawały jej energii, jakby niezliczone żyłki roślin spajały ją w całość.

Zdumiona wzięła oddech. Kiedy wciągnęła powietrze, potężny wiatr zawiął w gęstym lesie – liście szeleściły i szemrały, grube konary się kołysały, kłaniając się ze czcią... jej. Otworzyła oczy i wdarło się w nie światło wraz z zielonością lasu, potęgą gleby.

Przelewając krew akolitek, Victoria rzuciła prastare zaklęcie i wyzwoliła magię na tyle potężną, żeby przeciwdziałać szkodom spowodowanym przez Życiożercę. Egoistyczny głupiec wyrządził światu niewypowiedzianą krzywdę, a teraz Victoria wzięła na siebie naprawienie spustoszeń. Miała na to dość siły. Roland był porażką i rozczarowaniem, nieudolnym nieudacznikiem niewłaściwie rozumiejącym potężne zaklęcia, na które nawet nie powinien spoglądać.

Victoria mogła to naprawić. To był jej obowiązek.

Najdroższe Audrey, Laurel i Sage oddały życie dla sprawy, a Victoria uświadomiła sobie, że ona poświęciła nawet więcej. Kiedy budzący się las ją pochwycił, wchłaniał ją, nie pojęła jego intencji. Szarpała się i krzyczała, przerażona, że buzujące życie chce ją... zabić. Ale nie, to wcale nie była prawda.

Jej zaklęcie wywołało zalew bujnego, nieokiełznanego życia, odtwarzającego to wszystko, co zabrał Życiożerca, i magia potrzebowała Victorii jako przekaźnika. Nawet kiedy liany owinęły się wokół niej, wdarły do jej ust, nosa, uszu... kiedy wijące się rośliny ją otwały i wykorzystały, magia jedynie próbowała zmienić ją w coś *więcej*, przekształcić ją w kobietę tak przepełnioną energią życia, by mogła pokierować przebudzeniem się świata. Sprawić, by nowe życie buchnęło niczym nagła powódź z zniszczonej zapory złej magii Rolanda.

Kiedy Victoria stanęła w sercu pierwotnej puszczy i rozłożyła ramiona, przekonała się, że jej skóra jest cętkowana zielenią niezliczonych liści. Dłonie były duże i mocne, palce jak małe gałęzie. Mięśnie miała węzłowate jak krzepkie, wysmagane wiatrem drzewa. Rosnąc, czuła, jak jej kończyny trzeszcza, jakby była górującą nad całym lasem sekwoją. Wzrok miała zmacony, ze zwielokrotnionym obrazem, jakby patrzyła przez niepoliczalne oczy. Słyszała głośne brzęczenie pszczół, widziała chmary barwnych ptaków, roje jaskrawych motyli, otwierające się pąki – jak podczas pokazu magika na weselu.

Była ucieleśnieniem całej tej życiowej energii, lecz nadal pozostawała *sobą*. Po rzuceniu zaklęcia płodności i ofiarach, jakie złożyła – cenie, jaką zapłaciła – była totalną płodnością, zieloną, tętniącą życiem kobiecą energią. Poprzez swoje ciało i duszę pozwoliła odrodzić się życiu. Czuła, jak w tym nowym lesie drzewa rosą i rozpościerają się. Żądała, żeby zielona strefa się rozszerzała, żeby była jak dumne wojsko podbijające Bliznę i nie tylko.

To dopiero początek jej pracy. Victoria nie zadowolili się przywróceniem tu poprzedniego świata. Czemu miałyby na tym poprzestać? Po co w ogóle miałyby się ograniczać? Po przemarszu wojsk i wodzów, po tysiącach lat krwawych dziejów ludzie spowodowali w przyrodzie ogromne szkody.

Zaklęcie, które rzuciła, było potężne, a magia tak dzika



i nieprzewidywalna jak samo życie, ale do tak ogromnej pracy Victoria potrzebowała jeszcze pomocników. I dobrze wiedziała, gdzie ich znaleźć.

Jej akolityki już się poświęciły. Uwierzyły w jej marzenie i nigdy nie kwestionowały jej poleceń. Choć Simon znieważał mnemoników i starał się sprawić, żeby poczuła się zbędna w Cliffwall, to dziewczęta były całkowicie lojalne. Victoria teraz im to wynagrodzi. Mając tak potężny dar, mogła zrobić wszystko.

W buzującej, rojnej armii życia rozwijającego się na pustkowiu sięgnęła myślami i darem, szukała w gęstym podszyciu, w rozrastających się zielskach i zaroślach, lianach, które spulchniały glebę. Znalazła od dawna zapomniane nasiona i obudziła je.

Ciała Audrey, Laurel i Sage stały się matrycą dla odrodzonego życia. Krew wlała się w rowki, które Victoria wyźłobiła w wyjąłowionej ziemi, gdzie teraz rosły najgrubsze korzenie i liany, tworząc i umacniając narys zaklęcia. Lecz ciała akolitek były nie tylko nawozem – były katalizatorami.

Victoria znalazła szczątki młodych kobiet i odtworzyła je, sklejjąc drzazgi kości, odbudowując mięśnie, wykorzystując miękkie roślinne tkanki do utworzenia ciał. Jednakże nie zamierzała odtworzyć ich takimi, jakie były. Chciała, żeby Audrey, Laurel i Sage też stały się strażniczkami lasu. Musiały być na tyle silne, żeby walczyć z tymi, którzy nieuchronnie spróbują uniemożliwić im tę wspaniałą pracę.

Kiedy odtworzyła postacie trzech kobiet jako odzwierciedlenie żyjącego lasu, Victoria pochyliła się nisko nad ich twarzami i tchnęła iskrę przemożnej siły życia w rozchylone wargi najpierw Sage, potem Audrey i na koniec Laurel.

Ciała ożyły, poruszyły się. Kiedy kobiety otworzyły oczy, tęczęwki zamigotały zielenią, jakby powstały z pancerzyków bogatków. Ciężko oddychały, rozchyliły nowe wargi, wysunęły różowe języki, pokazując ostre

białe zęby. Splątane włosy były bujne niczym zarośla; rozłożyły ramiona i napięły mięśnie, prezentując zadziwiająco piękne kształty, idealne wcielenie kobiecości, magii życia, potęgi pożądania i stworzenia.

Akolitki, obudzone i świadome, popatrzyły na Victorię z zachwytem, podziwiając to, czym się stała. Ona nie widziała własnego ciała, lecz czuła jego siłę, złowieszcze piękno i tkwiący w nim potencjał.

– Victoria – odezwała się Sage, niebędąca już sobą, tylko jednym z trzech elementów manifestacji nieokiełznanego zaklęcia.

– Matko – zawtórowały Laurel i Audrey.

Tak, pomyślała Victoria, teraz jestem matką. Matką wszystkiego.

– Mamy do wykonania ogrom pracy. Mamy moc i wolę uczynienia tego, co musi być zrobione. Początkowo chciałam tylko odtworzyć dolinę, uczynić ją tak żyzną i piękną jak niegdyś. Teraz wiem, że moje ambicje były zbyt skromne. Otrzymałam dar i cięży na mnie ogromna odpowiedzialność. Na was spoczywa ten sam obowiązek. – Popatrzyła na nie. – Dzięki żołędziowi Pradrzewa mamy moc i iskrę. Czas, by odtworzyć na Bliźnie pierwotny las i rozprzestrzenić go na całą krainę, żeby świat znowu był doskonały, tak jak wtedy, kiedy Stwórca po raz pierwszy zaprezentował swoją wizję. – Ciemnozielone wargi Victorii wygięły się w uśmiechu. Jej trzy piękne akolitki skinęły głowami. Dodała: – Świat porośnięty bujną roślinnością, nieskażony. Bez ludzi, którzy by go splamili.

## ROZDZIAŁ 61

Simon, ujrawszy w sercu Blizny obszar odradzającej się zieleni, zaciekawiony i oniemiały z wrażenia, poprowadził z Cliffwall kolejną wyprawę. Spieszyli zobaczyć, co się tam dzieje. Ludzie okazywali ostrożny optymizm. Do wielkiej doliny wracało życie.

Simon bardzo się starał odszukać Victorię, żeby poprosić, by do nich dołączyła, lecz kiedy nikt nie mógł jej znaleźć, westchnął:

– Nie możemy czekać. Chodźmy zobaczyć ten cud.

Zeszli z płaskowyżu i ruszyli przez wciąż jeszcze jałową ziemię. Oset, podekscytowana widoczną w oddali zielenią, paplała, idąc obok Nicci:

– Może to tak długo nie potrwa! Może dolina znowu będzie zielona, jak marzyłam, i będę miała szansę to zobaczyć za mojego życia!

– To czarodziejka dała ci drugą szansę. – Nathan odrzucił proste siwe włosy, krocząc obok Bannona, który trzymał dłoń blisko głowicy miecza, dając do zrozumienia, że jest czujny.

Nicci obejrzała się na Nathana.

– Pomogłam zabić złego czarodzieja, ale nie przypisuj mi tego odrodzenia. To nie moja robota.

Nathan odparł:

– Może Pradrzewo nadal miało resztki energii, której Życiożerca jednak nie zdławił. Mogłoby to zapoczątkować odrodzenie.

Nicci patrzyła na zieloną mgiełkę lasu, już wyrosłego na pustkowiu. Nawet z tej odległości słyszała szmer liści i gałęzi, dźwięki życia.

– Taki szybki rozrost... – Spojrzała chmurnie na zieloną plamę przed

nimi. – Będzie mnie to niepokoić, dopóki nie zrozumiem.

Nathan uniósł brew.

– Dopatrujesz się czegoś niepokojącego w nadmiernej bujności życia, czarodziejko? To dobry znak po tym całym spustoszeniu, czyż nie?

Przymrużyła oczy.

– Naprawdę?

Szybciej, niż się spodziewali, dotarli na skraj roślinności, jakby pas lasu popędził na ich spotkanie. Powietrze było wilgotne, przesycone wonią traw, liści, pyłków i mdląco słodkim zapachem otwierających się pączków.

Oset gapiała się z otwartą buzią.

– Nigdy czegoś podobnego nie widziałam.

Simon otworzył ramiona, witając gwałtownie rozrastającą się puszcę.

– To wspaniałe!

Rozwijały się liście ogromnych paproci, drzewa rozciągały się i trzeszczały, wyrastając nieprawdopodobnie wysoko w tak krótkim okresie, jakby sam czas przyspieszył, żeby las mógł nadrobić to, co mu zabrał Życiożerca.

Gałęzie wyciągały się i napinały, pokrywając niezliczonymi liśćmi. Gałązki wyrastały z szumem. Liany kołysały się jak czułki. W uszach Nicci ów poszum nieokiełznanej płodności brzmiał jednak ponuro, niepokojąco... a nawet groźnie.

Pnie drzew grubiały w szaleńczym tempie, jęcząc boleśnie z nadmiaru energii. Poruszenia gałęzi brzmiały jak cięcia nożem. Rośliny wyrzucały w powietrze pyłki. Krzewy i kwiaty ciskały nasionami, a grzyby strzelały na wszystkie strony zarodnikami. Trawy rosły, szepcząc i sycząc.

Kiedy grupka z Cliffwall podziwiała z zachwytem nieoczekiwany widok, pojawiły się nowe kielki, trawy i inne rośliny przesunęły się poza obrzeże,

zajmując kolejną połąć wypalonego pustkowia. Pierwotna puszcza rozrastała się w ogromnym tempie.

– Słodka Matko Morza! – Bannon najpierw uśmiechał się z podziwem, ale potem zachwycona mina zmieniła się w zatroskaną. – Czy to aby trochę nie za szybko?

Pszczoły i żuki brzęczały i furczały w powietrzu. Ciemna chmara komarów sunęła jak fala.

Simon zawołał w las, jakby kierował te słowa do jakiejś potężnej istoty:

– Dzięki! Jesteśmy wdzięczni za powrót życia.

Drzewa i gałęzie zaszeleściły i większe sylwetki przemknęły w zielonym mroku: ludzkie sylwetki, *kobiece* – nagie, zgrabne kobiety, których cętkowana skóra czyniła je niewidocznymi wśród liści. Gałęzie i liany rozsunęły się, ukazując je oczom uczonych.

Trzy młode kobiety były bujne jak sam las, ich piersi i biodra napęczniałe życiem, włosy – plątanina liści i mchu. Wyglądały jak obce istoty, ich przemienione ciała były bardziej roślinne niż ludzkie, lecz rysy twarzy nadal rozpoznawalne – znajome.

Bannon wstrzymał oddech. Uśmiechnął się niepewnie.

– Laurel? Audrey? Sage?

Kiedy trzy postaci ruszyły naprzód, podszycie przesunęło się wraz z nimi. Ich oczy lśniły opalizującą zielenią. Akolitki Victorii były uosobieniem płodności, pulsowała w nich sama esencja lasu, istota życia. Wydzielały kuszącą woń, jak samice w rui. Podziałała nawet na Nathana. Oczywiście także na Simona i pozostałych mężczyzn. Powietrze przesycił erotyzm.

Bannon ciężko oddychał. Pot pokrył mu skórę, zarumienił się z pożądania. Na twarzy miał wypisaną tęsknotę i niezgodę na rozdzielenie.

– Zniknęłyście – powiedział. – Nie wiedziałem, gdzie się podziałyście.

Szukałem was.

Laurel odpowiedziała, śmiejąc się dźwięcznie:

– Czekałyśmy na ciebie, Bannonie.

Pozostałe kobiety potwierdziły.

– Chciałyśmy, żebyś tu był.

– Z nami.

Simon miał usta półotwarte z żądy, oczy lśniące, szkliste. Wysunął się naprzód, blokując innych.

– Tak wiele życia, tak wiele nadziei – rzekł. – Pragniemy was. *Ja* was pragnę.

Bannon usiłował do niego dołączyć, ale uczony-archiwista go odepchnął, uniósł ręce. Chyba nie wiedział, co robi.

– Przywróciłyście las! – zawołał. – Zdjęłyście klątwę Życiożercy. To cudowne!

Zielone leśne kobiety wyciągnęły ręce w powitalnym geście.

– Wystarczy, wystarczy dla wszystkich – zapewniła Audrey.

Ich miękkie, stęsknione palce nagle zmieniły się w ostre drewniane szpikulce. Paznokcie się zagięły, stały najostrzejszymi cierniami.

Simon, upojony ciężką, kuszącą wonią, nawet tego nie zauważył. Powieki miał ciężkie, usta rozchylone w uśmiechu. Nawet nie zdążył krzyknąć, kiedy kobiety rozdzierały go na strzępy. Dźgały go szpikulcami palców, rozorywały cierniami-paznokciami. Ponacinały go i odarły ze skóry niczym z kory.

Kilku uczonych cofnęło się z krzykiem. Inni rozpaczali, nie dowierzając.

– Simon! – wykrzyknęła Mia.

Nicci wypowiedziała czar obronny i odrzuciła pozostałych w tył, usuwając

ich z zasięgu rąk morderczych kobiet.

– Laurel, nie! Audrey, Sage! – wołał zrozpaczony Bannon.

O dziwo, kiedy leśne kobiety rzuciły zmaltretowane ciało Simona na jałową ziemię poza obrzeżem rozrastającego się lasu, jego krew okazała się magicznym eliksirem, potężnym życiodajnym czarem. Kiedy czerwone krople wsiąkły w wypaloną glebę, nowe korzenie zaczęły się wić jak dżdżownice. Wykiełkowała trawa, rozwijające się liście paproci utworzyły dywan na znikającym ciełe.

Kiedy kobiety się roześmiały, zabrzmiało to jak szum wiatru wśród gęstych drzew.

Nathan i Bannon dobyli mieczy. Nicci była gotowa użyć magii, gdyby groźne istoty rzuciły się na nich.

– Miejcie się na baczności, atak może nadejść zewsząd.

Lecz akolitki nie wyszły poza skraj lasu.

Nawet Nicci nie spodziewała się tego, co zobaczyli potem. Byliny, liany i kolczaste krzaki gwałtownie wyrastały z krwi w obrysie ciała Simona, lecz w gęściejszym lesie drzewa zaszeleściły i podszycie się cofnęło, jakby wszystko się kłaniało potężnemu władcy. Zabójcze leśne kobiety także z szacunkiem się cofnęły, kiedy z lasu wyłoniła się większa postać: olbrzymka o skórze jak kora, liście i mech; nagie ciało o wielkich kołyszących się piersiach, szerokiej talii i biodrach niczym potężny dąb, o włosach z liści i paproci. W jej twarzy nie pozostał ślad kobiecej życzliwości.

Victoria... lub to, co kiedyś nią było.

Potworna leśna kobieta wznosiła się jak góra nad grupą z Cliffwall. Odezwała się grzmiącym głosem:

– To jest mój las, a wy nie jesteście już tu mile widziani. Ani w tym

świecie. – Wbiła przerażające, pałające oczy w Nicci, która wyzywająco odwzajemniła spojrzenie i nie ustąpiła. Victoria zaś dodała drwiąco: – Bo jestem Panią *Życia!*

Konary zatrzeszczały. Pojawiły się nowe liście i gałęzie. Las gwałtownie się rozrastał.



## ROZDZIAŁ 62

Nicci w żadnych okolicznościach nie lubiła się cofać, lecz obłąkana puszcza była zbyt nieprzewidywalna i z łatwością mogła rozerwać na strzępy uczonych. I Oset.

Odciągnęła dziewczynkę w bezpieczne miejsce, byle dalej od groźnego lasu. Po zabójstwie Simona i pojawieniu się potwornej Victorii uczonych przepełniała rozpacz, ale Nicci krzyknęła, zmuszając ich do działania:

– Cofnąć się!!!

Nathan i Bannon pomogli odsunąć ludzi od skraju morderczej puszczy – zresztą nie trzeba ich było zbyt zachęcać do ucieczki.

Nicci patrzyła gniewnie na rozdęte, przemienione ciało Victorii. Zielone kobiece coś miało w sobie nieokiełznaną, żarłoczną magię, podobną do tej Rolanda – i Victorię, tak jak Rolanda, należało powstrzymać. Nicci podejrzewała, że mogą do tego potrzebować broni jeszcze potężniejszej niż żołędź Pradrzewa.

*A czarodziejka musi ocalić świat.* Może jednak nie zakończyła jeszcze swojej misji.

Kiedy przerażeni uczeni uciekali na płaskowyż, Bannon – choć widział, co trzy młode kobiety zrobiły Simonowi – wypierał świadectwo własnych oczu.

– Słodka Matko Morza, były takie piękne, kochające i miłe. Kochałem je i one mnie kochały.

– Tak cię ukochały, że zapragnęły twojej krwi – stwierdziła Nicci. – Rozerwałyby cię na strzępy, ale Simon zginął za ciebie.

Bannon potrząsnął głową.

– Musimy je ocalić! Oplątało je złe zaklęcie, ale wiem, że mają dobre

serca. Wiem, że możemy je uratować.

Nicci popatrzyła na niego, marszcząc brwi.

– Nie ulegaj płonnym nadziejom, Bannonie Farmerze. Te stwory już nie są kobietami, które znałeś. Z pewnością będziemy musieli je zabić.

Młody człowiek wpatrywał się w nią z ustami otwartymi ze zdumienia.

– Nie, tak nie może być! Choć raz miałem szczęśliwe, niemal idealne życie...

Czarodziej, ze zrozumieniem skinąwszy głową, uściśnął mu ramię.

– Czasem zewnętrzne piękno tylko maskuje wewnętrzną brzydotę.

Kiedy w końcu wspięli się na stok i wrócili do ukrytego archiwum wewnątrz płaskowyżu, Nathan – nie tracąc czasu – poszedł prosto do sal bibliotecznych.

– I znowu musimy poczytać o zniekształconym, nieokiełznanym zaklęciu – stwierdził – żebyśmy mogli je zdjąć.

Nicci prowadziła Oset do ich pokoju.

– Zniszczę ją tak, jak zniszczyłam Życiozercę – zapowiedziała.

Dziewczynka zwiesiła głowę, pociągając nosem.

– Ja tylko chciałam zobaczyć moją odrodzoną dolinę, ale ta puszcza jest prawie tak zła jak Blizna. – Głos jej się załamał, jakby dławili go łyzy.

– Musimy usunąć oba zagrożenia i pomóc dolinie wrócić do normalnego stanu, nie mogą jej dręczyć źli władcy – rzekła Nicci. – Na tym zależy lordowi Rahlowi. – Dotknęła kędziorów dziewczynki, a Oset popatrzyła na nią ufnie. – Właśnie po to tu jesteśmy.

– Wiem – powiedziała dziewczynka.

Nie mając oficjalnego przywódcy, zdesperowani ludzie z Cliffwall

przychodzili po rady do Nathana i Nicci. Stary czarodziej znowu zakopał się w archiwum, pochłaniając wolumin za woluminem, zwój za zwojem, żeby dowiedzieć się, jak stłumić mroczną płodność, którą wyzwoliła „Pani Życia”.

Nieśmiała, oddana Mia trwała u jego boku, błyskawicznie czytając dokumenty, sunąc czubkami palców po liniijkach odręcznie spisanych liter. Potrafiła wyłapać sedno tekstu i wybrać ważne księgi, które jej zdaniem Nathan powinien przeczytać.

Nicci postanowiła szukać informacji bardziej bezpośrednio. Ponieważ mnemonicy przechowywali wiedzę w głowach, przepytowała po kolei ludzi Victorii.

Weszła do jednej z sal nauki, gdzie mnemonicy recytowali swoje lekcje, i stanęła przed nimi, wspierając ręce na biodrach.

– Victoria kazała wam szukać zaklęć płodności, czarów ogrodniczych, a nawet magii wzmagającej działanie, które można by zastosować do błyskawicznego naprawienia szkód w lasach. Ktoś z was musiał sobie przypomnieć mroczne zaklęcie, które wykorzystała. – Przymrużyła oczy, wypatrując nagłego rumieńca lub niespokojnego poruszenia wśród mnemoników. – Ktoś naprowadził ją na inkantacje i magię krwi. Muszę wiedzieć, co to było.

– Victoria chciała ocalić dolinę i nas wszystkich – odezwał się Franklin, mrugając sowimi oczami. – Miała jak najlepsze intencje. Wszyscy chcieliśmy pomóc.

– Najlepsze intencje? – Jej gniewne spojrzenie ich sparaliżowało, jakby była drapieżnikiem gotowym do ataku. – Nigdy nie poznaliście Drugiego Prawa Magii.

Pulchna Gloria, najsumienniejsza mnemoniczka, zmarszczyła brwi. Wargi jej drżały.

– Drugie Prawo Magii? Co to takiego? Jest w archiwum?

– Każdy student nauk magicznych powinien je znać. *Najlepsze intencje powodują największe szkody*. Victoria właśnie to udowodniła. Zamiast spokojnie czekać, aż przyroda odzyska dolinę, wyzwoliła groźną magię, która wymknęła się spod kontroli. Swoimi dobrymi intencjami Victoria może doprowadzić do naszej zagłady, chyba że znajdziemy sposób, żeby ją powstrzymać.

Gloria z trudem przełknęła ślinę.

– Ale jak możemy cofnąć to, co zrobiła?

– Po pierwsze, musimy wiedzieć, jakie czary wykorzystwała, jakie konkretne zaklęcie rzuciła. Czy ktoś z was pomógł jej je znaleźć?

Mnemoniczy wiercili się niespokojnie. Franklin powiedział:

– Liczyła, że ktoś z nas coś sobie przypomni, ale było tyle możliwości i żadnej przekonującej. Chciała, żeby dolina szybciej się zazieleniła.

Nicci rzuciła ostro:

– Wiem, kiedy kłamiecie.

Bali się, że zastosuje jakieś wyjątkowe zaklęcie wykrywające kłamstwo, ale nie musiała tego robić. Widziała nerwowe drgnięcia, odwracane spojrzenia, krople potu na skórze. Powtórzyła głośno, rozkazująco:

– Jakiego zaklęcia użyła Victoria? Mówcie, jaką krwawą magię wykorzystwała, żeby zapoczątkować ten szaleńczy rozrost.

Gloria się załamała.

– To był prastary czar płodności, który mógł obudzić ziemię. W mało znanym języku, nie bardzo wiedzieliśmy, jak go wymawiać czy interpretować.

Nicci się wyprostowała.

– Czyli rzuciła tak straszliwe zaklęcie, nie wiedząc, jak wymawiać słowa?

– Wiedziała – odpowiedział lękliwie Franklin. – Wszyscy wiedzieliśmy. Mnemonicy z pokolenia na pokolenie doskonale zapamiętują.

Nicci mocniej ich przycisnęła.

– Twierdźcie, że *intencją* Victorii było to, co widzieliśmy na Bliźnie, cały ten zabójczy, gwałtowny rozwój?

Mnemonicy byli speszeni. Wreszcie Franklin zebrał się na odwagę i odparł:

– Pamiętamy niektóre czary płodności, ale nie wiemy, jak je neutralizować. Bardzo niewielu pradawnych czarodziejów kiedykolwiek chciało *powstrzymać* życie, rozwój, dostatek.

– Były pewne przeciwstawne zaklęcia – przyznała Gloria – ale mgliście je pamiętamy, bo uznano je za nieważne. Takie detale nie są uznawane za przydatne, a nasi przodkowie i tak mieli wiele do zapamiętania.

– Spiszcie wszystko, co pamiętacie, zapoznam się z tym – poleciła Nicci.

Gloria podeszła do katedry w ich pokoju nauki, na której leżał otwarty tom. Podczas codziennych lekcji akolici często słuchali lektora, zapamiętując linijkę po linijce. Lecz Gloria, zamiast głośno czytać, podniosła gęsie pióro, zanurzyła zaostroszony koniec w kałamarzu i zaczęła zapisywać słowa na kawałku papieru. Przerwała, zamknęła oczy, żeby przypomnieć sobie szczegóły, a potem napisała kolejne wyrazy. Nie odrywała ręki od kartki.

– To zaklęcie, które wykorzystała Victoria. Tak myślę.

Podszedł Franklin i przeczytał zapiski Glorii, w jednym miejscu poprawił interpunkcję, zmienił jedno słowo. Mnemonicy zebrali się wokół nich i sczytywali, kiwając głowami. Kiedy wszyscy zgodzili się co do formuły i tajemniczych słów, podali kartkę Nicci.

Wodziła wzrokiem po zaklęciu, większość słów była dla niej

niezrozumiała.

– Może Nathan lepiej się w tym zorientuje. – Wsunęła kartkę do kieszeni, a potem uniosła palec, napominając mnemoników. – Przetrząsajcie całą zapamiętaną wiedzę. Znajdźcie sposób na naprawienie szkód, jakich narobiła Victoria.

Z okna po drugiej stronie płaskowyżu Nicci patrzyła poprzez umęczoną dolinę tam, gdzie szkarłatny zachód słońca barwił niebo jak krew ofiar, którą przelała Victoria. Dała Nathanowi zaklęcie, a on przeczytał je najpierw niecierpliwie, a potem z troską.

– Kropka w kropkę tak, jak przewidywałem. A nawet gorzej. Przywołana moc pochodzi z języka starszego niż górnod'harański. Trudno będzie nam znaleźć magię tak potężną, by to odwrócić.

– Richard nie wysłał nas po to, żebyśmy rozwiązywali proste problemy – stwierdziła Nicci.

– Oczywiście. Po prostu chciałem, żebyś doceniła powagę wyzwania.

Czerwono-złote promienie padły na rozległą dolinę, a Nicci skupiła uwagę na rozbuchanym lesie w jej centrum, na pierwotnej puszczy połyskującej chorobliwą zielenią.

Dołączył do nich Bannon, również przyciągnięty tym widokiem. Patrzył z żalosną miną.

– Najpierw wysysano ze świata całe życie, a teraz mamy niepowstrzymaną *powódź* życia. Jak sobie z tym poradzimy?

– Znajdziemy sposób – odpowiedziała Nicci. – A wtedy osobiście zniszczę kobietę, która sama siebie nazywa Panią Życia.

– I ja chcę coś zrobić – rzekł Bannon. – Ty i Nathan możecie przeglądać księgi, szukając rozwiązania. Znać się na magii i potraficie czytać

w tajemniczych językach, a ja tylko czekam i czuję się bezużyteczny. Jak wtedy, kiedy czekaliśmy na broń przeciwko Życiożercy – westchnął sfrustrowany. – Sama przyznałaś, czarodziejko, że *potrafię* być użyteczny. Czy jest coś, co mógłbym zrobić?

– Pomóż rolnikom zebrać plony. Oporządź stada, zajmij się sadami – zaproponowała. – Wyucz się jakiegoś zawodu, może stolarki.

Rozgniewał się.

– Nie to miałem na myśli! Musi być jakiś sposób, żeby ocalić Audrey, Laurel i Sage! – Zmarszczył się w bezradności. – Kocham je.

– A one są głodne ciebie. Pamiętaj, co zrobiły Simonowi.

Miał zawziętą minę.

– Musimy zrozumieć, co się tam dzieje, czarodziejko. Wiesz, że umiem dać sobie radę. Zamierzam pójść na zwiady. Wrócę i opowiem wam, co widziałem.

– To głupie ryzyko – zaproponowała Nicci.

– Już kiedyś nazwałaś mnie głupcem! Chcę to zrobić. Nie próbuj mnie powstrzymać!

– Nie mogę cię powstrzymać, Bannonie Farmerze, lecz jeśli zamierzasz się narazić na tak wielkie niebezpieczeństwo, to przynajmniej postaraj się wrócić z cennymi informacjami.

Uniósł głowę, zadowolony, że dłużej się z nim nie sprzeczała.

– Tak zrobię.

Nicci, długo i surowo mu się przyjrzawszy, dodała łagodniej:

– I uważaj na siebie.

## ROZDZIAŁ 63

Taka ilość ksiąg i wiedzy zwykle wprawiała Nathana w radosny nastrój. Tajemnice i opowieści zawarte w miękkich, sfatygowanych woluminach choć trochę mu umiliły wieki niewoli w Pałacu Proroków. W wielkiej bibliotece Sióstr było wiele tomów mówiących o magii, którą Nathan nigdy nie mógł się posłużyć z powodu wplecionych w architekturę pałacu osłon, żeby już nie wspominać o żelaznej obroży Rada'Han. Ale i tak czytanie legend, opowieści i klechd ubarwiało mu nudne życie.

Kiedy lord Rahl doprowadził do przesunięcia się gwiazdy i wszelkie księgi prorocत्व stały się bezużyteczne, zaproponował Nathanowi zachowanie niewielkiej biblioteki – dla rozrywki czy z sentymentu – ale czarodziej szybko uznał, że tak naprawdę nie ma ochoty zakopywać się w starych archiwach. Chciał wyruszyć w świat i żyć na własny rachunek, napisać swoją historię. I właśnie tak zrobił.

Poklepał tajemniczą księgę życia w skórzanej oprawie, którą dostał od wiedźmy. Teraz miał do czytania coś innego. Bardzo ważnego.

Westchnął ze znużeniem, kiedy sumienna Mia przyniosła mu nową stertę ksiąg.

– Nie mam pojęcia, co zawierają, czarodzieju, ale wyglądają interesująco.  
– Od razu przeszła do rzeczy, pokazując mu na chybił trafił wybrany tom. Wiele spośród tych ksiąg wyglądało na zalane wodą, były też porysowane i ponaddzierane. – Gdzieś w naszym archiwum znajdziemy sposób na powstrzymanie Victorii. W Cliffwall są wszelkie odpowiedzi, trzeba tylko umieć je znaleźć.

Nathan się roześmiał.



– Sugerujesz, że pradawni czarodzieje z czasów Baraccusa i Merritta wiedzieli wszystko?

*Kobieta zmarszczyła czoło, jakby podał w wątpliwość jej powód do życia.*

– *Ależ oczywiście! To jest Cliffwall.* Umieszczono tutaj dla bezpieczeństwa całą wiedzę. *Całą.*

Musnął palcami brodę i spojrzał pobłaźliwie na Mię.

– Cieszy mnie, że masz takie zaufanie do starożytnych.

Mia skinęła głową.

– Byli o wiele potężniejsi niż ktokolwiek z dziś żyjących.

– To dlaczego im się nie powiodło, skoro mieli całą tę wiedzę?

Odpowiedziała surowym spojrzeniem.

– To, że wiedza istnieje, nie oznacza, że ludzie potrafią z niej korzystać.

– Chciałbym mieć twoją ufność, młoda damo.

Przewrócił okładkę książki, którą wybrał. Zachmurzył się, widząc, że stronicy są pomarszczone i napęczniałe, jakby nasiąkły wodą i niewłaściwie je wysuszono. Niektóre strony były podarte, atrament rozmazany, tekst nieczytelny. Starł kurz z okładki kolejnej książki ze stosu.

– Skąd one są? Wygrzebałaś je z jakiejś dziury?

Mia się spieszyła.

– Kiedy czarodziejka otworzyła zapieczętowane podziemia pod uszkodzoną wieżą, nasi robotnicy kilofami i dłutami przebili się do innych pomieszczeń. Niektóre spośród tych książek były częściowo wtopione w ściany, inne zakopane pod gruzem. Nikt ich jeszcze nie oglądał, ale chciałam, żebyś od razu je zobaczył. Na wypadek, gdyby były ważne.

Wziął trzecią książkę, próbując odcyfrować wytłoczone na okładce symbole.

– Sądziłem, że w uszkodzonej wieży znajdowały się tylko księgi prorocत्व. Wątpię, żeby się przydały.

– Nie. Sekcje prorocत्व były na wyższych poziomach. W ostatnich dniach budowy Cliffwall pradawni czarodzieje w panice kończyli pracę, bo zbliżały się wojska imperatora Sulachana. Na samym dole zgromadzono dostawy z ostatniej chwili. Nikt tych ksiąg nie widział prócz ciebie, czarodzieju.

– Jestem zachwycony, moja droga. – Poklepał stojące obok puste krzesło.  
– Pomożesz mi czytać? Mam tylko dwoje oczu, a razem możemy czytać dwa razy szybciej.

Mia się rozpromieniła.

– Z przyjemnością. – Usiadła obok niego, na chybił trafił wybrała księgę i zaczęła odczytywać rozmazane i wyblakłe litery.

Głęboko w odrodzonym lesie – będącym jej sercem i duszą – Victoria czuła, jak pulsuje w niej magia na nowo obudzonego życia... a zatem także we wszystkim, co stworzyła; pleniące się życie, które wyłoniło się z martwej gleby. Umęczona Blizna wywoływała w niej takie cierpienie jak martwo urodzone dziecko, którego tak pragnęli z Bertramem.

Lecz w odróżnieniu od krwawych i bolesnych poronień Victoria miała teraz moc, której zawsze pożądała: kobiecą moc tworzenia i wykarmienia życia. Dowodem była bujna puszcza, którą stworzyła. Las rozrastał się w szaleńczym tempie, ale Victoria nie chciała tego kontrolować, wcale a wcale. Chciała, żeby wypełnił dolinę, przetoczył się przez góry i zajął cały kontynent – nieskazitelny, pierwotny, niepowstrzymany.

Życie zatriumfuje nad śmiercią. Żadne wysiłki nie zdołają zniszczyć jej niepodważalnej wiktorii. „Victoria” – to jej imię. Była Victorią. Panią Życia. Miała w sobie moc dorównującą mocy samego Stwórcy.

Kiedy rozmyślała nad swoją nową rolą, wokół jej ciała wyrósł gąszcz. Kolczaste liany i kwiaty wydzielaly mocną, upajającą woń. Drzewa rosły tak szybko, nabrzmiwały, pękały, padały. W rozłupanych pniach roilo się od robaków i pędraków; rozrastały się tam grzyby i pleśń, przerabiałały zwalone drzewo na próchnicę, stającą się nawozem dla nowego życia.

I jego nowej fali.

Jej akolitki, mające taką samą moc płodności, ruszyły pojedynczo przez pierwotny las. Były teraz opiekunkami przebudzonego życia, doglądały drzew, owadów, ptaków – i nie tylko. Victoria się o to postara. Świat znowu będzie nieskażony.

Jako Pani Życia nigdy nie zadowolili się samym przywróceniem tej doliny do poprzedniego stanu – eksploatowanej ziemi ze zniewolonymi stadami i wytyczonymi pod sznurek polami. Rozumiała teraz, jaka była jej prawdziwa rola w świecie. Wiodły ku temu pokolenia mnemoników i zachowana przez nich starożytna wiedza. Victoria nie poprzestanie na zapamiętywaniu dla zapamiętywania; odnajdzie te narysy potężnych zaklęć, mapy magii, które pozwolą jej zrobić to, co konieczne.

Jej nadnaturalne ciało rozkwitało, wypustki jej lasu zajmowały wyjąłowane tereny, jej umysł zaś odblokował więcej tego, co zapamiętała, ujawnił ezoteryczną i śmiercionośną magię, którą mogła wykorzystać.

Czarodzieje Nathan i Nicci szukali sposobu na zniszczenie Życiożercy i Victoria nie wątpiła, że z równą determinacją przykładają się do wyeliminowania *jej* – a ona na to nie pozwoli. Czula moc życia, moc Stwórcy i wiedziała, że jest silniejsza od każdej magii, jaką tych dwoje może ją zaatakować.

Mimo to nie lekceważyła ich możliwości.

Chociaż Nicci przypisywała sobie zasługę zabicia Życiożercy, Victoria

wiedziała, że tak naprawdę owo zwycięstwo należy do żołędzia Pradrzewa. Jednak czarodziejka bez wątpienia miała potężną moc, a Victoria nie chciała, żeby jej przeszkodzono w świętym dziele. Już wiedziała, że Nicci to zmora, która wtyka nos tam, gdzie nie trzeba.

Chociaż Nathan Rahl miał minimalną – a może nawet urojoną – umiejętność korzystania z magii, to był człowiekiem wielkiej wiedzy i doświadczenia, a tym samym i on stanowił dla niej zagrożenie. Coś z nim było nie tak i Victoria także jemu nie zamierzała ufać.

Obydwoje należy unieszkodliwić.

Wokół niej pienił się gąszcz, drzewa, liany i grzyby niczym musujący źródł życia. Brzęczenie much, pszczoł i żuków brzmiało jak kołysanka. Jej wiedza i moc przybierały na sile i Victoria przypomniła sobie zapomniane metody i inkantacje, które pradawni czarodzieje zamknęli za kamuflującą osłoną, zachowując je na tysiąclecia w pamięci mnemoników.

Dzięki tej wiedzy Victoria pojęła, jak stworzyć broń do pozbycia się Nicci i Nathana, może potężną na tyle, żeby kamień po kamieniu rozwalić Cliffwall. Nawet nie musiała się ruszać, żeby aktywować tę magię, bo *była* lasem, każdym w nim poruszeniem, wszystkimi liśćmi i konarami, skrzydełkami owadów, trzepotem ptaków. Wszystko należało do niej, było jej częścią.

Uwolniła magię, żeby stworzyć swojego emisariusza, asasyna, przejaw pierwotnej mocy lasu – *shaksisa*. *Shaksis* był tworem uczynionym wyłącznie z elementów lasu.

Myślą i magią Victoria zgromadziła złamane gałęzie, sękate patyki, by posłużyły jako kości i szkielet. Splotła je, tworząc drewnianą konstrukcję, wokół której błyskawicznie owinęła żdźbła, suche liście, leśną ściółkę i cierniste gałązki. Grzyby nabrzmiały, tworząc mięśnie.

Przyzwała armię robaków, żuków, czerwi i innych pełzających stworzeń, żeby rozdać ciało stwora. Kiedy magiczny konstrukt rozłożył ramiona i zrobił parę ostrożnych kroków, cała jego postać kipiała życiem.

Dwa opalizujące żuki, każdy wielkości pięści, przydreptały i dostały się do wnętrza potwora. Jego okrągła głowa była uwita z gałązek i giętkich wierzbowych witek, odartych z kory, przeplatanych suchą trawą. Dwie dziury powstały w twarzy i żuki umościły się w oczodołach, by służyć jako oczy. Rozszczepiona gałąź w dolnej części twarzy imitowała usta. Kłapały i żuły, drzazgi tarły o siebie.

Jasnozielone liany owinęły się wokół jego nóg, wnikając w ciało niczym naczynia krwionośne pełne soków. *Shaksis* trzeszczał, idąc. Zginał i rozprostowywał ostre palce, żuki w jego oczodołach zaś patrzyły fasetkowanym, złym wzrokiem.

*Shaksis* był marionetką Victorii, jej wysłannikiem, zabójcą, pozbawionym duszy stworem – wypustką pierwotnego lasu.

Victoria uśmiechnęła się serdecznie, miło, po matczynemu. Musnęła chropowatą pierś, czując życie, które tam włożyła, nowe dziecko, które stworzyła. W pustym umyśle umieściła szczegóły misji – podobizny blond czarodziejki i pretensjonalnego starca z prostymi siwymi włosami.

– Znajdź ich i zabij – nakazała. – Idź z moim błogosławieństwem.

Ożywiony stwór się odwrócił i – szeleszcząc kruchymi kończynami – wymaszerował z lasu w stronę Cliffwall.

## ROZDZIAŁ 64

Bannon, idąc przez narastający mrok, czuł się dzielny i ważny. Po wszystkich ciężkich przejściach już nie uciekał od przeszłości, nie udawał, że mroczne wspomnienia nie istnieją. Nie był już Bannodem, synem zgorzkniałego mężczyzny, który w pijackim upojeniu pastwił się nad rodziną, utopił kocięta i pobił na śmierć własną żonę. Nie, Bannon nie był już zdominowany przez ojca.

Dumnie kroczył w księżycową noc, przez wciąż jeszcze wymarłe pogórze, na swoją zwiadowczą wyprawę. Trawy i skarłate drzewa były suche i łamliwe, ale nie czuł już jadu Życiożercy sączącego się ze stoków wzgórz. Bardziej przypominało to zwykły krajobraz po długiej zimie – nie umarły, lecz śpiący, czekający na przebudzenie przez wiosnę. Teraz, kiedy pokonano złego czarodzieja, nasiona wykiełkują, wyrosną roślinki, powrócą łąki i lasy.

Lecz Victoria była zbyt niecierpliwa, by pozwolić na ten naturalny proces. Bannon, z mdlącym uciskiem w dołku rozmyślał o szkodach, jakich narobiła tym swoim zaklęciem płodności. Zamiast pozwolić, żeby Blizna budziła się we własnym tempie, Victoria chlusnęła lodowatą wodą w twarz poważnie chorego.

Zgrzytał zębami, kierując się ku granicy rozrastającej się puszczy. Przystanął przy oświetlonym księżycem głazie, żeby odpocząć, i sięgnął po bukłak, by się napić. Nasłuchiwał w gwiaździstej ciemności. Czuł pulsującą moc rozrastającego się lasu i słyszał związane z tym dźwięki: trzaski wyciągających się gałęzi, powiększających się pni, szelest wijących się lian, szmer liści. Wszystko to razem brzmiało jak szatański śmiech.

Przeszył go dreszcz. Wiedział, że Audrey, Laurel i Sage były w tej

gęstwie rozszalałej roślinności, skażonej przez magię Victorii, która wymknęła się spod kontroli. Tęsknił za nimi. Pamiętał ich dotyk, pocałunki, śmiech. Uśmiechnął się na myśl o ich ciepłym oddechu w jego uszach, o tym, jak lubił głaskać ich włosy, pieścić ciała. Nie mogły odejść! Były piękne, wspaniałe, urocze.

Zwalczył falę mdłości, przypominając sobie, co zrobiły Simonowi. Gdyby uczony-archiwista go nie odepchnął, bo tak mu było do nich spieszo, to *on* zostałby rozerwany na strzępy, to jego krew zrosiłaby glebę, zasilając ich ohydłą magię.

Mocno ucisnął oczy kłykciami, pragnąc, żeby to wspomnienie okazało się koszmarnym snem... ale było prawdziwe, tak samo jak zabójstwo jego mamy i to, że zostawił Iana na pastwę handlarzy niewolników. Musiał przyznać, że to wspomnienie nigdy nie zniknie.

Poczuł, jak jeżą mu się włoski na karku, i odsunął się od głazu, niespokojny, wachając powietrze. Odwrócił się gwałtownie i spojrzął w górę – Mrra siedziała na głazie, piaskowozłota w blasku księżyca. Wielka kocica wydała pomruk, ale Bannon nie czuł się zagrożony. Pantera go znała, chyba nawet pojmowała, że to on błagał Nicci, żeby uleczyła jej rany i jej nie zabijała.

Mrra siedziała sobie, obserwując noc. Kiedy Bannon przyglądał się potężnej płowej panterze i paskudnym symbolom wypalonym na jej skórze, już nie przypominały mu się utopione kocięta. Był zadowolony, że ją uratował i że – w pewnym sensie – zarazem uratował część siebie. Tamte martwe kociaki były symbolem smutku i poczucia winy. Naprawiacz znalazł w nim to bolesne przeżycie i umieścił je na czele jego wspomnień, skazując go na wieczne męki.

Uciekając z Chiriyi, kierował się nie tylko chęcią przygód, ale i instynktem samozachowawczym. Potem, dołączając do Nathana i Nicci,

znalazł wszystko, o czym mógłby marzyć. Nie tylko ekscytujące przygody, ale i przyjaźń, akceptację, wewnętrzną siłę.

Uświadomił sobie, że zwodził siebie wizjami idealnego życia; że o wiele przewyższało je to, co go spotkało, gdy wyruszył w świat. Przede wszystkim wspominał spojrzenie pełne szacunku i uznania, jakie posłała mu Nicci, kiedy pomógł jej zabić Życiożercę. Zaryzykował życie, dał z siebie wszystko i wspólnie odnieśli zwycięstwo. Nie sądził, by jego życie mogło być wspanialsze niż w tamtej chwili. Takie myśli łagodziły ponure wspomnienia złych rzeczy, jakie mu się przytrafiły.

Mrra machnęła ogonem i zniknęła w nocy jak cień księżyca. Bannon napił się jeszcze wody i ruszył naprzód, wciąż wbrew wszystkiemu mając nadzieję, że uratuje młode akolitki, które skradły mu serce. Chociaż obawiał się, że może już być za późno.

Księżyc zaszedł i noc wstrzymała oddech, czekając na świt. Kiedy Bannon wreszcie dotarł na skraj rozrastającej się puszczy, granica była ostra: pustkowie po jednej stronie, szaleństwo listowia po drugiej. Czuł woń liści i żywicznego drewna, mocne zapachy dzikich roślin.

Unosząc miecz, stał naprzeciwko pierwotnej puszczy, mając nadzieję, że nie będzie musiał do niej wejść. Kołyszące się gałęzie i poskręcane, spazmatycznie drgające liany budziły w nim lęk, ale zebrał się na odwagę. Wziął głęboki wdech i zawołał:

– Przyszedłem do was! – Chciał krzyknąć, ale wydał zaledwie cichy szept. Głos mu się załamał.

Rośliny wiły się i zwijały. Kiedy jego źrenice rozszerzyły się ze strachu, dostrzegł w blasku gwiazd inne poruszenia, usłyszał szelest odmienny niż dźwięki frenetycznie rosnących roślin. Usłyszały go.



Urodziwe kobiece postaci przesuwały się pomiędzy pniami, gałęziami i falującymi lianami. Ich cętkowana skóra stanowiła wspaniały kamuflaż, ale i tak widział ich piękne ciała, tak dobrze mu znane.

– Przyszedłem was uratować – powiedział.

Chociaż młode kobiety były dogłębnie przeobrażone, wciąż rozpoznawał Audrey, Laurel i Sage. Oddech miał gorący, puls przyspieszony. Widział, do czego są zdolne te leśne istoty, i wiedział, że teraz są potworami... ale wciąż ich pragnął. Ich zapach przesycił powietrze, sprawiał, że kręciło mu się w głowie.

– Chodźcie ze mną – błagał. – Możemy wrócić do Cliffwall. Znajdziemy zaklęcie, które was odczaruje. Nie chciałybyście być ze mną?

Zaśmiały się unisono, melodyjny dźwięk zakołysał gałęziami.

– Nie bądź głupi – powiedziała istota będąca kiedyś Sage. – Teraz jesteśmy czymś więcej. A może ty byś poszedł z nami? Tylko pomyśl, ile rozkoszy mogłybyśmy ci dać dzięki nowym umiejętnościom.

Bannon ledwo mógł oddychać. Wzrok mu się zmącił. Dziewczęta wydawały się jeszcze bardziej urocze, niż pamiętał, bardziej niż inne, jakie w życiu widział, od każdej kobiety, którą potrafiłby sobie wymarzyć. Coś w ich zapachu...

Nagle wyrosły wokół nich kwiaty, kępy purpurowych kwiatów, które z drzeniem rozpoznał. Śmiertunki! Zapach przyprawiał go o zawrót głowy i gdzieś w głębi umysłu wiedział, że Nicci musiała się mylić co do tych kwiatów, a jeśli nie, to z pewnością była to najpiękniejsza, najwspanialsza trucizna na świecie!

Z własnej woli zrobił krok naprzód. Kobiety wyciągnęły szmaragdowe ramiona, wydzielając mgiełkę upajających woni. Wokół nich rozkwitały śmiertunki.

Bannonowi napłynęły do oczu łzy, tak bardzo ich *pragnął*. Pamiętał, jakie były wspaniałe, słodkie i kochające, jakie niewinne, a mimo to doświadczone, kiedy się z nim kochały.

– Możemy być razem – powiedział – gdybyście tylko...

Laurel mu przerwała:

– Tak, możemy być razem. Zawsze.

– Teraz pragniemy cię bardziej niż przedtem – odezwała się Audrey. – Jesteśmy płodniejsze, pożądliwsze.

– Możemy być, czym tylko zechcesz – dodała Sage. – A ty dasz nam wszystko, czego zapagniemy.

Otworzyły ramiona, ich piersi go przyzywały. Ciemnozielone brodawki wyglądały jak pąki kwiatów. Bannon tęsknił do nich, pragnął ich. Zamierzał tu przyjść i się rozmówić, walczyć o nie. Miecz wyślizgiwał mu się z dłoni. Ręce miał tak spocone, że z trudem trzymał rękojeść, mimo rzemiennej oplotki.

– Chodź do nas, Bannonie – poprosiła Laurel.

Dwie pozostałe powtórzyły zachętę.

Nie zdołał się oprzeć. Ustąpił, robiąc krok ku skrajowi puszczy.

Gwałtownie uderzyło w niego futrzaste, warczące stworzenie. Piaskowa pantera zbiła go z nóg i wyrzuciła poza zasięg podstępnych leśnych dziewcząt.

Piękne istoty też warknęły, otworzyły usta, pokazując długie drewniane kły. Ich ramiona się wyciągnęły, oplecione lianami – powrozami mięśni i ścięgien. Sięgnęły po niego palce zakończone haczykowatymi cierniami. Gładką, idealną zieloną skórę ramion pokryły kolce ociekające mlecznym jadem.

Bannona aż zatkało, odtoczył się i próbował złapać oddech. Czar został

złamany. Mrra odbiegła, lecz wróciła, warcząc. Leśne kobiety wyciągały kolczaste ramiona, usiłowały złapać Bannona, zanim im się wymknie.

Instynktownie ciął Niepokonanym, odrąbując ramię Audrey. Upadło na ziemię – skręciło się, wyciągnęło i wypuściło korzenie, które wkopały się głęboko w ziemię, a dłoń wciąż ku niemu sięgała.

Audrey zawyła, uniosła kikut ramienia – i w miejscu cięcia wyrosła nowa kończyna, płatanina lian, mięśni i żył.

Bannon wywijał mieczem, rąbał je, siekał ich postaci. Nie krwawiły czerwienią, wydzielały lepki zielony sok.

– Chciałem was uratować! – zawołał.

Tylko się zaśmiały, odrastając w nowych, powykręcanych kształtach, z dodatkowymi gałęziastymi ramionami, sterczącymi z ich barków i torsów. Ich włosy stały się niesforną płataniną wilgotnych kosmyków.

Pantera cofała się, warcząc na Bannona. On też wycofał się na kamienistą, spustoszoną ziemię, gdzie awatary lasu jeszcze nie mogły pójść. Łypały na niego gniewnie ze swojego zielonego schronienia, a Bannon, szlochając, odwzajemniał spojrzenie. Łzy spływały mu po policzkach.

– Myślałem, że was Kocham.

– Znowu będziesz nasz – zapowiedziały jednym głosem, trzeszczącym jak suche liście w płomieniach. – Na zawsze nasz.

## ROZDZIAŁ 65

Nicci zobaczyła szeroki uśmiech Nathana i natychmiast zrobiła się podejrzliwa.

– Chyba wiem, gdzie znaleźć odpowiedź, czarodziejko! – Stary czarodziej zatrzymał ją w holu, kiedy szła do swojego pokoju, gdzie już spała Oset.

Pozwoliła sobie na przelotną nadzieję.

– Masz pewność co do tego zaklęcia?

Uśmiech Nathana zbladł.

– „Pewność” to nadużywane słowo. Poprzestańmy na tym, że jestem przekonany. Spójrz. – Położył gruby tom na ławie w korytarzu. Odwrócił stronicę, przesunął palcami po linijce archaicznego tekstu. – To zaledwie wskazówka, ale najlepsza, jaką mamy. Już dałaś mi inkantację i narys zaklęcia, które zdaniem mnemoników wykorzystwała Victoria, i to dostarczyło doskonałych parametrów dla kontrzaklęcia lub broni. Poznaliśmy istotę tego, z czym walczymy, lecz nadal nie wiemy, jak działać. – Poklepał poplamioną stronę, na której zapisany maczkiem tekst zlał się, bo atrament się rozpuścił. – To podpowiada nam, gdzie szukać, spis innych ksiąg, które rzucają też więcej światła na sprawę Życiożercy.

– On już nie ma znaczenia – przerwała Nicci. – Zabiłam go.

– Tak, tak, lecz pomyśl o tym, jak są powiązani. Zaklęcie Rolanda zbyt wiele zabrało światu, a teraz Victoria odtworzy za dużo. To wszystko kwestia kontroli, sposobu modulowania przepływu wygłodzonej magii, mocy dawania i brania.

– Jak zawór – mruknęła Nicci, nieświadomie przygryzając dolną wargę. – Życiożerca powiedział, że swoim zaklęciem uwolnił magię, ale strumień był

za silny. Nie potrafił się powstrzymać.

– Victoria też nie potrafi – rzekł Nathan. – Obydwoje stali się nośnikami magii. Kiedy zniszczyłaś Życiożercę, odcięłaś strumień śmierci. Teraz musimy zniszczyć Victorię i odciąć wypływ w przeciwnym kierunku.

– Nie mogę się z tym nie zgodzić – stwierdziła Nicci. Popatrzyła na mijających ich trzech uczonych, spieszących na kolację; minął ich również mężczyzna w średnim wieku, trzymający w dłoniach otwarty tom i czytający po drodze. Podjęła: – Po prostu muszę wiedzieć, jak to zrobić.

Nathan znowu wskazał stronicę.

– W tym spisie wymieniony jest tom, który musimy odnaleźć, i mam powody wierzyć, że został pogrzebany w podziemiach uszkodzonej wieży, gdzie spoczywały inne nieskatalogowane księgi. Jest już bardzo późno, ale jutro możemy spróbować się tam przekopać.

– A wiesz, gdzie szukać? – zapytała Nicci, myśląc o niezbadanym podziemnym labiryncie sal i korytarzy. – Konkretnie?

Nathan się uśmiechnął.

– Mia wie.

*Shaksis*, chociaż zostawił za sobą rozbuchaną płodność pierwotnej puszczy, wciąż wyczuwał kierującą nim moc Pani Życia. Szedł przez spustoszone ziemie na nogach ze splecionych lian i liści, pędzony mrowiem robaków, pajaków i owadów, cały czas czerpiąc energię z daleka.

Całą noc przemierzał spustoszoną Bliznę. Chociaż na kamieniach i poszarpanych wypiętrzonych odpadających od niego kawałki, to odbudował się za pomocą roślinnej tkanki, gdy tylko dotarł do pogórza i wszedł pomiędzy krzaki i splątane trawy. Suche rośliny odżyły, owijając się wokół jego ciała, wzmacniając kończyny, jak pancerz oplatając tors.

Na koniec, w najciemniejszej godzinie przed świtem, stwór stanął przed stromą, urwistą ścianą płaskowyzu. *Shaksis* wiedział, że obie jego ofiary są tam wysoko, w ukrytej enklawie.

Ponieważ Victoria wiedziała wszystko o Cliffwall, *shaksis* przypomniał sobie, jak wspiąć się na stromiznę, wykorzystując uchwyty dla dłoni i ledwo widoczny szlak, który przez tysiąclecia izolował wielkie archiwum. Golem zadarł pustą głowę i wpatrzył się w klif oczami żywych żuków.

Ktoś zwinny wspiąłby się szlakiem, ale *shaksis* nie potrzebował zwinności – miał inną moc. Podniósł rozczapierzone gałęzie rąk i dotknął kamienia. Wezbrało życie i palce urosły. Wyciągnęły się wasy lian i wpiły w skałę jak korzenie czepiającego się kamienistego podłoża, smaganego wiatrem drzewa. *Shaksis* naciągnął gałęziste ramię, uderzył wyżej, przyczepił się wąsami-korzeniami. Potężne drewniane mięśnie jęknęły. Robactwo wypełniające ciało pełzało wokół, dodawało energii.

*Shaksis* podciągnął się w górę.

Drewniana stopa znalazła wgłębienie w skale, zakotwiczyła się tam, a wasy uwolniły pierwszą dłoń i stwór wspiął się wyżej, naciągając się i trzeszcząc. Owady i pędraki wydawały brzęczący dźwięk, ginący w nocnej ciszy.

*Shaksis* się wspinał, patrząc oczami-żukami. W głowie wypełnionej suchymi liśćmi nie miał zbyt dużo miejsca na myśli. Lecz tkwił tam wyraźny obraz Nicci i Nathana.

Jego celów.

Krzyki wyrwały Nicci z głębokiego snu. Stoczyła się z posłania, przyjmując bojową postawę, od razu przytomna i czujna. Na szczęście tej nocy sny nie włączyły jej w umysł piaskowej pantery; wtedy mogłaby nie

ocknąć się w porę.

Oset porzuciła ciepłą baranią skórę na podłodze i odsunęła zasłonę w drzwiach. Na korytarzu, obstawionym półkami z nieposegregowanymi książkami, znowu rozległy się krzyki. Tam, gdzie spali uczeni, regały były zapchane starymi woluminami, stertami zwojów, pergaminami i dokumentami, które zabrali do czytania i jeszcze nie odnieśli na miejsce.

Nathan Rahl, zmęczony poszukiwaniami i palący się do przeczesania rankiem podziemi, pojawił się w wymiętym nocnym stroju. Dobył swego ozdobnego miecza, gotowy do walki, lecz nie znalazł źródła krzyków. Nicci dołączyła do niego.

Wtem zobaczyli idącego ku nim stwora, golema z kolców jeżyn, wikliny i splątanych głógów. Kroczył naprzód, trzeszcząc kończynami, otoczony brzęczeniem owadów.

Jakiś nieszczęsny młody uczoney wyszedł ze swojej izby akurat wtedy, kiedy stwór przechodził. Zareagował na potencjalny cel i zaatakował. W jednej chwili ramię porosło długimi spiczastymi kolcami, zakrzywiło się i przebiło człowieka – ten otworzył usta bez tchu, spazmatycznie chwycił oddech, a na koniec bluznął strumieniem krwi, kiedy długie drewniane kolce dotarły do narządów wewnętrznych. Stwór odrzucił zwłoki na bok.

Jedni przerażeni krzyczeli, inni zamierali w miejscu, jeszcze inni uciekali.

Oset przywarła do Nicci.

– Co to za potwór?

– Myślę, że to *shaksis* – powiedział Nathan. – Zrobiony z leśnych szczątków walających się w podszyciu.

– Czego to chce?! – zawołał jeden z uczonych, przerażony widokiem drgającego na podłodze okrwawionego ciała kolegi.

*Shaksis* człapał naprzód. Otaczające go brzęczenie stało się głośniejsze.

Nicci się domyśliła.

– Victoria go przysłała. Chce nas.

Dwa jaskrawe żuki w oczodołach stwora zwróciły się ku głosowi czarodziejki. Zobaczywszy ją, *shaksis* się ożywił i zaczął ku nim biec korytarzem.

Nicci odwróciła się do napastnika, zasłaniając dziewczynkę. Nathan uniósł miecz. Wystraszeni uczeni schowali się w swoich izbach.

*Shaksis* się zbliżał, wyciągając ręce jak szaleńczo rosnące pnącza. Jego ciało zdawało się roić od niewielkich owadów i pędraków. Ożywiony leśny stwór gnał prosto ku Nathanowi i Nicci.

Czarodziej ciął mieczem *shaksisa*, jak drwał ścinający drzewko. Jedna z drewnianych rąk zatrzeszczała i odpadła, uderzając o kamienną podłogę. Wylazły z niej owady i robaki jak bluzg dziwacznej, skażonej krwi. *Shaksis* cofnął kikut. Owinęły się wokół niego gałązki, liany i trawy – kończyzna odrosła.

Nathan odrąbał drugie ramię, uderzając mieczem jak toporem, a *shaksis* odtworzył je jeszcze szybciej. Odcięte rośliny szamotały się i miotaly, potem wskoczyły na miejsce.

– Tu trzeba czegoś więcej niż miecz, czarodzieju. – Nicci uniosła dłoń i uderzyła w stwora strumieniem powietrza, ale ten się zaparł, wyciągając gałęziste ręce.

Był pusty, upleciony z wikliny i wiatr przenikał go na wskroś. Po podłodze rozbiegły się owady.

– Nie mogę tu uwolnić czarnej błyskawicy ani ognia czarodzieja – powiedziała Nicci. – To by zniszczyło księgi i uwięzionych w korytarzu ludzi.

*Shaksis* skoczył naprzód. Nathan znowu ciął mieczem, głośno stęknąwszy



z wysiłku.

– Ledwo wystarcza miejsca na zamach.

Nicci jeszcze raz uderzyła stwora powietrzną pięścią. Zachwiał się. Księgi spadły z półek, łopocząc stronicami. *Shaksis* w odpowiedzi wyciągnął uwite ręce i złapał następnego uczonego, usiłującego się przekraść w bezpieczne miejsce. Liany i cierniste gałązki owinęły się wokół człowieka, złamały mu kark, a potem rzuciły ciałem o ścianę, przewracając cały regał.

Nicci, starając się zachować kontrolę, przywołała pojedynczą błyskawicę, która trafiła stwora w lewą nogę i roztrzaskała ją, pozbawiając go równowagi. Odbudował się, chociaż tlił się i dymił.

Nicci i Nathan stali ramię przy ramieniu, tworząc barykadę, nie pozwalając stworowi przejść – ale on wcale tego nie chciał. Chciał ich zabić. Z łopotem gałęzi i suchych liści, z brzęczeniem wygłodzonych owadów sięgnął ku jasnym włosom Nicci. Nathan znowu ciął mieczem, odrąbując wyciągające się gałęzie.

Za plecami czarodziejki Oset powiedziała:

– Przyniosę pochodnię i podpalę go.

Odbiegła trochę.

*Shaksis* zareagował na jej ruch i wyciągnął długi bicz kolczastego ramienia. Chociaż Nicci znowu uderzyła go powietrzną pięścią w tors, mordercze wydłużone ramię chwyciło Oset. Ostre palce-kolce przebiły jej chudą nogę, wytoczyły krew. Kopała i wyrywała się.

W Nicci narosła furia. Nie wahała się, nie starała zachować ostrożności w wąskim korytarzu. Monstrum należało powstrzymać. Wyczarowała kulę ognia – zwykłego, bo ogień czarodziejki doprowadziłby do katastrofy – i cisnęła w *shaksisa*.

Płomienie natychmiast wniknęły w tors, pochłaniając szkielet z gałęzi

i suchych roślin. Przypiekane owady pękały albo uciekały. Skwierczące robaki się rozpełzały. Chociaż *shaksis* się palił, to w desperacji sunął z trudem naprzód i wyciągał do Nicci płonące ręce. Odepchnęła go zestalonym powietrzem i cisnęła tym żywym ogniem o ścianę. Zwęglone kawałki leśnego golema wciąż się miały i skręcały, chcąc kogoś złapać.

Twór rozsypał się w rozżarzony popiół, wreszcie martwy. Lecz żar dotknął ciasno upchanych ksiąg i ułożonych w sterty zwojów. Nicci zaatakowała błyskawicznie, co wywołało pęd powietrza, toteż tomiska szybko się zajęły, stronice zwijały się i czerniały. Płomienie szalały wśród regałów, przeskakując z jednego na drugi. Zapaliły się również zasłony w wejściach do prywatnych izb.

Oset, nie zważając na krwawiącą nogę, pobiegła do ich pokoju, zerwała zasłonę w drzwiach i próbowała nią ugasić rozprzestrzeniający się ogień. Nathan robił to samo. Wołali uczonych na pomoc i wszyscy razem starali się opanować szalejący pożar.

Nicci znowu odwołała się do magii powietrza i tłumiała wilgocią większe płomienie. Usunęła też powietrze, żeby zdusić ogień, i wreszcie ledwo się tlił.

Z innych izb i korytarzy nadbiegali uczeni, żeby pomóc w gaszeniu ognia, zanim zdąży dotrzeć do większych bibliotek i podziemi z księgami. Na widok zamordowanego kolegi niektórzy przystawali, wstrzymując oddech i przerywając walkę z żywiołem, lecz inni się przełamywali i zabierali do ratowania ksiąg, zwojów, samej biblioteki.

Jedna z kobiet, pociągając nosem, usiłując zapanować nad szlochem, pochyliła się nad uczonym. Poprawiła jego ciało, głowę i zaczęła zbierać zaplamione krwią księgi, które spadły ze zniszczonego regału.

Kiedy opanowali ogień, Nicci zajęła się Oset. Udo małej bardzo krwawiło. Nie pytając, mocno przycisnęła dłoń do głębokiej rany i użyła magii, żeby

uleczyć dziewczynkę i ukoić ból.

Oset zaśmiała się z ulgą.

– Wiedziałam, że mnie uratujesz.

Czarodziej potrząsnął głową. Twarz miał umazaną sadzą. Wyjął wijącego się pędraka z siwych włosów i zgniół w palcach.

Wtedy – akurat kiedy skończyło się zamieszanie – do Cliffwall wrócił Bannon, zasapany i rozchełstany, udřejczony własnymi przejściami. Z oczami błyszczącymi z ekscytacji przepychał się przez zatłoczony korytarz.

– Właśnie wróciłem. Słodka Matko Morza, nie uwierzycie, jaką miałem noc! – Przesunął dłońmi po rozczochranych rudych włosach i wreszcie zauważył otaczające go zniszczenia i zamieszanie. – Och! Co się tutaj stało?!

## ROZDZIAŁ 66

Atak *shaksisa* ostatecznie rozwiał wątpliwości co do morderczych zamiarów Victorii. Rankiem Nicci, uśmiechając się dziwnie, z satysfakcją skinęła głową.

– To znaczy, że się nas boi.

– I powinna, moja droga – powiedział Nathan, kiedy szli tunelami do uszkodzonej wieży. – Byłbym jednak o wiele spokojniejszy, gdybyśmy znaleźli wolumin zawierający sposób jej zabicia.

– To tam. – Mia prowadziła ich krętymi, klaustrofobicznymi tunelami.

W zakurzonych podziemiach – gdzie uszkodzone stropy niepokojąco się zapadały – Mia powiodła ich do niewielkiego pomieszczenia, którego kamienne ściany spłynęły jak stopiony воск na sterty książek. Młoda, niepozorna uczona z poruszeniem wskazała gruby tom, częściowo wtopiony w skałę. Nie potrafiła ukryć ekscytacji.

– To ta! Widzicie grzbiet? To dokładnie ta księga, której szukamy. Pasuje do wskazówek ze spisu.

Nicci dotknęła księgi, wyczuła, że jest ogromnie stara.

– Trudno ją będzie przeczytać – stwierdziła – skoro stała się częścią ściany.

Nathan szarpnął księgę, ale nie udało mu się jej wyrwać z kamiennej pułapki. Popatrzył na Nicci.

– Mia ma niewielki dar i zachęcałbym ją, żeby spróbowała. Prawdę mówiąc, w innych okolicznościach sam bym to zrobił. – Łypnął gniewnie na księgę. – Lecz z powodu doniosłości sprawy, jak i dlatego, że jesteś, czarodziejko, jedyną osobą kontrolującą magię, czy mogłabyś podzielać na

kamień i wyjąć dla nas ten wolumin?

– Zgoda. W tym przypadku nie wystarczy obstukiwanie. – Nicci powiodła palcami po okładce, dotknęła miejsca wtopienia się stronic w kamień i uwolniła magię. Niewielki strumyk nieco odsunął kamień, ale nie oddzielił woluminu od skalnej oprawy. Bardziej się skoncentrowała, pracując nad rozdzieleniem elementów. – Takie złączenie trudno rozdzielić.

– Nigdy nie unikałaś trudnych spraw – powiedział Nathan. – Potrafisz to zrobić.

– Owszem. Tyle że nie idealnie.

Poruszyła drobiny skały i uwolniła niektóre zablokowane stronice. Kiedy wreszcie wyjęła całą uszkodzoną księgę ze skalnej pułapki, niektóre strony nadal były sztywne i kruche, jakby ostatni czytelnik był niechlujnym murarzem o rękach upapranych zaprawą. Nathan wziął od niej tom i wpatrywał się w słowa, z gorliwą Mią u boku, w migotliwym blasku naręcznego światła.

– To jest to. To pierwotne zaklęcie życia! – Uśmiechnęła się Mia. – Dokładnie tego szukaliśmy.

– Świetnie – orzekła Nicci. – A teraz powiedzcie mi, jak możemy unieszkodliwić Victorię.

Nathan spojrział na nią niespokojnie.

– Drogie duchy, to nie takie proste!

– Nigdy nie jest. Po prostu powiedz mi, co zrobić.

– To wymaga badań. – Nathan i Mia naradzali się nad zniekształconymi słowami na łamliwej stronicy. – A tak, to się wydaje dość jasne. – Popatrzył na Nicci. – Victoria wykorzystała silnie wiążący czar życia płynący wprost z kości świata. To stamtąd Pani Życia czerpie moc i tylko w ten sposób możemy ją powstrzymać. – Podniósł wzrok. – Tylko tak możemy ją odciąć

od niekontrolowanego strumienia magii.

Mia przysunęła księgę bliżej i z zapalem wskazała:

– Niektóre słowa u dołu strony są zamazane, ale odpowiedź jest jasna. –  
Wzięła krótki oddech. – Oto sposób, jak możemy pokonać Victorię.

– Cieszę się, że choć raz mam jasną odpowiedź. – Nicci skrzyżowała ramiona na piersi. – A jakże to broń?

– Wyjątkowy łuk – powiedział Nathan. – Takiego wroga można zniszczyć strzałą, a łucznikiem musi być ktoś niezachwianie panujący nad darem, potężny czarodziej albo czarodziejka.

– Czyli ja – stwierdziła Nicci fakt. – I umiem szyć z łuku.

Czarodziej potrząsnął głową.

– Niestety, to nie takie proste. Zakęcie życia jest powiązane z najpradawniejszymi istotami, z samą strukturą świata. Strzała musi zostać wystrzelona z wyjątkowego łuku – zrobionego z żebra smoka.

Nicci zachłysnęła się pełnym kurzu, stojącym powietrzem nowo otwartych podziemi. Magiczny płomyk nad jej dłonią się zachwiał.

– Z żebra smoka?!

Ekscytacja opadła i Nathan powiedział zatroskany:

– W samej rzeczy. Rozumiem, że to rodzi problemy.

Mia nie kryła rozczarowania.

– Smoki wyginęły.

Lecz Nicci, mając ewentualne rozwiązanie, nie zamierzała tracić nadziei.

– *Niemal* wyginęły.

Uczeni zebrali się w jednej z dużych sal zgromadzeń. W kominku płonął ogień z drewna jadłoszynów, wypełniając pokój przyjemnym żywicznym

aromatem. Nathan pokazał prastary wolumin zainteresowanym badaczom i teraz przerzucali się pomysłami.

– Musimy działać, i to szybko – powiedział czarodziej zdecydowanym głosem. – Myślę, że chciała nas zaskoczyć we śnie, ale może i nas wypróbowała. Kolejny atak z pewnością będzie groźniejszy.

– I jej moc wzrasta z każdym celem terytorium zajmowanym przez tę potworną puszcę – dodała Nicci.

Bannon siedział przy kominku, ostrząc miecz, i rozmyślał. Twarz miał poważną.

– Po tym, co widziałem ostatniej nocy, jestem przekonany, że nie ma innego sposobu. Te biedne dziewczęta... Nie ma dla nich ratunku. Musimy zrobić, co trzeba. Jeżeli nie powstrzymamy tej rozszalałej roślinności, Victoria narobi tyle szkód co Życiożerca.

– Musimy chronić Cliffwall. – Franklin był zaniepokojony. – Powinniśmy odciąć drugą stronę płaskowyżu? Zaślepić okno widokowe? Jak możemy zapobiec temu, by z Blizny coś się tu dostało? Jak *shaksis*.

– Wiemy, że idzie po nas – powiedziała Mia.

Nicci potaknęła.

– Zaślepienie otworów pomoże, ale to tylko chwilowy sposób. Kiedy puszcza Victorii dotrze do płaskowyżu, liany i mocne korzenie drzew rozsądzą ściany. Musimy ją powstrzymać wcześniej. – Powiodła wzrokiem po wszystkich. – Nie obchodzi mnie, że to trudne. Musimy ją zabić.

– I teraz wiemy, jak to zrobić – włączył się Nathan. – Dzięki woluminowi odnalezionemu przez drogą Mię. – Uśmiechnął się do uważnej uczonej. Pozostali uczeni i mnemonicy niepewnie coś mamrotali; po stracie Simona i Victorii obie frakcje, pozbawione liderów, były w rozsypce. – Nasza potężna czarodziejka musi ustrzelić Panią Życia strzałą wypuszczoną z łuku

z żebra smoka – zająknął się. – Musimy tylko znaleźć smoka.

Większość smoków zniknęła przed wieloma laty, zwłaszcza w Starym Świecie, a niszczące zakłęcie Chainfire na jakiś czas wymazało nawet pamięć o nich, ale nadal istniały. Musiały istnieć.

Bannon zaśmiał się smutno.

– Jasne! To proste. A jak tylko znajdziemy smoka, to go zabijemy i wytniemy żebro z jego cielska. – Ciężko przysiadł przy palenisku. – Słodka Matko Morza, nie przypuszczam, żeby to zajęło więcej niż dzień lub dwa. Na co czekamy?

– W ostatnich dniach wojny z Imperialnym Ładem wiedźma Six na wielkim czerwonym smoku atakowała d'harańską armię – powiedziała Nicci. – Smok nazywał się Gregory, lecz teraz jest daleko i nigdy go nie znajdziemy.

Oset zajęła jeden z dużych foteli, podwijając nogi na siedzisku w niezgrabnej, ale dziwnie giętkiej pozie. Zadrwiła z młodego człowieka, drażniąc się z nim jak młodsza siostra.

– Nie musimy szukać i zabijać smoka. Potrzebujemy tylko jego *żebra*.

Nathan przemówił mentorskim tonem:

– Drogie dziecko, smocze żebro pochodzi od smoka. Spodziewasz się, że znajdziemy samo żebro, bez smoka?

Dziewczynka jęknęła z irytacją.

– Chodzi mi o to, że nie musimy znajdować żywego smoka. Potrzebujemy tylko *żebra*. To oznacza, że szukamy smoczego *szkieletu*.

Bannon był rozdrażniony.

– Jasne. To o wiele łatwiejsze. Pewnie wszędzie się walają.

Nicci nagle się przypomniało, jak z Richardem jako zakładnikiem przecinała Midlandy po drodze do Altur'Rang. Natrafili tam na rozkładające



się cielsko smoka.

– Widziałam taki szkielet, ale daleko, w Midlandach.

– Nawet gdybyśmy go odnaleźli, to podróż zajęłaby miesiące, jeśli nie lata – stwierdził Nathan.

Dziewczynka znowu jęknęła.

– To nie tam macie szukać smoczego szkieletu – westchnęła.

– To gdzie twoim zdaniem mamy szukać? – spytał Bannon.

– Dolina Kuloth, oczywiście – odparła, jakby był niedouczoneym podrostkiem. – Wszyscy to wiedzą.

– My nie jesteśmy stąd – wyjaśniła Nicci. – Co to za Dolina Kuloth?

– W moim miasteczku słyszałam opowieści o wielkim cmentarzysku smoków. Dolinie Kuloth. – Powiodła wzrokiem po sali.

Uczeni mruczeli, wyraźnie zatroskani. Jednak niektórzy chyba znali tę opowieść. Spośród mnemoników to Gloria skinęła głową.

– Dolina Kuloth leży daleko – powiedziała Mia. – W górach na północy, to niebezpieczne miejsce. To tam smoki się udają, żeby umrzeć.

Uczeni się naradzali. Franklin przemówił z na wpół zamkniętymi oczami, recytując z pamięci:

– Wszystkie smoki czują instynktowną więź z magiczną Doliną Kuloth. Spoczywają tam kości setek smoków. – Jego głos stał się złowieszczy. – Żaden człowiek stamtąd nie wrócił, żeby opowiedzieć, co widział.

– No to jak spisano tę opowieść? – zapytał Nathan.

Gloria z powagą skinęła głową.

– Ta tajemnica czeka na wyjaśnienie.

Nicci się odezwała:

– Skoro wiecie o tym cmentarzysku smoków, to na pewno znajdziemy

żebro i szybko wrócimy.

Bannon, chociaż zawsze palił się do przygód, tym razem miał wątpliwości.

– To mi wygląda na ściganie zwiewnych tancerzy w mglistą noc.

Ale Nicci usłyszała już wszystko, co chciała usłyszeć.

– Naszą drugą możliwością jest czekanie tutaj, podczas gdy puszcza Victorii będzie się rozrastać, i łudzenie się, że nadleci smok, a my go zabijemy i wytniemy mu żebro.

– Rozumiem. Skoro tak stawiasz sprawę, czarodziejko, to nawet Dolina Kuloth wydaje się miłszą alternatywą – powiedział Nathan.

Oset spojrzała na nią z przejęciem.

– Dolina Kuloth jest prawdziwa. Całe życie słyszałam tę opowieść.

Bannon przewrócił oczami.

– Nie masz dwunastu lat.

Nicci zwróciła się do uczonych:

– Wyszukiwaliście mapy, żeby nam pomóc w naszej podróży. Znaleźliście jakąś, na której jest zaznaczona ta dolina?

– Skoro nikt nie widział cmentarzyska smoków, to jak mogli narysować mapę? – zapytał Bannon.

– Kolejna niewyjaśniona tajemnica – odpowiedział Franklin.

Nicci nie poddawała się zniechęceniu. Pójdzie tym tropem, bo to ich największa szansa.

– Kiedy nas nie będzie, musicie wzmocnić obronność Cliffwall, na wypadek, gdyby Victoria nasłała kolejnych napastników.

Oset zsunęła się z fotela, rozprostowała nogi i stanęła obok Nicci.

– Podróż do Doliny Kuloth potrwa wiele dni – powiedziała Mia – przez

nieznane tereny.

– Robiliśmy już takie rzeczy – stwierdziła Nicci. – Im szybciej wyruszymy, tym szybciej wrócimy. Ze smoczym żebrem.

## ROZDZIAŁ 67

Szkicowa mapa dała im punkt wyjścia do poszukiwań legendarnego cmentarzyska smoków i Nicci z towarzyszami śmiało ruszyła w drogę. Z wypchanymi plecakami, w nowych strojach podróżnych, wędrowali przez odosobnione kaniony, wchodząc na wyżej położone bezludne tereny, coraz dalej od wielkiej doliny.

Oset, pełna energii, prowadziła w tej drodze na północ, ku dalekiemu poszarpanemu pasmu szarych gór, chyba pochodzenia wulkanicznego. Powietrze było czyste, a teren nierówny, co utrudniało ocenę odległości.

– Od tych gór dzieli nas wiele dni – powiedział Nathan – nawet gdybyśmy utrzymywali dobre tempo.

Nicci nie przystanęła.

– No to nie powinniśmy zwalniać.

Czarodziej się zatrzymał, żeby otrzeć czoło. Wyjął białą chusteczkę, którą Mia wstydliwie mu podarowała, zanim wyruszyli, i popatrzył na nią, uśmiechając się z zaciekawieniem.

– Przekonajmy się, czy działa czar tej drogiej dziewczyny. – Otarł twarz i rozpromienił się. – Ach tak, wilgotna i odświeżająca. Zarzekała się, że to zwyczajne, nieszkodliwe zaklęcie, ale widzę, że całkiem skuteczne.

Nicci była przy tym, jak młoda uczona dała Nathanowi tę chustkę. Zapewniała, że dzięki zaklęciu chusteczka zawsze będzie chłodna i wilgotna, żeby ulżyć podróżnikowi.

– Zwyczajne i nieszkodliwe, przyznaję – powiedziała Nicci. – Lecz bez względu na to, jak wielki dar mają ci uczeni, niechętnie patrzę na ich zabawy z magią. Są zupełnie niewyszkoleni. Pomyśl tylko o szkodach, jakie już

spowodowali, nie mając pojęcia, co robią... nadtopiona wieża archiwum, Życiożerca, a teraz Victoria i jej szalona puszcza.

– To tylko chusteczka... – bronił się Nathan.

– I tak to się zaczyna.

Speszony schował chustkę do kieszeni, ale Nicci widziała, że często z niej korzystał w to gorące popołudnie, zwłaszcza na stromym terenie.

Szli cały dzień, robiąc tylko krótkie przerwy, żeby się napić wody i coś zjeść. Wybiegająca naprzód Oset zabiła kilka tłustych jaszczurek, jako dodatek do posiłków; nie dlatego, że potrzebowali żywności, po prostu uwielbiała polować.

Drugiego dnia zostawili za sobą pustynię i teren stał się bardziej lesisty. Wśród falistych wzgórz znaleźli potoki, napełnili więc bukłaki, natrafili też na kępę śliw. Radzi z takiego mnóstwa świeżych owoców, zjedli ich o wiele za dużo, zwłaszcza Bannon. Wieczorem wszystkich bolały brzuchy.

Następnego dnia Nicci wyczuła obecność przyglądającego się im zwierzęcia i uświadomiła sobie, że Mrra szła ich śladem od samej doliny. Mignęła jej płowa sierść wśród niskich drzew w oddali; wielka kocica trzymała się w pobliżu. Nadal związana zaklęciem z Nicci, szła wszędzie za swoją siostrą, lecz zachowywała niezależność.

Nicci cieszyła świadomość, że Mrra jest w pobliżu. Wyczuwała u niej przymus polowania i z wewnętrznym drzeniem poczuła, że Mrra poluje: mocno bijące serce, żelazisty smak krwi, pisk i szarpanie się ofiary.

Kiedy późnym popołudniem dotarli do niewielkiej polany, znaleźli świeże ciało sarny. Brzuch miała rozdarty, wątroba została zjedzona, ale pozostałe mięso było nietknięte. Nathan i Bannon natychmiast się zaniepokoiili, że drapieżnik nadal jest w pobliżu, ale Nicci opadła na kolana przy sarnie.

– Mrra polowała dla nas. Najadła się i zostawiła nam resztę na kolację.

Czarodziej się rozpromienił.

– Drogie duchy, to zupełnie co innego. Posilmy się smacznie.

Nicci szykowała ognisko, Oset i Bannon zaś wspólnie wycinali kawałki sarniny, żeby je upiec nad ogniem. Dziewczynka przyznała, że to smakuje lepiej niż jej jaszczurki. Po uczcie, syci i zadowoleni, ułożyli się do snu na miękkiej trawie. Rankiem zawinęli parę kawałków mięsa w świeże zielone liście i Nicci rzuciła zwyczajny czar konserwujący, żeby zapasy się nie zepsuły. Nieśli je w plecakach.

Przez kilka następnych dni wędrowali przez bezdroża i pokonywali strome wąwozy, wiodące na kolejne nierówne tereny, ale ostre, wulkaniczne góry pozostawały bardzo odległe.

– Nie przypominam sobie, żeby w moich księgach było coś o Dolinie Kuloth – rozwodził się Nathan. Lubił w trakcie marszu rozmawiać z Bannonem, chociaż czarodziejka i Oset też słuchały. – Za to czytałem wiele historii o tym, jak imperator Kurgan podbił południe kontynentu. Generał Utros i jego niezwyciężone wojska wtargnęły na owe tereny i upadało miasto za miastem. Miał wojowników-czarodziejów oraz hordy spisanych na straty żołnierzy. Utros, wyruszając, żeby oblegać wspaniałe miasto Ildakar, wiedział, że będzie musiał się zmierzyć z potężną magią, toteż potrzebował odpowiedniej broni. – Nathan popatrzył na Oset i zniżył głos do dramatycznego szeptu: – Pojmali smoka, *srebrnego* smoka.

Dziewczynka szeroko otworzyła oczy.

– Nigdy nie słyszałem o srebrnym smoku – stwierdził Bannon. – Są jakieś wyjątkowe?

– Wszystkie smoki są wyjątkowe, mój chłopcze, i zawsze były rzadkością. Gniewne czerwone smoki, powściągliwe zielone smoki, mądre szare smoki, złe czarne smoki. Ale generał Utros chciał *srebrnego*.

– Dlaczego? – zapytała mała.

– Bo srebrne smoki są najwaleczniejsze. – Nathan odgonił od twarzy natarczywego białego motyla, który wreszcie poleciał sobie poszukać kwiatów. – Ale niełatwo je poskromić i kontrolować. Wojownikom Utrosa udało się pojmać taką bestię, trzymali ją w łańcuchach. Wojsko zamierzało smoka wypuścić, kiedy dotrą do Ildakaru. Ale pewnej nocy on zerwał więzy i uwolnił się, pożerając najpierw rzemienie, a potem treserów. Mógł po prostu sobie odlecieć, ale postanowił się zemścić. Srebrny potwór spustoszył obóz i zabił setki żołnierzy Żelaznego Kła. Generał Utros ledwo uszedł z życiem, lecz smoczy ogień spalił mu połowę twarzy. Srebrny smok odleciał, zostawiając armię w rozsypce, ale generał nigdy by nie wrócił do imperatora i nie przyznał się do porażki. Parł więc naprzód, mając nadzieję, że znajdzie jakiś sposób na zdobycie Ildakaru. – Nathan opowiadał, kiedy wędrowali przez las, aż dotarli na grzbiet wzgórza, skąd mogli zobaczyć olbrzymie czarne góry – nareszcie bliższe. – Lecz kiedy jego wojska dotarły do Ildakaru, Utros stwierdził, że całe miasto zniknęło. Jedno z największych miast Starego Świata przepadło bez śladu.

– Jak to? Gdzie się podziało? – zapytała dziewczynka.

Czarodziej wzruszył ramionami.

– Nikt nie wie. Legenda liczy sobie piętnaście wieków, więc może być zwykłą bajeczką.

– Miejmy nadzieję, że Dolina Kuloth to coś więcej niż bajeczka – mruknęła Nicci.

Tej nocy spali przy płonącym ognisku, bo chłodny wiatr się wzmógł wśród rzadkich drzew. Nathan wziął pierwszą wartę, a pozostali się położyli. Oset zawinęła się w koc; równie wygodnie było jej w lesie, jak i w kamiennej

izbie w Cliffwall, chociaż brakowało jej miękkiej baranej skóry.

Nicci leżała blisko dziewczynki. Zamknęła oczy i słuchając potrzaskiwania ognia, wyostrzyła wszystkie zmysły, ale w lasach nie wyczuła żadnego bezpośredniego zagrożenia. Jej umysł dotknął piaskowej pantery, a Mrra w oddali też wyczuła tę więź. Wielka kocica potwierdziła, że nic im nie grozi, więc Nicci pozwoliła sobie na głębszy sen.

Jej ciało odpoczywało, sny zaś zaprowadziły ją znowu daleko, do umysłu jej siostry-pantery. Ten teren bardziej Mrze odpowiadał niż zdewastowana Blizna czy niepokojąca pierwotna puszcza. Wzgórza tu były zwyczajne, a ona doświadczała prawdziwej wolności.

Kiedy Mrra biegła przez noc, jej umysł dostrajał się do świata, lecz nie traciła kontaktu z dawnymi wspomnieniami, których doświadczała Nicci. Mrra pamiętała swoje partnerki z *troka*, związane z nią zaklęciem; baraszkowały razem, kłusując się lekko i drapiąc, ale nigdy nie robiąc sobie prawdziwej krzywdy.

Treserzy zmusili je do morderczego treningu. Dzikie piaskowe pantery początkowo się opierały, ale szybko nauczyły się cieszyć walką i zabijaniem. Nicci w swoich snach też doświadczała zapamiętanej radości rozrywania ofiar pazurami – od przerażonych ludzi stawiających słaby opór, po przerażające monstra, stworzone przez magów specjalnie na arenę.

Mrra – z wyrzutem adrenaliny – pamiętała szczególną bestię, z którą wraz z siostrami walczyła na arenie gladiatorów, na oczach wrzeszczących tłumów, domagających się krwi i śmierci – chociaż Mrra nie pojmowała, czyjej krwi tak pragnęli. Magowie pod kierunkiem wodza-czarodzieja przemienili, przekształcili potężnego byka w bojową bestię z czterema ostrymi zakrzywionymi rogami, płaskim opancerzonym łbem, twardymi jak stal kopytami, krzeszącymi iskry na arenie. Monstrualny byk był o wiele masywniejszy niż trzy pantery razem wzięte, lecz *troka* musiały z nim



walczyć. Mrra i jej siostry to rozumiały.

Kiedy potworny byk zaatakował z rozdzierającym uszy rykiem, który bez trudu zagłuszył wrzaski tłumu, piaskowe pantery się rozdzieliły, a każda wiedziała, co robi siostra. Koordynując atak, *troka* okrążyły parskającą bestię.

Byk toczył się naprzód, nabierając rozpędu, i Mrra skoczyła w jedną stronę, a jej siostry zaatakowały od tyłu. Jedna rozorała pazurami lewą stronę zadu, zostawiając na skórze krwawe pręgi. Druga skoczyła bestii do gardła, ale mięśnie monstrum były jak stal i jej kły zostawiły tylko płytkie ślady.

Mrra nie drgnęła, kiedy potwór pędził, zbyt szybki i ciężki, żeby go zatrzymać. Skoczyła do łba, uderzyła pazurami w oczy, ale byk strząsnął ją na ziemię, niemal zmiażdżył. Poczowała, jak pękają jej żebra. Wylała się z niej krew. W jej umyśle eksplodował ból – w tym samym czasie, kiedy obryzgała ją gorąca krew byka tryskająca z głębokich ran.

Poprzez zakłęcie wiążące czuła, jak jej siostry skaczą na grzbiet potwora, zębami i pazurami wyszarpują głębokie rany. Byk je zrzucił, straszliwie rycząc, wzmocnionymi kopytami krzesał iskry i szalał, szukając celu.

Mrra przetoczyła się po piachu, słuchając grzmiących wiwatów, ignorując ból połamanych żeber. *Tego* chcieli od niej treserzy. Po *to* istniała ona i całe *troka*. Trzy pantery, poruszając się jak jedna istota, znowu zaatakowały. Chociaż byk walczył, a one były ranne, wreszcie go powaliły.

Magowie patrzyli z trybun, krzywiąc się z niezadowolenia, że pantery pokonały stworzonego przez nich bojowego potwora.

Mrra i jej siostry rozszarpały magicznego byka na krwawe strzępy. Wnętrznosci zwisały mu z brzucha, ale jak wielka pozbawiona czucia machina dalej stawiał opór, aż zwałił się ze stęknięciem i rozpryskiem ciemnej krwi. Gruby różowy jęzor zwisał z pyska i bestia umarła, charcząc.

Mrra z siostrami stały obok siebie, zakrwawione i obolałe, bijąc ogonami. Podniosły wzrok, czekając, żeby przyszedli po nie treserzy. Mrra – mimo przeszywającego bólu połamanych kości i poranionej skóry – czuła zadowolenie. Dźwięk wydobywający się z jej piersi był raczej pomrukiem niż rykiem, ponieważ zrobiła to, do czego przygotowali ją treserzy.

Zabiła. Pokonała wroga.

Przez ostatnią część nocy, kiedy Nathan zwinął się w kłębek przy ognisku i zasnął, Bannon trzymał wartę. Siedział na zwałonym pniu, z mieczem w pogotowiu, czuwając nad przyjaciółmi i nasłuchując odgłosów lasu.

Nicci spała twardo i śniła. Poruszyła się i wydała niski dźwięk przypominający koci pomruk. Czarodziejka spała tak głęboko, że była bezbronna. Sama im o tym powiedziała i Bannon nie miał zamiaru jej zawieść.

Siedział czujny i strzegł jej, póki Nicci nie obudziła się o świcie.

## ROZDZIAŁ 68

Po wielu dniach trudnej podróży dotarli wreszcie do wulkanicznych gór. Na sypkiej, rdzawobrazowej glebie rosło niewiele roślin, głazy były z porowatego pumeksu podziurawionego kieszonkami powietrznymi. Zastygłą lawę porastały kępy mchów i porostów.

Nathan, stojąc na wysokiej grani, wpatrywał się w zgrubne mapy z Cliffwall, próbując zorientować się w terenie.

– Tędy. Prawie dotarliśmy.

Nikt nie zakwestionował jego definicji słowa „prawie”. Czarodziej otarł czoło specjalną chusteczką od Mii i – odświeżony – ruszył w drogę.

– Liczę, że masz rację – odezwała się Nicci. – I tak już zbyt długo nas nie ma w Cliffwall, a Pani Życia nabiera mocy w dolinie.

Ujrzawszy zapierający dech rozrost roślinności, nie wątpiła, że plaga ta będzie rozprzestrzeniać się szybciej niż spustoszenia Życiożercy. Po raz kolejny musiała powstrzymać wroga, który zagroziłby lordowi Rahlowi, imperium D’Hary, Staremu i Nowemu Światu.

Przebrnęli przez górskie bezdroża i wreszcie dotarli do siodła ponad surową doliną. Leżącą poniżej skalną misę chroniły ostre wulkaniczne barykady i olbrzymie iglice; była jak odgradzona murem domena, otoczona lodowcami i popękkanymi klifami. W zagłębieniu czarnej skały widniały łąty śniegu i częściowo zamarznięte jezioro, otoczone ogromnymi głazami i stożkami zestalonego popiołu.

Nicci instynktownie rozpoznała to miejsce i serce jej powiedziało, że właśnie tu powinni się znaleźć.

– Dolina Kuloth – wyszeptała.

Oset żywiłowo pokazała palcem.

– Spójrzcie! Widzicie kości?

Czarodziejka uważniej się przyjrzała i dostrzegła białe szkielety ogromnych stworzeń – całe mnóstwo – odcinające się od podłoża.

Ostry wiatr zwał Nathanowi na twarz siwe włosy. Czarodziej uśmiechał się z zadowoleniem.

– Smocze kości, w samej rzeczy – powiedział, jakby miał ogromne doświadczenie w takich sprawach.

Bannon zadarł głowę i spojrział w niebo, jakby się spodziewał, że zobaczy kanciastą sylwetkę krążącego smoka.

– Musimy tam zejść – stwierdziła Nicci.

Przystanąła, żeby się przyjrzeć trudnej trasie, ale dziewczynka pobiegła po luźnych kamieniach jak kozica. Kiedy rumowisko się obsuwało, po prostu przeskakiwała na stabilniejszy głaz i dalej schodziła w ponurą misę.

Nicci, nareszcie widząc cel, ruszyła w dół stoku, nie napawając się spektakularnym widokiem. Bannon i Nathan szli tuż za nią. Czarodziej stąpał ostrożnie, a młody człowiek oferował niechcianą pomoc. Mrra została za nimi, na szczycie grani, sylwetka w blasku popołudnia; pantera nie poszła dalej, nie chciała wejść do Doliny Kuloth. Nicci wiedziała, że wielka kocica sama zdecyduje.

Na dnie misy, wśród pokruszonych czarnych skał, natrafili na pierwszy smoczy szkielet. Żebra się zapadły jak odnóża martwego pająka. Czas i pogoda je zniekształciły. Czaszka była pusta, wiele długich kłów wypadło. Oczodoły wpatrywały się w wieczność.

Nathan podszedł do szkieletu, szarpnął żebro.

– Powinniśmy wziąć pierwsze i odejść? – Przesunął kłykciami po kości, wydobywając cichy dźwięk. – Mogłabyś z któregoś zrobić łuk.

Bannon z niedowierzaniem popatrzył na czarodzieja.

– Nie możemy już sobie iść! Powinniśmy wszystko obejrzeć. To zaginione cmentarzysko smoków. Tylko pomyśl o opowieściach!

– Musimy wybrać odpowiednią kość – stwierdziła Nicci. – Chcę sprawdzić rozmiary i sprężystość żeber.

Przemierzali to ponure składowisko, oglądając obfitość żeber, kręgów i czaszek, zalegających w miejscu ostatniego spoczynku smoków.

Czarodziej przystanął przy ogromnym szkielecie, na którym zachowały się fragmenty łuskowatej skóry. Nicci obejrzała wielką czaszkę wielkości wozu razem z wołem. Długie kły były podziurawione, pewnie na skutek starości. Żebra, majestatycznie wygięte, mierzyły dwa razy tyle co ona. Nawet w tych szczątkach wciąż jeszcze wyczuwała moc tkwiącą w tej olbrzymiej istocie. Pojmowała silnie wiążącą magię życia pulsującą w kościach. Tak, łuk zrobiony z takiego żebra miałby dość mocy, żeby złamać zaklęcie płodności rzucone przez Victorię.

– Wygląda na czarnego smoka – powiedział Nathan. Każda hebanowa łuska na kości była wielkości dłoni. – Wielki smok, być może król swoich pobratymców.

Nicci była bardziej pragmatyczna.

– Może i tak, ale to żebro jest o wiele dla mnie za duże. Musimy znaleźć odpowiedniejszy szkielet.

Bannon, obchodząc wypiętrzoną wulkaniczną skałę, przystanął, żeby obejrzeć inny zestaw kości. Nathan podszedł do niego, kiwając głową.

– Popatrz, widzisz niewielką różnicę w kształcie głowy i strukturze kości skrzydła? Sądzę, że to był zielony smok. Zauważyłeś wypukłość rogu na pysku? Po tym można go rozpoznać.

Bannon zmarszczył brwi.

– A nie poznałbyś po kolorze łusek, że to *zielony* smok?

– Owszem, chłopcze. Ale kiedy jesteś tak blisko, to masz o wiele poważniejsze kłopoty niż naukowa klasyfikacja.

Wchodzili w głąb doliny. Po niebie sunęły chmury. Kroczyli wśród szkieletów, całego ich mnóstwa, jakby niegdyś doszło tu do masowego wymierania smoków.

– Ciekaw jestem, kiedy ostatni tu przyleciał. – Bannon pochylił się nad kolejną czaszką, tym razem małą. Pewnie należała do młodego smoka, który padł obok matki. Ale nawet ten młodziak był większy niż koń pociągowy.

Oset pobiegła naprzód rozejrzeć się wśród skał. Zniknęła im z oczu, bo znalazła o wiele więcej kości, pradawne pokolenia smoków.

– Tutaj, czarodziejko! – zawołał Nathan. – Może ten? To srebrny smok, sądząc po kształcie czaszki i kostnych wyrostkach na grzbiecie. Mówiąc metaforycznie, ten mógłby być najlepszy do walki.

Nicci dołączyła do niego i oceniła długość i wygięcie zebra, układając ramiona, jakby trzymała łuk.

– Może się nada.

Podszedł też Bannon z dobytym mieczem.

– Jeśli to tego wybrałaś, czarodziejko, to mogę odrąbać kość. Zrobimy z niej łuk.

Oset wrzasnęła.

Nicci zareagowała błyskawicznie, przeskoczyła nad dziurkowanym wulkanicznym głazem, omijając szkielet. Dotarła na pumeksową wychodnię, z której zobaczyła uciekającą w panice dziewczynkę. Coś się poruszało wśród kamieni – coś ogromnego.

Rozwinęła się para kanciastych skrzydeł, chropawa szara skóra mocno się napięła. Rozległ się syk, węzowata szyja odepchnęła głazy i uniosła się

w chmurze pyłu. Sterty kości zaklekotały i spadły z na wpół zakopanego stwora. To była bestia z fałdem skóry na podgardlu i wąsami opadającymi z zębatach szczęk. Brakowało wielu grafitowych łusek, toteż widać było całe fragmenty pomarszczonej skóry.

Smok – z odgłosem miechów kowalskich – wciągnął powietrze w płuca, załopotał szerokimi skrzydłami i podniósł się. Złote ślepia zapłonęły ogniem. Wydawał się nieprawdopodobnie stary, ale wcale nie słaby.

Rozrzucił rumosz i wzniósł się nad nimi jak góra. Oset się skuliła, dokładnie na linii jego wzroku. Nie miała gdzie uciec.

Bestia przemówiła grzmiącym głosem, który sprawił, że ze stromych ścian doliny stoczyły się głązy:

– Jestem Brom! – Machnął skrzydłami, wywołując wicher. – Jestem strażnikiem. Ostatnim. – Prastary szary smok prychnął, biorąc kolejny wdech, żeby wypełnić swoją przywiedłą, pomarszczoną skórę. – A wy jesteście intruzami.

## ROZDZIAŁ 69

Brom podniósł się ze sterty kości i wulkanicznych głazów, a Oset się wycofywała i rozglądała, szukając schronienia. Nicci skoczyła, by stawić czoło szaremu smokowi, szukając w sobie magii, której mogłaby użyć przeciwko ogromnej bestii, przekonana, że dziewczynka lada chwila zostanie spopielona.

Bannon i Nathan dobyli mieczy i stali w bojowej postawie, jakby mogli przestraszyć lub onieśmielić Broma. Czarodziej wyglądał buńczucznie, za to Bannon był oniemiały i przerażony.

Szary smok wciąż się unosił spośród potrzaskanych szkieletów. Z jego pomarszczonej skóry spadały z łoskotem głazy i kości, sypał się pył. Szeroko rozdziawił paszczę, z której buchnęły iskry i dym.

– Sądziłem, że przyszedł mój kres – zadudnił – ale nadal jestem obrońcą tego miejsca.

Wielkie skrzydła łopotały; cienkie błony były pokryte plamami i odbarwione, a niewielkie pęknięcia sprawiały, że wyglądały na poszarpane. Nicci wątpiła, by bestia mogła jeszcze latać.

Brom bez wątpienia był bardzo wiekowy. Łuski odpadały mu od skóry jak odprute cekiny. Przewyciężając ogromną słabość, ryknął na nich:

– Złodzieje! Muszę strzec kości moich krewniaków.

Kiedy Nathan wyzywająco uniósł swój okazały miecz, wyglądał zabawnie i cherlawo.

– Nie chcemy cię skrzywdzić, smoku, lecz będziemy się bronić.

Zatoczył mieczem wysoki łuk, przecinając powietrze. Bannon poszedł za przykładem mentora, machając Niepokonanym, żeby wystraszyć smoczysko.



Ten odwrócił łeb i zmrużył oczy, jakby miał kłopoty ze wzrokiem.

– Nie przypominacie zabójców smoków, których napotykałem w życiu. Jesteście wężsi. Łatwo będzie was zabić. – Szyja nadęła się jak miechy, kiedy Brom zionął na nich kłębam dymu, żarem i iskrami.

Nicci w samą porę posłała falę wiatru, która odparła smocze wyziewy. Sięgnęła po przerażoną dziewczynkę i odepchnęła ją od Broma.

– Uciekaj! Znajdź kryjówkę!

Szary smok lał ku nim na chwiejnych łapach.

Bannon lekkomyślnie skoczył naprzód i z głośnym wrzaskiem walnął mieczem w przednią łapę Broma. Ostra klinga przecięła luźne łuski i cienką jak pergamin skórę, docierając do kości, jakby gadzia łapa była zwykłym pniakiem.

Brom zaryczał, obficie zionąc ogniem. Machnął ogonem w eksplozji bólu i gniewu, roztrzając kości i głązy. Gwałtownie wysunął do przodu długą szyję, warcząc i wypatrując zmrużonymi ślepiami.

Nicci ciągnęła dziewczynkę, biegnąc i kryjąc się za pumeksowymi wieżami i wielkimi kośćmi. Nawet słaby i niedołężny smok był groźnym przeciwnikiem. Oset, z grzechotem leżących dokoła kości, dotarła do olbrzymiego szkieletu kolejnego czarnego smoka dokładnie wtedy, kiedy Brom znalazł się za nią i Nicci.

Bestia cofnęła łeb i zionęła żarem. Czarodziejka, świadoma, że musi chronić siebie i dziewczynkę, wepchnęła małą do skamieniałej czaszki i wsunęła się tam za nią.

Dym i płomień liznęły czaszkę i Nicci poczuła silną falę uderzeniową, kiedy potężny podmuch zakołysał ich ochronieniem. Oset zwinęła się w kłębek i przywarła do niej, kiedy tak przeczekiwały atak.

Gdy tylko Brom przestał zionąć ogniem, Nicci usłyszała, jak Nathan

krzyczy:

– Powinieneś walczyć z kimś twoich rozmiarów, smoku! – Roześmiał się arogancko. – Lecz skoro nie masz takiego przeciwnika, będziesz musiał bić się z nami. Dzisiaj Bannon i ja zostaniemy pogromcami smoków.

Młody człowiek dodał własny okrzyk, szaleńczo odważny:

– No dalej, ty stare próchno! A może nie masz siły? Może to pora drzemki?

Brom, prychając z urazą, gwałtownie się odwrócił i ruszył, zostawiając za sobą kryjówkę Nicci i dziewczynki. Szary smok z rykiem, który brzmiał raczej jak drżące westchnienie, człapał chwiejnie za Nathanem i Bannonom. Oni zaś skakali tu i tam, tnąc i tłukąc tylne łapy i ogon Broma, kalecząc łuski i skórę. Z ran sączyła się gęsta, ciemna krew.

Brom kłapał szczękami, ale Nathan odbiegł wśród stukotu leżących na ziemi kręgów. Prastary smok-strażnik wydawał się groźny, ale stracił wiele zębów. Był olbrzymi, więc przewracał skalne iglice i przy okazji posłał Bannona na ziemię.

Jak tylko smok się odwrócił, Nicci przycisnęła Oset do wnętrza czaszki.

– Zostań tutaj. Tu jesteś osłonięta, przynajmniej na razie. Będziesz w miarę bezpieczna.

Potem wyszła, żeby osobiście stawić czoło prastaremu smokowi.

– Bądź ostrożna, Nicci! – zawołała za nią mała.

Zwykła magia nie wystarczy na smoka, nawet słabego i niedołęznego, toteż musiała sięgnąć tak po magię subtraktywną, jak i addytywną. Pod szarą powłoką chmur, które zasłoniły niebo nad doliną, grzmot zabrzmiał jak eksplozja. Nicci przyzwała niebiesko-czarne błyskawice. Jednakże dzikie i nieokiełznane. Jedna trafiła w sklepienie żebra leżącego szkieletu, za to dwie inne w Broma, przebijając błonę prawego skrzydła i złobiąc głęboką ciemną

ranę w boku.

Stary smok ryczał, buchając dymem, i rzucał łbem na boki.

– Nie! Jestem strażnikiem. – Szarpnął się ku Nicci, chociaż ledwo widział.

Nicci wyciągnęła przed siebie ręce, zaginając palce. Mogłaby przyzwać kulę ognia czarodzieja i cisnąć w smoka, ale miała inny pomysł. Lepiej wzbudzić ogień *wewnątrz* smoka, spalić go od środka. Mogła znaleźć serce Broma i je rozsadzić.

W dawnych walkach przyzywała żar i gwałtownie podnosiła wewnętrzną temperaturę obiektu, jak to zrobiła z ogromnymi jaszczurkami przy kryjówce Życiożercy. Teraz, szukając umysłem, znalazła serce smoka. Mogła je spopielić.

Stała przed bestią, spokojna i skoncentrowana. Kiedy Brom ruszył na nią, uwolniła magię, wypełniając smocze serce ogniem. Dała pradawnej bestii szybką i litościwą śmierć.

Magiczny płomień rozpalił w sercu Broma biały żar – ale smok wcale się nie zatrzymał.

Prawdę mówiąc, kiedy ogień narastał i szalał w jego piersi, Brom rozkwitł, urósł, napęczniał. Nicci, tracąc kontrolę nad magią, którą wyzwoliła, uświadomiła sobie straszliwą pomyłkę.

Ogień nie spopielili smoczego serca. Był nierozzerwalnie związany z jestestwem takiej istoty. Intensywny żar na nowo rozpalił serce Broma – nie zabił go, ale *odmłodził*, tchnął w smoka nową moc. Błony skrzydeł zaszeleściły i wyzdrowiały. Ogromne gadzie cielsko stało się groźniejsze.

Brom, znowu pełen życia i energii, załopotał skrzydłami, wzbudzając wicher, który odrzucił Nicci do tyłu. Bannon i Nathan się odsunęli, szukając schronienia wśród wulkanicznych głazów.

Szary smok uniósł łeb ku niebu, szeroko rozwarł paszczę i zionął rzeką

jaskrawego buzującego ognia. Kiedy odwrócił ku nim łeb, jego ślepie, wcześniej zamglone wiekiem, zapłonęły złością.

– Sprawiliście, że jestem wystarczająco silny, żeby was pokonać!

## ROZDZIAŁ 70

Kiedy smok zwrócił ku nim spojrzenie znowu bystrych oczu i zionął ogniem, Bannon ukrył się za wysokim pumeksowym głazem, ciągnąc za sobą zaskoczono Nathana. Rycząca rzeka ognia uderzyła w powierzchnię głazu i ją osmaliała.

Kiedy Brom atakował jej towarzyszy, Nicci znowu przyzywała błyskawicę, trzykrotnie silniejszą niż poprzednie – ale teraz grafitowe łuski smoka były niczym gruby pancerz i błyskawica ześliznęła się po jego grzbiecie, nie czyniąc mu szkody. Smok-strażnik, pełen energii, napiął mięśnie łap i skoczył w powietrze, wzbudzając wicher zregenerowanymi skrzydłami.

– To święte miejsce smoków! Jesteście złodziejami!

Plunął ogniem ku Nicci, a ona wyrzuciła ręce w przód, wyczarowując tarczę z powietrza i mgły, która odbiła płomienie. Ale zachwiała się pod tym atakiem, musiała stale wzmacniać osłonę, wkładając w to coraz więcej sił, bo lawina płomieni nie miała końca.

– Hieny cmentarne! – ryczał z nieba Brom. – Musicie umrzeć!

– Nie! – Głos Oset zabrzmiał w chwilowej ciszy pomiędzy rykiem smoka a zionięciem ogniem. – Posłuchaj, Bromie! Nie po to tu jesteśmy.

Nicci gwałtownie się odwróciła i zobaczyła, że chudziutka dziewczynka wdrapała się na olbrzymią czaszkę i machała rękami, żeby przyciągnąć uwagę Broma.

– Przyszliśmy tu, bo musieliśmy. – Była taka drobniutka i bezbronna.

Szary smok zatoczył krąg nad dziewczynką i cofnął węzowatą szyję, szykując się do kolejnego zionięcia ogniem.

– Oset! Schowaj się! – krzyknęła Nicci.

Dziewczynka wydawała się taka słabiutka, a zarazem odważna i bezczelna, że Bannonowi zadrżało serce. Oset stała na wypukłości monstrualnej poczerńiałej czaszki, wyzywająca i rozgniewana.

– Staramy się ocalić świat! Moi przyjaciele i ja długo tu wędrowaliśmy. To ważna sprawa!

Oczy smoka były teraz bystre i rozumne. Ogień, który Nicci wpompowała w jego serce, przywrócił mu pełnię władz umysłowych.

– Jesteś osobliwą istotką, malutka – zadudnił. – Bardzo dzielną i bardzo narwaną.

Oset wsparła dłonie o wąskie biodra w podniszczonej spódnicy.

– Jestem zdecydowana. I mówiono mi, że szare smoki są mądre. – Zerknęła na Nathana, po czym znów wbiła wzrok w Broma. – Powinieneś posłuchać. Nie chcesz wiedzieć, dlaczego tu przyszliśmy? Nie jesteś ciekaw? – Naburmuszyła się i powiedziała, nie czekając na odpowiedź smoka: – Zła kobieta uwolniła magię, która może pochłonąć całą krainę. Wkrótce zniszczy Dolinę Kuloth... i tylko w jeden sposób można ją powstrzymać. Potrzebna nam smocza kość, zebro. – Łypnęła gniewnie na szarego smoka. – Dlatego tu przyszliśmy. Zabijemy cię, jeśli będzie trzeba. *Nie chcemy tego*, ale musimy wziąć to, co nam potrzebne. Próbujemy ocalić świat.

Zaintrygowany Brom poruszył skrzydłami i usadowił wielkie cielsko w rumoszu w pobliżu Oset. Bannon i Nathan wyszli ze swojej kryjówki. Włosy mieli sklejone potem, twarze umazane sadzą i pyłem.

Nicci zatrzymała magię, z trudem się powstrzymując przed ciśnięciem kolejnych błyskawic, choć nie była pewna, czy to by cokolwiek dało. Nadal była osłabiona poprzednim atakiem i wątpiła, czy dałaby radę zabić lub chociaż ogłuszyć odmłodzonego smoka. Uświadomiła sobie, że teraz atak tylko naraziłby Oset na jeszcze większe niebezpieczeństwo. Skoro szare

smoki były najinteligentniejsze ze wszystkich, to może Brom posłucha, zanim znowu zionie ogniem.

Smok się rozsiadł, wyciągając do przodu klinowaty łeb. Puszczając nozdrzami dym i wpatrywał się w zadziorną dziewczynkę. Ta nawet nie drgnęła, chociaż gorący oddech Broma zwiewał do tyłu jej splątane kędzioły.

– Wytłumacz się, malutka.

Dziewczynka, stojąc na czubku osmalonej czaszki i wyciągając się tak, jak tylko mogła, powiedziała:

– Ja chcę jedynie uratować moją krainę. Najpierw Życiożerca zabił moich rodziców, a także ciocię i wujka, zniszczył moje miasteczko i całą dolinę. Ale go pokonaliśmy. Teraz jednak grozi nam jeszcze większe niebezpieczeństwo, czarownica, która wyzwoliła eksplozję życia i zawłaszcza dolinę. Wszystko zniszczy! – krzyknęła rozpaczliwie. – Chciałam zwyczajnego świata. Chciałam, żeby wróciła piękna dolina, o której wszyscy mówili.

Brom parsknął dymem.

– Czarodziejka stworzyła *za dużo* życia? – Uniósł przednią łapę i wielkim pazurem przejechał pomiędzy zębami wielkości ciosów słonia. – Zadziwiające. *Za dużo* życia... – Zwrócił płonące spojrzenie tam, gdzie stali Nicci, Bannon i Nathan, gotowi do walki. Przemówił do nich: – Przybyłem tu, żeby umrzeć, jak czynią wszystkie smoki... ale to było tak dawno. Zostałem strażnikiem, pamiętam ich życie. Teraz wy przywróciliście mi moje. – Szary smok zaśmiał się chrapliwie, z paszczy buchnęły mu iskry i dym. – Chociaż nie sądzę, żebyście mieli taki zamiar. – Znowu odwrócił się do Oset. Pochylił się ku niej, jego łeb był tak blisko, że mogłaby dotknąć łusek paszczy. – Powiedz, odważna drobinko, co to ma wspólnego ze mną?

– Nie z tobą – odparła. – Ale z waszymi kośćmi. Powstrzymać powódź życia możemy tylko w jeden sposób: zabijając złą kobietę z łuku zrobionego

ze smoczego żebra. Dlatego tu przyszliliśmy. Chcieliśmy wziąć tylko jedno!

Nicci ostrożnie zbliżała się do dziewczynki. Chciała móc ją osłonić magiczną tarczą, gdyby Brom się rozgniewał. Powiedziała stanowczym, ale spokojnym tonem:

– Tylko jedno żebro, szlachetny smoku. To wszystko, o co prosimy, i wszystko, czego potrzebujemy.

Bannon rzekł:

– Jest tu mnóstwo kości, smoku. Nie odczujesz braku jednej.

Brom uniósł wielki łeb, poruszył błoniastymi skrzydłami.

– To są szczątki moich pobratymców. Moich przodków.

– Zaklęcie jest bardzo szczególne i potężne – wyjaśnił Nathan. – Nie przyszlibyśmy do Doliny Kuloth, mając inny wybór. Szare smoki są mądre, nieprawdaż? Jeżeli nie powstrzymamy Pani Życia, to fala wybujałej roślinności pokryje cały świat, nawet te wysokie góry.

Brom długo i głęboko się namyślał, puszczając parę.

– Pojmuję, że wam się to wydaje drobnostką, zważywszy na bezlik tych kości, ale ja muszę szanować nasze szczątki i robić to, co przysiągłem robić. Smoki są prawymi stworzeniami – przerwał, przypatrując się im kolejno. – *Ja* jestem prawym stworzeniem.

Teraz oczy z płynnego złota patrzyły na Nicci.

– Muszę jednak wyrazić wdzięczność za to, co dla mnie zrobiłaś, czarodziejko. Ofiarowałaś mi życie. Byłem już bliski końca, miałem stać się ostatnim szkieletem i już żaden smok nie strzegłby Doliny Kuloth. Lecz dzięki ogniewi, który umieściłaś w moim sercu, znowu jestem pełen wigoru i potężny. Dodałaś wieki do mojego życia i mojej misji – sapnął i odprężył się. – Może jedno żebro to niezbyt wysoka cena.



Zmierzch zapadał nad Doliną Kuloth, a olbrzymia bestia obserwowała każdy ich ruch, kiedy przeszukiwali smocze cmentarzysko. Nicci oceniała przydatność różnych zeber. Kiedy znalazła to właściwe, przesunęła palcami po gładkiej powierzchni, lekko je ugięła i sprawdziła, jak sprężynuje.

Nathan przypatrywał się czaszce.

– To szkielet błękitnego smoka. Średnich rozmiarów. Kości wyglądają na nieuszkodzone.

Brom wyrósł nad nimi. Gruba błona na moment przesłoniła złociste ślepia, potem schowała się pod powiekami. Głos miał posępny.

– To nie jakiś tam błękitny smok, tylko Grimney. Byliśmy prawie rówieśnikami, dzieliło nas ledwie stulecie. Zawsze był niespokojnym duchem, poszukiwaczem przygód, chciał latać ponad morzami, dotrzeć na zamarzniete pustkowia. Wznosił się na górskich prądach wstępujących, nierozsądnie ryzykując. – Parsknął dymem. – Pewnego razu runął w gęsty las i tak zaplątał się w gałęzie, że ryczał tam przez wiele dni, zanim zjawiły się inne smoki, żeby go uwolnić. Pomagałem spalić las, żeby Grimney mógł się wydostać. – Brom zakołysał ciężkim łbem. – Innym razem poleciał tak wysoko, że miał nadzieję zakosztować żaru słońca. Długo trwało, zanim wrócił, gwałtownie i chybotliwie opadając. Potem już nigdy nie miał dobrze w głowie. – Szary smok załopotał skrzydłami, a potem złożył je równiutko na grzbiecie. – Myślę, że to stosowny wybór. Weźcie, co wam potrzebne. Grimney by się zgodził.

Nicci po raz ostatni oceniła zebro, żeby upewnić się, że będzie z niego idealny łuk do zabicia Pani Życia. Strumyczkiem magii odcięła kość i ujęła w dłońe długi, wygięty łuk.

– Dziękuję, Bromie.

– Teraz odejdźcie – powiedział smok. – Chociaż cieszy mnie rozmowa, to

naruszam swoje zasady. Weźcie żebro Grimneya i zróbcie, co musicie. Uhonorujcie go: pozwólcie mu przeżyć ostatnią przygodę.

Zrobiło się ciemno, a oni wspinali się po skalnych zboczach, żeby wyjść poza ścianę górskiej misy i spędzić noc poza Doliną Kuloth. Kiedy minęli przełęcz i schodzili w gęstniejącej ciemności, Nicci przystanęła i obejrzała się.

Szary smok stał na grani, rozkładając skrzydła. Zawołał za nimi donośnym, grzmiącym głosem:

– Jestem Strażnikiem Doliny. Nie sądźcie, że się zaprzyjaźniliśmy. Zabiję was, jeżeli kiedykolwiek znowu tu wtargniecie.

Nicci miała nadzieję, że nie będą musieli wrócić.

## ROZDZIAŁ 71

Powrotna podróż do Cliffwall trwała długo, ale teraz znali już teren i trasę. Podczas wędrówki do Doliny Kuloth Nathan naniósł poprawki na stare mapy, zaznaczając ich drogę i opisując ukształtowanie terenu; zaktualizował też swoją księgę życia.

Nicci, chcąc jak najszybciej wrócić do archiwum, narzucała szybkie tempo. Bała się, jakie szkody wyrządziła Victoria, kiedy oni przebywali poza kanionem. Teraz miała broń, żeby zniszczyć Panią Życia. Niosła na ramieniu żebro Grimneya i wyczuwała delikatne mrowienie mocy sprężonej z kością wspaniałej istoty, mocy zakotwiczonej w życiu, powiązanej ze światem.

Zostawiając za sobą wulkaniczne góry i schodząc na stopniowo coraz bardziej otwarty teren, znowu wyczuwała Mrzę, pilnującą ich z oddali. Piaskowa pantera nie chciała wejść na cmentarzysko smoków, ale teraz ich strzegła, wybiegając naprzód, dbając, żeby bezpiecznie wędrowali.

Wiedząc, że nie mają czasu do stracenia, pokonali wiele mil, aż zrobiło się zbyt ciemno, żeby cokolwiek widzieć – a i wtedy Nicci nie miała ochoty się zatrzymać. Zapalała naręczny płomyk, żeby prowadził ich parę godzin dłużej. Spali niewiele i zawsze wyruszali o pierwszym brzasku.

Kiedy wzgórza wreszcie ustąpiły miejsca pustynnemu płaskowyżowi i kanionom z czerwonej skały, w czystym suchym powietrzu dały się wyczuć miazmaty. Nawet z tej odległości Nicci widziała zielonkawą mgiełkę, migoczącą energią pierwotnej puszczy rozrastającej się przez dolinę ku klifom.

Weszli w sieć kanionów i Mrza znowu ich zostawiła, nie chcąc podchodzić zbyt blisko ludzi, ale Nicci wciąż wyczuwała obecność wielkiej

kocicy, obserwującej ich. Przywitani ich farmerzy i robotnicy z leżących na obrzeżu kanionu osiedli i wysłali gońców do Cliffwall. Kiedy dotarli do ogromnej pieczary z głównym archiwum, niespokojni uczeni wylegli im na spotkanie. Zgromadzili się późnym popołudniem, żeby powitać zmęczonych, ale zadowolonych podróżników wędrujących ścieżką w górę stromego klifu.

– Spójrzcie, ma smocze żebro! – zawołała Gloria, machając do nich.

Stojący obok niej Franklin poczuł ulgę. Nieśmiała Mia radośnie powitała Nathana, pomagając mu wspiąć się do pieczary. Za nim szedł Bannon. Paplała o fascynujących i użytecznych księgach, które przeczytała pod jego nieobecność, a czarodziej od serca, po ojcowsku, poklepał ją po plecach.

– Podczas podróży korzystałem z twojej chusteczki, moja droga. Zakłęcie dobrze działało. Była bardzo odświeżająca i wzmacniająca. – Mia pojaśniała z dumy, kiedy wyjął i pokazał jej stale wilgotną, chłodną chustkę. – Znakomity i pożyteczny czar.

Wewnątrz kompleksu archiwum zdeterminowana Nicci poprowadziła ich do głównego holu, gdzie odwiązała żebro i położyła je na pierwszym stole, jaki się jej trafił, odsuwając księgi pozostawione tam przez roztargnionych uczonych.

– Teraz możemy sporządzić broń.

Przesunęła dłonią po gładkiej powierzchni, oglądając ją w blasku magicznych pochodni płonących w holu wejściowym. Otoczyli ją podekscytowani uczeni.

Nicci rozprostowała ramiona i wyjaśniła:

– To żebro błękitnego smoka, który nazywał się Grimney. Zrobię z niego potężny łuk i będę łuczniczką, która powstrzyma Victorię. Mamy szansę skończyć z plagą moim zdaniem gorszą niż Życiożerca. – Dostrzegła w ich oczach nadzieję. – Muszę się przygotować. Poproście myśliwych, żeby

przynieśli mi swoje najlepsze strzały i cięciwy. Wszystko inne zrobię tutaj.

Nathan przecesał palcami siwe włosy, spoglądając na uczonych, a w szczególności na Mię.

– Mieliście jakieś kłopoty, kiedy nas nie było? Czy Victoria i jej rozszalała puszcza atakowały Cliffwall? Następny *shaksis*?

Z ust Franklina potoczyły się słowa, jakby nie mógł ich powstrzymać:

– Wznieśliśmy barykadę na zewnętrznej ścianie płaskowyżu, tak jak nam radziłeś. Dla bezpieczeństwa zasłoniliśmy belkami i deskami otwory w klifie, żeby uniemożliwić kolejne ataki. Staraliśmy się uczynić Cliffwall niezdołym.

– Lecz ta potworna puszcza nadal się rozrasta – dodała Gloria. – Wypełniła dolinę i teraz nawet pogórze tętni życiem. Kolczaste liany dotarły aż do ściany płaskowyżu i wpełzają na klify.

– Ciągłe się rozprzestrzenia – dopowiedział Franklin. – Nie ma dla niej przeszkody.

Mia potaknęła, z troską marszcząc czoło.

– Te wszystkie barykady i belki... myśleliśmy, że nic się przez nie nie przedrze. Ale kiedy magia Victorii ich dotknęła, drewno wróciło do życia! Wypuściło pędy i zaczęło rosnać. Wkrótce pomieszczenie za wnęką widokową zmieniło się w nieprzebyty gąszcz. Próbowaliśmy go wyciąć, ale bez skutku. Za szybko odrastał.

– Kiedy drewno nie zdało egzaminu, ceglami zamurowaliśmy to przejście – powiedział Franklin. – Teraz jest zabezpieczone, chyba że Victoria znajdzie sposób, żeby ożywić kamień.

– To dobre rozwiązanie – stwierdził Bannon.

– Ale *tymczasowe* – odezwała się Nicci, potrząsając głową. – Z czasem pnącza i korzenie przebiją się nawet przez najtwardszy gładz. – Pogładziła

smocze żebro, wyobrażając sobie, jaki zrobi z niego użytek. – Ale nie dam Victorii tyle czasu.

Mia z osmaloną księgą w rękach podeszła do czarodzieja. Stronice były zwinięte i poczerniałe, okładka nadpalona.

– Chciałam ci to pokazać, Nathanie. Uratowaliśmy ten wolumin po pożarze *shaksisa*. Odkładałam księgi i w tej znalazłam odniesienie do łuku ze smoczej kości, więc wiem, że jest istotna dla potrzebnych nam zaklęć. Pomógłbyś mi ją przestudiować? Sprawdzić, czy damy radę odcyfrować słowa, chociaż stronice są uszkodzone? – Pochyliła głowę. – Nie chciałam korzystać z mojego daru, żeby odtworzyć atrament i papier, gdy cię nie było.

– Ależ z przyjemnością będę cię nadzorować, moja droga – powiedział Nathan, odwracając się, żeby pójść za młodą uczoną. – Myślisz, że moglibyśmy dostać herbaty, kiedy będziemy czytać? I coś do jedzenia?

Gloria zawołała, żeby wszystkim dano jeść i pić.

– Gdzie nasza gościnność? Ci ludzie odbyli taką długą podróż! Victoria nigdy by nie... – Przerwała speszona, kiedy dotarło do niej, co powiedziała.

Nicci – chociaż zmęczona i brudna, w obszarpanej czarnej sukni i zdartych butach – nie chciała odpoczywać.

– Muszę się wziąć do roboty. Idę do mojej kwatery robić potrzebny nam łuk.

– Pomogę – oznajmiła Oset, wlokąc się za nią. – Pokaż mi, co mam robić.

Nicci, widząc zapal w jej oczach, wskazała korytarz.

– Chodź ze mną. Do tego potrzebny jest mój dar, ale możesz patrzeć i być gotowa do pomocy, jeśli coś mi przyjdzie na myśl.

Mała chętnie się zgodziła i rażnym krokiem poszła za nią kamiennymi korytarzami do ich wspólnego pokoju.

Nalała wody do miednicy i Nicci się odświeżyła, przecierając wilgotnym

płótnem twarz i zmęczone oczy. Potem wypłukała ściereczkę i podała dziewczynce.

– Teraz ty się szoruj, przynajmniej na tyle, żebym widziała twoją buzię.

– Już ją widziałas.

– Ale chciałabym znowu zobaczyć. Może i jesteś ładną dziewczynką, ale muszę mieć na to dowód.

Oset przekornie się skrzywiła.

– Jeśli nie każesz mi wkładać różowej sukienki...

– Za nic.

Dziewczynka posłusznie umyła całą twarz, mocno trąc.

– Dość czysta?

Nicci się przekonała, że mała miejscami naprawdę doskrobała się do czystej skóry, ale gdzie indziej tylko rozmazała kurz. Woda w miednicy była aż brązowa.

– Dość, jak na razie. Możesz usiąść na owczej skórze i patrzeć, co robię, ale bądź cicho. Muszę się skupić.

Oset postąpiła tak, jakby Nicci zleciła jej ważną misję. Znalazła wygodną pozycję na owczej skórze, podwijając nogi pod siebie. Kiedy jeden ze służących wpadł z herbatą, ciasteczkami i owocami na tacy, dziewczynka obsłużyła Nicci, która z roztargnieniem się posiliła. Za to Oset pochłoneła wszystko, co zostało.

Nicci, trzymając na kolanach długą kość, siedziała na posłaniu i zastanawiała się, jak ukształtować łuk. Przesunęła dłonią po krzywiźnie żebra Grimneya, wyczuła strukturę kości i uwolniła magię, żeby ją przemodelować. Zmiękczyła, a potem utwardziła szpik. Czuła wielką moc już tkwiącą w sztywnym żebrze, ale jeszcze ją wzmocniła.

Pracując powoli i ostrożnie, ukształtowała łuk, a potem poprawiła

krzywiznę, dodała giętkości tam, gdzie było trzeba, wzmocniła szczelinki w strukturze kości, usunęła porowatość. Koncentrowała się, pochłonięta pracą.

Podniosła wzrok i stwierdziła, że Oset głęboko śpi, zwinięta w kłębek. Przyglądała się śpiącej dziewczynce, dostrzegła odprężenie na drobnej buzi, gładkie czoło – teraz czuła się bezpieczna i spokojna.

Nicci wiedziała, że musi zabić Panią Życia, żeby zapewnić małej bezpieczeństwo.

Dziewczynka spała, a Nicci skończyła robotę. Czuła, jak żebro pulsuje energią i gniewem, gotowe do misji. Za życia błękitny smok Grimney pragnął emocji, chciał dokonać wielkich rzeczy. Teraz to się spełni.

Nicci dotykała nowej broni, myśląc o tym, jak zada śmierć złu z pierwotnego lasu.

Zostawiając za sobą innych uczonych, Mia zaprowadziła Nathana do małej, dobrze oświetlonej czytelnicy. Niosła nadpaloną księgę, którą uratowała z pożaru *shaksisa*.

Nathan usiadł i poklepał ławę obok siebie.

– A teraz przestudujmy zapiski, które znalazłaś. Im więcej zrozumiemy, tym większą szansę będzie mieć Nicci. – Wiedział, że nigdy nie będą mogli wrócić do Doliny Kuloth i poprosić szarego smoka o drugie żebro. – Mamy tylko tę jedną próbę.

Siedzieli z Mią w niewielkim pokoju jasno oświetlonym świecami i pochylali się nad poczerńiałymi stronicami księgi.

– Nie wiem, czy to ma znaczenie – powiedziała Mia, wygładzając kartki i wskazując linijki napisane w eklektycznym dialekcie. – Ale wspomina się tu o łuku ze smoczego żebra.



– To nie może być przypadek. Nigdy nie słyszałem, żeby smocze szkielety były szczególnie użyteczne. – Dotknął warg. – Lecz przyznaję, że z pewnością robią wrażenie.

Młoda kobieta skrzywiła się, patrząc na rozmazane pismo i nadpalone strony.

– Nikt wcześniej nie zwrócił uwagi na to zaklęcie, bo szukaliśmy takiego, które zatamuje powódź życia. – Uśmiechnęła się do niego leciutko. – Kiedy wyruszyliście, szukałam takich dokumentów i jeden z uczonych powiedział mi o tej księdze. Szukał leku na impotencję. – Zniżyła głos do konspiracyjnego szeptu: – Niełatwo było wyciągnąć z niego to wyznanie.

– Lek na impotencję? To się łączy z przywróceniem życia – zażartował Nathan. – A jest na to kontrzaklęcie?

– Nie znalazł zaklęcia, o które mu chodziło, toteż postawił księgę na półce w korytarzu, żeby przy okazji odnieść do archiwum. Ale *shaksis* zaatakował, zanim księga wróciła na miejsce, i uznano ją za zaginioną. Niektóre stronicie są uszkodzone, ale gdy zauważyłam tę wzmiankę o łuku ze smoczego zębra, wiedziałam, że zechcesz to zobaczyć. – Wskazała na ciemnobrązowe miejsce na karcie. – Spójrz tutaj.

– Istotnie. Już znamy moc kości, drogie dziewczę. Wzmiankuje o potrzebnej nam broni?

– Tak, o samym łuku i osobie o potężnym darze, która musi być łuczniczką. Ale to tylko część zaklęcia! Tutaj, w tej uszkodzonej części, jest też mowa o wymogach co do *strzały*. Przedtem nie mieliśmy tych informacji.

Zatroskany Nathan zmarszczył brwi, zimny dreszcz przebiegł mu po plecach.

– Jesteś pewna, że i strzała musi być szczególna? Łuk nie udzieli jej potrzebnej magii? Tego nie brałem pod uwagę. Przykre. Co jeszcze musimy

zrobić? – Zmrużył oczy, ale ciemna spalenizna na brzegach zniszczyła atrament. I wiedział, że Nicci z pewnością sprzeciwi się każdej zwłoce. – Zbyt niewyraźne, żeby odczytać.

– Spróbuję to naprawić. – Uśmiechnęła się Mia. – Wynałazłam ten sposób, kiedy studiowałam stare księgi, ale nie chciałam próbować, gdy cię nie było. Nigdy przedtem tego nie robiłam, ale sądzę, że rozumiem tę magię.

Przesunęła palcami po brzegach stron, a potem uwolniła odrobinę swojego daru. Ku zachwytowi Nathana karty zrobiły się znowu białe, a potem jasnobrażowe. Uszkodzona strona się naprawiła, ukazując uprzednio nieczytelne końcówki zdań.

Nathan – zachwycony tym, co zrobiła Mia, i to z taką łatwością! – westchnął.

– Zapomniałem, jak wielu tutejszych ludzi ma dar, chociaż nie są wyszkoleni. – Pociągnął nosem. – I to *ja* niby jestem wielkim czarodziejem i prorokiem.

– To naprawdę proste zaklęcie – spieszyła się Mia. – Nic groźnego.

– Jeśli masz iskrę, to rozpalenie ognia też jest proste. – Potrząsnął głową i skupił się na świeżo odnowionym tekście. – Nieważne. I co tu napisano?

Mia wpatrzyła się w słowa, które właśnie odtworzyła.

– Hm, dwuwiersz odnosi się jedynie do odpowiednio przygotowanej strzały. A ten fragment – postukała palcem – mówi: *tylko jeden rodzaj trucizny jest odpowiedni*.

– Drogie duchy, trucizny? Co to za trucizna? – Nathan jęknął, przestraszony, że czeka ich kolejna długa i trudna wyprawa, zanim będą mogli stawić czoło Victorii. – I gdzie mamy ją znaleźć?

Mia przewróciła kartkę i przejrżeli inne zaklęcia, w tym najskuteczniejsze metody leczenia impotencji, chociaż żeby powstrzymać Victorię,

potrzebowali odmiennej magii.

– W tej linijce mamy odwołanie do księgi z oryginalnym zaklęciem, której w całości nie przeczytaliśmy. Sądziłam, że mamy wszystkie potrzebne nam informacje, ale niektóre stronicie zostały uszkodzone, kiedy księga się wtopiła w kamienną ścianę.

Nathan uśmiechnął się do Mii pokrzepiająco.

– Właśnie wykazałaś swoją biegłość w autorskim zaklęciu odnawiającym. Może odtworzyłybyś i tamte stronicie?

Mia wstała, gotowa zrobić wszystko, o co Nathan poprosi.

– Może mi się uda.

Czarodziej, wciąż zmęczony po podróży, popijał herbatę i rozmyślał, a młoda bibliotekarka pobiegła do archiwum. Wiedziała, gdzie znaleźć to, czego potrzebują, i wkrótce wróciła z uszkodzoną księgą, którą Nicci wydobyła z kamiennej ściany.

Wspólnie przewracali karty, wymazując smugi kurzu maskujące pradawny tekst. Mia, korzystając ze swojego daru, ułożyła dłonie nad stronicami, zamknęła oczy, głęboko się koncentrując, i poruszała palcami nad zakurzonym tekstem. Warstwa pyłu pękała jak zaschnięte błoto i odpadała drobnymi grudkami, odsłaniając uprzednio niewidoczne słowa.

– Myślałem, że przeczytaliśmy całe zaklęcie – powiedział Nathan – ale ten ustęp na następnej stronie... – Nachylił się, żeby go przeczytać.

Mia odświeżyła atrament, zadowolona, że może korzystać z nowo nabytej umiejętności. Kiedy litery stały się ciemne i wyraźne, Nathan odczytał dokładne instrukcje dotyczące przygotowania strzały, która ma zostać wypuszczona z łuku ze smoczego żebra, strzały mającej zabić osobę władającą wymykającym się spod kontroli zaklęciem płodności.

To był klucz do pokonania Pani Życia, trucizna, której potrzebowali, żeby

wykonać zadanie.

– Och, nie – wyszeptał ochryple.

## ROZDZIAŁ 72

Nicci skończyła pracę i uznała łuk z żebra smoka za dzieło sztuki, zabójcze dzieło. Powierzchnia przesyconej magią kości była żyłkowana liniami jasnego złota nierozzerwalnie związanymi ze smokiem, nićmi złączonymi ze światem i samym życiem.

Nie mogła się doczekać, żeby go użyć przeciwko Victorii.

Żyjący na uboczu mieszkańcy Cliffwall często polowali z łukami własnej roboty i najlepsi łucznicy już przynieśli mocne cięciwy z jelit owcy. Na prośbę Nicci dostarczyli też długie strzały z pierzyskiem z kruczych piór, o metalowych grotach wyostrzonych do srebrnego połysku.

Kiedy nałożyła cięciwę na elegancko wygięty łuk, zadźwięczał energią jednej z najwspanialszych istot świata – smoka złączonego ze źródłem życia bijącym w głębi ziemi, prawdopodobnie tym samym źródłem mocy, z którego czerpało Pradrzewo. Łuk wibrował w jej dłoni, jakby duch Grimneya nie mógł się doczekać ostatniej wyprawy.

Nicci była gotowa. Strzały przygotowane.

Wzięła broń i poszła krętymi tunelami do sali zgromadzeń uczonych, głęboko w sercu płaskowyżu. Przekonała się, że jest tam już Nathan, ze zbolałą i pobladłą twarzą. Obok niego stała Mia, wyglądała na przerażoną.

Nicci natychmiast wyczuła coś złego. Zacisnęła dłoń na łuku.

– O co chodzi, czarodzieju? – Nathan otworzył i zamknął usta, jakby nie mógł znaleźć słów. – Mów.

Ostry ton jej głosu wymusił odpowiedź.

– Sam łuk nie wystarczy – powiedział Nathan.

Akurat wtedy wszedł różnym krokiem pełen energii Bannon.

Towarzyszyła mu Oset, jak młodsza siostra, umyta, przebrana i wypoczęta. Oczy chłopaka pałały, bo niecierpliwie oczekiwał zbliżającej się wielkiej rozgrywki. Zdawał się zbyt naiwny, żeby się bać.

– Jestem gotowy walczyć z Victorią! Tak jak wtedy, kiedy razem zniszczyliśmy Życiozercę. Mogę pójść z tobą, czarodziejko?

Nicci tak gwałtownie uniosła dłoń, że zdławiła jego słowa, jakby rzuciła czar uciszający.

Oset szeroko otworzyła miodowo-brązowe oczy. Speszony Bannon rozejrzał się i zobaczył minę Nathana.

– Ccco się stało? O co chodzi?

Nathan przesunął ku nim po blacie stołu podniszczoną księgę.

– Łuk ze smoczego zębra to niezwykle silna broń, a ty w istocie jesteś tą potężną czarodziejką, która może się nią posłużyć. Lecz to tylko część tego, czego żąda magia, żeby zniszczyć Victorię. Jest jeszcze coś... – Z wolna potrząsnął głową. – Cena jest o wiele wyższa. – Otworzył wolumin na stronach, które Mia odtworzyła zaklęciem. Wyprostowanym palcem dotknął słów. – Sama przeczytaj pradawny tekst, czarodziejko. Wyciągnij wnioski – mówił o wiele ciszej. – Słowa są jednoznaczne.

Mia wpatrywała się w wersy, jakby miała nadzieję, że litery się zmieniają. Osunęła się ciężko na krzesło.

Bannon jednak się nie wahał.

– Bez względu na cenę musimy powstrzymać Victorię – wyrwało mu się. – Po tym, co zrobiła tym biednym dziewczętom...

Nathan utkwiał lazuruwe oczy w Nicci i wyjaśniał:

– Żeby zabić Panią Życia, nie tylko musisz użyć łuku ze smoczej kości, ale grot strzały powinien być pokryty odpowiednią trucizną. Taką, która odbierze życiu witalność.

– Jaką trucizną? – zapytała Oset.

Nicci spojrzała na stronicę i czytała słowa, które jednocześnie wymawiał czarodziej.

– *Utrata ukochanej osoby.* – Wzjął głęboki wdech. – Nieważne, jak ostry jest grot strzały, jak silny łuk. Żeby zabić Victorię, należy grot zanurzyć we krwi z serca kogoś, kogo łucznik kocha i kogo zabije. A już ustaliliśmy, że to ty musisz być łuczniczką, czarodziejko.

Bannon i Oset wstrzymali oddech, Mia osunęła się na krzesło, ramiona jej drżały. Nicci poczuła ogarniający ją chłód. Jeszcze raz przeczytała zaklęcie, pojęła, co znaczyło.

– To nie do zaakceptowania.

Zanim zdążyła zareagować, odległy trzask dotarł do sali i zadudnił w korytarzach. Uczni pobiegli sprawdzić, co się stało. Stary bibliotekarz z długą siwą brodą minął ich salę, oczy miał wielkie i przerażone.

– Zewnętrzna ściana! Liany atakują zabezpieczenia płaskowyżu.

Nicci i reszta wyskoczyli z sali i pobiegli korytarzami wśród przelęknionych uczonych ku zewnętrznej ścianie płaskowyżu. Oset ich wyprzedziła, pędząc tam, gdzie spanikowany tłum próbował zabarykadować wyłom uczyniony przez wijące się mordercze rośliny. Ludzie pospiesznie wlekli skrzynie i kamienne bloki z innych pomieszczeń, wszystko, co im wpadło w ręce, żeby zablokować napastników.

Na zewnątrz grube, kolczaste liany z rozrastającej się w szaleńczym tempie pierwotnej puszczy wspięły się po klifie jak armia najeźdźców. Wąsy i czułki wpiły się w pęknięcia w skale, pchając, szarpiąc, przełamując osłonę. Pnącza wdarły się przez zewnętrzne pomieszczenia zabarykadowane kamiennymi blokami. Belki umieszczone tam początkowo przez obrońców rozrosły się w gęste zarośla, które rozsadziły tymczasową barykadę;

pokruszone kamienne bloki leżały rozrzucone w holu. Nieokiełznana roślinność wdarła się do niegdyś niezdobytego kompleksu archiwów.

Mia krzyknęła w rozpacz, widząc atak groźnej roślinności. Oset odskoczyła od chwytnych lian i gałęzi, które wślizgnęły się w korytarz. Wąs drasnął jej skórę, ale go odtrąciła i uciekła poza jego zasięg.

Nathan nie miał przy sobie miecza, lecz Bannon ruszył do ataku, tnąc smagające liany i gałęzie. Jeden z drzewnych wyrostków oddał cios, uderzając go mocno w głowę i ogłuszając. Młody człowiek się zatoczył, kolana się pod nim ugięły.

Nathan przyskoczył, chwycił go i odciągnął w bezpieczne miejsce, zanim liany zdążyły się na niego rzucić. Bannon, krwawiąc z rany na głowie, jęknął i z metalicznym szczękiem upuścił miecz na kamienną podłogę. Nathan odciągnął go jeszcze dalej, żeby obejrzeć ranę.

Mia, z przerażeniem wpatrzona w straszliwą roślinność, nie była dość szybka. Zanim zdążyła uskoczyć, kolczasta liana owinęła się jej wokół szyi i zacisnęła. Ostre kolce wbiły się jej w gardło, przebijając mięśnie. Trysnęła purpurowa krew, a Mia krzyczała i szarpała się.

Nathan odwrócił się gwałtownie i wrzasnął:

– *Nie!* – Skoczył ku Mii, żeby ją ratować, instynktownie wyciągając ręce, żeby przyzwać magię... ale nic się nie stało, zupełnie nic. Był bezradny.

Z dodatkowym szarpnięciem i skrętem liana złamała młodej kobiecie kark i rzuciła ciało o ścianę.

Nicci odepchnęła wystraszonych uczonych, prąc do przodu i rozpaczliwie szukając czegoś dość potężnego, żeby zablokować to wtargnięcie. Ignorując jęki Bannona i krzyk furii i żalu czarodzieja, przypomniała sobie, jak manipulowała stopionym kamieniem w podziemiach, przekształcając i przesuwając skałę. Teraz odwołała się do ścian płaskowyżu, odmieniła



kamień, jakby ten był miękki niczym wosk, i stworzyła nieprzenikalną zasłonę w wyłomie, który zrobiły rośliny. Zgodnie z jej nakazami przemieniona gładka skała spłynęła w dół i odcięła liany i gałęzie, zaślepiając zewnętrzną ścianę płaskowyzu. Kamień się zestalił, przywracając klifowi jednorodność, odcinając drogę morderczym roślinom. Byli bezpieczni. Chwilowo.

Nathan, szlochając, opadł na podłogę i przytulił martwą Mię. Nadal krwawiła z ran na szyi, nasączając krwią pożyczoną toge czarodzieja, jej głowa zwisała bezwładnie. Czarodziej jęknął.

– Była taka bystra, lojalna. Drogie duchy, gdyby nie Mia, nie znaleźlibyśmy drugiej części zaklęcia. Wszystkie nasze wysiłki poszłyby na marne. Dzięki niej mamy szansę. – Popatrzył na Nicci zaczerwienionymi oczami. – Mamy szansę.

Nicci przyglądała się wstrząśniętym i przerażonym uczonym. Nie miała złudzeń co do tego, jak trudny będzie ten wróg.

– Potrzebujemy trucizny. – Zadanie zdawało się niewykonalne, czuła lęk. Krew z serca kogoś, kogo kocha? – Ale ja nikogo nie Kocham – powiedziała zimno.

To było ponure stwierdzenie, ale prawdziwe. Jej jedyną miłością, jedynym człowiekiem, którego kochała, był Richard Rahl. Oddała mu serce z żarliwym uczuciem, które uległo przemianie, ale nie osłabło. Początkowo była to mroczna miłość, lecz Nicci doznała olśnienia. Dojrzała, dostała nauczki i wreszcie pogodziła się z tym, że Richard zawsze będzie kochać Kahlan. Tych dwoje należało do siebie i nie wolno było ich rozdzielać, *nie powinno się ich rozdzielać*.

Nicci uświadomiła to sobie dawno temu. Nadal całym sercem kochała Richarda, ale już inaczej. Ruszyła do Starego Świata, żeby mu służyć, zbadać jego nowe imperium, przygotować na nadejście nowego złotego wieku...

nawet jeśli to oznaczało, że będzie daleko od niego.

Nie uwierzyła w słowa napisane przez Red o ocaleniu świata – dla Richarda – ale teraz się przekonała, że to prawda. Najpierw Życiożerca, teraz szalona Victoria – pochłonęliby świat, zniszczyli imperium D’Hary. Nicci musiała zrobić wszystko, żeby zwyciężyć wroga, ale żeby tego dokonać, potrzebowała krwi z serca kogoś, kogo kochała.

A to Richarda kochała. Nikt inny nie przychodził jej na myśl.

To ona musiała być łuczniczką. Nikt inny nie miał takiej mocy, żeby stawić czoło Victorii. Nathan stracił kontrolę nad swoim darem, a tym wszystkim amatorom z Cliffwall daleko było do jej umiejętności. To musiała być ona.

Ale... ktoś, kogo kocha? Naprawdę? Richard.

To odpadało. Nie mogłaby ocalić świata, gdyby w tym celu musiała zabić Richarda. On zaś, gdyby o tym wiedział i pojął, jaka jest stawka, z pewnością natychmiast by się zgodził na to rozwiązanie – ofiarowałby się, rozdarłby koszulę, odsłaniając pierś, żeby mogła utoczyć krwi z jego serca. Z własnej woli dałby Nicci to, czego potrzebowała, krew-truciznę dla powstrzymania Pani Życia.

Ale znajdował się na drugim końcu świata.

I Nicci nigdy nie zabiłaby Richarda, *nie mogłaby* go zabić. Sama myśl napęniała ją zgrozą. Pamiętała, jak załamało ją to, że zatrzymała jego serce, żeby wysłać go w zaświaty, by mógł ocalić Kahlan. Błagał ją, a Nicci nie potrafiła mu odmówić.

Ale teraz... czy poświęciłaby cały świat, żeby trochę dłużej utrzymać Richarda przy życiu? To było wariactwo, ale wiedziała, że tak właśnie by zrobiła.

Red musiała się śmiać gdzieś tam na Mrocznych Ziemiach.

*Krew z serca ukochanej osoby.*

Słuchała zawodzenia uczonych, wiedząc, że są przerażeni, ale nie tak zrozpaczeni jak ona. Po wyczerpującej wyprawie po smocze żebro, znając swoją moc – spodziewała się, że ma broń, by zabić Victorię.

Ale to było za mało, a ostatni składnik zdawał się nieosiągalny. Nicci nie wiedziała, co robić.

Nathan siedział na podłodze, wpatrując się w bladą twarz martwej Mii. Odgarnął jej z czoła myszowate włosy.

– Tak mi przykro, moja droga. – Zbolały, otarł jej czoło zawsze wilgotną i chłodną chusteczką, którą dostał od niej przed podróżą do Doliny Kuloth.

Nicci spojrzała na Oset, która na szczęście wyszła z ataku tylko z zadrapaniem na nodze.

Nagle przed czarodziejką stanął Bannon, wciąż krwawiąc z rany na głowie. Oparł o podłogę czubek miecza. Wyciągnął rękę i otarł krew, najwyraźniej zbierał się na odwagę. Uniósł głowę i spojrzał na Nicci.

– To o mnie mowa, czarodziejko – westchnął spazmatycznie. – To muszę być ja. – Chwycił za koszulę i rozdarł ją, odsłaniając pierś. – Wiem, że nie jestem ci obojętny. Widziałem, jak na mnie patrzyłaś po naszej wspólnej walce z Życiożercą. Pochwaliłaś mnie, że byłem taki użyteczny. I widziałem, co robi Victoria... co już zrobiła Audrey, Laurel i Sage. – W oczach miał smutek i determinację. – Jeśli mogę ocalić świat, oddając życie, chętnie to zrobię. Dobądź noża i utocz krwi z mojego serca. – Z trudem przełknął ślinę. – I tak do ciebie należy. – Odchylił głowę i zamknął oczy, szykując się na śmiertelny cios.

Zaskoczona Nicci spojrzała na niego gniewnie.

– Nie bądź głupi. – Odepchnęła go. – To się nigdy nie stanie. Nie mam na to czasu.

Zostawiając za sobą mimo wszystko zawiedzionego Bannona, odeszła w głąb archiwum, mając nadzieję, że znajdzie jakiś inny sposób, inną metodę w którejś z ksiąg. Odczuwała straszny lęk.

A gdyby – po tym wszystkim, co w życiu wycierpiała – nie kochała nikogo?

## ROZDZIAŁ 73

Nicci z zapałem oddanej mnemoniczki przeglądała w pamięci całą posiadaną wiedzę, zaklęcia, których ją nauczono, moce wykradzione czarodziejom, których zabiła. Musi być inne rozwiązanie.

Chcąc być sama, wyszła na zewnątrz i stanęła pod stropem głównej pieczary. Patrzyła przez kaniony na domki stłoczone w niszach rozrzuconych po ścianach przeciwległych klifów. Wszyscy ci ludzie przez tysiąclecia żyli w ukryciu, strzegąc tego tajemnego archiwum. Wydawali się bezpieczni, wolni od wpływów zewnętrznego świata, póki młoda Victoria przypadkowo nie zdjęła czaru kamuflującego i po tysiącach lat nie odsłoniła ogromnej biblioteki.

Nicci wiedziała, że wiedza zgromadzona w archiwum była niebezpieczna, ale jeszcze gorsi byli ci amatorzy, niby-czarodzieje, niepojmujący mocy, którą nierozsądnie wyzwalali.

Teraz, późnym popołudniem, ustronne kaniony trwały spokojne i ciche, nieświadome potwornego zalewu życia, zbliżającego się z drugiej strony płaskowyzu niczym niszczycielska fala. Nicci musiała powstrzymać Victorię, która zmieniała się w potwora. Wiedziała, jak to zrobić, jak pokonać Panią Życia, ale cena była zbyt wysoka. Nicci nie umiała jej zapłacić. Odpowiedź wydawała się nie do przyjęcia.

Nicci, czarodziejka posiadająca dar, miała łuk ze smoczego żebra, miała strzały i silną wolę. Była gotowa stawić czoło Pani Życia i ją zabić.

Ale nie miała niezbędnej trucizny.

Nie zamierzała jednak pogodzić się z tym, że to niewykonalne. Nigdy tak nie robiła.

W holach Cliffwall wyczuwało się napięcie, uczeni starali się wymyślić, jak mogliby pomóc. Nathan opłakiwał śmierć Mii i Nicci wiedziała, że zrobiłby wszystko, żeby zniszczyć Victorię i jej nieokiełznaną płodność, ale nie miał do zaoferowania żadnej magii... a nawet gdyby, to niekontrolowana reakcja mogłaby wyrządzić jeszcze więcej zniszczeń niż Victoria.

Musiało być coś innego...

Nicci, zatopiona w myślach, wsłuchiwała się w złowrogą ciszę kanionu, gdzie pasterze, rolnicy i sadownicy zajmowali się swoimi sprawami, czekając na to, co będzie dalej. Chronieni, spokojni, nieświadomi... Ponure brzemię przygniatało jej ramiona. Ci ludzie liczyli, że ich uratuje, ponieważ nikt inny tego nie potrafił.

Lecz Nicci nie była pewna, czy ona to potrafi – czy potrafi kochać.

To wydawało się zabawne i zarazem tragiczne, że przy całej swojej wiedzy, całej magicznej mocy, jaką miała – i każdej umiejętności, jaką nabyła, oraz mocy, jaką ukradła – jej ogromną wadą, wielkim niedostatkiem okazało się zwykłe ludzkie uczucie, do którego było zdolne każde dziecko.

Oczy ją piekły, kiedy patrzyła na kanion, w którym tylu ludzi żyło spokojnie przez pokolenia. Chciała ocalić to zaciszne miejsce dla mieszkańców Cliffwall, a zwłaszcza dla Oset, która już tyle wycierpiała, tyle utraciła.

Jako dziecko Nicci kochała ojca, chociaż była przekonana, że tak nie jest. Nie rozumiejąc jego oddania dla pracowników i przyszłości, patrzyła, jak ojciec pracuje w zbrojowni. Widziała, że robotnicy go szanują, ale – wskutek toksycznego wpływu matki – nie ceniła tych jego umiejętności.

Matka sprawiła, że Nicci czuła się bezwartościowa; karmiła ją do zadławienia ogłupiającą filozofią Ładu, a Nicci cały czas wierzyła, że to wspinała ucztą. Dopiero kiedy Richard otworzył jej oczy i pokazał, jak

zerwać te okowy, Nicci zrozumiała oddanie i poświęcenie ojca oraz to, jaką krzywdę wyrządził mu Ład, a także co jej ukradziono.

Lecz ojciec od dawna nie żył, Ład został pokonany, Jagang zginął z jej ręki, a ona nie mogła zmienić przeszłości. Musiała patrzeć w przyszłość. Teraz, w ramach nowej pracy dla Richarda, którą wzięła sobie do serca, mogłaby ocalić świat przed Panią Życia... gdyby tylko znalazła sposób skorzystania z broni, jaką miała.

Z frontowej kamiennej bramy głównej wieży wyszła zdenerwowana Gloria i zaczęła machać do Nicci.

– Czarodziejko! Szukaliśmy cię.

Nicci poczuła małą iskierkę nadziei, gotowa chwycić się nawet słomki.

– Znaleźliście inne rozwiązanie?

Gloria wyduła pulchne policzki i wypuściła powietrze.

– Nie. Po prostu Oset nas poprosiła, żebyśmy cię poszukali, mówiła, że to ogromnie ważne.

Nicci się zaniepokoiła.

– Nic jej nie jest?

– Czekaj w waszym pokoju, żeby z tobą porozmawiać. Twierdziła, że to pilne, ale nikomu nie powiedziała, o co chodzi, tylko żebyśmy cię natychmiast znaleźli.

Nicci zostawiła Glorię i pospieszyła do głównych budynków. Martwiła się o dziewczynkę. Mała widziała, jak ginie jej miasteczko, walczyła z piaskowymi ludźmi, panterami i ze smokiem, i jeśli twierdzi, że coś jest pilne...

A może przypomniała sobie coś, co mogliby wykorzystać?

Oset czekała w ich pokoju; siedziała na posłaniu, podciągnąwszy do piersi podrapane kolana. Trzęsła się. Kiedy zobaczyła Nicci, w miodowo-

brązowych oczach pojawiła się ulga, ale i strach.

Zanim czarodziejka zdążyła się odezwać, dziewczynka powiedziała:

– Już zjadłam. Wiedziałam, że próbowałabyś mi przeszkodzić, ale teraz już nie możesz. To był jedyny sposób, żebym miała pewność, że będziesz musiała to zrobić.

Nicci poczuła lodowaty dreszcz. Podeszła.

– O czym ty mówisz?

Oset zaciskała w dłoniach zeschnięty kwiatek. Nicci natychmiast rozpoznała roślinę, charakterystyczny fioletowo-szkarłatny kwiat, pokruszoną łodygę. Dziewczynka otworzyła dłonie. Śmiertunka, trujący kwiat, który ofiarował jej Bannon, nieświadomy jego straszliwej mocy. Nicci zatrzymała go, bo wiedziała, że tak potężnych okazów nie należy marnować.

Oset zabłysły oczy. Nicci skoczyła ku niej, ale dziewczynka wpakowała do buzi resztę zasuszonych płatków.

Nicci rzuciła się na nią.

– Przestań!

Mała przełknęła.

Nicci chwyciła ją za brodę, chciała otworzyć jej usta, usunąć resztki rośliny, ale Oset mocno zaciskała zęby.

– Za późno – wymamrotała jedynie.

Już zaczynały się konwulsje.

Nicci przyzwała dar. Może uda się jej zmusić dziewczynkę, żeby się tego pozbyła. Może znajdzie sposób, żeby zneutralizować śmiertcioną substancję.

Lecz wiedziała, że żadne uzdrawiające zaklęcie nie zniweluje śmiertunkowej trucizny. Przypomniała sobie tortury zadawane przez



imperatora Jaganga, gdy testował odmiany śmiertelnej rośliny w obozach, które nazywał Namiotami Wrzasku. To nie była mroźna krew w żyłach historyjka do opowiadania szeptem w gospodzie przy piwie. Śmiertelki naprawdę były najgorszą trucizną na świecie.

Gdyby Nicci mogła znowu zabić Jaganga, toby to zrobiła.

– Nie ma leku – powiedziała wyzywająco Oset. – Sama to mówiłaś. – Buzię miała pustą. Połknęła każdą odrobinę zabójczego kwiatu.

Nicci, w gniewie i rozpacz, potrząsała chudymi ramionami dziewczynki.

– Co ty sobie myślisz? Czemu to zrobiłaś?

– Żebyś nie miała wyboru – odparła. Wstrząsnął ją okropny dreszcz, mówiła urywanym głosem: – Żeby dolina znowu była piękna i wszyscy mogli żyć... jak tego zawsze chciałam.

Nicci ją objęła, jakby się bała, że dziewczynka spróbuje uciec.

– To był głupi, bezużyteczny postępek. To nic nie da.

W pamięci Nicci mignął obraz Jaganga siedzącego przed namiotem i słuchającego długich agonicznych krzyków swoich ofiar, które połknęły truciznę. Niektórzy umierali godzinami, inni całe dni. Nawet najmniejsza dawka wywoływała silne krwawienie z oczu, uszu i nosa. Niektórzy mieli takie konwulsje, że pękał im kręgosłup. Wrzeszczeli, póki nie wypłuli strun głosowych, które wyglądały jak krwawe nici. Skóra im nabrzmiwała, stawy pękały. Niektórzy orali sobie twarze paznokciami, próbując uciec od bólu.

Dziewczynka dygotała w ramionach Nicci, zaczęła kaszleć. Skórę już miała kredowobiałą, usta bezkrwiste. Pełne smutku oczy były przekrwione.

Nicci wiedziała, co się stanie z tą biedną małą.

– Nie ma na to odtrutki, dziecko. Czemu to sobie zrobiłaś?

– Dla ciebie – wykrztusiła. – Żeby dać ci to, czego potrzebujesz. Żeby podjąć za ciebie decyzję. – Wiła się i rzucała, Nicci starała się ją mocno tulić,

żeby ją unieruchomić. – Możesz mi dać szybką i bezbolesną śmierć. Zakończyć to dla mnie. – Podniosła wzrok. – Weź strzałę, przebij mi serce, szybko i czysto. Zanim będzie za późno.

– Nie! – Nicci przyzywała swój dar, starała się odszukać zaklęcia leczące. Wlała moc w dziewczynkę, żeby dodać jej sił, lecz jad śmiertunki szalał w drobnym ciałku jak pożoga. – Nie mogę!

– Weź krew z mojego serca. Potrzebujesz jej.

Nicci obejrzała się na ostre strzały z żelaznymi grotami, które zostawiła na stoliku do pisania.

– Jeśli mnie kochasz, to uchronisz mnie przed tym, co, jak wiesz, nadchodzi – powiedziała Oset. – Zabij mnie. Przebij mi serce strzałą.

– Nie!

Dziewczynka mówiła ochryple:

– Zyskasz potrzebną ci krew. Niezbędną truciznę. – Małe rączki wczepiły się konwulsyjnie w czarną suknię Nicci. – Powstrzymaj Victorię i ocal moją ziemię.

Nicci była w rozpacz, serce jej pękało. Tuliła małą, czuła, jak skurcze się nasilają. Wiedziała, że ten ból to tylko początek męki, która potrwa długie godziny, może nawet dni, kiedy to Oset powoli rozedrze się na strzępy, cały czas krzycząc.

– Wiem, że mnie kochasz – szepnęła dziewczynka, unosząc drżącą rękę i na moment dotykając policzka Nicci.

– Nie... – wyszeptała czarodziejka, lecz nie była pewna, czy dziewczynka to usłyszała.

Oset kaszlała i dygotała, wtulając buzię w Nicci.

Czarodziejka, nie chcąc ani na moment puścić umierającej, wyciągnęła drugą rękę i sięgnęła darem po strzałę. Ta przeleciała przez pokój

i wylądowała w jej dłoni. Zaciśnęła palce na drzewcu, zobaczyła srebrzysty połysk wyostrzonego grotu.

Dziewczynka już nie mogła zapanować nad bólem. Zadygotała i krzyknęła.

Nicci mocno ją przytuliła, wiedząc, że ból stanie się jeszcze gorszy. W prawej ręce trzymała strzałę, lewą odrobinę odwróciła Oset, znalazła właściwy punkt na piersi małej. Ze łzami w błękitnych oczach wbiła strzałę, najłagodniej jak potrafiła ukoїła ból.

A kiedy ją wyciągnęła, grot i drzewce były czerwone od grubej warstwy krwi z serca Oset. Niezbędnej trucizny.

Nicci skłoniła głowę i bezwiednie dodała trucizny do zakrwawionej strzały – jedną łzę. Jedyńą łzę, jaką uroniła od długiego czasu.

## ROZDZIAŁ 74

Nicci, przemierzając Cliffwall, by przygotować się do zabicia Pani Życia, czuła się jak czarny mrok wypełniony ostrzami. Miała w sobie pustkę, jej serce było bezdenną studnią, podobną do tej w środku Blizny. Zaciskała w dłoni zakrwawioną strzałę, lepka warstwa krwi wcale nie zmatowiła ostrego grotu. Trucizna powstała z niebezpiecznej miłości, do której Nicci nigdy się nie przyznała.

Teraz jej serce było otwartą raną.

Zadziorna dziewczynka, sierota, poświęciła własne życie. Zmusiła Nicci do popełnienia tak strasznego czynu, żeby umożliwić zwycięstwo, którego wszyscy potrzebowali. Oset była w sercu Nicci czymś, o czego istnieniu czarodziejka nawet nie wiedziała. Mocniej ścisnęła strzałę, ale zmusiła mięśnie, żeby się rozluźniły, żeby w gniewie nie złamała drzewca. Nie ośmieliłaby się zniszczyć broni, którą zdobyła za tak niewyobrażalną cenę.

Krew Oset.

Zwykle wypierałaby takie uczucia, odrzuciła je lub zamurowała w głębi umysłu, lecz teraz ich potrzebowała, bo miłość była decydującym składnikiem. To miłość była tu trucizną. W tym przypadku, jak Victoria wkrótce się przekona, miłość była zabójcza.

Szykując się do drogi ku pierwotnej puszczy, Nicci zobaczyła, że poplamiła suknię krwią niewinnej dziewczynki. Jeszcze więcej trucizny.

Nie zwracała uwagi na spiętych, wystraszonych uczonych, zbitych w grupki, widzących w niej zbawczynię, która powstrzyma Panią Życia. Biedna Oset już za to zapłaciła.

Ale Victoria zapłaci wyższą cenę.

*Przyszłość i los zależą tak od podróży, jak i od jej celu.*

Bannon podszedł do niej w rozległym holu, ubrany w nowy strój podróżny, z mieczem. Twarz miał ściągniętą i bladą.

– Jestem gotowy, by pójść z tobą, czarodziejko.

Nathan stał obok niego, wymizerowany i zrozpaczony, ale w lazuruowych oczach miał płomień.

– Nawet jeśli nie mogę użyć magicznego daru, to obaj z Bannonem jesteście groźnymi wojownikami. Wiesz o tym. Idziemy z tobą.

Młody człowiek przełknął ślinę.

– Oset to umożliwiła. Powinniśmy to zrobić razem.

Długo im się przyglądała w milczeniu, wreszcie potrząsnęła głową.

– Nie, pójdę sama. To moja walka. Oset zrobiła swoje. Ja zrobię swoje. – Tak naprawdę Nicci *bała się* ich potrzebować. Zawiesiła na ramieniu łuk ze smoczej kości i trzymała strzałę, nie wzięła innych, ta będzie zabójcza, musi być. – Mam wszystko, czego potrzebuję.

Nathan po długiej, pełnej powagi chwili zrozumiał. Zacisnął dłoń na ramieniu Bannona, zanim młody człowiek zdążył się odezwać.

– Tu nie chodzi o nas, chłopcze. Już wiele razy się wykazałeś. Czarodziejka musi to zrobić sama.

Bannon popatrzył bezradnie na swój miecz, jakby ten stał się bezużyteczny w jego dłoniach. Kiedy podniósł wzrok i spojrzał jej w oczy, zamarł. Cofnął się, z trudem wykrztusił:

– Sercem będziemy z tobą. Wiem, że ci się powiedzie.

Nathan wziął głęboki wdech, powoli wypuścił powietrze.

– Sama Nicci jest najbardziej śmiertcionośną bronią.

Tunelami dotarła do ściany po drugiej stronie płaskowyzu. Kamień miał

zamknąć dostęp szaleńczo rozrastającej się puszczy, ale nawet kamienne ściany nie mogły jej zatrzymać. Przyzwała magię, przekształciła gładką skałę i odsunęła ją z drogi jak miękką glinę, otwierając wyjście na zewnątrz.

Spojrzała na ich nieszczęście, mur miotającej się zieloności, splątanych lian, grzybów wyrastających na wysokość domu i eksplodujących chmurami zarodników. Chmary komarów i much brzęczały wokół cuchnącego lasu. Victoria, chcąc rozwiązać ekstremalny problem, zaproponowała jeszcze gorsze rozwiązanie.

Gałęzie się wyciągnęły, liany poruszyły, paprocie rozwinęły liście. Mgiełka pyłków i zarodników zgęstniała w dławiące miazmaty. Szelest, trzeszczenie i syczenie całej tej roślinności uderzającej o klif brzmiał jak marsz niepowstrzymanej armii życia. Zbyt wiele życia.

Lecz Nicci była Panią Śmierci.

– Z drogi – rzuciła.

Wyciągnęła ręce i posłała niszczący grom, oczyszczając sobie przejście. Potoczyła się kula ognia czarodzieja, niepowstrzymanego, niedającego się ugasić, i spopieliała chwytne gałęzie i kolczaste pnącza. W zabójczym żarze eksplodowały masywne pnie drzew i drzazgi poszatkowały pobliskie monstrualne rośliny.

Nicci, wypaliwszy sobie przejście, wkroczyła w te szczątki i ruszyła po osmalonej ziemi w dół stromego stoku. Gleba niemal natychmiast się poruszyła i buchnęły nowe roślinki. Żdźbła traw i wąsy lian kołysały się, chcąc złapać stopy Nicci, zatrzymać ją, uwięzić. Posłała ku nim myśl, leciutką nutkę mściwego gniewu, i nowe pędy zwiędły i umarły.

Ruszyła na łowy.

Victoria nie będzie się przed nią kryć. Mnemoniczka-czarodziejka, napęczniała bujną płodnością, chciała ją zabić. Już nasłała na nich *shaksisa*,

a teraz Nicci wejdzie w samo serce jej pierwotnej puszczy. Wiedziała, co się tam czai.

Poprawiła na ramionach łuk ze smoczej kości i szła, utkwivszy przed siebie błękitne oczy. Obumarłe szczątki chrzęściły jej pod butami. Kłębiąca się roślinność próbowała ją schwytać, wyciągając szponiaste gałęzie, liście. Nicci przywołała wichry, potężne prądy powietrza, które zdmuchnęły rośliny, połamały drzewa, odarły gałęzie z liści, rozbiły grzyby, wyrwały z ziemi paprocie. Wyrąbała sobie ścieżkę, by mieć pewność, że nic jej nie przeszkodzi. Była okiem trąby powietrznej.

Odległość nie miała znaczenia. Znała swoje przeznaczenie, cel.

Tak częste korzystanie z daru powinno osłabić Nicci, lecz jej gniew i wewnętrzna rana dodawały jej sił. Kiedy oczyściła sobie drogę, odwołała wichry i coraz bardziej zagłębiała się w rozszalałą plagę życia. Rośliny wydawały się teraz jakby zastraszone.

W tej przelotnej chwili wytchnienia pojawiły się owady, chmura czarnych kłujących komarów, rój żądliwych os i chmara ciemnych żuków, dziesiątki tysięcy.

Nicci ledwo rzuciła na nie okiem. Kiedy zbliżyły się do niej, wirując w powietrzu, posłała im myśl. Nawet nie musiała poruszać rękami, zatrzymując dziesiątki tysięcy maleńkich owadzich egzystencji. Komary, osy i żuki spadły na ziemię jak czarny deszcz.

Szła naprzód i puszcza ucichła. Ale czarodziejka wiedziała, że jeszcze nie skończyła. Jeszcze nie zwyciężyła.

Przed nią poruszyły się gałęzie i liście i pojawiły się trzy niegdyś urocze młode kobiety. Audrey, Laurel i Sage, teraz opętane i przemienione przez las. Ich skóra była cętkowana zielenią liści, oczy mozaikowo połyskiwały wieloma odcieniami szmaragdu, usta były pełne białych ostrych kłów. Włosy

miały niczym skłębiony mech.

Podeszły i stanęły przed Nicci, blokując jej drogę. Spojrzała na nie z miążdżącą pogardą.

– Victoria was wysłała, żebyście mnie zatrzymały? Boi się sama przede mną stanąć?

Laurel zarechotała.

– Nie dlatego, że się ciebie boi. A dlatego, że *nas* nagradza.

Kiedy leśne kobiety rozpostarły ramiona, z ich skóry wyrosły długie kolce. Z czubków sączył się połyskliwy sok, jakby z kolców jadowych skorpionów.

– Dla nas to okazja wypróbowania naszej mocy – powiedziała Sage.

– Zabawimy się – zawtórowała jej Audrey.

Kiedy się do niej zbliżały, Nicci nie dotknęła łuku ze smoczej kości, zostawiła w kołczanie jedyną zatrutą strzałę.

– Nie mam czasu na zabawy – mruknęła.

Odwołała się do wciąż kipiącej w niej magii i wyczarowała trzy kule ognia czarodzieja. Potoczyły się jak miniaturowe słońca. Audrey, Laurel i Sage zdążyły tylko się cofnąć i rozpaczliwie zasłonić rękami, a już trzy słońca – po jednym na każdą z nich – eksplodowały. Niedające się ugasić płomienie ogarnęły skażone ciała, mocno przywarły, spopielili nie ludzkie postaci. Z kobiet pozostał popiół, wydzielający nie swąd palącego się ciała, lecz woń płonącego drewna.

– Śmierć jest silniejsza od życia – powiedziała Nicci.

Przekroczyła stosiki popiołu i ruszyła do serca lasu.



## ROZDZIAŁ 75

Puszczą przestała walczyć, jakby się pogodziła z własnym losem, i teraz witała Nicci, wabiła w głąb. Drzewa się odchyłały, liany odpełzały z drogi, oczyszczając dla niej ścieżkę. Zielska i kolczaste krzaki się kłaniały. A ona szła naprzód, odziana w czerń, blond włosy płynęły za nią.

Wiedziała, że Victoria się nie poddała. Otwarta droga była zielonym tunelem, obrzeżonym oklapniętymi paprociami i niskimi, drżącymi wierzbami. Przypominało jej to pajęczą sieć... pułapkę. Usta Nicci wygięły się w uśmiechu. Tak, to była pułapka – ale to była *jej* pułapka i Victoria wkrótce się o tym przekona.

Teren Blizny zmienił się nie do poznania, ale po długim marszu czarodziejka zdała sobie sprawę, że dotarła do centrum. Kiedyś była tu kryjówka Życiożercy, z której wznosiły się krzywe obsydianowe kolumny i popękana czarna skała, ale teraz Nicci zobaczyła polanę bujnej, dławiącej zieleni. Drzewa wyrosły wysoko, ich gałęzie wyginały się do wewnątrz, jak dłonie złożone w modlitwie – modlitwie skierowanej do paskudnego zielonego *stwora*, który rósł pośrodku polany.

Victoria już nie była korpulentną kobietą, która szkolila mnemoników, mentorką biorącą pod swoje skrzydła młodych akolitów i uczącą ich wszystkiego, co sama wiedziała. Już nie była człowiekiem. Wciąż posiadała wiedzę, znała skomplikowane zaklęcia, tradycyjną naukę – obejmującą całą magię zachowaną w umysłach pokoleń ludzi o wyszkolonej pamięci – ale stała się czymś zupełnie innym.

Skóra nagiego ciała Victorii była pokryta guzowatą korą. Nogi wrosły w ziemię, wypuszczając korzenie jak bliźniacze pnie oplecione

jasnozielonymi lianami, tworzącymi płataninę tam, gdzie nogi łączyły się w jeden pień-korpus o krągłych zdrewniałych piersiach. Ręce Victorii wyciągały się na boki jak grube wygięte konary, palce tworzyły niezliczone gałązki. Włosy sterczały jak wachlarz, gąszcz splątanego chrustu. Ale twarz nadal była rozpoznawalna, choć wstrętna, o skórze zdrewniałej, nasyconej zielenią. Pulsujące strugi ciemnego soku spływały jej po policzkach i przy uszach.

Pani Życia, widząc Nicci, napuszyła się jak ptak stroszący pióra. Victoria czerpała energię i moc z ziemi, gdzie jej korzenie rozrosły się pod pierwotną puszcza, gdzie roślinność tworzyła ogromne narysy zaklęć, wzmagających jej magię. Otworzyła usta w głośnym, ostrym śmiechu.

Nicci, nie okazując ani nie czując strachu, weszła na polanę, nie zwracając uwagi na szum i szelest gniewnych gałęzi, ruch w podszyciu. Jej wróg był tutaj. Victoria wysłała trzy leśne kobiety, żeby ją zatrzymały, ale teraz sama stawia jej czoło.

Nicci stanęła przed Panią Życia, wbiła buty w miękką leśną glebę. Przepocona czarna suknia kleiła się do niej i czarodziejka dotknęła zasychających na tkaninie krwawych plam. *Krew Oset. Przypomnienie.*

Powiedziała dumnie i wyzywająco:

– Jak na kobietę, która chciała przywrócić życie i sprawić, żeby ta kraina rozkwitła, spowodowałaś dużo zniszczeń i bólu, Victorio.

Potężne ciało-pień drgnęło i zatrzeszczały warstwy grubej kory. Z ust leśnej kobiety dobiegł ryk:

– *Jam jest Panią Życia.*

Na Nicci nie zrobiło to wrażenia.

– A ja nie mogę pozwolić ci żyć.

Zdjęła z ramion kościany łuk i spokojnie, nie odrywając oczu od

potwornej twarzy Victorii, zgięła żebro Grimneya, błękitnego smoka. Kość zawibrowała energią, magią ziemi, źródłem stworzenia. Cięciwa pochodziła z Cliffwall i chociaż nie było w niej magii, to miała moc ludzkiej kreatywności; mocno napięta, gotowa na to, co broń miała uczynić. Gotowa wykorzystać życie, żeby zabić.

Śmiech Victorii zakołysał jakby przyczajonymi drzewami i gniewnym podszyciem.

– Jedna mało znacząca czarodziejka? Jeden łuk? Jedna strzała?

– To wystarczy – odpowiedziała Nicci. – Znaleźliśmy zakłęcie, magię czerpiącą z samej potęgi życia. Kość kreacji... żebro smoka. – Uniosła łuk, napięła ciętywę i poczuła, jak żebro Grimneya wibruje.

– Kości ziemi – powiedziała Victoria, jej konary zatrzeszczały, ciało się pochyliło. – Magia w kości smoka? – Jej twarz zmarszczyła się, jakby umysł przeglądał całą prastarą wiedzę tysięcy ezoterycznych tomów, zapamiętanych przez nią i przez wiele wcześniejszych pokoleń.

Nicci wzięła strzałę, popatrzyła na ostry grot pokryty wciąż jeszcze lepką czerwienią.

– I mam strzałę zanurzoną w niezbędnej truciźnie. Krwi z serca osoby, którą kochałam i którą zabiłam. – Nałożyła strzałę na ciętywę. – Krwi Oset.

Victoria nagle szarpnęła się w tył, jakby Nicci dała jej ostatnią wskazówkę. Odnalazła zakłęcie w rozległej pamięciowej bibliotece prastarej wiedzy. Jedna z jej drzewiastych nóg wyrwała się z ziemi. Gałęzie smagnęły, konary zatrzeszczały.

Nicci nawet nie drgnęła.

– Przypomniałaś sobie. Chciałam, żebyś sobie przypomniała. Oset na to zasłużyła.

Zdesperowana Victoria poderwała pierwotną puszcę do ataku. Las zaczął

się zbliżyć, paprocie, liany, drzewa ruszyły na Nicci. Ciernie, gałęzie, żądłące owady włączyły się do pospiesznej, desperackiej ostatniej próby jej powstrzymania.

Lecz Nicci zostało już tylko jedno do zrobienia. Napięła łuk ze smoczej kości, wycelowała zakrwawiony grot dokładnie pomiędzy piersi Victorii.

Gałęzie, liany i ciernie pędziły ku niej, a ona wypuściła strzałę.

Nie potrzebowała magii, żeby ją prowadzić. Powietrze dźwięczało i śpiewało jak ostatni przenikliwy krzyk i ostry grot wbił się z głośnym stukiem. Strzała, zatruta krwią niewinnej dziewczynki, wbiła się w ciało przemienionej kobiety.

Smocze żebro, nie wytrzymując naprężenia cięciwy, pękło na dwoje w dłoniach Nicci. Uwolniło swoją magię, resztkę energii, ostatni dar błękitnego smoka, który dawno temu za życia szukał przygód. Atakująca puszcza zamarła i zadrżała, a Nicci upuściła na ziemię bezużyteczną już broń. Spełniła swoje zadanie.

Victoria wyła i wrzeszczała tak, że usta jej pękły. Głowa rozpadła się w drzazgi, kończyny-gałęzie skręcały się z bólu, łamały i spadały na polanę jak obumarłe drewno.

Śmierć rozchodziła się falą od grotu jak mściwa plaga, odbierając życie, które Victoria ukradła. Niezbędna trucizna szybko przeniknęła do serca i zielona czarodziejka zaczęła się rozpadać. Kora popękała i zaczęła gnić. Z ran sączył się zielony sok, spływając po chropowatym ciele gęstymi, cuchnącymi strugami, jak krew.

Victoria wyrwała z korzeniami jedną z grubych nóg, ale druga noga trzasnęła jak drzewo złamane przez wichur. Upadła – przewracała się długo i powoli, bo jej gałęzie wplątały się w nadciągające drzewa. Liany się rzuciły, żeby złagodzić jej upadek, ale zaraz zbrązowiały i uschły.

Otoczająca polanę rozbuchana puszcza, wdzierająca się na otwarty teren, zaczęła usychać. Drzewa się przewracały, gniły, rozpadały. Całe to nadmierne życie – wymuszony rozrost i wymęczona płodność, które nigdy nie powinny zaistnieć – znikało.

Nicci się odwróciła. Ciało Pani Życia już zgniło, wróciło do gleby. Równowaga magii zostanie przywrócona i nienaturalny las powróci do swojego poprzedniego stanu, *naturalnego* stanu.

Nicci zrobiła to, co musiała. Wypełniła swoją misję i zapłaciła cenę. Nie miała żadnego powodu, żeby tu dłużej zostawać.

Ruszyła ku Cliffwall, a wokół niej padała puszcza. Nie poświęciła jej ani jednej myśli.

## ROZDZIAŁ 76

Zanim Nicci wróciła do stromego podejścia na skraju płaskowyżu, spreczna z naturą puszcza już zaczęła się cofać, była jak cień samej siebie – właściwy poziom wzrostu, który nie naruszy podstaw życia.

Nie cieszyło ją własne zwycięstwo – zwycięstwo *Oset* – zrobiła, co było trzeba. Spełniła obowiązek. Zapłaciła cenę krwi i nieoczekiwanej miłości.

Skończyła.

Kiedy pleniące się rośliny zmieniły się w gnijącą paćkę, zobaczyła przed sobą szybki ruch, płowy kształt. *Mrra* do niej dołączyła. Piaskowa pantera wyłoniła się spośród przewracających się drzew i więdnących paproci i szła wraz z nią – nie na tyle blisko, żeby Nicci mogła dotknąć sierści, ale była i to się liczyło. Łączące je zakłęcie dodawało Nicci sił, a wielka kocica najwyraźniej też potrzebowała otuchy.

Dotarły do stromej ściany i Nicci zobaczyła, że stok pękł. Skręcone pasma martwych lian wciąż przylegały do skał, ale znalazła drogę do grot i tuneli wysoko w górze. U podstawy klifu *Mrra* cicho warknęła – chwilowe pożegnanie – i pobiegła na pogórze. Wróci.

Nicci wspięła się na stromą ścianę, korzystając z daru, kiedy musiała odsunąć głazy, które skruszyła agresywna roślinność.

Nathan i *Bannon* wyszli jej naprzeciw, jak tylko wkroczyła w tunele. Tłumy mieszkańców *Cliffwall* wyległy, podekscytowane i zdumione. Z okien w grotach widzieli, jak atakująca puszcza ginie.

– Musimy to uczcić! – zawołał ktoś.

Nicci nie zauważyła, kto to powiedział, nawet nie popatrzyła w tamtą stronę.

– Uczcijcie to we własnym gronie – rzuciła szorstko. – Nie róbcie ze mnie bohaterki.

Pani Życia nie żyła, wróg został rozgromiony, plaga chorobliwej płodności zanikała. Tak, to dobry powód do świętowania, ale Nicci nie czuła radości. Znalazła w głębi siebie twardy rdzeń i się go uchwyciła.

Już nigdy nie będzie Panią Śmierci. Zostawiła tę mroczną część siebie w przeszłości, obiecała to Richardowi. Wyciągnęła naukę z okropności, które czyniła dla imperatora Jaganga. Krew Oset dostarczyła trucizny koniecznej, żeby zniszczyć Panią Życia, ale Nicci nie chciała być tak bezbronna.

Już nigdy. Ocaliła świat i wystarczy. Nawet jeśli Oset już tego nie zobaczy, to odzyskała swoją piękną dolinę.

Odpowiedź Nicci wytrąciła uczonych z równowagi i Nathan popatrzył na nią z troską. Kiwnął głową i ściszył głos:

– Nie musisz tańczyć i śpiewać, czarodziejko, ale przecież pokonałaś Victorię i powstrzymałaś straszliwe zagrożenie. Możesz czuć się zadowolona.

Długo na niego patrzyła, a potem odpowiedziała:

– Raczej nie pozwolę sobie odczuwać czegokolwiek.

Zgodnie z sugestią Nicci – chociaż było to oczywiste dla każdego, kto się nad tym zastanowił – pochowali dziewczynkę na skraju doliny, gdzie zaczęła się już pojawiać nowa roślinność – *zdrowe* krzaki i inne rośliny.

To był smutny marsz z drobnym ciałem Oset owiniętym w miękką owczą skórę, na której tak lubiła spać na podłodze w pokoju Nicci. Czarodziejka sama niosła ciało, serce miała ciężkie jak głaz, lecz dziewczynka zdawała się nic nie ważyć.

Franklin, Gloria i wielu innych mnemoników i uczonych wyszło

z Cliffwall na stromą ścianę płaskowyżu. Szli, aż dotarli do miejsca na pogórzcu, skąd widać było dolinę, którą Oset tak pragnęła ujrzeć znowu żyzną i zieloną.

Nicci się zatrzymała.

– Tutaj. Takiego widoku Oset by chciała. Stąd widziałaby powrót życia, który umożliwiła.

Poprzez gorące łzy, które piekły ją w oczy, Nicci widziała zasmuconych Nathana i Bannona. Orzechowe oczy chłopaka były pełne łez i nawet Nathan – który przez stulecia życia widział tyle smutku i stracił wielu ludzi – wydawał się głęboko poruszony śmiercią tej zadziornej, stanowczej dziewczynki.

– Jej duch powie Stwórcy, jakiej doliny by pragnęła – powiedział czarodziej. – Jestem pewien, że dotrze do jego ucha.

Bannon skinął głową.

– Oset potrafi być bardzo przekonująca. – Głos mu się załamał.

Nicci mogła jedynie przytaknąć. Czuła się pełna słów, emocji i myśli, które chciała wyrazić, ale one tylko w niej kipiały. Oset by zrozumiała. I tylko to się dla Nicci liczyło.

Skinęła dłonią i przesunęła ziemię i głazy na wybranym spłachetku gruntu. Tak jak w Renda Bay, wykopała grób, tworząc ostatnie wygodne posłanie dla Oset.

Uczeni patrzyli z powagą, a Nicci złożyła w otwartym grobie dziewczynkę owiniętą w owczą skórę.

– Tylko dotąd możesz z nami iść – powiedziała. – Wiem, że chciałaś podróżować i zobaczyć wszystkie nowe krainy, które zamierzamy poznać, ale stąd możesz obserwować dolinę. Mam nadzieję, że stanie się taka, jaką chciałaś ją ujrzeć.



Barki i ramiona miała zeszywniałe, bo mocno napinała mięśnie, żeby nie drżeć. Głęboko odetchnęła. Ona, Nathan i Bannon po raz ostatni popatrzyli na małą postać w grobie. Nicci skinieniem przywróciła na miejsce miękką ziemię, idealnie wypełniła grób, zostawiając na wierzchu świeżą glebę.

– Mamy jakoś oznaczyć to miejsce? – zapytała Gloria. – Może chciałabyś użyć do tego jakiegoś głazu czy palika?

Nicci pomyślała o tym, co powiedziała kiedyś Oset, jak ją rozbawiła ta płocha, lecz cudowna myśl. Dziewczynka dorastała, nie widząc piękna natury, patrząc, jak wujek i ciocia z trudem wiążą koniec z końcem w pustynnym Verdun Springs, jak się mozolą, żeby wyhodować skarłałe warzywa.

– Kwiaty – powiedziała. – Posadźcie piękne kwiaty. Takiego znaku by chciała Oset na swoim grobie.

Zanim ona i jej towarzysze odeszli, Nicci zwołała w Cliffwall wielkie zgromadzenie i przemówiła do robotników, farmerów, mieszkańców kanionu, jak również do mnemoników i uczonych. Surowym tonem powiedziała:

– Byliśmy tu zaledwie parę tygodni, a już ocaliliśmy świat, i to dwa razy! Za każdym razem do nieszczęścia doprowadziła wasza ignorancja. No i konsekwencje... cena, jaką trzeba było zapłacić. – Powiodła spojrzeniem błękitnych oczu po mających dar uczonych, a oni zadrżeli ze wstydu i poczucia winy. Podjęła: – Jesteście niewyszkoleni. Tysiące lat temu waszym ludziom powierzono ochronę tej skarbnicy wiedzy. Niebezpiecznej wiedzy. Nie uważajcie tego za bibliotekę, ale za *zbrojownię*: wszystkie tutejsze księgi i zwoje to broń i przekonaliście się, jak łatwo można je niewłaściwie wykorzystać.

– Z katastrofalnymi skutkami – odezwał się Nathan. – Mimo wszystkich moich zastrzeżeń co do Sióstr i ich obroży, to one przynajmniej poświęcały się w Pałacu Proroków szkoleniu nowych czarodziejów. Przez wzgląd na zgromadzoną tutaj wiedzę nie możecie się bawić zaklęciami jak zabawkami.

Franklin zwiesił głowę.

– Może powinniśmy się zająć tylko katalogowaniem, jak chciał Simon. Wystarczy nam tego zajęcia na dziesięciolecie.

Gloria otarła łzę z kącika oka.

– Mnemonicy mogą pomóc dopasować zapamiętaną treść do woluminów, które znajdziemy na półkach. – Głęboko wciągnęła powietrze i powoli je wypuściła. – Ale kto nas będzie uczył? – Spojrzała z nadzieją na Nicci i Nathana. – Zostaniecie?

Nicci potrząsnęła głową.

– Wkrótce wyruszamy. Mam własną misję dla lorda Rahla, a czarodziej ma ważny cel – mówiła nakazującym tonem, jakiego używała, żeby posyłać dziesiątki tysięcy żołnierzy imperatora Jaganga na pewną śmierć. – Lecz po naszym odejściu jedno musicie dla mnie zrobić. Ważną rzecz.

Franklin rozłożył ręce i z szacunkiem skłonił głowę.

– Oczywiście, czarodziejko. Cliffwall ma wobec ciebie dług.

– Wyślijcie emisariuszy na północ do D'Hary i opowiedzcie lordowi Rahlowi o tym archiwum oraz o tym, co tu zrobiliśmy. Potrzebuje tej wiedzy. Gdy tylko się dowie, co się tu znajduje, przyśle własnych czarodziejów, uczonych, ekspertów. Pomogą wam.

– Verna na pewno będzie zachwycona – odezwał się Nathan. – Drogie duchy, tylko pomyśl, co ksieni zrobi z taką ilością wiedzy! Proroctwa zniknęły i potrzebuje jakiegoś zajęcia. Przyprowdzi ze sobą wiele Sióstr. – Z wolna skinął głową. – Tak, istotnie, byłibyście w dobrych rękach. –

Zmrużył oczy i dodał karcąco: – Ale w tym czasie żadnego bawienia się zaklęciami.

Gloria się z nim zgodziła.

– Dołożymy wszelkich starań, żeby już nigdy nie powtórzyło się takie nieszczęście, jakie sprowadzili Roland i Victoria!

Jeden z uczonych zaczął się wiercić, patrząc z niepokojem na pozostałych zebranych. Wreszcie spytał:

– Ale jak znajdziemy D’Harę? – Był to chudy i nieśmiały młody człowiek o imieniu Oliver; miał zwyczaj przymrużać oczy, jakby wzrok mu osłabł od zbyt długiego czytania w słabym świetle świec. – Chętnie pójdę na tę wyprawę... jeśli będę wiedział dokąd.

Nicci nie miała cierpliwości do szczegółów.

– Poruszaj się starymi imperialnymi drogami. Kieruj się na północ. Dotrzyj za Widmowe Wybrzeże, do głównych portowych miast Starego Świata. Pytaj o lorda Rahla.

– To będzie trudna i mozolna wyprawa, Oliverze – odezwał się niepewnie Franklin.

– Owszem – przytaknęła Nicci. – I żądamy tego od was. Czasem trzeba zrobić coś, co jest trudne.

– Pójdę z Oliverem – zgłosiła się szczupła młoda mnemoniczka, Peretta, z mocno skręconymi ciemnymi loczkami. – Nie tylko jest to ważna misja, ale też każdy w Cliffwall, czy to mnemonik, czy tradycyjny uczony, ma za zadanie gromadzić wiedzę. A co może być lepszym sposobem gromadzenia wiedzy, jeśli nie zwiedzanie świata? – Zamrugęła dużymi brązowymi oczami.

Oliver się uśmiechnął i skinął jej głową.

– Bardzo będę rad.

– Obydwoje dużo się nauczycie. – Nathan poklepał wiszącą u pasa skórzaną sakiewkę z księgą życia. – Chciałbym też, żeby uczeni z Cliffwall skopiowali mapy, które rysowałem po drodze, i spisali streszczenie naszej dotychczasowej wyprawy. Ludzie w D’Harze powinni się dowiedzieć wszystkiego o Starym Świecie.

Franklin popatrzył na mnemoników, potem na pozostałych uczonych i kiwnął głową.

– Oliverze i Peretto, myślicie, że dacie radę? Że starczy wam silnej woli, żeby się podjąć tej misji?

Zebrani zaczęli kiwać głowami i rozmawiać.

– Jasne, że tak – prychnęła Peretta.

Nathan, gotów do drogi, ubrał się w elegancki strój podróżny – ozdobna pochwa u pasa, brązowa peleryna z Renda Bay, ciemna kamizela i plisowana koszula z magazynów Cliffwall.

– Niektórzy z was po latach czytania starych legend na pewno chcieliby sami szukać nowych – roześmiał się. – Kiedy wrócicie z D’Hary, zasłużycie sobie na miejsce w historii.

Mia, przed swą nagłą śmiercią, znalazła Nathanowi starą mapę, na której widniało Kol Adair, na dalekim wschodzie wielkiej doliny, za kilkoma łańcuchami nagich gór.

Nathan, patrząc na prastary szkic, martwił się, że będą musieli pokonać takie strome i poszarpane granie.

– Może nie będzie tak źle. Kartograf mógł przesadzić z tą niedostępnością terenu.

– Przekonamy się, kiedy tam dotrzemy – stwierdziła Nicci.

– Przynajmniej wiemy, dokąd iść – dodał Bannon.

Mężczyźni pożegnali się z ludźmi z Cliffwall, ale Nicci tego nie zrobiła. Po prostu zeszła ścieżką na dno doliny. Szybkim krokiem ruszyli na wschód po odradzających się ziemiach. Nicci czuła, że Mrra towarzyszy im w pewnej odległości, i podziękowała za to piaskowej panterze poprzez łączącą je więź.

Ruszyli w nieznane.

## ROZDZIAŁ 77

Zostawili za sobą Cliffwall i przez wiele dni wędrowali przez szeroką, okaleczoną dolinę, zanim dotarli do wschodniego pogórza. Wzgórza wznosiły się ku dalekim i poszarpanym górom, wyglądającym jak wyrostki na kręgosłupie smoka.

Podczas podróży natrafili na pozostałości starych dróg, zniszczonych przez wysysającego życie Rolanda i nieokiełznaną płodność Victorii. Mijali tereny, na których kwitnące niegdyś miasta się wyludniły i zostały pochłonięte przez piach. Teraz bezludne pustkowie porażało śmiertelną, głuchą ciszą.

Chociaż Nicci nie miała ochoty na rozmowy, to milczenie i nieustanny marsz dawały jej aż za dużo czasu na rozmyślania. Nie było chwili, w której nie odczuwałaby braku Oset, ale usiłowała wznieść wewnętrzne mury i zabić ranę. Już wcześniej straciła wiele osób, które nie były jej obojętne, zwłaszcza w niedawnych walkach z imperatorem Sulachanem i jego krwiożerczymi pozbawionymi dusz hordami. Cara... Zedd...

Sama zabiła mnóstwo ludzi. Była oswojona ze śmiercią, nie przeszkadzała jej krew na rękach. Nic jej nie ciążyło na sumieniu. Starła się przekonać samą siebie, że Oset to po prostu kolejna nieżyjąca osoba.

Po prostu kolejna śmierć...

Wspiąwszy się na rzadko zalesioną grań, odwrócili się i spojrzeli za siebie. W rozległej dolinie widać było łąty zdrowej zielonej roślinności oraz srebrne wstęgi strumieni. Nie było to ani rozszalałe życie, ani popękane martwe pustkowie.

Nathan odetchnął z zadowoleniem.

– Widzicie? Oto, czego dokonaliśmy, czarodziejko.

– W tym celu wyruszyliśmy. Teraz skończyłam z przepowiednią wiedźmy. – Nicci się odwróciła i ruszyła pomiędzy wzgórzami, zanim mogłaby pomyśleć o cenie, jaką zapłacili za to dokonanie.

– Ależ, czarodziejko, czy w takiej podróży jak nasza można skończyć z ratowaniem świata?

Kiedy rozbili obóz na noc, Mrra przyciągnęła na łąkę upolowaną kozicę i zostawiła tam, żeby mieli kolację. Piaskowa pantera już się najadła i siedziała na skraju polany, przyglądając się, jak Bannon wycina kawałki mięsa, a Nathan rozpala ognisko.

– Chcę udowodnić, że mogę to zrobić bez magii, chociaż jest to o wiele mniej dogodne – westchnął. – Ale wkrótce znowu będę w pełni sobą.

Wędrowali brzegiem strumienia wśród wzgórz, wybierając szlak prowadzący w góry. Ponieważ Bannon dorastał na wyspie i pływał po morzu, niezbyt potrafił wyszukiwać drogę w pagórkowatym terenie. Nicci szła przodem.

Przyjrzała się nierównemu terenowi i wybrała ścieżkę biegnącą zakosami w górę stoku, przez zagajniki i w gęsty sosnowy las. Im wyżej się wspinali, tym drzewa stawały się rzadsze, karłowate. Przedarli się przez sięgające kolan zarośla i wyszli na otwartą, smaganą wiatrem tundrę z szeleszczącymi trawami i kępami małych kwiatów. Mrra pomknęła naprzód, żeby uganiać się za świstakami.

Bannon był zziębnięty, ciężko oddychał. Pochylił się, wsparł dłonie o kolana.

– Szlak jest stromy, powietrze rozrzedzone.

Nathan mu nie współczuł.

– Mam tysiąc lat, chłopcze, a dotrzymuję ci kroku. Chodź, przed nami Kol

Adair.

– Powietrze będzie coraz rzadsze – powiedziała Nicci. – Nasz cel leży o wiele wyżej.

Bannon zmrużył oczy, wiatr nastroszył mu rude włosy i wyglądały teraz jak płomienie okalające głowę.

– Nigdy nie wyobrażałem sobie czegoś takiego, dorastając na Chiriyi. – Popatrzył z zaciekawieniem i zdziwieniem na poszarpane, pokryte porostami głązy. – Tak bardzo się oddaliłem od wyspy i tamtego życia, nie tylko w milach, które przeszedłem, ale i w tym, co widzieliśmy i zrobiliśmy. – Uśmiechnął się słabo do swojego mentora. – To wszystko, czego mnie nauczyłeś i co przeżyłem, Nathanie... Może to nie jest idealne życie, o jakim marzyłem, ale jestem z niego zadowolony. – Zwrócił się ku Nicci, wymuszając na niej odpowiedź: – Sądzisz, że kiedyś na własne oczy zobaczę imperium D'Hary? Tyle opowiadałaś o tamtych krainach. Czy pewnego dnia ujrzę lorda Rahla?

– D'Hara jest daleko stąd – powiedziała Nicci, idąc ku szczytowi stromej grani. – A my idziemy w przeciwnym kierunku.

Nathan wykazał więcej optymizmu.

– Może kiedyś zobaczysz, mój chłopcze, ale po co się spieszyć? Na świecie jest wiele krain, mnóstwo ludzi i wiele widoków do zobaczenia. – Uśmiechnął się i zacytował Red: – Przyszłość i los zależą tak od podróży, jak i od jej celu.

Ponieważ zbocze było strome, przystanęli, żeby złapać oddech, zanim dotrą na samą przełęcz. Nathan wyjął mapy, przyjrzał się im i obejrzał na góry, które właśnie przebyli.

– Powinniśmy być blisko – powiedział. – Bardzo blisko.

Kiedy Nicci ruszyła, ze wzrokiem utkwionym przed siebie, Nathan



i Bannon pospieszyli za nią. Mrra uganiała się pomiędzy skałkami, zirytowana, że tym tłustym futrzakom zawsze udaje się schować, zanim zdąży je złapać. Ale wkrótce jeden ze świstaków cienko pisnął, kiedy go zabiła na przekąskę.

Ziemia była twarda i ubita, kiedy tak wędrowali przełęczą, coraz bardziej stromą. Kiedy wreszcie Nicci jako pierwsza znalazła się na szczycie, otworzył się przed nią wspaniały widok i nawet ona stanęła zdjeta podziwem.

Dotarli do Kol Adair.

## ROZDZIAŁ 78

Nathan, zadyszany i zmęczony, zatrzymał się i głęboko wciągnął zimne, rozrzedzone powietrze. Wspaniałość widoku poraziła go jak cios pięścią.

– Kol Adair... drogie duchy, to cudowne!

Od ucieczki z Pałacu Proroków widział wiele miejsc, był świadkiem wielu doniosłych i dramatycznych zdarzeń, lecz nigdy przedtem nie miał przed oczami widoku, który by wzbudził w nim taki zachwyt i podziw. Mógłby na to patrzeć przez wieczność.

Z idealnie przejrzystego niebieskiego nieba słońce świeciło na kotłynie w wysokich górach. Równe czarne granie tworzyły piękną naturalną barierę, o szczytach pokrytych śniegiem. W głębokich żlebach wiły się lodowce, z których grzmiącymi wodospadami spadały białe wstęgi wody. W delikatnej wodnej mgiele jaśniały tęcze. Górskie jeziora lśniły jak klejnoty najczystszy turkusowym błękitem, niektóre pokrywały tafle lodu, choć był to środek lata.

Bannon przyczłapał i stanął przy Nathanie, zbyt zmęczony, żeby patrzeć na coś innego niż własne buty. Kiedy podniósł głowę, zabrakło mu tchu.

Nathan chłonał otaczające go niesamowite piękno. Rozległe łąki były bujne i zielone, usiane jaskrawymi górkimi kwiatami, jakby spadł na nie deszcz kwitnących meteorów. Nawet z tej odległości słyszał grzmot wodospadów spadających z czarnych klifów. Drozdy latały stadkiem lub opadały łukiem ku kwiatom, łowiąc owady.

Mrra spacerowała po siodle przełęczy, trzymając się blisko Nicci. Nikt się nie odezwał, napawali się widokiem.

Nathan napełnił płuca rześkim powietrzem i rozpostarł ręce na boki,

upajając się tym uwznioślającym pięknem. Czy Red chciała, żeby właśnie to zobaczył? Chociaż radował się krajobrazem, to wątpił, żeby to miejsce miało mu przywrócić dar. Rozciągnął ramiona, poruszył palcami, zadumał się, czy znów czuje się w pełni sobą.

Nicci, niespokojna, nie wiedząc, co właściwie mają robić, skoro już tu dotarli, ruszyła przez otwarty, płaski teren. Przyglądała się niskim trawom, kępom różowych kwiatów, nakrapianym porostami głazom.

Nathan wiedział, że musi tu być coś jeszcze, skoro wiedźma ich tutaj wysłała, skoro polecenie zapisano w starej księdze życia i wyryto na kamiennym stożku na drugim końcu kontynentu. Musiał istnieć powód, dla którego kazano mu iść do Kol Adair.

Nathan mógł się obejść bez prorokowania, lecz życie bez *daru* to co innego. Zaklęcia, które rzucał, magiczny oręż, którym mógł władać, sprawiały mu ogromną satysfakcję – no i mógłby być cennym wsparciem w walce tak z Życiożercą, jak i Victorią. Kiedy zaczęli z Nicci tę podróż – wyruszając z Pałacu Ludu i kierując się ku Mrocznym Ziemiom – Nathan wierzył, że będą niepokonani: czarodziej i potężna czarodziejka. Musiał znowu być w stanie wypełniać swoją część zadania. Musiał odzyskać dar.

A to było miejsce, w którym powinien się znaleźć. Lecz nie poczuł się odmieniony.

– Patrzcie, następny kamienny stożek! – powiedział Bannon.

Jakiś wędrowiec oznaczył szczyt przełęczy wysokim wzgórkiem kamieni, jeszcze bardziej imponującym niż ten, który widzieli na smaganym wiatrem Widmowym Wybrzeżu. Bannon ruszył ku niemu, ale bardzo powoli, bo nadal brakowało mu tchu.

Nicci dotarła pierwsza. Okrążyła stożek, szukając wskazówki, jak przedtem. Zatrzymała się, popatrzyła na kamienie, zmarszczyła brwi.

– Chodź tutaj, Nathanie.

Spiesząc ku niej, czuł nadzieję. Pragnął znowu wyczuć swoją Han, odzyskać kontrolę nad darem i stać się użytecznym czarodziejem. Musiał znów stać się w pełni sobą!

Popatrzył na podstawę stożka. Wśród sterty kamieni, niczym grobowa stela, znajdowała się płaska kamienna tabliczka, wolna od wszechobecnych porostów. W granitowej powierzchni wyryto słowa:

*Czarodzieju, spójrz na to, czego potrzebujesz, żeby na powrót stać się w pełni sobą.*

Nathan był zachwycony. Już widział to zdanie.

– Czyli wiedźma tu była. Red to przekazała. Te słowa są zapisane w mojej księdze życia...

– Albo Red była tu osobiście, albo to przewidziała – stwierdziła Nicci. – Ktoś zostawił ten napis, a wiedźma *wiedziała* o tym jeszcze w czasach, zanim proroctwa wyeliminowano z tego świata. Kol Adair czekało na ciebie od jakiegoś czasu, Nathanie Rahl.

– Ale co to znaczy? – zapytał Bannon. – Jak odzyskasz swoją magię? – Z nadzieją popatrzył na czarodzieja.

Nathan nie chciał przyznać, że nie ma pojęcia. W skupieniu ściągnął brwi, a potem zamaszystym gestem wskazał zadziwiający widok, próbując przekonać samego siebie.

– Być może to miejsce ma coś w sobie. Rozejrzyj się. To widok tak cudowny, że sam w sobie wystarczy, żeby zmyć mrok świata. – Spojrzał znacząco na Nicci. – Może właśnie tego wszyscy potrzebujemy, żeby dojść do siebie po zabiciu Życiożercy i Victorii i po tragicznym końcu biednej Oset. – Zamknął oczy i znowu głęboko, z zadowoleniem wciągnął w płuca czyste powietrze.

Nicci odwróciła się od sterty kamieni.

– Potrzebuję czegoś więcej niż piękny widok, żeby rozjaśnić mrok w moim wnętrzu. Mam dość siły, żeby to dla siebie zrobić. Już mam silną motywację.

Nathan powiódł wzrokiem po wodospadach, ośnieżonych szczytach. Skóra go mrowiła, puls galopował i czuł w sobie cudowną moc, którą czerpał z samej ziemi.

– To musi być magiczne miejsce, źródło bijącej ze świata mocy, podobną moc mają kości smoka – powiedział. – Już samo przybycie tutaj sprawiło, że czuję się odrodzony! Tak, drogie duchy, właśnie tego potrzebowałem. Warto było tu przyjść.

Wyciągnął przed siebie dłonie, zagiął palce i skoncentrował się, przypominając sobie, jak to było. Sięgnął do swojej Han i uwolnił strumyk magii, zamierzając przywołać kulę ognia. Pamiętał, że kiedy ostatnio korzystał z tego zaklęcia, na pokładzie *Tnącego Fale*, pojawiły się tylko płomyczki, które zdmuchnął wiatr. Teraz zamierzał rozpalić na dłoni jaskrawy płomień.

Dotarł do Kol Adair. Jego moc powinna powrócić.

Nic się nie stało.

Bardziej się skoncentrował. Nicci i Bannon go obserwowali. Lecz chociaż się natęzał, nie wyczuł daru. Nic.

Tak początkowo podniesiony na duchu w tym cudownym miejscu, teraz pogрузił się w rozpacz. Jego magia zniknęła, odebrano mu ją tak jak zdolność prorokowania.

– Co zrobiłem źle? – pytał. – Czemu nie jestem taki jak kiedyś? Powinienem stać się tutaj w pełni sobą. Spójrzcie na te słowa w kamieniu! Co jeszcze powinienem zrobić? – Zdesperowany podniósł głos, wiedząc, że

ani Nicci, ani Bannon nie będą mieć dla niego odpowiedzi. Zwiesił głowę. Fundamenty świata się zmieniły, gwiazdy przesunęły. – Może przepowiednia Red straciła ważność, skoro nie ma już prorocत्व.

## ROZDZIAŁ 79

Nicci patrzyła, jak czarodzieja ogarnia rozczarowanie i poczucie klęski. Minę miał tak ponurą jak lodowce po drugiej stronie kotliny.

– Nic – powiedział, poruszając palcami.

Nathan Rahl zawsze był przystojny, pewny siebie, inteligentny – idealny na podróżującego ambasadora D’Hary. Nicci towarzyszyła mu z własnych powodów, ale w trakcie wędrówki zaczęła cenić wiedzę i talenty czarodzieja. W byłym proroku było coś więcej, niż dostrzegało się na pierwszy rzut oka.

Wspólnie przebyli długą drogę i wiele doświadczyli, żeby odnaleźć Kol Adair, ulegając kapryswi wiedźmy. Tak, ten ogromny dziewiczy ląd musi być pełen zasobów, nieprzebranych bogactw zaostających apetyt każdego ambitnego władcy. Lecz nie było tu magii dla Nathana. Nie znalazł tego, co obiecywała Red.

Stary czarodziej, straszliwie zmęczony, podwinął nogi i usiadł obok kamiennego wzgórka. Otworzył skórzaną sakiewkę u pasa i ze smutkiem wyjął swoją nową księgę życia.

– Ciekaw jestem, czy Red zostawiła mi inną wiadomość.

Kiedy otworzył okładkę, zobaczył tylko szkice i zapiski, które sam zrobił. Licząc na odpowiedzi, powiódł wzrokiem po liniijkach, ale słowa nie wniosły niczego nowego.

*Przyszłość i los zależą tak od podróży, jak i od jej celu.*

*Kol Adair leży daleko na południe w Starym Świecie. Tam czarodziej ujrzy to, co mu potrzebne, by na powrót stał się w pełni sobą. A czarodziejka musi ocalić świat.*

Zamknął okładkę i schował księgę.

– Co powinienem zrobić i dokąd teraz pójść? Przybyłem do Kol Adair. Czemu nie stałem się w pełni sobą? – Już tylko chmurnie spoglądał na wspaniały widok. – Cóż więcej powinienem ujrzeć?

– Mamy do zwiedzenia resztę Starego Świata – odezwała się Nicci. – Może ktoś inny udzieli ci odpowiedzi.

Bannon ponownie spojrzął na wyryte na tabliczce słowa, jak gdyby źle odczytał proste zdanie.

– „Spójrz na to, czego potrzebujesz, żeby na powrót stać się w pełni sobą”.  
– Pospiesznie wstał. – Chwila, posłuchajcie! Wiedźma nie twierdziła, że samo przyjście do Kol Adair wystarczy, byś stał się w pełni sobą. Powiedziała, że tam *ujrzesz* to, czego potrzebujesz. – Piegowata twarz chłopaka zarumieniła się z ekscytacji. – Może po prostu jeszcze tego nie ujrzeliśmy.

Nathan podniósł się z trudem.

– To oznacza, że musimy poszukać tego, czego potrzebuję, mój chłopcze.  
– Wydał wargi. – Może to jakiś magiczny artefakt albo zaklęcie wyryte w skałach na przełęczy. Wiedźma tego nie uściśliła.

– Wiedźmy rzadko cokolwiek uściślają – stwierdziła Nicci.

Nathan się uśmiechał, odzyskał nadzieję.

– Drogie duchy, wciąż jest szansa... ale czego my szukamy?

Bannon pochylił się przy kamieniach i zaczął przepatrywać pocętkowane porostami głązy.

– Może coś tam jest schowane. To najbardziej rzucające się w oczy miejsce.

Znalazł luźny kamień u podstawy i odsunął go. Zdziwił się, odsłaniając drugą płaską płytkę z wyrytymi słowami.

– Chyba jeszcze nie skończyłaś, Nicci.



Przeszył ją dreszcz, kiedy zobaczyła złowieszcze słowa wyryte lata – a może wieki – temu i już się domyślała, że to będzie: *Czarodziejko, ocal świat*.

– Starożytne napisy nie muszą mi mówić, co mam robić – burknęła.

Kamienny stożek nie krył już żadnych zapisków, żadnych artefaktów, żadnych wskazówek. Nie wiedząc, co robić, stali na górskiej przełęczy i badali wzrokiem dal. Panorama obejmowała całe mile okolicy o zapierającej dech urodzie, ale nie było tu niczego, co mogłoby pomóc czarodziejowi odzyskać dar.

Wiatr drwiąco szumiał wokół nich. W lazurowych oczach Nathana lśniły łzy rozpaczy, wpatrywał się przed siebie, jakby sama intensywność spojrzenia mogła zaspokoić jego potrzebę.

– Żeby tutaj dotrzeć, przebyliśmy długą i niebezpieczną drogę! – zawołał.  
– Byłbym wdzięczny za trochę jaśniejsze wskazówki!

Akurat wtedy promienie słoneczne padły pod kątem. Po przeciwległej stronie powietrze zadrgało jak kurtyna i uchyliła się zasłona – ukazując nowy zaskakujący widok.

Nicci, zachłyszawszy się oddechem, wyciągnęła rękę.

– Patrzcie! To... miasto!

Nathan i Bannon się odwrócili. Piaskowa pantera głucho warknęła.

Chłopak zawołał:

– Wydaje się jeszcze większe niż Tanimura! Nie było go tam wcześniej!

Nathan był podekscytowany.

– Rzeczywiście, mój chłopcze. Nie było. Czemu go nie widzieliśmy?

Nicci chłonęła niesamowity obraz. Dalekie miasto było wspaniałą metropolią, chyba nawet większą niż Aydindril i Altur'Rang razem wzięte. Jego sylweta na tle nieba rysowała się lasem fantastycznych budowli,

egzotycznej architektury z wysokimi świątyniami i miejską zabudową, stłoczonymi domami i eleganckimi willami. Wysokie budowle wyciągały się w górę, niebotyczne wieże z białego kamienia. Ich dachy lśniły glazurowanymi dachówkami, okna błyszczały barwnymi szklanymi witrażami.

Zamglone powietrze wokół miasta migotało, jakby widziane przez soczewki wyostrzające na chwilę widzenie, zanim szczegóły znów staną się zamazane. Jakby olbrzymia kopuła skrywała tę dziwną metropolię – i tylko na sekundę magia i korzystny kąt padania słońca odsłoniły przed nimi Kol Adair. Kopuła rozpadała się, niknęła.

– Widzimy je po raz pierwszy. – Nathan ciężko oddychał. – Red to musiała mieć na myśli! Dotarliśmy do Kol Adair i dokładnie z tego punktu możemy zobaczyć miasto. „Spójrz na to, czego potrzebujesz, żeby na powrót stać się w pełni sobą”. – Odwrócił się ku Nicci promiennie uśmiechnięty. – Musimy pójść do tego miasta. Tam jest odpowiedź. Musi tam być.

Nicci większość swych lat spędziła w ludnych cywilizowanych miejscach i zdecydowanie wolała miasto od surowego życia na szlaku. Migotliwy miraż ją intrygował i wabił.

– Zgadzam się.

Zanim ruszyli, powietrze znowu zamigotało i załśniło – cała majestatyczna metropolia po prostu zniknęła. Ziemia po drugiej stronie gór zdawała się zupełnie pusta.

– Byłaby to iluzja?! – wykrzyknął Bannon.

– Nie – upierał się Nathan. – To nie może być iluzja. Może miasto jakoś się chowa, na przykład za osłoną podobną do tej, która kryła Cliffwall przez tyle stuleci. – Skinął głową, przekonując tak siebie, jak i ich. – Lecz teraz wiemy, że tam jest. Chodź, czarodziejko! Wciąż mamy przed sobą długą

podróż, ale przynajmniej wiemy, dokąd musimy pójść.

Mrra niespokojnie warczała, zdenerwowana, ale czarodziej nie pozwolił się zniechęcić. Ruszył w dół przełęczy. Będą musieli przeciąć wiele górskich dolin i przedostać się za nagie ośnieżone granie, zanim dotrą do tajemniczego znikającego miasta.

Kiedy minęli następny grzbiet, znaleźli wyraźny szlak z południa, wydeptaną ścieżkę wijącą się wśród gór.

– To nie jest ścieżka zwierzyny – stwierdziła Nicci.

W jednym miejscu dróżka się rozszerzała, odsłaniając omszałe kamienne płyty – prastara droga dla intensywnego ruchu. Lecz najwyraźniej ostatnio nie była używana.

– Droga! – Nathan nie mógł powściągnąć optymizmu. – Teraz jesteśmy na właściwym trakcie, czarodziejko. To był znak, którego potrzebowaliśmy.

Wysokie czarne skały zasłoniły im widok, kiedy zeszli z kolejnego pofałdowanego grzbietu. Kiedy okrążyli nagą skałę, Nicci stanęła. Ujrzeni przerażający i odpychający widok. Bannon wstrzymał oddech, pełen odrazy.

Po obu stronach szlaku na wysokich tykach tkwiły cztery odcięte głowy; twarze częściowo rozdziobały kruki, lecz chroniło je zaklęcie zapobiegające rozkładowi. Skóra obwisała po śmierci, ale usta były straszliwie i charakterystycznie okaleczone – rozcięte od kącików do stawów żuchwy, a potem zszyte. Policzki były wytatuowane w łuski, żeby nadać im wygląd ludzi-węży.

Nathan zapamiętał ich z napaści na mieszkańców Renda Bay.

Bannon zapłonął gniewem.

– Norukaiscy handlarze niewolników!

– Wygląda na to, że musieli kogoś obrazić – stwierdził Nathan.

Nicci podeszła, żeby przyjrzeć się głowom.

– Czar konserwujący nie pozwala ocenić, jak długo tu wiszą.

Pod pierwszą tyką znajdowała się zachlapana krwią tablica zapisana dziwnymi symbolami, których Nicci nie potrafiła odczytać. Zorientowała się jednak, że są podobne do tych wypalonych na skórze Mrry.

Piaskowa pantera znowu zawarczała, przeciągle i głucho.

Nicci się uśmiechnęła i spojrzała na kręty szlak prowadzący ku kryjącemu się miastu.

– Tak, to miejsce istotnie może być bardzo interesujące.

Tego autora polecamy również cykl *Miecz Prawdy*:

*Pierwsza Spowiedniczka*

*Dług wdzięczności*

*Pierwsze prawo magii*

*Kamień Łez*

*Bractwo Czystej Krwi*

*Świątynia Wichrów*

*Dusza ognia*

*Nadzieja pokonanych*

*Filary Świata*

*Bezbronne imperium*

*Požoga*

*Fantom*

*Spowiedniczka*

*Wróżebna machina*

*Trzecie królestwo*

*Skradzione dusze*

*Serce Wojny*

## **Spis treści**

## ROZDZIAŁ 1

## ROZDZIAŁ 2



## ROZDZIAŁ 3

## ROZDZIAŁ 4

## ROZDZIAŁ 5

## ROZDZIAŁ 6

## ROZDZIAŁ 7

## ROZDZIAŁ 8

## ROZDZIAŁ 9

## ROZDZIAŁ 10



## ROZDZIAŁ 11

## ROZDZIAŁ 12

## ROZDZIAŁ 13

## ROZDZIAŁ 14

## ROZDZIAŁ 15

## ROZDZIAŁ 16

## ROZDZIAŁ 17

## ROZDZIAŁ 18



## ROZDZIAŁ 19

## ROZDZIAŁ 20

## ROZDZIAŁ 21

## ROZDZIAŁ 22

## ROZDZIAŁ 23

## ROZDZIAŁ 24

## ROZDZIAŁ 25

## ROZDZIAŁ 26



## ROZDZIAŁ 27

## ROZDZIAŁ 28

## ROZDZIAŁ 29

## ROZDZIAŁ 30

## ROZDZIAŁ 31

## ROZDZIAŁ 32

## ROZDZIAŁ 33

## ROZDZIAŁ 34



## ROZDZIAŁ 35

## ROZDZIAŁ 36

## ROZDZIAŁ 37

## ROZDZIAŁ 38

## ROZDZIAŁ 39

## ROZDZIAŁ 40

## ROZDZIAŁ 41

## ROZDZIAŁ 42



## ROZDZIAŁ 43

## ROZDZIAŁ 44

## ROZDZIAŁ 45

## ROZDZIAŁ 46

## ROZDZIAŁ 47

## ROZDZIAŁ 48

## ROZDZIAŁ 49

## ROZDZIAŁ 50



## ROZDZIAŁ 51

## ROZDZIAŁ 52

## ROZDZIAŁ 53

## ROZDZIAŁ 54

## ROZDZIAŁ 55

## ROZDZIAŁ 56

## ROZDZIAŁ 57

## ROZDZIAŁ 58



## ROZDZIAŁ 59

## ROZDZIAŁ 60

## ROZDZIAŁ 61

## ROZDZIAŁ 62

## ROZDZIAŁ 63

## ROZDZIAŁ 64

## ROZDZIAŁ 65

## ROZDZIAŁ 66



## ROZDZIAŁ 67

## ROZDZIAŁ 68

## ROZDZIAŁ 69

## ROZDZIAŁ 70

## ROZDZIAŁ 71

## ROZDZIAŁ 72

## ROZDZIAŁ 73

## ROZDZIAŁ 74



## ROZDZIAŁ 75

## ROZDZIAŁ 76

## ROZDZIAŁ 77

## ROZDZIAŁ 78

## ROZDZIAŁ 79

## Cykl Miecz Prawdy

Tytuł oryginału: *Death's Mistress*

Copyright © 2017 by Terry Goodkind  
*All rights reserved*

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2017

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Agnieszka Horzowska

Projekt i opracowanie graficzne serii oraz projekt okładki: Jacek Pietrzyński

Ilustracja na okładce: Bastien Lecouffe Deharme

Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Pani Śmierci*, wyd. I, Poznań 2017)

ISBN 978-83-8062-839-7

**Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.**

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel.: 61 867 81 40, 61 867 47 08

fax: 61 867 37 74

e-mail: [rebis@rebis.com.pl](mailto:rebis@rebis.com.pl)

[www.rebis.com.pl](http://www.rebis.com.pl)

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**